

TYGIEL KULTURY

1 (230) 2017

Było

I

BĘDZIE

20 lat

„Tygla Kultury”

Dobre Miasto Łódź

TYGIEL KULTURY

1 (230) 2017

Redaktor naczelny: **Andrzej Strąk**

Z-ca redaktora naczelnego, redaktor merytoryczny: **Maciej Robert**

Redaktor prowadzący: **Zbigniew W. Nowak**

Sekretarz redakcji: **Marcin Bałczewski**

Projekt okładki, opracowanie graficzne, DTP: **Zbigniew Koszałkowski, www.takitak.com.pl**

Adres redakcji: Dom Literatury w Łodzi, Roosevelta 17, 90-056 Łódź

Tel. (42) 633 68 38

e-mail: tygiel@dom-literatury.pl

Strona internetowa: www.tygielkultury.org

Rada programowa: **Jerzy Jarniewicz, Zbigniew W. Nowak**

Zespół: **Tomasz Bocheński, Tomasz Cieślak, Leszek Engelking,**

Małgorzata Golicka-Jabłońska, Wojciech Górecki, Anna Kuligowska-Korzeniewska,

Gustaw Romanowski, Lucyna Skompska, M. Magdalena Starzycka,

Maciej Świerkocki, Krzysztof Woźniak

Stale współpracują: **Tomasz Cieślak-Sokołowski, Renata Jabłońska** (Tel Awiv),

Janusz Janyst, Wojciech Ligeza, Georgi Minzew, Jan Morawicki (St. Petersburg),

Olga Nadskakuła, Ivan Petrov, Roman A. Sacharov (St. Petersburg), **Teresa Sikorska,**

Leon Sikorski, Henryk Skwarczyński (Chicago), **Konrad Tatarowski,**

Urszula Usakowska-Wolff (Berlin), **Janko Vujinović** (Belgrad)

Pomoc redakcyjna, korekta: **Maciej Kaźmierczak**

Redakcja zastrzega sobie prawo do zmiany tytułów i skrótów tekstów.

Materiałów niezamówionych nie zwracamy.

Wszystkie zdjęcia zamieszczone w tym numerze „Tygla Kultury” (poza zdjęciami ze stron 157, 194, 198 i 281-283) pochodzą z portalu „Miastraf” i są udostępniane w ramach licencji Creative Commons.

ISSN: 1425-8587



Wydawca:

Dom Literatury w Łodzi

Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział w Łodzi



Dofinansowano ze środków **Urzędu Miasta Łodzi**

SPIS TREŚCI

SZEŚĆ WIEKÓW ŁODZI

5	<i>Rozmowa w „Tyglu”</i>	„Kiedy w Łodzi wypasano owce” z Henrykiem Samsonowiczem rozmawia Zbigniew Dominiak
10	<i>Dyskusja w „Tyglu”</i>	Lodzermensch – historia i mit
21	Paweł Spodenkiewicz	39 wystąpień Chaima Rumkowskiego
34	Krzysztof Woźniak	Zderzenie dwóch światów
42	Leszek Próchniak	Mieszkańcy Łodzi wobec wprowadzenia stanu wojennego
56	Pierre Guichenev	Łódź
66	Alexander Klugman	Uroczystości żałobne

ŁÓDŹ – TYGIEL KULTUR

75	Marek Budziarek	Mozaika wyznaniowa Łodzi
83	Paweł Samuś	Ziemia obiecana, złe miasto czy mała ojczyzna Polaków, Niemców, Żydów?
90	Wojciech Górecki	Łódź rosyjska
97	Karl-Heinz Goepfert	Moja łódzka rodzina
105	Krzysztof Radziszewska	Łódź w niemieckojęzycznych tekstach autobiograficznych
110	Władysław Bartoszewski	Wystąpienie podczas inauguracji działalności Towarzystwa na Rzecz Dialogu Kultur
116	Joanna Podolska	Nie lubię, jak ktoś obraża innych
121	Paweł Rutkiewicz	Resztki multi-kulti. Współcześni łódzcy Żydzi

ŁÓDŹ KULTURALNA

138	Krzysztof Radziszewska	Życie kulturalne getta Litzmannstadt
148	Anna Kuligowska-Korzeniewska	Łódź teatralna
153	Krzysztof Boczek	Zza kurtyny
156	Anna Leśniak	Fifi Zasrow. Acta es fabula
158	<i>Rozmowa w „Tyglu”</i>	„Borowiecki to ja” - z Janem Klatą rozmawia Anna Maria Dolińska
162	Andrzej Wajda	„Malujcie tak, żeby Polska zmartwychwstała”
167	Ewelina Nurczyńska-Fidelska	Andrzej Wajda – doktor <i>honoris causa</i> UŁ
168	Janina Ładnowska	Nowoczesność z tradycją
177	<i>Rozmowa w „Tyglu”</i>	“Gdyby nie sztuka...” - z Krzysztofą Potocką-Suwalską rozmawia Marta Zdanowska

184	Leszek Szaruga	„Puls”, czyli zabawa
193	Tina Stroheker	Niedziela u poety
197	Konrad Tatarowski	Witek Sułkowski i jego pisarstwo. Wspomnienie
201	Piotr Śliwiński	Jacek Bierozin - osobny? odosobniony?
206	Rafał Gawin	Mój Zdzisław

PLAN MIASTA

211	Piotr Grobliński	Korekta planu
221	Jerzy Jarniewicz	Pejzaż miejski z jeleniem
229	Krzysztof Stefański	Architektura Łodzi – zagrożone dziedzictwo
236	Mariusz Gaworczyk	Ludwik Mackiewicz – architekt z zasadami
242	Agnieszka Cytacka	„Organiczność miasta Łodzi

PROZA

Marcin Sobieszczański 256 Tysiąclatka, czyli Żubardź

POEZJA

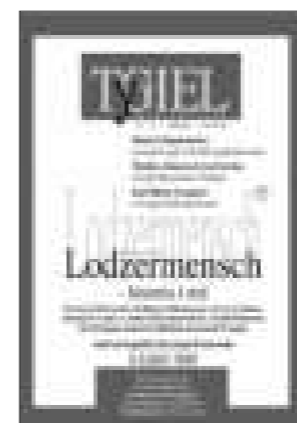
Piotr Grobliński 260 Wiersze
Jerzy Jarniewicz 262 Wiersze

RECENZJE

Paweł Sobczak 264 O „Gajcym” Stanisława Beresia”
Paulina Małochleb 268 O „Żeby nie bolało” Cezarego Łazarewicza
Tymoteusz Milas 275 O „Dzwonach Einsteina” Lajosa Grendela

WYDARZENIA

Adam Klimczak 278 Bracia Hirszenbergowie
Anna Walaszczyk 280 Opowieść o wielokulturowej Łodzi na stałej wystawie w Muzeum Miasta Łodzi



Rozmowa z Henrykiem Samsonowiczem

Kiedy w Łodzi wypasano owce

Zbigniew Dominiak: Panie profesorze, mamy rok 1423, w którym Łódź otrzymała prawa miejskie. Jaki to był moment w naszej historii?

Henryk Samsonowicz: Dla mnie ten rok jest bardzo ważny, może nie tyle ze względu na początki naszego drugiego co do wielkości miasta, co na fakt, że nieopodal Łodzi, nad Pilicą, w miejscowości Warta został wówczas wydany przywilej mający olbrzymie znaczenie dla kraju. Dotyczył on nie sfery polityki, ale problematyki gospodarczej. Na zjeździe w Warcie Jagiełło podjął ważne decyzje wiążące się z ulepszeniem struktury wsi polskiej, m.in. mające na celu usuwanie tych urzędników, którzy źle działali: „De inutilis aut rebellis scultetis”. Może warto go przypomnieć, zwłaszcza dzisiaj! Ale dlaczego był tak istotny? Nie tylko dlatego, że mówił o urzędnikach niepotrzebnych lub buntowniczych, ale że od niego zaczyna się działalność polskiej szlachty na polu zdobywania przywilejów gospodarczych, które w przyszłości doprowadzą do powstania wielkich gospodarstw produkujących na zbyt, czyli folwarku eksportującego przede wszystkim zboże.

Czy można powiedzieć, że zmieniał się w ten sposób ustrój w państwie?

W pewnym sensie tak, państwo zaczynało zajmować się problematyką gospodarczą. To niesłychanie ważna rzecz. Teraz – co do samej Łodzi. Czym jest akt lokacyjny? Raczej projektem niż odbiciem stanu rzeczywistego. Proszę sobie wyobrazić, że za tysiąc lat ktoś znajdzie decyzję mówiącą o budowie polskich autostrad. Czego ona będzie świadectwem? Potrzeb, pragnień, zamiarów.

Nic zatem dziwnego, że przez czterysta lat Łódź trwała w stanie stagnacji. Ale właściwie dlaczego? Jakie były mechanizmy, które windowały jedne miejscowości, a drugie pozostawiały na marginesie?

Pytanie ciekawe, ale odpowiedź na nie jest niełatwa. Otóż istnieje schematyczny podział na typy społeczeństwa państwowego i społeczeństwa obywatelskiego. Lokacja Łodzi doprowadziła poprzez powołanie samorządu miejskiego, w stopniu nawet bardzo ograniczonym, do stworzenia społeczeństwa obywatelskiego. Wiele teraz mówimy o Europie, a ona poza wszystkimi innymi cechami wyróżniającymi ma jedną niesłychanie



Pozostałości po wsi Retkinia – ul. Balonowa; aut. E. Dekker, 1992

ona: jest cywilizacją w społeczeństwie obywatelskim. Bardzo trudno powiedzieć, dokąd ta Europa sięga.

Alain Besançon twierdzi, że wygasa ona pod Smoleńskiem.

Tak, ale nie bierze on pod uwagę, iż – nie chcę tutaj obrażać moich francuskich przyjaciół – także niektórzy wieśniacy w Masywie Centralnym, kiedy mówiłem, że jestem z Polski, szukali jej w encyklopedii, tyle tylko że nie pod hasłem, ale pod ilustracjami. Jeśli przeciwstawieniem Europy jest Azja, to proszę pamiętać, że ta Azja jest pośród nas. Podobnie jak niemało Europy jest w Azji. Jest rzeczą istotną, że ta właśnie Europa została umocniona – bo przecież nie wprowadzona – również nad rzekę Łódkę w owym 1423 roku.

W jednym z wywiadów wspominał pan o tym, że dla historyków wczesnośredniowieczna Polska jest jak obwarzanek, coś w miarę pewnego wiadomo tylko o jej obrzeżach. A w środku biała plama. Dlaczego tak jest?

Najłatwiej byłoby zwalić tę naszą niewiedzę na brak dokumentów dla wczesnej epoki, dla początków państwa polskiego. Ale jeśli istniałyby tam silne ośrodki administracyjne i intelektualne, musiałyby pozostawić po sobie jakieś ślady. Można widzieć to też w kategoriach „Szło buło, to zahinuło”. Czy obszar ten nie może się poszczycić szczególnie tradycjami? Łódź jest znana jako największy ośrodek przemysłu tekstylnego w Polsce. Proszę sobie wyobrazić, że ten rejon ma tradycje sięgające o wiele dalej niż

się powszechnie sądzi. W I Rzeczypospolitej jednym z największych ośrodków sukieniczych były Brzeziny, położone kilkanaście kilometrów od Łodzi. Być może decyzja Rajmunda RembIELIŃSKIEGO z początku XIX wieku brała pod uwagę nie tylko znakomite warunki hydrologiczne (bo Łódź leżała nad rzeczką!), ale również dawne tradycje i umiejętności mieszkańców. Bo żyli tam ludzie, którzy wiedzieli, co to jest wrzeciono, osnowa, wątek.

Mówi się, że tych fachowców trzeba było sprowadzać z zagranicy.

Inżynierów tak, ale robotnicy już wiedzieli swoje. Czy zatem tamta lokalność była tylko planem, który na wielką skalę został zrealizowany dopiero po czterystu latach? Nie, niemal natychmiast bowiem powstała instytucja odgrywająca istotną rolę – kancelaria miejska. Wśród średniowiecznych ksiąg miejskich w Polsce zachowała się księga miasta Łodzi, a w niej bardzo dawny, gdzieś z lat 60. XV wieku, wpis po polsku. Tekst może dla nas niezupełnie zrozumiały, ale ja i dziś niezupełnie rozumiem to, co słyszę na polskiej ulicy. To znaczy rozumiem intencję, ale treść nie zawsze. Czy wie pan, ilu wtedy Łódź miała mieszkańców?

Myślę, że kilkuset.

No tak – dwustu, trzystu. I proszę sobie wyobrazić, że do tej księgi sądu miejskiego (nie były to sprawy kryminalne, a raczej dotyczące stosunków własnościowych, dziedziczenia, podziału majątków itd.) dokonywano w ciągu roku po kilka wpisów, ale różnymi charakterami pisma. A przecież tak małej gminy nie stać było na utrzymanie dwóch, trzech, a czasem czterech pisarzy. O czym to świadczy?

Czyżby chciał pan powiedzieć, że Łódź – tak jak po pierwszej wojnie światowej, kiedy to jako pierwsza wprowadziła obowiązek szkolny dla młodzieży – i wówczas była prekursorem w zwalczaniu analfabetyzmu?

Nie wiem, czy była prekursorem, bo to zjawisko miało miejsce i gdzie indziej, i to na liczbowo większą skalę. Ale wydaje mi się, że każdy z tych łódzkich ławników umiał już pisać. Być może dlatego pisał po polsku, bo nie najlepiej radził sobie z łaciną. To zagadnienie wiąże się z wprowadzeniem polszczyzny do życia publicznego. Warto może wspomnieć, że jeśli chodzi o wprowadzanie języka narodowego byliśmy znacznie opóźnieni w stosunku do prawie wszystkich sąsiadów – Niemców, Czechów, Rosjan. Za wyjątkiem Bałtów. W wieku XV zaczynaliśmy szybko nadrabiać te opóźnienia.

Skąd się brała umiejętność pisania?

Ze szkół parafialnych, w których uczono tego, co się łączyło z potrzebami Kościoła: pewnych łacińskich zwrotów, liczenia, bo oktawa Bożego Ciała czy 40 dni Wielkiego Postu wymagały umiejętności arytmetycznych. Wydaje się, że na zamówienie zainteresowanych uczono również pisania, które stawało się niezbędne w życiu zawodowym. W tym czasie zaczynała się korzystna koniunktura, możliwość włączania się do

wielkiego handlu europejskiego. Był on oczywiście organizowany przez mieszkańców wielkich miast pruskich: Gdańska, Królewca (mówię o Prusach w moim rozumieniu, czyli o Prusach Krzyżackich, później Królewskich, nie mających nic wspólnego z Królestwem Prus). W miastach tych byli ludzie, którzy pragnęli uzyskać możliwości działania na obszarze bardzo rozległego zaplecza. I właśnie w XV stuleciu zaplecze to kształtowało się m.in. dzięki udziałowi takich miast jak ówczesna Łódź. Czy brała ona udział w eksporcie przez Gdańsk – nie wiem, nie ma na ten temat żadnych wiadomości. Niemniej była ona miejscem, gdzie spotykali się ludzie pragnący zbyć swoje produkty, które potem wędrowały dalej czy nabyć to, co w coraz większej ilości zaczynało sprowadzać z bardziej rozwiniętych państw.

Czym zajmowali się mieszkańcy ówczesnej Łodzi?

Nie mam wątpliwości, że prawie wszyscy zajmowali się rolnictwem. Niektórzy jednak parali się po części handlem, po części rzemiosłem. Nie sądzę jednak, żeby działały tam cechy, bo te były jeszcze w Polsce stosunkowo rzadkie i ograniczały się do dużych miast.

Czy była to społeczność jednolita narodowościowo?

W Gdańsku dominowali Niemcy, w Warszawie Polacy, aczkolwiek już w XV wieku było tam wielu Niemców (śladem tego jest firma Fukierów, potomków niejakiego Ferkerta z Norymbergii) i duża gmina żydowska. W Łodzi jeśli byli Żydzi, to jako jednostki. W niedalekim Sieradzu działał na przykład bankier imieniem Dawid. W księdze, o której mówiłem, Żydzi nie występują, co wcale nie przesądza o ich nieobecności. Ale Łódź jako miasto wielonarodowe, jakie znamy z powieści Reymonta i filmu Wajdy, to dopiero wiek XIX.

Zastanawia mnie dziwna peryferyjność tego miejsca, która trwała przez wieki. Dlaczego tak się działo?

Sprawa przeszłości tego regionu jest ciekawa. Mówiliśmy już, że nie bardzo wiemy, co w momencie powstania Polski było w jej środku, tzn. na obszarach między Mazowszem a Kujawami, Ziemią Polańską a Małopolską. Niektórzy historycy widzą go jako część wielkich Kujaw, inni za gród naczelny tego obszaru uznają Łęczycę, gdzie znajduje się jeśli nie największa, to jedna z największych budowli romańskich w Polsce – Tum Łęczycki. Interesujące, że gród łęczycki już na początku XII wieku był w ruinie, Bolesław Krzywousty remontował jego fortyfikacje. Znaczenie tego grodu musiało więc być wyraźnie wcześniejsze. Ale kiedy to było? Podejrzenia są rozmaite i dla obecnej Ziemi Łódzkiej dosyć interesujące, ponieważ – niech pan tego oczywiście nikomu nie mówi! – nie jest wykluczone, że Warszawa znajdowała się w obrębie prowincji, której centrum stanowiła właśnie Łęczycza. Gdzieś tam w X, XI, a nawet w XII wieku Warszawa, ta lewobrzeżna, w której w tej chwili rozmawiamy, nie należała chyba do Mazowsza. Mazowsze było po drugiej stronie Wisły i bardziej na północnym zachodzie.

Nie będziemy rewindykować Warszawy i przyłączać jej do Łodzi! Zakusy są raczej odwrotne. Wróćmy do roku 1423.

Pierwsza połowa XV wieku to okres znacznego rozwoju miast i wzrostu ich znaczenia w polityce wewnętrznej i zagranicznej. Nie Łódź, ale na przykład Łęczycza i Sieradz brały udział w ratyfikowaniu traktatów pokojowych. Były respondentami króla przy sprawie elekcji czy też zobowiązania się do elekcji jego potomków.

Mówi pan o mieszczaństwie?

Tak, o miastach, o mieszczaństwie. Było to zjawisko podobne do sytuacji w Europie Zachodniej, gdzie miasta stawały się czynnikiem sprawczym w zakresie działań politycznych. I tu mamy do czynienia z paradoksem historycznym. Kiedy w połowie XV wieku do Polski zostały przyłączone ziemie stanowiące jeden z najbardziej zurbanizowanych obszarów w tej części Europy, tzn. zachodnia część Prus Krzyżackich, z Gdańskiem, Elblągiem, Toruniem, Chełmem, Braniewem, Grudziądem, Chojnicami itd., to równocześnie nastąpiła całkowita degrengolada polskiego mieszczaństwa. Nie miast, ale mieszczaństwa, bo w XVI wieku były miasta, które zaczynały robić wielką międzynarodową karierę w dziedzinie gospodarki. Do nich należał np. Lublin, w którym odbywały się jarmarki obejmujące nie tylko obszar olbrzymiej wtedy Rzeczypospolitej Obojga Narodów, ale jeszcze szerszy. Działali tam przedstawiciele finansjery zagranicznej. Mieszczanie nawet gdy się bogacą, to nabywają indygenat szlachecki i przestają być mieszczanami. Sama Łódź w tym czasie może się nie rozwijała, ale obszar wokół niej stał się dość interesujący z punktu widzenia gospodarczego jako teren hodowli owiec...

Rozmawiał **Zbigniew Dominiak**

Pierwodruk: „Tygiel Kultury” 4-5/1998



Lodzermensch – historia i mit

Zapis debaty w redakcji „Tygla Kultury” z udziałem Waldemara Bohdanowicza (były wojewoda i radny łódzki), Zbigniewa Dominiaka („Tygiel Kultury”), Jerzego Grohmana (były minister w gabinecie prezydenta Lecha Wałęsy, potomek znanej dynastii łódzkich przemysłowców), prof. dr. hab. Andrzeja de Lazari (Instytut Stosunków Międzynarodowych UE), dr. Arnolda Mostowicza (pisarz, lekarz, prezes Fundacji Monumentum Iudaicum Lodzense, pomysłodawca pomnika lodzermenscha), Jarosława Nowaka (Fundacja Anima), prof. dr. hab. Pawła Samusia i dr. Krzysztofa Woźniaka (Instytutu Historii UE) oraz Ziemowita Skibińskiego (poeta, krytyk literacki, zajmujący się tradycjami literackimi Łodzi).

Ziemowit Skibiński: Nasze spotkanie poświęcone jest pojęciu, które nie figuruje w *Słowniku Języka Polskiego* Doroszewskiego ani też w *Słowniku poprawnej polszczyzny*, a które zadomowiło się w polskiej literaturze. Brzmi ono: lodzermensch. Na początku naszej dyskusji proponuję dwa konterfekty literackie lodzermenscha. Jeden autorstwa pierwszego piewcy Łodzi fabrycznej, Artura Gliszczyńskiego. Jest to wiersz *Majster: I on z dala przywędrował, / Leczył się z Łodzią żył, / Własnych fabryk nie budował, / Za to w sobie tył. // Dniem pracuje bez wytchnienia, / „Donnerwetter” klnie. / Wieczór humor i strój zmienia, / I kufelki tnie. // Ma „Stammkufel”, jest „Stammgastem”, / W knajpce spędza czas, / I potrafi po „piętnastym” / Wołać: „Noch ein Glas”!!! / W politykę się nie bawił / I nie czyta nic, / Chyba – ot – z „Fliegende Blätter” / Jaki pieprzny „witz”. // Za łeb trzyma pryncypała, / Własny ceniąc stan. / Kto ten człowiek? – Majster z Wólki – / „So ein Lodzer Mann”. A drugi cytat pochodzi z utworu, w moim przekonaniu najpełniej obrazującego Łódź trzech epok, poematu Mariana Piechala *Ogień i popiół* wydane w 1976 roku: *Tu się narodził / typ lodzermenscha / weksel prowizjal / glanc i pomadał / oczy dwa zera / na cyferblacie / szyto i kryto / mucha nie siada.**

Zbigniew Dominiak: Chciałbym dołączyć trzeci cytat, jak najbardziej współczesny, z najnowszego numeru „Tygla Kultury”. Pochodzi z wywiadu z profesorem Gerda Leber-Hagenau, łodzianką mieszkającą w Wiedniu, literaturoznawczynią i pisarką. *Jest takie określenie – lodzermensch. Z czym się ono pani kojarzy? – pyta Konrad Tatarowski. Straszne słowo. Proszę mnie nie nazywać lodzermenschem. To teraz modne słowo.*

Krystyna Bobrowska: Dla mnie pojęcie lodzermenscha ma znaczenie wyłącznie historyczne i jego dzieje są już zamknięte.

Andrzej de Lazari: Bo dlaczego nie łodzianin? Ten lodzermensch akurat w związku z napływem czy obecnością wielu Niemców w Łodzi przed wojną mógł się tak kojarzyć. Ale dlaczego dzisiaj dyskusja o lodzermenschu, a nie po prostu o łodzianinie?

Paweł Samuś: Chciałbym zwrócić uwagę, jak na przełomie wieków – bo chyba wtedy zrodziło się to pojęcie – pojmowano słowo lodzermensch. Chyba najbardziej znanym autorem rozpowszechnianego pojęcia lodzermenscha był Górski, czyli Nałęcz – autor wyczulony na sprawy niemieckie, który podziwiał Niemców i jednocześnie bał się ich z racji wielkiej ekspansywności w Królestwie Polskim. W zbiorze bardzo ciekawych felietonów o Łodzi mu współczesnej, wydanym na początku naszego stulecia, Nałęcz pisał, kierując się swoimi doświadczeniami, obserwacjami i tym, co w Łodzi zasłyszał: *Łódź, mimo iż nie stanowi ani kraju, ani państwa ma swoją własną narodowość, są to z niemiecka zwani lodzermensche. Pierwotną ich ojczyzną były Niemcy. Dłuższe od kilku pokoleń ich przebywanie w kraju naszym przeobraziło w końcu ich patriotyzm germański, lecz nie pociągnęło do narodowości polskiej. Są to ludzie przeważnie bez zasad politycznych. Ojczyznę znaleźli na gruncie łódzkim. Tu zdobyli byt i stanowiska. Przywiązali się do miasta i dzisiaj są bardzo patriotycznymi lodzermenschami.* Kilkanaście wierszy dalej Górski przypisuje lodzermenschom trochę negatywnych cech. Kilka lat później, w 1912 roku, w przewodniku ilustrowanym przeznaczonym dla przyjeżdżających do Łodzi, autor czy autorzy, prawdopodobnie też dziennikarze, objaśniając, na czym polega specyfika miasta, nie pominęli oczywiście i lodzermenscha: *Uświadomienie, co do przynależności narodowej bardzo tu jest powszechne, nie wykluczając klas mniej uświadomionych, lecz niekiedy interes własny sprawia, że pozostaje ono w ukryciu. Temu oportunistowi zawdzięcza swoje istnienie osobliwa narodowość tak zwanych lodzermenschów. Są to na przemian Polacy lub Niemcy, stosownie do środowiska, w jakim się znajdują chwilowo.* Mamy zatem nowe pojęcie, że nie tylko Niemcy czy Żydzi są lodzermenschami, ale i Polaków uznaje się za mieszkańców miasta, tworzących nowe środowisko. Nie było to jednak powszechne mniemanie. Nie wszyscy tak pojmowali to słowo. Wybitny polski uczony Stanisław Kutrzeba w latach I wojny światowej do kategorii tej zaliczał przede wszystkim niezasymlowanych Żydów łódzkich: *Lodzermenschem oni się liczą, Łódź za dużą i ściślejszą uważają ojczyznę.* To zaskakująca obserwacja z perspektywy Warszawy. W *Słowniku wyrazów obcych* Michała Arcta z 1937 roku znajdziemy hasło „lodzermensch”: *Typ łódzkiego geschefciarza, który się wyrobił pod wpływem niemiecko-żydowskim; nie przyznaje się do żadnej narodowości i dba tylko o interes.* Czyli mamy znowu konotację negatywną, która jest jednym z możliwych spojrzeń na to, czym była specyfika Łodzi, jak środowiska polskie, zwłaszcza mniej zamożne, odbierały ową specyfikę Łodzi wielkiej konkurencji. Dla wielu jednak, zwłaszcza dla polskiej opinii, pojęcie lodzermensch miało przede wszystkim konotacje negatywne, ironiczne niekiedy, było ono bowiem synonimem cech ujemnych i postaw brutalnego egoizmu, który był cechą charakterystyczną zamożniejszych warstw społeczeństwa Łodzi. Socjaliści pisali w latach rewolucji



Zakłady Przemysłu Bawełnianego im. J. Marchlewskiego „Poltex”, dawniej fabryka Izraela Poznańskiego; aut. E. Dekker, 1991

z goryczą i sarkazmem o tej warstwie czy grupie: *Kto nie ma w Łodzi stu rubli, jeszcze nie jest człowiekiem; kto ma, przestał nim być*. To zdanie publicysty socjalistycznego, który w 1906 roku nie miał na myśli żadnych określeń narodowości, jako że socjaliści nie kierowali się kryterium narodowości przy dokonywaniu społecznych analiz. Przypomniałem te cytaty, by powiedzieć, że nie tylko pozytywne, ale i negatywne cechy łączono z pojęciem lodzermenscha, chyba już zamkniętym pojęciem historycznym.

Waldemar Bohdanowicz: Cieszyłem się na to spotkanie z tego względu, iż liczę, że ta dyskusja rozstrzygnie ten problem. Jeszcze do niedawna byłem przekonany, że lodzermensch to jest człowiek – Niemiec lub Żyd – który

przyjechał tutaj z Niemiec, miał pieniądze, potrafił je zarobić, powiększyć dobytek i w ten sposób zbudował sobie pozycję. Tymczasem, kiedy prowadziłem rozmowy z potomkami polskich rodzin ziemiańskich, którzy sprzedali swoje majątki, przyjechali do Łodzi i zajęli się tak zwanymi wolnymi zawodami, poinformowano mnie, że generalnie w latach międzywojennych określenie lodzermensch w środowisku inteligencji łódzkiej było określeniem pejoratywnym. Dotyczyło człowieka – Niemca, Żyda czy Polaka (Rosjanina raczej nie, ponieważ kolonia rosyjska to byli główni delegowani urzędnicy) – który robi fortunę szybko, bezwzględnie, nie oglądając się na żadne zasady i na środowisko; który miał przede wszystkim na względzie swój interes, a zrobiwszy go: opuszczał miasto tak szybko, jak mu się udawało. Skojarzyło mi się to pejoratywne określenie

z sytuacją aktualną – robienia szybkich interesów i lądowania w więzieniu, w Łodzi mamy kilka takich przykładów. Klub Kapitału Łódzkiego w pierwszej wersji składał się głównie – w moim przekonaniu – właśnie z takich lodzermenschów. Natomiast myślę, że jeżeli weźmiemy pod uwagę zakorzenienie się w Łodzi, wzrastanie z tym miastem, odkrywanie i ukochanie go (mówię o swoim doświadczeniu, bo w 1945 roku pierwszym transportem z Wilna przyjechaliśmy tu z rodzicami), to bardziej dzisiaj pasowałoby proste określenie łodzianin, tak jak krakowianin czy warszawianin.

Arnold Mostowicz: Ja się tu czuję na cenzurowanym. Słyszę opinie raczej sprzeczne z moim przekonaniem, ale chciałbym dodać, że żaden współczesny słownik nie próbuje wytłumaczyć tego terminu. W żadnym wydaniu Kopalińskiego go nie ma, nawet w słowniku poświęconym mitom i kulturze. On unika tego terminu, choć nie sądzę, by go nie znał. Chciałbym na wstępie zauważyć jeszcze jedną rzecz, że słowo lodzermensch brzmi identycznie w języku niemieckim, jak i w jidysz, czyli; że to może być zarówno wyraz niemiecki, jak i określenie żydowskie. Proszę na to zwrócić uwagę. Mnie się wydaje, że to wiąże się z problemem znacznie szerszym, ważniejszym, mianowicie z faktem, że Łódź była miastem niekochanym, bo niezrozumianym. Społeczność łódzka nie mieściła się w żadnych określonych i jasno sformułowanych terminach socjologicznych. Była to społeczność przede wszystkim migracyjna, nienarodzona w Łodzi. Ludzie, którzy porzucali swoje trudne warunki materialne. Mówię to na przykładzie mojego ojca, który był jednym z ośmiorga rodzeństwa. Jego matka, a moja babka, miała w Krośniewicach sklepik warzywny w piwnicy. Ojciec, szukając lepszych warunków bytu, przybył do Łodzi i w ciągu piętnastu lat sprowadził całą rodzinę, czyli siedmioro rodzeństwa i matkę, nie mówiąc o ich dzieciach. Ta społeczność, związana z imigracją do Łodzi, była niezrozumiana przez społeczność w Polsce. Jej zachowanie, jej etos był zupełnie nie do pojęcia, zarówno jeśli chodzi o społeczność żydowską, niemiecką czy polską. Ta konotacja pejoratywna wiąże się z faktem, że początek najbardziej drapieżnego kapitalizmu w Polsce obserwujemy w Łodzi i mamy zresztą jedyną powieść z tym okresem związaną. Ona na pewno musi pejoratywnie określać to, co jest związane z łodzianinem czy z terminem lodzermensch. W późniejszym okresie również negatywnie mówiono o lodzermenschach jako tych kapitalistach, którzy szukali zarobku łatwego, co było niezrozumiałe dla reszty Polski i co spowodowało, że Łódź nie miała żadnego uniwersytetu w okresie międzywojennym, poza Wszechnicą, którą dosłownie wymuszono. Zresztą nie tylko w tej dziedzinie była zapuszczona. Ta niechęć spadła na lodzermenschów. Ja zetknąłem się z lodzermenschami okresu międzywojennego i co mnie uderzyło – nie wtedy, ale teraz, kiedy się nad tym zastanawiam – to fakt, że lodzermensche byli nosicielami kultury, to oni byli tymi, którzy chodzili do teatrów, to oni spowodowali, że Łódź miała jedną z najlepszych filharmonii w Polsce, a nawet w Europie. Ja to widziałem i to pamiętam. To w Łodzi lodzermensche kupowali obrazy, i Scheibler i Grohman kupowali obrazy.

Ziemowit Skibiński: Ale które to było pokolenie lodzermenschów?

Arnold Mostowicz: Tu nie ma w ogóle mowy o pokoleniach, ponieważ ludność Łodzi rozrastała się nie pokoleniowo, lecz przez migrację. Podam takie liczby: w 1850 było w Łodzi około 300 Żydów, w 1892 było ich 90 000, w latach 1921-22 było już prawie 200 000. Czy to wynikało z tak gwałtownego rozrostu? Nie. Wynikało to głównie z migracji, to była zła i dobra imigracja, ale to ona jest podstawą rozwijających się

społeczeństw, np. społeczeństwa amerykańskiego. Taka Łódź wydała kilkunastu znakomitych malarzy na skalę światową (nie tylko Żydów). To wynikało z tego, że emigrują ci najbardziej żywotni, ci, którzy szukają poprawy swojego bytu. Łódź ze względu na swój charakter trójnarodowościowy nie miała swojego odpowiednika w Polsce i z racji, że była oparta na imigracji, była niezrozumiała. Stąd też wynika, że lodzermensch jest tak, a nie inaczej rozumiany. Nie uwzględniam tu opinii pani Hagenau, która bardzo źle zna sprawy polskie i sprawy łódzkie, widzi je w sposób całkowicie wykoślawiony.

Ziemowit Skibiński: W swoich pamiętnikach Artur Rubinstein wystawia bardzo złe świadectwo kulturze lodzermenschów końca XIX w., którzy zatrzymali się na poziomie wodewilu. Ale gdy zajrzemy do *Zbiorów polskich* Edwarda Chwalewika z 1926 roku, znajdziemy tam nazwiska przemysłowców łódzkich, którzy posiadają wspaniałe zbiory sztuki.

Krzysztof Woźniak: Problem jest bardziej skomplikowany niż to dotychczas udało się naszkicować. Odwołam się do cytatów, które pokazują rozwój pojęcia lodzermensch. Pierwsze literackie ślady to na pewno powieść Wincentego Kosiarkiewicza *Bawelna* z 1895 roku, w której po raz pierwszy pojawia się pojęcie lodzermenscha. Następnie powieść Władysława Reymonta i najpełniejszy obraz lodzermenscha, jaki w literaturze istnieje. Specjalnie podkreślam „w literaturze”, ponieważ samo pojęcie i zjawisko lodzermenscha traktuję jako mit właściwy wszelkim społecznościom, i wiejskim, i miejskim. Na każdym etapie rozwoju każde miasto odwołuje się do jakiejś tradycji, do jakiegoś wyobrażenia wspólnego, z którym część mieszkańców może się identyfikować. Inne pytanie, na ile łodzianie współcześni identyfikują się z pojęciem lodzermenscha. To oddzielny rozdział rozważań. Reymont w liście do Jana Lorentowicza w 1896 roku tak określał swoje zainteresowanie Łodzią i swoje potrzeby obserwacji w tym mieście: *Rozrost miasta, fortun, interesów z istic amerykańską szybkością, psychologia tych napływających tłumów po żer, mieszanie się ich i przenikanie, i urabianie w jeden typ tak nazywany lodzer Mensch* (tu jeszcze pisownia oddzielna – przyp. K.W.), *oddziaływanie tej ssawki, polipa, jaką jest Łódź na cały kraj*. Wydaje się, że w tym postrzeżeniu jedno jest godne podkreślenia, iż ówczesny lodzermensch to człowiek bez narodowości, bez określonych korzeni, bez wyznania, rzecz by można – kosmopolita, ale łódzki patriota, co jest silnie podkreślane. Te intencje Reymonta, jak i wcześniejsze Bartkiewicza czy Kosiarkiewicza, na pewno dobrze odczytał Andrzej Wajda, który w rozmowie poprzedzającej inaugurację jego filmu powiedział: *Chciałbym, żeby widz interesował się bardziej ich działaniami niż narodowością*. I to chyba bardzo dobrze ilustruje to, co Reymont chciał w swojej zbiorowej fotografii tego środowiska osiągnąć. Wspominałem, że traktuję postać lodzermenscha jako mit, także dlatego, że do dzisiaj funkcjonuje on w przekazie ustnym, w środowisku robotniczym i widzę wyraźne rozdzielenie samej osoby na dwie postaci. W opowieściach robotniczych będzie to zawsze człowiek, który jest przede wszystkim

pracowity, zaradny, ale też dba o maluczkich, stara się swoim paternalizmem objąć dzielnice robotnicze i szkoły, i żłobek, i aptekę itd. Natomiast mit literacki przedstawia tylko postać zdegradowaną w sensie moralnym. Dodajmy jeszcze, że we wszystkich przekazach literackich bohaterowie stają się lodzermenschami w momencie, gdy porzucają swój dotychczasowy świat wartości, odchodzą od swoich rodzinnych korzeni. Oni na gruncie łódzkim poznają innego bożka, bożka pieniądza i sukcesu, i gotowi są mu służyć tak, jak potrafią.

Jarosław Nowak: W komentarzu do tego, co pan powiedział o micie robotniczym lodzermenscha, przytoczę wydarzenie z wiosny tego roku, kiedy niemiecka telewizja CDV kręciła film na temat przeszłości i współczesności Łodzi. Na ulicy Targowej filmowcy zainteresowali się małym budynekciem, stojącym w środku osiedla robotniczego, ale odróżniającym się od reszty. W pewnym momencie wyszła z tych zabudowań pani w wieku około 96-97 lat. Trochę obawialiśmy się jej reakcji, bo tu niemiecka ekipa w polskiej, nie najlepszej dzielnicy. Natomiast ona się ucieszyła, że ktoś kręci film i powiedziała, że kiedyś ci wszyscy przemysłowcy, Scheiblerowie i Grohmanowie, dbali o nich (tzn. ludność robotniczą), zapewniając im np. darmową łaźnię. To jest komentarz do tego, jak ludzie postrzegali lodzermenschów. W historii wizerunek lodzermenscha zmieniał się tak, jak miasto się zmieniało. Jeżeli ktoś zarzuca lodzermenschom, że nie mieli kultury, to proszę pamiętać, że w Stanach Zjednoczonych analogicznie eksplozja kulturowa nastąpiła wtedy, kiedy społeczeństwo osiągnęło pewien poziom ekonomiczny, kiedy przestały być istotne sprawy konkurencji gospodarczej, a zaczęły ludzi interesować rzeczy wychodzące poza sferę działań ekonomicznych. Doskonałym przykładem takiego miasta napływowego jest Belchatów; można zobaczyć, jak ci wszyscy ludzie są mikroświatem tworzącej się ongiś Łodzi. Tam jest ludność napływowa, potężna liczba specjalistów ściąganych z Warszawy, ze Śląska, z Łodzi i tak naprawdę ten ośrodek dominuje finansowo i kulturowo nad regionem, mimo iż Piotrków jest stolicą województwa.

Jerzy Grohman: Świetnie pamiętam Łódź międzywojnia, ale wydaje mi się, że państwo skupiają się na jakiejś ocenie, opinii, która się pojawiała w literaturze czy w słownikach. Nawet powołano się tu na Rubinsteina, któremu środowisko lodzermenschów dało jako dziecku możliwość kształcenia się. Dość dobrze znałem Rubinsteina, bywałem u niego w Paryżu, on ze mną tu też się widywał. On wielu rzeczy nie napisał w pamiętnikach, a niektóre, które napisał, lepiej, żeby o nich nie wspominał. Otóż nie napisał, że mój stryj wspierał go, gdy był mały, żeby mógł się kształcić. Właśnie dlatego – jak przyjechał do Polski – gwałtownie szukał kogoś z mojej rodziny i znalazł mnie. Jeśli chodzi o literaturę – nie zapominajmy, kto pisze o łodzianach. Reymont? Czy może był z pochodzenia Niemcem czy Żydem? Nie, Polakiem. A czy Polacy lubili Niemców? Nie lubili. A może kochali Żydów? Też nie. Dlatego bądźmy ostrożni z przyjmowaniem

tych ocen. Co do samej książki Reymonta, ona oddaje pewien klimat epoki, której on w ogóle nie znał. On opisuje lata, w których chyba się urodził. Cóż to była za Łódź? Miasteczko, które było raczej wsią, z miasteczka poprzez wieki zostało zdegradowane do osady i trzeba chylić czoło przed księciem Druckim-Lubeckim i Rembielińskim. Książę postanawia uprzemysłowić kraj. Jedną z głównych gałęzi przemysłu był wówczas, poza górnictwem, przemysł włókienniczy, więc stworzył on warunki, żeby go rozwinąć. Los pada na Łódź, bo tu była woda. Przędzalnie były wówczas napędzane podobnie jak młyny. Poza tym do wykańczania materiałów trzeba przecież dużo wody, a Łódź ją miała – i Ner, i Jasień, i co tam jeszcze. W efekcie zaczynają ściągać tu fachowcy, głównie z Saksonii. Łódź miała w 1850 r. 40 000 mieszkańców, a w 1910 już 300-400 000. Czy te 40 000 ludzi tak się rozmnożyło? Nie, to był napływ. Jeżeli więc mówimy o lodzermenschach, trzeba uwzględnić fakt, że inaczej lodzermensch wyglądał w XIX wieku, a inaczej w latach międzywojennych. W efekcie następne pokolenia ludzi, którzy się tu osiedlili, już się czuli łodzianami, traciły więź narodowościową, właściwie już ich z Niemcami nic nie łączyło, ale z Polakami też niewiele. Żyli w zamkniętym świecie łódzkim, czuli się patriotami tego miasta. Następne pokolenia już znałem. Ci ludzie nie mieli żadnych więzi z Niemcami, a nawet czuli pewne urazy, które wynikały z zachowań niemieckich podczas I wojny światowej. Niemcy niszczyli wtedy przemysł łódzki. Rozkręcali maszyny, wybierali miedź, zabierali pasy transmisyjne. To pokolenie, które znałem, a mówię o pokoleniu mojego ojca, nie miało żadnych więzi narodowościowych z Niemcami. Było już dobrze wykształcone, po studiach wyższych w Anglii, Szwajcarii, w Niemczech, Rosji, Rydze, we Francji. To nie byli ludzie kultury polskiej. Kultura polska fascynowała, stąd wielu z nich się polszczyło, np. rodzina Grohmanów, ale – ogólnie biorąc – kultura to jest patriotyzm, to jest historia, w tym sensie oni nie byli patriotami polskimi, ale czuli więź z miejscem, w którym żyli. A było to miejsce dziwne. Mieliśmy emigrację niemiecką, która traciła kontakt z Niemcami. Społeczność żydowska to jest osobny problem. Żydzi zachowywali zawsze pewną więź, która niezbyt pozwalała im się asymilować. Szczególnie w małych miastach było widać, że żyją oni we własnym świecie. Środowisko polskie napłynęło do fabryk, bowiem na wsiach był straszny wyzysk i przeludnienie. Ja jeszcze pamiętam, co się na wsiach działo, zgroza. Ludzie ze wsi uważali Łódź za ziemię obiecaną i ona dla nich naprawdę taką była. Czy byli fabrykanci, którzy wyzyskiwali robotników? Byli. Czy byli tacy, którzy nie wykorzystywali? Też byli. Pomówmy teraz o patriotyzmie. Czy można było spodziewać się patriotyzmu po elemencie niemieckim? Nie. Rosyjskim? Nie. Polskim? Chyba nie. Ale można było spodziewać się czegoś innego – lojalności. Lodzermensche to nie tylko fabrykanci, to również majstrowie, urzędnicy. W latach przed I wojną w większości biur siedzieli przeważnie Niemcy, nawet w firmach żydowskich. To było charakterystyczne, że u Rosenblatta i u Kohna dyrektorami i wyższymi urzędnikami nie byli Żydzi ani Polacy, tylko Niemcy. Tu anegdota: pan Radke, od trzech pokoleń łodzianin, w 1939 r. podpisał volkslistę, w 1945 r. przeprowadził rehabilitację, ale wyrzucono

go z mieszkania. Całe życie pracował w firmie, zaczął jako goniec, doszedł do prokurenta. On mi się żali, a ja mu mówię, że nie trzeba było podpisywać volkslisty. A w niego jakby grom strzelił z jasnego nieba. Odpowiedział na to: „Ja jestem łodzianinem od pokoleń, byłem nawet obywatelem rosyjskim, kiedy Polska powstała, to co, ja miałem wyjechać do Rosji? Nie, ja zostałem i byłem obywatelem polskim. Jak przyszli Niemcy, to co ja miałem zrobić, ja zostałem, bo ja jestem łodzianinem. O co ma pan pretensje?”. Jest to coś, co musimy uwzględnić w mentalności tych ludzi, i co świadczy o tym, że nie było więzi patriotycznej w tym środowisku.

Andrzej de Lazari: Ucieszyłem się, gdy usłyszałem słowo „mit”, gdyż niewątpliwie nastał czas szukania korzeni. Nawet tu widać, że lodzermenscha chcemy uczynić naszym praojcem. Mówiono o tym łódzkim patriotyzmie przedwojennym, ja ze swej strony pragnę dodać, że jestem łodzianinem z trzeciego pokolenia, to znaczy, że kiedyś dziad mój i jego ojciec byli urzędnikami carskimi w Łodzi i Piotrkowie. Na tych polskich papierach po rewolucji udało im się wydostać z Rosji i wrócić do Polski, i zostać już łodzianami. Córki wysłali do gimnazjum niemieckiego, mimo że same były prawosławne. I ja Lazari-Pawłowska też kończyła gimnazjum niemieckie. To nasze korzenie. Łódź tych korzeni zbyt głębokich nie będzie miała, sięgać mogą gdzieś końca XIX wieku. Nastał czas poszukiwania korzeni, twórzmy więc ten mit lodzermenscha, ale sami nazywajmy się łodzianami. Pan wojewoda wspominał, że Rosjanie początkowo byli tu przede wszystkim urzędnikami, ale już po rewolucji pojawiali się jako emigranci, często wracali na stare śmieci, tam, gdzie założyli rodziny, i tu już zostawali, i tu się wżeniali. Mam nadzieję, że uda mi się dokopać do tych rosyjskich korzeni. Jak obserwuję, to w Łodzi tych porosyjskich rodzin mamy sporo.

Arnold Mostowicz: Chciałbym dokończyć wątek owego niekochanego miasta. Trzeba pamiętać, że Polska w XIX wieku nie wytworzyła stanu trzeciego i ni stąd, ni zowąd pojawił się on w Łodzi w postaci społeczeństwa łódzkiego. Ten stan trzeci łódzki trochę poraził wszystkich, którzy z zewnątrz, z punktu widzenia pewnej świadomości swego etosu szlacheckiego, obserwowali Łódź. Dlatego lodzermensch nabral konotacji pejoratywnej. To, co my określamy mianem lodzermenscha, to była burżuazja łódzka. W sytuacji, kiedy w Europie burżuazja kończyła swój rozwój, w Polsce się dopiero rozwijała, ale tworzyła wartości pozytywne w sensie kulturalnym, w sensie pewnego dążenia, które przeobraża świat. Kapitalizm przeobraził Europę. Tego w Polsce nie było.

Jerzy Grohman: Ja pamiętam środowisko rosyjskie, które po rewolucji uciekło do Łodzi. To byli ludzie, którzy przed wojną byli związani z Łodzią, ale też ich znajomi, urzędnicy, bądź prowadzący interesy. Było wielu kupców rosyjskich, którzy z Łodzią stykali się przed I wojną światową. Pan Mostowicz słusznie powiedział, że nie było mieszczaństwa w Polsce. Może było trochę w Krakowie, ale to Galicja. W Kongresówce

nie było mieszczaństwa, zaczynało się dopiero tworzyć w Warszawie. Jeżeli było, to pochodzenia żydowskiego, w małych miastach, ale dużym skupiskiem mieszczaństwa była tylko Łódź. Reymont pisze o wielu rzeczach, ten *lodzermensch* ma dwa oblicza. Można patrzeć na niego również jako na sprawnego człowieka interesu. Zwykle tych interesów nie prowadzili Polacy, tylko Żydzi albo Niemcy.

Ziemowit Skibiński: A Łubieńscy?

Jerzy Grohman: To był wyjątek, ale Łubieńscy to poślizg po epoce stanisławowskiej, kiedy powstawały manufaktury. Jeden bank, cukrownia i koniec na tym. To nie byli twórcy przemysłu, jak i całe środowisko ziemiańskie. *Lodzermensch* ma dwa oblicza: spekulanta, szachraja i rzetelnego człowieka interesu. Przemysłowcy łódzcy mieli pewne potrzeby kulturalne, o czym Reymont nie wspomina, chociaż pisze, że w teatrze się pewne rzeczy działy. Byli to przecież ludzie, którzy interesowali się muzyką. Nie wszyscy łożyli na kulturę, ale było kilka teatrów, od drogich do tanich. Zelwerowicz z Bieleckim założyli jeszcze przed I wojną teatr popularny dla robotników. Mamy szpitale – o tym Reymont nie pisze. Mamy cztery szkoły, trzy u Scheiblerów, u Grohmanów jedna. Ambulatoria i świątynie katolickie, ewangelickie, prawosławne i synagogi. Mój wuj ewangelik ufundował ziemię pod budowę katedry, stoi ona bowiem na terenie Scheiblerów, oni dołożyli się też do samej budowy. Ufundował też pałac biskupi. Wymieńmy jeszcze kościół NMP i św. Krzyża. Łódzcy przemysłowcy jednocześnie dokładali się do ewangelickich kościołów św. Jana i św. Trójcy przy placu Wolności i do cerkwi, i do synagogi. Gdy telewizja niemiecka zaprosiła mnie do udziału w filmie na temat Łodzi, najpierw się wystraszyłem, ale po pierwszej rozmowie stwierdziłem, że jest to do kupienia. Oni nie wiedzieli właściwie, co chcą kręcić, a ja im powiedziałem: „Panowie, macie wyjątkową okazję, idziemy do Wspólnoty Europejskiej, a czymże była Łódź? Byli tu z pochodzenia Niemcy, Żydzi, Rosjanie, Polacy, różne religie i wszyscy żyli w zgodzie. Konkurowali, ale nie było żadnej dyskryminacji”.

Waldemar Bohdanowicz: Czas ma to do siebie, że kojąco na nas wpływa i nie pamiętamy o dyskryminacji i o różnych ekscesach. Zacznę od anegdoty. Byłem nagabywany przez pewną rodzinę żydowską z Łodzi, żeby ich odwiedzić w czasie mojej oficjalnej wizyty w Tel Awiwie, i moi towarzysze namówili mnie, aby znaleźć czas wolny w ostatni wieczór. Na to spotkanie zjechała się rodzina z całego Izraela. Wchodzę do tego mieszkania i widzę kredens podobny do takiego, jaki mieliśmy w domu, kredens z lat pięćdziesiątych, skrzyniowaty, nastawka i dużo kryształów. Mówię do gospodyni, że to chyba jest łódzki kredens. Na co ta pani do swojego męża: „Widzisz, ja ci mówiłam, że prawdziwy łódzki wojewoda pozna prawdziwy łódzki kredens”. Pan Mostowicz powiedział, że wspólnota żydowska żyła wewnątrz siebie, nie kontaktując się.

Arnold Mostowicz: Ja muszę sprostować, bo pan mnie źle będzie komentował. Powiedziałem, że Niemcy stracili więź z państwem niemieckim, a Żydzi nigdy nie zyskali więzi z narodem polskim, poza faktem, że żyli w tym kraju, byli lojalni i niektórzy się asymilowali, ale ich łączyła nie polskość, nie historia Polski, lecz historia własnego narodu. To jest naród, który zachował swoją tożsamość, ale nie można powiedzieć, że Żydzi się nie udzielali.

Krzysztof Woźniak: Tu o korekcję będzie bardzo trudno, bo stanowisk jest wiele i są umotywowane dwoma przesłankami: własnymi doświadczeniami i okresem, jakiego nasze spojrzenie na *lodzermenscha* dotyczy. Chciałbym dodać jeszcze jedno spostrzeżenie, nie usiłując nadać temu jakieś zamkniętej i rozstrzygającej formy. Dwa lata temu z socjologiem z Kassel, doktorem Thomasem Fuksem przyjrzelśmy się środowisku tych współczesnych łodźców, którzy przyznają się do korzeni niemieckich. Naszych rozmówców pytaliśmy m.in. o to, kim jest *lodzermensch*, czy utożsamiają się z nim w jakiś sposób, jak odczytują tę postać, z czym i kim ona się kojarzy. Ku naszemu zaskoczeniu najstarsza część osób w Niemieckim Towarzystwie Społeczno-Kulturalnym nie czuła żadnych koneksji z tym literackim czy też w tradycji ustnej przechowywanym mitem *lodzermenscha*. Widać wyraźnie, że to pojęcie obce, że ono już nie funkcjonuje. Niemal wszyscy zwrócili uwagę, że jest to termin niepoprawny językowo, jego pluralizm jest nie do przyjęcia. Pokazywano mi notkę z 1995 roku z „Dziennika Łódzkiego”, w której zapowiadano kręcenie filmu *Lodzermensche na ekranie*. Odebrano to jako horror. Wyrażnie dawano do zrozumienia, że to pojęcie pojawiło się w środowisku żydowskim i jeżeli ono dziś jeszcze funkcjonuje, to właśnie w relacjach ludzi o korzeniach niemieckich jest związane z osobami pochodzenia żydowskiego. Zapewniano nas, że współcześni Niemcy łódzcy tego nie upowszechniają. Rzecz przykra, kojarzy się bowiem *lodzermensch* z nieuczciwością, oszustwem, wykorzystywaniem biedoty. Taka była konotacja tego terminu. Interesujące jest też, że Jan Błoński w swojej książce *Biedni Polacy patrzą na getto* użył określenia „typowy *lodzermensch*” w odniesieniu do osoby Mordechaja Chaima Rumkowskiego. Może to budzić różne skojarzenia. Wróć natomiast do środowiska Niemców łódzkich – w średnim pokoleniu *lodzermensch* kojarzy się z pierwowzorem literackim i to częściej poprzez film *Wajdy* niż przez powieść Reymonta. Wskazywano również, że cechą *lodzermenscha* będzie fakt urodzenia i zamieszkania w Łodzi, pomijając to, że ci, których my obejmujemy tym pojęciem, w Łodzi urodzeni nie byli. Dla najmłodszego pokolenia jest to termin obcy. Odpytałem swoich studentów historii, z czym im się kojarzy pojęcie *lodzermenscha*. Nie kojarzy się.

Jerzy Grohman: Łódź była miejscem, w którym ci ludzie bądź ich przodkowie dorabiali się, stąd ich sentyment. Trzeba pamiętać, że Łódź powstaje w momencie przemysłowej rewolucji światowej, w epoce wielkich odkryć technicznych. Biorąc pod uwagę ten zdumiewający rozwój przemysłu w Łodzi i całe to zaplecze, które było pozbawione

przemysłu, to dla tych ludzi Łódź była ziemią obiecaną. To najtrafniej Reymont uchwycił. To jest ta przyczyna – związek z miejscem, z miastem świetności rodziny. Lodzermensch to generalnie człowiek pochodzenia nie polskiego (choć i tacy byli), którego cechowały pewne zdolności inicjatyw gospodarczych, pracowitość, co wcale nie oznacza, że nie trafiali się też szachraje. Lodzermensch to człowiek związany z miastem, patriota lokalny, nie jest patriotą ani Niemiec, ani Rosji, ani nawet Polski, bo to dla niego nieistotne, jest co najwyżej lojalny. Czy budować pomnik lodzermenscha w Łodzi, czy też nie? Wydaje mi się, że byłoby niezręcznością, gdyby Łódź postawiła sobie pomnik łodzianina. Jest tyle w narodzie polskim uprzedzeń, że wątpię, aby lodzermensch spotkał się z entuzjazmem. My na to patrzymy obiektywnie, może z odcieniem sympatii, ale społeczeństwo widzi to inaczej. Boję się jednej rzeczy. Będzie krzyk, że chcemy przypominać niemieckość Łodzi.

Waldemar Bohdanowicz: Uważam, że problem byłby w tym, jak przedstawić lodzermenscha na pomniku, czy w jarmułce, czy w meloniku. A jak przedstawić sprawę zasad moralnych, bo lodzermensch miał zasady? Jednym pieniądź pomagał być wspaniałomyślnymi, kupowali instrumenty, nie grając na nich, inni dawali pieniądze na kościoły, chociaż nie byli członkami tej wspólnoty religijnej, natomiast inni nie chodzili może z partyturami na koncert, tylko ceduły giełdowe przeglądali, słuchając muzyki, gdyż to ich uspokajało. Chcieli funkcjonować jako ludzie kulturalni, fundując instytucjom instrumenty czy koncerty, sponsoring wtedy był bardzo rozwinięty. Jak w każdym społeczeństwie jedni dorabiali się na szachrajstwie, inni zaś uczciwą pracą. Odnoszę wrażenie, że to pojęcie z pozytywnego zmieniło się na negatywne.

Arnold Mostowicz: Ja ten pomysł rzuciłem w pewnej przekorze, zdając sobie sprawę z tych wszystkich odniesień negatywnych, jakie wywołuje termin lodzermensch. Jest za wcześnie na stawianie takiego pomnika. W wyniku dzisiejszej dyskusji uświadomiłem sobie, że to, co krąży w świadomości, to jest pysk burżuazji, która nie jest akceptowana przez szlachecką świadomość polską i to jest to, co zraża do lodzermenscha. Burżuazja, która powstała w Łodzi, była typowa, choć nie była jednorodna narodowościowo. Nie chcę otwierać problemu, kim była inteligencja w Łodzi w okresie międzywojennym. Wszystkie przykłady, które mógłbym zacytować, przeczą temu, co państwo mówili. To była inteligencja wyłącznie niemiecko-żydowska. Na zakończenie chciałbym dodać, że jest pewne niesłuszne spojrzenie na temat asymilacji. Zaproponowałem telewizji, żeby pokazać, jak niezwykle asymilacyjny wpływ miała kultura polska na wiele rodów niemieckich, czeskich, żydowskich XIX wieku, że wymienię ród Wawelbergów, Rostandów, Finklów, Estreicherów, Lindów. Przecież to są ci, którzy tworzyli polską kulturę. Nie zdajemy sobie sprawy z tego, jak gwałtownie asymilowało się żydostwo łódzkie.

Pierwodruk: „Tygiel Kultury” 4-5/1998



Paweł Spodenkiewicz 38 przemówień Prezesa

Kim był Przełożony Starszeństwa Żydów z getta łódzkiego: bohaterem, jak chce Icchak Rubin, postacią tragiczną, jak uważał Arnold Mostowicz, czy wyrazicielem zgubnej polityki Judenratów, jak sugerowała Hannah Arendt? Zajmując się dziś Mordechajem Chaimem Rumkowskim sięgamy po temat, który obrósł wieloma interpretacjami i opiniami.

Sądy formułowane bezpośrednio po wojnie były na ogół negatywne. W Polsce utrwała się opinia Adolfa Rudnickiego, który w eseju-opowiadaniu *Kupiec łódzki* kreślił odrażającą sylwetkę kolaboranta, sięgając po wiele szczegółów budzących emocje, często nieprawdziwych, jak owa salonka, którą Rumkowski miał pojechać do Oświęcimia. „Prezes” nigdy nie jeździł kolosą, w rzeczywistości była to zwykła dorożka, nie będąca chyba oznaką jego próżności, ale środkiem lokomocji, który pozwalał mu administrować zakładami rozproszonymi na obszarze getta o powierzchni 4,13 km². Ta kolasa czy karetka pojawia się też w tekstach Hannah Arendt i Primo Leviego, które wpłynęły na ukształtowanie się negatywnego obrazu Rumkowskiego w światowej opinii publicznej. Primo Levi uznał prezesa za przykład moralnej degradacji ofiar w świecie obozów i gett, zjawiska, które nazwał strefą szarości: *U stóp każdego władcy absolutnego ludzie tacy jak Rumkowski tłoczą się, by zagarnąć swoją część władzy*.

Oskarżenia pod adresem Mordechaja Chaima Rumkowskiego były też formułowane przez polskich publicystów reżimowych, którzy zerowali na tragedii ofiar Zagłady w czasie kampanii antysemitki w roku 1968. Tak uczynił Kazimierz Antos w artykule *Królestwo Chaima Rumkowskiego: Historia getta łódzkiego stanowi wielki akt oskarżenia przeciwko tym elementom syjonistycznym, które, powodowane tradycyjnym filogermanizmem i antykomunizmem, podjęły współpracę z hitlerowcami w barbarzyńskim dziele zagłady ludności żydowskiej w latach II wojny światowej*. Niedawno po przykład Chaima Rumkowskiego sięgnął w tygodniku „Głos” antysemitki publicysta Jerzy Robert Nowak, wypowiadając się o Judenraty w kategoriach rzekomej żydowskiej „hańby domowej”.

Reakcją na te oskarżycielskie, często stronnice i antysemitki opinie, były próby obrony Mordechaja Chaima Rumkowskiego dokonane przez Icchaka Rubina i Arnolda Mostowicza. W ich oczach był on przywódcą poczuwającym się do odpowiedzialności za współwięźniów, próbującym ich ratować przez przekształcenie getta w ośrodek produkcyjny. Zdaniem obu autorów ta polityka była bliska sukcesu, gdyż korzyść ekonomiczna

dla gospodarki niemieckiej oraz czysto osobiste korzyści skorumpowanych urzędników hitlerowskich pozwoliły na przetrwanie getta do sierpnia 1944 roku, kiedy to rachuby prezesa przekreśliło zatrzymanie się ofensywy radzieckiej na Wiśle.

Opinie na temat Mordechaja Chaima Rumkowskiego były z reguły pochodną ogólniejszej oceny żydowskiej administracji w gettach, tak zwanych Judenratów. Na ten temat toczył się wieloletni spór, który zaowocował zmianą wielu emocjonalnych sądów. W dwóch pierwszych powojennych dekadach większość osób ocalałych z Zagłady nie szczędziła pod adresem przywódców gett słów krytyki i potępienia. Miało to często podstawy psychologiczne: wielokrotnie nie na Niemcach, ale na przedstawicielach żydowskiej administracji i policji skupiała się nienawiść byłych więźniów za doznane cierpienia i śmierć najbliższych. Pamiętali ich przywileje, to u nich próbowali, często bezskutecznie, wyjednać mniej morderczą pracę, przyznanie dodatkowych racji żywnościowych lub wyłączenie najbliższych z listy osób przeznaczonych do deportacji.

Z faktu, że naziści zdążyli dokonać eksterminacji mieszkańców gett, wyciągnięto wnioski o bankructwie praktykowanej przez większość Judenratów polityki łagodzenia ostrości niemieckich zarządzeń, przekupywania Niemców i „ratunku przez pracę”. Historia zdawała się przyznawać rację bojownikom zbrojnego ruchu oporu, którzy sprzeciwiali się polityce kooperacji. Odróżniam tu, za Isaiahem Trunkiem, dobrowolną kolaborację z Niemcami od przymusowej kooperacji.

W pierwszych latach powojennych w Izraelu powszechnie potępiano rzekomą pasywność więźniów gett oraz politykę Judenratów, które obwiniano o szerzenie iluzji ocalenia i współudział w organizowaniu deportacji. Gdy byli więźniowie gett przybywali do Palestyny, pytano ich, dlaczego „dali się prowadzić jak barany na rzeź”. Nazywano ich pogardliwie „mydłem”, co było z jednej strony aluzją do powszechnego przeświadczenia o produkcji mydła z zamordowanych więźniów, a z drugiej – do miękkiej konsystencji tego produktu. Dziś termin „mydło” stracił swoje pierwotne znaczenie i używany jest w języku hebrajskim na określenie kogoś bez charakteru. Stereotypowi „pasywności” Żydów z Europy Wschodniej nie zaszkodził fakt, iż wykazali się oni dzielnością w czasie wojny o niepodległość Izraela w latach 1948-49. Przedstawiciele samorządu żydowskiego atakowano też z powodów politycznych, jak np. dr. Rezső Kasztnera¹.

Również w powojennej Polsce atakowano Judenraty z powodów politycznych, częściowo po to, by uwydatnić rolę podziemnych organizacji komunistycznych, a także dlatego, że Judenraty były opanowane przez ideologicznych i politycznych rywali komunistów.

Żydowska administracja gett była też krytykowana w dobrej wierze przez osoby wybitne. Szeroko dyskutowana była opinia Raula Hilberga, który badał biurokratyczne

¹ Dr Kasztner był w Izraelu związany z lewicową partią Mapai. Jego przeciwnik polityczny z partii religijnych syjonistów Mizrahi oskarżył go publicznie o kolaborację z Niemcami. W czasie procesu o zniesławienie sędziego stwierdził wprawdzie, że poszczególne oskarżenia nie są prawdziwe, powiedział jednak, że Kasztner „zaprzedał duszę diabłu”. Niedługo potem dr Kasztner został zastrzelony przez fanatyka. Por. Walter Laqueur, *The Kastner Case. Aftermath of the Catastrophe*, „Commentary” 1955 nr 12, s. 500-512.



i wojskowe działania Niemców. Uznał on, że prowadzony przez nich proces definiowania Żydów, wywłaszczania ich z majątku, koncentracji w gettach i zagłady został ułatwiony przez tradycyjne w żydowskiej diasporze wzory łagodzenia i wyprzedzającej uległości, a przywódcy z rad żydowskich byli wyrazicielami tej postawy. Hilberg nie oskarżał jednak Judenratów o kolaborację i nie uznawał ich współwiny, skoro były ustanowione przymusowo przez Niemców, a w razie odmowy wykonywania poleceń podlegały terrorowi i były zastępowane przez inne, bardziej uległe. Najsilniej zaatakowała Judenraty Hannah Arendt w książce *Eichmann w Jerozolimie*. Ton jej wystąpienia był bardzo emocjonalny: *Dla Żydów rola, jaką przywódcy żydowscy odegrali w unicestwieniu własnego narodu, stanowi niewątpliwie najczarniejszy rozdział całej tej ponurej historii*.

Opinie Raula Hilberga i Hannah Arendt podsyliły dyskusję, która i bez tego była bardzo ożywiona. W kwestii rzekomej pasywności Judenratów, osadzonej jakoby w tradycji żydowskiej, doniosłe znaczenie miała wypowiedź francuskiego historyka ruchu oporu Henri Michela. Zauważył on, że w większości krajów Żydzi nie

Teren byłego Litzmannstadt Ghetto (1940-1944) – siedziba ekspozytury gestapo i VI rewiru Schupo przy Alexanderhofstrasse (obecnie Limanowskiego); aut. nieznan

mieli wystarczającego wsparcia ze strony miejscowej ludności oraz aliantów, a były to warunki konieczne dla formowania się partyzantki. Kluczowe znaczenie miał argument, że jeńcy wojenni, którzy byli, w przeciwieństwie do większości więźniów gett, ludźmi młodymi, bez rodzin, wyszkolonymi bojowo i mającymi dowódców, nie zdobyli się na opór, choć wielu z nich, na przykład byli żołnierze Armii Czerwonej, podobnie jak Żydzi podlegali masowej eksterminacji. W ich przypadku nie można było powoływać się na jakiś tradycyjny fatalizm².

Historycy wykazywali, że sytuacja i zachowanie Judenratów w poszczególnych gettach różniły się. Inna sytuacja była na Wschodzie, inna w Warszawie, jeszcze inna na terenach wcielonych do Rzeszy. Getta różniły się stopniem izolacji, sposobem zarządzania, wiedzą o rozmiarach eksterminacji. W jednych członkowie Judenratów współpracowali z ruchem oporu, w innych nie, w niektórych odmawiali wykonywania rozkazów i byli mordowani, w innych kooperowali do końca.

W ocenach działalności Judenratów zaczęto też odchodzić od rozpatrywania wydarzeń z perspektywy późniejszej wiedzy o rozmiarach Zagłady, wiedzy, która nie była dostępna uczestnikom wydarzeń. Stopniowo dojrzewało zrozumienie kwestii Judenratu jako sytuacji, w której przymusowo znaleźli się przywódcy żydowscy³. Próbowali oni kontynuować tradycyjną działalność na rzecz wspólnoty w okolicznościach, które nie miały precedensu. Większość z nich zakładała, że walka zbrojna może być wyjściem jedynie dla nielicznych lub jest wręcz szkodliwa w sytuacji, gdy Żydzi nie mogą uzyskać wystarczającego poparcia ze strony nieżydowskiego otoczenia.

Formułując strategię „ratunku przez pracę”, przekupstwa czy uprzedzającego łagodzenia członkowie Judenratów zakładali, że wróg będzie działał racjonalnie w oparciu o rachunek ekonomiczny. Los chciał inaczej – choć niektórzy przywódcy niemieccy, jak Albert Speer, rzeczywiście próbowali działać w ten sposób, ostatecznie przeważały względy ideologiczne.

Członkowie Rad Żydowskich krok po kroku stawali się narzędziem Niemców. Zaczynali działać, gdy nie podjęto jeszcze masowej eksterminacji – tę rozpoczęto po ataku na Związek Radziecki w czerwcu 1941 r. Wiedza o Zagładzie docierała stopniowo i fragmentarycznie. W wielu gettach do końca nie było pewności, jak interpretować informacje o rzeziach: czy zapowiadały całkowitą destrukcję, czy były incydentami. Tragizm sytuacji polegał między innymi na tym, że im bardziej Judenraty były wiarygodne dla Żydów poprzez działania dobroczynne, tym łatwiej mogły być wykorzystane przez Niemców.

² Henri Michel, *Jewish Resistance and the European Resistance Movement* [w:] *Jewish Resistance During the Holocaust. Proceedings of the Conference on Manifestations of Jewish Resistance, Jerusalem 1971*, s. 365-375.

³ Dan Diner, *Jenseits der Vorstellbaren – der Judenrat als Situation* [w:] *Unser einziger Weg ist Arbeit*, red. H. Loewy, G. Schoenberner, Frankfurt am Main 1990, s. 32-40.

Mówca

Oceniając działalność Mordechaja Chaima Rumkowskiego, trzeba oddzielić to, co wynikało z jego osobistych cech, od tego, co było wspólne z innymi Judenratami i wynikało z sytuacji, w jakiej się znalazły. Ważnym źródłem umożliwiającym wgląd w umysłowość Mordechaja Chaima Rumkowskiego są jego przemówienia, które były stenografowane i przepisywane w kilku kopiach na maszynie, dzięki czemu się zachowały. Naliczyłem 38 takich tekstów w różnych odmianach⁴, ale było ich zapewne więcej. Choć mają one z założenia perswazyjny, a nie osobisty charakter, mówią bardzo wiele o osobie mówcy. Mordechaj Chaim Rumkowski lubił przemawiać już przed wojną. *Gdy komisja budżetowa [Gminy Wyznaniowej Żydowskiej] popierała projekt, którego on nie aprobował, zabierał głos i wygłaszał sarkastyczne monologi, przemawiając cały wieczór, dopóki większość obecnych, tracąc cierpliwość, nie przerywała spotkania*⁵. Przemawiał w jidysz, języku, w którym czuł się najlepiej⁶. Jego gettowe mowy były tłumaczone na język polski lub niemiecki. Można zauważyć poważne różnice między tekstem oryginalnym i różnymi wersjami tłumaczeń, świadczące o ich wygładzaniu⁷.

W Archiwum Państwowym w Łodzi znajduje się oprawny w kaliko tom dziesięciu przemówień w języku polskim, opatrzone rysunkami i komentarzami informującymi czytelnika o okolicznościach ich wygłoszenia. Autorem gloss był prawdopodobnie Szmul Rozensztajn, sekretarz prasowy Rumkowskiego i redaktor oficjalnej gettovej gazety „Getto-Cajtung” – na niektórych maszynopisach w języku jidysz widnieje sygnatura Sz.R. Wyjaśniał on w tonie panegirycznym, dlaczego Rumkowski przemawiał i dlaczego jego przemówienia są zapisywane.

Przy poważniejszych wydarzeniach (...) Prezes zwoływał większe zebrania, na których informował społeczeństwo o wytworzonej sytuacji i podawał do powszechnej wiadomości swoje zamierzenia. (...) Dla życia getta publiczne przemówienia Przełożonego Starszeństwa Żydów posiadają wyjątkowo doniosłe znaczenie. Okolone drutami i sztachetami getto jest całkowicie izolowane od zewnętrznego świata, szczególnie w okresach przerw w ruchu

⁴ Najstarszy pochodzi z 2 grudnia 1940, a najmłodszy z 15 maja 1944 r. Archiwum Państwowe w Łodzi, akta Przełożonego Starszeństwa Żydów, sygn. 1090, 1091, 1092; YIVO, Nachman Zonabend Collection, sygn. 920-930; fragmenty i streszczenia mów w „Getto-Cajtung” i w „Kronice Getta Łódzkiego”. Fotografie przemawiającego Chaima Rumkowskiego: APL, PSŻ sygn. 1107.

⁵ Notatnik Jakuba Szulmana [w:] *Łódź Ghetto. Inside a Community Under Siege*, red. A. Adelson, R. Lapidés, New York 1989, s. 85.

⁶ *Rumkowski mówił bardzo słabo po polsku, używał przeważnie języka żydowskiego i z tego powodu, choć był bardzo energiczny i miał ambicje polityczne, jego działalność ograniczała się do spraw Gminy Żydowskiej w Łodzi*. Szymon Rogoziński, *Moje szczęśliwe życie*, Łódź 1994, s. 116.

⁷ Oto jeden przykład: w mowie z 2 marca 1942, wygłoszonej w czasie drugiej fali deportacji, w jednym z maszynopisów tłumaczenia polskiego czytamy: *Doświadczenie czasu wykazuje, że prawem podstawowym czasów, w jakich żyjemy jest: „przed zagładą broni praca”*. Niestety, Żydzi w getcie wyśmiewali się z mojej tezy. W Biuletynie nr 11 z marca 1942 roku znika słowo „zagłada”: *Wiedziałem, że praca jest jedyną podstawą egzystencji getta. Śmiano się wtedy ze mnie*.

poctowym. (...) Nie dziw więc, że geto jest wylęgarnią najróżniejszych, często fantazyjnych wieści, plotek i domysłów (...) Prezes wkrótce po powstaniu geta zwrócił na ten objaw szczególną uwagę. Nie szczędził energii i czasu, by wygłaszać publiczne mowy.

W tekście pod tytułem *Doniosła rola mów prezesa Rumkowskiego* Rozensztajn lub jego współpracownik tak pisał o celu swojej pracy: *Brak prasy w getcie uniemożliwia kompletowanie migawek z chwili, podchwyconych przez naocznego obserwatora pod świeżym wraże-*

niem. Z biegiem czasu wrażenia te zacierają się w pamięci. Naszkicowana na tych słowach sylwetka Rumkowskiego jako mówcy jest próbą uzupełnienia tej luki dla przyszłych badaczy historii getta i jego zwierzchnika.

Przemówienia Rumkowskiego były jedną z form sprawowania władzy w getcie. Mowa wygłoszona 30 sierpnia 1941 przy ul. Lutomierskiej 11/13 zapowiadana była przez ulotki i wywołała takie zainteresowanie, że żydowska służba porządkowa musiała wprowadzić jednostronny ruch na moście nad ulicą Zgierską. Kilkakrotnie Rumkowski przemawiał przez mikrofon, z wysokiej trybuny. Szerokim kwadratem dookoła trybuny rozstawił się w zwartym szeregu szpaler strażaków, pełniący straż honorową. Po mowie wygłoszonej 7 października Rumkowski odjechał dorożką między podwójnym szpalerem strażaków wyprężonych na baczność.

Wychowawca

Przemawiając, zachowywał się jak surowy wychowawca. To widać w samej konstrukcji mów, w których na przemian sięga po negatywne i pozytywne bodźce. 3 stycznia 1942 roku gromi tych, którzy rozsiewają plotki, obiecuje, że ludziom dobrej woli nic się nie stanie, piętnuje prywatę, uspokaja, że nie będzie nowych wysiedleń, wreszcie apeluje o denuncjowanie szkodliwych osobników. Nie wystarczy mu informowanie swych podwładnych, chce ich uczyć i przekształcać. Dlatego tak wiele mówi o wyzbyciu się egoizmu, a jego hasłem jest: „Dobro ogółu, a nie ambicje i wygoda jednostek”.

Nalega na odejście od przedwojennych, „egoistycznych” przyzwyczajęń. Opowiada z szyderstwem o przybyszu z Wiednia, który zrobił awanturę w aptece, bo kasjerka nie potrafiła mu wydać reszty z 5-markowego banknotu. Mówi: *Tu w getcie radcostwa dworskie, tak zwane hofradcostwa, trzeba sobie raz na zawsze z głowy wybić. Tu trzeba wziąć się do pracy potrzebnej ogółowi, do rzemiosła i prostej fizycznej roboty. Rozumiem doskonale, że od tych perspektyw wolelibyście przyjemne popołudniowe spacerki dorożką.*

Wszelkie wzmianki odnoszące się do nawyków lub sytuacji przedwojennych pojawiają się w przemówieniach Rumkowskiego ze znakiem ujemnym. Konstruuje gettową normalność, przeciwstawiając ją tej sprzed wojny. Mówi: *Dosyć mamy w getcie własnych przedwojennych inteligentów. Ten „artykuł” w getcie nie jest aktualny* (15 listopada 1941 r.).

Historyk Isaiah Trunk porównując działalność Judenratów w poszczególnych gettach, pisał: *W żadnym innym znanym mi getcie jednostka nie była tak spętana, a jej*

*inicjatywa tak zdławiona, jak w Łodzi*⁸. Mordechaj Chaim Rumkowski wierzył, iż najlepszą drogą do racjonalnej i efektywnej gospodarki jest centralizacja i ograniczenie prywatnej inicjatywy i własności. Historyk Filip Friedman, zastanawiając się nad przyczyną autokratycznych zachowań Chaima Rumkowskiego, doszedł do wniosku, że Przełożony Starszeństwa Żydów działał zgodnie z wyznawaną przez nazistów zasadą władzy dyktatorskiej – *Führerprinzip*⁹. Niewątpliwie Niemcy sprzyjali jedynowładztwu w getcie. Pewne cechy osobowości Rumkowskiego sprawiły jednak, że w jego osobie znaleźli odpowiedniego partnera.

Szefem administracji getta łódzkiego został mężczyzna, który wcześniej przez kilkanaście lat był prezesem internatu dla sierot w Helenówku. Sierociniec jest miejscem noszącym znamiona opisywanej przez Ervinga Goffmana instytucji totalnej, to znaczy takiej, w której wszystkie sfery życia człowieka są pod kontrolą zwierzchników¹⁰. Takie są między innymi szpitale dla psychicznie chorych, klasztory, koszary wojskowe, obozy jenieckie i więzienia. Gdy Chaim Rumkowski zostawał szefem żydowskiej administracji getta, wszelkie procedury właściwe takiej instytucji były mu doskonale znane. Miał nawyki wychowawcy wzmocnione tym, że wyznawał ideologię przebudowy żydowskiego społeczeństwa. Już przed wojną chciał wdrażać Żydów do pracy produkcyjnej.

W czasie jubileuszu w roku 1927 w Helenówku, gdy odpowiadał na pochwały kierowane pod swoim adresem, mówił: *Wszystkie te zasługi, które tu zostały wymienione, są trochę na wyrost i wymagają więcej krytyki niż pochwał. Wiele dzieci, które w ciągu ostatnich dwóch lat wyszło z internatu i znalazło się w mieście, zostało kupcami i luftmenschami. To nie powinno się więcej zdarzyć. (...) Dzieci z internatu muszą być wychowane jako element produktywny, rolnicy lub rzemieślnicy.*

Czy charakterystyczne dla Rumkowskiego zamiłowanie do przyjmowania hołdów nie było przedłużeniem jego wcześniejszych przyzwyczajęń z sierocińca? Już wtedy był obdarowywany przedmiotami wykonanymi przez sieroty, które śpiewały na jego cześć i mówiły: *Naszą matką jest ziemia, naszym ojcem Chaim Rumkowski*¹¹.

Arnold Mostowicz napisał w *Żółtej gwiazdzie i czerwonym krzyżu*, że Przełożonego Starszeństwa Żydów stale porównuje się do Czerniakowa, jak miernego ucznia do prymusa. Niewątpliwie szef Judenratu w getcie warszawskim przewyższał pod względem intelektualnym swojego łódzkiego odpowiednika i lepiej orientował się w sytuacji. W przemówieniach Rumkowskiego próżno też szukać tak częstej u Adama Czerniakowa autoironii i dystansu do samego siebie.

Choć Przełożony Starszeństwa Żydów miał wiele talentów, co przyznawali nawet jego przeciwnicy – wykazywał wielkie zdolności organizacyjne, energię, zdecydowanie

⁸ Isaiah Trunk, *Judenrat. The Jewish Councils in Eastern Europe under Nazi Occupation*, Lincoln 1996, s. 545.

⁹ Philip Friedman, *Roads to Extinction: Essays on the Holocaust*, Philadelphia 1980, s. 542.

¹⁰ Erving Goffman, *Asylums. Essays on the Social Behaviour of Mental Patients and Other Inmates*, Chicago 1961, s. 8-55.

¹¹ „Łodzer Togeblat” 21 marca 1927, str. 2.

i pracowitość – był stosunkowo prostym człowiekiem. W rodzinnym miasteczku w guberni witebskiej chodził jedynie do chederu i krótko uczył się nauk świeckich u prywatnego nauczyciela. Do Łodzi przyjechał w wieku 15 lat i od razu zaczął pracować¹². Do końca życia miał kompleks z powodu braku wykształcenia. Przemawiając w roku 1941 do Żydów zachodnioeuropejskich, powiedział: *Zorganizowanie getta (...) to nie była łatwa sprawa. Na żadnym uniwersytecie świata nauk z tego zakresu zasięgnąć nie można.*

Mowy Mordechaja Chaima Rumkowskiego bywały bardzo długie, a mimo to nie sposób natknąć się w nich na jakiegokolwiek treści historyczne czy kulturowe. W polu metaforycznym przeważają odniesienia militarne, na przykład: *Jestem w gecie żołnierzem na warcie i na posterunku moim nigdy nie zasypiam* (7 października 1941).

Organizator

W większości przemówień Rumkowski przedstawia „program działania”, „środki organizacyjne” niezbędne do realizacji tego programu oraz „przeszkody, które należy pokonać”. Przełożony Starszeństwa Żydów nie był jedynym przedstawicielem Judenratów, który prowadził politykę ocalenia przez pracę, ale pierwszym, który ją zastosował, i tym, który najsilniej i najdłużej wierzył w jej zbawczą moc. Był typem technokraty, skupionego na problemach organizacyjnych.

Na początku października 1939 roku, gdy formalnie był jedynie wiceprezesem Gminy (Przełożonym Starszeństwa Żydów został 13 października 1939 r.), ale już miał w niej decydujący głos, wystąpił do Niemców z propozycją wysyłania do pracy kontyngentu Żydów. Nie mamy żadnego przemówienia dotyczącego tych wydarzeń, ale niewątpliwie chodziło mu o to, by uniknąć brutalnych, a często krwawych łapanek. Ta droga – łagodzenia sytuacji przez wyprzedzające przejmowanie inicjatywy – to jedna z metod, którą Rumkowski próbował później stosować w getcie.

Programem wykładanym *explicitie* w przemówieniach była idea rozwoju produkcji w getcie, w celu zapewnienia mu utrzymania, a w domyśle także bezpieczeństwa. Tworzeniu miejsc pracy towarzyszyły starania, by skrupulatnie przestrzegać niemieckich zarządzeń i by w getcie panował „spokój i porządek”. Rumkowskiemu zależało, by administracja niemiecka była dobrze usposobiona do więźniów getta i doceniała starania administracji żydowskiej.

Gdy powzięto decyzję o deportacjach, Rumkowski wystąpił z programem zatrudnienia jak największej liczby ludzi. 3 stycznia 1942, na trzynaste dni przed pierwszymi wysiedleniami, powiedział: *Od początku dążę do jednego zasadniczego celu. Jest nim możliwość zademonstrowania władzy, iż Geto składa się wyłącznie z ludzi pracujących, że każdy zdolny do pracy mieszkaniac Geta posiada dla siebie warsztat pracy.*

¹² M. Frankental, *Lodzer Gezelsaftlechajt*. Almanach, Łódź 1939, hasło: „Mordechaj Chaim Rumkowski”.

Nie jest jasne, kiedy Rumkowski miał już wystarczająco dużo danych, by odgadnąć, czym naprawdę są wysiedlenia. Na pierwsze pogłoski o eksterminacji zareagował gniewem. *Znowu zgraja łajdaków lansuje wersje zmierzające do zakłócenia spokoju publicznego. Być może tu na widowni ukrywają się autorzy panicznych wieści (...). W stu procentach rozpuszczane wieści są kłamliwe* – mówił 3 stycznia 1942 roku.

Arnold Mostowicz uważał, że Rumkowski domyślił się prawdy wtedy, gdy jego bliski współpracownik Henryk Neftalin pokazał mu pokrwawione ubrania swojego krewnego, wysłanego rzekomo do pracy. Ubrania i rzeczy osób zamordowanych trafiały do Łodzi często – w „Kronice Getta Łódzkiego” są na ten temat notatki z 29 i 30 kwietnia, 30 i 31 maja i 1 czerwca 1942 roku.

W mowie z 4 września 1942 r. Rumkowski mówił wprost o konieczności *poświęcenia członków, by ratować ciało*, co oznacza, iż wiedział, jaki los czekał osoby deportowane. Po wysiedleniach roku 1942 przedstawiciele żydowskiej administracji getta i policjanci zdawali sobie na ogół sprawę z prawdziwego znaczenia deportacji¹³.

Z drugiej strony istnieje świadectwo, że i Rumkowski nie dopuszczał do siebie myśli o najgorszym. Były kierownik wydziału pracy Bernard Fleming (Fuchs), brat jego najbliższej współpracownicy Dory Fuchs, wspominał: *Najgorsze plotki, jakie słyszałem, dotyczyły gazowania i palenia ludzi, nie tylko z naszego getta, ale także z innych gett w Polsce. Podejrzałem, że Rumkowski słyszał te same plotki. Nie widziałem powodu, by omawiać je z nim, gdyż wiedziałem, że nie uzna ich za prawdziwe*¹⁴. Prawdopodobnie, tak jak inni więźniowie getta, wahał się między nadzieją a zwątpieniem.

Okres od 2 do 12 września 1942 roku to czas przerażającej Wielkiej Szpery, w trakcie której zabierano dzieci w wieku poniżej 10 lat, chorych i osoby starsze. Do Chełmna deportowano wówczas 15 681 osób. Na początku tych wydarzeń Mordechaj Chaim Rumkowski wygłosił pamiętną mowę: *Na getto spadł ogromny smutek. Żądają od nas, byśmy oddali co mamy najdroższego: dzieci i ludzi starszych. Ja nie miałem tego szczęścia, aby mieć własne dzieci, dlatego poświęcałem najlepsze lata mego życia dzieciom cudzym. Nigdy nie przypuszczałem, że to moje ręce będą składały taką ofiarę na ołtarzu. Przypadło mi w losie, że muszę dziś wyciągnąć do was ramiona i błagać: bracia i siostry, ojcowie i matki – wydajcie mi moje dzieci*¹⁵.

W apelu o oddanie dzieci Mordechaj Chaim Rumkowski mówi wprost o konieczności poświęcenia tych, którzy nie pracują, dla dobra osób pracujących, oraz przeprowadzenia deportacji własnymi siłami, by uniknąć dodatkowych ofiar. W tym wystąpieniu Rumkowski doprowadza swą strategię przetrwania do ostatecznych konsekwencji.

Wiele mówi o sobie. Próbuje *przekonać*, że cierpi tak samo jak rodzice dzieci, które mają być wydane Niemcom. Nie występuje jako ktoś, kto tylko przekazuje swoim pod

¹³ Zeznanie L. Hirszman AŻIH, sygn. 301.

¹⁴ Wywiad z Bernardem Flemingiem, będący uzupełnieniem do filmu Alana Adelsona *Lodz Ghetto* z roku 1989

¹⁵ Cyt za: Rafael F. Scharf, Rola Ch. Rumkowskiego w łódzkim getcie [w:] *Dzieje Żydów w Łodzi 1820-1944. Wybrane problemy*, red. W. Puś, S. Liszewski, Łódź 1991, s. 308.

władnym rozkazy Niemców, lecz sprawia wrażenie osoby zaangażowanej w przeprowadzenie tej akcji. Mówi: *Ja muszę przeprowadzić tę krwawą operację. Ja muszę poświęcić członki, by ratować ciało. Ja muszę odebrać wam dzieci, bo inaczej inni zginą wraz z nimi.*

Rodzice nie chcieli dobrowolnie wydać swoich najbliższych. Niektórzy krzykali: „Wszyscy pójdziemy!”, większość już w czasie tej przemowy rozbiegła się, by chować dzieci. W czasie Szpery policjanci niemieccy, którzy i tak, wbrew staraniom Rumkowskiego, weszli do getta, zastrzelili na miejscu 600 osób, głównie rodziców.

Po zakończeniu Szpery Mordechaj Chaim Rumkowski formułuje program roztoczenia opieki nad dziećmi, które uniknęły deportacji. Apeluje o przygarnianie dzieci osób wywiezionych, tworzy policję żeńską, która ma ukrywać dzieci przed czujnym wzrokiem Niemców¹⁶.

Dlaczego Mordechaj Chaim Rumkowski tak usilnie przekonywał rodziców, by oddali swoje dzieci w czasie Wielkiej Szpery? Czy tylko dlatego, że chciał uniknąć dodatkowych ofiar podczas przymusowych wysiedleń, jak twierdził? Wiele osób, m.in. były więźniarki getta a potem jego historyk Izrael Tabaksblat, uważało, że motywem jego działania, oprócz polityki kooperacji, była chęć utrzymania władzy: *Rumkowski miał władzę dzięki temu tylko, że wykonywał sumiennie wszelkie rozkazy. Gdy[by] dopuścił do tego Niemców, na pewno pozostałby w cieniu. A do tego nie chciał i nie mógł doprowadzić, gdyż władza była dla niego ważniejsza niż los wszystkich Żydów. Z tych właśnie względów nie uronił ani jednej tony, gdy w 41 i 42 roku wysłał 60 tysięcy Żydów na rzeź*¹⁷. Ekspozycja własnej osoby przez Rumkowskiego w przemówieniu z 4 września 1942 roku może potwierdzać inną tezę Izraela Tabaksblata – że Przełożony Starszeństwa Żydów wcielił się w rolę „wybawcy”: *Marzył on, że wzorem Mojżesza wyprowadzi on Żydów z getta do miasta, chociażby w zmniejszonej liczbie.*

Pogromca szmugłu

Polityka „spokoju i porządku w getcie” została doprowadzona przez Rumkowskiego do skrajnych konsekwencji. W przeciwieństwie do Warszawy, gdzie Adam Czerniaków przemykał ocy na szmugiel, Służba Porządkowa łódzkiego getta energicznie walczyła z polskimi i żydowskimi szmuglerami¹⁸, co znacznie utrudniało, i tak trudne w porównaniu z innymi gettami, przemycanie żywności i lekarstw oraz zwiększało liczbę ofiar wśród żydowskich i polskich szmuglerów. *Gdy 1 maja całkowicie już odrutowane getto zostało zamknięte, Rumkowski przy pomocy swej policji rozpoczął szeroko zakrojoną walkę*

¹⁶ Mowa z 7 listopada 1942 r.

¹⁷ AŻIH, sygn. 634/II

¹⁸ Kronika Getta Łódzkiego, notatki z 4 marca, 18 kwietnia, 29 lipca, 1 sierpnia 1941, 1 stycznia, 10 grudnia 1942 i 15 marca 1943 r.; Józef Zelkowicz, 25 *live bens and one dead document*, notatka ze stycznia 1942 roku. [w:] *Łódź Ghetto. Inside a Community under Siege*, New York 1989, s. 62-67

ze szmugłem – zeznawał po wojnie dr Leon Szykier, były szef gettowej służby zdrowia¹⁹. Z przemówień wynika, że wprawdzie Rumkowski prowadził walkę ze szmugłem pod naciskiem Niemców, ale wynikała ona też z jego własnej polityki, podobnie jak walka z czarnym rynkiem. *Wielokrotnie już czyniono mi ostre zarzuty, że przemyt do getta nie ustaje. Fakty te były niezbite i nie mogłem się przed tymi zarzutami bronić. Gdy wysyłam dziś z Geta sforę różnych kombinatorów i oszustów, czynię to z pełnym przekonaniem, że ludzie ci na swój los sami sobie zasłużyli* – mówił 17 stycznia 1942 roku.

Jeśli prawdą było to, czym chwalił się w przemówieniu, Chaim Rumkowski miał też na sumieniu sprawę powstania obozu cygańskiego. Na początku listopada 1941 roku do łódzkiego getta przywieziono 5 tysięcy Romów z austriackiej prowincji Burgenland. W przeciwieństwie do innych gett, gdzie ludność cygańską dosiedlano do ludności żydowskiej – co między innymi pozwalało jej na ucieczki – w Łodzi utworzono wewnątrz dzielnicy zamkniętej oddzielny izolowany obóz dla Romów. Skrajnie złe warunki sanitarne i wielkie zagęszczenie przyczyniły się do szybkiego wybuchu epidemii tyfusu, który zdziesiątkował więźniów. Pozostałych przy życiu Niemcy szybko wysłali do Chełmna.

Chaim Rumkowski mówił 1 listopada 1941 roku, że to dzięki jego staraniom Romowie zostaną umieszczeni w oddzielnym obozie:

Z inwazją Cygan (sic!) do getta walczyłem wszystkimi siłami. Z tytułu „barona cygańskiego” rezygnuję z najwyższą przyjemnością. Prosiłem nawet, by zamiast Cyganów dali mi jeszcze 5 000 Żydów. Ostatecznie sprawa została kompromisowo zatwierdzona w ten sposób, że Cyganie dostali pomieszczenia w osobnym bloku mieszkalnym na końcach getta i dookoła ich osiedla rozciągnięte zostało podwójne oparkowanie z drutu kolczastego. Znowu przy tej okazji muszę wskazać na to, że we wszystkich sprawach władze ze mną konferują, bowiem dobrą i terminowo wykonaną robotą moich warsztatów zdołałem zyskać dla siebie respekt. Okoliczność ta wielokrotnie ratowała getto przed katastrofą. Nawiasem utracę, że do getta lubelskiego wtłoczono Cygan bezpośrednio do żydowskich osiedli.

Być może Przełożony Starszeństwa Żydów nie uznał Romów za element „produktywny”.

Do słów Mordechaja Chaima Rumkowskiego trzeba jednak podchodzić z ostrożnością, bo nie zawsze mówił prawdę. Dowodzi tego sprawa pomocy ze strony American Joint Distribution Committee. *Niech wam się nie wydaje (na ten temat słyszałem głosy waszych ludzi), że getto korzysta z pieniędzy Jointu. Nigdy z tego źródła nie korzystałem, bowiem uważałem, że branie pieniędzy od Jointu jest wstydem* – mówił do nowoprzybyłej ludności z Europy Zachodniej 1 listopada 1941 roku.

Tymczasem z dokumentów JDC wynika, że choć nie było bezpośredniej pomocy Jointu dla łódzkich Żydów, Niemcy potracali 50 tysięcy marek (20 tys. dolarów) od każdego transportu amerykańskich pieniędzy do Polski i ten „podatek” zasiliał gospodarkę łódzkiego getta. Faktem jest, że było to wielokrotnie mniej, niż otrzymywali na przykład

¹⁹ AŻIH, sygn. 699

Żydzi warszawscy. Być może słowa Rumkowskiego były echem jego konfliktu z przedstawicielem Jointu Icchakiem Gitermanem, który w czerwcu 1940 roku odwiedził Łódź. Giterman napisał w swym raporcie, że Rumkowski jest zniechęcony w getcie i działa ręką w rękę z okupantem²⁰.

Wybawiciel

To wszystko nie umniejsza roli, jaką odegrał Mordechaj Chaim Rumkowski w staraniach o zapewnienie bezpieczeństwa i podstaw bytowych getta. Korzyści Niemców z gettowej gospodarki spowodowały, że Getto Litzmannstadt istniało do końca sierpnia 1944 roku, czyli najdłużej ze wszystkich innych gett. Mówiąc o tej zasłudze Mordechaja Chaima Rumkowskiego, trzeba jednak wprowadzić nieco uściśleń.

Największą rolę odegrał w latach 1940-41. Zaczęło się od memoriału wystosowanego do nadburmistrza Łodzi Wernera Ventzkiego 5 kwietnia 1940 roku, w którym Rumkowski zaproponował stworzenie warsztatów pracy produkujących towary potrzebne niemieckiej gospodarce i prosił o niewysyłanie Żydów do pracy poza teren getta. 30 kwietnia 1940 roku Przełożony Starszeństwa Żydów otrzymał niezbędne pełnomocnictwa do tworzenia gettowej gospodarki. Jeżeli wierzyć powojennym zeznaniom szefa Gettoverwaltung Hansa Biebowo, konsultował się on w tym czasie z Rumkowskim przed objęciem swej funkcji i Przełożony Starszeństwa Żydów miał go zachęcać do objęcia obowiązków w Łodzi²¹. Potem Mordechaj Chaim Rumkowski z niezwykłą energią organizował pod nadzorem Biebowo warsztaty produkcyjne i instytucje socjalne getta.

Był chwalony przez Niemców i brał to za dobra monetę. *Wielokrotnie fabryki [z getta] wizytowane były przez najwyższych przedstawicieli władzy. Lustranci nie wychodzili z podziwu. Nieraz mówili do mnie, iż znali dotychczas jedynie typ Żyda – kupca lub pośrednika. Nie wiedzieli jednak, że Żydzi sami produkcyjnie umieją pracować* – mówił w listopadzie 1941 roku. W tym samym jednak miesiącu Niemcy rozpoczęli budowę obozu zagłady w Chełmnie nad Nerem.

Wszelkie decyzje na temat zagłady getta zapadały daleko poza zasięgiem Rumkowskiego. Z czasem nawet jego władza w samym getcie została znacznie ograniczona. W drugiej połowie 1942 roku musiał się nią podzielić z kolejnymi szefami Oddziału Specjalnego Służby Porządkowej Dawidem Gertlerem i Markiem Kligerem oraz z szefem pionu gospodarczego Aronem Jakubowiczem, byłym podopiecznym z „Helenówka”. Autorzy *Kroniki Getta Łódzkiego*, streszczając mowę z 19 września 1942 roku, napisali: *Pan prezes napomknął o utracie dawnej autonomii gettowej, nie wchodząc w żadne szczegóły*

²⁰ Yehuda Bauer, *American Jewry and the Holocaust. The American Jewish Joint Distribution Committee 1939-1945*, s. 92-93; por. *Dokumenty i materiały do dziejów okupacji niemieckiej w Polsce. tom III Getto Łódzkie, część I*, Warszawa-Łódź-Kraków 1946, s. 118.

²¹ Jerzy Lewiński, *Proces Hansa Biebowo*, Warszawa 1999, s. 73-74.

góły ani komentarze. Od tego momentu przemówienia Rumkowskiego stały się bardziej konkretne i dotyczyły prawie wyłącznie spraw, które należy załatwić, na przykład higieny czy dystrybucji żywności. *Rumkowski bardzo skapcaniał, zestarzał się, chodzi o lasce, dusi go astma. (...) do niedawna dziarsko trzymający się prezes jest dziś jak gdyby własnym cieniem* – pisał Jakub Poznański w *Pamiętniku z getta łódzkiego*.

Więźniowie mieli skłonność do przeceniania roli Chaima Rumkowskiego, gdyż dla nich był panem życia i śmierci jako dysponent żywności i stanowisk umożliwiających mniej morderczą pracę. W tym samym jednak czasie całkowicie podlegał szefowi Zarządu Getta Hansowi Biebowowi, który osobiście podejmował większość zasadniczych decyzji, nieustannie kontrolował Rumkowskiego i wielokrotnie znęcał się nad nim fizycznie.

Tę sytuację absolutnej zależności i zagrożenia odzwierciedlał w przemówieniach Prezesa fakt, że nigdy nie używał w nich słowa *Niemcy*. Zamiast tego stosował peryfrazy, eufemizmy i przemilczenia. Mówił *władza* lub *decydujące czynniki*, zadawała się sugestią: *jeżeli ja tego nie zrobię, to zrobi to ktoś inny*. Często stosował konstrukcje bezosobową: *zażądano ponownie tysięcznych rzesz do dalszej wysyłki*. Odnosząc się do skutków niemieckiego terroru, też nie wypowiadał się wprost: *W ciągu minionych tygodni nagromadziło się wiele spraw, ale nie można i nie należy mówić o wszystkim* (2 grudnia 1940 r.); *Zwracam się do rodziców, aby wreszcie zdali sobie sprawę, że wałęsanie się dzieci po ulicach jest niebezpieczne. Chyba każdy rozumie, dlaczego* (7 listopada 1942 r.).

To Hans Biebow, ów chciwy kupiec z Bremy, faktycznie decydował o tym, co się dzieje w getcie. Ale i on, choć był osobiście zainteresowany w przedłużeniu istnienia gettowej gospodarki, na której dorobił się półtora miliona marek, nie miał wpływu na jego los. Ostateczną decyzję o likwidacji getta podjęły „decydujące czynniki” znacznie wyższego szczebla.

Paweł Spodenkiewicz

Pierwodruk: „Tygiel Kultury” 1-3/2003



Krzysztof Woźniak

Zderzenie dwóch światów w Szanghaju Zachodu

Zaledwie pół roku minęło od czasu, gdy przyszli do getta... W piątek rano przybył pan prezes, ażeby przywitać gości. Rozmieszczeni byli na podłodze, spali na tobołkach, a starzy i kobiety siedzieli na krzesłkach dokoła ścian. Na apel wstali i wtedy pan prezes skierował do nich swoje krótkie, a może i najkrótsze w getcie przemówienie. Zawierało ono tylko kilka liczonych zdań, ale było tak ciepłe i tak serdeczne, że nie tylko kobiety, lecz wielu poważnych mężczyzn ocierało ze wzruszenia łzy z oczu. Było to istne braterskie przywitanie i zapewnienie, że podzieli się z nimi swym skromnym dachem i chlebem. Ten lakoniczny kronikarski zapisek został sporządzony pół roku po opisanym zdarzeniu, w pierwszej dekadzie maja 1942 r., gdy ponad połowa „gości” getta Litzmannstadt miała przed sobą ostatnią już drogę – do miejsca zagłady w Chełmnie nad Nerem.

W potocznej świadomości łódzkie getto było miejscem odosobnienia, a potem obozem pracy dla szalenie izolowanych w nim Żydów z Łodzi i okolicznych miast, wcielonych, podobnie jak włókiennicza metropolia, do Kraju Warty. Przekonanie to niemal automatycznie przywołuje obraz jednorodnej społeczności, która mimo swego socjalnego zróżnicowania, złączona była nie tylko tragicznym losem, ale także wspólnym dziedzictwem przeszłości, zakorzenieniem w tradycji właściwej Żydom polskim czy, szerzej rzecz ujmując, wschodnioeuropejskim. Taki wizerunek ogółu mieszkańców getta nie jest jednak prawdziwy. Od 17 października do 3 listopada 1941 r. deportowano do łódzkiego getta 19 722 Żydów z Austrii, Czech, Luksemburga i Niemiec. Ich przybycie oznaczało poważny wstrząs dla funkcjonowania rządzącej się swymi specyficznymi regułami zamkniętej dzielnicy, a kilkumiesięczna obecność tak licznej grupy nowych mieszkańców wywołała zupełnie nieprzewidziane konsekwencje.

Polecenie przyjęcia Żydów z Europy Zachodniej otrzymał pod koniec września 1941 r. Chaim Mordechaj Rumkowski, Przełożony Starszeństwa Żydów w łódzkim getcie, a w rzeczywistości – z woli niemieckich okupantów – jego jedynowładca. Nie miał możliwości odmowy wykonania tego rozkazu, choć pociągał on za sobą drastyczne pogorszenie warunków mieszkaniowych dla stłoczonych w getcie 150 000 ludzi oraz konieczność zmniejszenia racji żywnościowych, by uzyskaną w ten sposób nadwyżką móc podzielić się z przybyszami. Już wówczas – jak notował Oskar Singer, jeden z kronikarzy getta – *głód był rzeczywistym potentatem w tym żydowskim mieście*, a sytuacja

zaopatrzeniowa była rozpaczliwa. Heroizmu, ale i odwagi wymagała decyzja, by dzienną porcję chleba okroić każdemu z 33 do 28 dekagramów, bowiem dla deportowanych getto nie otrzymało dodatkowego przydziału żywności. Mimo to Rumkowski był przekonany o korzyściach, jakie społeczność getta zyska w dalszej perspektywie. Liczył na przesiedlenie do getta ludzi przyzwyczajonych do porządku i posłuszeństwa, nade wszystko jednak niezniszczonych ciężką pracą fizyczną i gotowych ją podjąć w gettowych fabrykach i warsztatach. Spore nadzieje wiązał też z przybyciem licznego grona osób wykształconych, którym można byłoby powierzyć pracę w administracji. Oczekiwał lekarzy i prawników. Myślał zapewne o symbolicznym wymieszaniu krwi, które zawsze jest siłą regenerującą, a izolowanemu już od ponad półtora roku gettu brakowało bodźca do organicznej odnowy. Zarówno Rumkowski, jak i jego najbliżsi współpracownicy przypuszczali, że przybysze z Zachodu szybko się zasymilują i podporządkują regułom życia w getcie.

Przez ponad dwa jesienne tygodnie na stacji Radegast kończyły swój bieg pociągi, z których wysiadali Żydzi z Frankfurtu, Berlina, Hamburga, Düsseldorfu, Kolonii, Emden, Luksemburga, Wiednia, Pragi. Przed wysiedleniem nie informowano ich dokładnie, dokąd pojedą. Słyszeli tylko z ust do ust przekazywaną wiadomość, że wyjeżdżają do jakiegoś centrum przemysłowego na Wschodzie, gdzie każdy z nich znajdzie dla siebie odpowiednie zatrudnienie. Jechali w wygodnych wagonach, otoczeni bliskimi, z nadzieją na przyszłość, ufni, że najcenniejszy dobytek, który pozwolono im zabrać ze sobą, będzie tej przyszłości solidną podwaliną. Dla wielu z nich nie była to podróż w nieznaną. Bywali na Wschodzie, w dawnej Polsce. Prowadzili różne interesy, przejeżdżali przez Polskę w drodze na letni wypoczynek w Zopott. Dla innych jeszcze Polska, a zwłaszcza jej kresy wschodnie czy Galicja, była krajem ojczystym jeśli nie rodziców, to na pewno dziadków. Mimo okropieństw wojny, mimo pamięci o „kryształowej nocy”, mimo budzących się nieraz, lecz szybko odganianych niedobrych przeczuć, jechali z nadzieją. Udzielała się ona i tym, którzy Wschodu zupełnie nie znali. Żydzi zasiedziali od pokoleń na Zachodzie gardzili wschodnimi krewiakami i lekceważyli ich, traktując jako niewykształconą, ortodoksyjną religijnie masę, której obca jest potrzeba dyscypliny, porządku, czystości. Poczucie własnej kulturalnej wyższości, widok solidnie wypchanych kufrów i walizek piętrzących się w przedziałach wagonów pozwalał z nadzieją patrzeć w przyszłość.

Pierwsze wrażenie na stacji Radegast nie było złe. Sprawna, zdyscyplinowana żydowska służba porządkowa pomagała szybko wyładować cięższe bagaże, zatroszczyła się o ich transport. Przybyszom pozostał przemarsz do miasta. Ale wygląd ulic i budynków zdawał się potwierdzać te gorsze przypuszczenia. Nierówne bruki, cuchnące rynsztoki, domy-rudery, brak jakichkolwiek pojazdów mechanicznych na ulicach i ci miejscowi Żydzi – przeraźliwie chudzi, bladzi, niemal ludzkie widma odziane w resztki ubrań, stanowili aż nadto wymowne potwierdzenie cywilizacyjnej przepaści między Wschodem a Zachodem. Tę lepszość zachodniego świata uosabiali teraz wygnańcy z Zachodu.



Teren dawnego getta
łódzkiego –
ul. Łagiewnicka;
aut. K. Sieroń,
lata 70. XX w.

Ciągnęły wtedy długie sznury przeważnie odświętnie odzianych ludzi [...]. Uderzały nas eleganckie stroje sportowe, wykwiłtne obuwie, futra i różnokolorowe narzutki u kobiet. Odnosiło się nieraz wrażenie, jak gdyby ci ludzie przybyli na jakieś wywczasy, a raczej na sport zimowy, bowiem większość miała na sobie strój narciarski. Wygląd tych ludzi niewiele świadczył o wojnie – notował kronikarz.

Żydzi z getta, obserwując przybyszów, znajdowali z kolei potwierdzenie swojej stereotypowej opinii o ziomkach z Zachodu, wyrobionej na podstawie przedwojennych, przelotnych kontaktów. Był w niej pewien respekt, lecz nie tyle przed Żydami zachodnioeuropejskimi, ile przed ich manifestującym się głównie wyższą stopą życia okcydentalizmem, który skrycie podziwiano i którego skrycie zazdrościono. Nie kłóciło się to jednak z wewnętrznym przekonaniem, że prawdziwą ostoją myśli żydowskiej, głównym rezerwuarem żydostwa, są Żydzi wschodnioeuropejscy, polscy. W opinii miejscowych, żydowskość Żyda zachodnioeuropejskiego sięgać miała tylko do kamizelki. Wykorzystano w tym określeniu fonetyczne podobieństwo niemieckich słów „der Westen” – Zachód i „die Weste”, „die Westen” – kamizelka, kamizelki. Opinia ta nie była pozbawiona podstaw. Znaczną grupę wśród przybyszów z Zachodu stanowili Żydzi mający dość powierzchowny kontakt z religią przodków. Byli też wśród nich liczni Żydzi-chrześcijanie, zarówno katolicy, jak i protestanci. Jednak to

nie czynnik religijny miał się okazać najbardziej brzemienny w skutki dla kontaktów z osiadłą już w getcie ludnością.

Na początku panowało uproszczone **wyobrażenie** o ludziach, którzy mieli być przesiedleni do getta. Oczekiwanym braci i siostry **wyobrażano** sobie jako jednorodną masę żydowską. To **wyobrażenie** nie odpowiadało obrazowi przybyszów. Od razu można było zauważyć, że jest to społeczność bardzo silnie zróżnicowana i to pod wieloma względami. Nazwy miast i numery transportów, w których przybyli, stanowiły tylko zewnętrzny, porządkujący wyróżnik. Istotniejszy okazał się cały bagaż kulturowego dziedzictwa, który nieśli ze sobą przybysze. Z miast niemieckich, obok dawno zasiedlonych, zakorzenionych rodzin, przybyło bardzo wiele osób pochodzących ze Wschodu, a mieszkających na terenie Rzeszy zaledwie od jednego pokolenia. Z Wiednia wysiedlono całą dzielnicę Leopoldstadt, zamieszkaną przez Żydów galicyjskich, dopiero częściowo zasymilowanych nad Dunajem. Największa grupa Żydów wschodnioeuropejskich przybyła jednak w transportach z Pragi. Niemal wszyscy przybysze posługiwali się językiem niemieckim. Język codzienny getta, jidysz, znany był nielicznym, język polski rozumiała zaledwie garstka Żydów czeskich. Nie dziwi przeto, że Rumkowski powitał przybyłych w ostatnim transporcie z Hamburga „kilkoma licznymi zdaniem”. Tyle mógł powiedzieć po niemiecku, bowiem sam, Litwak, języka niemieckiego nie znał. Wszystkie swoje przemówienia do mieszkańców getta wygłaszał w języku jidysz. Tylko niektóre, najważniejsze z nich, tłumaczono na niemiecki. Istniała zatem dość silna bariera językowa, potęgowana nieznajomością niemieckiego u Żydów polskich i słuszną w założeniu, lecz dramatyczną w skutkach decyzją o wydzieleniu przybyłym odrębnych miejsc zamieszkania.

Getto od chwili jego zamknięcia cierpiało na brak mieszkań. Nadzieje na poszerzenie granic dzielnicy żydowskiej rozwiały się wiosną 1941 r. Według norm gettowych, jeżeli słowo „norma” cokolwiek znaczyło, każdemu mieszkańcowi starano się zapewnić 3 metry kwadratowe powierzchni mieszkalnej. W praktyce jedną izbę zamieszkiwało 5-6 osób. W takich warunkach dokwaterowanie blisko 20 tys. przesiedleńców do przeludnionych już mieszkań było niemożliwe. Przybyszom oddano do dyspozycji budynki szkół. Dla 14 000 dzieci getta rozpoczęły się przymusowe ferie, które miały się już nigdy nie skończyć. Rumkowski dążył do tego, aby od chwili przyjazdu izolować przybyszów od „starych” mieszkańców getta. Mieli mieszkać oddzielnie, pozostawać we własnym kręgu poszczególnych „transportów” i nie kontaktować się ze sobą. Uzasadniał to obawą, że miejscowi Żydzi wykorzystają przesiedleńców, skrzywdzą ich i oszukają. Zwierzchnik getta chciał zapewnić „nowym”, którzy znaleźli się nagle w zupełnie obcym środowisku, często bezradni i naiwni, skuteczną osłonę. Można było przypuszczać, że Żydzi z Zachodu przyjadą dość dobrze wyposażeni, a miejscowi byli bardzo spragnieni najbardziej potrzebnych artykułów codziennego użytku. W getcie brakowało butów, odzieży, bielizny. Nie było brzytw, ani mydła do golenia. W ogóle nie było żadnego normalnego mydła. Można więc było sobie wyobrazić skutki konfrontacji głodnego

wszelkich dóbr Wschodu z sytym Zachodem. W tym nieuniknionym zderzeniu widziano też groźne niebezpieczeństwo nie tylko dla „nowych”, lecz także dla reputacji wschodnioeuropejskiego żydostwa. Od czasu utworzenia getta Rumkowski prowadził zaciętą walkę z, jak ich nazywał, „bałuckimi oszustami”, tępił czarny rynek i kontrabandę. Bałucki cwaniak, bałucki *ganew* nie miał skrupułów, ale w głodnym getcie nie trzeba było być bałuckim oszustem, by robić to, przed czym Rumkowski chciał przybyszów uchronić. Dlatego z góry zapadła decyzja o rozdzieleniu obu społeczności, przynajmniej na początku ich pobytu. Dalsze postępowanie miało zależeć od rozwoju sytuacji. „Transporty” przekształcono w kolektywy, wybrano mężów zaufania, starano się nadać pozory normalności warunkom, które niczego wspólnego z normalnością nie miały.

Oskar Singer, Żyd z Pragi, pozostawił przejmujący opis warunków bytowych kolektywu, którego był członkiem.

W zbiorowych kwaterach, w porównaniu z którymi międzypokłady na statkach emigrantów w najgorszym okresie były komfortowymi pałacami, „nowi” gnieździł się gorzej niż troglodyci. Ich bagaż, cały ich dobytek, ich zapasy były umieszczone w różnych magazynach getta. Dysponowali tylko tym, co mogli zabrać ze sobą z wagonu na swoją kwaterę. Przeważnie było to trochę żywności. W tej sytuacji nie było mowy o higienie osobistej, o przebraniu się, nie mówiąc już o praniu bielizny. Ci ludzie z transportów, którzy byli zdolni do pracy, całymi dniami transportowali bagaże wspólnoty. Wystarczy przypomnieć sobie obraz tamtych dni. Na wszystkich ulicach getta widać było wozy konne bez woźniców, ciągnięte lub pchane przez kulisów z Zachodu. Jedna jedyna szkoła miała prawdziwe ubikacje. Wszystkie inne kwatery ich nie posiadały. Były tam tylko całkowicie lub częściowo rozpadające się latryny na podwórkach przepelnionych brudem, błotem i śmieciami wszelkiego rodzaju. W budynku kolektywu przy ul. Franciszkańskiej 29, w którym zakwaterowano Żydów z Pragi, był przynajmniej wodociąg. W innych miejscach woda była tylko na podwórku, o ile studnia była czynna. Po mokrym i zimnym listopadzie 1941 r. nastąpiły ciężkie dni zimowe. W kolektywach ludzie nie cierpieli tak bardzo z powodu zimna. Ogrzewały ich opary stłoczonej ludzkiej masy. Lgnęli jak zwierzęta do ciepła swych ciał. W korytarzach panowało jednak nieznośne zimno. Stały tam kubły. Jednak tylko chorzy mogli z nich korzystać. Na każdy korytarz przypadł jeden kubel. W kolektywie praskim jeden kubel musiał wystarczyć dla kilku setek ludzi. Kubły te były zawsze bardzo przepelnione. Sposób odżywiania, zimno i uwiąd starczy powodowały oczywiście biegunkę. Nic więc dziwnego, że najbliższe otoczenie kubła, a także i pokoje były zanieczyszczone. Kubły kradziono. Mieszkańcy jednego korytarza zabierali je mieszkańcom drugiego. Kierownictwo kolektywu karało okradzionych odmową przydziału zastępczego kubła. Zanim bardzo wycieńczeni ludzie zdecydowali się wyjść na dwór, cierpiała często podłoga w kolektywie. Jeśli starsi ludzie zamieszkują górę podwójnej pryczy, to trzeba liczyć się z tym, że nie zawsze będzie tam panować czystość. Mieszkańcy dolnych prycz byli więc podwójnie zanieczyszczeni. Dla tysiąca osób nie było żadnej umywalni. Mówimy tutaj o tych szczęśliwych kolektywach, którym przydzielono prycze. Pióro wzdraga się przed przedstawieniem grozy, która panuje tam, gdzie ludzie miesiącami śpią, mieszkają na gołej podłodze, i to wszystko rozgrywa się w sercu Europy.

Słyszane wielokrotnie z ust przybyszów na stacji Radegast pytanie o możliwość zamieszkania w hotelu należało do zupełnie innego świata. Ile czasu – pytał Singer – potrzebują Europejczycy, aby w takich warunkach pozbyć się swoich „kulturalnych” przyzwyczajzeń? Czy kulturę tę można utrzymać, stosując drakońskie kary, takie jak pozbawienie zupy, pryczy? Jak to w ogóle możliwe, że wszy nie zjadły ludzi, którzy nie mieli możliwości wyprać, zmienić, czy przewietrzyć swej pościeli, bielizny, ubrania? Co to jest kultura? W gettowej rzeczywistości były to pytania retoryczne, bowiem wobec przesiedleńców sformułowano zarzut, że kompletnie zawiedli na płaszczyźnie kulturalnej, albo raczej bardzo szybko udowodnili, że ich kultura to tylko fasada, która błyskawicznie runęła w trudnych warunkach getta.

Mimo tego powszechnego przekonania miejscowi Żydzi okazywali przesiedleńcom współczucie. Było to nie tylko współczucie dla towarzyszy niedoli, lecz bardzo wyraźne manifestowane poczucie wspólnoty żydowskiej. A jednak miejscowi zdecydowanie różnicowali przybyszów z Zachodu. Odróżniano Żydów niemieckich od czeskich. W stosunku do Żydów z Rzeszy zachowywano się poprawnie, tym z Wiednia wyrażano współczucie, natomiast Żydów praskich przyjęto wyjątkowo życzliwie. Taka też była postawa Rumkowskiego, dobitnie zademonstrowana w dwóch przemówieniach do przesiedlonych. Podstawą tego rozróżnienia był stosunek przybyszów do pracy i reguł obowiązujących w getcie, z których naczelną była: „Naszą jedyną drogą jest praca”. Tymczasem już w kilka dni po przybyciu do getta „nowi”, głównie berlińczycy, odmówili pomocy w transportowaniu ziemniaków i warzyw. Większość tych bezcennych wówczas artykułów zmarła. Miejscowych raziła obraźliwa krytyka wszystkich zewnętrznych warunków w getcie. Formy życia w getcie mylono z normalnymi warunkami życiowymi Żydów wschodnioeuropejskich. Przesiedleni dali natychmiast wyraz swemu niezadowoleniu. Narzekali, ubliżali, obrażali, byli arogancy. Wszelkie niedostatki getta przypisywali niechęci do porządku i czystości, brakowi daru organizacji swoich wschodnich ziomeków. Potrafiono domagać się zamknięcia apteki, w której wcześniej rano nie było jeszcze drobnych pieniędzy do wydania reszty. Każdy niemiecki Żyd chciał zaraz po przyjeździe coś organizować, ulepszać. Lecz getto było już zorganizowane i to lepiej niż „nowi” mogli przypuszczać. Rumkowski szybko rozwiązał nadzieje przybyszów na ich aktywny współdziałanie w zarządzaniu gettem. Potrzebował natomiast świeżych sił do pracy, do której oni się nie kwapili. *Pan adwokat z Frankfurtu lub pan dyrektor z Berlina nie mógł dla zasady naprężyć się przed ciężkim wozem z warzywami. Nie był przeszkolony jako kulis, a w tym Szanghaju Zachodu wszystko było oparte na sile ludzkich mięśni* – z sarkazmem komentował kronikarz. Żydzi wschodnioeuropejscy, zwłaszcza prascy, czuli się w getcie pewniej. Język miasta nie był im zupełnie obcy, ludzie byli im bliżsi. Nieprzyjemny ton w codziennym obejściu, grubiaństwo strażników, portierów, nierzadko urzędników getta, nie wytrącały ich z równowagi. Podczas gdy niemieccy Żydzi byli zupełnie bezradni wobec tej obcej im atmosfery, pragnienie szybko się aklimatyzowali. Przesiedleni z Rzeszy tak bardzo zwracali uwagę na to, aby

odróżniano ich od miejscowych, że nie dali się przekonać do zmiany swoich przywiezionych gwiazd z nadrukiem JUDE na typowe miejscowe gwiazdy. Byli przekonani, że będą traktowani lepiej niż miejscowi Żydzi. Umacniał ich w tym fakt, że nie zostali objęci pierwszą falą deportacji z getta, przeprowadzonych od stycznia do maja 1942 r.

Z biegiem czasu miejscowi coraz częściej traktowali niemieckich Żydów jako element w getcie niepożądany, który nie chciał się włączyć do pracy, albo robił to niechętnie. Ten osąd przyczyniał się do pogłębiania antagonizmu. Czy zatem *obawa* Rumkowskiego, że przesiedleńcy zostaną wykorzystani, były słuszne? Tak. Nagła dostępność wielu artykułów, których getto od dawna była pozbawione i spragnione, spowodowała lawinowy wzrost cen. Ponieważ przybysze przywieźli ze sobą sporo żywności zabranej jako prowiant na drogę, gwałtownie zdrożał chleb, margaryna, sacharyna. Z trudem budowana równowaga rozdziału głodowych racji żywności nagle załamała się. Nie pomagały apele i ostrzeżenia przed sprzedawaniem rzeczy handlarzom i pokątnym pośrednikom. Przybysze omijali bank getta, nie znali wartości kursującego w getcie pieniądza. Aby cokolwiek móc kupić, musieli opróżnić własne walizki. Kwitł pokątny handel i lichwa, pozwalające miejscowym niemal za bezcen wejść w posiadanie „bogactw” przywiezionych przez przesiedleńców. Mieszkańcy getta wiedli nędzną egzystencję i ich poziom życia był bardzo prymitywny. Mieli jednak przewagę nad „nowymi”: posiadali piece kuchenne, garnki, naczynia, sprzęty domowe. Znali różne możliwości załatwienia dodatkowych środków żywności oprócz tych z przydziałów. Jednym słowem: gospodarzyli się. Dla „nowych” nabycie garnka do gotowania lub przyniesienia w nim przydziałowej zupy było problemem niemalże nierozwiązywalnym, ponieważ nie było takiego sklepu. Każdy drobiazg trzeba było kupić z prywatnej ręki i to za słoną cenę. Dopóki nie funkcjonowały połączenia pocztowe, przesiedleńcy nie mieli pieniędzy na tego typu wydatki. Aby nabyć garnek, trzeba było sprzedać jakiś przedmiot z walizki. Jak to zazwyczaj bywa, poszukiwany przedmiot był drogi, a za ten, który się sprzedawało, dostawało się o wiele niższą cenę. Rzeczy sprzedawane w sytuacji przymusowej nie osiągają nigdy stosownej ceny. Czy ludność getta, w którym mówiło się, że ludzie prawego charakteru pojawiają się rzadziej niż masło, miałyby być bardziej hojne niż reszta świata? Tak zaczęła się wyprzedaż dobytku przesiedleńców. „Nowi”, stłoczeni w kolektywach, otrzymywali porcję chleba, zupę i słabą kawę. Jeśli ktoś chciał ugotować coś dodatkowo, także z przywiezionych zapasów, musiał skorzystać z kuchni gazowej. Podstawową rzeczą był jednak garnek, symbol gettowego losu.

Nieprzyzwyczajeni do ciężkiej pracy fizycznej, dziesiątkowani epidemiami szerzącymi się w kolektywach, Żydzi zachodnioeuropejscy szybko słabli i umierali. Liczba zgonów w ich grupie stanowiła połowę ogółu zejść śmiertelnych w getcie. Planując przekształcenie Litzmannstadt Ghetto w obóz pracy, władze niemieckie zażądały stopniowego usuwania z getta „elementów nieproduktywnych”. W obliczu wysiedlenia z getta zaczęły się mnożyć samobójstwa popełniane przez wygnańców z Zachodu. W *protokołach* Służby Porządkowej coraz częstsze stały się takie same, lakoniczne zapiski:

„zmarł po zażyciu większej dawki luminalu”, „zmarli po zażyciu weronalu”, „otruliła się gardenalem”, „powiesił się”, „rzuciła się z okna”. Zwolnieni od deportacji byli kawalerowie Żelaznego Krzyża I i II klasy, odznaczeni za rany w wojnie światowej, oraz fachowcy i pracownicy etatowi wraz z rodzinami. Zachodnioeuropejscy Żydzi wykazywali znacznie mniejszą odporność i hart ducha, aniżeli Żydzi polscy. Ludność miejscowa była bardziej zahartowana i bardziej przygotowana do doświadczeń losu zarówno pod względem fizycznym, jak i psychicznym. Martyrologia miejscowych Żydów datowała się od wybuchu wojny, a przybysze zaczęli swe cierpienia, przynajmniej pod względem materialnym, od chwili zamknięcia ich w getcie. Przed ostatnią drogą wygnańcy z Zachodu zachowywali jednak *znacznie* więcej spokoju niż Żydzi miejscowi. Nie było lamentów, krzyków i biadania. Spokój ten opuszczał ich dopiero przed samym wyjazdem, na stacji Radegast, czym wywoływali siłowe reakcje strażników. *A wszak tylko pół roku [minęło], tylko sześć miesięcy, które okazały się dla nich całą wiecznością! Takiej metamorfozy u niektórych nie można było nawet we śnie wymyślić... Cienie, szkielety z obrzękami na twarzy i kończynach, obdarci i wynędzniali, wyruszą teraz w dalszą wędrówkę, na którą nie wolno im było zabrać nawet plecaka. Wszystko, co przypominało blichtr europejski, zostało z nich zdarte i został tylko Żyd wieczny tułacz.*

W dniach od 4 do 15 maja 1942 r. w obozie zagłady w Chełmnie nad Nerem zagazowano 10 493 Żydów zachodnioeuropejskich z łódzkiego getta. Dalszych 3418 osób zmarło wcześniej wskutek głodu i chorób.

Krzysztof Woźniak

Pierwodruk: „Tygiel Kultury” 4-6/2004



Leszek Próchniak

Mieszkańcy Łodzi wobec wprowadzenia stanu wojennego

*Widokiem czołgów na ulicach,
hukiem helikopterów, rannym
przemówieniem premiera, powitaliśmy
stan wojenny w kraju
miłującym wolność
(Lothar Herbst, Polska więzienna)*

W nocy z 12 na 13 grudnia 1981 r. wprowadzono w Polsce stan wojenny. Formalnie zdecydowała o tym Rada Państwa, która zebrała się po północy w Belwederze, w rzeczywistości przyjęte przez nią postanowienia realizowane były w całej Polsce już od kilku godzin. W sprzeczności z konstytucją powołano Wojskową Radę Ocalenia Narodowego, na czele której stanął generał Wojciech Jaruzelski – premier, minister obrony narodowej i I sekretarz Komitetu Centralnego PZPR. Głównym ośrodkiem dyspozycyjnym nie stała się jednak WRON, lecz nieformalna grupa wojskowych i wysokich funkcjonariuszy partyjnych zwana „dyrektoriatem”. W jej skład, obok Jaruzelskiego, wchodził: gen. Czesław Kiszczak (minister spraw wewnętrznych), gen. Florian Siwicki (wiceminister obrony narodowej), gen. MO Mirosław Milewski (sekretarz KC PZPR), Mieczysław Rakowski (wicepremier), Stefan Olszowski (sekretarz KC PZPR) i Kazimierz Barcikowski (sekretarz KC PZPR).

Wydany przez Radę Państwa dekret o stanie wojennym oraz towarzyszące mu inne akty prawne zawieszały działanie wszelkich organizacji, stowarzyszeń i związków zawodowych. Zawieszane lub ograniczone zostały również podstawowe prawa obywatelskie, m.in. nietykalności osobistej, nienaruszalności mieszkań, tajności korespondencji, wolności słowa, druku, zgromadzeń, wieców i manifestacji (z wyjątkiem obrzędów religijnych). Wprowadzono zakaz opuszczania miejsca zamieszkania bez przepustki oraz godzinę milicyjną między 22.00 a 6.00. Szczególnie uciążliwe, a zarazem stwarzające poważne zagrożenie – nie sposób oszacować, ile ofiar wypadków i osób ciężko chorych zmarło na skutek niemożności szybkiego wezwania pogotowia ratunkowego – było zablokowanie łączności telefonicznej. W celu zapewnienia sobie pełniejszej kontroli

nad krajem zmilitaryzowano znaczną część instytucji i zakładów przemysłowych, do których skierowano komisarzy wojskowych. Dokonano zmian w kodeksie postępowania karnego – wprowadzono na okres trwania stanu wojennego postępowanie dorażne (w tym przypadku sąd miał obowiązek orzekania kary dodatkowej pozbawienia praw publicznych), rozszerzono zakres postępowania uproszczonego i przyśpieszonego, zwiększono także kompetencje sądów wojskowych.

Jednym z pierwszych akordów stanu wojennego były internowania. Na listach osób wytypowanych do zastosowania wobec nich owego „środka zapobiegawczego” znaleźli się przede wszystkim czołowi działacze i doradcy „Solidarności”, jak również wielu aktywnych członków związku z największych oraz uznanych za szczególnie ważne zakładów pracy w Łodzi. Internowano osoby zaangażowane w działalność opozycyjną jeszcze w okresie przedsierpniowym, a także współpracujących z opozycją przedstawicieli różnych środowisk. Nie czekając na formalne uchwalenie przez Radę Państwa dekretu o stanie wojennym, milicjanci w asyście funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa jeszcze przed północą 12 grudnia zjawili się u osób wytypowanych do internowania. Obawiając się oporu i prób ucieczki, starali się najczęściej dostać do mieszkań pod fałszywym pretekstem lub za pomocą wybiegu. Jedna z internowanych osób wspomina: „Dzwonek. Za piętnaście minut północ. Patrę przez wizjer: nieznajomy mężczyzna. „Kto tam?”. „Pocztą”. Chwila milczenia. „Telegram”. „Skąd?”. Za drzwiami konsternacja. Wydaje mi się, że mężczyzna porozumiewa się z drugą osobą. „Z Wrocławia”. Mętna historia. „To pomyłka. We Wrocławiu nie mam nikogo”. „Chce pan ten telegram czy nie?”. „Nie, dziękuję”. Na taką odpowiedź słyszę ostry głos „Milicja, otwierać!”.

W wielu innych przypadkach milicjanci uciekali się do użycia siły. Nie wszystkich – mimo intensywnych poszukiwań – udało się zatrzymać, czemu niewątpliwie sprzyjał termin akcji. Wielu niedoszłych internowanych, którzy zdecydowali się w sobotni wieczór odwiedzić przyjaciół czy znajomych, pozostało u nich na noc, unikając dzięki temu aresztowania. Niemniej do końca pierwszego tygodnia stanu wojennego internowano blisko 150 osób – mężczyzn umieszczono głównie w Łęczycy i Sieradzu, kobiety natomiast w Olszynie Grochowskiej.

Bardzo szybko okazało się, że na listach internowanych – sporządzanych przez wojewódzkie urzędy spraw wewnętrznych – znalazły się osoby, których uwięzienie uznać należy za poważny błąd polityczny władz, zmuszonych w kilku przypadkach do cofnięcia decyzji o internowaniu. Znalazł się wśród nich m.in. Marek Edelman, który wspominał: *Kiedy 13 grudnia 1981 roku generał Wojciech Jaruzelski ogłosił stan wojenny, razem z tysiącami działaczy „Solidarności” zostałem uwięziony. Nie umieszczono mnie, jak wielu intelektualistów, przywódców ruchu czy znanych osób w obozie internowanych dla VIP-ów. Trafiałem do normalnego więzienia w Łęczycy. Siedziałem w celi wraz z dwunastoma innymi osobami. (...) Po paru dniach Jan Józef Szczepański i Klemens Szaniawski wyjaśnili ministrowi spraw wewnętrznych Czesławowi Kiszczakowi, kim jestem i dlaczego nie powinno się mnie trzymać w pudle. Zdaje się, że również Willy Brandt interweniował w mojej sprawie. Wypuścili mnie.*

Nad ranem 13 grudnia milicja wtargnęła do siedziby Zarządu Regionu NSZZ „Solidarność” Ziemi Łódzkiej przy Piotrkowskiej 260. Milicjanci wlamywali się do kolejnych pomieszczeń, wynosząc z nich w skrzyniach dokumenty, prasę, wyposażenie. Po dwóch godzinach akcję zakończono. Wkrótce potem w splądrowanym budynku pojawili się powracający z posiedzenia Komisji Krajowej w Gdańsku Andrzej Słowik (przewodniczący Zarządu Regionu) i Jerzy Kropiwnicki (wiceprzewodniczący). Nie wiedzieli jeszcze wówczas, że Grzegorza Palkę (członka Prezydium Komisji Krajowej), który pozostał w Gdańsku, aresztowano kilkadziesiąt minut po ich wyjeździe.

Mimo groźby powrotu milicji Słowik i Kropiwnicki podjęli decyzję o pozostaniu w siedzibie „Solidarności” i wydaniu komunikatu o utworzeniu komitetu strajkowego i proklamowaniu strajku generalnego w regionie łódzkim. Komunikat głosił m.in.:

Dziś w nocy stała się rzecz w historii naszej Ojczyzny bezprzykładna: Rząd wypowiedział wojnę Narodowi. Uczynił to w 11 rocznicę podobnej decyzji, decyzji która rozpoczęła tragedię i zbrodnię Grudnia 1970. Decyzję podjęli przedstawiciele tej samej władzy, która pod pomnikiem Ofiar w Gdańsku ślubowała Narodowi, że już nigdy więcej... (...). Od 7.15 istnieje Międzyzakładowy Komitet Strajkowy Ziemi Łódzkiej. MKS Ziemi Łódzkiej zarządza: 1) Powołać natychmiast Zakładowe Komitety Strajkowe we wszystkich zakładach pracy. W razie aresztowań ich członków – powoływać następne. 2) Rozpocząć powszechny strajk zgodnie z instrukcjami Zarządu Regionalnego z marca 1981 roku, od godz. 9.00 14 grudnia. Domagamy się 1. Natychmiastowego uwolnienia aresztowanych. 2. Cofnięcia decyzji o proklamowaniu stanu wojennego. 3. Zwrotu zagrabionego mienia i dokumentów oraz wynagrodzenia strat. 4. Zaprzestania zbrodniczej polityki konfrontacji z Narodem.

Komunikat wydrukowano w wielotysięcznym nakładzie i rozdawano ludziom gromadzącym się coraz liczniej przed siedzibą „Solidarności”. Jednocześnie jego treść odczytana została przez głośnik przez Kropiwnickiego (zastanawiający jest nie tylko fakt pozostawienia podczas wcześniejszej rewizji sprzętu nagłaśniającego i poligraficznego, ale również pozostawienie przywódcom związku czasu na ich wykorzystanie). Ludzie klaskali i wznosili okrzyki „niech żyją”, zaintonowano hymn państwowy.

Około godz. 13.00 przed budynek podjechały ciężarówki z zomowcami uzbrojonymi w broń palną, pałki szturmowe i tarcze oraz przebranymi po cywilnemu funkcjonariuszami wyposażonymi w łomy i siekiery. Podczas gdy zomowcy przy użyciu granatów z gazem łzawiącym rozpędzali tłum, „cywile” w towarzystwie kilku milicjantów wdarli się do siedziby „Solidarności”, aresztując przebywających tam członków Zarządu Regionu, ze Słowikiem na czele. Podczas ich wyprowadzania z budynku doszło do kolejnego starcia oddziałów ZOMO z demonstrantami.

Sprzeciw wobec wprowadzenia stanu wojennego otwarcie wyrazili tego dnia nie tylko przywódcy „Solidarności”. Miejscem, w którym gromadzili się przestraszeni, dezorientowani i nie do końca zdający sobie sprawę z powagi sytuacji mieszkańcy miasta, były kościoły. Tu również dochodziło do pierwszych kontaktów osób, które zdołały



uniknąć aresztowania. Wymieniano informacje o sytuacji w mieście i uzgadniano miejsca i terminy kolejnych spotkań. Od kapłanów oczekiwano natomiast pierwszego niezależnego komentarza, dotyczącego nowej, „wojennej” rzeczywistości. Najdobitniej i zarazem najcelniej istotę stanu wojennego określił ojciec Stefan Miecznikowski w homilii wygłoszonej podczas niedzielnej mszy świętej w kościele oo. Jezuitów przy Sienkiewicza:

Jest to zamach na ustrój konstytucyjny i porządek prawny. Jest to przekreślenie umów społecznych z Gdańska, Szczecina i Jastrzębia. Jest to chęć obezładnienia narodu, który ośmielił się zażądać samorządności i był w tym żądaniu nieustępliwy – po wielu próbach oszukania go i po doprowadzeniu go do ruiny gospodarczej i do progu zniewolenia społecznego. (...) Jeszcze raz interes partykularnej grupy postawiono nad dobrem społeczeństwa; jeszcze raz, aby ocalić rządców, poświęcono naród. (...) Módlmy się w tej godzinie nawrotu czasów ponurych, polecajmy Bogu naszą ludzką nadzieję. Nikt nam nie jest zdolny odebrać naszej godności, choć tak boleśnie w nią ugodzono. Nikt nie pozbawi nas woli bycia narodem wolnym i samodzielnym.

W kościele pod wezwaniem Matki Boskiej Jasnogórskiej przy Gogola 13 grudnia miało mieć miejsce zaplanowane kilka tygodni wcześniej poświęcenie sztandaru Komisji Zakładowej „Solidarności” Zakładów Aparatury Elektrycznej „Ema-Elester”.

Strajk głodowy na ulicy Piotrkowskiej; aut. niezmany, 1981

Wprowadzenie stanu wojennego nie spowodowało odwołania uroczystości. Barbara Filipek, wiceprzewodnicząca KZ w zakładach „Ema-Elester”, wspomina:

Stawił się tłum ludzi. Twarze przerażone, kościół obstawiony ubekami. Członkowie dyrekcji przyjęli nasze zaproszenie i stawili się na uroczystości, jednak nie bardzo wiedzieli, co mają ze sobą zrobić, lokując się w większości w mało widocznych miejscach. Podobnie jak my, nie do końca zdawali sobie sprawę z ewentualnych konsekwencji obecności na mszy o takim charakterze. Starszy pan kościelny, widząc nasze przerażenie, powiedział: „Nie martwcie się, proszę państwa, nie martwcie się. Myśmy, Polacy, już tyle przeżyli. Ja pamiętam 1939 rok. Wszystko to jakoś się ułoży”.

Po mszy członkowie Komisji Zakładowej podjęli – w imieniu załogi, gdyż ZAE „Ema-Elester” nie pracowały w niedzielę – strajk w formie okupacji pomieszczeń „Solidarności” w przedsiębiorstwie. Po rozmowach z dyrekcją i komisarzem wojskowym przed godz. 22.00 protest postanowiono przerwać do dnia następnego.

Właściwa fala strajków rozpoczęła się w poniedziałek 14 grudnia. Podporządkowując się wezwaniom lokalnych władz „Solidarności”, stanęło kilkadziesiąt zakładów w Łodzi. W wielu zakładach kilkugodzinne protesty zakończyły się pod wpływem argumentacji, a raczej gróźb kierownictwa i komisarzy wojennych, w innych natomiast władze decydowały się na użycie siły. W Zakładach Przemysłu Bawełnianego im. Juliana Marchlewskiego kilkugodzinny strajk zakończył się, gdy przed bramę podjechały transportery opancerzone. Na rezygnację z protestu wpłynęło podobno również zagrożenie kobietom (stanowiącym większość załogi przedsiębiorstwa), że zostaną aresztowane ich dzieci.

Brutalną interwencją wojska i milicji zakończył się strajk w Fabryce Transformatorów i Aparatury Trakcyjnej „Elta”, gdzie pracę przerwało około 3000 pracowników. Robotnicy podejmując strajk zaspawali bramę i wzniesli barykadę, do której sforsowania ściągnięto wojsko z ciężkim sprzętem. Wobec takiego pokazu siły pracownicy powrócili na swoje stanowiska pracy.

W Przędzalni Czesankowej „Polanil” pracownicy przejęli kontrolę nad zakładem, ogłaszając strajk okupacyjny. Pod nieobecność przewodniczącego Komisji Zakładowej „Solidarności” w „Polanilu”, Marka Czekalskiego, na czele strajku stanął przebywający dotąd w ukryciu członek Zarządu Regionu i przewodniczący KZ w ZAE „Ema-Elester” Ryszard Kostrzewa. Po północy oddziały ZOMO i wojska wkroczyły do „Polanilu”, którego załoga nie stawiając oporu podporządkowała się nakazowi opuszczenia zakładu. Kostrzewę aresztowano.

W Zakładach Przemysłu Dziewiarskiego „Bistona” sygnałem do wybuchu strajku stała się próba rewizji i zapieczętowania lokalu Komisji Zakładowej „Solidarności” w przedsiębiorstwie. Członkowie związku zdecydowanie się temu sprzeciwili, podejmując strajk okupacyjny, w którym udział wzięło około 2000 osób. Próby negocjacji podejmowane przez dyrekcję i oficerów Wojska Polskiego nie przyniosły pożądanego dla

władz rezultatu, wobec czego do akcji wkroczyła wojskowa grupa operacyjna, zmuszając pracowników do rezygnacji ze strajku.

Wojskowe grupy operacyjne interweniowały tego dnia m.in. w Zakładach Przemysłu Odzieżowego „Emfor”, gdzie zdaniem pełnomocnika Komitetu Dzielnicowego PZPR Łódź-Śródmieście znajdował się punkt kontaktowy Zarządu Regionu „Solidarności”, w Zakładach Przemysłu Bawełnianego im. Armii Ludowej „Alba”, Zjednoczonych Zakładach Urządzeń Technicznych Przemysłu Lekkiego „Uniprot”, Zakładach Tekstylny-Konfekcyjnych „Teofilów” oraz Łódzkich Zakładach Radiowych „Unitra-Fonica”. We wspomnianych przedsiębiorstwach pracownicy rezygnowali z protestu tuż po przybyciu wojska. Natomiast w Fabryce Szlifierek im. J. Strzelczyka „Ponar-Jotes” strajk stłumiony został dopiero o godzinie 4.00 w wyniku brutalnej interwencji ZOMO.

W poniedziałek protest podjęli także pracownicy Miejskiego Przedsiębiorstwa Komunikacyjnego. Strajk ogłosiły zajezdnie przy Tramwajowej i w Chocianowicach – w tej drugiej interweniowały oddziały ZOMO. Krótkotrwałą akcją strajkową podjęły również zajezdnie autobusowe, a wielu kierowców zjeżdżało z tras pod pretekstem awarii sprzętu.

Nie wszystkie strajki zakończyły się już 14 grudnia. Nie stało się tak m.in. w Wytwórni Filmów Fabularnych, gdzie atmosfera strajkowa wyczuwalna była od momentu rozpoczęcia pracy. Zdając sobie z tego sprawę, dyrektor zwołał na godzinę 9.00 naradę kierowników poszczególnych komórek organizacyjnych, informując o nielegalności strajków w czasie stanu wojennego i nakazując poinformować o tym pracowników. Polecił również przejąć majątek i pomieszczenia „Solidarności” oraz zlikwidować wszystkie plansze i tablice informacyjne Związku. Wkrótce potem został poinformowany przez przedstawicieli Komisji Zakładowej o rozpoczęciu strajku, w związku z czym podjął gorączkowe działania zmierzające do przekazania milicji znajdujących się na terenie Wytwórni kilkuset sztuk broni palnej, a wojsku materiałów wybuchowych. Większość uczestników strajku zakończyła go o godzinie 16.00 i powróciła do domu. Około 200 osób postanowiło jednak kontynuować akcję protestacyjną także nocą.

Łącznie tego dnia strajki miały miejsce w około trzydziestu zakładach w Łodzi. Oprócz wyżej wymienionych znalazły się wśród nich m.in. „Ema-Elester”, „Uniontex”, „Vigoprim”, „Wiosna Ludów”, „Norbelana”, „Polmatex-Majed”, „Olimpia”, „Zeltech” oraz Centralny Ośrodek Badawczo-Rozwojowy Przemysłu Bawełnianego, Zakład Energetyczny Łódź-Miasto i Miejskie Przedsiębiorstwo Robót Wodnych i Kanalizacyjnych.

14 grudnia zastrajkował także Uniwersytet Łódzki. O godzinie 9.00 na Wydziale Prawa przy Składowej zgromadziło się ok. 150 studentów tego wydziału, do których w godzinach popołudniowych dołączyli koledzy z innych wydziałów oraz pracownicy Uniwersytetu. Podjęto decyzję o rozpoczęciu strajku okupacyjnego. Około godziny 16.00 z protestującymi spotkał się rektor UŁ Jerzy Wróblewski, jednak jego argumenty nie skłoniły studentów do przerwania strajku. Większość z nich postanowiła pozostać na noc w pawilonie Wydziału Prawa, do którego wejścia zabarykadowano.

Następnego dnia rano (15 XII, wtorek) budynek został oplakatowany, wywieszono krzyż oraz transparent „Strajk studentów”. W oknach pojawiło się szereg haseł: „Komuniści wprowadzają faszystowski terror”, „Przewrócić czerwoną bryłę”, „Precz z komunistyczną juntą”. Treść wielu z nich zachęcała mieszkańców miasta do czynnego sprzeciwu wobec władz, nawołując: „Łodzianie, nie siedźcie w domach, walcicie o swoje prawa”, „13.12 dniem triumfu czy klęski? To zależy tylko od nas”, „Wolność teraz albo nigdy”.

Okolo godziny 14.00 na rogu ulic Składowej i Narutowicza zaczęło zbierać się coraz więcej ludzi, których z otwartych okien strajkujący informowali o zbliżającej się interwencji służb porządkowych. Zapowiadały ją również ulotki kolportowane wśród gromadzącego się tłumu. Jedna z nich głosiła: „Łodzianie, nad naszą grupą protestujących studentów zawisło złowróżbne krakanie WRON. Zapraszamy Was na mecz studenci kontra WRON-y okolo godziny 14.30 (podobno)”. Przed zapowiedzianą akcją pacyfikacyjną zatrzymano na Narutowicza przejeżdżające tramwaje i autobusy, co przyczyniło się do wzrostu liczebności gromadzącego się tłumu. Na Placu Dąbrowskiego oraz ulicach Narutowicza, Uniwersyteckiej i Składowej zebrało się około dwa tysiące osób.

O godzinie 16.00 do akcji wkroczyły oddziały wojska i ZOMO, blokując przy użyciu samochodów i transporterów opancerzonych rejon skrzyżowania, a następnie przystępując do pacyfikowania zgromadzonych ludzi za pomocą pałek, armatek wodnych i gazów łzawiących. Strajkujący studenci przedostali się w tym czasie do rektoratu, połączonego z budynkiem Wydziału Prawa, a stamtąd część z nich wydostała się na zewnątrz. Nieliczni studenci ukryli się w różnych pomieszczeniach. Funkcjonariusze milicji i ZOMO wdarli się tymczasem do obydwu gmachów, przystępując do ich przeszukiwania, włamując się do zamkniętych pomieszczeń, które – niejako przy okazji – demolowano. Ofiarami tej akcji okazali się nie tylko zatrzymani – zresztą głównie poza budynkiem – studenci. W rektoracie odbywało się właśnie posiedzenie egzekutywy Komitetu Uczelnianego PZPR z udziałem prorektora, dziekana i prodziekanów Wydziału Prawa. Członkowie tego gremium również zostali pobici przez milicjantów. Jeden z uczestników strajku wspomina:

Prorektor ds. dydaktycznych przedstawiając się podoficerowi ZOMO: „Ja tu jestem rektorem”, usłyszał w odpowiedzi: „Spierd...” i dostał pałką. Podobno postąpiono z I sekretarzem KU PZPR. W tym samym budynku przy Lindleya było otwarte wejście do dziekanatu Wydziału Prawa i Administracji. Znajdowali się tam dziekani. Wszedł oficer ZOMO z podkomendnymi. Na pytanie: „Po co panowie tu przyszli?”, odrzekł: „Mamy tu zrobić porządek”. „Porządek to tu był przed przyjściem panów”. „No, wie pan, ja to się tu tak spokojnie zachowuję, bo mam zamiar od przyszłego roku studiować prawo” – odrzekł trzeźwo zomowiec. Tymczasem w Rektoracie trwało wylamywanie wszystkich zamkniętych drzwi, zrywanie zasłon, tłuczenie popielniczek, rozbijanie stołów i szaf.

Zgromadzeni przed Wydziałem Prawa i rektorem ludzie rozpierzchli się pod wpływem pierwszego natarcia sił porządkowych, uciekając w sąsiednie ulice. Przez następną półtorej godziny trwała pacyfikacja, której zasięg rozszerzył się znacznie – głównie

w rejonie ulicy Narutowicza od Parku Staszica i Tramwajowej po Park Moniuszki i ul. Kilińskiego. W efekcie zatrzymano kilkadziesiąt osób.

15 grudnia liczba strajków w Łodzi była zdecydowanie mniejsza niż w poniedziałek. Zakończyły się protesty pracowników Miejskiego Przedsiębiorstwa Robót Wodnych i Kanalizacyjnych, „Olimpii” oraz „Polmatexu”, jak również podjęte na nowo strajki w „Polanilu” i zakładach „Ema-Elester”. W Wytwórni Filmów Fabularnych grupa strajkujących okupująca budynek wywiesiła w portierni ogłoszenie wzywające pozostałych pracowników do udziału w zebraniu o godzinie 10.00 na IV hali zdjęciowej. Próbując temu zapobiec, dyrektor nakazał zamknąć halę oraz wszelkie większe pomieszczenia w Wytwórni, natomiast gromadzącym się o wskazanej godzinie pracownikom kategorycznie nakazał rozejść się. W ciągu kolejnych 30 minut strajk został zakończony.

W ZUE „Zeltech” wznowienie strajku nie doszło do skutku ze względu na docierające do zakładu wieści o nocnej pacyfikacji pobliskich ZZUTPL „Uniprot” oraz poleceniom dyrektora skierowanym do kierowników wydziałów, by sporządzali listy osób odmawiających pracy. W samym „Uniprocie” jeszcze przed rozpoczęciem pracy kierownicy wydziałów i ich zastępcy podpisali zobowiązania do bezwzględnego wykonywania poleceń dyrektora, a próba podjęcia strajku zakończyła się niepowodzeniem.

W ŁFMJ „Polmatex-Majed” połowa załogi kontynuowała podjętą poprzedniego dnia akcję protestacyjną, wobec czego dyrektor – dążąc do spacyfikowania nastrojów w zakładzie – powołał pięć komisji, których zadaniem było przeprowadzenie rozmów z pracownikami podejrzanymi o kontynuowanie działalności związkowej (około 30 osób) oraz nakłonienie ich do podpisania zobowiązań dotyczących przestrzegania dekretu o stanie wojennym. W stosunku do szczególnie aktywnych w działaniach zmierzających do kontynuowania strajku skierowano wnioski o ukaranie do kolegium ds. wykroczeń.

Jednymi z nielicznych przedsiębiorstw, które we wtorek przyłączyły się do akcji protestacyjnej przeciwko wprowadzeniu stanu wojennego, były Fabryka Dywanów „Dywilan”, Zakłady Przemysł Dzwierskiego „Lido” oraz Zakłady Przemysłu Pończosznego „Feniks”. W ostatnim z wymienionych zakładów strajk rozpoczął się o godzinie 10.00 w wydziale konfekcjonowania, a w ciągu następnych dwóch godzin stawały kolejno wydział wykończenia oraz trzy spośród sześciu kondygnacji wydziału dziania, łącznie około 800 osób. W rozmowach z dyrekcją robotnicy podawali trzy podstawowe przyczyny protestu: wprowadzenie stanu wojennego, nieobecność w pracy trzech działaczy związkowych „Solidarności”, którzy mieli zostać internowani (zorganizowano zbiórkę pieniędzy przeznaczonych na pomoc dla ich rodzin) oraz użycie siły przez milicję w tłumieniu poniedziałkowych strajków i demonstracji. Negocjacje prowadzone przez zastępcę dyrektora i I sekretarza KZ PZPR zakończyły się niepowodzeniem. W związku z tym kierownictwo zakładu poprosiło o pomoc Dzielnicowy Sztab Obrony, którego przedstawiciele pojawili się w przedsiębiorstwie

późnym popołudniem. Indywidualne rozmowy z najaktywniejszymi uczestnikami strajku okazały się skuteczne, gdyż około godziny 18.00 akcja protestacyjna została zakończona.

W ZPDZ „Lido” około godziny 12.00 strajk podjęły pracownice szwalni na drugim piętrze. Po rozmowach z dyrektorem zgodziły się opuścić zakład wraz z końcem pierwszej zmiany. Po godzinie 13.00 szwalnie na drugim i trzecim piętrze nie podjęły pracy. Kobiety głośno wyrażały swoje niezadowolenie, zadając pytanie „Przeciwko komu ta wojna?”. I same odpowiadały: „Przeciwko nam, robotnikom”. Po długotrwałych negocjacjach większość protestujących podjęła pracę po godzinie 16.30, pozostałe szwaczki zrobiły to w ciągu następnych kilkudziesięciu minut.

Od 13 grudnia punktem, który w szczególnym stopniu skupiał uwagę służb porządkowych, był rejon siedziby Zarządu Regionu NSZZ „Solidarność” i katedry. W tym miejscu codziennie dochodziło do demonstracji protestacyjnych, rozpędzanych siłą przez funkcjonariuszy MO i ZOMO. Także we wtorek w godzinach popołudniowych doszło do manifestacji. Jej uczestnicy ustawili na Piotrkowskiej barykadę z płyt chodnikowych, obrzucając jednocześnie kamieniami i butelkami sąsiadującą z budynkiem „Solidarności” siedzibę Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej. Do akcji wkroczyły oddziały milicji i ZOMO, wsparte przez transporter opancerzony i armatki wodne. Użyto również gazów łzawiących. Po trwającym ponad godzinę starciu demonstranci zostali wyparci z Piotrkowskiej. Zatrzymano 22 osoby.

16 grudnia, czwarty dzień stanu wojennego, przyniósł kolejne demonstracje w okolicach siedziby Zarządu Regionu i katedry, gdzie zebrał się kilkusetosobowy tłum, palący znicze i skandujący nazwę „Solidarność”. Około godziny 17.00 pojawiły się oddziały MO. Przed pacyfikacją demonstracji jeden z milicjantów podparł deską klamkę drzwi katedry, uniemożliwiając tym samym uczestnikom mszy świętej przyłączenie się do protestu. Brutalna interwencja milicji trwała krótko i zakończyła się aresztowaniem 34 osób.

Duża liczba osób protestujących przeciwko uwięzieniu przywódców „Solidarności” zebrała się również przed gmachem sądu na Placu Dąbrowskiego. Po 45 minutach nastąpiła blokada placu, a tłum rozpędzono. Część demonstrantów zgromadziła się ponownie pod hotelem „Centrum” przy Kilińskiego, szybko ściągając na siebie interwencję milicji.

16 grudnia „Głos Robotniczy” – jedyne czasopismo lokalne, które po wprowadzeniu stanu wojennego ukazywało się w Łodzi (oczywiście po wcześniejszej weryfikacji dziennikarzy) – skomentował wydarzenia ostatnich dni, nadając im „jedynie słuszną” interpretację:

Już w poniedziałek zaznaczyły się w niektórych zakładach pewne napięcia. Nie wszędzie członkowie zakładowych organizacji „Solidarności” zrezygnowali z działań. Czy miała to być jeszcze jedna próba wybadania, jak dalece władze państwowe zdecydowane są na przeciwdziałanie próbom anarchizowania życia społecznego i gospodarczego? Tam, gdzie

w swoich działaniach zabrnięto zbyt daleko [w tytule artykułu ujęte to zostało jeszcze zgrabniej: „tam, gdzie ludzie nie rozumieją istoty stanu wojennego” – przyp. aut.], podjęły interwencję oddziały LWP i MO – spokojnie, bez używania siły, ale stanowczo, manifestując wolę przeciwdziałania anarchii. Działania te spotkały się ze zrozumieniem, ulgą, że oto siły porządkowe państwa wkraczają, niosąc spokój, ład i porządek.

Jak wielkie „zrozumienie” wykazywali mieszkańcy Łodzi dla działań władz, najlepiej świadczy ich stosunek do członków PZPR i samej partii. Po wprowadzeniu stanu wojennego wielokrotnie wyrażano opinie, że „wszystkiemu winna jest PZPR”, a w większości relacji z poszczególnych zakładów pracy, jakie napływały do Komitetu Łódzkiego, podkreśla się izolację członków partii. Komitet Środowiskowy Biur Projektów w Łodzi informował, iż *wystąpiły przypadki ignorowania członków partii poprzez niedostrzeżenie ich jako pracowników przez osoby bezpartyjne. Zasygnalizowano nam również, że niektórzy pracownicy... żądali od członków partii wystąpienia [z niej]*. Innym razem donoszono: *Wyczuwa się izolację 8 członków partii (tyle liczy organizacja) – nazywa się ich wtykami Komitetu, współpracownicy z jednego pokoju wyprowadzili się z niego zostawiając w nim tylko grupowego, który nie brał udziału w strajku*. Sekretarz KD PZPR Łódź-Bałuty stwierdzał, iż w niektórych zakładach dzielnicy członkowie partii traktowani są jak „trędowaci”, gdyż pozostali pracownicy nie podają im ręki i nie odpowiadają na powitania. Nie brakowało także drastyczniejszych przypadków. W Centralnym Ośrodku Badawczo-Rozwojowym Przemysłu Dzierżawskiego telefonicznie grożono nawet jednemu z aktywnych działaczy partyjnych śmiercią, w związku z czym natychmiast wyłączono wszystkie telefony wewnętrzne w biurówcu, pozostawiając je tylko u kierowników zakładów.

Wielokrotnie porównywano stan wojenny do okupacji niemieckiej, zwłaszcza po pacyfikacji strajku studenckiego i demonstracji pod Zarządkiem Regionu, kiedy to w Łodzi zaczęły krążyć pogłoski o biciu przez ZOMO ciężarnych kobiet i kalek, a nawet zastrzeleniu dwóch osób. Pojawiły się wówczas opinie, że PZPR „chowa się za plecami wojska” i „rządzi jak gestapo”.

Niemal powszechnie negatywny stosunek do partii nie był oczywiście jedynie wynikiem wprowadzenia stanu wojennego. Wieloletnie rządy PZPR nie tylko mieszkańców Łodzi pozbawiły wszelkich złudzeń, dotyczących możliwości spełnienia – składanych przez kolejne ekipy władzy – obietnic poprawy warunków życia społeczeństwa. Po 13 grudnia ogólna dezaprobatą poczynań władz przybrała tylko na sile, czego wyrazem było m.in. oddawanie legitymacji partyjnych przez członków PZPR (w pierwszym tygodniu oddano 165 legitymacji, w kolejnych tygodniach podobnie). Na ulicach Łodzi pojawiło się hasło „36 lat kłamstwa”, najlepiej charakteryzujące „zrozumienie” mieszkańców miasta dla działań kierownictwa partyjnego. Wyrażanie tego typu „falszywych” opinii groziło w myśl dekretu o stanie wojennym poważnymi konsekwencjami, których z pewnością nie musiał obawiać się gen. Jaruzelski, gdy kilkanaście dni

wcześniej stwierdził na posiedzeniu Biura Politycznego: *Jest to potworna, makabryczna kompromitacja dla partii, że po 36 latach trzeba jej bronić siłą milicyjną.*

Wyrazem dezaprobaty wobec działań władz były też liczne ukazujące się od pierwszego dnia stanu wojennego ulotki i plakaty. Pełnomocnicy Komitetu Łódzkiego oraz I sekretarze komitetów zakładowych PZPR codziennie informowali o nowych „wywrotowych” napisach (w „Textilimpexie” dyrekcja poleciła nawet zdjąć z tego powodu tablice informacyjne na wszystkich piętrach). Szczególnie duża liczba ulotek pojawiała się w najbardziej ruchliwych rejonach miasta. O jednym ze sposobów ich rozpowszechniania w nieco satyryczny sposób donosił Komitet Dzielnicowy Łódź-Polesie: *Samochód szewrolet asekurowany syreną rozrzuca ulotki. Widziano go dwukrotnie. Jak zauważa, że jest obserwowany, to zwiewa.*

Mieszkańcy Łodzi wielokrotnie w pierwszych dniach stanu wojennego udowodniali, że hasła głoszone na ulotkach i plakatach są im bliskie, reagując zdecydowanie na próbę ich usunięcia przez służby komunalne. W jednym ze sprawozdań KD PZPR Łódź-Górna informował: *Na ulicy Leczniczej wymalowano napis: „Precz z PZPR”. Próba zamalowania napisu przez administrację osiedla napotkała opór przechodniów. Napis jest [nadal].* Podobne przypadki miały miejsce także w innych rejonach miasta, gdzie pracownicy służb komunalnych *spotykali się z atakami ze strony społeczeństwa, kiedy zdejmowano plakaty. Byli kopani, bici, targani.* Usuwanie plakatów odbywało się z tego powodu najczęściej nocą.

Zwiększona liczba ulotek pojawiła się w zakładach pracy i ulicach miasta 16 grudnia, nawołując do podjęcia strajku generalnego w dniu następnym, w rocznicę tragicznych wydarzeń na Wybrzeżu w 1970 roku. Kierownictwo wielu zakładów informowało Komitet Łódzki PZPR o czynionych przez załogi przygotowaniach, prosząc jednocześnie o dodatkowe siły, mające zapobiec ewentualnemu zagrożeniu. Przeprowadzono również szereg rozmów ostrzegawczych z członkami „Solidarności” w poszczególnych zakładach. Nie zaniedbano specjalnych przygotowań wojska, milicji i ZOMO.

Trudno powiedzieć, na ile wpływ na przebieg wydarzeń 17 grudnia (czwartek) miało zastosowanie przez władze owych nadzwyczajne środków, na ile natomiast zniechęcenie społeczeństwa spowodowane niepowodzeniem poprzednich strajków oraz brak wiary w sens organizowania kolejnych protestów. Faktem jednak jest, że zapowiadany strajk generalny nie został podjęty. W większości zakładów miasta manifestowano natomiast w różny sposób pamięć o Grudniu 1970 roku. W dawnej gablocie „Solidarności” w PKP Łódź-Olechów złożono kwiaty na tle drutu kolczastego, a pod obeliskiem ku czci pomordowanych w czasie II wojny światowej zapalono świece ułożone w kształcie krzyża, umieszczając obok znak Polski Walczącej. W „Próchniku” na wydziale produkcyjnym zawieszono krzyż, za którym zatknięto kwiaty. W „Maltexie” w godzinach popołudniowych wywieszono w gablocie opaskę „Solidarności” przeciętą na pół, z napisem „pamięci ofiar grudnia 1970”, zaś w Elektrociepłowni im. Lenina na dźwigach budowlanych wywieszono biało-czerwone flagi przepasane kirem. W wielu zakładach

robotnicy przychodzili do pracy odświętnie ubrani, z widocznymi symbolami żałoby (np. czarnymi wstążkami), zaś na ulicach pojawiły się osoby z wpiętymi w kłapy znaczkami „Solidarności”.

Do gwałtownych zająć doszło tradycyjnie w okolicach siedziby Zarządu Regionu. Przed wieczornym nabożeństwem w intencji ofiar Grudnia 1970, w okolicach katedry zebrał się tłum skandujący m.in. „Niech żyje Słowik”. Milicja wstrzymała ruch tramwajowy i autobusowy na Piotrkowskiej na odcinku między Czerwoną a Świerczewskiego. Na zgromadzony tłum uderzyły – oświetlając wcześniej teren akcji reflektorem – trzy kompanie oraz pluton specjalny ZOMO. Demonstrantów rozpędzono przy użyciu granatów z gazem łzawiącym oraz armatek wodnych. Jednocześnie funkcjonariusze milicji przebrani po cywilnemu blokowali boczne drzwi katedry, uniemożliwiając schronienie się w niej uczestników manifestacji. Nie zawahano się również przed wrzuceniem kilku granatów z gazem łzawiącym do wnętrza katedry. Efektem demonstracji były masowe aresztowania, które dotknęły blisko 180 osób.

Zdaniem redakcji „Głosu Robotniczego” wydarzenia te *nie miały nic wspólnego z przedsięwzięciami niektórych ludzi związanych z rocznicą Grudnia.* Były to *celowe i kierowane ekscesy, których założenie stanowiło nękanie sił porządkowych, utrzymywanie stałego napięcia w centrum Łodzi oraz zakłócanie porządku publicznego. Smutne natomiast jest to, że do tego rodzaju awanturnictwa politycznego wykorzystuje się młodzież – prawie dzieci.* Z tym ostatnim stwierdzeniem współgrał apel Wojewódzkiego Komitetu Obrony skierowany do „mieszkańców województwa miejskiego łódzkiego”: *Spokój i porządek społeczny jest gwarancją bezpieczeństwa każdego z nas. Wszelkie zgromadzenia uliczne narażają uczestników, a także biernych obserwatorów i przypadkowych przechodniów, na wielkie niebezpieczeństwo. Najbardziej narażone są dzieci i młodzież. Zwracamy się do rodziców, wychowawców i nauczycieli o zwiększenie troski rodzicielskiej, opiekuńczej i nadzoru nad naszymi dziećmi i młodzieżą. Nie wolno nam dopuszczać do awantur ulicznych, w wyniku których może powstać ludzkie cierpienie, gorycz i tży. (...) Nasze bezpieczeństwo zależy od nas wszystkich. Zadbajmy więc o ład i porządek, którego tak wszyscy pragniemy.*

Łodzianie rzeczywiście pragnęli porządku, ale z całą pewnością nie był to „porządek” zaprowadzany przez ówczesne władze. Pragnęli również rzetelnej i bezstronnej informacji o tym, co dzieje się w mieście i w całym kraju. W pierwszych dniach stanu wojennego wiadomości takich byli w zasadzie pozbawieni, gdyż prasa podziemna jeszcze nie wychodziła, a doniesieniom „Głosu Robotniczego” niewiele – skądinąd słusznie – wierzyło. Natomiast poczucie niepewności, połączone z niemożnością publicznego artykułowania swoich poglądów, przy jednoczesnym interpretowaniu przez władze (a więc i będący ich tubą propagandową „Głos...”) przebiegu ważnych dla społeczeństwa wydarzeń w sposób niezgodny z odczuciami tysięcy ludzi, sprzyjały powstawaniu różnorodnych poglądów i plotek. Większość z nich dotyczyła wydarzeń ogólnopolskich (zwłaszcza skali oraz przebiegu strajków na Wybrzeżu i na Śląsku), gdyż informacje lokalne z oczywistych przyczyn były łatwiej dostępne. Pomimo to dopóki nie rozpoczął

się proces Słowika i Kropiwnickiego (19 XII 1981 r.), po mieście krążyły plotki o ich rozstrzelaniu.

Władzom nie zależało jednak na dementowaniu tych pogłosek, lecz na możliwie najszybszym spacyfikowaniu strajków i demonstracji. Jeszcze w trakcie trwania strajków stosowano różnorodne represje wobec organizatorów i uczestników protestów. W Miejskim Przedsiębiorstwie Robót Wodnych i Kanalizacyjnych w trybie natychmiastowym zwolniono z pracy przewodniczącego Komisji Zakładowej „Solidarności” oraz dwoje jego zastępców, podobna sytuacja miała miejsce w Centralnym Ośrodku Badawczo-Rozwojowym Przemysłu Bawełnianego. Pracę straciły także dziesiątki osób z pozostałych strajkujących przedsiębiorstw. W Wytwórni Filmów Fabularnych na przymusowe urlopy wysłano 600 osób, na mniejszą skalę rozwiązanie takie zastosowano też w wielu innych zakładach. „Niewygodni” pracownicy byli często przesuwani na niższe stanowiska, mniej płatne i związane z gorszymi warunkami pracy. Niektórym (jak wspomianej Barbarze Filipek) ograniczono swobodę poruszania się po zakładach przedsiębiorstwa, przydzielając im również funkcjonariuszy SB „do towarzystwa”.

Poważniejsze konsekwencje spotkały osoby, którym oficjalnie zarzucono organizowanie i kierowanie strajkami oraz kontynuowanie działalności związkowej. I tak np. Ryszarda Kostrzewę skazano na 3 lata pozbawienia wolności, a członkom Komisji Zakładowej „Solidarności” w ZTK „Teofilów” wymierzono kary od 1 do 3,5 roku więzienia. Równie surowe wyroki zapadły w stosunku do przywódców strajków w „Bistonie”, „Wiośnie Ludów”, „Uniprocie” i MPK. Uczestnicy demonstracji ulicznych natomiast masowo stawali przed kolegami do spraw wykroczeń, które orzekały karę aresztu lub grzywny.

Pierwsze ofiary stanu wojennego – uwięzieni, internowani, pozbawieni pracy oraz ich rodziny – nie zostały pozostawione w tej trudnej sytuacji bez pomocy ze strony mieszkańców miasta. W zakładach pracy już od pierwszych dni składano podpisy pod petycjami o uwolnienie internowanych, rozpoczęły się też zbiórki pieniędzy przeznaczonych dla nich oraz ich rodzin. Ludzie spontanicznie dzielili się tym, czym mogli, ofiarując oprócz wsparcia finansowego także ubrania, żywność i inne najpotrzebniejsze rzeczy. Miejscem, do którego przynoszono wspomniane dary, były łódzkie kościoły.

Ojciec Stefan Miecznikowski już w niedzielę 13 grudnia deklarował: *Kościół był zawsze ze społeczeństwem, gdy broniło swoich podstawowych praw i gdy walczyło o ich przywrócenie. One mu się słusznie należą. Teraz ten Kościół nie opuści narodu w jego trudnych chwilach.* Potwierdzeniem tych słów było zorganizowanie Ośrodka Pomocy Internowanym, Uwięzionym i ich Rodzinom, którym kierował właśnie ojciec Miecznikowski, wspierany przez grupę osób związanych głównie ze środowiskami akademickimi – studentami, absolwentami i pracownikami uczelni. W pierwszym etapie działalności ośrodka ustalano nazwiska, adresy i inne dane dotyczące osób zatrzymanych i ich rodzin, a następnie udzielano im wszechstronnej pomocy, nie tylko finansowej, ale także – niejednokrotnie bardziej potrzebnego – wsparcia moralnego.

Nie pozostał również obojętny zwierzchnik łódzkiego Kościoła. Biskup Józef Rozwadowski wielokrotnie interweniował u komisarza wojennego miasta, pułkownika Kazimierza Garbacika oraz u prezydenta Józefa Niewiadomskiego, wysuwając szereg postulatów dotyczących poprawy sytuacji aresztowanych i internowanych. Domagał się ich zwolnienia, zwłaszcza ojców, matek i osób chorych. Żądał podania do wiadomości listy wszystkich internowanych oraz umożliwienia ich rodzinom odwiedzin w okresie świąt Bożego Narodzenia. Apelowal również o umożliwienie duszpasterzom spełniania posług religijnych we wszystkich miejscach, w których przebywali internowani. Wiele postulatów odnosiło się też do sytuacji w mieście. Mając na uwadze bezpieczeństwo mieszkańców, biskup domagał się m.in. przywrócenia łączności telefonicznej, koniecznej zwłaszcza w przypadku pożaru, wypadku czy choroby. Biskup Rozwadowski nie wahał się również udzielić schronienia Januszowi Kenicowi, jednemu członkowi Prezydium Zarządu Regionu „Solidarności”, który zdołał uniknąć aresztowania 13 grudnia.

Czwartkowa demonstracja przed siedzibą Zarządu Regionu „Solidarności” i katedrą stanowiła ostatni znaczący protest wobec wprowadzenia stanu wojennego. Według sprawozdań władz wojewódzkich, od 13 grudnia w Łodzi strajkowało łącznie około 10 tysięcy osób w 33 zakładach pracy. I chociaż liczby te zostały zaniżone, stwierdzić należy – przy całym szacunku dla osób biorących udział w protestach – iż wprowadzenie stanu wojennego odbyło się przy stosunkowo słabym oporze mieszkańców miasta. Zdecydował o tym z jednej strony element zaskoczenia, dobre przygotowanie władz oraz szybkość i rozmach akcji pacyfikacyjnych, rozbicie struktur „Solidarności” już w pierwszych godzinach po wprowadzeniu stanu wojennego, z drugiej zaś znużenie łódzian – podobnie jak całego społeczeństwa – potęgującymi się trudnościami gospodarczymi i ustawicznym napięciem, w którym żyli od wielu miesięcy.

Leszek Próchniak

Pierwodruk: „Tygiel Kultury” 10-12/2001



Pierre Guicheney

Łódź

Luty, rok 1978. Mój pociąg godzinę temu przekroczył granicę Wschodnich Niemiec z Polską. Przy stoliku wagonu restauracyjnego Wars, który właśnie został doczepiony do składu, połykam śniadanie – talerz bigosu, czyli długo gotowanej na wolnym ogniu mieszaniny cebuli, świeżej i kiszzonej kapusty. Kilka wątych kawałków słoniny bez większego powodzenia usiłuje wzbogacić smak tego jedyne dania serwowanego przez przedsiębiorstwo państwowe Wars. Pomimo, że dostarczono mi kartę, zamówiłem w końcu bigos, albowiem przy każdym kolejnym daniu, które wskazywałem palcem, kelner mówił zrezygnowanym głosem: „nie ma”, co przesądziło o wyborze. Nie ma, to słowo-klucz obrazujące niedostatek lat 70. i 80. Ciężki, kwaśny zapach parujący z bigosu, smrodliwa woń papierosów „Popularne” oraz siarkowe wyziewy z węgla używanego do ogrzewania na zawsze zostaną mi w pamięci jako zapachy Polski komunistycznej.

Krępy mężczyzna około trzydziestki przysiadł się do mnie. Jest głuchoniemy i ma ochotę zawrzeć ze mną znajomość, a może chodzi też o zamiar kupna cennych dolarów, otwierających drzwi Pewexu, sklepu, gdzie jest niemal wszystko. By przedstawić się, mężczyzna wyjmuje swój paszport. Ja również pokazuję swój. On wyciąga na to rękę i robi znak krzyża, deklarując się: jestem chrześcijaninem. Wskazuje na mnie palcem. Czy ja również nim jestem? Waham się, zastanawiam, przypominam sobie uroczystą pierwszą komunię świętą i rysuję pojednawczo znak krzyża na wnętrzu swej dłoni. Szeroki uśmiech i pomruki witają moją przynależność do wspólnoty chrześcijańskiej. Wtedy on rysuje pierwszy trójkąt wierzchołkiem do góry a na nim drugi, wierzchołkiem w dół – gwiazdę Dawida. Patrzy na mnie uważnie, z groźbą w oku, po czym przeciąga ręką dwa razy po grdyce: „Żydom trzeba poderznąć gardło”. Pierwsza podróż do Polski, pierwsze spotkanie...

Sierpień, rok 1997, Łódź. Od 1990 roku Polacy „wybrali wolność”, jak władza pisała o Niemcach ze Wschodu, którzy uciekali na drugą stronę muru berlińskiego, zanim został zburzony. Wybrali przede wszystkim konsumpcję, co jest zrozumiałe, gdy się wie, jak wielu rzeczy byli dotąd pozbawieni. Telefony komórkowe, BMW, Mercedesy, Mc Donald'sy, minispódniczki i szorty, które odsłaniają długie, opalone nogi młodych ludzi epoki postkomunizmu, walkmany, łyżworolki i deskorolki, kalifornijskie uśmiechy nienagannie ostrzyżonych efebów, sklepy pełne po brzegi importowanych towarów,

puby i tarasy rozbrzmiewające głośną muzyką komercyjną, rzęsiste oświetlone do późna w nocy – a fasady w neorenesansowym, neogotyckim, secesyjnym stylu świeżo odrestaurowanych kamienic Piotrkowskiej, głównej ulicy Łodzi (częściowo wyłączonej z ruchu samochodowego) są nieco pospolitą dekoracją dla owego codziennego targowiska próżności. Gwoli sprawiedliwości: doliczyłem się również co najmniej dziesięciu księgarni na jednym kilometrze Piotrkowskiej. A więc z wolności skorzystali nie tylko sprzedawcy dżinsów i hamburgerów. W Polsce końca tej epoki można pisać, publikować i czytać, co się chce. Dziesięć lat temu taka wolność słowa była nie do pomyslenia.

Miasto postanowiło zmienić swój wizerunek z owej „ziemi obiecanej”, którą stworzyła w ubiegłym wieku *ex nihilo*, z niczego, garstka przemysłowców żydowskich i niemieckich, na ziemię obiecaną odnalezioną. Określenie to jest zapożyczone z tytułu (ironicznego) książki Władysława Reymonta, w której krytykował zgubne efekty industrializacji i złudzenia związane z pogonią za pieniądzem tego „polskiego Manchesteru”.

Niemile uczucie; mam wrażenie, że oglądam scenografię mającą na celu przykrycie nędzy. Za odnowionymi fasadami w pastelowych kolorach (różowe, kremowe, błonniebieskie) kryje się całkiem inne miasto, miasto budynków z oblażącym tynkiem, robotników bez pracy, marnie opłacanych pracowników budżetówki, opustoszałych, przestarzałych ogromnych zakładów przemysłowych, emerytów o marnych emeryturach, tych wszystkich nowo-biednych w kraju w pełni rozwoju, odwrócony obraz nowobogackich z ich aroganckim sukcesem i krótką pamięcią.

Pamięć? Gdzie podzieli się Żydzi i Niemcy, którzy z Łodzi stworzyli przodujące w Europie centrum przemysłu włókienniczego? Nadali temu miastu niepowtarzalny wyraz architektoniczny, tak szczególny, bez wątpienia jedyny w świecie, z rezydencjami godnymi książąt, z których jedna prześcigała okazałością drugą, z rzeźbami i gzymsami ozdabiającymi fasady na Piotrkowskiej, przywożonymi z Niemiec, włoskimi marmurami, złoceniami i szlachetnym drewnem Pałacu Poznańskiego, posiadłości żydowskiego miliardera, który kazał go wznieść u wejścia do swego przemysłowego królestwa, obecnie dogorywających zakładów włókienniczych „Poltex”. Któż o nich pamięta? I jak? Czy nie jest tak, że wspomina się Żydów tylko jako coś odpychającego, stąd na murach pełno napisów antyżydowskich w stylu „Jude Raus!”, a najbardziej obraźliwym epitetem jest słowo Żyd, do tego stopnia, że kibice jednej z drużyn piłkarskich, aby sprowokować kibiców innej drużyny, malują na ich graffiti gwiazdę Dawida. Nie ma już właściwie Żydów w Polsce, czemu więc trwa nienawiść?

Zbigniew Dominiak, z kierownictwa redakcji „Tygła Kultury”, łódzkiego czasopiśma kulturalnego, tak wyjaśnia sprawę napisów, które zauważyłem na klatce schodowej, wiodącej do redakcji „Tygła”: „Nie należy sądzić pochopnie. Mogę ci odbić piłeczkę, przypominając Vichy i Velodrome d'Hiver czy tortury w Algierii. A problem rasizmu we Francji? O nie, większość mieszkańców tego miasta nie jest nastawiona antysemitcko. Młodzież, która wypisuje te napisy, nigdy nie widziała Żyda. Dla nich to przekleństwo,

nic więcej. Nie rozumieją nawet jego znaczenia. Nie sądź zbyt łatwo, wygodnie jest moralizować z zewnątrz”.

Zbigniew jest zdeklarowanym antyrasistą. Broni polityki pojednania miasta ze swą własną historią, prowadzonej przez obecnego prezydenta miasta Marka Czekalskiego, dawnego działacza „Solidarności”, który przeszedł przez więzienia Jaruzelskiego. Aby przyciągnąć zagranicznych inwestorów (swe zakłady na peryferiach miasta wybudowali m.in.: Coca-Cola, Bosch i Gillette), Marek Czekalski, przy okazji modernizacji miasta, stworzył biuro do kontaktów z małą społecznością Żydów w Łodzi i doprowadził do podpisania z Tel Awiwem umowy o współpracy miast. W 1998 roku licealiści z miast siostrzanych mają zwiedzać oba miasta i swoje kraje. W programie są wystawy, koncerty i konferencje. Ostatnim żyjącym członkom wspólnoty zwrócono kahał, dawny ośrodek gminy żydowskiej, oraz przyznano subwencję na jego odnowienie w wysokości 25 tys. dolarów. Kamienica jest w opłakanym stanie i owe 25 tys. dolarów będzie niewystarczające, ale łódzka rada miejska jest biedna.

Gdy przychodzi dzień szabatu, grupa licząca mniej więcej około dziesięciu starszych osób spotyka się na parterze ośrodka w wilgotnym pomieszczeniu o zniszczonych, przeżartych murach. Mała synagoga, jasna i wygodna, odnowiona dzięki subsydiom fundacji Laudera, jest otwarta, ale znajduje się daleko od ośrodka. Używana jest jedynie przy okazji wielkich świąt. Byłoby bez wątpienia bardziej wygodnie dla tych starszych już osób, z których część jest niepełnosprawna, gdyby mogli modlić się blisko miejsca posiłków. Większość z nich to mężczyźni. Prawie wszyscy przeżyli holocaust, bo udało im się uciec do Rosji w momencie inwazji hitlerowskiej, lub dzięki temu, że akurat mieszkali na terytorium Ukrainy, gdy wybuchła wojna. Życie tych osób oraz ich rodzin było niekończącym się pasmem wygnań, ucieczek, emigracji, aresztowań, wydaleń z kraju, prześladowań, ukrywania swego pochodzenia, życia w nędzy. Po wojnie nikt z nich nie dał tradycyjnego żydowskiego wykształcenia swoim dzieciom, albo dlatego, że byli ateistami, albo też, że nie było już ani Jesziwa, szkół religijnych, ani rabinów, bądź też dlatego, żeby ich dzieci nie czuły się już Żydami, bo to ścierało nieszczęścia. To przypadek jednego z członków wspólnoty, emerytowanego starszego księgowego, który po wielu oporach zdecydował się opowiedzieć mi o swoim życiu. Pomimo, że szkoła jidysz funkcjonowała w Łodzi aż do lat 60., nie posłał do niej swoich córek „aby nie miały w przyszłości kłopotów”. Mimo takich środków ostrożności jedna z nich z powodu antysemitycznych kampanii za czasów Gomułki została zmuszona do skończenia wyższych studiów biologicznych za granicą. Starszy pan chciał emigrować do Izraela, ale stan zdrowia jego i jego żony (podczas wojny działającej w ruchu oporu) zmusiły go do rezygnacji z planów. Jest świadomy faktu, że sytuacja po 1990 roku zmieniła się, ale wciąż jest niespokojny i nie wierzy w szczerą politykę „pojednania” władz Łodzi. Kiedy zegnaliśmy się na schodach, zatrzymał się na chwilę i rzekł: „nigdy nie dawałem wywiadów. To delikatny temat, pan rozumie, proszę nie podawać mego nazwiska. Musimy jakoś tutaj żyć”.



Czy starszy pan ma podstawy, by wątpić w szczerą politykę urzędników miejskich? Na pierwszy rzut oka ich działania zdały się mi jednak całkiem chwalebne, jak choćby całkiem niedawne utworzenie fundacji Monumentum Judaicum Lodzense Foundation. Fundacja ta, będąca wspólną inicjatywą miasta i powstałego w Izraelu Związku Byłych Mieszkańców Łodzi ma na celu zebranie funduszy na odnowienie ogromnego cmentarza żydowskiego w Łodzi, zaniedbanego od 50 lat (właśnie została podpisana umowa o corocznej dotacji z niemiecką firmą Degussa, która podczas wojny przetapiała złoto złupione Żydom przez hitlerowców). Antyżydowska polityka rządów komunistycznych i liczne profanacje grobów, mające na celu pozyskanie marmuru lub złota, rzekomo połykanego przez Żydów w getcie (!), doprowadziło cmentarz do ruiny, a przewrócone kamienie nagrobne i splądrowane nisze grobowe wywołują dreszcz przerażenia u potomków polskich Żydów, którzy przyjeżdżają z daleka, by zwiedzić miasto swoich przodków. W alejce cmentarnej spotkałem grupkę owych potomków, Argentyńczyków zatrwożonych porażającą, namacalną niemal atmosferą przemocy, morderczej i świętokradczej, panoszącą się bez przeszkód w tym miejscu i w tym mieście.

Historii cmentarza żydowskiego poświęcono bogato ilustrowaną książkę, subwencjonowaną przez władze miasta. Książka jest napisana w dwóch językach: po angielsku i po polsku. Przedmowa podkreśla fakt, że książka ta stanowi ważny przyczynek do historii Łodzi. Dla cudzoziemców, chcących zwiedzać miasto, w hotelach i większych restauracjach są dostępne również inne publikacje, wydane w trzech językach: angielskim, polskim i niemieckim. Wszystkie mają na celu oczarowanie ewentualnych inwestorów.

Raczkujący kapitalizm –
ul. Piotrkowska;
aut. E. Dekker, 1992

Czyżby gesty pojednania z Izraelem i ze społecznością żydowską, a także wydanie owej książki, miały być częścią strategii uwodzenia? Zbigniew Dominiak i Barbara Celler, młoda kobieta pochodzenia żydowskiego, odpowiedzialna za kontakty z gminą żydowską, twierdzą z całym przekonaniem, że nie, albowiem taka opcja polityczna już sama w sobie jest aktem odwagi. Dowodem jest gwałtowny sprzeciw, jaki spotkał prezydenta miasta (mniejszościowego), na łonie swej własnej rady miejskiej, gdy zgodził się na wzniesienie pomnika ofiar getta, finansowanego przez pewną fundację amerykańską. Pomnik przedstawia Mojżesza i stoi na miejscu dawnej synagogi, zburzonej przez hitlerowców w 1939 roku.

Paweł Spodenkiewicz, socjolog i dziennikarz pochodzący z łódzkiej rodziny katolickiej, do tego stopnia pasjonował się historią i stylem życia łódzkiej społeczności żydowskiej przed Holocaustem, że przez wiele lat prowadził badania w tej dziedzinie. Publikacja, będąca owocem jego badań, niedługo zostanie wydana w Polsce pod tytułem *Zaginiona dzielnica: Łódź żydowska, ludzie i miejsca*. Jego dociekania zawiodły go aż do Tel Awiwu, gdzie zebrał świadectwa Żydów urodzonych w Łodzi, którym udało się ująć z życiem z zagłady. Pewnego kwietniowego dnia znalazł się pod łódzkim pomnikiem poświęconym ofiarom getta. Na ławeczce naprzeciwko pomnika, starszy mężczyzna wygrzewał się w pierwszych, nieśmiałych jeszcze promieniach wiosennego słońca. Paweł zapytał go, co też może symbolizować ów pomnik.

– Mojżesza, nie poznaje pan? To Żydzi z Ameryki wybudowali go tutaj! Ach, gdyby nie było Hitlera...

– Gdyby nie było Hitlera, to co...? – zaciekał się Paweł.

– To by nas zadławili, ci Żydzi... No ale w końcu dzięki temu mamy przynajmniej ławeczkę, na której można posiedzieć w słońcu!

Paweł również jest przekonany o szczerych intencjach władz Łodzi (prezydenta miasta zna z więzienia politycznego), chociaż nie wierzy w możliwość wykorzenia antysemityzmu w sercach mieszkańców swego miasta. Dręczy ich pewna obawa, tłumiona przez cały okres komunizmu: co się stanie z nieruchomościami należącymi niegdyś do ofiar Holocaustu. Po wojnie dobra te zostały znacjonalizowane i rozdane rodzinom polskim. W 1990 roku sejm uchwalił ustawę o zwrocie budynków użyteczności publicznej spadkobiercom ofiar. Następna ustawa, która logicznie powinna zostać uchwalona w ślad za pierwszą, została zablokowana przez większość parlamentarną. Dotyczyła ona losu budynków mieszkalnych.

W taksówce, dzięki długiemu kursowi miałem okazję, by zapytać kierowcę, widocznie zainteresowanego moim artykułem, co sądzi o podobnej ustawie.

– Jeśli uchwalą tę ustawę, to sytuacja stanie się poważna. Już teraz mamy kryzys mieszkaniowy. Gdzie podzieją się rodziny mieszkające w pożydowskich mieszkaniach? Czy czasem nie do swojego artykułu stawia mi pan to pytanie? Wiadomo, co robią Żydzi: handel! Chcą jeszcze raz wzbogacić się na nas. Niech zostaną tam, gdzie są!



Trochę później kierowca taksówki oświadczył, jakby bez związku z naszą poprzednią rozmową:

– Mimo wszystko, dzięki Hitlerowi mogliśmy polecieć na Księżyc, bo to on wymyślił V 2 – pierwszą rakietę.

Ten sam Hitler, który w 1945 roku nie dokończył swego dzieła. Literatura na temat Holocaustu zawiera liczne relacje, opisujące, w jaki sposób Żydzi zostali przyjęci w swych dawnych domach po powrocie z obozów. „Och, jesteście!? Sądziłem, żeście wszyscy zginęli...” – mówiły z żalem miny nowych lokatorów. I tak oto zostawali odprawieni z kwitkiem przez tych, którym państwo już wcześniej przeznaczyło mieszkania Żydów, mających przecież nie przeżyć „dezynfekcji”.

Paweł wytłumaczył mi niektóre z powodów, dla których wspólnota żydowska izolowała się i rzadko utrzymywała kontakty z pozostałą ludnością. O ile w ostatnim wieku w Łodzi Żydzi mogli zarządzać fabrykami i kupować nieruchomości, aż do 1862 roku nie mieli prawa wykonywania swoich zawodów i osiedlania się poza dzielnicą im wyznaczoną, chyba że zrezygnują ze swojego tradycyjnego ubioru i uczesania. Wielu nie mogło się na to zdobyć. Zresztą w fabrykach sobota była dniem roboczym, co dla tych, którzy chcieli przestrzegać szabatu, wykluczało pracę w manufakturach. Ubodzy Izraelici utrzymywali się z tradycyjnie dla nich zarezerwowanych zawodów: handlu i rzemiosła. W miarę jak przychodziły nowe pokolenia, niektórzy z małych kramików i sklepików,

Bałucki Rynek;
aut. E. Dekker, 1991

gdzie pracowali w pojedynkę, przechodzili do warsztatów liczących dziesięciu do dwudziestu pracowników. Owe warsztaty były podwykonawcami dla dużych manufaktur i produkowały pewne części i wyroby wymagające starannego wykończenia. W ten sposób kobiety i mężczyźni mogli pracować w domach, co pozwalało im przestrzegać szabatu, a w zamian pracowali w niedziele.

Mama Solange Najman, inicjatorki i głównej bohaterki poruszającego filmu dokumentalnego *Czy pamięć jest rozpuszczalna w wodzie?* (1996), zrealizowanego przez jej syna Charlesa, pracowała właśnie w domu. Robiła pończochy z naturalnego jedwabiu. Solange mieszka w Paryżu od 1946 roku. Na ramieniu nosi nieusuwalny ślad przejścia przez piekło obozu koncentracyjnego. W 1939 roku miała 20 lat. Mimo to zostało jej niewiele wspomnień z życia w przedwojennej Łodzi. Jak wielu z tych, którzy przeżyli Shoah, trauma getta i obozu śmierci wymazała z jej pamięci przeszłość. Jej ojciec, ortopeda, prowadził niewielki zakład z dziesięcioma pracownikami. „Byliśmy we względnie dobrej sytuacji materialnej” – mówi. Wspomina

beztroską młodość, gdy była rozpieszczana przez rodziców, którzy sami zaznali wyrzeczeń z czasów pierwszej wojny. Pamięta popołudnia na ślizgawce w parku na Helenowie, niewinne flirtaże i „five o'clock”, herbatki z tańcami, które organizowała z bratem, by ich przyjaciele, dziewczęta i chłopcy, mogli się poznać wzajemnie. Przypomina sobie jednak i obawę przed „pijanym Polakiem”, nieodmiennie uzbrojonym w nóż ukryty w bucie, który jeśli nawet nie zabił, to rzadko odmówił sobie sponiewierania samotnego Żyda. Gdy w roku 1945 wróciła do Łodzi, nie miała odwagi odwiedzić swego domu. Wiedziała, że zostanie wrogo przyjęta. Odtąd przez całe życie będzie żałować, że nie odzyskała chociaż dyplomu ortopedy swojego ojca. Jej wspomnienia, pomimo że fragmentaryczne,



Raczkujący kapitalizm –
ul. Piotrkowska;
aut. E. Dekker, 1992

potwierdzają to, o czym mówił Paweł: ani Solange, ani jej brat nie mieli katolickich przyjaciół.

Ci Żydzi, którzy chcieli asymilacji, byli świadomi niebezpieczeństwa, jakie niesie ze sobą ów rozdział pomiędzy dwiema społecznościami, które raz lepiej, raz gorzej żyły we względnym spokoju aż do wojny. Podejmowali więc różne działania, by ten mur zburzyć. Jedną z nich, bez wątpienia najbardziej ciekawą, było bezpłatne przyjęcie młodych katolickich dziewcząt do prywatnej laickiej szkoły, finansowanej w całości przez wpływowych członków gmin żydowskiej. Przyszła wojna i marzenia o asymilacji (i tyle innych marzeń) rozwiały się, ustąpiły miejsca koszmarom wymyślonym przez hitlerowców. W 1939 roku za każdego Żyda, na którego doniesiono władzom, można było dostać 3 kg cukru.

Czy rodzice Adama Szypera też zostali wydani hitlerowcom i zamknięci w getcie za trzy kilo cukru? Nie zadałem mu tego pytania. Adam Szyper jest poetą, posiada trzy paszporty: polski, izraelski i amerykański. Przez osiem miesięcy w roku przebywa w New Jersey z żoną, a przez cztery miesiące w Łodzi, gdzie kilka lat temu kupił mieszkanie dla matki, by tu dożyła swych dni.

Adam urodził się dwa tygodnie po napaści hitlerowskiej na Polskę, a lekarz asystujący przy porodzie wkrótce popełnił samobójstwo, by uniknąć getta. Niemowlę przeżyło dzięki mleku w proszku, po kryjomu przynoszonemu przez dawną nianię (katoliczkę) rodziny Szyperów. Niemcy potrzebowali jego ojca, który był inżynierem mechanikiem, więc rodzina Szyperów została zesłana do Oświęcimia dopiero na 9 miesięcy przed końcem wojny. Gdy przyszło oswobodzenie, Adam miał pięć lat i jest jednym z dziesięciorga dzieci (na 10 000), które przeżyły getto. Spotkaliśmy się dzięki pośrednictwu Zbigniewa Dominiaka, który regularnie publikuje jego wiersze. Owego dnia pogoda była brzydka. Nie przeszkodziło to Adamowi zwrócić mojej uwagi, w sposób wytworny i elegancki, na urodę młodych kobiet mijanych na ulicy.

Nasze spotkanie trwało kilka godzin. Powiedział mi:

Primo Levi rzekł, że po Oświęcimiu tworzenie poezji stało się niemożliwe. Ja myślę, że życie jest możliwe i po Oświęcimiu, bo żyjemy za tych, którzy umarli. O moim ojcu, zmarłym długo po wojnie, napisałem w Izraelu w ten sposób: „Nawet jeżeli umarłeś, twoje serce wciąż żyje w moim sercu”. Wróciłem do tego miasta nie dlatego, że jest cmentarzem moich przodków. Dla wielu Żydów, zwłaszcza tych, którzy osiedlili się w Izraelu, Polska jest cmentarzem ich narodu, a Polacy współnikami grabarzy. To dla nich wygodne, bo ubiegają się o tytuł „mistrzów świata w cierpieniu”. I ja tak sądziłem, do dnia, w którym jedna z moich znajomych, Irlandka, o mało co nie wypowiedziała mi naszej przyjaźni po pewnej rozmowie, w której opowiedziała mi o strasznym głodzie w Irlandii w latach 1846-48, mającym na swym rachunku milion ofiar, gdzie dalsze 3 do 4 milionów zmuszone było emigrować. Odpartem, że to straszne, ale to nic wobec tego, co wycierpiał mój naród. Tamtego wieczora wyszła ode mnie bez słowa, tak ją zranił mój pogląd. Zrozumiałem więc, że trzeba porzucić tę dziwną chęć bycia „mistrzami świata” (...) Ja chcę dać szansę żywym, młodej generacji. Moja matka nigdy nie podniosła się po wojnie. Miała syndrom ofiary

i nieustannie rozpamiętywała własne i cudze cierpienia. Natomiast mój ojciec nigdy nie mówił o tamtych czasach. Żył dniem dzisiejszym i przyszłością.

Gdy po obozie wróciliśmy do Łodzi, odwiedziliśmy naszą dawną gosposię, tę, która uratowała mi życie dostarczając codziennie mleko w proszku. Była u niej część naszych rzeczy, wśród nich dywan, leżący przed wojną na podłodze naszego salonu. Moja matka pamiętała tylko dywan, natomiast ja – mleko w proszku.

W 1957 roku musieliśmy opuścić Polskę i wyjechać do Izraela, bo moja matka była zastraszona kampanią antysemicką rządu. Wstępując do brygady uderzeniowej armii izraelskiej, poczułem, jakbym narodził się na nowo – odnalazłem swą godność. Sam sobie dostarczyłem dementi dla pewnego polskiego dowcipu antysemickiego, który brzmiał tak: „Co może zrobić Żyd z pistoletem? Jedynie kupić, albo sprzedać!”.

Mimo wszystko nie tam było moje miejsce. Jestem prawdziwym Żydem-tulaczem i nie mogłem zapomnieć moich przyjaciół i tych kilku lat szczęścia w Polsce. To było silniejsze niż pamięć o upokorzeniach. Nie ukształtowała mnie brzydota stalinowska, ksenofobia ani wszechobecna szarość, nie wierzyłem w antysemicką naturę Polaka, lecz raczej w romantyczny i szczodry charakter kultury tego kraju. W końcu wyjechałem do USA, bo do Polski nie mogłem wrócić, ponieważ skonfiskowano mój paszport. Przez całe lata pracowałem jako recepcjonista w różnych hotelach. To dawało mi czas na pisanie wierszy i nie musiałem płaszczyć się przed nikim. Po śmierci ojca moja matka przyjeżdżała do mnie do Ameryki na cztery lub pięć miesięcy w roku. A potem, w 1989 roku, stała się całkiem niedołączona, potrzebowała opieki przez całą dobę. Nie miałem wystarczająco dużo pieniędzy, by zapłacić za jej pobyt w domu opieki w Haifie. A ona nie chciała przyjechać do Stanów i być ciężarem dla mojej rodziny. Jakie pozostało wyjście? Miałem porażający pomysł: Łódź. Przyjechałem do tego miasta, upewniłem się, przy udziale moich przyjaciół, których tu wciąż miałem, że stała opieka nad moją matką będzie możliwa. Policzyłem wszystko i wyszło, że mogłem sobie na to pozwolić. Na koniec spytałem, czy mama się zgadza. To nie do wiary, ale zgodziła się! Przeniósłem ją więc do Łodzi. Odnalazła swych przedwojennych znajomych. Moi polscy przyjaciele, w tym dwóch lekarzy, przychodzili do niej regularnie. Po tylu latach, przeżytych w strachu i mroku, moja matka nie czuła się już prześladowana, wróciła do swego rodzinnego miasta – i nie była samotna. Zmarła w 1993 roku. Została pochowana na łódzkim cmentarzu żydowskim, gdzie ja sam będę pochowany. W ten sposób uspokoiłem się wewnętrznie: towarzysząc mojej mamie aż do końca, widząc, że udało mi się sprawić, iż przeżyła swe ostatnie chwile godząc się z krajem swego urodzenia, gdzie tyle wycierpiiała. Ale złapałem bakcyla: nie mogłem już obejść się bez Łodzi i bez moich polskich przyjaciół. Poprosiłem moją żonę i syna o zgodę, bym pewną część roku mógł spędzać tutaj, albowiem w USA duchowo i intelektualnie czułem się samotny. Dziś w Łodzi już nie jestem małym nieokrzesanym Żydem, wyrzucanym do Izraela, a to, co w moim życiu było złe, zostało zapomniane, nie czuję już goryczy. Moje wiersze są drukowane, mam przyjaciół, którzy należą do elity intelektualnej tego kraju, a także znalazłem cel w życiu: zbudowanie pomostu między Polakami a Żydami. Mam wrażenie, może złudne, że idę za swym przeznaczeniem.

Niezwykły jest los Adama Szypera i niezwykle poszukiwania jego własnej drogi życiowej! Z jego przyjaciółmi, również poetami, oraz w towarzystwie kilku butelek wódki, przedłużamy aż do świtu moją ostatnią noc w Łodzi. Rankiem pociąg wiezie mnie do Warszawy. Piotr, przyjaciel, którego nie widziałem od co najmniej pięciu lat, czeka na

mnie na Dworcu Centralnym. Mamy dla siebie pół dnia, aby sobie opowiedzieć różne szczęśliwe i smutne wydarzenia.

Zaprowadziłem Piotra na pchli targ, jedno z jego ulubionych miejsc. Patrzyłem roz-targnionym wzrokiem na stragany i nagle moje oczy przyciągnął oprawiony egzemplarz grubej książki. To dwujęzyczny, hebrajsko-niemiecki egzemplarz *Talmudu babilońskiego*. Przerzuciłem kartki książki. Obok, w plastikowym etui, leżały banknoty z gwiazdą żydowską. To marki, które służyły jako pieniądź w łódzkim getto. Sprzedawca w wieku ponad sześćdziesięciu lat, o długich siwych włosach, wymykających się spod kraciastej czapki z daszkiem, językiem bezustannie porusza sztuczną szczęką. To nerwowy tik. Słychać trzask: „Jest pan zainteresowany przedmiotami żydowskimi? Proszę poczekać, mam coś, co być może panu się spodoba”. Grzebie wśród rzeczy na straganie i wyciąga pudełko owinięte przezroczystym plastikiem. To menażka, rodzaj metalowego naczynia na posiłki dla robotników na budowie i w fabrykach. Menażka jest z białego metalu, ozdobiona rysunkami wytłoczonymi ręcznie. Rysunki przedstawiają wiejski pejzaż: wokół domu z dymiącym kominem krążą jaskółki. Przed domem łąka, krowa i płot. Na pokrywie menażki cztery imiona: Sarah, Samuel, Jean i Eric. Pod spodem napis po francusku: „Pamiętka z Drancy”.

Mężczyzna znów poruszył językiem sztuczną szczęką. Uwija się wokół nas, ugrzeczniony: „Mam jeszcze inne rzeczy, zaraz zapytam żony”. Odmawiam.

Powodzenia, Pawle, Barbaro, Zbyszku, Marku, Adamie, powodzenia w waszej drodze...

Pierre Guichenev

Przełożyła z francuskiego *Dorota Kiersztejn Pakulska*

Pierwodruk: „Tygiel Kultury” 7-9/2000



Aleksander Klugman

Uroczystości żałobne budzące nadzieję

Jest rok 2045. W ramach obchodów setnej rocznicy zakończenia II wojny światowej Ministerstwo Edukacji zaleciło szkołom na terenie całego kraju poświęcenie jednej lub kilku lekcji historii – według uznania kierownictwa szkoły – wojennym i okupacyjnym dziejom miasta czy rejonu, w którym dana szkoła się znajduje. W większości szkół w Łodzi nauczyciele historii, przy wydatnej pomocy wydziału historii Uniwersytetu Łódzkiego im. Jana Karłowicza, poświęcili „lekcje okupacyjne” – jak uczniowie je określali – historii miasta w czasach, gdy nosiło ono nazwę Litzmannstadt.

W ramach lekcji dzieci łódzkie zapoznały się także nieco bliżej z dziejami Litzmannstadt Ghetto. W ten sposób 12-letnie łódzkie Jadzie i Marysie, Józki i Zbyszki dowiedziały się o swoim mieście wielu rzeczy, o których może tu i ówdzie co nieco słyszeły ale raczej po łebkach i właściwie żadnej dokładniejszej informacji o tym okresie w dziejach ich miasta nie mieli. Na dobrą sprawę – skąd mieli takie informacje wziąć? Nawet w książce poświęconej historii ich miasta *Działo się w Łodzi...*, wydanej przed pół wiekiem (w roku 1996) przy częściowej pomocy Komisji Wydawniczej przy Prezydencie Miasta i Wojewodzie Łódzkim, okres okupacji hitlerowskiej skwitowany jest dwoma właściwie nic nie mówiącymi zdaniem: *1939-1945 – okupacja Łodzi przez Niemcy hitlerowskie. Uciekające 19 stycznia 1945 roku wojska hitlerowskie poczyniły duże zniszczenia w infrastrukturze komunalnej*. Tyle o tym okresie miała do powiedzenia książka o historii Łodzi, brak nawet wzmianki o przemianowaniu go przez hitlerowskiego okupanta na Litzmannstadt oraz o tym, co się w mieście w tym okresie działo.

Nic więc dziwnego, że w wypracowaniu ucznia jednego z łódzkich liceów na temat wybitnych postaci pochodzących z tego miasta znalazło się... nazwisko XIX-wiecznego polskiego pisarza Michała Bałuckiego, który urodził się, działał i tworzył w Krakowie i nie wiadomo nawet, czy kiedykolwiek odwiedził Łódź. Ponieważ jednak w kilku polskich encyklopediach znaleźć można hasło „Bałuty”, odnoszące się do jednej z dzielnic Łodzi, autor owego wypracowania wydedukował, że nazwisko Michała Bałuckiego wiąże się najprawdopodobniej z tą nazwą. Na marginesie warto może dodać, że z owej encyklopedycznej notatki dowiedzieć się można, jaki jest obszar Bałut (79 km²), kiedy zostały one przyłączone do Łodzi (1915), ale ani słowem autorzy nie wspominają, że w okresie hitlerowskiej okupacji było tam drugie co do wielkości i liczebności getto dla ludności żydowskiej, które przetrwało najdłużej w okupowanej Polsce (do sierpnia 1944

r.), chociaż np. w hasle „Muranów” w tej samej encyklopedii odnotowano, że w latach 1940-1943 było tam *getto dla ludności żydowskiej*.

Pewnego dnia po takiej „lekcji okupacyjnej” w jednej z łódzkich szkół 12-letnia Basia, prawie cała zapłakana, po powrocie do domu opowiedziała matce o strasznych rzeczach, jakie działy się w ich mieście w owym okresie. Między innymi o tym, co mówił nauczyciel na temat istniejącego wtedy na Bałutach getta i jaką straszliwą gehennę przeszli jego mieszkańcy, z których tylko nieznaczna część zdołała ująć z życiem z tego piekła.

– Ja jeszcze zdążyłam widzieć tych ludzi, którzy stamtąd ocalili – powiedziała jej matka. – Byłam wtedy niewiele starsza niż ty jesteś dziś. Pamiętam, że byłam harcerką i w związku z uroczystościami rocznicy likwidacji getta, zdaje się, że było to w roku 2004, odbyły się w naszym mieście wielkie uroczystości, na które przyjechali z całego świata ludzie, którzy przeżyli getto i nasz hufiec skierowano do pomocy tym ludziom.

Zostawmy na chwilę domysły na temat tego, co stać się może za kilka dziesięcioleci i wróćmy do tego, co miało miejsce w Łodzi przed kilkoma miesiącami. Od wyzwolenia Łodzi w styczniu 1945 r. aż do zmian ustrojowych w roku 1989 Łódź miała 10 prezydentów, spośród których ci, którzy zajmowali to stanowisko w okresie 1950-1973, nosili tytuł „Przewodniczący Prezydium Rady Narodowej Miasta Łodzi”. Byli to: Kazimierz Witaszewski (1945), Kazimierz Mijał (1945-1947), Eugeniusz Skawiński (1947-1949), Marian Minor (1949-1952), Ryszard Olasek (1952-1954), Bolesław Geraga (1954-1956), Edward Kazmierczak (1956-1971), Jerzy Lorens (1971-1978), Józef Niewiadomski (1978-1985) i Jarosław Pietrzyk (1985-1989). Od upadku komunizmu aż do dziś miasto ma już siódmego prezydenta, Jerzego Kropiwnickiego, którego poprzedzili Waldemar Bohdanowicz (1989-1990), Grzegorz Palka (1990-1994), Marek Czekalski (1994-1998), Tadeusz Matusiak (1998-2001), Krzysztof Panas (2001-2002) i przez kilka miesięcy w roku 2002 Krzysztof Jagiełło. Jerzy Kropiwnicki jest więc siedemnastym prezydentem Łodzi, ale zarazem pierwszym spośród wszystkich swoich poprzedników, który zaapelował do mieszkańców Łodzi, że ich moralnym obowiązkiem jest „krzyczeć razem z ofiarą”.

Ten apel legł u podstaw zakrojonych na wręcz ogromną skalę uroczystości, które odbyły się w Łodzi w ostatnich dniach sierpnia br. dla upamiętnienia sześćdziesiątej rocznicy likwidacji przez hitlerowskiego okupanta getta łódzkiego, które w owych latach nosiło niemiecką nazwę Litzmannstadt Ghetto. *Rozważając zbrodnię, myślimy zwykle o dwóch stronach: kacie i jego ofierze. W każdej zbrodni postępowanie kata i ofiary po jej dokonaniu zbrodni jest z góry ustalone – kat woli o niej milczeć, ofiara krzyczy o doznanej krzywdzie. Rzadko uświadamiamy sobie, że była jeszcze trzecia strona tej zbrodni – świadkowie. Oni mogą wybrać jedną z dwóch dróg: milczeć razem z katami lub krzyczeć razem z ofiarami. W okupowanej Łodzi tą trzecią stroną zbrodni dokonanej przez niemieckich katów na Żydach byli polscy mieszkańcy miasta – tłumaczył swoje motywy prezydent Kropiwnicki, podkreślając, że gdy uświadomił sobie tę prawdę, stało się dla niego zupełnie jasne, że*

milczenie jest moralnie nie do zaakceptowania, świadek takiej zbrodni musi krzyczeć razem z ofiarą. Uroczystości rocznicowe likwidacji łódzkiego getta były właśnie takim krzykiem.

Mimo woli nasuwa się jednak pytanie: dlaczego ten krzyk rozległ się tak późno? Dlaczego przez tyle dziesięcioleci trwało owo milczenie, które przecież było „moralnie nie do zaakceptowania”? Oczywiście wobec okresu poprzedzającego upadek komunizmu w Polsce i powstanie III Rzeczypospolitej pytanie takie jest zbyt ciche. W tym czasie myślą przewodnią wszystkich obchodów rocznicowych czy jakichkolwiek innych była zawsze i wyłącznie odpowiedź na pytanie, czy takie obchody mogą służyć interesom PRL. Sprawa likwidacji getta w Łodzi wiązała się natomiast z niezbyt chwalebłą postawą patrona PRL, czyli Związku Radzieckiego, we wszystkim, co dotyczyło cynicznego stosunku do Powstania Warszawskiego. Himmler, który nie zapomniał jeszcze hańby, jaką okryła armię niemiecką sama konieczność wprowadzenia regularnych jednostek wojskowych do walki z powstańcami w getcie warszawskim, obawiał się wybuchu niepokojów i zamieszek w getcie łódzkim, w którym żyło jeszcze wtedy 70 tysięcy Żydów. Dlatego zarządził natychmiastową likwidację tego getta. Do jakiego stopnia decyzja ta była pochopna, świadczy fakt, że powstanie wybuchło 1 sierpnia, zaś decyzja o likwidacji getta w Łodzi zapadła 2 sierpnia, przy czym pierwszy transport miał odejść już 3 sierpnia. W sytuacji, gdy armia niemiecka zajęta była krwawymi walkami z powstańcami w Warszawie, ostatnią rzeczą, która hitlerowcom była potrzebna, były krwawe niepokoje w getcie łódzkim. Zdaniem wielu historyków wybuch powstania w Warszawie oraz decyzja o likwidacji getta w Litzmannstadt były ze sobą ściśle powiązane.

Postawa Stalina i komunistycznych władz polskich wobec tego powstania była i jest znana, a przypomnienie rocznicy likwidacji łódzkiego getta wkrótce po rocznicy wybuchu powstania w Warszawie jeszcze bardziej łączyłaby te dwa wydarzenia. Siłą rzeczy narzucałoby myśl, że gdyby nie cyniczne rachunki, leżące u podstaw sowieckiej decyzji zatrzymania ofensywy armii radzieckiej nad Wisłą po oswojeniu prawobrzeżnej części Warszawy, rzeczą bardzo prawdopodobną, a właściwie zupełnie pewną, byłoby również jedyne w swoim rodzaju w całym okresie trwania II wojny światowej wyzwolenie i uratowanie około 70 000 Żydów w łódzkim getcie. Faktem bowiem jest, że gdy 17 stycznia 1945 roku ruszyła wznowiona ofensywa sowiecka, tego samego dnia wyzwolona została Warszawa, a po dwóch dniach, 19 stycznia 1945, także Łódź. Wstrzymanie przez Stalina ofensywy nad Wisłą dało zatem armii hitlerowskiej nie tylko potrzebny jej czas dla stłumienia powstania warszawskiego, ale także umożliwiło Himmlerowi spokojne i niezakłócone likwidowanie łódzkiego getta. Gdy Rosjanie wkraczali do Łodzi, getta już nie było. Przytłaczająca część jego mieszkańców, wysiedlona do Auschwitz, została zagazowana i spalona. I właśnie dlatego, dopóki decydowali o tym polscy komuniści i ich poplecznicy, trwało milczenie wokół tej rocznicy.

Trudno natomiast znaleźć wyjaśnienie czy wytłumaczenie faktu, że już w naprawdę wolnej Polsce, to znaczy po roku 1989, władze miejskie Łodzi nie pomyślały o tym, że należy w jakiś sposób uczcić pamięć zamordowanych przez hitlerowców łódzkich

Żydów, którzy do 1 września 1939 stanowili ponad trzecią część mieszkańców miasta i którzy wnieśli ogromny wkład w jego rozwój. 60 rocznica była doskonałą okazją do przypomnienia tego, co się w getcie działo, ale przecież nie mniej, a może nawet bardziej symboliczną była pięćdziesiąta rocznica w roku 1994. Przez część tego roku stanowisko prezydenta miasta pełnił Grzegorz Pałka, który później zginął tragicznie w wypadku samochodowym, a przez część roku – Marian Czekalski. Dlaczego oni „przegapili” pięćdziesięciolecie likwidacji getta łódzkiego?

Sam przebieg uroczystości rocznicowych getta łódzkiego relacjonowany był przez niemal wszystkie media w Polsce i oczywiście szczególnie szeroko przez media łódzkie. Dla mnie osobiście, jako uratowanego z łódzkiego getta, punktem szczytowym owych uroczystości był swoisty „marsz pamięci” z cmentarza żydowskiego ulicami dawnego getta na byłą stację kolejową Radogoszcz, przemianowaną przez okupantów na Radegast, gdzie odbyła się kolejna część obchodów rocznicowych. To z tej stacji w sierpniu 1944 roku odchodziły codziennie transporty z wysiedlonymi do obozu śmierci w Oświęcimiu. Radegast spełniał w Łodzi identyczną rolę jak Umschlagplatz w Warszawie. Był miejscem ostatniej zbiórki przed wysłaniem na śmierć.

Podczas uroczystości na wielkim dziedzińcu między domem przedpogrzebowym a bramą wiodącą bezpośrednio na cmentarz ustawione były liczne rzędy krzeseł dla uczestników obchodów, których wiek oscyłał około osiemdziesiątki. W tym dniu niemiłosiernie doskwierało słońce, co było dość uciążliwe szczególnie dla osób starszych. Dookoła było mnóstwo ludzi: przedstawiciele mediów, nie tylko z Łodzi i całej Polski, ale także z wielu innych państw, ekipy pomocnicze z ramienia organizatorów, obsługa punktów pierwszej pomocy itp., ale także – co w moich oczach było i pozostało najważniejsze – bardzo wiele harcerek i harcerzy, którzy spieszyli uczestnikom uroczystości z pomocą. Podawali butelki z zimną wodą, przesuwali krzesła w ocienione miejsce. Gdy nie mogąc wytrzymać pod piekącym słońcem, znaleźliśmy wraz z żoną ocienione miejsce pod jakimś murkiem, skąd można było oglądać przebieg uroczystości, od razu zjawili się przy nas umundurowani harcerz i harcerka pytając, czy nam czegoś trzeba. Podziękowaliśmy i wytłumaczyliśmy, że po prostu poszukaliśmy sobie nieco ocienionego miejsca. Oboje bez słowa odeszli, by za chwilę wrócić z dwoma krzesłami.

Przez całą drogę „marszu pamięci” z cmentarza na stację Radegast, gdzie odbyła się kolejna część uroczystości, jego uczestnikom towarzyszyli harcerze i harcerki, w razie potrzeby chętni do udzielenia pomocy. Miłym zaskoczeniem był stosunek mieszkańców Łodzi do odbywających się obchodów. Maszerujący szli wśród wielotysięcznego szpaleru mieszkańców Łodzi, którzy mimo skwaru przyszli, by zademonstrować solidarność z ocalonymi. W tym honorowym szpalerze ludzkiej solidarności dostrzegłem dwie starsze kobiety, z których jedna nie mogła opanować łez. „Nie płacz, to nie wypada” – upomniała ją towarzysząca. „Ale ja nie mogę się opanować. Ja muszę taką osobę dotknąć”

– dodała i podeszła do szeregu, ściskając rękę przypadkowo napotkanej kobiety, którą z całą pewnością widziała pierwszy i ostatni raz w swoim życiu. Taki płynący z najbardziej szlachetnych głębin serca gest jest wymowniejszy niż morze słów. Te dzieci, w harcerskich mundurkach, wychowywani byli przez rodziców, mieszkańców Łodzi. Za to wychowanie, które zawiera ogrom nadziei na przyszłość, należy się tym rodzicom cześć i poważanie.

I wreszcie – sprawa, która przed kilku laty wywołała niemały wstrząs i zamieszanie w Łodzi. Z jednej z wizyt w tym mieście wróciłem do Tel Awiwu zupełnie zbulwersowany. Nie oczekiwałem bynajmniej, by na cześć mojej skromnej osoby wyłożono łódzkie chodniki dywanami czy też rozwieszono w poprzek Piotrkowskiej girlandy kolorowych żarówek. Nie zasłużyłem na to i Łódź nie miała żadnego powodu, by mnie w jakiś szczególny sposób witać. Ale – w moim głębokim przekonaniu – miasto mojego dzieciństwa nie miało też żadnego powodu, by mnie w ciągu mojego kilkudniowego pobytu na każdym niemal kroku obrażać i mi złorzeczyć. A takie uczucie towarzyszyło mi niemal na każdym kroku. W którą stronę spoglądałem, moje oczy natrafiały na napisy, które koniecznie chciały we mnie ugodzić. Dokądkolwiek odwracałem wzrok, napotykałem rysunki hitlerowskiej swastyki, wymalowane hasła (w języku niemieckim!) „Juden raus!”, rysunki gwiazdy Dawida na szubienicy itp. Chwilami byłem po prostu w szoku, bo odnosiłem wrażenie, że czas się cofnął i Łódź nazywa się nadal Litzmannstadt.

Rezultatem tego szoku było napisanie *Listu otwartego do mieszkańców Łodzi* z apelem o zmycie hitlerowskiej hańby z murów miasta. List ten przedłożyłem zarządowi Związku Byłych Łodzian w Izraelu z propozycją, by go firmował i rozesłał do wszystkich mediów w tym mieście. Mogłem, rzecz jasna, napisać na ten temat artykuł, w którym dałbym upust moim uczuciom i mojemu wzburzeniu, ale było kilka powodów, dla których myśl tę odrzuciłem. Po pierwsze – nie miałem żadnej pewności, że któraś z łódzkich gazet gotowa byłaby artykuł taki zamieścić i wcale nie było wykluczone, że zamiast na łamy gazety trafiłby on do redakcyjnego kosza. Po drugie – artykuł taki w najlepszym wypadku ukazałby się na dalszych stronach w jednej z kilku gazet ukazujących się w Łodzi. Zapoznaliby się więc z nim jedynie czytelnicy tej gazety. Po trzecie – głos pojedynczego byłego łodzianina nie wywarłby na owych czytelnikach zbyt głębokiego wrażenia. W najlepszym wypadku czytelnicy ci podzieliliby moje oburzenie. I na tym koniec. A ja chciałem nie tylko dać upust mojemu oburzeniu, ale przede wszystkim spowodować radykalną zmianę sytuacji.

Postanowiłem więc zastosować pewne taktyczne posunięcie, które dało znaczną gwarancję, że wszystkie łódzkie media, które list otrzymają, ustosunkują się do niego z całą powagą i zamieszczą go nawet na dość eksponowanym miejscu. Zdobyłem numery faksu wszystkich łódzkich redakcji – gazet, radia i telewizji – oraz wielu instytucji i osób, które w moim przekonaniu powinny się ustosunkować do sprawy odrodzenia

hitlerowskich haseł w Łodzi. Wysłałem wszystkim zredagowany przeze mnie i zatwierdzony przez zarząd Związku Byłych Łodzian w Izraelu *List otwarty do mieszkańców Łodzi*. List ten wysłałem w niedzielę 30 stycznia 2000 roku. Z własnego doświadczenia dziennikarskiego wiedziałem, że numer gazety na dzień następny przygotowywany jest w niedzielę wieczorem i w nocy, gdy w redakcji jest bardzo małe grono dziennikarzy, często bez obecności naczelnego redaktora czy jego zastępców. Aby zapewnić, że dyżurny redaktor nie wrzuci tego listu do kosza, ale powiadomi o jego otrzymaniu oraz o jego treści swoich przełożonych, a może nawet naczelnego redaktora, na wszystkich kopiach wysłanego listu zamieściłem pełny spis adresatów. To zmniejszało do minimum niebezpieczeństwo zignorowania listu przez kierownictwo każdej z redakcji, które go otrzymały. Jeśli nazajutrz rano okaże się, że jego gazeta list zignorowała, a inna gazeta go opublikowała, znajdzie się w dość niewygodnej sytuacji. To samo dotyczyło radia i telewizji oraz czołowych osobistości łódzkich, od których oczekiwać należało ustosunkowania się do problemu poruszonego w liście.

W tym liście byli żydowscy łodzianie zwrócili się do obecnych mieszkańców miasta z bolesnym pytaniem, dlaczego godzą się na to, by w 55 lat po zakończeniu niemieckiej okupacji miasto znów wyglądało niczym hitlerowski Litzmannstadt, tym razem za sprawą polskich rąk. W liście otwartym mieszkańcy miasta czytali:

W okresie II wojny światowej i kilkuletniej okupacji hitlerowskiej zginęło, na skutek działań wojennych oraz eksterminacyjnej polityki hitlerowskich zbrodniarzy, ponad 6 milionów obywateli polskich. Połowę tej liczby ofiar hitleryzmu stanowili Żydzi, a połowę – Polacy-chrześcijanie, wśród nich wielu mieszkańców Łodzi. Obecne hitlerowskie napisy na murach Waszego miasta, zupełnie niezależnie od celów i intencji ich autorów, wychwalają dzieło zbrodniczego okupanta nie tylko w odniesieniu do żydowskich mieszkańców Łodzi, ale także wobec polskich mieszkańców Łodzi... Czy nie uważacie, że swastyka i hitlerowskie hasła na murach Waszego miasta stanowią straszliwe zbezczeszczenie pamięci ofiar hitleryzmu – nie tylko łódzkich Żydów, ale także łódzkich chrześcijan, którzy padli z rąk hitlerowskich siepaczy? Więc jak możecie przechodzić obojętnie obok tych napisów? Czy nie czujecie, że garstka ludzi bez sumienia i bez rozumu, wychwalając hitlerowskich okupantów Łodzi, pluje Wam w twarz? Dlaczego nie protestujecie przeciwko temu? Dlaczego nie robicie wszystkiego, co jest możliwe, aby zmyć hańbę, jaką okrywają Was i Wasze miasto ludzie bez czci, wiary i godności?

Oddźwięk na ten dramatyczny apel był wręcz niezwykły. W Łodzi dosłownie zawrzało. Nazajutrz po opublikowaniu listu otwartego, 1 lutego 2000 roku, „Dziennik Łódzki” napisał na pierwszej stronie: *Czytelnicy „Dziennika” poruszeni listem Związku Byłych Mieszkańców Łodzi w Izraelu – Hańba na murach*. Gazeta przytoczyła wypowiedzi dziesiątków mieszkańców miasta – od czołowych polityków aż po „szarych obywateli” – w których wszyscy bez wyjątku w bardziej lub mniej ostrych słowach potępiali *hańbę wypisaną na murach Łodzi*. Łódzki „Super Express” wiadomość na ten temat

zatytułował: *ZMYJ HAŃBĘ Z TEGO MURU* – „Jude raus!”, „Żydy won”, „Żydy do gazu”, „Żydzi, Żydzi, cała Polska się was wstydzi” – *bije po oczach z łódzkich murów...* „Gazeta Wyborcza” swój komentarz zatytułowała *Mur głupoty* i nie zadawalając się słowami, zainicjowała akcję „kolorowej tolerancji”. 4 lutego „Gazeta” zamieściła apel *Pomalujmy Łódź!*. W apelu tym, podpisanym przez redakcję, czytamy:

W poniedziałek łódzkie media opublikowały list byłych mieszkańców Łodzi z Izraela. (...) Wniosek jest jeden: w Łodzi jest wiele napisów na murach, które mają charakter rasistowski, a zwłaszcza antysemicki... Bardzo wielu łodzian ten fakt zasmuca i irytuje. Wielu chciałoby coś z tym zrobić, ale nie wie, jak się do tego zabrać. Proponujemy: pomalujmy Łódź! Zamalujmy okropne, rasistowskie napisy i symbole na łódzkich murach. Liczymy na młodzież, studentów, nauczycieli i wykładowców akademickich, księży, muzyków i piłkarzy obu piłkarskich klubów, którzy są za tym, aby „wykopać rasizm ze stadionów”. Mamy nadzieję, że w akcji uczestniczyć zechcą wszystkie łódzkie media. Zróbmy to razem!

Odzew był wyjątkowy. Wiele firm oraz osób prywatnych zadeklarowało pomoc, m.in. w postaci zakupu farb czy pędzli. W wielkiej hali sportowej odbył się uroczysty koncert na cześć uczestników akcji „zmywania hańby” z murów miasta, w którym nieodpłatnie wystąpiły najpopularniejsze w Łodzi zespoły. 21 marca do ustalonych punktów zgłosiły się setki łodzian – w znacznej części młodzież – by własnymi rękami zmyć z murów obraźliwe (zarówno dla Żydów, jak i dla Polaków) napisy i rysunki.

Słyszałem opinię, że o wiele łatwiej jest zamalować czy zmasać obraźliwe antyżydowskie napisy niż przekształcić ludzką mentalność. Wydawać by się mogło, że jest w tym twierdzeniu sporo prawdy. Zresztą gdy w mieście odbywały się uroczystości dla upamiętnienia żydowskich ofiar hitlerowskiego okupanta, na murze jednego z domów przy ulicy Włókienniczej (dawnej sławetnej Kamiennej), niedaleko zbiegu z ulicą Wschodnią przeczytałem wielki napis „Żydzi zapłaćcie za gaz – Juden raus”. Tym razem jednak napis ten nie wstrząsnął mną tak, jak podobne w duchu napisy, które widziałem kilka lat wcześniej. W międzyczasie przekonałem się bowiem, że mimo swej ohydy napis ten i jemu podobne nie odzwierciedlają poglądów i uczuć dzisiejszych łodzian. A to wszystko, co wydarzyło się w Łodzi pod koniec sierpnia, masowy udział młodzieży w uroczystościach dla upamiętnienia ofiar z łódzkiego getta, pozwalają żywić nadzieję, że w zmaganiach rozsądku z głupotą, ludzkich uczuć ze zbydlęcieniem, zwycięstwo odniesie dobro, a nie zło, bo wbrew nadziejom garstki ideowych „sierot po Hitlerze” ich szaleńcze bazgroły na murach łódzkich domów nie mają i mieć nie będą żadnego głębszego wpływu na ludzi.

Aleksander Klugman

Pierwodruk: „Tygiel Kultury” 10-12/2004



Cykłodrom przy ulicy Przejazd (obecnie Tuwima); aut. B. Wilkoszewski, 1896



Lublinek – kadeci szkoły lotniczej na terenie lotniska; aut. E. Budlewski, 1934



Marek Budziarek

Mozaika wyznaniowa Łodzi

Piękne jest to, czego nie ma
J. Rousseau

Specyfika Łodzi zawsze była wyjątkowa. Wszystkich zadziwiał jej rozwój ekonomiczny i bezprecedensowa kariera miasta wielkoprzemysłowego oraz nietypowy sposób tworzenia rodzimych elit i niespotykana w innych miastach wielość narodowości, kultur i wyznań.

Nawiązano do tego jesienią 2001 roku, gdy w gmachu Muzeum Historii Miasta Łodzi zainaugurowano działalność Towarzystwa na rzecz Dialogu Kultur „Łódź – Ziemia Przyszłości”. Zgodnie z intencją twórców Towarzystwa, odwołano się do historii miasta, zwłaszcza do XIX wieku i pierwszej połowy XX stulecia, kiedy społeczność łódzką tworzyły cztery narody (polski, niemiecki, żydowski i rosyjski) oraz cztery wyznania (katolickie, protestanckie, judaistyczne i prawosławne). Z tego powodu zaprezentowane logo Towarzystwa odnosiło się do fragmentów architektonicznych czterech łódzkich świątyń – cztery znaki mające symbolizować podział religijny łodzian przed laty, a mianowicie romański łuk (neoromańskiej budowli zboru protestanckiego św. Mateusza), krzyżowe sklepienie (neogotyckiej katedry katolickiej św. Stanisława Kostki), „cebulka” z cerkwi prawosławnej św. Aleksandra Newskiego i tablice mojżeszowe z miejscowej synagogi.

Prezentacja historii społeczności łódzkiej jako pewnego rodzaju monolitu wyznaniowego, składającego się z czterech wyznań reprezentujących dwie religie jest pewnym uproszczeniem geografii wyznaniowej Łodzi ostatnich dwóch wieków. Trzy podstawowe wyznania – katolicyzm, protestantyzm i judaizm – absolutnie nie były jednolite. W większym lub mniejszym stopniu były rozbite wewnętrznie, ewaluowały organizacyjnie, tworzyły kolejne elementy mozaiki wyznaniowej naszego miasta, często rywalizowały między sobą w „pozyskiwaniu dusz”. Tylko prawosławie stanowiło względny monolit organizacyjny.

Panorama wyznaniowa Łodzi daleko wykraczała poza ogólne określenie jednolitości. Charakterystyczną cechą katolicyzmu, protestantyzmu i judaizmu łódzkiego było ich wewnętrzne rozbieżności, widoczne zwłaszcza w łonie protestantyzmu. Każda z tych grup wyznaniowych odcisnęła swe niezatarte piętno w historii Łodzi.

Do ósmej dekady XIX stulecia Kościół katolicki w zasadzie nie był targany wewnętrznymi rozdarzeniami. Dopiero doktrynalne rozwiązania przyjęte na Soborze Watykańskim I (w 1870 roku) doprowadziły do powstania ruchu starokatolickiego. Ale nie miał

on większego wpływu na funkcjonowanie katolicyzmu polskiego. Natomiast przełom stuleci spowodował pojawienie się na ziemiach polskich ruchu mariawickiego, który ze względów organizacyjnych w pierwszej dekadzie XX wieku zmuszony został do nawiązania łączności z Kościołem starokatolickim.

Od 1906 roku zapął organizacyjny duchownych mariawickich, wyjątkowa aktywność wiernych, a przede wszystkim skromność, ubóstwo, żarliwość religijna i wrażliwość na potrzeby innych spowodowały powstanie i niesamowity wprost rozwój miejscowej parafii mariawickiej św. Franciszka z Asyżu. W 1909 roku była to już wspólnota licząca 40.000 wiernych (rekrutująca się przede wszystkim z mieszkańców najuboższej dzielnicy Łodzi – Bałut) i posiadająca cztery parafie, w nich murowane świątynie, domy ludowe, żłobki, przedszkola, darmowe kuchnie i sklepy spożywcze, drukarnię, księgarnię i szkołę. Ta żywotność miejscowej diaspory stała się asumptem do utworzenia w Łodzi w 1910 roku biskupstwa mariawickiego.

Ruch mariawicki, zyskujący wielu wyznawców wśród robotników Łodzi, był zwalczany przez kler katolicki, który inspirował i podsycił wystąpienia przeciw „mankietnikom” – jak obraźliwie nazywano mariawitów. Pamiętać także trzeba, że przed I wojną światową to wyznanie hołubiły władze carskie, upatrujące w nim czynnika rozbijającego jedność rzymskiego katolicyzmu.

Niebywały rozwój Starokatolickiego Kościoła Mariawickiego skutecznie zahamowany został w latach 20. XX w. Była to konsekwencja bardzo aktywnej działalności duszpasterskiej Kościoła rzymskokatolickiego, a zwłaszcza erygowania w 1920 roku diecezji łódzkiej. Nadto administracja państwowa prowadziła akcję dezawuowania środowiska mariawickiego. Organizowane publiczne procesy duchownych mariawickich (oskarżanych o bluźnierstwo, zdradę państwa, socjalizm, pospolite przestępstwa) zohydzały w oczach społeczeństwa polskiego całą myśl, duchowość i działalność mariawicką. Ponadto wprowadzenie przez samych mariawitów nowości liturgicznych i dogmatycznych, a zwłaszcza usankcjonowanie małżeństwa duchownych, spowodowało rozbieżność samego ruchu mariawickiego na Starokatolicki Kościół Mariawitów (znacznie liczniejszy i aktywniejszy duszpastersko) oraz Kościół Katolicki Mariawitów (funkcjonujący na marginesie życia społecznego). Poza tym kwestie ambicjonalne w łonie hierarchii ograniczały zdecydowanie ekspansywność apostolską i tłumiły w sposób naturalny aktywność misyjną oraz zakres prozelityzmu. Wszystko to doprowadziło do zamknięcia się wiernych w małym, stopniowo starzejącym się kręgu.

Wspólnotę mariawitów tworzyli wyłącznie Polacy uprzednio należący do Kościoła rzymskokatolickiego. Tę samą proveniencję narodową i wyznaniową posiadali członkowie Polskiego Narodowego Kościoła Katolickiego, którego ideę przeszczepiono na ziemię polskie po 1918 roku ze Stanów Zjednoczonych. W Łodzi rozpoczęli oni swą działalność w 1927 roku. Podkreślali nakaz miłości i obowiązek czynnego działania na rzecz odrodzonej Ojczyzny, używali języka polskiego w liturgii, aktywnie działali na płaszczyźnie charytatywnej. Stałe propagowanie ubóstwa Kościoła, a zwłaszcza



(Kościół ewangelicki pw. Św. Jana Ewangelisty; pocztówka z początku XX w.)

aktywną. Oni to właśnie w największym stopniu przyczynili się do stworzenia Łodzi fabrycznej, a później przemysłowego ośrodka o charakterze europejskim. Ich świątynia przy Rynku Nowego Miasta stała się na długie dziesięciolecia symbolem nowych czasów i kształtowania rodzącej się metropolii. Hołubieni przez władze Królestwa Polskiego, najwcześniej uświadomili sobie potrzebny społeczne, kulturalne, a zwłaszcza oświatowe. Z miejscowych wspólnot parafialnych wyszły inicjatywy budowania szpitali, przytułków i domów dla sierot. Przy parafiach luterzańskich istniały znakomicie prowadzone chóry i orkiestry dęte. Ewangelicy byli również inicjatorami założenia łódzkich klubów sportowych, straży pożarnej i chrześcijańskich związków zawodowych.

W obrębie Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego przez długi czas pozostawali herrnhuci, nazywani też Braćmi Morawskimi. Posiadali swoje domy modlitwy, w których zbierali się na nabożeństwa modlitewne. Mieli również swoich kaznodziejów, nieraz byli nimi kantorzy i organiści parafialni, organizowali także dni pieśni

bezpłatna obsługa duszpasterska, stały się przyczyną szybkiego wzrostu liczebnej wspólnoty polskokatolickiej w społeczeństwie łódzkim. Ale wspólnota ta liczyła w dwudziestoleciu międzywojennym zaledwie kilkaset osób.

Kościół rzymskokatolicki stanowił stabilny i masowy element życia społecznego na ziemiach polskich. W Łodzi skupiał większość wiernych narodowości polskiej, wielu niemieckiej i czeskiej, choć nie zawsze był najaktywniejszy. Niemniej jego wpływ na miejscowe społeczeństwo był wyjątkowy, mimo antykościelnej polityki zaborcy carskiego.

Protestantyzm z kolei był tym wyznaniem chrześcijańskim, które od początku swojego istnienia nie było jednolite doktrynalnie i organizacyjnie. Widać to było także w Łodzi.

Osadnicy niemieccy i ich potomkowie wyznania luterńskiego stanowili w I połowie XIX w. grupę najbardziej

religijnej oraz święta puzonistów. Kolebką tego ruchu była wieś Nowosolna, ale Łódź stała się w połowie XIX w. głównym centrum tego ruchu i ich działalności misyjnej i ewangelizacyjnej. Poza Łodzią żywiołową pracę duszpasterską prowadzili także w Pabianicach i Zduńskiej Woli.

Poza luteranami działały w Łodzi także inne grupy wyznaniowe wywodzące się z tzw. drugiej reformacji. Z kręgu miejscowych luteran w końcu lat 60. XIX w. wyodrębnił się „zbór wierzących i ochrzczonych świadomie”, którego członków potocznie nazywano baptystami. W swym oddziaływaniu apostolskim kładli oni nacisk bardziej na duszpasterskie niż narodowe oddziaływanie. Ta grupa wyznaniowa, obejmująca przede wszystkim niższe i średnie warstwy miejscowego społeczeństwa, rozrastała się w sposób niebywale szybki. W 1869 roku liczyła 71, a w roku następnym już ponad 100 osób. Ich akcja misyjna bazowała wyłącznie na grupie ewangelików łódzkich. Bliska doktryna teologiczna, podobne praktyki religijne, analogiczne motywy działania ewangelizacyjnego. Początkowo więc nie traktowano ich w łonie miejscowych protestantów jako „nowinkarzy”, a nawet cieszyli się przychylnością miejscowego pastora luterskiego.

Działalność baptystów była wielopłaszczyznowa, choć wyjątkowy nacisk położony został na akcję misyjną i charytatywną. Pracę duszpasterską prowadzono w czterech zborach istniejących od początku XX w. na terenie miasta. Istnienie dwóch seminariów baptystycznych, wydawnictwa „Kompas” i nowoczesnej drukarni (obecnie Drukarnia Wojskowa przy Gdańskiej) pozwoliło stworzyć w Łodzi potężne centrum pracy misyjnej baptystów polskich. Z kolei w szpitalu „Betlejem” (lecznicy chirurgicznej i położniczo-ginekologicznej przy Podleśnej 15 – obecnie Marii Skłodowskiej-Curie), jednym z najlepiej wyposażonych szpitali specjalistycznych, realizowano nakazy miłości i braterstwa wypływające z Ewangelii Chrystusowej.

W początkach października 1893 roku do Łodzi przybyła z Wołynia pierwsza grupa adwentystów. Śpiew, modlitwa, głoszenie bliskiego powrotu Jezusa Chrystusa, a zwłaszcza święcenie sobót zwróciły uwagę łódzian, przede wszystkim pochodzenia niemieckiego, przynależnych do Kościoła baptystów. Ale dopiero w 1896 roku założono pierwszy zbor, w którym organizowano publiczne odczyty ewangelizacyjne i lekcje biblijne. Efektem tych działań był stopniowy wzrost liczby członków zboru. W 1905 roku liczył on 24 dorosłych ochrzczonych (nie licząc dzieci i sympatyków nowego ruchu ewangelizacyjnego). Po pokonaniu pewnych perturbacji związanych z wydarzeniami rewolucyjnymi, mającymi miejsce w naszym mieście w latach 1905-1907, społeczność adwentystyczna nie tylko utrzymała swą jedność, ale nawet powiększyła swój stan osobowy. W chwili wybuchu I wojny światowej łódzki zbor liczył 60 osób.

W dwudziestoleciu międzywojennym adwentyści bez większych przeszkód prowadzili pracę apostolską. W latach 1923-1926 łódzka wspólnota posiadała pierwszego w Polsce zarejestrowanego duchownego adwentystycznego. Choć członkowie tej wspólnoty rekrutowali się przede wszystkim ze środowiska niemieckich protestantów, to jednak kwestie narodowościowe w tym środowisku nie odgrywały większej roli.

W pierwszych latach czwartej dekady XX w. w łonie adwentyzmu polskiego doszło do rozłamu na tle nieścisłości życia wiernych z zasadami zawartymi w Piśmie Świętym. W jego efekcie powstał Kościół Ewangelicznych Chrześcijan Dnia Sobotniego. Autonomiczny zbor zorganizowano także w Łodzi. Liczył on kilkanaście rodzin, a nabożeństwa odbywały się w domach prywatnych.

W 1913 roku na Chojnach zawiązała się pierwsza grupa osób zainteresowanych badaniem Pisma Świętego. Działała ona w oparciu o reskrypt generał-gubernatora warszawskiego, ale podczas I wojny światowej wspólnota ta uległa rozproszeniu. Jednakże na tej bazie w 1919 roku stworzono w Łodzi silny ośrodek Badaczy Pisma Świętego – ruchu religijnego nawiązującego do antytrynitaryzmu chrześcijańskiego. W wynajętych salach kinowych, teatralnych oraz w Filharmonii Łódzkiej organizowano odczyty na temat Biblii. W latach 1921-1923 wykłady publiczne prezentowano w teatrze „Skala” przy Cegielnianej 18 (obecnie Więckowskiego 15).

W 1923 roku powstał w mieście samodzielny zbor Badaczy Pisma Świętego, który w dwa lata później dysponował stałą salą zebrań na zapleczu posesji przy Piotrkowskiej 108. Tu też w 1930 roku przeniesiono z Warszawy biuro koordynujące działalność ewangelizacyjną w skali całej Polski. Działalność charytatywna, jaką prowadzili wśród biednych i bezrobotnych łódzian, spowodowała poważny wzrost liczebny miejscowego zboru, mieszczącego się wówczas przy Wólcząńskiej 129. W nim odbywały się wykłady i wspólne studia biblijne prowadzone w języku polskim i niemieckim.

Z kolei rozłam, jaki nastąpił w łonie tego ruchu w 1924 roku, spowodował powstanie w Łodzi centrum Zjednoczenia Badaczy Pisma Świętego. Od 1932 roku mieściło się ono w budynku przy Rzgowskiej 24. Tu też istniała redakcja wydawnictwa „Straż”, które posiadało własną drukarnię. W 1938 roku lokalna administracja państwowa zakazała członkom wspólnoty akcji apostolskiej, a pomieszczenia Biura Krajowego opieczętowano. W 1931 roku z tego ruchu wyłonił się Świecki Ruch Misyjny „Epifania” oraz Zrzeszenie Świadków Jehowy.

Całkowicie polski rodowód – sięgający jeszcze XVI w. – reprezentował Kościół Ewangelicko-Reformowany. Kalwiniści pojawili się w Łodzi dość późno, a ich wspólnota była nieliczna. Początkowo wszystkich zwolenników Mistrza z Genewy było zaledwie 500. Pierwszym administratorem filiału łódzkiego (powstałego w 1888 roku, do rangi zboru podniesionego w 1904 roku) został niezwykle aktywny duszpasterz, pastor Władysław Semadeni. W lokalu parafialnym odprawiano 12 nabożeństw w roku (11 w języku polskim i jedno po niemiecku). Problemów narodowościowych w łonie zboru nie było – od samego początku miał on jednoznacznie propolskie nastawienie.

Wspólnota łódzkich kalwinistów, przynależna do jednoty warszawskiej Kościoła Ewangelicko-Reformowanego, była nieliczna, ale bardzo skutecznie odpowiadała aktualnym potrzebom lokalnej społeczności. Kryzys ekonomiczny lat 30. XX w. spowodował całkowite otwarcie się na potrzeby drugiego człowieka. Na cele charytatywne przeznaczano znaczne fundusze, zubażając inne dziedziny życia parafialnego. Istniejącą

od 1905 roku szkołę kantorską zamknięto tylko dlatego, że należało rozpocząć akcję dożywiania dzieci. Towarzystwo Kulturalne i biblioteka zaprzestały swej działalności, zrezygnowano z miejscowego kantora, a nawet wstrzymano prace budowlane przy wznoszeniu nowej świątyni, bowiem wszystkie fundusze przeznaczano na wspomaganie potrzebujących.

W geografii wyznaniowej środowisko protestantów łódzkich w XIX i XX stuleciu było najbardziej rozbite wewnętrznie. Oczywiście wśród nich prym wiedli luteranie jako grupa wyznaniowa najliczniejsza i bodaj najwyższej stojąca pod względem ekonomicznym. W oddziaływaniu apostołskim jednak nie ustępowali im baptyści i kalwiński. Charakterystycznym jednak wyznacznikiem ich historii było systematyczne, rozłożone w czasie wyłanianie się poszczególnych grup wyznaniowych. Każda następna oczywiście była mniejsza od poprzedniej, a zakres jej oddziaływania apostołskiego obejmował mniejszy krąg łodzian.

Spółeczność żydowska zaczęła zasiedlać Łódź w końcu XVIII w., ale do II połowy XIX w. nie nadawała tonu miastu nad Łódką. Trzymała się swych wiekowych zwyczajów podporządkowanych w całości prawu mojżeszowemu. Wyróżniała się nie tylko tradycyjnym strojem i odmiennym językiem, spotykała się w odrębnych świątyniach – bożnicy przy Dworskiej (a później przy Wolborskiej) – ale sama izolowała się od reszty miejscowego społeczeństwa. Utworzony w 1825 roku w południowej części Starego Miasta rewir żydowski był podwójnie izolowany. Przez długie lata skutecznie przeciwstawiając się jakimkolwiek próbom asymilacyjnym, Żydzi izolowali się od reszty łodzian. Także katolicko-protestanczy łodzianie stawiali skuteczne bariery wychodzącym poza wspomniany rewir Żydom. Nadto należeli oni do tego kręgu cywilizacyjnego, który kładł nacisk na ścisłe przestrzeganie przepisów religijnych.

Po upadku powstania styczniowego daje się zauważyć poważne zróżnicowanie ekonomiczne w łonie społeczności żydowskiej, a także likwidację przez władze carskie istniejących ograniczeń w życiu publicznym. Grupa bogatych Żydów stopniowo ulegała prądom asymilacyjnym, emancypowała się ekonomicznie i uświadamiała sobie inne niż tylko religijne potrzeby. Wyrazem tych dążeń było wzniesienie okazałej synagogi przy Spacerowej (dziś al. Kościuszki), którą łodzianie nazywali „niemiecką”, „synagogą Żydów postępowych” lub „synagogą Żydów liberalnych”. Przymiotniki te odnosiły się przede wszystkim do realnego podziału lokalnej społeczności żydowskiej: ortodoksyjnej mieszkającej na Bałutach i chodzącej do tamtejszej synagogi „mauretańskiej, oraz „postępowej”, uczęszczającej na modlitewne spotkania do synagogi w centrum miasta. Miejscowa wielka i średnia burżuazja żydowska, jeżeli zrywała z chasydyzmem, ulegała stopniowej germanizacji, zafascynowana kulturą i potęgą ekonomiczną Niemiec. Z drugiej strony środowisko ortodoksyjnych Żydów nie chciało wybaczyć liberalizującym się współrodakom porzucenia przez nich nakazów religijnych i „nowoczesnego” sposobu postępowania.



W tle synagoga Alte Sztil przy ul. Wolborskiej, główna synagoga łódzkiej gminy żydowskiej; aut. nieznan, okres międzywojenny

Antagonizmy w środowisku żydowskim wystąpiły zwłaszcza w ostatniej dekadzie XIX w., kiedy w Łodzi pojawili się „litwacy”. Uciekając przed pogromami na Litwie, Żydzi ci stworzyli w Łodzi odrębne środowisko społeczne i ekonomiczne. W niedługim czasie stali się dla grupy Żydów łódzkich konkurencyjni na polu ekonomicznym. Dysponowali bowiem poważnymi kapitałami i odznaczyli się wielką przedsiębiorczością. Ponadto była to społeczność ukształtowana w odmiennych warunkach kulturowych, w dużym stopniu zrusyfikowana i wewnętrznie zróżnicowana. Środowisko to nie było związane z polską tradycją i obojętnie odnosiło się do niepodległościowych dążeń Polaków. Zwalczało jednocześnie program asymilacji ludności żydowskiej i popierało prądy nacjonalistyczne wśród Żydów, zasilając ruch syjonistyczny. Jego przedstawiciele, zwłaszcza ludzie młodzi, wykazywali zainteresowanie także sprawami społecznymi i dość często wiązali się z ruchem rewolucyjnym.

Stawianie znaku równości pomiędzy narodowością a wyznaniem w Łodzi dwóch ostatnich stuleci wydaje się być jednak zabiegiem dość ryzykownym, jako że podział narodowościowy społeczeństwa zamieszkującego nasze miasto w XIX i XX w. absolutnie nie pokrywał się z podziałem wyznaniowym. Z zachowanych materiałów wynika, iż w mieście więcej było katolików niż Polaków oraz mniej Niemców niż protestantów. Znaczna część niemieckich imigrantów pochodzących ze Śląska, Czech i Saksonii była wyznania katolickiego. Z kolei pewna część nowo przybyłych, choć wyznania protestanckiego, w sposób jednoznaczny podkreślała swą polską narodowość. Jedynie w przypadku Żydów i Rosjan można mówić o jednoznacznej identyfikacji narodowościowo-wyznaniowej.



Cerkiew garnizonowa
Św. Aleksego;
aut. nieznanym, 1912

Dalekie od rzeczywistości jest także uwypuklanie wkładu w tworzenie Łodzi – europejskiej metropolii przemysłowej – czterech narodów i religii. A to dlatego, że tylko trzy narody (polski, żydowski i niemiecki) oraz trzy wyznania (katolicyzm, judaizm i protestantyzm) stworzyły to miasto. Rosjanie i prawosławni zaledwie uczestniczyli w życiu tego miasta w końcu XIX w. Pojawili się bowiem w Łodzi, gdy już istniała metropolia przemysłowa i funkcjonowali w niej aktywnie tylko do wybuchu I wojny światowej, a więc zaledwie kilka dekad. Natomiast jeżeli już przyjmiemy fakt, że w jakimś stopniu odcisnęli swe piętno na przeszłości miasta (zwłaszcza jako przedstawiciele aparatu administracyjno-policyjno-wojskowego), należałoby się zastanowić, czy do czterech symboli religijnych w logo Towarzystwa „Łódź – Ziemia Przyszłości” nie dołączyć minaretu muzułmańskiego, jako że islamiści także w Łodzi funkcjonowali. I była to społeczność wcale nie mała, miała swój własny cmentarz (dziś oczywiście nieistniejący) i wydzielone miejsce do publicznych spotkań modlitewnych.

Marek Budziarek

Pierwodruk: „Tygiel Kultury” 10-12/2003



Paweł Samuś

Ziemia obiecana, złe miasto czy mała ojczyzna Polaków, Niemców, Żydów?

W piśmiennictwie i tradycji ustnej Łódź zyskała sobie różne miana. Pisano i mówiono z podziwem o wielkim awansie Łodzi, która w warunkach kapitalistycznych w niezwykle tempie rozwinęła się z małego miasteczka w potężny ośrodek przemysłowy i miejski. Dlatego też w ślad za współczesnymi obserwatorami nazywano ją „polskim Manchesterem”, „Manchesterem Wschodu”, a niekiedy również „niemieckim Manchesterem”.

Szczególną popularność zdobyło określenie „Ziemia obiecana”, od tytułu powieści Władysława Stanisława Reymonta cieszącej się dużym i niesłabnącym zainteresowaniem od momentu ukazania się drukiem w końcu ubiegłego stulecia (dziś to metaforyczne określenie zostało dodatkowo spopularyzowane dzięki znanej adaptacji filmowej w reżyserii Andrzeja Wajdy). Metafora ta – mająca w języku niemieckim swój odpowiednik w sformułowaniu „Lodz, das gelobte Land” – obok wydzwiku ironicznego, na który składa się ukazana wizja miasta-molocha, będącego miejscem bezwzględnej walki o byt i bezlitosnego wyzysku polskiego robotnika przez żydowskich i niemieckich fabrykantów, posiada również konotacje pozytywne, i to nie tylko w ustach lub pod piórem przedstawicieli tych środowisk społecznych i narodowościowych, którym powiodło się w Łodzi – jawiła się ona także „ziemią obiecaną” dla niejednego z napływających do miasta robotników polskich.

Dziennikarz i nowelista Zygmunt Bartkiewicz nazwał Łódź „złym miastem”. W tomie reportaży pod takim tytułem (1911) portretował nędzę środowisk proletariackich w mieście i ukazywał wydarzenia rewolucyjne jako walkę robotników polskich z obcym narodem kapitałem, podkreślając, że *Łódź od wsi polskiej wzięła nazwanie, wrogom Polski dala przytułek*. Notabene we współczesnej literaturze niemieckiej możemy spotkać określenie: „Lodz, die ungeliebte Stadt” (Łódź, niekochane miasto) – współbrzmiające ze sformułowaniem Bartkiewicza.

Na początku naszego stulecia Stefan Górski w książce *Łódź społeczna. Obrazki i szkice publicystyczne* pisał o Łodzi jako o *naszej stolicy przemysłowej, krainie plutokracji, mieście, w którym pierwiastek swojski bierze górę nad opozycją niemiecką*. Po kilku zaś latach (w 1908 roku) w innej pracy konstatował, że *Łódź nadal uchodzi za stolicę, jak jedni chcą, przyszłego Neudeutschlandu, inni Marchii Warszawskiej*. Tymczasem

dla współczesnych nam historyków niemieckich Łódź to „miasto spotkania narodów” („Lodz – die Stadt der Völkerbegegnung”).

W publicystyce ruchu socjalistycznego Łódź przełomu wieków i okresu międzywojennego to przede wszystkim miasto robotnicze, miejsce wyzysku proletariatu i „poligon doświadczalny” polskiego ruchu robotniczego. Pisano wiersze i śpiewano pieśni rewolucyjne o *mieście czerwonych kominów [...], walki czerwonej jak krew [...], roku piętego barykad wśród dymu* czy po prostu o „Czerwonej Łodzi”. Używano tej metafory nie tylko z aprobatą, ale i z przekąsem, przy czym, jak to często bywa ze stereotypami, także i ten stereotyp bywał nierzadko daleki od rzeczywistego układu sił politycznych w środowiskach robotniczych miasta.

Dziennikarz i poeta Artur Gliszczyński, piewca przemysłowej Łodzi, zwany też „pieśniarzem niedoli fabrycznego ludu”, w jednym ze swych wierszy wygłosił pochwałę Łodzi jako *dumnego grodu, twórczej pracy znaku, chluby-chwały matki ziemi twej*, czyli kraju rodzinnego. Natomiast w utworze scenicznym pt. *Ł* (1907) dokonał takiej autoprezentacji miasta wobec jej mieszkańców: *Jestem dobra wasza macierz, żywicielka, drużka wasza i twórczyni wszystkich istnień od suteryn do poddasza [...]. Jestem pani Łódź.*

Czy Łódź stała się ową „macierzą”, czyli ojczyzną dla wszystkich swoich mieszkańców niezależnie od ich pozycji społecznej i narodowości? Czy też może była miastem, w którym Polacy, Niemcy i Żydzi oraz inne grupy narodowościowe tworzyły odrębne wspólnoty, posiadając tu swoje oddzielne „małe (prywatne) ojczyzny”?

Poszukując odpowiedzi na te i inne pytania związane z tematem tego szkicu, natknąłem się na spore trudności. W historiografii polskiej ostatnich lat obserwujemy wprawdzie wzrost zainteresowania problematyką „małych ojczyzn”, czego wyrazem są choćby bardzo interesujące publikacje np. pióra Romana Wapińskiego. Jednakże pomimo istnienia bogatej literatury poświęconej dziejom Łodzi w istocie stan badań w zakresie sygnalizowanych wyżej aspektów historii miasta i jego społeczeństwa można określić chyba co najwyżej jako zaczątkowy. Dlatego też i mój szkic nie może rościć sobie pretensji do wyczerpania tematu. Jest raczej próbą jego zarysowania, w większym stopniu próbą postawienia zagadnień niż ich rozwiązania.

Pojęcie „mała ojczyzna” – z uwagi na jego nieostrość i wieloznaczność – należy do rzędu tych pojęć, z których precyzyjnym określeniem i opisem mają kłopoty nie tylko historycy, ale i socjologowie. Przyjmijmy jednak dla naszych rozważań za Stanisławem Ossowskim, że *ojczyzna – to nie jest pojęcie geograficzne, które można scharakteryzować bez odwoływania się do postaw psychicznych jakiejś zbiorowości. Obszar jakiś staje się ojczyzną o tyle tylko, o ile istnieje zespół ludzki, który odnosi się doń w pewien sposób i w pewien sposób kształtuje jego obraz. Wówczas dla tego zespołu ów szmat rzeczywistości zewnętrznej nabiera swoistych wartości, które go czynią ojczyzną [...]. Ojczyzna istnieje tylko w rzeczywistości subiektywnej grup społecznych, które są wyposażone w pewne elementy kulturowe. Cechy jakiegos terytorium nie zależą od tego, co kto o nich myśli. Cechy ojczyzny są zawsze funkcją obrazów, które z jej imieniem łączą członkowie pewnej zbiorowości. Jest*

ową zbiorowością z pewnością wspólnota etniczna, ale może też nią być, jak się wydaje, wieloetniczna grupa społeczna na danym obszarze (w mieście lub regionie), powiązana ze sobą i z owym terytorium zbliżonymi postawami psychicznymi (emocjonalnymi).

Ossowski zauważa, że *istnieją dwa typy stosunków pomiędzy człowiekiem i jakimś terytorium, które mogą decydować o tym, że kwalifikujemy to terytorium jako ojczyznę*. Pierwszy typ, wynikający z bezpośredniego stosunku osobistego człowieka do danego środowiska, pozwala określić ten obszar (miejscowość, region) jako „prywatną ojczyznę” czy też – dodając od siebie – „małą ojczyznę”. Jest ona zazwyczaj częścią szerszego obszaru, nazwanego przez Ossowskiego „ojczyzną ideologiczną”. Stosunek człowieka do niej wynika przede wszystkim z żywionego przezeń przekonania o przynależności do tej zbiorowości, jaką jest jego naród zamieszkujący w granicach określonego terytorium, czyli w granicach kraju (lub ziemi ojczystej). „Ojczyzną ideologiczną” jest najczęściej od czasów nowożytnych nowoczesne państwo narodowe, istniejące bądź będące obiektem aspiracji narodu lub jego elit. Jednak w granicach owej „ojczyzny ideologicznej” nierzadko zamieszkują także inne grupy narodowościowe, posiadające odmienne interesy albo wyrażające również swoje aspiracje terytorialne, najczęściej na tzw. pograniczu, mające tutaj, ale i w innych miejscach terytorium danego kraju, swoje „prywatne” czy też „małe ojczyzny”. Człowiek może więc na obczyźnie, czyli poza granicami „ojczyzny ideologicznej”, mieć swoją „prywatną (małą) ojczyznę”, do której przywiązał się emocjonalnie wskutek spędzonych tam wielu lat.

Pojęcia obydwu „ojczyzn” („ideologicznej” i „małej”) oraz ich funkcje nierzadko nakładają się na siebie w naszej świadomości. Za odpowiednik omawianych wyżej pojęć polskich można chyba uznać występujące w języku niemieckim w potocznym użyciu słowa: „Vaterland”, czyli tzw. „ojczyzna ideologiczna”, oraz „Heimat” – jako „mała ojczyzna” („prywatna ojczyzna”). W języku jidysz słowa te brzmią podobnie – „faterland” i „hejmatland”, lecz są one wyrazami stosowanymi zamiennie, bez rozróżnienia dwóch wymienionych wyżej typów pojęcia „ojczyzna”. W naszym przypadku jednak – jak zauważa François Guesnet – w sytuacji żyjącej w diasporze społeczności żydowskiej Łodzi i Królestwa Polskiego w owym czasie zapewne bardziej adekwatnym pojęciem w jidysz na określenie związku Żydów z zamieszkiwanym przez nich terytorium jest „dozigkejt” („tutejsi”).

Autor artykułu objaśniającego pojęcie „Heimat” w jednym z niemieckich leksykonów (*Staatslexikon*, 1927), podobnie jak polscy badacze tej problematyki, zwraca uwagę na postawy psychiczne człowieka. Przypisuje temu terminowi wartości duchowe, wręcz irracjonalny związek wiary, przeżywanie kosmicznego związku człowieka z niebem i ziemią, przyrodą i środowiskiem ludzi, z jego „ojczyzną”, jego „kosmosem” (wsią, miastem, regionem), za który przejmuje obowiązki moralne i współodpowiedzialność.

Trzydzieści lat później w innym niemieckim wydawnictwie encyklopedycznym (*Der Grosse Brockhaus*, 1954) pojęcie „Heimat” („mała ojczyzna”) objaśnia się jako *środowisko, z którym jednostka jest zrosnięta przez urodzenie lub warunki życia*. Podkreśla



Plac Reymonta, przy którym od 1843 r. mieszkał Ludwik Geyer; aut. nieznanymi, lata 30. XX w.

się, że słowo to ma szczególne znaczenie dla Niemców, którym kojarzy się ono z więzią uczuciową z bezpiecznym domem rodzinnym. Oddalenie sprzyja przywiązaniu uczuciowemu do „małej ojczyzny” („Heimatgefühl”), a jest to więź nie tylko z określonym krajobrazem, ale i tradycją, językiem (dialektem), zwyczajami i obyczajami. Kształtowaniu „miłości” i „wierności” wobec „małej ojczyzny” („Heimatliebe” i „Heimattreue”) sprzyja klimat małych i średnich miast, gdzie istnieje świadomość lokalnej historii („lokalen Geschichtsbewusstsein”). Jednak nie jest to czynnik decydujący, jak podkreśla autor encyklopedycznego artykułu, bowiem i nowoczesne miasta przemysłowe mogą stać się „małą ojczyzną”, czego dowodzą postawy ewakuowanych podczas II wojny światowej, którzy utracili swoje miejskie „małe ojczyzny”.

Taką „małą ojczyzną” – a może siedzibą kilku odrębnych „małych ojczyzn” – współzamieszkujących tu Polaków, Niemców, Żydów i zapewne innych grup narodowych stała się także Łódź. Przesłanki, na których opieram to stwierdzenie, można znaleźć w piśmiennictwie historycznym poświęconym Łodzi, pamiętnikach, utworach literackich, piosenkach i relacjach ustnych, a także w innych źródłach, w których zostały odnotowane postawy i reakcje zbiorowe oraz indywidualne mieszkańców miasta wobec różnorodnych wydarzeń i problemów.

Artur Rubinstein, światowej sławy pianista, urodzony w Łodzi, do której przywędrowali jego polonizujący się żydowscy przodkowie, pisał po latach o swej wielkiej miłości do kraju rodzinnego i nostalgii za polskością, a także o uczuciu miłości do

miasta swego dzieciństwa, pomimo dostrzeganych wielu niedostatków cywilizacyjnych w Łodzi końca XIX wieku.

Urodzony w Łodzi wybitny polski poeta Julian Tuwim, pięćdziesiąt lat później wygnany przez zawieruchę wojenną na obczyznę, opiewał Łódź w poemacie *Kwiaty polskie*. Tęskniąc za miastem swego dzieciństwa, lat szkolnych i pierwszych prób poetyckich, malował zapamiętane krajobrazy Łodzi i pobliskich okolic, atmosferę i obyczaje różnorodnych środowisk społecznych miasta, a także obrazy i sceny z obserwowanych tu przezeń wydarzeń historycznych z okresu rewolucji 1905 roku i I wojny światowej.

Aleksy Rzewski, łódzki tkacz i działacz socjalistyczny, pierwszy prezydent Łodzi po odzyskaniu niepodległości, wcześniej za działalność rewolucyjną skazany przez władze carskie, jak setki innych łodzian, na zesłanie, z *czcią pozdrawia!* [...] *Łódź kochaną* i jej *ukochane pamiątki* walki rewolucyjnej i niepodległościowej. Wyznawał, że także inni uchodzący *O, Łodzi, gdy Cię wspomnę – Izy im gorzkie płyną*. Inny robotnik i działacz rewolucyjny, Lucjan Rudnicki, który „za chlebem” przywędrował z Sulejowa do Łodzi i spędził tu kilka lat, związał się z miastem tak trwale pod względem emocjonalnym, że pół wieku później temu silnemu sentymentowi dał wyraz na kartach swej powieści-pamiętnika *Stare i nowe*. Pozwolę sobie przytoczyć jeszcze jedną wypowiedź, a choć dotyczy ona nie tylko Łodzi, ale szerszego terytorium, to przecież choćby z uwagi na osobę jej autora można ją uznać za charakterystyczną również dla – części przynajmniej – Niemców łódzkich. Józef Spickermann, poseł z Łodzi na Sejm Ustawodawczy, podczas posiedzenia polskiego parlamentu w dniu 7 marca 1919 roku złożył w imieniu swoich wyborców następującą deklarację: *My obywatele pochodzenia niemieckiego uważamy Polskę za naszą Ojczyznę, albowiem tu jesteśmy urodzeni, tu spędziliśmy naszą młodość, z ziemią tutejszą jesteśmy związani całym swoim myśleniem, cała nasza psychika jest zupełnie inna niż u Niemców zagranicznych, całą naszą siłę moralną czerpiemy z tej naszej ziemi rodzinnej, tu tylko czujemy się w domu, tylko tu jesteśmy zupełnie swobodni, dlatego chętnie ponosimy wszystko w ofierze dla dobra państwa. [...] Jednego tylko musimy żądać: aby nam pozostawiono w szkole, w domu i kościele nasz język rodowity, w którym porozumiewamy się od urodzenia, w którym także chcemy umrzeć, bo nasza siła moralna związana jest z ziemią rodzinną takimi więzami jak z językiem rodowitym, który uważamy za święty spadek po naszych ojcach i dziadach*. Mówca podkreślał zatem i tak istotną – zresztą nie tylko dla Niemców – kwestię jak funkcja (znaczenie) języka jako ojczyzny. Łódź jako „Heimat” („mała ojczyzna”) to jeden z motywów przewodnich we współczesnej niemieckiej literaturze historycznej poświęconej miastu i okolicy. Niemieccy łodzianie pomimo upływu lat są wciąż silnie związani uczuciowo z miastem swego urodzenia i młodości, z miejscem, gdzie pozostały groby ich przodków. Gromadzą materiały źródłowe i pamiątki, tworzą swoje stowarzyszenia, publikują książki i czasopisma o mieście spotkania narodów i jego ludziach, o sąsiadach Niemców – Polakach i Żydach – oraz ich kulturze.

W Izraelu także istnieje i przejawia aktywność stowarzyszenie łodzian kultywujących pamięć o „swej” Łodzi. Ich stosunek emocjonalny do miasta i jego współczesnych

mieszkańców jest, jak się wydaje, zabarwiony nie tylko ciężkimi przeżyciami związanymi z gehenną wojenną i Holocaustem, ale niekiedy także, niestety, późniejszymi doświadczeniami, zwłaszcza z końca lat 60.

Przytoczone wyżej przykłady i uwagi stanowią, rzecz jasna, zaledwie fragmentaryczną ilustrację problemu sygnalizowanego w tytule szkicu. Zagadnienia kształtowania się postaw omawianej zbiorowości nie sposób opisać bez uwzględnienia tzw. uwarunkowań ekologicznych Łodzi w szerokim rozumieniu tego pojęcia. Do takich zaliczam nie tylko środowisko naturalne (np. położenie miasta, klimat, krajobraz), ale także warunki stworzone przez człowieka, czyli układ przestrzenny i komunikacyjny miasta, jego zabudowę i architekturę, gospodarkę, a ponadto strukturę narodowościowo-wyznaniową oraz społeczno-zawodową ludności (w tym wypadku chodzi zwłaszcza o dynamikę rozwoju demograficznego i antagonistyczny charakter owych stosunków), a wreszcie czynniki prawno-ustrojowe i polityczne oraz ideologiczne (tj. systemy i instytucje państwowe i samorządowe, ideologie i struktury partyjne, instytucje i ośrodki kształtowania opinii publicznej).

To właśnie w określonych warunkach kształtowała się tzw. „zbiorowa dusza miasta”, jego niepowtarzalna natura. To zmienne w czasie „uwarunkowania ekologiczne” przyczyniły się do przyspieszenia lub spowolnienia, a niekiedy nawet zahamowania procesów asymilacyjnych, miały wpływ na utrzymywanie się, pogłębienie lub zmniejszanie dystansów kulturowych polsko-niemieckich, polsko-żydowskich, żydowsko-niemieckich, ale i dystansów w łonie poszczególnych wspólnot etnicznych. Miały one istotne znaczenie dla kształtowania się – zarówno utrwalania, jak i zanikania – tradycyjnych postaci dystansów między społecznościami chrześcijańskimi a ludnością żydowską, dystansów, u podstaw których z pewnością tkwiły z jednej strony na przykład: prymitywizm antyjudajizm i różnice kulturowe (językowe i obyczajowe), a także rozpowszechniony stereotyp Żydów jako wyzyskiwaczy, ale z drugiej – indyferentyzm znacznej części Żydów i ich zamykanie się w obrębie własnej wspólnoty. Sprzyjały lub utrudniały kształtowanie się poczucia „swojskości” i „obcości”, stosunków sąsiedzkich wobec przedstawicieli innych narodowości zamieszkujących na tej samej ulicy lub w tej samej dzielnicy, a było to niekiedy sąsiedztwo pałacu fabrykanckiego czy okazałej kamienicy z domkiem tkacza lub ubogą izbą robotniczą.

Krajobraz architektoniczny Łodzi ukształtowany w okresie jej bujnego rozwoju (do 1914 r.) odzwierciedlał charakter miasta, w którym spotkały się różne narody i wyznania, ale także ujawniły się wielkie kontrasty społeczne. Jego budowniczy, miejscowi i sprowadzeni z zagranicy, stworzyli architekturę będącą mieszaniną różnorodnych form stylistycznych, skrzyżowaniem wpływów i wzorców polskich oraz europejskich, zwłaszcza niemieckich. Krajobraz architektoniczny kreował specyficzną atmosferę i koloryt miasta, przemawiał do wyobraźni mieszkańców i kształtował ich przeżycia estetyczne, w tym także ludzi ze środowisk robotniczych, pochodzących przeważnie ze wsi, utrwalając ich związki emocjonalne z miastem. Taką rolę odgrywała też architektura sakralna Łodzi, odzwierciedlająca tożsamość żyjących tu wspólnot wyznaniowych i narodowościowych. Podobnie łódzkie nekropolie, zarówno chrześcijańskie, jak i żydowskie, gdzie

zapisanych jest tyle samo rozdziałów, co w księdze dziejów miasta. Powiada się przecież niekiedy, że prywatna ojczyzna jest tam, gdzie są groby dziadków, albo też, jak mówią inni, ojczyzna to ziemia i groby.

Burzliwy rozwój demograficzny Łodzi, nie mający odpowiednika w skali polskiej i przewyższający wielokrotnie tempo wzrostu miast przemysłowych w Europie i Ameryce Północnej, miał swoje poważne komplikacje dla organizmu miejskiego i jego społeczności oraz procesów sygnalizowanych wyżej. Rytm życia miasta, w którym niemal wszystko zależało od przemysłu, wymuszał symbiozę wieloetnicznej i wielowyznaniowej społeczności – niemieckiego fabrykanta i majstra tej i innej narodowości, z czasem także polskiej, oraz polskiego robotnika; żydowskiego kupca, rzemieślnika i sklepikarza oraz ich chrześcijańskiego klienta. Życie codzienne, dzień powszedni i świąteczny stwarzały wiele płaszczyzn i okazji do spotkań i wzajemnego poznawania się, kształtowania poczucia swojskości choćby w sferze rozrywki, sportu czy muzyki. Koegzystencję i ową wymuszoną symbiozę – niektórzy nazywają ją symbiozą niesympatyczną – nierazdo zakłócały lub niszczyły polityka państwa zaborczego i potężne konflikty polityczne i społeczne, takie jak polskie powstania narodowe, „bunt łódzki” 1892 roku, rewolucja lat 1905-1907, wydarzenia lat I wojny światowej i polityka władz okupacyjnych. Ale i te wydarzenia, obok podziałów i konfliktów, wyzwalały i wzmacniały nacjonalizmów i uczuć wrogości (obcości), stwarzały niejedną okazję do manifestowania poczucia wspólnoty, związków emocjonalnych z „małą ojczyzną”. Można zaryzykować twierdzenie, że okres do 1918 roku w Łodzi – w zakresie omawianej problematyki – przesądził o tym wszystkim, co miało miejsce potem, choć oczywiście odzyskanie niepodległości było czynnikiem niezwykle ważnym, który zmienił radykalnie rzeczywistą pozycję Polaków oraz ich postawy.

W istocie każdemu z wymienionych wyżej elementów „uwarunkowań ekologicznych” i innych czynników oddziałujących na postawy omawianej zbiorowości i rzutujących na wyobrażenia o „małej ojczyźnie” należałoby poświęcić odrębne studium. W swoim szkicu z oczywistych względów musiałem poprzestać na niektórych tylko, ogólnych konstatacjach.

Paweł Samuś

Pierwodruk: „Tygiel Kultury” 1/1996



Wojciech Górecki

Łódź rosyjska

1

Z okna mieszkania widzi dwie cerkwie – świętego Aleksandra Newskiego i świętej Olgi – i ani jednego kościoła. Przywykł, omiata więc tylko wzrokiem cebulaste kopuły i patrzy na ludzi chodzących po Piotrkowskiej. Przy dobrej pogodzie widać jeszcze ulice Zachodnią i Łąkową, a nawet odległą Retkinię. Dalej rozciąga się pole dla wyobraźni. Wyobraża więc sobie, że za Retkinią, za Europą i za Atlantykiem, na samiułtkim skraju Ameryki, stoi podobny dom, tyle, że z oknami skierowanymi na Wschód. I że tam też ktoś czuwa w tej chwili przy oknie. Ten obraz inspiruje go, twierdzi, dużo bardziej niż ludzie na Piotrkowskiej, nie mówiąc już o cerkwiach.

Kamienica jest stara, stuletnia. Pamięta czasy Mikołaja II, a może nawet Aleksandra III, tego, który zawsze nosił w botfortach płaską butelkę z koniakiem. Łódź była już wtedy wielkim miastem, już przepoczwarzyła się z zapadłej osady w stutysięcznego molocha, już pokryła lasem kominów fabrycznych. (Zawrotny rozwój rozpoczął się w połowie wieku, gdy zniesiono bariery celne między Królestwem Polskim a Cesarstwem i łódzkie perkale mogły trafiać bez przeszkód na nienasycony rynek rosyjski. Odtąd co roku wzrastała produkcja, co kilka-kilkanaście lat podwajała się liczba ludności, z dnia na dzień rodziły się fortuny. Pod koniec wieku Łódź będzie liczyć trzysta tysięcy mieszkańców, na początku naszego stulecia – czterysta tysięcy, a tuż przed wybuchem pierwszej wojny – sześćset tysięcy. Szybciej rosło może tylko Chicago, ale to Ameryka. W Europie Łódź nie miała analogii).

„Ziemie obiecane” zaludniali przede wszystkim Polacy, Żydzi i Niemcy, na ulicach słyszało się też rosyjski, czeski, francuski, angielski, ormiański. Taka mieszanina jest typowa dla obszarów pogranicza i Łódź była pograniczem: kultur, religii, mentalności. Z mieszaniny wyklął się „łodzermensch”, sportretowany przez Reymonta kosmopolityczny przedsiębiorca, cyniczny i bezwzględny, po nuworyszowsku zamiłowany w przepychu i blichtrze. *Są to ludzie przeważnie bez zasad politycznych* – pisał o tej grupie Stefan Górski. *Ojczyznę znaleźli na gruncie łódzkim. Tu zdobyli byt i stanowiska. Przywiązali się do miasta i dzisiaj są bardzo patriotycznymi łodzermenschami.*

Bohaterami Reymontowskiej powieści są trzej przyjaciele: Polak, Żyd i Niemiec; postacie z drugiego planu, zarówno bogacze jak reprezentanci biedoty, to też z reguły

Polacy, Żydzi i Niemcy. O tym, że akcja książki toczy się w państwie Romanowów, mówią ruble, w których dokonuje się transakcji, i patrolujący ulice Kozacy. Pół wieku później Łódź żydowską zmiotł Holocaust, wkrótce opustoszała Łódź niemiecka. Po łódzkich Żydach i Niemcach zostały fabryki i cmentarze. Łódź rosyjska przestała istnieć jeszcze wcześniej, znikła wraz z odzyskaniem przez Polskę niepodległości. Jednak po tej najmniej znanej i prawie nieopisanej Łodzi zachowało się, paradoksalnie, najwięcej: cmentarze, cerkiew Zaśnięcia NMP, cerkiew świętego Aleksęgo, zamieniona na kościół, i jeszcze dwie cerkwie, czynne do dzisiaj, które widzi z okna swego mieszkania grafik Andrzej Chętko, gdy patrzy w stronę Ameryki.

2

Pierwsi Rosjanie osiedli w Łodzi w połowie zeszłego stulecia. W latach sześćdziesiątych przybyła pierwsza, ośmioosobowa rodzina. Rosyjscy urzędnicy, sędziowie, prokuratorzy i policjanci zaczęli zjeżdżać dopiero po upadku powstania styczniowego; wraz z nimi pojawili się żołnierze z 37 Jekaterynburskiego Pułku Piechoty, a nieco później – nauczyciele, inżynierowie, lekarze. Nie było ich wielu. Pierwszy powszechny spis ludności, przeprowadzony w 1897 roku odnotował w Łodzi 7,4 tysięcy Rosjan (Polaków było 145,6 tysięcy, Żydów – 92,4 tysiące, a Niemców – 67,3 tysięcy). Sytuacja zmieniła się w początkach wieku: powstawała kolej kaliska i trzeba było ściągnąć rosyjskich specjalistów; równocześnie wybuchła rewolucja, zwiększając zapotrzebowanie na urzędników, policjantów i żołnierzy. Rosjanie stanowili wówczas, przez krótki okres, prawie dwudziestotysięczną społeczność. W roku 1913 ich liczba spadła do 6,3 tysięcy (Polaków było już 251,7 tysięcy, Żydów – 171,9 tysięcy, Niemców – 75 tysięcy). Mimo swej przemysłowej potęgi i setek tysięcy obywateli, Łódź pozostawała prowincją. Brakowało podstawowej infrastruktury, nie było szkoły wyższej, nie było wreszcie siedziby guberni: odpowiedni generał-gubernator urzędował z kancelarią w Piotrkowie Trybunalskim i głównie tym można tłumaczyć niewielką liczebność rosyjskiej kolonii.

Pierwszą świątynię prawosławną – cerkiew Aleksandra Newskiego – wybudowano w roku 1884. Fundatorami byli miejscowi fabrykanci: żydzi, ewangelicy, katolicy. Trudno powiedzieć, na ile kierował nimi serwilizm – petersburski dwór regularnie otrzymywał z Łodzi czołobitne adresy, jeden z nich zawierał prośbę, by zmienić nazwę miasta na Mikołajew – na ile naciski generał-gubernatora, na ile wreszcie lokalny patriotyzm, którego wykluczyć nie można (w Baku opowiadano mi, że tamtejszą cerkiew, również poświęconą Aleksandrowi Newskiemu, finansowali żydzi, ewangelicy, katolicy, prawosławni i muzułmanie; została wyburzona w latach 30. Łódź trochę przypomina Baku, oba miasta niebywale rozwinęły się w drugiej połowie XIX wieku, oba charakteryzował narodowościowy melanz, oba wytworzyły specyficzny typ mieszkańca – kosmopolity, „łodzermenscha” i „bakińca”. Łódź przypomina jeszcze Odesę, powołaną do życia ukazem Katarzyny II, z jej francuskim burmistrzem i „odesitami”. Językiem bakińców i odesitów był rosyjski, łodzermensche porozumiewali się „łodzerdeutschem”).

Cerkiew Aleksandrowska otrzymała zgrabną, proporcjonalną bryłę, założoną na planie greckiego krzyża wpisanego w ośmiobok. Nawiązywała nie tyle do architektury rosyjskiej, co do wzorów bezpośrednio bizantyjskich. Zupełnie z innego ducha była cerkiew garnizonowa świętego Aleksego, która stanęła dwanaście lat później przy koszarach i łączyła rolę świątyni oraz maneżu: tworzył ją długi, prostokątny korpus z przylegającą częścią prezbiterialną na planie kwadratu, wszystko pokryte cegłą klinkierową. W roku 1898 poświęcono cerkiew świętej Olgi, położoną kilkaset metrów od Świętego Aleksandra. Prosta, ascetyczna forma podkreślała przeznaczenie obiektu: służył ochronce dla dzieci prawosławnych, jako kaplica. Czwartą łódzką cerkwią była kaplica Zaśnięcia Najświętszej Marii Panny na nowym cmentarzu prawosławnym, ukończona w 1905 roku i zwieńczona olbrzymią cebulą.

Większość rosyjskich gazet i czasopism padało w Łodzi po kilku numerach. Taki los spotykał nie tylko pisma ambitne, społeczne i literackie, jak „Łodzinskaja Mysl”, wydawana przez S. Nowińskiego, „Łodzinskaja Żizn” S. O. Galperina i D. A. Nejhau-sa, czy „Głos Łodzi i łodzinskij kommersant” tego samego duetu. Szybko plajtowały także tytuły fachowe: dwutygodnik „Żurnał tiechnologii, promysliennosti i torgowli” Leopolda Zonera i miesięcznik „Bumaga i gałantieriejno-piszczebumażnyje prinadleżnosti” A. J. Ostrowskiego. Efemerydami okazywały się gazety popularne, choćby „Łodzinskaja gazietta objawlienij” Rudolfa Luthera i „Łodzinskij listok objawlienij” J. Poplauchina. Najdłużej, bo dwadzieścia lat (1894-1914), wychodził „Łodzinskij listok” Leopolda Zonera, ale ten współfinansowały władze, zaś w kolportażu pomagał policmajster Hilary Chrzanowski, który rozsyłał go właścicielom sklepów, fabrykantom i kamienicznikom, a należność kazał ściągać rewirowym. Pismo drukowało rozporządzenia władz, urzędowe komunikaty, prowadziło kronikę policyjną, informowało o wydarzeniach kulturalnych:

W wielokulturowym łódzkim tyglu Rosjanie żyli własnym życiem, stali na uboczu, choć pełnili najwyższe funkcje administracyjne. Unikali przemysłu, nie zostawali przedsiębiorcami ani robotnikami. Jedynym łodzermenschem pochodzenia rosyjskiego był Władimir Stolarow, właściciel średniej wielkości fabryki (po pierwszej wojnie przyjął polski paszport). Łodzianom innych narodowości Rosjanie kojarzyli się ze skorumpowanym urzędnikiem, brutalnym uczestnikiem (Łódź posiadała stałą szubienicę), żołnierzem. Bardziej uświadomionym Polakom także z rusyfikacją i ze zniewoleniem. Bawiący kilka tygodni w Łodzi petersburski dziennikarz Timkowskij-Kostin opisał dwa wydarzenia, które rozegrały się w Wigilię, w niespokojnym roku 1905. Najpierw rosyjscy żołnierze zgwałcili na oczach tłumu dziesięcioletnią dziewczynkę, później zaś:

Ulicą Konstantynowską jechali dwaj pijani agienci tajnej policji, pod ochroną konwoju, będącego w takim samym stanie. Agienci, podnieceni świątecznymi uczuciami, poczęli ćwiczyć się w strzelaniu, obierając za cel – przechodniów. Pomiędzy innymi zranili jakiegoś robotnika. Ten rzucił się do ucieczki, chcąc ukryć się w najbliższej bramie. Agienci rozgniewali się. Towarzysze ich, żołnierze Kołtywańskiego pułku, zeskoczyli z dorożki i zaczęli

gonić uciekającego. Obok przechodzili dwaj oficerowie tegoż pułku, sztabkapitan Ostrogorski i Apuchtin. Widząc tę potworną pogoń za ranionym, broczącym we krwi, którego chciano koniecznie dobić, oficerowie zabronili strzelać. Jednak, nie bacząc na ów zakaz, żołnierze wyrzucili jeszcze parę kul w leżące na chodniku ciało robotnika. Kule, odbiwszy się o kamień, lekko zraniły oficera Ostrogorskiego i przestrzeliły palto oficera Apuchtina.

3

W 1915 roku, po wkroczeniu Niemców, wyjechali z Łodzi rosyjscy policjanci i urzędnicy, a także przedsiębiorcy, kupcy, inżynierowie. Potem ci ostatni, jeżeli mieli tutaj majątki lub polskiego współmałżonka, wracali, nieraz zmieniając wyzywające w niepodległej Polsce nazwisko zakończone na „-ow”. Dane z 1921 roku mówiły o 700 Rosjanach. Wkrótce dołączyła grupa białych emigrantów: część jechała dalej, do Francji i Ameryki, część osiadła i z czasem przyjęła polskie obywatelstwo. Przed drugą wojną liczba Rosjan przekroczyła tysiąc (Polaków, Żydów i Niemców było odpowiednio 375,1 tysięcy, 192 tysięcy, 54 tysiące). *Oni identyfikowali się przede wszystkim z Łodzią, swoją małą ojczyzną, dopiero potem z Rosją* – tłumaczy książd doktor Szymon Romańczuk, arcybiskup prawosławnej diecezji łódzko-poznańskiej. *Tym różnili się od rodaków z Warszawy, którzy byli w swej masie monarchistami, wierzącymi do końca w Świętą Rus’.*

Żyli, jak dawniej, na uboczu. Przemykali chyłkiem na nabożeństwo do cerkwi, spotykali się po domach, wspominając przy czaju z konfiturami stare czasy. Próbowali wydawać gazety, ale bez powodzenia – w sumie ukazało się pięć efemerycznych tytułów (w Warszawie – 42 tytuły). Z trudem utrzymywali, w ramach łódzkiego oddziału ogólnopolskiego Rosyjskiego Towarzystwa Dobroczynności, przytułek świętej Olgi. Ale w 1937 roku udało się im powołać Komitet Puszkiniowski który przygotował skromne obchody setnej rocznicy śmierci poety.

Trzymali się razem. Jak pisze historyk Marek Budziarek: *W Łodzi nie można powiedzieć, że jedna dzielnica była żydowska, a druga niemiecka czy polska. Tylko raz pojawił się kwartał budynków obcy narodowościowo. To byli białogwardziści, uciekinierzy z Rosji po 1917 roku. Oni w Łodzi czuli się obco i stworzyli dla siebie getto. To był kwartał ulic: Jaracza, Piramowicza (gdzie mieści się cerkiew świętej Olgi – przyp. aut.), Narutowicza, Kilińskiego (z cerkwią świętego Aleksandra – przyp. aut.). Oni sami stworzyli to getto. Woleli być w swoim środowisku.*

4

27 maja 1945 roku rosyjską narodowość zadeklarowało 1718 łodzian (cała ludność liczyła 421,8 tysięcy, w ogromnej większości Polaków). Kilka miesięcy wcześniej sporą grupę dawnych białych emigrantów i działaczy partii kojarzonych z sanacją, ale nie tylko, wywiozło NKWD; znalazł się wśród nich cerkiewny woźny, który wróci do Łodzi po dwudziestu pięciu latach. Podobnie jak po pierwszej wojnie, polskie otoczenie traktowało Rosjan wrogo – w czasie okupacji istniał rosyjski komitet narodowościowy,

co wiązało się z pewnym uprzywilejowaniem (takie komitety mieli też Białorusini, Ukraińcy i przedstawiciele paru innych nacji). Już w lutym 1945 roku Kazimierz Mijał, pełnomocnik Rządu Tymczasowego na Łódź i województwo, nakazywał, by osoby, posiadające przed 1 września 1939 polskie obywatelstwo i należące do „narodowości wchodzących w skład ZSRR” – tak po nowemu określano Rosjan, Litwinów, Gruzinów – byli traktowani na równi z ludnością polską.



Sobór św. Aleksandra Newskiego; pocztówka z początku XX w.

W roku 1946 reaktywowano Rosyjskie Towarzystwo Dobroczyńności, przekształcone po czterech latach w Rosyjskie Towarzystwo Kulturalno-Oświatowe. Zarządy obu mieściły się w Warszawie. Kolejna organizacja, „Zwienja”, założona w 1960 roku w miejsce rozwiązanego RTKO (dwa lata później jej nazwę zmieniono na Rosyjskie Stowarzyszenie Kulturalne), ulokowała się już w Łodzi. W szczytowym okresie RSK liczyło przeszło tysiąc członków, z tego w oddziale łódzkim ponad dwustu; w roku 1974 zostało rozwiązane.

Bardzo ożywili się po Październiku. W drugiej połowie lat pięćdziesiątych i w latach sześćdziesiątych w rosyjskim klubie (mieścił się początkowo w budynku parafii prawosławnej – kierowniczką była córka prawosławnego księdza, Piotra Struk-Strukowa – potem przy ulicy Więckowskiego) nie było tygodnia bez prelekcji, pokazu filmów, występu chóru „Kalinka”, przedstawienia kółka dramatycznego („dram-krużka”). Co niedzielę, w ramach „Wieczorów przy samowarze”, można było posłuchać odczytu o Glince, Puszkynie, Wertyńskim czy o rosyjskim malarstwie (wygłaszali je najczęściej profesor Szybowa z Muzeum Sztuki, profesor Konstantynowicz i redaktor Busiakiewicz). Co roku dzieci miały choinkę, połączoną z koncertem rosyjskich kolęd (przy fortepianie: N. F. Pogorielowaja). Istniała biblioteka, prowadzono kursy języka.

O tym wszystkim pisał „Russkij Gołos”, ukazujący się w latach 1957-1967 (od roku 1961 wydawany w Łodzi). Redaktor Pantajemon Juriew stworzył pismo ciekawe i odważne. W jednym z pierwszych numerów apelował o wprowadzenie do szkół religii prawosławnej, później opisywał cerkiewne święta, zamieszczał reprodukcje ikon. Okolicznościowe artykuły o Marchlewskim,

Dzierżyńskim i przyjaźni polsko-radzieckiej drukował z wyraźną niechęcią, oddzielając graficznie od reszty materiałów. Nic dziwnego, że czytelnicy skarżyli się w listach na niedostępność pisma w kioskach i że „Gołos” z ilustrowanego tygodnika szybko stał się miesięcznikiem, a potem powielaczowym nieregularnikiem. Ostatnie wydania miały format A5 i przypominały podziemne gazetki ze stanu wojennego.

W połowie lat 70. nie było już ani chóru „Kalinka”, ani stowarzyszenia (jeśli nie liczyć TPPR), ani odczytów. Zawiniła nie tylko niechęć władz, ale i nieuleczalna choroba, która wcześniej czy później dopada każdą diasporę – asymilacja.

5

Babcia urodziła się w roku 1902 i całkiem nieźle pamiętała rosyjski. Była Polką, ale do końca życia „odkrywała” butelkę, do tramwaju wsiadała na „krańcówce”, a na mój tornister mówiła „raniec”. Z „rańcem” od początku walczyłem, nie podobał mi się, kłut ucho, pachniał naftaliną. Pozostałe rusycyzmy chłonałem bez oporu (niektóre wytropiłem całkiem niedawno).

Któregoś dnia na domach przy Zielonym Rynku i przy Rewolucji zauważyłem dziwne napisy. Nie umiałem ich odczytać, chociaż znałem już litery. Długo pozostawały dla mnie hieroglifami, znakiem innego świata, na wpół zatartym przesłaniem tajemnego ludu. Gdy przy pomocy zniechęconego rosyjskiego ustaliłem w końcu, że w jednym z domów prosperował żelazny sklep, a w drugim był jakiś skład, czułem się jak Schliemann odkopujący Troję. W liceum geografię wykładała nauczycielka, której nazwisko kończyło się na „-of”. Któregoś dnia zabrała nas na koncert zespołu „Bałajki”. Później dowiedziałem się, że grupę założył Andrzej Lazari, potomek rosyjskiej rodziny osiadłej w Polsce w połowie XIX wieku, siostrzeniec profesor Iji Lazari-Pawłowskiej, obecnie sam profesor i szef Interdyscyplinarnego Zespołu Badań Sowieologicznych na Uniwersytecie Łódzkim.

Zdałem na studia. Łódź fascynowała mnie coraz bardziej. Nastąpiła wolność i zaczęły wychodzić książki poświęcone łódzkim Żydom i Niemcom. O Rosjanach nie pisano nic. Ślady ich obecności trzeba było zbierać jak okruchy z dawno rozbitej mozaiki. Tych okruchów jest zaskakująco dużo. Mamy więc rzeźbiarkę Katarzynę Kobro, żonę Władysława Strzebińskiego (w historii sztuki zapisała się jako wielka artystka, nie jako Rosjanka, ale przecież była Rosjanką i mieszkała w Łodzi). Mamy śpiewaczkę Olę Olginę-Mackiewicz (wychowała między innymi Teresę Żylis-Garę i Teresę Wojtaszek-Kubiak). Mamy filozofa Sergiusza Hessena (gdy zmarł, Tadeusz Kotarbiński powiedział: *Opuścił nas człowiek wyjątkowo szlachetny i mędrzec, mędrzec niewątpliwy*). Mamy pisarzy (Leon Gomolicki, Igor Sikirycki), twórców filmu i teatru (Michał Orlicz), dziennikarzy (Bolesław Busiakiewicz). Mamy czynne cerkwie i dwie setki parafian, z których Rosjanami czuje się dziś może kilkunastu.

Mamy dwa prawosławne cmentarze. Jeden na Dołach (ten z kaplicą Zaśnięcia NMP), gdzie leży i Katarzyna Kobro, i niejaki Mitrofon Filipczenkow, geodeta, „odznaczony w walce z bolszewikami” (1900-1975), i żołnierze z pułku Koływańskiego, polegli na początku pierwszej wojny (żeliwne krzyże ustawili na ich grobach zwycięscy Niemcy). I drugi cmentarz, przy ulicy Ogrodowej, zwany starym, na którym obok nagrobków z napisami rosyjskimi i polskimi są ormiańskie i gruzińskie. Pięć lat temu arcybiskup Romańczuk pochował tam Iję Lazari-Pawłowską.

W wydanej w 1938 r. książce *Zastygły nurt życia. Łódź, która odeszła* Stanisław Rachalewski napisał o drugim cmentarzu:

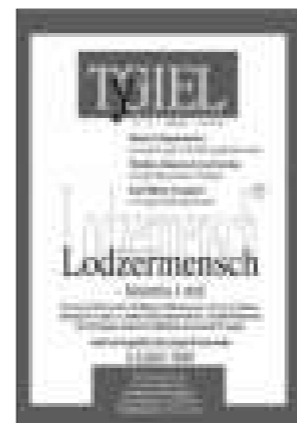
Już samo jego położenie, obszar niewielki i wbijanie się klinem pomiędzy Stary Cmentarz Ewangelicki i Katolicki dowodzi, że musiał on powstać dla ludzi tworzących w naszej społeczności zaledwie jakąś kolonię. Pierwsze wrażenia nie mylą. Ci, którzy nie przeżywali niewoli, którzy nie poznali jarzma rosyjskiego, a nie zaznali uciemiężenia, muszą przyjść do tego przekonania. Istotnie Cmentarz Prawosławny jest skrawkiem ziemi polskiej, którą sobie obręła kolonia rosyjska, kiedyś wszechwładna w Nadwiślańskim Kraju, na miejsce wiecznego spoczynku dla tych, którym nie pisane było spoczywać na ziemi własnej ojczyzny, a którzy na skutek rozmaitych okoliczności przenosili się na ten cmentarz. (...) Lecz nie tylko wyrazy nienawiści przebijają z niemych kamieni grobowych. Spostrzega się objawy przyjaźni i pobratymstwa. Jak gdyby symbolem tego pobratymstwa jest na Cmentarzu Prawosławnym grobowiec, utrzymany w stylu bizantyjskim – grób rodziny Gojżewskiego. Zbudowany on został w ten sposób, że łączy się ze Starym Cmentarzem Katolickim i tworzy jakby całość. Po stronie prawosławnej spoczywa Gojżewski, po stronie zaś katolickiej – małżonka jego. Dzieli ich tylko wyznania.

Wojciech Górecki

Pierwodruk: „Tygiel Kultury” 7-9/1999

Od Autora

Latem 2015 roku pokazywałem „rosyjską Łódź” ukraińskiemu historykowi Andrijowi Portnowowi, szykującemu się do napisania książki o swoim rodzinnym Dniepropietrowsku, który obecnie nazywa się po prostu Dniepr (po ukraińsku – Dnipro). Łódź była Andrijowi potrzebna jako kontekst i punkt odniesienia – niebywale rozwinęła się w tym samym czasie (w drugiej połowie XIX wieku) i w ramach tego samego państwa (carskiej Rosji) co Dniepropietrowsk. Po powrocie Andrij napisał artykuł *Łódź. „Złe miasto” i jego mitologie*, który kończy się słowami: *Dzisiejsza Łódź nie rzuca wyzwania Warszawie czy komu tam jeszcze. Jak dawniej budzi niepokój i nawet miejscami straszy. Brakuje jej, niestety, strategii rozwoju i spójnej mitologii, które przyciągnęłyby turystów i inwestorów (chociaż literatura o Łodzi jest bogata i interesująca). Ale właśnie dlatego sprawia ona wrażenie miasta bardziej autentycznego, prawdziwego, bezpośredniego.*



Karl-Heinz Goepfert

Moja łódzka rodzina

Szczerze mówiąc, moja rodzina nie należała do typowych niemieckich osadników, przybywających w tym czasie do Polski, którzy na swoje miejsce zamieszkania wybierali Łódź. Ani nie pochodziła z Saksonii, ani nie było w niej tkaczy. Rodzina matki – Sanne – pochodziła z Berlina. Mój pradziadek – Friedrich Wilhelm August Sanne (ur. 17.05.1835 w Berlinie) – był założycielem jednej z pierwszych cukrowni na ziemiach polskich, powstałej w 1855 r. niedaleko Łowicza. Tutaj w 1865 r. przyszedł na świat drugi syn pradziadka – mój dziadek Paul Sanne, który później osiadł w Łodzi i został znanym handlowcem. Aż do śmierci (1937 r.) był dyrektorem banku przy Roosevelta 15 (dawnej Ewangelickiej).

Bank Lodzer Industrieller – dzieło mojego dziadka

Bank powstał w 1881 r. Miał wówczas charakter kasy zaliczkowej, której zadaniem było udzielanie kredytów rzemieślnikom, handlowcom, rolnikom i urzędnikom. Kasa kredytowa, nosząca później nazwę „Bank Lodzer Industrieller” (Bank Przemysłowców Łódzkich), zorganizowana była na wzór rosyjskich przedsiębiorstw kredytowych. Wysokość udzielanego kredytu zależała od ilości subskrybowanych udziałów. Zależność pomiędzy wysokością udziałów, wysokością udzielanego kredytu, a odpowiedzialnością cywilną jako subskrybenta udziałów w przedsiębiorstwie decydowała o stabilności finansowej banku.

W 1939 r. bank miał 839 członków posiadających udziały o wartości 3 372 000 zł. Jeżeli policzy się uzgodnioną dziesięciokrotną gwarancję każdego subskrybowanego udziału, daje to sumę 33 720 000 zł. Kurs dolara w tym czasie wynosił 8,90 zł! Z nieznanymi wahaniem utrzymywał się na tym poziomie od 1927 do 1939 r. Za czasów mojego dziadka bank stale się rozwijał i był znany daleko poza granicami miasta. W tym państwowym budynku bankowym urodziła się moja matka i jej troje rodzeństwa. Babcia mieszkała we wspólnych pomieszczeniach na najwyższym piętrze aż do wybuchu wojny w 1939 r.

Zamiłowanie mamy do literatury zostało rozbudzone podczas jej pobytu w szwajcarskim internacie w Lozannie. W tym samym czasie mój ojciec studiował na



uniwersytecie we Fryburgu, niedaleko Lozanny. Czy rodzice spotkali się już wtedy? Po skończeniu gimnazjum mama studiowała w l'Académie Française de la Littérature, a literatura była jej pasją przez całe życie. Znała doskonale cztery języki – niemiecki, polski, francuski i rosyjski, nieco gorzej radziła sobie z angielskim. To ona pilnowała, aby jej dzieci znały tak samo dobrze polski i niemiecki.

Mój dziadek ze strony ojca – Karl Goepert – pochodził z Kehl w Badenii. Po studiach w Warszawie i Petersburgu poznał swoją przyszłą żonę – moją babcię – Florentynę Gandzior. Razem z nią opuścił Warszawę, aby osiąść w Łodzi. W tym czasie mój dziadek należał do nielicznych fabrykantów niemieckiego pochodzenia, którzy doskonale opanowali język polski. Po przybyciu dziadków do Polski przyjechało tutaj także ich rodzeństwo ze swymi rodzinami, tak że na przełomie wieków wszyscy bez wyjątku krewni mieszkali już w Łodzi. Przypadek zrządził, że brat mojego dziadka ożenił się w Łodzi z siostrą mojej babci. Tutaj mój dziadek założył swe pierwsze przedsiębiorstwo. W kamienicy przy Piotrkowskiej 11, tzw. Scheibler Palais, szyto pierwsze kapelusze dla pań i panów. Znajdujący się na parterze zakład był później jednym z najbardziej eleganckich sklepów w Łodzi. Szybko odniesiono

Ul. Roosevelta,
po prawej stronie
widoczny budynek
Banku Przemysłowców
Łódzkich należącego
do rodziny
Karla-Heinza Goeperta;
aut. nieznaną,
lata 30. XX w.)

sukces. Popyt cały czas rósł, co spowodowało, że mój dziadek powziął decyzję o budowie fabryki kapeluszy.

Fabryka kapeluszy (Hutfabrik) Karol Goepert, Łódź

W 1894 r. rozpoczęta się produkcja w nowej fabryce przy Podleśnej 3 (dziś Marii Skłodowskiej-Curie). Z nowymi, sprowadzonymi z zagranicy maszynami zakład należał do największych i najnowocześniejszych na terenie Polski i Rosji. Po filiach w Moskwie i Petersburgu powstały kolejne w największych miastach Polski i Ukrainy. W 1899 r. firma miała już 300 pracowników i rozwijała się dalej, aż do wybuchu pierwszej wojny światowej w 1914 r. Produkty firmy Karol Goepert otrzymywały najwyższe odznaczenia na międzynarodowych targach. Dzięki wysokiej jakości i modnym wzorom kapelusze mojego dziadka rozślały Łódź w tej branży.

W 1889 r. urodził się w Łodzi, jako drugi syn dziadka Goeperta, mój ojciec. Pozostała czwórka rodzeństwa również przyszła na świat w tym mieście. Ojciec miał szczęście należeć do nielicznych synów fabrykantów, którzy mogli odebrać niezwykle staranne wykształcenie. Po skończeniu szkoły podstawowej w Łodzi uczęszczał do sławnej w tym czasie Freimaurer-Schule w Dreźnie. Maturę zdał w gimnazjum humanistycznym w Berlinie. Na studia udał się najpierw do Getyngi i Heidelbergu, gdzie studiował chemię, a później do Fryburga w Szwajcarii.

Pierwsza wojna światowa

Na początku 1915 r. mój ojciec, podobnie jak wielu innych łodzian, został przez Rosjan zesłany na Syberię, do Wiatki. Minęło wiele miesięcy zanim zaczął przygotowania do zbiorowej ucieczki. Do Łodzi powrócił w 1916 r. Wielu uciekinierów poczuło się bezpiecznie już po przybyciu do Moskwy. Zlekceważywszy rady mojego ojca prawie wszyscy zostali wyłapani w drodze do Petersburga i ponownie uwięzieni. W 1922 r., po śmierci założyciela firmy Karol Goeperta, interes trafił w ręce mojego ojca, który założył nowe filie w Warszawie i Krakowie. W swym laboratorium wymyślał receptury do produkcji specjalnych odcieni barwników, które nie dość, że dawały modny kolor, to jeszcze zapewniały towarom przysłowiową już jakość.

Moi rodzice mieli trójkę dzieci. Mój brat Wolfgang urodził się w 1920 r., Eugen – w 1922. Gdy ja, spóźnialski, przyszedłem na świat 12.08.1929 r., wszyscy byli przekonani, że czeka nas bezpieczne, szczęśliwe dzieciństwo.

Rok 1937 nie należał do szczęśliwych. 5 czerwca zmarł po długiej chorobie dziadek – Paul Sanne. Dwa miesiące później, 9 sierpnia, zmarł mój ojciec, pograżając w smutku całą rodzinę i personel firmy. Nie tylko nasze życie prywatne, ale także interesy firmy musiały zostać całkowicie przeorganizowane. W tym czasie doszły do głosu zdolność przewidywania i siła woli mojej matki. Aby nieprzerwanie prowadzić przedsiębiorstwo, sprowadzono znanego specjalistę z Wiednia. Babcia ciężko zachorowała, więc mama

podjęła decyzję o przeprowadzce. Opuściliśmy nasze własne, duże mieszkanie przy Łąkowej, by zamieszkać wspólnie z babcią w budynku bankowym przy Roosevelta 15. W ten sposób poznałem nowych kolegów, mieszkających przy Roosevelta 17, w domu, w którym dziś mieści się siedziba redakcji „Tygla Kultury”.

W 1938 r. moja matka zdecydowała się wybudować dom na Julianowie – w najlepszym miejscu w Łodzi. Zamieszkaliśmy w nim rok później, tuż przed wybuchem wojny, latem 1939 r. (od 1984 r. znajduje się w tym budynku centrum psychicznych chorób dziecięcych, jedyna tego rodzaju placówka w Łodzi). 17 stycznia 1945 r. wieczorem, załadowawszy najniezbędniejsze rzeczy na sanie, wraz z matką opuściliśmy Łódź. Pojechaliśmy do Poznania w nadziei, że wkrótce będziemy mogli powrócić do naszego miasta. Gdy po trzech dniach podróży, nieprzytomni ze zmęczenia dotarliśmy do Poznania, okazało się że czym prędzej musimy uciekać. Poznań został uznany za twierdę. Po trwającej wiele dni podróży i pobycie w obozie przejściowym w północnych Niemczech, znaleźliśmy ostatecznie schronienie w Wirtembergii, w Bad Mergentheim. Musieliśmy pożegnać się z nadzieją powrotu do Łodzi.

Mimo tych wszystkich zawirowań jestem wdzięczny losowi, że razem z matką przeżyliśmy wojnę i ucieczkę. Szczególnie wdzięczny jestem mojej żonie Giseli, którą poślubiłem w 1955 r. Ona dała mi córkę Karin i syna Jürgena, dzieliła ze mną najbardziej bolesne przeżycia, a co najważniejsze zawsze okazywała zrozumienie mojemu przywiązaniu do dawnej, polskiej ojczyzny. Wiele razy razem odwiedziliśmy Łódź, która bardzo jej przypadła do serca, między innymi dlatego, że zyskała tam wielu przyjaciół.

Kronika ta nie byłaby kompletna, gdybym nie wspomniał jeszcze innych zdarzeń. Być może przyczynią się one do lepszego zrozumienia tamtych czasów.

Wychowanie

W tej kronice nie może zostać pominięta osoba, która służyła naszej rodzinie wiernie przez 14 lat i miała ogromny wpływ na moje wychowanie – Bronisława Juszcak.

Zaraz po moich narodzinach zaczęto szukać wykształconej młodej kobiety, która mogłaby się mną zajmować. Nasza „Bronia” pochodziła z Gdyni i była kochającą swój kraj Polką. Życzeniem moich rodziców było, bym do 6 roku życia mówił wyłącznie po polsku. Później uczyłem się niemieckiego, by w wieku 7 lat zacząć uczęszczać do szkoły powszechnej przy Niemieckim Gimnazjum (Łodzer Deutsche Gymnasium). Bronisława czuwała nad moimi pracami domowymi i stale pilnowała, abym poprawnie mówił po polsku, zwracając szczególną uwagę na końcówki.

Ona także tłumaczyła mnie przed sąsiadami, kiedy przypadkowo wybiłem szybę w oknie. Była to nie tylko osoba, którą niezwykle szanowałem, ale również wspierała przyjaciółką. Często chodziłem w jej towarzystwie do katolickiego kościoła, który, jak oceniam z perspektywy czasu, odwiedzałem częściej niż ewangelicki. Dzięki temu żadne środowisko nie było mi obce, wszędzie czułem się jak u siebie.

Jeśli jej nie podobali się nasi nowi przyjaciele, moi czy moich braci, mówiła o tym matce, ostrzegając ją na czas przed nieodpowiednim dla nas towarzystwem. Czasem było z nią ciężko wytrzymać – była dumna i trochę niecierpliwa, ale jej serce było dla nas zawsze otwarte. Uczyla nas szczerości, zarówno wobec kraju jak i ludzi. Dziękuję jej za to do dzisiaj.

Każdego poniedziałku musiałem się przewycięzać, by towarzyszyć ojcu w obchodzie hal fabrycznych i pozdrawiać pracujących tam majstrów czy brygadzystów. Mój ojciec troszczył się o tych ludzi, zawsze wiedział o chorobach ich dzieci i żon. Jeżeli sam nie mógł pomóc, dawał cenne rady. Zapoznawał mnie z cięższymi przypadkami i sprowadzał do chorych lekarza. Niechętnie uczestniczyłem w tych obchodach u boku ojca, lecz mój sprzeciw nie miał wówczas znaczenia. Dopiero gdy sam objąłem kierownicze stanowisko, zrozumiałem sposób, w jaki mnie wychowywano.

Wakacje, a często również weekendy, spędzaliśmy w jednym z naszych majątków – w Krogulcu koło Zgierza lub w Rudzie Pabianickiej. Choć ogrodników i służby było pod dostatkiem, każde dziecko musiało pielęgnować „swoją alejkę” w ogrodzie. Wszystko miało być zrobione szybko, sprawnie i „elegancko”. W ten sposób uczono nas porządku i obowiązkowości. Tutaj odbywały się także uroczystości rodzinne, ponieważ, szczególnie w Rudzie, było wystarczająco dużo miejsca dla licznych gości.

Integracja = polonizacja?

Wszyscy członkowie naszej rodziny byli naturalnie dobrymi, polskimi obywatelami. W tym duchu wychowywano także dzieci. Gdy latem 1920 r. pod Warszawą stały bolszewickie wojska, nasi ojcowie walczyli wspólnie z armią polską, dopóki Rosjanie nie zostali zmuszeni do odwrotu. To wspólne zwycięstwo było ważne nie tylko dla Polski, lecz dla całej Europy. Do owego „wspólnie” nie przywiązywano wtedy wagi, gdyż wszyscy byli polskimi obywatelami i taka postawa była sama przez się zrozumiała. Lojalność wobec państwa polskiego była oczywista, tak samo jak poszanowanie i poparcie finansowe Józefa Piłsudskiego. Później – zdaje mi się, że świadomie – „zapomniano” o udziale w walkach obywateli polskich niemieckiego pochodzenia.

Polonizacja była bardzo widoczna w naszej rodzinie. Najpierw mój ojciec zmienił rodowe nazwisko Göppert na Goepfert, by umożliwić zapisywanie go literami polskiego alfabetu. Na uwagę zasługuje również fakt, że do licznych wujków i ciotek zwracano się używając polskich imion – Jerzy, Władzio, Żenia, Nucha, Gieniuś itd. Moja mama nazywała się Wiera, a wszyscy wołali na nią Wierka. Dla mnie ojciec (Vater) był tatuś, a matka (Mutter) mamusią. Mnie samego, gdy byłem mały, nazywano Karolkiem, a później – Karolem.

Czy było to dążenie do integracji czy już polonizacja? Na pytanie: „Czy jest pan Niemcem?” mój ojciec odpowiadał jednoznacznie „nie!”. W czasach kryzysu szczególnie ceniono rady mojego ojca i wiele stowarzyszeń ubiegało się wtedy o jego względy.

W przeciwieństwie do wielu innych nie wstąpił do żadnego z nich i przez to stał się w pewnych kręgach bardzo niepopularny.

Patriotyzm

Oczywiście znam patriotów, będących jak chorągiewki na wietrze, którzy wtedy, jak i dziś, powodowali wiele złego dla obu stron. W 1939 r. tacy ludzie witali Hitlera z otwartymi ramionami. Ale prawdą jest także, że w latach 30. za sprawą niezbyt szczęśliwej polskiej polityki, ludzie byli podburzani przeciwko wszystkiemu, co niemieckie. W wielu polskich domach wyczuwało się wówczas wrogą atmosferę. Tylko w tym kontekście można nieco lepiej zrozumieć wydarzenia 1939 roku. W Polsce byliśmy „Szwabami”.

Wojna i terror hitlerowski

Wspomnienie wojny wyjątkowo nastraja mnie do rozmyślań, ponieważ dane mi było poznać wszystkie twarze cierpienia. W Polsce przeżyłem hitlerowskich oprawców. Mordy i zniewagi były na porządku dziennym. Strach i terror towarzyszyły nam na każdym kroku. Docierały do nas wieści o aresztowanych, spośród których byli nasi polscy przyjaciele i znajomi. Zbierając podpisy, staraliśmy się udowodnić ich niewinność i uczciwość. Nigdy nie zapomnę mojej matki walczącej rozpaczliwie z nazistowską administracją.

Z wielkim zapałem wstawiała się za swoimi przyjaciółmi. Do dziś podziwiam jej dzielność i odwagę – sama poszła do obozu na Radogoszczu, aby w najbardziej odpowiednim miejscu błagać o wypuszczenie ludzi na wolność. W kilku przypadkach jej poczynania przyniosły oczekiwane rezultaty, najczęściej jednak kończyły się fiaskiem. Płacząc, sama pozwalała się bić. Przez tego rodzaju posunięcia zaczęło ciążyć nad nami wielkie niebezpieczeństwo. Gestapo groziło, że ją aresztuje, jeśli nie przestanie pomagać swym przyjaciółom.

Dzięki pewnej sprytniej zagrywce byliśmy później przez cały czas pod nadzorem. Zakwaterowano u nas przymusowo żonę i córkę komisarza (Revierhauptmann) Julianowa. Mojej matce pozostała satysfakcja, że uratowani przez nią ludzie przeżyli wojnę w Generalnej Guberni. Ale o tym dowiedzieliśmy się dopiero w latach 50., gdy próbowaliśmy przyzwyczaić się do nowych warunków życia w Niemczech, które były dla nas wtedy całkowicie obcym krajem.

By pozostać wiernym prawdzie historycznej, należy stwierdzić, że w drugiej wojnie światowej Niemcy na początku byli napastnikami, lecz nie można zapominać, iż wielu Niemców było także ofiarami. Np. mój wujek Paul Sanne, brat mojej matki, został na początku 1945 r. zabity przez grupę rozwścieczonych ludzi. Nie dlatego, że zrobił komuś krzywdę, lecz ponieważ lekkomyślnie chciał pozostać w Łodzi i został rozpoznany jako Niemiec.

Gdy po naszej ucieczce próbowaliśmy odnaleźć swoje miejsce w Niemczech, byliśmy „Polaken”. My, uchodźcy z Polski, zostaliśmy pozbawieni korzeni i musieliśmy zaczynać wszystko od nowa. Dla młodych uciekinierów był to bardzo trudny okres, lecz trudności miały z czasem zostać pokonane. Dla wielu spośród naszych rodziców i starszych osób był to czas pozbawiony wszelkiej nadziei, wielu odeszło, nie mogąc pogodzić się z wygnaniem z kraju, który uważali za swoją ojczyznę.

Lodzermensch

Na przestrzeni dziesięcioleci łodzianie pracowali, cierpieli i pomagali sobie wzajemnie, niezależnie od tego, czy byli rzemieślnikami, robotnikami, czy prostymi ludźmi; niezależnie od tego, jakiej byli narodowości i jakiego wyznania. W ten sposób narodził się „lodzermensch”, któremu zazdrozczono, ponieważ był pracowity i umiał sobie radzić w życiu. W wielonarodowościowej Łodzi wszyscy wyrastaliśmy, myśląc demokratycznie. Tego rodzaju społeczność mogła przetrwać tylko, jeśli nie myślano o ludziach w kategoriach narodowościowych, nieważne czy było się Polakiem, Niemcem, Żydem czy Rosjaninem. Wszyscy musieli polegać na sobie wzajemnie. Łódź była azylem dla wszystkich, którzy tutaj mieszkali. Pochodzenie nie miało żadnego znaczenia. Jesienią 1939 r. „lodzermensch” przestał istnieć. Jeżeli nie został zabity, był katowany – Polak, Żyd, Rosjanin i Niemiec!

Ojczyzna (Heimat)

„Ojczyzna” to pojęcie pojawiające się w bardzo wielu kontekstach. O tym, co oznacza to słowo, można rozmyślać bez końca. Należy się z nim obchodzić niezwykle ostrożnie, by nie wytarło się i nie spowszedniało. Dla mnie „ojczyzna” to miejsce, w którym się mieszka, w którym się osiadło i które jest człowiekowi bliskie, miejsce pewne i bezpieczne. Tam znajdują się nasze korzenie, stamtąd pochodzimy. To dom i jego sąsiedztwo, kościół, góra, dolina, rzeka, strumień, las i łąka, które zawsze możemy odwiedzić. Nauczono nas odnajdywania „drugiej ojczyzny”. Najwyraźniej człowiek jest w stanie odnaleźć się w wielu miejscach. I dobrze, że tak jest.

Rozwój techniczny, gospodarczy i polityczny doprowadził do tego, że musimy myśleć, planować i działać w kategoriach kontynentalnych. Oznacza to, że powinniśmy dochować wierności miejscu, z którego pochodzimy, ale jednocześnie możemy być wierni całemu światu. Współczesny człowiek czuje się u siebie na całym świecie, nie tylko w swej ojczyźnie.

Ojczyzna to także groby rodzinne. Szacunek dla rodziny, dla jej osiągnięć, miłość do niej wymaga, żeby pochylić czoło nad grobami przodków. Moi krewni spoczywają na cmentarzu przy Ogrodowej, na polskiej ziemi. Boli mnie, że ich groby zostały zniszczone w 1945 r. Płyty nagrobne z czerwonego i czarnego marmuru posłużyły, jak

dowiedziałem się w administracji cmentarza, na budowę grobów poległych żołnierzy radzieckich. Można się o tym przekonać w parku im. J. Poniatowskiego. Nie jest to więc jedynie żal z powodu utraconej ojczyzny, lecz także z powodu zatarcia śladów naszej historycznej egzystencji.

Związki pomiędzy narodami

Dzisiejszej Europie Zachodniej brak świadomości, że świat położony na wschód od Odry jest z nami kulturowo związany. Wspólnie musimy wznieść mosty, wiodące ku lepszej przyszłości. Poczyszczający jest fakt, że znowu ze sobą rozmawiamy i nawiązujemy nowe kontakty. Lecz wszystkie dobre kontakty nie zastąpią złej polityki, ani na Wschodzie, ani na Zachodzie.

Wiele faktów ze wspólnego przedwojennego życia zostało zniekształconych. W rzeczywistości moi przodkowie nie zdawali sobie sprawy z polsko-niemieckiego czy wcześniejszego rosyjsko-niemieckiego konfliktu. Dla nich ważne było zawodowe i gospodarcze powodzenie w przyjaznym środowisku. Ambicje były motorem postępu, trudności zwalczano. Ale to już zamierzchnia przeszłość!

„Sic transit gloria mundi” – tak przemija chwała świata, tak też przeminęła chwała pewnej łódzkiej rodziny. Nasze nazwisko nie jest dzisiaj już znane. Wszystko przeszło w inne ręce.

Na tym można by zakończyć tę kronikę. Lecz w smutku spowodowanym nietrwałością ludzkich dokonań, pocieszeniem jest dla mnie myśl, że Łódź posiada dzięki mojej rodzinie jedno z największych organów w Polsce. Takie same organy stworzono z myślą o Mozarteum w Salzburgu, filharmonii w Wiedniu i kościele św. Macieja w Budapeszcie. Życzę wszystkim, by koncerty organowe w kościele św. Mateusza przy Piotrkowskiej 283 jeszcze długo cieszyły łodzian, otwierały ich serca i pozwalały zapomnieć o troskach.

Gdy pisząc tę kronikę przystaję na ulicach wspomnień, dociera do mnie jak bardzo historia mojej rodziny związana jest z Łodzią.

Dlatego jestem dumny z faktu, że jestem łodzianinem!

Schwieberdingen, luty 1998

Karl-Heinz Goepfert

Przełożyła **Anna Soluch**

Pierwodruk: „Tygiel Kultury” 4-5/1998



Krystyna Radziszewska

Łódź w niemieckojęzycznych tekstach autobiograficznych

Niemcy zaczęli przybywać do Łodzi po roku 1823, na zaproszenie władz Królestwa Polskiego związane z realizacją planu uprzemysłowienia kraju. Przez ponad 100 lat obecności w Łodzi wznosili tu domy, fabryki, hotele, kościoły, szkoły, szpitale, obiekty sportowe oraz instytucje kulturalne, które w większości przetrwały do dziś, podobnie jak różnego rodzaju teksty autobiograficzne. Łódzcy Niemcy pisali przede wszystkim wspomnienia i autobiografie. Wyłania się z nich obraz miasta i codziennego życia jego mieszkańców, widziany, według typologii Alfreda Schultza, oczami „światłego obywatela”, czyli człowieka dysponującego rodzajem wiedzy pośrednim między właściwym „człowiekowi z ulicy” a typowym dla „eksperta”.

Wartość tekstów autobiograficznych jako źródła wiedzy historycznej bywa często kwestionowana. Dotyczy to szczególnie sfery faktów. Nie podważa się natomiast opisu własnego życia jako świadectwa czasu, oddania nastroju, uczuć, poglądów, postrzegania rzeczywistości. Piszący może mylić daty, nazwiska, miejsca czy nawet wydarzenia, ale nie może mylić się co do swych subiektywnych odczuć w chwili pisania tekstu.

Do najstarszych niemieckojęzycznych tekstów autobiograficznych z Łodzi należy *Aus meinem Leben/Z mojego życia* Heleny Geyer. Jest to opis życia o charakterze ekspresyjno-wyznaniowym, przedstawiający rzeczywistą sytuację i rzeczywistą autorkę. Helena Geyer zaczęła pisać w wieku 59 lat, w roku wybuchu pierwszej wojny światowej. W sposób niezwykle emocjonalny, typowy dla kobiet piszących w XIX wieku, zaprezentowała swoje życie prywatne, nie tyle od momentu narodzin w roku 1855, co od ukończenia piętnastu lat. Jej rodzina przeprowadziła się wtedy do majątku, którego zarządcą był Ryszard Geyer, syn Ludwika, właściciela pierwszej fabryki włókienniczej w Łodzi, najstarszy brat Gustawa, jej przyszłego męża. Choć Helena Geyer mieszkała w otoczeniu ludności polskiej, w jej tekście zauważa się wpływ nie języka polskiego, ale francuskiego. Autorka nie komentuje ważnych wydarzeń historycznych swej epoki. Wyjątek stanowi powstanie styczniowe, określane przez nią jako rewolucja. Nie pisze też o przedsiębiorstwie, mimo że po śmierci męża musiała się o nie troszczyć. Na ostatniej stronie wspomnień nadmieniam, że miała kłopoty z prowadzeniem fabryki, a każdy patrzył, jak ją przy tym oszukać. W jej autobiografii nie ma też opisu Łodzi, w której zamieszkała po ślubie. Odnotowuje tylko, że gdy po powrocie z zagranicy jej *kochany mąż zobaczył kominy fabryczne, ucieszył się i łzy napłynęły mu do oczu*. Kominy symbolizują tutaj dom i małą ojczyznę jej męża.

Jest natomiast przedstawione powitanie młodych małżonków w ich domu w Łodzi przy Piotrkowskiej 280. Jako że Gustaw Geyer był *bardzo poważany i szanowany przez swoich urzędników i robotników*, czekała na nich liczna grupa ludzi z fabryki. *Cały dom i ogród były oświetlone. Na balkonie umieszczono wielki transparent z napisem „Serdecznie witamy”. Całe schody ozdobione były girlandami, a przy wejściu stały wielkie oleandry w pełnym przepychu swoich kwiatów. Ludzie krzyczeli raz za razem: Hurra! Hurra!”*.

Z Łodzią można skojarzyć kilka znanych osobistości życia gospodarczego i społecznego, które wymienia autorka, a wśród nich swego szwagra doktora Karola Jonschera, znanego lekarza i społecznika, zięcia Adolfa Tochtermanna, równie znanego łódzkiego lekarza, kolejnych zięciów: przemysłowca Karola Eiserta i zgierskiego fabrykanta Teofila Maxa. Autobiografia Heleny Geyer w sposób interesujący obrazuje życie i tradycje rodzinne burżuazji łódzkiej na przełomie dziewiętnastego i dwudziestego wieku.

Wspomnienia Otto Heikego i Oskara Kossmanna koncentrują się na wielu ważnych wydarzeniach z życia Łodzi. Obaj urodzili się na początku XX w.; Heike w roku 1901 w Łodzi przy Spinnlinie 212 (obecnie Wólczńska), Kossmann w 1904 w *najstarszym budynku szkolnym i domu modlitwy w okolicach Łodzi*, w niemieckiej kolonii Bugaj, gdzie jego ojciec był nauczycielem. W 1908 roku rodzina przeniosła się do Łodzi. Otto Heike spisał wspomnienia w wieku 74, a Oskar Kossmann 85 lat. Kossmann swoje *Es begann in Polen. Erinnerungen eines Diplomaten und Osforschers (Zaczęło się w Polsce. Wspomnienia dyplomaty i badacza Wschodu)* zadedykował nauczycielom, uczniom i kolegom z Gimnazjum Niemieckiego w Łodzi, przestrzegając, że nie należy ich mylić z dokładnym zapisem historycznym, bowiem *z biegiem lat we wspomnieniach światło i cień zmieniają się. To, co kiedyś wydawało się mnie powalać, w rzeczywistości ratowało mi życie. I odwrotnie: to, co świętowano jako wybawienie prowadziło uprost do zagłady. Mimo to wspomnienia oddają przeszłość bardziej autentycznie i w swej głębi bardziej prawdziwie niż dokumenty*. Tekst Kossmanna to zarówno spostrzeżenia „światłego obywatela” jak i „eksperta”. Autor był bowiem felietonistą i wybitnym znawcą historii Łodzi i okolic.

Wspomnienia Otto Heikego *Leben im deutsch-polnischen Spannungsfeld (Życie w polsko-niemieckim obszarze napięcia)* zawierają liczne epizody z życia miasta i kraju. Autor, związany z niemiecką mniejszością w Łodzi dziennikarz i publicysta historyczny, opierał się na własnych przeżyciach, a także na opowiadaniach innych osób, przede wszystkim rodziców, oraz na dokumentach, artykułach prasowych i ulotkach. W jego tekście na pierwszy plan wysuwają się wydarzenia polityczne, społeczne i kulturalne; pojawiają się znane osobistości, które odwiedzały Łódź, jak niemiecki pisarz Alfred Döblin czy przewodniczący Reichstagu Paul Lobe. Dzieciństwo i wczesna młodość kojarzy się Heikemu z wielokulturowym charakterem domu przy Kątnej (obecnie Wróblewskiego), który zamieszkiwało pięć różnych narodowości: Polacy, Niemcy, Czesi, Francuzi i Żydzi. Za porządek na ulicy odpowiedzialny był natomiast rosyjski policjant. Sąsiadujące narodowości *komunikowały się w języku polskim i niemieckim. Ze strażnikiem trzeba było rozmawiać po rosyjsku*. Na ulicy często słychać było wołanie „Smot, smot” żydowskiego handlarza szmatami, „Piosek, piosek” polskiego piaskarza czy też „Sacharnoje, morozennoje”

– rosyjskiego sprzedawcy artykułów spożywczych. W okresie dziesięciu lat (1910-1920) mieszkańcy ulicy Kątnej oglądali maszerujących na pobliski poligon żołnierzy z trzech różnych armii: najpierw rosyjskiej, później niemieckiej i wreszcie polskiej. Każda z jednostek śpiewała inne piosenki. Heike wspomina, jak rosyjski żołnierz śpiewał solo: *Hej, hej, ty soldat, ja pułkownik, ty durak*, a cały oddział odpowiadał chórem: *Ja na wojnu nie pojdu i kopiejki nie chocz*. Z piosenek śpiewanych przez niemiecką armię autorowi podobała się najbardziej *Gold und Silber lieb ich sehr (Bardzo kocham złoto i srebro)*. Polscy żołnierze pułku, w którym służył Heike w 1919 r., śpiewali *Towarzystwo weteranów, każdy zna tych panów* z refrenem *Maryśka, moja Maryśka*.

Obaj autorzy sporo miejsca poświęcają nauczycielom, kolegom i szkole. Nauka prawie wszystkich przedmiotów z wyjątkiem języka niemieckiego i religii odbywała się po rosyjsku. Oskar Kossmann stwierdza, że na lekcjach gimnastyki chłopcy byli przygotowywani do służby wojskowej. Godzinami ćwiczyli wstawanie z ławek na komendę: *na wypadek gdyby nagle stanął w drzwiach gość z najważniejszej placówki; czy to inspektor szkolny, czy sam gubernator z Piotrkowa, a może nawet generalny gubernator z Warszawy, albo minister szkolnictwa z Petersburga, albo członek rodziny carskiej. Na każdy z tych przypadków była przewidziana inna formuła pozdrowienia, którą mieliśmy wykrzyknąć jednocześnie, chóralnie, bezbłędnie oddzielając każdą sylabę: „Zdrastwujcie, wasze błogorodije”*. W roku 1913 świętowano trzechsetną rocznicę dynastii Romanowów. W specjalnie rozstawionym dużym cyrkowym namiocie chóry szkolne śpiewały rosyjskie piosenki, a *każdy uczeń otrzymał paczkę czekoladek i kolorowy obrazek carskiej pary* – jak pisze Otto Heike. Oskar Kossmann pamięta, że oprócz słodyczy dostał bogato ilustrowany *wielki tom dzieł Puszkina* w czerwonej okładce. Kossmann uczęszczał do gimnazjum, które znajdowało się w parku Sienkiewicza. Był to *piękny, biały budynek w zielonym ogrodzie, przypominający pałac*. Zbudował go Karol Scheibler i подарował szkole. Ważnym wydarzeniem na początku nauki było kupienie szynela, *plaszcza z wełny, wzorowanego na rosyjskim płaszczu oficerskim, w białym kolorze z lekkim odcieniem błękitu i ze złotymi guzikami*. Częścią mundurka szkolnego był też pas *z czterokątną klamrą, na której znajdował się rosyjski orzeł a wokół niego napis: „Z Bogom za carja, za rodinu”*. Kupowano bardzo długi płaszcz, tak żeby wystarczył do ostatniej, ósmej klasy. Kiedy uczniowie byli w pierwszej klasie, przygotowawczej, sięgał im do ziemi. Na sto dni przed maturą odbywała się studniówka, którą urządzano w pięknym mieszkaniu skarbnika szkolnego kuratorium. Przy wspólnym stole siedzieli uczniowie i nauczyciele, śpiewali piosenki, a na koniec, późno w nocy *podawano kawę z koniakiem i plasterkiem cytryny, który miał być dobry na kaca*.

Wybuch pierwszej wojny światowej wywołał szok. Oprócz problemów gospodarczych, biedy, głodu i chorób pojawiły się napięcia między narodowościami: *z dnia na dzień stali się Niemcami, Polakami, Rosjanami i Francuzami – członkami narodów, które w czasie wojny znalazły się po różnych stronach frontów* – zauważa Heike. Wzajemną wrogość odczuł na własnej skórze, kiedy w sierpniu 1915 roku po zajęciu Warszawy przez Niemców niemiecka administracja w Łodzi urządziła uroczysty pochód na Piotrkowskiej. Autor, wówczas uczeń w redakcji niemieckiej „Deutsche Lodzer Zeitung”, poczuwał się do obowiązku

uczestniczenia w pochodzie świętującym zwycięstwo nad Rosją. Nie pamiętał jednak, że ubrany był w rosyjski mundurek szkolny. Idący obok niego żołnierz niemiecki rzucał początkowo w jego kierunku wściekłe spojrzenia, a w końcu z okrzykiem: „Czego tu chcesz, ty rasowy pętaku!” uderzył go pięścią w twarz. Był to *jeden z moich mniej radosnych kontaktów z Niemcami* – przyznaje Heike. Oskar Kossmann uświadomił sobie przynależność do narodu niemieckiego w 1914 roku. Spędzał wówczas wakacje u dziadków w okolicy Piotrkowa. Na wiadomość o wybuchu wojny zaczął krzyczeć wraz z innymi chłopcami, głównie Polakami: „Niech żyje Rosja! Precz z Niemcami!”. Wtedy dziadek zapytał: „Oskar, czy ty nie wiesz, że jesteś Niemcem?”. Chłopiec stał „jak rażony piorunem”, kiedy dotarła do niego ta prawda.

Obaj autorzy piszą o znajomych, Niemcach, którzy zgłaszali się do polskich legionów, a w 1920 roku razem z Polakami bronili Warszawy przed bolszewikami. Zarówno Kossmann jak i Heike uskarżają się na silne naciski polonizacyjne w latach 30. Otto Heike podaje liczne przykłady ataków na mniejszość niemiecką, szczególnie po dojściu Hitlera do władzy. W niedzielę palmową 1933 roku został zdemolowany budynek Niemieckiego Gimnazjum, księgarnia Gustava Rupperta oraz pomieszczenia „sprzyjającej narodowym socjalistom” redakcji dziennika „Freie Presse”. Heike obserwował na Chojnach, gdzie wówczas mieszkał, grupy Polaków *rozbijających szyby i demolujących niemieckie mieszkania*. Był to dla niego czas *zaciętrzewienia, psychozy strachu i prowokacji*. Subiektywizm w postrzeganiu własnej grupy narodowościowej nie pozwala mu na żadną jej krytykę. Niemcy jawią się jako lojalni obywatele państwa polskiego, które z czasem jest do nich coraz bardziej wrogo nastawione.

Okres okupacji hitlerowskiej – lata zagrożenia i niepewności – spowodowały lawinowe wręcz powstawanie zapisów autobiograficznych. Niemieckojęzyczni autorzy, tacy jak Oskar Singer, Oskar Rosenfeld, Bernard Heilig, Irene Hauser, Ruth Tauber i inni więźniowie getta Litzmannstadt pisali przede wszystkim dzienniki. Ci, którym udało się przeżyć, spisali także wspomnienia. Liczni Łódzcy Niemcy też opisywali ten okres. Na uwagę zasługuje tekst Marietty von Kesselring, Szwajcarki pracującej w Łodzi dla SS. Autorkę, artystkę kabaretową, wybuch wojny zastał w Niemczech. Nazistowska biurokracja odmówiła jej zgody na powrót do ojczyzny. Pozostała więc i przyjęła propozycję występów w państwach okupowanych przez III Rzeszę. W maju 1940 roku trafiła do Łodzi, przemianowanej niespełna miesiąc wcześniej na Litzmannstadt. Występowała głównie w obozach przejściowych dla przesiedlonych tu Niemców z Ukrainy, Besarabii i krajów bałtyckich. Ponieważ sprawnie posługiwała się maszyną do pisania, otrzymała propozycję pracy w charakterze sekretarki SS. Jak twierdzi, bała się odmówić. Nie bez znaczenia były też dla niej finanse. Dzięki pracy w SS mogła utrzymywać chorą matkę w Wiedniu. Po wyjeździe z Litzmannstadt w roku 1942 potrzebowała półtora roku, *żeby się wewnętrznie odprężyć, aby wydać obiektywny osąd i móc oddzielić to, co istotne, od tego, co mniej ważne*. Relację, która ukazała się drukiem w Zurychu w roku 1945, napisała pod wpływem przyjaciół. *Erlebnisse einer zur SS-Sekretarin Gezwungenen (Przeżycia zmuszonej do pełnienia*

funkcji sekretarki SS) określa jako *relację faktograficzną*. Zawiera ona opis okupowanego miasta, spostrzeżenia na temat takich praktyk SS i SA jak grabież mienia polskiego i żydowskiego, egzekucje i wysiedlenia Polaków, bezpośrednia i pośrednia eksterminacja społeczności żydowskiej. Autorka sporo uwagi poświęciła folksdojczom. Według niej przemawiali oni majątek Polaków, jednak duchowo byli związani z polską ojczyzną i starali się ulżyć losowi Polaków. W sklepach po stosunkowo niskich cenach sprzedawali im towary, których niemieckim klientom w ogóle nie pokazywali albo żądali za nie astronomicznych cen. Dlatego Polki *nadal wyróżniały się elegancją, dobrym smakiem i kulturą*. Wzbudzały tym zazdrość żon esesmanów, które mimo okazałych sum pieniędzy, jakimi dysponowali ich mężowie, *nie były w stanie ukryć swego prostego pochodzenia z przedmieść wielkich miast*. Sytuacja Polek zaczęła się jednak szybko zmieniać. O ile w 1940 roku wyróżniały się one elegancją, to już po roku żony esesmanów *należały do społecznej elity. Swe grube stopy wciskały do ozdobnych butów z najlepszej skóry, ich pękate ciała otulały drogie futra, a na zaniedbanych dłoniach błyszcząły drogie kamienie. Zmiana dokonała się dzięki udanym łapankom na Żydów i Polaków*.

Autorka zwraca też uwagę na relacje między folksdojczami a Niemcami z Rzeszy. Obie grupy rywalizowały ze sobą. Uprzywilejowani Niemcy z Rzeszy donosili na folksdojczów, że ci łamią zasady systemu kartkowego oraz faworyzują Polaków. Często nawet takie nieudowodnione doniesienie wystarczyło, aby folksdojczowi odebrać sklep i podarować go przybyszowi z Rzeszy. *Powietrze było skażone strasznym donosicielstwem* – komentuje Mariette von Kesserling. Autorka podkreśla też różnicę w zachowaniu policjantów-folksdojczów i oficerów z Rzeszy. Policjanci *trzymali po cichu z Polakami. Austriacy, piastujący wyższe stanowiska w policji, sprzeciwiali się aktom gwałtów. Tak samo nienawidzili pruskiej brawury jak i Polacy, i próbowali, jak tylko mogli, łagodzić ich los. Tylko wyżsi funkcjonariusze policji i gestapo, wyłącznie Niemcy z Rzeszy, byli ślepyimi narzędziami akcji politycznych. Jeśli ktoś wpadł w ich ręce, był stracony*. Marietta von Kesserling pisze o funkcjonariuszach SS, że wiedli wspaniałe życie, w kantynach spożywali niezliczone ilości alkoholu. Autorka zauważa nie bez ironii, że czas spędzany przez nich nad kuflami z piwem był błogosławieństwem dla Polaków i Żydów. *Co dopiero mogło się wydarzyć w Litzmannstadt, gdyby SS była cały czas trzeźwa?* – pyta von Kesserling.

Taki obraz łódzkiej rzeczywistości – obciążony emocjami – często jest bardzo osobisty. Można z tymi wizjami dyskutować i powołując się na dokumenty wykazywać nieścisłości, dotyczące zwykle topografii, nazwisk bądź dat. Źródła historyczne i dokumenty nie dostarczają jednak żywego obrazu przeszłości, a ich niekompletność może być choć w części uzupełniana tekstami autobiograficznymi.

Krystyna Radziszewska

Pierwodruk: „Tygiel Kultury” 7-9/2005



Władysław Bartoszewski

Wystąpienie inauguracyjne Towarzystwa na Rzecz Dialogu Kultur Łódź – Ziemia Przyszłości

16 października 2001, Pałac Poznańskich w Łodzi

Drodzy Państwo,
kiedy zastanawiałem się, co mam tu dziś powiedzieć, przypomniałem sobie mądrość mojego nieżyjącego już od lat, o całą generację starszego przyjaciela Antoniego Słonimskiego: „Kiedy już zupełnie nie wiesz, co powiedzieć, powiedz prawdę”. W tym właśnie duchu mam zamiar podzielić się z Państwem kilkoma refleksjami, które uzasadnią, dlaczego zdecydowałem się w to przedsięwzięcie zaangażować, nie tylko zresztą formalnie.

Cieszy mnie niezmiernie, że gospodarze tej uroczystości zaprosili na nią przedstawicieli korpusu dyplomatycznego krajów, z którymi utrzymujemy dobre, a nawet bardzo dobre stosunki. Okoliczności życiowe sprawiły, że z każdym z tych krajów czuję się w jakiś sposób związany. Jestem jedynym na świecie ministrem spraw zagranicznych, który jest zarazem obywatelem honorowym Izraela. Jestem, jak do tej pory, jedynym na świecie Polakiem, który 28 kwietnia 1995 roku miał zaszczyt przemawiać przed deputowanymi do Bundestagu i Bundesratu, moje wystąpienie zaś wprowadzali Rita Sussmuth i Johannes Rau, obecnie Prezydent Republiki Federalnej Niemiec. Obejmując w zeszłym roku stanowisko ministra spraw zagranicznych, zdałem sobie sprawę, że jednym z najważniejszych stojących przed nami zadań jest poprawa stosunków z Federacją Rosyjską. Niektórzy twierdzili, że to zadanie bardzo trudne, takie twierdzenia jednak działają na mnie podniecająco.

Od 1 lipca 2000 roku pełnię zaszczytną funkcję ministra spraw zagranicznych. W tym czasie odbyłem trzy spotkania ze swoim szanownym kolegą, ministrem spraw zagranicznych Federacji Rosyjskiej, Iwanowem. Doprowadziłem do przyjazdu do Polski premiera Kasjanowa i przewodniczącego Dumy Selezniowa. Spotkania te w pewnym sensie przygotowywały grunt pod bardziej spektakularne działania, do których niewątpliwie należy zapowiedziana na połowę stycznia 2002 wizyta w Polsce prezydenta Federacji Rosyjskiej, Władimira Putina. Oczywiście przygotowanie tych spotkań wynikało z zakresu obowiązków ministra spraw zagranicznych, jednak wiemy, że obowiązki można wykonywać z różnym zaangażowaniem. Odwołałem się tu do dowcipu, który zrobił prezydent Kwaśniewski. Kiedy w listopadzie ubiegłego roku zaprosił mnie do

Pałacu na spotkanie z Ministrem Spraw Zagranicznych Federacji Rosyjskiej Iwanowem, czego, nawiasem mówiąc, nie wymagał protokół, powiedział do pana ministra: „Panie Iwanow, siedzący przy panu minister Bartoszewski nie jest jakimś tam ministrem. Pogodził nas już z Żydami i z Niemcami, co będzie, jak on nas z Wami jeszcze pogodzi”. Dowcip ten odzwierciedla trafnie moje intencje. W stu procentach akceptuję myśli i nauczanie Jana Pawła II – nie tylko jako wierzący katolik, ale również jako człowiek, który stykając się z Nim od ponad 40 lat, zawsze Go podziwiał i podziwia. Do ludzi na całym świecie trafia papieskie przesłanie dotyczące stosunków międzyludzkich tu, w wymiarze ziemskim: współpracy, budowania mostów, zbliżenia, bezkrwawego przewycięzania różnic, solidarności międzyludzkiej. Dla Polaków słowa te powinny mieć szczególne znaczenie. I ja tak je odbieram. Wszystkie te elementy powodują, że chcę być człowiekiem dialogu, budowania mostów, i to nie tylko dlatego, że akurat jestem ministrem spraw zagranicznych. W podobną działalność próbowałem bowiem angażować się na długo przed powstaniem projektu wykorzystania mnie jako ministra.

Bardzo dziękuję, że zaproszono mnie do udziału w spotkaniu inauguracyjnym działalność Towarzystwa Łódź – Ziemia Przyszłości. Sam jestem warszawiakiem. Należę do tej bardzo nielicznej już dziś grupy, która szczyli się rodowodem sześciu-siedmiu pokoleń bez przerwy mieszkających w Warszawie; jest nas może kilka procent. Z Łodzią – już przed wojną drugim co do wielkości miastem polskim – czuję się jednak bardzo szczególnie związany. Przyczyniły się do tego wydarzenia historyczne, a także liczne kontakty i przyjaźnie, którym wiele w życiu zawdzięczam. Komitet honorowy Towarzystwa gromadzi wiele znakomitości, które związane są z Łodzią dużo bardziej, jednak i mnie łączą z tym miastem powiązania często bardzo osobiste, czasami anegdotyczne, a także te o wiele głębsze.

Zacznę od ojca. Tak się złożyło, że był jednym z pierwszych, którzy właśnie w Łodzi odbudowywali działalność Narodowego Banku Polskiego. Mieszkał na terenie banku przy al. Kościuszki i od roku 1945 aż do chwili przeniesienia centrali do Warszawy w 1947 r. kierował tam skarbcem emisyjnym. Bywałem więc w tej tużpowojennej Łodzi, która odgrywała wtedy bardzo szczególną rolę, nie tyle polityczną i administracyjną – najważniejsze instytucje dość szybko przeniesiono do Warszawy – ile przede wszystkim kulturalną, naukową, organizacyjną i społeczną, zarówno dla Polaków, jak i dla ocalałych po wojnie Żydów, którzy utworzyli tu dość znaczne skupisko. To tu, w Łodzi, znajdowały się główne ogniwa ważnych organizacji żydowskich. Moje uczestnictwo w tym wielkim dziele odbudowy życia było bardzo anegdotyczne. Przy Piotrkowskiej 202 miał w latach 1945-46 swoją księgarnię Moryc Gelber ze Lwowa. Używał nazwiska Artymowicz. Nazwisko to miał ode mnie, pomogłem w jego ocaleniu. Zanim wyemigrował (do USA), często wpadałem do jego księgarni na miłe pogawędki. Tu, w Łodzi, pierwszy raz w życiu byłem w teatrze Syrena i w innych teatrach, które potem miały długą historię i znakomitych aktorów. Ze zburzonej Warszawy, w której mieszkałem od lutego 1945 r., przyjeżdżałem do Łodzi, która stała się wtedy moim drugim miastem.

Potem nawiązałem tu liczne kontakty i przyjaźnie, które zaowocowały tym, że obecnie właściwie na całym świecie rozmawiam o Łodzi. W Jerozolimie z Henrykiem Flugiem, w Nowym Jorku z Romanem Kentem, obaj przeszli przez łódzkie getto. W Warszawie rozmawiam o Łodzi z Marianem Turskim – też z getta łódzkiego. W Wiedniu, jeszcze nie tak dawno rozmawiałem z rodziną Radzymerów, teraz zostali tam już tylko przedstawiciele drugiego pokolenia. Przyjaźniłem się z Olkiem Drożdżyńskim, autorem tomiku *Mądrości żydowskie*; niestety – zmarł w Niemczech. Przyjaźniłem się też z byłym więźniem getta łódzkiego Lucjanem Dobroszyckim, który zmarł w 1995 roku w Nowym Jorku. Na kilka dni przed jego zgonem byłem u niego w szpitalu. Wizyta ministra spraw zagranicznych wzbudziła tam sporą sensację, a dla niego była po prostu po ludzku nieobojętna, dla mnie również. Ale to nie koniec. Od 1942 roku znałem Jana Karskiego; on również już odszedł. Przed jego misją i wyjazdem za granicę omawialiśmy wspólnie „pewne rzeczy”. Jeszcze grubo po wojnie utrzymywaliśmy ze sobą kontakty. A to był przecież człowiek bardzo z Łodzią związany. Byłem w Darmstadt i we Frankfurcie nad Menem u Karla Dedeciusa, z którym się przyjaźnię. W Wiedniu u Gerdy Leber-Hagenau. Wszystko to są Łodzianie, tym razem niemieccy. Ale na przykład Dedecius chodził do jednej klasy z Andrzejem Braunem, znanym polskim pisarzem prozaikiem, łodzianinem; zdawał maturę w 1939 roku. Ja również, z tym że w Warszawie. Losy ludzi różnego pochodzenia, różnych wyznań i przynależności splotły się w tak dramatyczny, w tak tragiczny sposób, że kiedy się tu przyjeżdżało, nie wiadomo było, co bardziej boli: widok popiołów spalonych żywcem przez hitlerowskich zbrodniarzy polskich więźniów politycznych w Radogoszczu czy zupełnie opustoszałe getto, którego więźniów jeśli spalono, to w Oświęcimiu lub w Chełmnie. To właśnie były refleksje Polaka pokolenia wojennego, który przyjeżdżał do Łodzi już w marcu 1945 roku, a więc w czasie, kiedy na wielu frontach jeszcze toczyły się walki, a w Berlinie Hitler wciąż posyłał ludzi na śmierć. Moje związki z Łodzią przypadły zatem na wiek wielkiego zaangażowania młodzieńczego, kiedy człowiek wszystkim się interesuje, przejmuje, łatwo zawiera przyjaźnie, kiedy obchodzą go sprawy, które później naturalną kolejną losu przysypane zostają pyłem innych obowiązków. Łódź zawsze była dla mnie miastem ważnym.

Dużo później stała się miastem, w którym istniała opozycja demokratyczna. Ojciec Miecznikowski zaszczycał mnie swoimi zaproszeniami do wygłaszania różnych „niecenzuralnych rzeczy” w ramach jego działań społecznych w Kościele. Internowany byłem również z łodzianami, między innymi ze Stefanem Niesiołowskim, który w tamtym czasie szczególnie mocno przyjaźnił się z Romanem Zimandem. Nota bene: właśnie Stefan Niesiołowski napisał najpiękniejsze wspomnienie pośmiertne, jakie skreślono o Romanie Zimandzie. Tych kilkanaście nazwisk wymieniłem dla przykładu, gdybym pogrzebał głębiej, znalazłyby się następne. Ale w końcu jest to tak wielkie miasto, że łodzian lub ludzi związanych z Łodzią można spotkać w każdym zakątku Polski, a nawet świata, od Izraela po Stany Zjednoczone, i dalej po Australię.

Gratuluję panu Prezesowi i pierwszym członkom Towarzystwa uporządkowania, z jakim starali się przekonać do swojej szlachetnej idei różne środowiska w Łodzi i poza nią. Wiem, że inicjatywa ta narodziła się mniej więcej przed rokiem w kręgach łódzkich twórców, intelektualistów, młodzieży i różnych ludzi dobrej woli, którzy postanowili nawiązać do najlepszych tradycji miasta, które niegdyś budowały różne nacje: Polaków, Żydów, Niemców i Rosjan. Potrafili oni stworzyć, choć niewolny od napięć właściwych epoce, bogaty organizm społeczny. Nie bez przyczyny przyłgnęło do Łodzi biblijne miano Ziemi Obiecanej, które mistrzowską konkretyzację zyskało w powieści naszego laureata literackiej nagrody Nobla, Władysława Reymonta. Jeszcze wcześniej Stanisław Staszic zwrócił uwagę na fakt, iż w okolicy, jak to ujął, *niezliczone trzyszcza źródła*, które manufaktury włókiennicze mogą z powodzeniem wykorzystać. Na chętnych włókienników czekały pożyczki, budulec i zwolnienie z podatków. Po uwłaszczeniu chłopów w 1864 roku do Łodzi napływa nowa siła robocza, już na początku XX wieku miasto liczy 320 000 mieszkańców, co jest światowym fenomenem demograficznego rozwoju. Łódź z prowincjonalnego miasteczka staje się wielką przemysłową metropolią, stolicą finansów, włókiennictwa i handlu. Polacy, Żydzi, Niemcy i Rosjanie budowali tu pierwsze fabryki, banki, domy handlowe, osiedla robotnicze i ulice. To przecież fabrykant Ludwik Geyer, przybysz z Saksonii, współtwórca potęgi przemysłowej Łodzi, sprowadził do miasta pierwszą maszynę parową. To właśnie w Łodzi w 1898 roku, a więc 10 lat przed Warszawą, zaczął kursować pierwszy w Królestwie Polskim tramwaj elektryczny. Wyrastają świątynie różnych wyznań. Znane są przykłady pięknych gestów dobrze świadczących o otwartości duchowej ówczesnych łódzkich elit. Ewangelik Scheibler, wielki przemysłowiec, wspierał budowę kościoła katolickiego. Izrael Poznański, najbogatszy żydowski przedsiębiorca, przekazywał pieniądze na szpital ewangelicki. Powstają również pierwsze gazety, teatry i kluby sportowe. Sława teatru łódzkiego przyczyniła się do ukucia dwuwiersza: „Sezon w Łodzi nie zaszkodzi”. Występy na scenie łódzkiej stanowiły bowiem dobrą przepustkę do innych teatrów polskich. I chociaż Łódź powstała jako miasto przemysłowe, jej niezwykle skład narodowościowy sprawił, że odegrała znaczącą rolę również w kulturze Polski. Unikatowym dorobkiem architektonicznym są secesyjne pałace i kamienice, a także skanseny w postaci XIX-wiecznych budowli fabrycznych. Nie sposób nie wspomnieć o urodzonych tu Julianie Tuwimie, Arturze Rubinsteinie, Wandzie Wiłkomirskiej, wymienianym już przeze mnie Karlu Dedeciusie i wielu innych. Łódzki fenomen kierunku historii sztuki znanego w świecie jako „unizm” Władysława Strzemińskiego wpisał się w historię rozwoju całej sztuki światowej. Do dziś tę tradycję z pieczołowitością pielęgnuje Muzeum Sztuki Nowoczesnej. A łódzka Szkoła Filmowa, która wykształciła znanych na całym świecie reżyserów i operatorów? Pamięć o niej wciąż manifestuje się poprzez dzieła lub wizyty znakomych jej absolwentów, uczniów, miłośników i przyjaciół. Szkoła jest przecież pojęciem nie tylko polskim i europejskim, lecz równie dobrze hollywoodzkim. I to pojęciem traktowanym z najwyższym szacunkiem.

Najlepiej oczywiście uwieczniają miasto poeci. Oto jak mówi o swoim mieście Julian Tuwim, człowiek jednakowo zakorzeniony w kulturze rosyjskiej, polskiej i żydowskiej; człowiek, który całe życie czuł się Polakiem i Żydem, a równocześnie wspaniała tłumacz, żyjący w świecie klasycznej poezji rosyjskiej: *Gdy fabryki łódzkie dostają jakieś większe zamówienie, gdy zjawia się koniunktura, zaczyna tam świecić słońce, zakwitają bzy, słowiki turkocą, w Helenowie błoto się mieni spektralnymi kolorami, a ospali Lodzermensche stają się Übermenshami, odzyskują gibkość ruchów, żywość spojrzeń, bystrość myśli. Ten febryczny stan polskiej myśli ma fachową nazwę: „Ruszyło się”.*

Proszę Państwa, spotykamy się dzisiaj w Pałacu Poznańskich. O Izraelu Poznańskim krąży wiele anegdot. To w tym Pałacu chciał wykladać podłogę złotymi monetami pięciorublowymi. Car, z którym był zaprzyjaźniony, poproszony o radę, jak ma układać monety – do góry wizerunkiem rosyjskiego władcy czy dwugłowego orła, odpowiedział: „Postaw monety na sztorc”.

Miasto z takimi tradycjami jest szczególnie predestynowane do tego, by podjąć tak tragicznie przerwany przez ostatnią wojnę i tak tragicznie powikłany dialog narodów i kultur. Nie ma już w Łodzi społeczności żydowskiej, nie ma Niemców. Wiadomo, że w czasie okupacji wielu z nich nie chciało podpisać *volkslisty*. Wiadomo, że wnet po wejściu do Łodzi specjalne oddziały na podstawie *Fahndungsbücher* (po naszymu: listów gończych) zamordowały w mieszkaniach dwóch łódzkich przemysłowców, Niemców, w tym potomka wspomnianego wcześniej największego fabrykanta bawełnianego w Królestwie Polskim, Roberta Geyera. Sprawą tą, w ramach działań Instytutu Pamięci Narodowej, zajmują się obecnie nasze organa śledcze. Był to mord dokonany przez Niemców na Niemcach; Niemcach nie-hitlerowcach, którzy nie chcieli popierać zbrodniczych działań. Zarówno Robert Geyer jak Guido John, drugi z zamordowanych, byli wedle dzisiejszych kategorii europejsko- i polskomyślącymi łodzianami sprzeciwiającymi się systemowi, który zapanował w ojczyźnie ich przodków.

Jesteśmy obecnie świadkami dramatycznych wydarzeń zapoczątkowanych 11 września przerażającym atakiem terroryzmu w Nowym Jorku i Waszyngtonie. Widzimy, jak kruchy jest pokój. Niektórzy o zagrożeniu terroryzmem mówią już od lat, niektórzy doświadczali go na co dzień na własnej skórze. Jest wśród nich wielu Żydów, w tym urodzonych i wychowanych w Łodzi, którzy żyją dziś na terenie państwa Izrael, gdzie nieobliczalne i niepoczytalne ataki terrorystyczne należą niestety do krajobrazu codzienności. Na niedawnym spotkaniu Rady Europy terroryzm określono jako zagrożenie idei społeczeństwa otwartego, demokratycznego, tolerancyjnego i wielokulturowego.

Oczywiście nikt o tym nie myślał, kiedy rok temu podejmowali i formułowali Państwo swoją inicjatywę, ale tym cenniejsza jest ona teraz. Warto powracać do najlepszych polskich wzorców współistnienia wielu kultur, do dialogu, do poznawania dorobku kulturalnego Polaków, Żydów, Niemców, Rosjan i wielu innych nacji mieszkających kiedyś w Łodzi, do szukania tego, co nas łączy, tworzenia atmosfery zaufania. Słowem, warto trudzić się, aby Łódź wciąż była dla ludzi przybywających z różnych stron Ziemią

Obiecana, Ziemią Przyszłości. Współczesny człowiek myśli bowiem kategoriami: „Co ja, co moje dzieci, moje wnuki mogą z tego mieć”. I w obrębie tych kategorii gotowi są do poniesienia ryzyka, do wysiłku i do poświęceń.

Wszystkie atuty miasta sprawiają, że Łódź ma wielką szansę, aby włączyć się z sukcesem w proces integracji Polski z Unią Europejską, by uczestniczyć w międzynarodowym dialogu dotyczącym różnych aspektów dziedzictwa kulturalnego, jak również żeby wykorzystać swój potencjał, niepowtarzalny *genius loci* z korzyścią dla społeczności lokalnej. Wierzę, że bardzo dobry ramowy program Towarzystwa będzie z pasją i konsekwencją rozwijany, pogłębiany i wcielany w życie, i że dzięki zaangażowaniu twórców inicjatywy Łódź zaistnieje wyraźnie z własną tożsamością na mapie kulturalnej naszego kraju. Życzę Państwu w tych działaniach wielu dokonań, wiele satysfakcji, które każdemu człowiekowi potrzebne są w dążeniu do celu, i wiele zadowolenia. Oby już wkrótce kierunek podróży ludzi z Warszawy, Krakowa czy Poznania charakteryzowała symetria, która jak wiadomo, jest Rzeczą Boską, i by wszyscy oni kierowali się ku Łodzi – na spotkanie ciekawych rozmówców i niebanalnych wydarzeń kulturalnych.

Obiecuję organizatorom, że i ja jako „wesoly emeryt” nie będę się od współudziału uchylał.

Władysław Bartoszewski

Pierwodruk: „Tygiel Kultury” 10-12/2001



Joanna Podolska

Nie lubię, jak ktoś obraża innych

Często żąda się tolerancji w sensie obojętności, braku jakiegokolwiek stanowiska czy opinii. Żądanie tolerancji w tym znaczeniu jest częścią naszej kultury hedonistycznej, w której nic naprawdę nie ma dla nas znaczenia: jest to filozofia życia bez żadnej odpowiedzialności i żadnych przekonań
(Leszek Kołakowski *Mini wykłady o maxi sprawach*)

Przez długie lata na murach Łodzi, a także wielu innych polskich miast, można było zobaczyć gwiazdy Dawida powieszono na szubienicy, swastyki i obraźliwe napisy wykorzystujące symbole narodowe lub religijne. Pewnego dnia kilkaset osób postanowiło zmanifestować, że im się to nie podoba.

W Kolorowej Tolerancji, akcji zamalowywania rasistowskich i obraźliwych napisów na murach i budynkach Łodzi, która odbyła się 21 marca [2000 roku – przyp. red.], wzięła udział głównie młodzież licealna i studencka, ale nie zabrakło wśród niej dorosłych mieszkańców miasta. Z murów Łodzi znikły wówczas setki symboli będących wyrazem nienawiści i ksenofobii.

Akcję zainicjował łódzki oddział „Gazety Wyborczej”, a zorganizowały ją lokalne media i Urząd Miasta Łodzi.

Zaczęło się od listu

Jak głosić i uprawiać tolerancję wobec poglądów i ruchów nietolerancyjnych? Działamy wbrew zasadzie tolerancji, o ile poglądy takie i ruchy zmuszamy siłą do milczenia; działamy wbrew zasadzie tolerancji, o ile je tolerujemy, ponieważ przez to samo umożliwiamy im opanowanie sytuacji i zniszczenie zasady tolerancji w praktyce życia społecznego
(Leszek Kołakowski *Pochwała niekonsekwencji*)

Kolorowa Tolerancja była bezpośrednią reakcją na list otwarty Związku Byłych Mieszkańców Łodzi z Izraela, opublikowany pod koniec stycznia w gazetach. Zdaniem byłych łodzian, pojawiające się na murach miasta swastyki i symbole nazistowskie stanowią straszliwe zbezczeszczenie pamięci ofiar hitleryzmu nie tylko łódzkich Żydów, ale także łódzkich chrześcijan, którzy padli z rąk hitlerowskich siepaczy. Przedstawiciele Związku

nawoływali mieszkańców Łodzi do reakcji na te hasła: *Jak możecie przechodzić obojętnie obok tych napisów? Czy nie czujecie, że garstka ludzi bez sumienia i bez rozumu, wychwalając hitlerowskich okupantów, pluje wam wszystkim w twarz?* – napisali.

Po opublikowaniu listu w mieście zawrzało. Wiele osób oburzył jego ton. Padły w nim słowa ostrzeżenia, że Łódź może zostać zbojkotowana przez turystów i inwestorów, jeśli łodzianie czegoś z tym społecznym problemem nie zrobią.

Mieszkańcy Łodzi zareagowali od razu. Telefony w redakcjach nie przestawały dzwonić: „Nie można wypowiadać opinii o całym mieście tylko na podstawie napisów, które robi garstka wandal, pseudokibiców piłkarskich” – twierdziła większość czytelników „Gazety Wyborczej”.

Faktycznie, napisy na łódzkich murach są odbiciem rywalizacji dwóch łódzkich klubów piłkarskich: ŁKS-u i Widzewa. To fani obu drużyn obrzucają się nawzajem inwektywami, wykorzystując symbole oraz napisy rasistowskie i antysemityczne. Jednak część ściennej malowideł pojawiających się w Łodzi, to nie tyle wyraz nienawiści wobec kibiców z przeciwnego klubu, ale przedstawicielej innej religii, kultury czy narodu. Dlatego wielu mieszkańców tego miasta przyznało, że wyjątkowo nie służy mu taki wizerunek i warto rozwiązać tę kwestię.

Mieszkam w Łodzi od urodzenia i zobojętniałem, widząc gwiazdę Dawida na szubienicy. Dopiero ten list z Izraela uświadomił mi, że to wstrząsające zjawisko – stwierdził 22-letni student UŁ.

Już wcześniej, kilkakrotnie przyjeżdżający do Łodzi obcokrajowcy zwracali uwagę na ten problem. *Nie rozumiem, dlaczego u was jest tak dużo takich napisów na murach. U nas też pojawiają się takie rzeczy, ale zaraz są zmywane. Może tu naprawdę nikt nie zwraca na to uwagi* – zastanawiał się przed dwoma laty odwiedzający Łódź amerykański dziennikarz.

Peretz Uniłowski, konsul honorowy RP w Tel Awiwie, mówił o tym problemie dziennikarzom w ubiegłym roku: *W ciągu dwóch tygodni przejechałem po Polsce 1000 kilometrów, byłem w Warszawie, Wrocławiu, Wałbrzychu, Katowicach, a tylko w Łodzi widziałem gwiazdę Dawida na szubienicy. To niesamowite. Tu już nie ma Żydów, a wciąż jest antysemityzm* – żalił się podczas wizyty w naszym mieście.

Też jesteśmy inni

Tolerancja antysemityzmu w najsłabszych objawach dzisiejszych jest tolerancją jutrzejszych pogromów. Antysemityzm nie jest teorią. Jest antykulturą i antycywilizacją. Antyteorią o antynauce
(Leszek Kołakowski *Światopogląd a życie codzienne*)

4 lutego na pierwszej stronie „Gazety Wyborczej” napisaliśmy: *Pomalujmy Łódź! Zamalujmy okropne, rasistowskie napisy na łódzkich murach. Włączmy w to młodzież, dzieci i studentów, nauczycieli i wykładowców akademickich, księży, muzyków i piłkarzy obu piłkarskich klubów. Zróbmy to razem.*

Rzucone przez dziennikarzy hasło podjęły inne łódzkie media. W organizację imprezy włączył się prezydent Łodzi oraz Wydział Informacji i Promocji UMŁ. Zdecydowaliśmy, że akcja malowania Łodzi odbędzie się 21 marca, nazwalimy ją Kolorową Tolerancją. *Kolorowa, bo są różne rodzaje nietolerancji, na przykład rasizm wobec osób o innej skórze, a poza tym będziemy malować mury Łodzi na różne kolory* – uzasadniali dziennikarze. Media zaczęły przygotowania do Kolorowej Tolerancji. Swój udział w imprezie zgłaszały kolejne organizacje i instytucje. Opinie na temat akcji były zróżnicowane.

Nie rozumiem dlaczego mury mają zamalowywać uczniowie i mieszkańcy miasta, od tego są odpowiednie służby – mówili niektórzy. Inni wręcz się oburzali. *To kolejny antypolski spektakl światowego żydostwa w Polsce i to robiony za polskie pieniądze* – napisała do „Gazety Wyborczej” jedna z mieszkanki Łodzi.

Nie brakowało również spontanicznych aktów poparcia. Udział w akcji zgłosiło ponad 30 szkół, które postanowiły przy okazji pomalować swoje budynki i zrealizować w tym dniu praktyczną lekcję tolerancji. Bardzo często z inicjatywą przyłączenia się do dziennikarzy występowały do nauczycieli sami uczniowie. Kolorową Tolerancję poparli również mieszkańcy w Łodzi cudzoziemcy i studenci łódzkich uczelni, członkowie Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży Archidiecezji Łódzkiej i Federacji Anarchistycznej, młodzież z Polskiej Unii Studentów Żydowskich, a także politycy, radni, urzędnicy, biznesmeni. Przyłączali się również zwykli mieszkańcy miasta.

Bo w Kolorowej Tolerancji – jak podkreślali dziennikarze – chodziło nie tylko o antysemityzm, ale o walkę z wszelkimi przejawami ksenofobii i nietolerancji wobec innych. Przyszli też uczniowie ze szkoły specjalnej i kontestujący licealiści z kolorowymi włosami i kolczykami w nosie. *My też jesteśmy trochę inni, a chcemy być tolerowani* – tłumaczyli.

Głupio mi, że do tej pory przechodziłam obojętnie obok tych napisów, które obrażają uczucia niektórych ludzi. Postanowiłam teraz jakoś odkupić swoje winy i namówiłam klasę, żebyśmy wzięli udział w Kolorowej Tolerancji – tłumaczyła dziennikarzom uczennica XXVI LO, jednego z najlepszych łódzkich ogólniaków.

Akcję wsparli sponsorzy. Media dostały od producentów farby, pędzle, wałki, a także pieniądze na organizację koncertu, gdzie pod hasłem Kolorowej Tolerancji wystąpiło kilka zespołów rockowych.

Łódź przejaśniała

Przedstawmy sobie społeczeństwo, które uwolniło się od wszelkich tabu, a w konsekwencji także od świadomości winy; czy mamy podstawy, by sądzić, że sam przymus prawny wystarczyłby, aby całą konstrukcję życia społecznego ustrzec od rozpadu, a dobrowolne więzy międzyludzkie od zaniku?

(Leszek Kołakowski *Jeśli Boga nie ma...*)

Łódź przejaśniała jeszcze zanim Kolorowa Tolerancja się rozpoczęła. Straż Miejska czynnie włączyła się w akcję. Wypisano 690 nakazów dla właścicieli blisko 3000 budynków. 90 proc.

tych posesji zostało uporządkowanych przed 21 marca. Złapano i ukarano kilka osób, które mazały na murach.

Kolorowa Tolerancja stworzyła odpowiedni klimat w mieście. Mieszkańcy zaczęli sami do nas telefonować i informować nas, kto jest sprawcą tych bazgrołów. Do tej pory sprawcy pozostawali zwykle anonimowi – opowiadał Sławomir Seliga, komendant Straży Miejskiej w Łodzi. Wielu właścicieli budynków na własną rękę doprowadzało mury swoich posesji do porządku. Kulminacją Kolorowej Tolerancji był jednak 21 marca.

21 marca to Pierwszy Dzień Wiosny, a także Światowy Dzień Walki z Rasizmem ogłoszony parę lat temu przez Organizację Narodów Zjednoczonych. W Polsce od kilku lat był obchodzony jako Dzień Wagarowicza. Tym razem uczniowie – zamiast na wagary – przyszli na Piotrkowską zamalowywać pobazgrane sprayem ściany.

W ciągu dwóch godzin obraźliwe napisy znikły z kilkuset budynków. Nie zawsze efekt był taki, jak oczekiwali organizatorzy. Nie wystarczyło farby i środków, by znikły brudne i zniszczone kamienice i pojawiły się nowe – czyste i politycznie poprawne – jak niektórzy złośliwie komentowali. Oprócz zamalowywania murów 21 marca w synagodze i łódzkich kościołach różnych wyznań, odbywały się spotkania z młodzieżą. Przedstawiciele różnych religii wyjaśniali, na czym polega ich wiara. Najwięcej młodzieży przyszło do synagogi, która została w tym dniu również „oczyszczona” z wulgarnych malunków. Przez cały dzień, w kinie prezentowano filmy związane z tematyką tolerancji, m.in. etiudy przygotowywane przez studentów PWSFTViT w Łodzi. Wieczorem w hali sportowej odbył się wielki koncert rockowy. Wzięło w nim udział ponad dwa tysiące młodych ludzi.

Nie dam satysfakcji

Nienawiść to więcej niż dążenie do zniszczenia. Podobnie jak miłość, zawiera ona pewien rodzaj nieskończenia i nienasycenia. Nie dąży po prostu do zniszczenia, ale do nieustającego cierpienia

Leszek Kołakowski

Mimo, że przykrym finałem i odpowiedzią garstki skinów na Kolorową Tolerancję było zamalowanie domu Marka Edelmana, mieszkającego w Łodzi ostatniego dowódcy getta warszawskiego, łodzianie uznali akcję za potrzebną i ważną.

Nie dam satysfakcji tym kilku zwyrodnialcom i nie powiem, że udało im się wszystko popsuć. Jako łodzianin wstydzę się tego, czego się dopuścili, lecz mimo to uważam, że Kolorowa Tolerancja odniosła sukces – napisał jeden z czytelników Gazety.

Takie było też odczucie wielu innych osób, niekoniecznie od początku entuzjastycznie nastawionych do tego pomysłu.

Przez wiele tygodni o tolerancji wiele się w Łodzi mówiło i pisało. Dyskutowano na ten temat w szkołach i na uczelniach, w biurach, a także w prywatnych domach. Do gazet napływały listy, w których czytelnicy próbowali zdefiniować czym jest tolerancja. *To akceptacja drugiego człowieka takim jaki jest; To szacunek dla innych ludzi, kultur,*

religii, poglądów – pisali. Inni uważali, że słowo „tolerancja” od początku zakłada brak równych szans.

Ten, kto toleruje, stawia siebie trochę wyżej. I właśnie ze swej wysokości postanawia łaskawie tolerować innych. Myślę, że lepszymi słowami są: szacunek i akceptacja – wyznał pewien mieszkaniec Łodzi. Moim zdaniem najlepszą definicję stworzyła 11-letnia dziewczynka, która 21 marca zamalowywała razem ze swoją klasą synagogę: *Gdybym tu nie przyszła z panią, to namówiłabym mamę, żeby mnie przyprowadziła. Nie lubię jak ktoś obraża innych* – stwierdziła.

Bolesne słowa

Szatan uśmiechnął się złośliwie. Powinniście pamiętać, że w sprawach moralnych każda wiedza przychodzi za późno; możecie oceniać zarówno wasze czyny, jak wasze intencje dopiero wtedy, kiedy wszystko już się stało i nic odrobić nie można
(Leszek Kołakowski *Wychowanie do nienawiści, wychowanie do godności*)

Marek Edelman, który dwa miesiące później został Honorowym Obywatelem Łodzi, w dniu uroczystości powiedział: *Łódź to młode miasto i jak każdy młody człowiek, robi różne głupoty, ale jednocześnie to miasto, które ma wiele pomysłów i inicjatyw. Jedną z nich była Kolorowa Tolerancja, która pokazała, że są w Łodzi ludzie, którym nie podobają się napisy na murach obrażające innych ludzi.*

Jego zdaniem im więcej będzie takich inicjatyw jak Kolorowa Tolerancja czy Festiwal Filmów o Prawach Człowieka, tym więcej ludzi zrozumie, że słowo na ścianie może tak samo ranić jak uderzenie. *Nazizm też się zaczynał od napisów na murach i sklepkach. A co potem się działo, wiadomo z historii. Nie można takich rzeczy tolerować* – uważa Edelman.

Joanna Podolska

Pierwodruk: „Tygiel Kultury” 7-9/2000

Paweł K. Rutkiewicz

Resztki multi-kulti: współcześni łódzcy Żydzi

To mógłby być fragment surrealistycznej powieści – korowód sunie między rzędami popękanych nagrobków pokrytych niezrozumiałym pismem, w większości już zamazanym. Do tego posępne drzewa i jesienny mrok. Tylko znicze na kilku nowszych grobach świadczyły o tym, że to miejsce ma jakieś związki ze światem żywych.

18.11.2015. Łódź, cmentarz żydowski przy Brackiej 40. Wycieczka niemieckich notabli. Zwiedzanie dość chaotyczne. Przypomina szybki spacer wzdłuż najważniejszych punktów – w sam raz, by dało się go upchnąć między obiadem i powrotem delegatów do Warszawy. Robimy kwadrat od dawnego domu Bractwa Pogrzebowego (Chewra Kadisza), wzdłuż Głównej Alei z mauzoleum Izraela Poznańskiego, obok pola gettowego oraz dołów, które wykopali dla siebie ostatni mieszkańcy łódzkiego getta. Hitlerowcy na szczęście nie zdążyli ich wykorzystać, bo ubiegła ich ofensywa Armii Czerwonej. Brak czasu na grób rodziców Tuwima czy mogiłę żydowskich harcerzy zamordowanych rok po wojnie w tzw. „akcji pociągowej”. Generalny konserwator zabytków landu Bawaria – Mathias Pfeil – co rusz przystaje i robi zdjęcia poszczególnych pomników. Jego biuro przygotowuje właśnie plany inwentaryzacji cmentarzy, więc on i jego pracownicy podpatrują rozwiązania zastosowane przez innych. Powtarzam to Wojciechowi Szygendowskiemu – Łódzkiemu Wojewódzkiemu Konserwatorowi Zabytków, który idzie po drugiej stronie pochodu.

- Naprawdę tak panu powiedział? – dziwi się.
- Nie wiedział pan?
- Nie rozmawiałem z nim jeszcze.
- A uważa pan, że mamy się czym pochwalić?
- Chyba nie bardzo.

Sam w sobie przyjazd Bawarczyków przypomina scenę z filmu Barei – nikt nie wie dokładnie, po co przyjechali, dlaczego w to miejsce, ani co ta wizyta ma właściwie dać. Wyjątek stanowi przedstawiciel Ministerstwa Kultury, który mówi wprost, że po trzech dniach w Warszawie nie było im już czego pokazać, więc na ostatni dzień pobytu przywieziono ich do Łodzi. Sceneria żydowskiego cmentarza sprawia jednak, że zamiast o Barei myślę o jakiejś surrealistycznej powieści. W cieniu wysokich drzew, wyrosłych tu przez dekady zaniedbań w PRL i później, to miejsce wydaje się nie w pełni realne. Tylko znicze płonące na pojedynczych nowszych grobach świadczą o związkach tego

miejsca z życiem współczesnego miasta. Żydzi też odwiedzali groby pierwszego listopada.

Legenda głosi, że gdy w 1811 roku zakładano w Łodzi pierwszy cmentarz żydowski (tzw. cmentarz „stary” – już nieistniejący), koło pierwszego grobu trzeba było postawić budkę z dozorcą, bo według ludowych wierzeń na pustym cmentarzu gromadzą się złe duchy, które zagrażają duszy zmarłego¹. Na dzisiejszym („nowym”) cmentarzu pochowanych jest prawie ćwierć miliona osób. Same ofiary getta to ponad 40 tysięcy mogił – tylko częściowo oznakowanych. We właściwej części cmentarza macewy w większości popękane i zarośnięte. Napisy na nich na ogół nieczytelne – tak po polsku, jak po hebrajsku lub w jidysz. Na moje pytanie, czy są widoki na to, aby kiedykolwiek odrestaurować cały cmentarz, Aleksandra Szychman – działaczka fundacji *Monumentum Iudaicum Lodzense* i sekretarka Gminy Wyznaniowej Żydowskiej – odpowiada, że nie ma złudzeń. Stwierdza, że te kilka alejek udało się oporządzić dzięki pomocy wolontariuszy. Gdyby taka renowacja miała się kiedyś udać, drzewa na pewno by ścięto.

Gdy rano przyszedłem do gminy przy Pomorskiej 18, Szychman wręczyła mi kalendarz z reprodukcjami dzieł żydowskich malarzy związanych z Łodzią. Większość to europejscy średniacy, ale są też wśród nich artyści o międzynarodowej renomie: Marek Szwarz, Henryk Epstein, Maurycy Mędrzycki. To ona zaprosiła mnie na cmentarz, gdyż jej zdaniem „żeby mówić o współczesności, trzeba najpierw poznać przeszłość”. Zaglądam do kalendarza. Jest szósty dzień miesiąca kislew. Nieco ponad dwa miesiące temu rozpoczął się rok 5776.

„Budowanie z okruchów wspomnień”

Swoją wizytę w żydowskiej gminie zacząłem ryzykownie – od pytania, za które na ulicy mógłbym dostać w łeb.

– Przepraszam, czy jest pan Żydem?

Mężczyzna w stróżówce niepewnie odpowiada, że tak. Niepewnie co do mnie – kim jestem, skąd jestem, dlaczego pytam.

– A jak się panu żyje w Polsce, w Łodzi?

– Panie, no jak się Polakom w Polsce żyje?

– To pan jest Żydem czy Polakiem?

– Mówię po polsku, tu pracuję, tu się urodziłem – stróż kluczy. Ucieka w ogólniki o kilkuset latach wspólnej historii i Żydach, którzy współtworzyli polską kulturę. Widocznie na niektóre pytania brak prostych odpowiedzi.

Ma brodę, znoszoną kamizelkę i czapkę z daszkiem. Facet z brzuszkim w średnim wieku. Odruchowo doszukuję się w nim jakichś cech „typowo żydowskich” – czymkolwiek miałyby być. Broda niby długa, ale nie zwróciłem na nią uwagi, gdybym nie wiedział, że to Żyd. Patrzę, czy spod czapki nie wystają mu pejsy albo diabelskie rogi.

¹ zob. Izaak Kersz, *Szkice z dziejów Gminy Żydowskiej oraz cmentarza w Łodzi*, Łódź 1999.

– Ale wie pan, że dla niektórych Polaków słowo Żyd to obelga?

– To kibole tylko. Zwykli ludzie tak nie myślą.

Stróż ma na imię Leszek. Mówi, że jak przyjeżdżają Żydzi, którzy wyemigrowali, i widzą bazgroły na murach, to myślą: „Nic się nie zmieniło”. Ale dużo się zmieniło – tak uważa on sam. Albo twierdzi, że uważa. Staje do mnie bokiem i rozgląda się po podjeździe. Wyraźnie stara się mnie zbyć, a przy tym sprawić wrażenie, jak gdyby temat był dla niego neutralny. Ani jedno, ani drugie niezbyt mu się udaje.

– I tak obie łódzkie drużyny założyli Żydzi.

Nie jestem w stanie zweryfikować tego stwierdzenia, lecz może tkwi w nim ziarno prawdy, skoro kibice jednej i drugiej tak chętnie wyzywają się nawzajem od „Żydów”. Z pewnością dopuszcza taki wniosek logika naściennych bazgrołów, bo skoro jedni piszą „Żydzi” o tych, a drudzy o tamtych, to jedno bynajmniej drugiego nie wyklucza. Kibole (bo tylko o pseudokibicach tu mowa) padliby wtedy ofiarami swojej własnej retoryki.

– A która była pierwsza? – ciągnę półzartem.

– „Makabi!”.

Tutaj pan Leszek jednak przesadził. Jak stwierdza Andrzej Bogusz w artykule *Sport w Łodzi wielonarodowej*², Żydowski Klub Sportowy „Makabi” powstał dopiero w roku 1924. Natomiast pierwszym żydowskim stowarzyszeniem sportowym w Łodzi było Łódzkie Towarzystwo Zwolenników Gry Szachowej zawiązane w roku 1897. Dzięki niemu Łódź stała się jednym z najważniejszych ośrodków szachowych w Europie. Członkowie Towarzystwa, wśród których znajdował się m.in. późniejszy arcymistrz Akiba Rubinstein, reprezentowali Polskę na wszystkich Olimpiadach Szachowych okresu międzywojennego. Niemniej „Makabi” również odnosiło sukcesy, lecz nie w szachach, ani nawet nie w piłce nożnej – a w tenisie stołowym (Mistrzostwo Polski w roku 1932).

Nie przyjechałem tu jednak, żeby rozmawiać o sporcie. Po lewej mam Dom Gościnny Linat Orchim – w budynku tym mieści się też żydowskie przedszkole i łódzka siedziba Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego Żydów w Polsce (TSKŻ). Po prawej sklep koszerne, biuro gminy i wejście do synagogi. W podwórzu znajduje się rytualna łaźnia (mykwa) oraz niepubliczna przychodnia dla członków gminy. Z hotelu korzystają nie tylko goście wspólnoty, ale też nieżydowscy turyści, skuszeni perspektywą noclegu w dziewiętnastowiecznym pałacu oraz bliskością placu Wolności. No i żydowskim folklorem – on też się sprzedaje, lecz nie aż tak, jak mogłoby się wydawać. Nie wszędzie pracują wyłącznie Żydzi. „Przecież ich jest tak mało, że oni by bez nas zginęli” – mówi pani Krystyna, kucharka hotelowej stołówki. Sama Żydówką nie jest, pracę dostała z pośredniaka, ale nie narzeka. Atmosfera jest miła, ludzie życzliwi. Musiała tylko nauczyć się zasad koszerności, więc na początku zadawała bardzo dużo pytań. Podobno obowiązuje też niepisana umowa z przedstawicielami okolicznego „marginesu”, aby nie „żulili” w szabas.

² Andrzej Bogusz, *Sport w Łodzi wielonarodowej. Zarys dziejów (do 1939 r.)* [w:] *Polacy-Niemcy-Żydzi w Łodzi w XIX-XX w. Sąsiedzi dalecy i bliscy*, red. P. Samuś, Łódź 1997.

Swoją przedwojenną siedzibę, czyli dziewiętnastowieczny pałac Karola Gebharta (a nie „willę Burcharta”, jak błędnie podają niektóre przewodniki), Gmina Żydowska przejęła w roku 1997 na mocy ustawy o restytucji mienia żydowskiego. Wśród członków gminy żywa jest legenda o tym, jak odtwarzano tu społeczność żydowską – o oryginalnych meblach chasydów z Kozienic, które przywieziono do synagogi, i o kłamce z mieszkania cadyka Dancigera z Aleksandrowa Łódzkiego. „To było jak budowanie z okrucich wspomnień” – mówi Borys Weininger, który jest zbyt młody, żeby mógł uczestniczyć w tych wydarzeniach, lecz pomimo tego, mówiąc o nich używa formy „my”. W jego ustach to „my odbudowywaliśmy wspólnotę” i „my gnieździliśmy się wcześniej w przegniłej ruderze przy Zachodniej 78”. Samego siebie określa jako łodzianina i polskiego Żyda. Dopuszcza, że gdyby urodził się w Niemczech albo w Izraelu, to być może teraz przyjeżdżałby do Polski na poszukiwanie korzeni.

Z Borysem spotykam się w Cafe Wolność. Na głowie ma kaszkiet, gdy rozpina kurtkę, widać, że spod bluzy wystaje mu taś. Przyznaje, że ma naturę rockandrolowca, a sam jego judaizm jest trochę hipsterski – co nie oznacza, że nie traktuje go poważnie. Borys studiuje etnologię. Wyrażam wątpliwość, czy jego żydostwo nie jest przypadkiem rodzajem kulturowej maski, efektem jakiejś mody czy krótkotrwałej fascynacji. Zarzeka się, że nie. Zaczęło się w gimnazjum. Uznał wtedy, że to *chillul hashem* („zła rzecz”) twierdzić, że kimś się jest, a nie wiedzieć, co to znaczy. Teraz bardzo angażuje się w życie gminy. Stara się zaktywizować jej młodych członków, którzy ukrywają swoje pochodzenie. Dąży do reaktywacji żydowskiego skautingu (*Hashomer Hacair*) w Łodzi. W ramach organizacji Hamakom współorganizował też imprezę techno na święto Purim. Impreza była otwarta dla wszystkich, oferowano darmowy poczęstunek. Podobno komuś coś zaszkodziło i na drugi dzień w Internecie pojawiły się komentarze, że Żydzi potruili łodzian.

Ciekawi mnie, czy nie czuje się skrępowany rozmową w miejscu publicznym. Twierdzi, że nie, że bez sensu byłoby ukrywać, kim się jest. Przyznaje jednak, że wśród starszych Żydów jest to częste. Chrzcili się na pokaz, ubierali w Boże Narodzenie choinkę i ustawiali ją w oknie tak, by sąsiedzi widzieli. Niekiedy ma im to za złe, ale stara się ich zrozumieć. W końcu trudno normalnie żyć, gdy całe życie słucha się historii w rodzaju tej o rodzinie z Jeżowa, która przeżyła Holokaust, a po wojnie, gdy wszyscy spali, odwiedził ich sąsiad z siekierą. Motyw jak z *Pokłosia*. Motywacja też taka sama. On jednak nigdy nie doświadczył w Polsce jakichś większych przejawów antysemityzmu. Ani w szkole – choć dzieci widziały, że nie chodzi na religię – ani na studiach. Raz trafił mu się podejrzliwy taksówkarz, ale Borys wykpił się, mówiąc, że przecież nie wiadomo, skąd kto ma nazwisko. Czasem na imprezach czy w knajpie zdarza się ktoś, kto wygaduje, że Żydzi to, Żydzi tamto. Jak przyznać się wtedy, że też się jest Żydem, tamten mówi coś w rodzaju: „OK, ale ty jesteś spoko” – lecz Borys wie, że najlepiej urwać kontakt. Jego zdaniem najgroźniejsza forma antysemityzmu to jednak strach podszyty paranoją; strach policjanta, który chciał go kiedyś spisać, kiedy ze znajomymi pił piwo w miejscu

publicznym, a który odszedł bez słowa, gdy koleżanka jako dowód tożsamości pokazała izraelski paszport.

– Przed wojną cadyk z Aleksandrowa miał ponoć sen. Na drugi dzień przyszedł do gminy i płakał, mówiąc, że ich wszystkich tu wymordują, bo Żydzi w Niemczech zapomnieli, że są Żydami.

– Czyli gdyby niemieccy Żydzi się nie asymilowali, to by nie było Holokaustu? Przecież to bez sensu!

– Ja ci tylko mówię, jaka jest legenda – tłumaczy Borys, lecz za chwilę dodaje coś, co sprawia, że jego wcześniejsze stwierdzenie nie wydaje się już całkiem bezsensowne. – Ale dla antysemity najgorszy jest Żyd, którego nie widać.

– No dobra, a co z takim, który Żydem się nie czuje? Wie, że ktoś z dziadków albo rodziców był Żydem, ale nie obchodzi go to. Żyje swoim życiem.

– To zawsze wraca. Jak nie samo, to ktoś w końcu to odgrzebie i mu wypomni.

Eliasz na dworcu w Koluszkach

Połowa lat 80. Późny wieczór. Na dworcowej ławce w Koluszkach dwudziestoparoletni mężczyzna czeka na przesiadkę do Łodzi. Nosi skórę, ma długie włosy, właśnie wraca z dużego koncertu, który zagrał ze swoją kapelą w Warszawie. Czuje, że jest u progu wielkiej kariery. Wprawdzie za wcześnie jeszcze, żeby mówić o wolnym rynku, ale w środowisku muzycznym widać już znamiona nowej rzeczywistości. Mówi się o kontraktach płytowych, o wielkiej kasie – że będzie jak na Zachodzie. Nagle muzyka zaczepia jakiś obcy facet. Wydaje się być w podobnym wieku. Czeka na ten sam pociąg i pyta, czy może się dosiąść. Poza nimi na peronie nie ma nikogo.

– Jasne, siadaj.

– Słuchaj – słyszy muzyk po tym, gdy okazuje się, że obcy wraca właśnie z jego koncertu – masz świadomość, co ty właściwie śpiewasz?

Po takim tekście rozmowa przestaje się kleić. Mężczyźni rozchodzą się, a do pociągu każdy z nich wsiada osobno. Na pozór zachowanie młodego muzyka zakrawa na efekt zranionej dumy, ale to było coś więcej. Później mężczyzna próbuje odnaleźć tajemniczego rozmówcę w pociągu. Przechodzi przez wszystkie wagony, zagląda do każdego przedziału, ale tamtego nie ma. Jego słowa zmusiły go jednak do głębokiej refleksji nad społecznym znaczeniem tego, co robi. W tamtej krótkiej rozmowie obcy uświadomił mu, że zarówno jego osobowość sceniczna, jak i polityczny wymiar śpiewanych tekstów nie mają już znaczenia, bo swoją wagę czerpią z Polski sprzed ery przemian, które właśnie w niej zachodziły. Czy jest sens ciągle śpiewać, że – parafrazując Kaczmarekowskiego – „mury runą”, w sytuacji, gdy przecież wał się na naszych oczach? Trzeba chyba znaleźć coś innego. Dziś myśli sobie, że to prorok Eliasz przyszedł do niego za pośrednictwem tamtego człowieka. Chasydzkie opowieści pełne są historii o postaciach, które pojawiają się tylko po to, aby jednym zdaniem zmienić czyjeś życie. Później zawsze się ich szuka, lecz nigdy nie znajduje.

Amerykański filozof William James, pisząc o fenomenie doświadczenia religijnego, zwrócił uwagę, że w skrajnych przypadkach może ono doprowadzić do przekształcenia człowieka w całkiem nową osobę – do tzw. „drugich narodzin”. W przypadku młodego muzyka z dworca w Koluszkach objawiły się one zmianą tożsamości, dziś nazywa się on Symcha Keller. Do tamtej pory nazywał się Krzysztof Skowroński – Symcha to było jego drugie imię, zaś Keller to nazwisko panińskie jego żydowskiej matki. O dawnych czasach przypomina mu pseudonim „Motor” – tak wciąż nazywają go starzy znajomi.

– Mówili na mnie „Motor”, od „motor działania”. Gdzie nie przychodziłem, tam zaczynało się dziać.

Z Symchą Kellerem, wówczas jeszcze przewodniczącym Gminy Wyznaniowej Żydowskiej w Łodzi, słuchamy Katharsis, bo tak nazywał się jego dawny zespół. *Oni już tu są / są przeciw nam / są bardzo pewni siebie*. Tekst wyraża jednoznaczny sprzeciw wobec politycznych represji – żeby móc wykonywać utwór na żywo, trzeba było nadać mu neutralny tytuł. Wybrano *RPA 1985* – rzekome nawiązanie do walki z apartheidem. Muzycznie Katharsis to ciężkie reggae. Swoją działalność w zespole Keller wspomina jako czas intensywnego intelektualnego rozwoju oraz świadomych wyborów moralnych i światopoglądowych. Czas wkraczania w dorosłość. Środowisko, które współtworzył, nie stanowiło pochodnej KOR, KPN czy „Solidarności”. Było czymś samodzielnym i samoistnym. Nie miało nazwy, stałej siedziby, ani haseł, lecz gdy jego członkowie spotykali się w muszlach koncertowych na Zdrowiu i w Parku Julianowskim lub przy „Syrence” w pasażu Rubinsteina, wiedzieli, kto „swój”. „Z taką twarzą tu nie włożą” – mówili tym, którym nie ufali.

Na przyszłego rabina zdecydowanie większy wpływ niż świadomość żydowskiego pochodzenia miały wówczas doświadczenia wyniesione ze Starych Bałut. Długowłosi „git-ludzie”, kodeks sąsiedzki, poczucie solidarności i „bycia na swoim”. Zdaniem Kellera więzi wewnątrz tego świata były tak silne, że komuniści musieli je zniszczyć, by zrealizować projekt społecznej przebudowy. Sposób na to stanowić miało poprzecanie przedwojennej zabudowy coraz większą ilością bloków zasiedlanych ludnością napływową. Wraz z dewastacją tkanki miejskiej rozmontowywano tkankę społeczną. Keller przyznaje to bez ogródek, mimo że jako syn polskiego inżyniera sam mieszkał w jednym z pierwszych bałuckich bloków, które dla kadry technicznej zbudowano przy ulicy Pojezierskiej. Pierwszy kompleks to było jednak zbyt mało, by zniszczyć ów nieistniejący już świat. Młody Keller (jeszcze jako Krzysztof Skowroński) szybko poczuł się jego częścią.

Okrężna droga przyszłego rabina do judaizmu czyni go typowym reprezentantem młodego pokolenia łódzkich Żydów przełomu lat 80. i 90. Był to okres wzmożonego żydowskiego *coming outu*, kiedy to głównie młodzi ludzie, odkrywając swoje żydowskie korzenie, otwarcie kultywowali związane z nimi tradycje. Kluczową rolę odgrywała w tej kwestii Fundacja Ronalda Laudera – amerykańskiego biznesmena żydowskiego pochodzenia – powołana pod koniec lat 80. w celu reaktywacji życia żydowskiego w Europie Środkowo-Wschodniej. Obozy, które po przemianie ustrojowej fundacja

organizowała w miejscowości Rychwałd na Śląsku, stały się swoistą kuźnią kadr dla nowych żydowskich gmin i instytucji. Wśród ich uczestników był również Symcha Keller, który w 1993 roku założył w Łodzi klub Fundacji Laudera (wraz z Maciejem Henem – synem pisarza Józefa Hena, a ostatnio również autorem głośnej powieści *Solfatara*). Dwa lata później został przewodniczącym Gminy. Pewnym problemem wydawał się wówczas stopniowy zanik lokalnego kolorytu, którym w okresie PRL wciąż charakteryzowała się mała społeczność Żydów sprzed wojny. Keller wymienia tu m.in. Leona Pomorskiego – swojego pierwszego nauczyciela hebrajskiego – którego nienaganna polszczyzna, dystynkcja i laska o srebrnej rękojeści nadawać mu miały powab przedwojennego arystokraty. Wspomina także pomstującego na syjonizm Marka Edelmana, który w trakcie dyskusji potrafił wygrażać pięścią. Choć obozy Laudera starały się tę lukę wypełnić, pomiędzy pokoleniem „starym” i „młodym” często brakowało pośrednika w postaci pokolenia „średniego”. Z jednej strony była młodzież – z drugiej ocaleni z Holocaustu.

Zaobserwowany na początku lat 90. zanik ciągłości życia żydowskiego w Polsce zdaje się mieć swoje przyczyny jeszcze w wydarzeniach marca 1968 r. i następujących po nich kolejnych falach emigracji. Zdaniem Andrzeja Czyżewskiego z łódzkiego oddziału IPN początków rozpętanej w pamiętnym marcu nagonki antysemitki należy szukać w wydarzeniach, jakie rozegrały się rok wcześniej. W trakcie VI Kongresu Związków Zawodowych, który odbywał się w połowie czerwca 1967 roku w Warszawie, Władysław Gomułka określił przebywających w Polsce Żydów mianem „piątej kolumny”. Przemówienie I sekretarza KC PZPR stało się pretekstem do pierwszej fali szykan wobec Polaków żydowskiego pochodzenia, a jego wymowa stanowiła pochodną wypadków, jakie rozgrywały się wtedy na Bliskim Wschodzie. Podczas „wojny sześciodniowej” kraje demokracji ludowej, w tym także PRL, stanęły po stronie państw arabskich – w opozycji do wspieranego przez Stany Zjednoczone Izraela. Państwo żydowskie zdecydowanie wygrało to starcie, co doprowadziło do wzrostu napięcia po drugiej stronie „żelaznej kurtyny”. W marcu 1968 roku część polskiego aparatu władzy postanowiła jeszcze mocniej podgrzać atmosferę antysemitki nagonki, wykorzystując do tego celu protesty studenckie, „samorzutnie” zorganizowane w obronie wolnego słowa i autonomii uczelni. Propaganda komunistyczna starała się przez akcentowanie żydowskiego pochodzenia niektórych z uczestników buntu przedstawiać strajki jako dzieło „syjonistycznych wichrzycieli”. Przy pomocy umiejętnej gry hasłami antysemitkami autorzy nagonki, czyli ludzie skupieni w strukturach partii i MSW, upiekli dwie pieczenie na jednym ogniu. Po pierwsze, zdyskredytowali w oczach społeczeństwa ruch wolnościowy skupiony w środowiskach uniwersyteckich. Po drugie, zyskali pretekst do szerszego uruchomienia dróg awansu grupie młodszych towarzyszy skupionych wokół ówczesnego szefa MSW gen. Mieczysława Moczara. Szykany dotknęły zarówno partyjnej góry, jak i zwykłych obywateli. W atmosferze zastraszenia pośpiesznie zwalniano z pracy, a następnie zmuszano do opuszczenia kraju całe rodziny. Współcześnie szacuje się, że

w następstwie wydarzeń marcowych z Łodzi wyemigrowało około 1300 osób. To duża liczba, zważywszy, że współcześnie łódzka społeczność żydowska liczy sobie około 300 osób.

W roku 1968 Skowroński miał pięć lat, więc niewiele rozumiał z tych wydarzeń. Dorastając widział, że rodzina ze strony matki jest w jakiś sposób inna, ale nie przeszkadzało mu to, ani specjalnie nie interesowało. Potem była kontrkultura, stan wojenny, wreszcie muzyka. W międzyczasie także taternictwo. Na myślenie o tym, czy się jest czy nie jest Żydem, szkoda było czasu. Podobnie na myślenie o religii. Gdy jednak rozpadł się zespół Katharsis, nie tylko jego wokalista zwrócił się w tę stronę. Jeden z członków kapeli został ponoć buddystą, a inny hinduistą.

Rabin Keller zdaje sobie sprawę, że dla niektórych anegdota o Eliaszu na dworcu w Kuluszkach może brzmieć śmiesznie. Starzec, który z nim wtedy rozmawiał, prawdopodobnie był człowiekiem z krwi i kości, lecz zmiana, jaką spotkanie z nim wywołać miało w życiu przyszłego rabina, wpisuje je w jego prywatną definicję cudu. A jest to definicja, którą mógłby zaakceptować nawet ateista. Każe ona pojmować cud nie (lub „nie tylko”) jako zjawisko nadprzyrodzone, ale jako coś, co okazuje się niezwykle dlatego, że przydarza się właśnie w obecności człowieka, który tego doświadcza.

Zdaniem rabina łódzka Gmina Żydowska również funkcjonuje „cudem” – choć już w bardziej przyziemnym znaczeniu tego słowa. Utrzymanie budynków i administracji kosztuje. Do tego jeszcze przychodnia, która choć jest niepubliczna, to jednak dla członków gminy pozostaje darmowa. Gmina nie prowadzi zaś żadnej działalności komercyjnej – nie licząc produkcji koszernej śliwowicy i prowadzenia hotelu, który jeśli zarabia, to tylko sam na siebie. Słynna Cafe Tuwim oraz koszerne restauracje od dawna funkcjonują tylko na kartach przewodników turystycznych. Ich właściciel uznał interes za nieopłacalny i wyniósł się do Warszawy. Trzeba było też zamknąć Dom Dniennego Pobytu dla osób starszych. Wprawdzie oficjalną przyczyną jest brak pensjonariuszy – bo dawni poumierali, a współcześni nestorzy gminy mają rodziny, które mogą się nimi zająć – ale rabin Keller przyznaje też, że kontynuacja przedsięwzięcia przerosła możliwości gminy. Do niedawna finansową wydolność zapewniały środki ze sprzedaży budynków przekazanych jej na mocy ustawy o restytucji żydowskiego mienia, ale i one się wyczerpały. O jakimkolwiek wsparciu publicznym również nie ma mowy. Czasem udaje się zdobyć jakieś pieniądze na cmentarz. A kapitał prywatny? Dla polskiego są zbyt „żydowscy”, a dla „żydowskiego” – zbyt „polscy”.

Dowcip o „ostatnim” Żydzie

„To wy tu ciągle jesteście?!” – takim okrzykiem zdziwienia Marek Edelman miał przywitać Dorotę Ciesielską, gdy pod koniec lat 70. spotkali się w sklepie rybnym. Zdziwienie nie dotyczyło bezpośrednio jej i jej rodziny, ale młodych Żydów w ogólności. „W Polsce każde kolejne pokolenie Żydów myśli, że jest już ostatnie, ale jakimś cudem

zawsze znajdują się młodszy” – śmieje się pani Dorota. „To jak w tym dowcipie – dodaje jej mąż Baruch – ostatni Żyd wyjeżdża do Izraela i macha stu kolejnym, którzy żegnają go na dworcu”.

Jest 24 listopada. Za dwa tygodnie Chanuka, więc moi gospodarze witają mnie pudłem wypieków.

– Wyglądają jak polskie faworki!

– Bo to są faworki.

Nie ma żadnych szczególnych, typowo „chanukowych” przysmaków. Jest się to, co smaży się na oleju – faworki, pączki, ciasta, frytki itd. Mnóstwo niezdrowego jedzenia na pamiątkę lampki oliwnej, która paliła się w ruinach Pierwszej Świątyni Jerozolimskiej przez osiem dni, jak mówi tradycja, choć oliwy powinno starczyć tylko na jeden. Ciesielscy zawsze przygotowują wypieki zawczasu, na poczęstunek dla kursantów języka hebrajskiego oraz dla gości Klubu Laudera, który przejęli od Symchy Kellera w roku 1998. Do Łodzi przyjechali za pracą w połowie lat 70. On z Bytomia, ona z Sosnowca. Ostatnio jednak, jak ów Żyd z dowcipu, coraz częściej myślą o wyjeździe do Izraela. Jedna córka już tam jest, druga została żoną rabina w Londynie. Wcześniej nie chcieli zostawiać rodziców, ale dziś właściwie nic ich tu nie trzyma. Choć właśnie w tym „właściwie” tkwi szkopuł – bo znajome miejsca, polski język, gazety, teatry... Wielu mają takich znajomych, którzy wyemigrowali do Izraela, a teraz pytają tylko „Co w Polsce?” i proszą, żeby przysłać im polskie książki. Im dłużej państwo Ciesielscy mówią o wyjeździe, tym bardziej wydaje się on mieć dla nich walor czysto teoretyczny. „Tak się tylko mówi na spotkaniach rodzinnych: Do zobaczenia za rok w Izraelu”. Jednak tego, czy faktycznie spotkają się tam za rok czy za dwa, nie potrafią określić. Powiedzieliby może, że „na świętego nigdy”, ale Żydzi słowa „święty” używają tylko w stosunku do zburzonej Świątyni Jerozolimskiej. Dlatego synagoga to nie „świątynia” a „bożnica”, a na macewach pisze się nie „śp.”, tylko „bp.” („błogosławionej pamięci”).

W czasie przemiany ustrojowej państwo Ciesielscy należeli do pokolenia trzydziestolatków. Będąc aktywnymi członkami



Cmentarz żydowski;
aut. K. Sieroiń, lata 70.
XX w

odradzającego się wówczas w Polsce życia żydowskiego, należeli do stosunkowo nielicznej wtedy grupy Żydów, którzy nie musieli odkrywać swojej tożsamości. W tej grupie rodzice często bywali główną przyczyną rezygnacji z wyjazdu za granicę, również wśród starszego pokolenia. Tak było w przypadku Stefanii Śniadkiewicz, której mąż odbywał służbę wojskową w latach 1967-68. Grupce „chłopaków z Łodzi” bardzo ponoć nie spodobało się, że w jednostce jest Żyd. Wedle słów pani Śniadkiewicz jej mąż stał się obiektem coraz brutalniejszych ataków, na które przełożeni przymykali oko. Skończyłoby się tragicznie, gdyby nie mądrość – kobieta nie waha się użyć tego słowa – oficera politycznego, który po cichu załatwił jej mężowi przeniesienie. Po zakończeniu przez Śniadkiewicz służby małżonkowie byli zdeterminowani, by wyjechać. Zdobyli promesę wyjazdową za pośrednictwem holenderskiej ambasady i mieli ustaloną trasę przez Austrię, ale nie potrafili zostawić rodziców, którzy – jak eufemistycznie wyraża się pani Śniadkiewicz – „przeżyli obozy”. Zostali więc, a po dziesięciu latach kobieta musiała słuchać kpin, które na walnym zgromadzeniu zatrudniającej ją spółdzielni tkacko-dzielnarskiej członkowie zarządu urządzali sobie z żydowskich nazwisk dawnych współpracowników. Obiektem żartów było również jej nazwisko panińskie: Zgit.

Do pokolenia Żydów, którzy po 1968 podjęli decyzję o pozostaniu w Polsce wbrew przeciwnościom należał też ojciec Stanisława Goldsteina – profesora zwyczajnego na Wydziale Matematyki UŁ. Wedle relacji jego syna miał on wtedy mówić, że skoro nie wyrzucili go z Polski Niemcy, to komuniści też go nie wyrzucą. Goldsteinowie nie byli jednak rodziną żyjącą wedle żydowskich tradycji. Ojciec czuł się Polakiem, matka była ewangeliczką. Domowe przejawy życia religijnego ograniczały się na ogół do świątecznych prezentów i lanego poniedziałku. Profesor Goldstein przeżył krótki okres zainteresowania judaizmem, lecz już jako dojrzały człowiek, a i wtedy – jak przyznaje – traktował go bardziej jako zjawisko socjologiczne niż narzędzie samookreślenia. Nigdy nie przestrzegał szabasu ani zasad koszerności, a święta żydowskie są dla niego okazją do towarzyskich spotkań, a nie religijnych przeżyć. Zarazem jednak, pomimo racjonalistycznego światopoglądu, profesor Goldstein traktuje judaizm jako część swojego dziedzictwa – na równi z tożsamością polską – czemu daje wyraz działalnością w ramach Instytutu Tolerancji. Owszem, współczesne życie żydowskie to dla niego pewien folklor – nie oznacza to jednak, że nie uważa go za warte zachowania.

Choć Instytut Tolerancji ma status organizacji pozarządowej, Goldstein wspomina, że gdy w roku 2001 powoływano go do istnienia, wśród łódzkich elit politycznych panowało przekonanie, że publiczne poparcie dla Instytutu będzie czymś dobrze widzianym. Dlatego wśród jego założycieli znajdowali się najznamienitsi lokalni notabli – prezydent Marek Czekalski, wojewoda Michał Kasiński, a ponadto przedstawiciele wszystkich łódzkich kościołów i grup wyznaniowych. Pomimo wielkiej pompy, z jaką rozpoczynano działalność stowarzyszenia, obecnie pozostaje ono jednak w cieniu większej instytucji, jaką jest Centrum Dialogu im. Marka Edelmana. Instytut Tolerancji

wyduje się więc stać w obliczu konieczności przededefiniowania swoich założeń programowych i profilu działalności.

Inną instytucją „na rozdrożu” wydaje się być klub Fundacji Laudera – przynajmniej od czasu przejścia jego kulturotwórczej roli przez Gminę Wyznaniową pod koniec lat 90. Współczesna działalność klubu sprowadza się przede wszystkim do organizowania corocznych obozów edukacyjnych dla żydowskiej młodzieży. Ponadto klub koordynuje internetowe kursy kultury i tradycji żydowskiej prowadzone w porozumieniu z Zespołem Szkół Lauder-Morasha w Warszawie. Dzięki nim dzieci z miast, w których wspólnota żydowska jest zbyt mała, by zakładać konwencjonalną placówkę, mogą poznawać podstawy języka hebrajskiego i kultury żydowskiej. Jedną z uczennic jest Julia, córka Magdaleny Jureńczyk – przewodniczącej łódzkiego oddziału TSKŻ. Dziewczynka ma dziesięć lat. Gdy wraca z normalnej szkoły, chętnie siada do komputera i uczy się w tej wirtualnej. Choć jest pojętna, matce trudno było wytłumaczyć jej, że Gwiazda Dawida, którą na murach kamienic często widzi wrysowaną w skrót RTS, wcale nie oznacza, że Widzew tak bardzo kocha Żydów.

Klub Laudera łączy kultywowanie żydowskiej tradycji z promowaniem wiedzy na temat judaizmu. W odróżnieniu od niego – i od Gminy Wyznaniowej, której działalność z definicji łączy się ze sferą religii – TSKŻ ma charakter świecki. Jego początków należy szukać w strukturach dawnego Centralnego Komitetu Żydów w Polsce, choć od czasu masowej emigracji „pomarcowej” to dziedzictwo zdaje się nie mieć wpływu na działalność TSKŻ. Od roku 1968 w jego ramach spotykali się po prostu ci nieliczni spośród Żydów, którzy pozostali w Polsce. Współcześnie organizacja ma na celu przede wszystkim promowanie kultury żydowskiej, lecz teoretycznie stanowi też swego rodzaju furtkę dla tych spośród żydowskiej mniejszości, którzy względem religii chcieliby trzymać dystans. Jureńczyk przyznaje jednak, że współcześnie większość spośród członków TSKŻ (ok. 70 osób) jednocześnie należy do gminy. Sama jego przewodnicząca pozostaje pod wpływem silnej fascynacji judaizmem – choć jeszcze nie na tyle, by zdecydować się na konwersję. Swoimi żydowskimi korzeniami zainteresowała się pięć lat temu. Decydujący wpływ miała historia jej babci – Żydówki, która pod wpływem miłości opuściła wspólnotę i wyszła za goja. Dla dawnej rodziny kobieta stała się „umarłą za życia”. Jej syn – a ojciec pani Magdaleny – choć sam żył jako katolik, przechował tę historię, a ona wpłynęła na życie i wyobraźnię jego córki. Jureńczyk odnalazła rodzinę swojej babci w Izraelu. Odwiedziła ich parę razy. Dopóki żyła jej matka, obchodziła z nią Boże Narodzenie i inne święta katolickie, ale od czasu jej śmierci coraz słabiej czuje się związana z Polską. Czasem zastanawia się, czy nie wyjechać do tamtej rodziny. To jednak musiałyby oznaczać konwersję. Wprawdzie obywatelstwo dostałaby i tak, ale boi się, że dla imigrantki niereligijność mogłaby oznaczać dyskryminację, a tej zwłaszcza córce chciałaby oszczędzić. Poza tym – jak przyznaje – gdyby miała mieszkać wśród Żydów, chciałaby być w pełni Żydówką.

W przeciwieństwie do pani Magdaleny dla państwa Ciesielskich „być bardziej Żydem” nie oznacza „być mniej Polakiem”. Na pytanie, czy mają jakichś polskich znajomych, reagują konsternacją, bo co to znaczy „polskich”? Czy oni są mniej „polscy” przez to, że są „żydowscy”? Przyznają jednak, że jako Żydom religijnym jest im trudniej niż niereligijnym. Bywa, że nieżydowscy znajomi krępują się zapraszać ich do siebie, bo nie wiedzą, co można im podać – choć przecież kawy czy herbaty mogą się napić zawsze. No i życie religijnego Żyda jest droższe. Kilogram koszerne kurczaka kosztuje 25 zł, litr mleka 7 zł, 200 g sera żółtego 8 zł. Do tego koszty przesyłki ze sklepu koszerne w Warszawie, bo w tutejszym jest prawie wyłącznie alkohol. Koszerniej piekarni też w Łodzi nie ma, ale na ogół wypiekają chleb sami (z koszernej mąki 18 zł za kilogram). Zresztą od córek też zawsze coś się przywiezie – choć w powszechnej świadomości utarło się, że to rodzice przywożą dzieciom jedzenie. Ciesielscy nauczyli się doceniać to, co mają. Najważniejsze, że jest synagoga – Żydzi w mniejszych miastach nie mają nawet tego.

Na pytanie, czy spotykają się z jakimiś przejawami niechęci, odpowiadają, że nie. Tylko jedna sąsiadka nie kłania im się na klatce schodowej. Raz ktoś namalował szubienicę z powieszoną Gwiazdą Dawida. Ale taką malutką. Kiedyś jakiś pijak zsiął im się pod drzwiami. Przypadkiem. Dziesięć lat temu nacjonaliści wymazali im klatkę schodową antysemitkami hasłami. Na drugi dzień miał ich odwiedzić attaché kulturalny ambasady Izraela. Powiedzieli to w spółdzielni i nazajutrz klatka była jak nowa. Policja też szybko wszystkim się zajęła. Baruch wspomina o spaleniu kukły Żyda tydzień temu we Wrocławiu. „Teraz jest taki skołowany okres” – stwierdza. Wierzy, że politycy będą temperować takie zapędy. „Jeśli nie, to może naprawdę trzeba będzie wyjechać?” – dodaje jego żona.

Najlepsze dowcipy są o Holokauście?

Do łódzkiej synagogi wchodzi się przez budynek, w którym mieści się biuro gminy. Właściwie jest to przejściowy pokój na końcu długiego korytarza połączony z tzw. „babińcem” (miejscem wydzielonym dla kobiet). Przy ulicy Rewolucji 1905 r. jest większa synagoga, jeszcze przedwojenna – od nazwiska fundatorów zwana „synagogą Reicharów”. Zamknięta na cztery spusty – otwierana tylko na potrzeby zorganizowanych wycieczek – znajduje się w oficynie obskurnej kamienicy pod numerem 28. Dostać się do niej można tylko przez ciasną, ciemną bramę i dwa wypełnione autami podwórza. Rzędy wychodzących na podwórza okien, a wraz z nimi wysokie prawdopodobieństwo badawczych spojrzeń, które mieszkańcy mogliby kierować na Żydów zmierzających w kierunku synagogi, każą mi myśleć o „szpalerze polskiego antysemityzmu”. Jednak według Aleksandry Szychman to nie żaden antysemitki incydent sprawił, że z synagogi przy Rewolucji się nie korzysta, ale jej wielkość. Synagoga jest duża, wspólnota mała. Pokoik wystarczy. Zimą łatwiej go ogrzać. Zasadniczo, jeśli wziąć pod uwagę poprawne

politycznie wypowiedzi niektórych członków żydowskiej społeczności, można odnieść wrażenie, że w Łodzi problem antysemityzmu jest zupełnie marginalny, a gmina żyje w absolutnej symbiozie z na pozór tylko nieprzyjazną okolicą ulicy Pomorskiej. Baruch Ciesielski stwierdził wprost, że pod pewnymi względami w Polsce jest lepiej niż na Zachodzie, bo choć na teren gminy może wejść praktycznie każdy, to nie trzeba się tam niczego obawiać, a we Francji czy w Wielkiej Brytanii synagog muszą pilnować uzbrojeni ochroniarze. Do tego cukierkowego obrazu łódzkiej rzeczywistości odrobiny goryczy dodaje rabin Keller swoim racjonalnym stwierdzeniem, że na terenie gminy nie dochodzi do zaczepek, bo działa monitoring. Lecz czasem od strony ulicy Solnej przez mur wpadnie cegła. Raz na kilka miesięcy.

W kącie czynnej synagogi przy długiej ławie siedzi młody rabin Dawid Szychowski. Przed sobą ma laptop i małą Torę, na uszach słuchawki. Cała bożnica wydaje się mniejsza od samego ołtarza w przeciętnym kościele katolickim i trochę się krępuje, bo z początku nie mam pewności, czy wypada mi sięść tyłem do „parochetu” – zasłony skrywającej zwoje Tory i oddzielającej przestrzeń *sacrum* od *profanum*. Rabin Szychowski niecałe pół roku temu przeprowadził się do Łodzi wraz z żoną Miriam, która na terenie gminy prowadzi żydowskie przedszkole „Matanel” (pol. „Dar Boży”). Oboje pochodzą z Krakowa, ale ostatnie lata spędzili w Izraelu. Do Łodzi przyjechali na prośbę Michaela Schudricha – naczelnym rabinem Polski chciał w ten sposób odciążyć Symchę Kellera w sprawach przewodnictwa duchowego, by ten mógł w całości poświęcić się obowiązkowi przewodniczącego gminy.

Szychowski bardzo nieufnie odnosi się do ewentualnych deklaracji o podwójnej, polsko-żydowskiej tożsamości. Według niego tożsamości „polska” i „żydowska” są wzajemnie niesprowadzalne. Bynajmniej nie oznacza to, że muszą pozostawać w relacji antagonistycznej, ale jego zdaniem za dużo między nimi różnic, aby w jednej osobie dało się je ze sobą pogodzić. Młody rabin przyznaje jednak, że wszystko zależy od indywidualnej wrażliwości i wyobraźni. Sam nie potrafiłby powiedzieć, że w żaden sposób nie czuje się związany z polską kulturą. Polski – obok hebrajskiego – jest jego językiem, w Polsce się urodził, tutaj uczył się i studiował. Naród to jednak coś więcej. To poczucie fizycznej więzi ze wspólnotą oraz jej historią. W tym sensie – jak twierdzi – judaizm nie jest religią na takiej zasadzie, na jakiej jest nią chrześcijaństwo. Pod tym względem „halacha” (tradycyjne prawo żydowskie), podobnie jak polska, narodowo-patriotyczna ambiwalencja w stosunku do Żydów, sytuuje jednostkę o niejednoznacznej tożsamości w sytuacji patowej. Z jednej strony Żyd nie może stać się chrześcijaninem czy ateistą, nie przestając być Żydem – inaczej niż Polak, który może zmienić lub całkiem porzucić religię, nie przestając być Polakiem. Z drugiej strony Żyd nigdy nie przestaje być Żydem, bo o jego przynależności do narodu decyduje fizyczna więź za pośrednictwem pępownicy. Jest to przyczyna, dla której zwyczajowo judaizm dziedziczy się po matce. Z tego punktu widzenia powiedzieć „Przestaję być Żydem” to pusta deklaracja. „Bo co może zrobić Polak, żeby przestać być Polakiem? Oddać paszport? Przecież to bez znaczenia”

– kwituje Szychowski. Tym niemniej dzieci Żyda „apostaty”, jeżeli wychowywano je bez związków z tradycją, już Żydami być przestają. Pomimo pozornych podobieństw „halacha” okazuje się więc bardziej zdroworozsądkowa od założeń antysemitów. Z ich perspektywy Żyd to Żyd. I kropka.

Na pomysł założenia w Łodzi przedszkola żona rabina wpadła, gdy okazało się, że po przeprowadzce nie ma gdzie zapisać dwójki swoich dzieci. Wkrótce doszła jeszcze dwójka dzieci członków gminy, a w następnym roku miała być jeszcze trójka – w tym jedno z mieszanego małżeństwa. W domu obchodzi święta katolickie, ale rodzice nie chcieliby mu niczego narzucać. Gdy dorośnie, wybierze samo. Po uruchomieniu przedszkola w łódzkiej prasie pojawiła się nieścisła informacja, że otwarte jest ono dla dzieci, których rodzice chcą „uniknąć religii” w publicznych placówkach. Ze sposobu, w jaki informacja została podana, wynika teoretyczna możliwość zapisania do przedszkola dziecka nieżydowskiego. Owszem, Szychowska jest w tej kwestii otwarta, ale nie za bardzo rozumie, po co ktoś miałby to robić. Zamiast modlitw katolickich dzieci uczą się tu przecież modlitw żydowskich. Do żydowskiego przedszkola nie przychodzi też Mikołaj, ani nie ubiera się w nim choinki.

Z okazji święta Chanuka przedszkolaki zainscenizowały historię Judyty i Holoferesa. Potężny asyryjski wódz w przeddzień ataku na Jerozolimę przyjmuje piękną Żydówkę, która upija go i odcina mu głowę, kiedy tylko zapada on w pijacki sen. W wykonaniu dzieci historia zyskała jednak wydźwięk humorystyczny. Łodzianie, których 10 grudnia 2015 ciekawość innej kultury przywiodła na Chanukę do Centrum Dialogu, śmieją się do rozpuku, gdy na jednym ze slajdów widzą pięciolatkę, która wywraca oczy, wystawia język i zakryta prześcieradłem po szyję odgrywa ściętą głowę. Wychowawczynie, zapytana później, czy to nie niebezpieczne przekazywać dzieciom legendę o zabiciu Holoferesa tak, jakby obcięcie komuś głowy stanowiło powód do żartów, wydawała się szczerze zaskoczona moimi wątpliwościami. Czyżbym nie słyszał, że starzy Żydzi najlepsze anegdoty opowiadają o Auschwitz? Albo o tym, jak się ukrywali przed hitlerowcami? Jaja, że boki zrywać!

– Może inaczej się nie da? Może z takich historii trzeba się śmiać, żeby nie zwariować, ale tym dzieciom kiedyś trzeba będzie powiedzieć, że w czasie wojny jednej trzeciej mieszkańców Łodzi także „odcięto głowy”. A przez getto jeździł tramwaj. W porównaniu z tym głowa Holoferesa naprawdę jest śmieszna. Ja jednak nie wiem, co to znaczy. Podobnie jak nie wiem, co dla Żydówki znaczyło usłyszeć w izraelskim schronie przeciwrakietowym najstarszego synka, który mówi: „Mamo, ja już wiem, kim był Hitler”.

Rzeczywiście, dużo tego. Tak dużo, że pewnie nie o wszystkim usłyszałbym od razu, gdyby nie chwila wzburzenia mojej rozmówczynie.

– Zresztą – dodaje już spokojniej – Polacy też się śmieją. Te wszystkie „gaziki” z dowcipów o Holokauście. I to wcale nie antysemitów. Zwykli Polacy. Przy piwku albo karpiku.

W szósty dzień Chanuki (12.12.2015), gdy w łódzkiej gminie świętowali Żydzi z całej Polski, ulicami miasta przechodził marsz narodowców. Trasa pochodu wiodła m.in. ulicą Pomorską – pod oknami gminy. Manifestanci nie używali antysemitów, ale sam fakt, że była to grupa, która powszechnie kojarzy się z antysemityzmem, wywołał w Miriam Szychowskiej niepokój. Gdyby była sama, czułaby pewnie lęk, lecz świadomość, że w sali po dawnym Domu Dziennego Pobytu jest z nią kilkadziesiąt osób, dała jej poczucie bezpieczeństwa. Przyszło mi do głowy, że „kilkadziesiąt osób” to o wiele mniej niż prawdopodobna ilość uczestników pochodu, ale ugryzłem się w język. Chanuka to inaczej „Święto Świata” – święto nadziei. Rabin Keller przewrotnie tłumaczy jego znaczenie, parafrazując podczas wspomnianego wieczoru w Centrum Dialogu słynne zdanie Nietzschego: „Kiedy patrzymy w ciemność, ciemność patrzy w nas”. Sztuka polega na tym, by nawet w nieprzebranych ciemnościach zawsze skupiać wzrok na źródle światła, które symbolizuje chanukowy świecznik (tzw. *chanukija*). Nie ujmując nikomu ani niczemu godności, można chyba przyznać, że główne przesłanie Chanuki pokrywa się z tytułem humorystycznej piosenki kończącej film *Żywot Briana: Always Look on the Bright Side of Life*.

Przesłanie to mogłoby nadawać się również na komentarz do stosunków między Polakami a Żydami (lub pomiędzy polskimi Żydami i nie-Żydami), które, choć niełatwe i niejednoznaczne, to, jeśli pominąć pewne marginalne ekscesy, po przekroczeniu pewnych uprzedzeń nie muszą okazać się aż takie złe, jak można się spodziewać. Uprzedzenia zdarzają się chyba po obu stronach, a dla ich krótkiego opisu chciałbym wspomnieć jeszcze dwie postaci, z którymi niestety nie miałem możliwości porozmawiać. Pierwsza to pewien mieszkający w Łodzi starszy pan, który jako jedyna ze wszystkich osób, z jakimi udało mi się nawiązać kontakt, odmówił udzielenia wywiadu. Twierdził, że „to nie jest dobry czas dla Żydów”, ale gdy próbowałem dopytać, czego się właściwie obawia w związku ze zwykłą rozmową, postanowił po prostu ją urwać. A szkoda, bo podobno ten pan i jego żona do tej pory rozmawiają ze sobą w jidysz. Natomiast druga z postaci nie udzieliła mi wywiadu dlatego, że nie żyje. To były oficer Wojska Polskiego, zagorzały piłsudczyk, odznaczony Krzyżem Walecznych za udział w kampanii wrześniowej. Jego grób jest jednym z nowszych na Nowym Cmentarzu Żydowskim. Na ważne uroczystości zakładał stary mundur i eksponował order. Podobno jakiś czas przed śmiercią przyszedł zapłakany do synagogi, bo w osiedlowym sklepie miejscowe opryszki zwymyślały go od „Icków”. Osoba, która mi o tym powiedziała, prosiła jednak, by nie wymieniać jego nazwiska, bo rodzina zmarłego może sobie tego nie życzyć. Sama też chciała pozostać anonimowa. Łódzka społeczność żydowska jest mała, wszyscy wszystko o sobie wiedzą i łatwo jest znaleźć się na językach. Zupełnie jak na wsi. Inny z moich rozmówców powiedział zresztą wprost, że gdy idzie do gminy na Pomorską, to żartuje sobie, że idzie na wieś – taką w środku wielkiego miasta.

Paweł K. Rutkiewicz

Ulica Kilińskiego;
aut. R. Wionczek,
1953



Uroczyste otwarcie
Muzeum Historii
Ruchu Robotniczego
(obecnie Muzeum
Tradycji
Niepodległościowych);
aut. W. Szczeciński,
1960

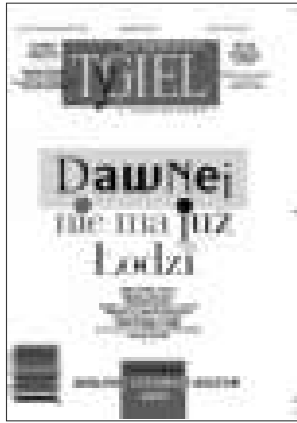


Ulica Piotrkowska;
aut. nieznanym,
lata 70.



Ulica Piotrkowska;
aut. A. Bocheński,
1974





Krystyna Radziszewska

Życie kulturalne w getcie Litzmannstadt

Po wkroczeniu oddziałów Wehrmachtu do Łodzi we wrześniu 1939 roku ukazały się liczne antypolskie i antyżydowskie zarządzenia ograniczające w znacznym stopniu dotychczasowe życie codzienne. Żydom zabroniono świętowania Nowego Roku i Sądnego Dnia, przypadających w 1939 roku na 11, 12 i 23 września, blokując konta bankowe ograniczono obrót pieniężny, zakazano handlu materiałami skórzanymi oraz tekstyliami. Lekarzom żydowskim zakazano pracować w szkołach. Obowiązkiem obywateli żydowskiego pochodzenia było noszenie najpierw żółtej opaski na ramieniu, a następnie żółtej gwiazdy Dawida na prawej pierwi i na plecach. Równocześnie ukazały się zarządzenia policyjne coraz bardziej ograniczające swobodę poruszania. Żydzi nie mogli wychodzić na ulicę Piotrkowską, przebywać w parkach miejskich, jeździć po drogach publicznych bądź korzystać z publicznych środków lokomocji. Bardzo mocno ograniczony został dostęp do leków. Skonfiskowane też zostały, zarówno Polakom jak i Żydom, odbiorniki radiowe. Po odseparowaniu Żydów od pozostałej części miasta i zamknięciu ich w szczelnie chronionym getcie dostęp do dóbr kultury stał się jeszcze bardziej ograniczony. Ludność była odcięta od wszelkiej informacji z zewnątrz. Nie było radioodbiorników (poza kilkoma nielegalnymi), nie kolportowano gazet, nie licząc wydawanej przez pewien okres przez administrację żydowską „Gettocajtung”. Do getta Żydzi mogli zabrać tylko jedną walizkę z bielizną, ubraniami i pamiątkami rodzinnymi, np. zdjęciami. Kordon wokół „miasta w mieście” zacieśniał się coraz bardziej. Wszystkie te posunięcia ze strony okupanta coraz bardziej ograniczały także dostęp do życia kulturalnego. Pojawia się więc pytanie, do jakich form uciekali się uwięzieni mieszkańcy getta, aby przeciwdziałać tym ograniczeniom, jak zmieniały się formy i funkcje sztuki w dzielnicy zamkniętej. Szukając odpowiedzi na te pytania, spróbujemy zrekonstruować życie kulturalne, którego organizatorem był Dom Kultury oraz liczne biblioteki. Oddzielonego omówienia wymaga bogate życie literackie getta.

Łódź była do roku 1939 jednym z najważniejszych i największych żydowskich ośrodków kultury. Tutaj wydawano wiele czasopism literackich, a w teatrze „Ararat” kierowanym przez Mosze Brodersona wystawiano nowoczesne sztuki. Młodzi i utalentowani pisarze i artyści utworzyli grupę artystyczną „Jung Idysz”, do której należeli m.in. wspomniany Mosze Broderson (1890-1956), Jankiel Adler (1895-1949), Icchak

Brauner (1887-1944), Ida Brauner (1891-1949), Marek Szwarz (1892-1958), Hennoch Barciński (1896-1941) oraz Icchak Kacnelson (1886-1944), późniejszy autor poematu *Pieśń o zamordowanym narodzie żydowskim*. Ten pedagog, poeta i impresario teatralny opuścił Łódź kilka tygodni po wkroczeniu wojsk okupacyjnych. Podobnie uczyniło wielu innych animatorów życia kulturalnego, m.in. Broderson. W chwili utworzenia getta w Łodzi nie było już wielu artystów. Jednak życie kulturalne łódzkich Żydów nie zamarło wraz z zamknięciem jego bram. Wprost przeciwnie – kultura nie tylko nie straciła swego znaczenia, ale zaczęła ogrywać coraz większą rolę. Jeden z autorów „Kroniki getta” przeczuwał, że przyszedł czytelnik *być może pokręci z niedowierzaniem głową*, gdy będzie czytał doniesienia o różnych przedstawieniach, koncertach, imprezach towarzyskich i być może powie, że *sytuacja ludności getta nie musiała być pewnie tak tragiczna, skoro życie towarzyskie było takie bogate i ożywione*. Jednocześnie przyznaje, że w getcie jest wielu ludzi, którzy *potrzęsają głową i niechętnie dają się w to wciągać, sądząc, że położenie Żydów w getcie ogólnie nie pozwala na takie splecenie życia społecznego*. Oskar Rosenfeld traktował wszystkie przejawy życia kulturalnego jako *jedynie wentyle witalności i afirmacji życia*. Ich zlikwidowanie *oznaczałoby przecież tłamszenie woli życia tych sponiewieranych ludzi*. Mieszkańcy getta pragnęli stworzyć sobie alternatywę dla śmierci, bólu, głodu i rozpacz. Niepohamowaną chęcią tych umęczonych ludzi było, by znów znaleźć się *w sali teatralnej z dala od beznadziejnej atmosfery, pogawędzić w przerwie w foyer Domu Kultury, posflirtować, pochwalić się nową suknią i dobrą fryzurą*.

Organizatorzy życia kulturalnego mieli jednak niełatwe zadanie. Nie było możliwości kontaktu ze światem zewnętrznym. Getto było skazane samo na siebie. Do tego dochodziła jeszcze bieda materialna, głód, strach. Wszystkie te czynniki spowodowały, zdaniem ówczesnego wnikliwego obserwatora życia w getcie Oskara Rosenfelda, *skierowanie dróg duchowego życia do wewnątrz*. Trzeba było *gospodarować tym materiałem, który był do dyspozycji, dostosować się do powstałego stanu, zorganizować siły; przygotować grunt do przyszłej pracy*. W ekstremalnych warunkach, bez kontaktu ze światem zewnętrznym zmieniły się formy i treści życia kulturalnego. W łódzkim getcie mamy więc do czynienia zarówno z imprezami profesjonalnymi, jak i amatorskimi, ze scentralizowanym, ale też rozproszonym życiem kulturalnym.

Pierwsze publiczne przedstawienia odbywały się w zbiorczych kuchniach gminnych. Jedną z nich była kuchnia nr 2 przy Zgierskiej 41, z której korzystała inteligencja. W „Kronice getta łódzkiego” z marca 1941 roku została ona oceniona *jako jedna z najbardziej zasłużonych instytucji w getcie* i określona jako *typowy lokal byłych ludzi, ludzi zajmujących ongiś poważne stanowiska, żyjących pełnią życia, dziś wyrzuconych poza nawias tego wszystkiego*. Spożywano tam nie tylko posiłki, lecz było to miejsce wzajemnej wymiany myśli, *coś w rodzaju klubu, w którym spotykają się ci byli ludzie*. Urządzano tam wieczory wokalnno-muzyczne i imprezy koncertowe, by dostarczyć mieszkańcom getta jakiejś rozrywki kulturalnej, a jednocześnie wspierać finansowo artystów. „Kronika getta” donosi o wielu takich imprezach. Przedsięwzięcie to można było bez trudu

realizować właśnie w tym miejscu, ponieważ zarząd kuchni był w posiadaniu największego nadającego się na ten cel lokalu. W owym czasie nie było jeszcze Domu Kultury przy Krawieckiej 3. Placówkę tę otwarto w roku 1941 w lokalu byłego kina. Z opisu deportowanego z Pragi dziennikarza Oskara Rosenfelda wynika, że był to *parterowy, podłużny budynek z płaskimi ścianami bez żadnych ornamentów, z szerokimi oknami, płaskim dachem, biało-szary, podzielony poziomo jak dawne greckie świątynie*. Przy wejściu wisiały zwykle ręcznie pisane plakaty z programem w języku jidysz i niemieckim. Był tam też sekretariat, kasa i szatnia. W foyer z wysokimi oknami wychodzącymi na ogród panował w przerwach ożywiony ruch. Przybyli na koncert goście prowadzili *w jidysz, po polsku, niemiecku, a nawet angielsku poważne rozmowy na temat dopiero co wystuchanych utworów muzycznych*. Dom Kultury, kierowany przez Kiwę Sienickiego, dysponował zawodową orkiestrą, która koncertowała zwykle dwa razy w tygodniu, przeważnie w środy i soboty. Wśród muzyków znajdowało się wielu znakomitych artystów, którzy przed wojną związani byli z orkiestrami symfonicznymi Łodzi, Pragi, Wiednia i Berlina. Koncerty pod batutą Teodora Rydera i Dawida Bajgelmana były w getcie, zdaniem Arnolda Mostowicza, *wydarzeniem kulturalnym i towarzyskim*. Jak donosiła „Kronika” Bajgelman *był już przed wojną znanym muzykiem i to nie tylko w kręgach żydowskich, zjeździł prawie cały świat i był niezwykle znawcą wszelkiego rodzaju instrumentów*. Te muzyczne imprezy wzbogacili później osiedleni w getcie soliści, pianiści i inni muzycy z Europy Zachodniej. Przeglądając dokładniej programy koncertów, Rosenfeld zauważył, że publiczność getta przyciąga najbardziej jedna kategoria muzyki – muzyka romantyczna (Mendelssohn, Schubert, Schumann). Mimo że słuchacze odnoszą się z respektem do muzyki klasycznej, *największą ich miłością są romantycy, niezależnie od rangi artystycznej*. Zwrot ku muzyce romantycznej związany był zapewne z ówczesną modą, ale i też z potrzebą stworzenia sobie iluzji i tęsknotą za wyruszeniem w inny świat. Rosenfeld podkreślał znaczenie tych czynników, relacjonując koncert z 24 czerwca 1941 r. Orkiestra grała fantazję *Mignon* Thomasa. Słuchacze byli poruszeni, choć tylko nielicznym z nich znany był tekst Goethego *Znasz-li ten kraj...* Mimo to ogromne wrażenie wywołały wśród publiczności słowa: *Tam był mi raj, pókiś ty ze mną była...* Także znakomici soliści, do których należał m.in. sopranista Rudolf Bandler z Pragi, śpiewając arie i pieśni przynosili słuchaczy do innego, wolnego świata. Kiedy Bandler śpiewał pieśni Schuberta, ludzie czuli się *jak w domu, przypominali sobie być może wiersze Schillera i Heinego, które jak wiadomo przez długi czas należały do ulubionych wierszy Żydów wschodnioeuropejskich, dopóki nie zostały wyparte przez literaturę w języku jidysz*. Zdaniem Rosenfelda muzycy chętnie graliby także muzykę żydowską, np. takich kompozytorów jak Josef Achron, Gustav Mahler czy Arnold Schönberg, gdyby tylko mieli dostęp do nut i partytur.

Po znacznym ograniczeniu działalności Domu Kultury, które nastąpiło we wrześniu 1942 r. po wysiedleniach ludności do obozu zagłady w Chełmnie nad Nerem, oraz jego ostatecznym zamknięciu i umieszczeniu tam resortu kołder pikowanych w roku 1943



r., mieszkańcy getta, jak zanotował kronikarz, *pozbawieni zostali resztek życia kulturalnego i towarzyskiego*. Artyści zatrudnieni do tej pory w Domu Kultury zostali przydzieleni do pracy fizycznej i *produkowali słomiane buty, sortowali cuchnące szmaty, kleili podeszwy czy też wyczarowywali podobne rzeczy*. Spowodowało to oczywiście zahamowanie zorganizowanego życia kulturalnego, ale ponieważ wielu jego animatorów pozostało dalej w getcie, to nie zamarło ono całkowicie. Nastąpiła jego transformacja; od centralnej instytucji, jakim był Dom Kultury, do rozproszonych po całym getcie, stopniowo tworzonych małych ośrodków. Muzykowali tam zarówno muzycy zawodowi, jak i amatorzy, grano muzykę kameralną i śpiewano. Lucille Eichengreen, która przeżyła łódzkie getto, wspomina o takich spotkaniach w mieszkaniu przy Marynarskiej. W szarym, mrocznym pomieszczeniu ludzie siedzieli na podłodze, a młoda artystka przy akompaniamencie muzyków śpiewała przepięknym sopranem m.in. delikatne kołysanki do słów Szai Szpigla. Ten kameralny koncert przeniósł młodą słuchaczkę w niedawną przeszłość w rodzinnym Hamburgu i sprawił, że poczuła się szczęśliwa i choć na krótko zapomniała o troskach i potwornościach getta.

Ogromnym ciosem dla muzykujących w małych kręgach artystów było wydane 17 stycznia 1944 r. zarządzenie Rumkowskiego o obowiązku oddania wszystkich instrumentów muzycznych. Krok ten, który, jak zaznaczył przekazujący tę informację kronikarz, tym razem *wyjątkowo nie uderzył w żołądek człowieka w getcie*, pociągnął za sobą poważne skutki. W getcie *na zawsze umilkli Beethoven, Mozart, Chopin, Schumann...*

Kładka nad ul. Zgierską na terenie łódzkiego getta (1940-1944); aut. nieznan

Do cierpień związanych z głodem i zimą dołączył niezaspokojony głód muzyki. Skonfiskowane przez nazistów cenne i niegdyś bardzo drogie instrumenty zostały wycenione za bezcen i rozdzielone pomiędzy miejską orkiestrę, nadburmistrza miasta, szkołę muzyczną Hitlerjugend, a także Izbę Muzyczną Rzeszy.

W Domu Kultury działał także teatr. Trupa teatralna „Awangarda” pod kierunkiem Mosze Puławera, w skład której wchodził także chór i grupa taneczna, wystawiała swoje sztuki prawie każdego wieczoru. Twórca teatru Puławer sam kształcił aktorów i reżyserował przedstawienia. Po wojnie wspominał, że *publiczność przychodziła do teatru wystrojona. Przez te kilka godzin ludzie zapominali o wszystkich gettowych zmartwieniach.* Z teatrem i Domem Kultury współpracowało kilku poetów, m.in. humorysta Szymon Janowski, piszący dla teatru humoreski i młody poeta Abraham Joachimowicz, autor większych utworów scenicznych.

W budynku przy Krawieckiej 3 odbywały się też rewie. Nie nosiły tytułów, lecz były kolejno numerowane. Ten rodzaj sztuki uprawiany był przed wojną na scenach żydowskich Europy Wschodniej. Wzorem dla twórców w getcie był warszawski teatr „Ararat” i rewie w realizacji Brodersona. Przedstawienia te reżyserował Puławer, malarz Pinchas Szwarz tworzył scenografię, a Dawid Bajgelman komponował muzykę. Ten ostatni dyrygował także orkiestrą. Strofy z rewii bardzo szybko zyskiwały popularność, śpiewano je na ulicach i w warsztatach pracy. Oczywiście te koncerty i rewie nie mogły zaspokoić głodu kulturalnego ludności getta, ponieważ sala mieściła jedynie około 500 osób, a *biłety wstępu można było zdobyć tylko po znajomości* – zauważył kronikarz w czerwcu 1943 r. Za miejsca siedzące w Domu Kultury trzeba było zapłacić, według Rosenfelda, od 30 fenigów do 1 marki. Podobne ceny podawane są na zachowanych w łódzkim Archiwum Państwowym ręcznie pisanych plakatach. Imprezy te były oczywiście dostępne tylko dla stosunkowo niewielkiej części ludności getta, głównie dla jego wyższych warstw.

Premiera III rewii odbyła się 6 czerwca 1942 roku. Kronikarz chwalił *niezwykły postęp* w porównaniu z poprzednimi rewiami. Oglądający ją nie mieli wrażenia, że *jest to przedstawienie, w którym oprócz reżysera występują sami amatorzy.* Oskar Rosenfeld, który był obecny na tej premierze, zanotował w swym prywatnym dzienniku kilka krytycznych uwag na jej temat. Poszczególne sceny autorstwa Joachimowicza, Janowskiego, Gebirtiga traktowały – zdaniem Rosenfelda – o miłości, małżeństwie, rodzinie. Autorzy unikali wyraźnie aktualnych tematów, *jakie obserwatorowi narzucała żydowska ulica w getcie.* Nawet w skeczu *Plotki z getta* zadowolono się *powierzchnowymi aluzjami.* A przecież właśnie w takim skeczu byłoby miejsce, *aby z dowcipem i humorem (wisielczym humorem) i satyrą powiedzieć coś znamiennego na temat jedyne go w swoim rodzaju getta Litzmannstadt.* Fakty te bowiem tak bardzo rzucają się w oczy, że nie trzeba być Scholemem Alejchemem, by wydobyć najbardziej wesołe strony i wywołać śmiech ludzi. Wieczór ten hołdował tradycji starego żydowskiego teatru. Publiczność widziała w nim *barwną grę w celu rozweselenia zmysłów. Getto nie przeniknęło jeszcze do tej tradycji. Sztuka rewiiowa nie przejęła jeszcze niczego z getta.* W przeciwieństwie

do cytowanych słów Rosenfelda pojawiają się w niektórych relacjach przykłady krytycznych piosenek, parodii i monologów Janowskiego czy Gebirtiga. W tekstach tych wyczuwało się ukrytą krytykę Rumkowskiego i jego współpracowników czy też ogólnie panujących stosunków w getcie. Krytyka taka pojawiła się m.in. w duecie Gebirtiga *Wer der erszter wet lachen (Kto się pierwszy zaśmieje)*, w którym chłopiec założył się z drugim, że doprowadzi go do śmiechu. Po licznych próbach rzeczywiście mu się to udało, kiedy wyciągnął z kieszeni świeżą bułeczkę, co spowodowało radosny śmiech tego drugiego.

„Kronika Getta” informuje dość obszernie o różnych przedstawieniach rewiiowych. W roku 1943 jedno przedstawienie goniło drugie. O tej gorączce rewiiowej wspomina także w swym dzienniku Jakub Poznański. Sukces rewii w jednym resorcie nie dawał spokoju żyjącym w ukryciu artystom innych resortów, co powodowało wspomnianą gorączkę rewiiową w getcie. W zależności od liczby załogi i wpływów danego kierownika także poziom personelu artystycznego i jego oprawa sceniczna były zróżnicowane. Poziom tych przedstawień był zaniżany przez ambicję danego kierownika, by organizować je tylko siłami własnego zakładu. Żaden nie chciał posilkować się muzykiem czy artystą „konkurencji”. W „Kronice” można znaleźć informacje o różnych rewiiach organizowanych przez różne resorty i wydziały. Rewia organizowana przez Wydział Statystyczny, jak donosi „Kronika”, *osiągnęła wręcz miejski format.* W szeregach tego wydziału znajdowało się bowiem wielu znakomitych muzyków, więc muzyka jazzowa w tej rewii nie miała sobie równej. Rewia Wydziału Statystycznego obudziła ambicję Służby Porządkowej, która sama zorganizowała podobną rewię. Kronikarz chwalił porządek i organizację godną tej służby. Dnia 9 czerwca 1943 zanotował:

Krytyka poszczególnych numerów jest zbędna, ponieważ nie mógłby być osiągnięty jej cel, jako że wersy te nie są przecież przeznaczone dla publiczności. Można tylko ogólnie powiedzieć, że rewia, jak to się zwykle mówi w getcie, była zrobiona bez wazeliny, tzn. nie było śladu unizoności, służalczości czy pochlebstwa wobec potentatów getta. Godne uwagi jest również to, że w tej rewii elementy żydowskie (w warstwie językowej) schodziły na plan dalszy, ponieważ większość tekstów pochodziła od uzdolnionego podkom. Engliszera, który pisał tylko po polsku. Tym niemniej były również trzy numery w języku jidysz i to na wysokim poziomie artystycznym. Dekoracje były gustowne i urozmaicone. Wysoką ocenę w getcie otrzymała ta rewia dzięki reżyserii i konferansjerce Bedy Saxla z Pragi, zawodowego aktora, którego rutyna odcisnęła swoje piętno na całym wieczorze. Również muzycznie rewia stała na wysokim poziomie. Publiczność była oczarowana i nagradzała wykonawców gromkimi brawami.

Dziewiętnastoletnia wówczas tancerka Dolly Kotz wspomina, że rewia Służby Porządkowej *była hitem.* Wystawiano ją każdego wieczoru dla zamożnych mieszkańców getta. Sophie Machtinger, która oglądała tę rewię, pamięta przede wszystkim dojmujący głód i wspomina, że musiała siedząc z pustym żołądkiem podziwiać radosną rewię przedstawianą przez wcielonych do policji gettowej czeskich aktorów.

W getcie zamknięto także wielu malarzy i rzeźbiarzy. Za drutami tworzyli tacy znani już przed wojną malarze jak Józef Kowner, Hirsz Szylis, Maurycy Trębacz, Pinchas Szwarz, Izrael Lejzerowicz, Icchak Brauner. Jeden z ocalałych, Leon Kowner, który pamięta trzech znanych malarzy, wspomina, że *dostawali jakieś projekty, mieli wystawy w getcie. Nie głodowali. Dostawali specjalne przydziały*. Niektórzy projektowali dywany, inni, jak Lejzerowicz, byli zatrudnieni w Wydziale Naukowym, gdzie sporządzano figurki przedstawiające typy Żydów z Europy Wschodniej. Jeszcze inni, jak Sara Majerowicz, pracowali w Wydziale Statystycznym przy sporządzaniu tabel i wykresów. Oskar Rosenfeld naszkicował w jednym ze swych zapisów istotę malarstwa w getcie. Według tego autora getto było dla malarza *tym, czym normalnie są ukryte zakątki orientu, kawałkiem rzeczywistości wykraczającym poza wszelką cywilizację, źródłem niewyczerpanych motywów*. Rosenfeld podkreśla, że malarze nie muszą jak dawniej wyruszać w świat, by szukać egzotycznych miejsc z czasów, kiedy cywilizacja była jeszcze w powijakach. Takie motywy znaleźć można było bowiem w getcie. Autor wyraził tutaj dyskusyjną tezę, że sztuka czerpie inspirację z miejsc, gdzie panuje dyktatura lub załamuje się cywilizacja. Wymienia on także motywy, jakie narzucają się *badawczemu oku*. Są to ulice i uliczki getta, grupki ludzi, którzy ciągną lub pchają wozy, fekaliści wywożący fekalia, kolejki przed punktami rozdzielającymi różne towary, wozy konne i ciężarówki załadowane kartoflami i warzywami, nędzne izby, w których mieszkają głodujące rodziny, ludzie umierający w domu i na ulicy, karawany, zupa na stole, konkretny i abstrakcyjny głód, praca w fabrykach oraz łączący dwie części getta most nad ulicą Zgierską. Mimo iż motywy same się narzucają, malarze nie są zbyt skłonni, by przedstawiać oblicze getta. Warunki w zamkniętej dzielnicy nie pozwalały im wyjść na ulicę i malować na wolnym powietrzu. Praktyki malarzy pracujących na ulicach nie były możliwe do zrealizowania w getcie ze zrozumiałych względów. Ówczesni malarze nie znaleźli jeszcze, zdaniem Rosenfelda, metody na przedstawienie getta w formie obrazu. Poza tym malarze ci nie byli w stanie przedstawić na jednej powierzchni dwóch różnych w czasie wydarzeń, tak jak to czynił Marc Chagall, kiedy umieszczał w jednej ramie dwa przedmioty w rzeczywistości daleko od siebie oddalone. Autor uważał, że malarze w getcie *nie mogą na razie postąpić się taką metodą, ponieważ jeszcze nie zobjektywizowali swego wizualnego przeżycia getta*. Getto bowiem to taki unikat, że przedstawić je można albo w formie *jaskrawej rzeczywistości*, albo jako *wizję w postaci symboli*. Malarze z getta nie zdecydowali się na żaden z tych wariantów.

Prawie wszyscy malarze tworzyli portrety Przełożonego Starszeństwa Żydów Rumkowskiego. Przedstawiano go często jako anioła stróża. Obrazy takie malowali *biedni, głodujący malarze*. *Otrzymywali za nie bochenek chleba* – pisał w swych wspomnieniach Edward Reicher. Pinchas Szwarz twierdził, że niebezpieczne było malowanie realistycznych obrazów przedstawiających trupy i druty kolczaste. Artyści bali się, żeby Niemcy ich nie aresztowali. Lepiej więc było malować coś alegorycznego.

Twórczość w getcie pozwalała artystom oderwać się od trosk dnia codziennego. Młoda tancerka Dolly Kotz czuła się podczas prób i przedstawień jak *po odrobinie heroiny*.

Reagowała płaczem na uwagi ojca, że *musi mieć źle w głowie, aby w takiej sytuacji myśleć o tańcu i podrygiwaniu*. Wiedziała, że ojciec ma rację, ale wiedziała też, że atmosfera w teatrze pozwoli jej zapomnieć o *strasznej sytuacji, o dręczącym głodzie i o wszystkich katastrofach, jakie mogą się jeszcze zdarzyć*. Nie bez znaczenia był też dodatkowy talerz zupy, który otrzymywała w teatrze. Kronikarz zauważył, że ludzie oglądający rewię *byli nawet w stanie się cieszyć i śmiać*. Oskar Rosenfeld notował: *Publiczność, w dużej części młodzież, a nawet dzieci, śledziła z zachwytem akrobacje kwartetu tanecznego. Zapomniano o dręczących troskach dnia. Nie czuje się tutaj psychozy getta. Jest to dowód na niezniszczalność istoty żydowskiej, która jest silna wewnętrzną wiarą. Czuje się to nawet podczas zwyczajnego wieczoru rewiowego*. Więźniowie getta nie zrezygnowali mimo głodu, zima, wywózek z uczestnictwa w życiu kulturalnym. Ponieważ możliwości w zamkniętej dzielnicy były ograniczone, próbowali się śmiać, śpiewać lub żartować, nawet jeśli był to wisielczy humor.

Jak już wcześniej podkreślano, getto było skazane samo na siebie. Uwięzieni tu ludzie nie byli jednak całkowicie odcięci od dziedzictwa kulturalnego. Nośnikiem kultury były książki, szczególnie ważne dla starego „narodu księgi”. Bronił on się przed wymazaniem zbiorowej i rodzinnej pamięci i uważnie rejestrował wszystkie ślady jej usuwania. Współpracownik archiwum w getcie Józef Zelkowicz zanotował 5 lipca 1943 r. kilka uwag na temat zbiorów książek, rodzinnych i narodowych archiwów pamięci. W „narodzie księgi” pamięć o najbliższych żyje w księgach. Każda z nich jest rodzajem pomnika, depozytariuszem wspomnień. O takim sposobie pamięci nie wiedział zapewne nazistowski prawodawca, gdy w swym zarządzeniu na temat przedmiotów, jakie można zabrać do getta, nie wymienił książek. Do getta zabrano więc oprócz łóżek i paru innych mebli, bielizny i pamiętek rodzinnych także święte księgi. Tutaj jednak, gdzie modlitwa żałobna stała się codziennością, nie odnoszono się już z takim pietetyzmem do ksiąg. Kiedy dawniej przez przypadek książka upadła na ziemię, *podnoszono ją z przestraszeniem i całowano w geście przeprosin*. *W getcie natomiast książki leżą niedbale na gołej podłodze zakurzone, pokryte pleśnią*. *W ich wnętrzu, tam gdzie atramentem uwieczniona jest pamięć zmarłych, mają swe gniazda pająki i pluskwy...* – pisał Józef Zelkowicz. Mimo takiego stanu rzeczy Żydzi nie spalili *zakurzonych i pokrytych pleśnią* ksiąg, gdy nadeszła okrutna zima 1940/41. Łupem padły wówczas stoły, szafy, krzesła, lecz oszczędzono święte księgi. Tych bowiem nie wolno palić. Trzeba je zabrać ze sobą do grobu.

W getcie nie brakowało także innych książek. Po wysiedleniu wielu tysięcy ludzi w roku 1942 pozostały one w opuszczonych mieszkaniach. Kierownik Wydziału Statystycznego adwokat Henryk Neftalin zarządził, by gospodarze domów informowali o wszystkich książkach, które pozostały w mieszkaniach wysiedlonych, na strychach i w piwnicach. Pod wskazany przez dozorców adres wysyłał pracowników Wydziału Statystycznego, by ci zbierali książki i dostarczali je do wydziału. Zebrany „skarb”, który liczył około 30 000 egzemplarzy, został posegregowany i skatalogowany. Uratowane woluminy przechowywano w trzech ciemnych pomieszczeniach Wydziału Ewidencji. Na sięgających sufitu regałach leżały *dziela, które od pokoleń przechodzą z ręki do ręki*,

wnuk dziedziczył je po dziadku – zapisał kronikarz w roku 1943. Kierownikiem tej biblioteki był inżynier Weinhorn. Spośród tych książek wybrano kilkaset dla młodzieży. Przy instytucjach zajmujących się dziećmi i młodzieżą utworzono ruchome biblioteki. „Kronika getta” donosiła, że pierwszy taki zbiór zawierający 150 tomów wysłany został 24 lipca 1942 r. do domu poprawczego. Następne przeznaczone były dla młodzieży w bursie. Kronikarz wyraził nadzieję, że inicjatywa ta pozwoli zainteresowanym *milej spędzać czas*.

Potrzebę czytania książek wśród „narodu księgi” zaspokajały tolerowane przez władze niemieckie wypożyczalnie książek. Największa z nich kierowana przez Jakuba Wolfa Sonnenberga mieściła się przy Zgierskiej 19. Istniała w tym miejscu już od roku 1931. Sonnenberg miał na początku tylko 19 książek w języku polskim. Od kwietnia 1940 r. skupował od łódzian i innych przesiedlonych do getta Żydów książki we wszelkich językach, głównie w języku niemieckim i angielskim. Na początku 1944 r. biblioteka posiadała już 7500 tomów, w tym 800 w języku niemieckim. Oprócz dzieł literackich Sonnenberg kupował też podręczniki szkolne, encyklopedie, kompendia wszelkich naukowych kategorii oraz podręczniki do nauki języków obcych. Abonament wypożyczalni kosztował 2 marki miesięcznie, poza tym konieczna była kaucja w wysokości 5 marek. Od maja 1942 r. niemieckojęzyczni czytelnicy, którzy chcieli posiadać abonament, musieli w formie wpisowego przekazać niemiecką książkę, w wyniku czego niemieckojęzyczna część biblioteki rosła bardzo szybko. Na wiosnę 1944 r. wypożyczalnia Sonnenberga miała już 4000 abonentów. Z polskich autorów poszukiwano szczególnie (oprócz kryminałów i książek sensacyjnych) klasyków (Żeromski, Strug, Orzeszkowa, Sienkiewicz, Prus), z autorów sowieckich zaś Pilniaka, Erenburga, Gorkiego i Ałdanowa. Niemieccy czytelnicy z chęcią sięgali po monografie, dzieła historyczne i filozoficzne oraz niemieckich klasyków. Najbardziej ulubionymi autorami byli Heine, Feuchtwanger, Ludwig oraz tłumaczenia literatury światowej. Z autorów żydowskich najpopularniejsi byli I. L. Perez i Scholem Asch. Kronikarz Bernard Ostrowski informował w czerwcu 1942 roku o kilometrowej kolejce przed biblioteką Sonnenberga. Był to dowód na to, jak mocno odczuwalny był *głód słowa drukowanego* w getcie. Czytelnicy podchodzący do stołu musieli szybko dokonywać wyboru. Nie było czasu na dłuższe zastanawianie się, co wybrać. *Trzeba brać, co dają* – skonstatował kronikarz. Oprócz Sonnenberga swą pozycję w getcie ugruntował łódzki księgarz S. Otelsberg, którego biblioteka mieściła się przy Wolborskiej 44. Posiadał on 2000 książek i 2000 abonentów, co sprawiało, że wszystkie książki wciąż były w obiegu. Istniał też cały szereg wypożyczalni książek w języku jidysz w mieszkaniach prywatnych, o których zainteresowanych informował umieszczony na bramie domu afisz: „Achtung! Ch'borg arojs jiddische Bicher zum leienen” (Wypożyczam książki w jidysz do czytania). Władze tolerowały te wszystkie biblioteki. Jednakże obejmował je zakaz posiadania niemieckich książek wojennych i tych dzieł, które zakazane były też w Rzeszy. Także organizacje polityczne dysponowały bibliotekami. Jedną z nich mieściła się przy Limanowskiego 39,

w tym samym domu, w którym mieszkała Zula Pacanowska. Młodzież sama zebrała kilkadziesiąt tomów. Sami oprawiali książki i przystosowali piwnicę na użytek biblioteki, gdzie na przemian pełnili dyżury. W bibliotece tej ogniskowała się także działalność kulturalna i wychowawcza organizacji.

Kiedy stało się jasne, że Niemcy nie będą tolerować wypożyczania lewicowych książek, lewicowa młodzież postanowiła się nimi „zaopiekować” i utworzyć własną bibliotekę. Halina Najduchowska wspomina, że młodzież komunistyczna zdobywała książki do tej biblioteki nie zawsze uczciwymi metodami: *Zapisywaliśmy się do biblioteki, płaciliśmy kaucję, podawaliśmy fałszywe nazwiska i adresy, wypożyczaliśmy książkę i jej nie zwracaliśmy. Albo też zamiast wypożyczonej książki powymowaliśmy wszystkie kartki i oddawaliśmy jakąś powieść, ale w poprzednich okładkach. Powtarzaliśmy te operacje kilkakrotnie*. Mimo to ilość książek nie zaspokajała potrzeb młodzieży. Trzeba je było powielać. Przepisywano więc książki ręcznie. Takie biblioteki funkcjonowały w podziemiu. Największa z nich, dysponująca kilkoma tysiącami tomów, należała do Lewicy Związkowej i kierowana była przez Lolka Skopnickiego. Do getta udało się także przenieść zbiory biblioteki medycznej przy szpitalu Poznańskiego, który nie znajdował się na terenie getta. Korzystali z niej często lekarze. Sami też zbierali książki naukowe, tworząc z prywatnych zbiorów kolejną bibliotekę przy stacji Pogotowia Ratunkowego przy Łągiwnickiej. Autorzy niemalże wszystkich wspomnień i dzienników z getta podkreślają, jak ważna była dla nich książka. Przenosiła czytelników w inny świat, pozwalała zapomnieć o głodzie i cierpieniu. Książki były też pretekstem do spotkań, dyskusji oraz wymiany poglądów. Czasami przywracały chęć do życia po ciężkich ciosach.

W getcie, w którym, jak pisał Oskar Rosenfeld w listopadzie 1942 r., sto tysięcy ludzi żyje w *mieście bez szkoły, nauczycieli, podręczników, synagogi, kina, radia, gramofonu, bez lasu i łąki, bez sklepów, bez domu, bez instrumentu muzycznego, gdzie wszyscy jedzą to samo, bez wody do picia, bez gazety, bez biblioteki, bez kawiarni, bez restauracji, bez hotelu, bez zabawy i sportu, bez samochodu, roweru, bez zwierząt domowych (psa, kota, jeża, kozy, królika)* kultura odgrywała niezwykle ważną rolę. Co tydzień przez dwie godziny artyści przynosili w Domu Kultury 400 ciężko doświadczonych ludzi w świat, w którym czuli się wolni. Kiedy zabrakło tej instytucji, robili to w małych prywatnych kręgach. Czynili to na miarę możliwości w getcie zdeterminowanym przez nazistowską ideologię.

Krystyna Radziszewska

Pierwodruk: „Tygiel Kultury” 7-9/2009



Anna Kuligowska-Korzeniewska

*Łódź teatralna:
polska, niemiecka i żydowska*

2 października 1877 r. przy ulicy Piotrkowskiej 67 odbyła się podniosła uroczystość. Tego dnia inaugurowano działalność nowego teatru, który stanął w podwórzu hotelu Victoria. Kiedy widzowie minęli ciemne oficyny i weszli do rześkiego oświetlonego gmachu, ujrzeni kurtynę, a na niej namalowane podobizny wielkich twórców teatralnych: Friedricha Schillera, Johanna Wolfganga Goethego, Wolfganga Amadeusa Mozarta i Stanisława Moniuszki.

„Lodzer Zeitung”, jedyna wówczas gazeta w Łodzi, pełna entuzjazmu dla polskich (jak i niemieckich) poczynań kulturalnych, nie wniosła zastrzeżeń do patronów i dekoracji teatru „Victoria”. Dziesięć lat później na łamach „Dziennika Łódzkiego” jego sekretarz, a wkrótce inicjator i dyrektor stałej sceny polskiej, Łucjan Kościelecki, tę samą kurtynę nazwał „malowidłem przestarzałym”: *Przedstawia ono jakiś portyk, do którego wchodzi się po kilku stopniach dywanem nakrytych. Na ostatnim stopniu dwaj mężowie stoją – Schiller i Goethe w szlachetnej zgodzie, a jeden podaje drugiemu wieniec laurowy. Może to i było dobre wówczas, gdy echt deutsche Lodz miała nadzieję zostać takową naprawdę, lecz w teatrze polskim, siedząc w krzesłach, milej by nam było, gdyby z kurtyny spoglądał na nas choćby Fredro poczciwy.*

W roku 1882 przy ulicy Dzielnej 18 (obecnie Narutowicza), także w podwórzu, stanął budynek niemieckiego teatru „Thalia”. Nic udało się ustalić, kogo – zgodnie z ówczesnym zwyczajem – namalowano na kurtynie tego teatru. Wiadomo wszakże, iż plafon wyobrażał *całą falangę poetów i mędrców niemieckich – wraz z naszymi, Mickiewiczem i Kraszewskim.*

Czy wybór tych patronów dla teatru polskiego i niemieckiego był przypadkowy, czy też stał za nim świadomie sformułowany program artystyczny i narodowy? Odpowiedź na to pytanie wymaga przesłania historii teatru łódzkiego, skróconej tu z konieczności do podstawowych informacji.

Pierwsze przedstawienie teatralne odbyło się w Łodzi 6 stycznia 1844 roku. Do fabrycznego miasta, uchodzącego za niemieckie, przyjechał wtedy polski zespół pod dyrekcją Ignacego Marzantowicza. Ulokował się na Starym Mieście, czyli w tradycyjnym skupisku ludności polskiej, ale – jak poświadczają niektóre źródła – odległa o 3 km

niemiecka Wólka dostarczyła znaczny kontyngens widzów. Daje to prawo przypuszczać, że również kolejne wizyty polskich trup wędrownych przyciągnęły Niemców, zwłaszcza że odbywały się w „Domu zabaw” Louisa (Ludwika) Geyera przy Piotrkowskiej 280, ulicy tradycyjnie zamieszkałej przez niemieckich tkaczy.

Z całą pewnością Niemcy przybyli na występy krakowskiego teatru pod dyrekcją Juliusza Pfeiffera, gdyż prezydent Łodzi, Franciszek Traeger, kazał rozesłać bilety przez policjantów (Przypomnijmy, że Traeger był z pochodzenia Niemcem, ożenionym z polską szlachcianką). Po latach wspomniano, że na *Karpackich góralach* Korzeniowskiego Niemcy płakali, *choć nie rozumieli języka, lecz tak ich zachwyciła gra aktorów.* Zwróćmy uwagę, że *Karpaccy górale* to sztuka ze śpiewami i tańcami. Repertuar muzyczny miał i zawsze mieć będzie – jak się zdaje – siłę przyciągania widzów różnojęzycznych. W Łodzi potwierdziło się to wiele razy.

Historię teatru łódzkiego zapoczątkowali zatem polscy aktorzy. Grali oni krótko, najwyżej parę tygodni, i najczęściej bankrutowali. Wraz ze wzrostem miasta pojawiły się jednak pierwsze próby zatrzymania teatru polskiego na dłużej. Jako pierwszy wystąpił z taką inicjatywą, zapewne myśląc o własnych dochodach, spolonizowany cukiernik Fryderyk Sellin, który w roku 1866 przerobił na teatr stajnię wojskową przy Konstancyńskiej 16 (obecnie Legionów). Sellin zapowiadał, że dawać będzie *przedstawienia na przemian w języku niemieckim i polskim.* W praktyce przez następne 12 lat, a więc aż do otwarcia „Victorii”, teatr Sellina służył głównie polskim artystom.

Tak też było na samym początku istnienia tej sceny, kiedy gościł tu najpierw przez trzy miesiące (24.03-30.06.1866), a następnie przez sześć miesięcy (18.11.1866-19.05.1887) zespół Konstantego Subkowskiego. Tymczasem w kwietniu 1867 r. August Hentschel, właściciel hotelu i teatru „Paradyz” przy Piotrkowskiej 175a, zaangażował *wyborowy personel* z kilku niemieckich miast (Hamburg, Halle, Breslau, Bromberg), a także z teatru niemieckiego z Krakowa. Z tego też powodu – wyjaśniała „Lodzer Zeitung” – *nasz polski teatr (...) ma być wkrótce zamknięty.* I rzeczywiście, występy Sulikowskiego urwały się 19 maja 1867 r. W tym samym dniu nastąpiła inauguracja teatru niemieckiego, który przez historyków niemieckich określony został jako *pierwszy stały teatr* w Łodzi. Grał on nieprzerwanie 15 miesięcy i dał 145 przedstawień. Teatr polski jeszcze przez kilka dziesiątków lat nie zdobędzie się na taki rezultat.

Dotychczasowe losy teatru w Łodzi pozwalają na stwierdzenie, że już w latach 60. XIX wieku każda z liczących się narodowości łódzkich zdobyła się na własny teatr. „Paradyz” stał się miejscem występów niemieckich, teatr Sellina – polskich. Podobne rozgraniczenie utrzyma się później: „Victoria” będzie sceną polską, zaś „Thalia” niemiecką. Czy mogły się one utrzymać, grając równocześnie? Ustąpienie aktorów polskich w roku 1867 na wiadomość o stałych występach aktorów niemieckich dowodzi, że w końcu lat 60. nie można było jeszcze w Łodzi dzielić się publicznością teatralną. W latach 70. dochodzi do wyraźniejszej rywalizacji, czyli w te same dni tygodnia grają teatr polski i teatr niemiecki. W latach 80. XIX wieku stanie się to już regułą. Długo



Budynek dawnego teatru „Victoria” przy Piotrkowskiej 67; aut. nieznan, 1908

jednak przestrzegano zasady, by jednocześnie nic dawać premier teatralnych. Dopiero w roku 1910 dyrektor teatru niemieckiego postanowił występować z premierami w czwartki, a więc w dni zarezerwowane dla teatru polskiego. Dotychczas premierowe spektakle w teatrze „Thalia” odbywały się w niedziele (operetka) i poniedziałki (dramaty klasyczne). Po kilku miesiącach od wprowadzenia zmiany w tym układzie teatr niemiecki zrezygnował z czwartkowych premier, gdyż z braku publiczności groziło mu bankructwo.

Czy konkurencja wciąż dzieliła różnoplemiennych mieszkańców Łodzi? Czy też dostrzegano potrzebę ich scalania, choćby w imię ideałów duchowych? Typowej dla stosunków łódzkich odpowiedzi udzielił w jubileuszowej księdze „Lodzer Zeitung” (1863-1888) Carl Wilkens, który napisał: *ważny obserwator tej ważnej części życia społecznego nie będzie mógł się oprzeć wrażeniu, że jeszcze dużo tu zostaje do zrobienia, żeby z masy obok siebie żyjących obywateli stworzyć społeczeństwo dążące do wyższego rozwoju. Brakuje nam przede wszystkim miejsca, neutralnego terenu, na którym – zachowując dobry ton i wykwinny styl życia – rozmaite elementy naszej ludności mogłyby się spotkać w sposób nieskrępowany i będąc z sobą w stałym kontakcie, nauczyć się wzajemnego współżycia.* Redaktor „Lodzer Zeitung” wyobrażał sobie, że takim neutralnym miejscem – za wzorem innych miast, w których kwitło życie towarzyskie – mogłaby być resursa obywatelska (podobną ideę propagował w tym

czasie „Dziennik Łódzki”). Wilkens – jak Kościelecki – ważny obowiązek zjednoczenia łodzian przypisywał również sztuce.

Czy teatr spełniał taką rolę? Z natury rzeczy tak, ponieważ należy do tej rzadkiej odmiany sztuki, która nie może istnieć bez widzów, bez zbiorowego uczestnictwa w kreowanym na scenie świecie przedstawionym, a tym samym bez zaakceptowania bądź odrzucenia wyznawanego przez bohaterów dramatu systemu pojęć i wartości.

Czy w takim akcie wspólnego przeżycia sztuki teatralnej łączyli się Polacy, Niemcy i także Żydzi łódzcy? Posiadamy wiele dowodów, że tak było istotnie. Jednym z najbardziej udokumentowanych przykładów jest inauguracja stałej sceny polskiej w dniu 6 października 1888 r. Na widowni teatru „Victoria” słychać było wtedy wszystkie łódzkie języki, zaś na scenie wystawiono sztukę Kazimierza Zalewskiego *Małżeństwo Apfel*, w której Ernest Apfel – syn przechrzty, ożeniony ze zbiegłą szlachcianką, okazuje więcej szlachetności niż pozostałe postaci. Żyd jest tu lepszy od Polaka! Majątek zdobyty pracą wart większego szacunku niż szlacheckie parantele!

Wybierając *Małżeństwo Apfel*, dyrektor Łucjan Kościelecki chciał niewątpliwie przyciągnąć do teatru polskiego burżuazyjną oraz żydowską publiczność. A znalazł się w nadzwyczaj korzystnym położeniu. Zyskał poparcie finansowe „komitetu teatralnego”, do którego weszli wielcy fabrykanci i kupcy: Edward Herbst, Maurycy Poznański, Mieczysław Hertz, Leon Gole, Stanisław Silberstein, Antoni Stamirowski. Po wtóre, skutkiem zbiegu okoliczności teatr polski przez dwa sezony grał praktycznie sam, nie będąc narażony na konkurencję. Teatr niemiecki zakończył bowiem sezon w kwietniu 1888 r. i był nieczynny do września 1890 r., kiedy dyrekcję „Thalii” objął dotychczasowy kierownik Teatru Cesarskiego w Salzburgu Albert Rosenthal. Doprowadził on scenę niemiecką w Łodzi do rozkwitu, zarządzając nią przez 19 lat (aż do swojej śmierci), co jest absolutnym rekordem w naszym mieście aż do dzisiaj.

Kościelecki, którego dyrekcja trwała tylko dwa sezony, nie musiał się również dzielić publicznością, i tym samym dochodami, z zespołami żydowskimi, przyjeżdżającymi tu od końca lat 60., gdyż w grudniu 1888 r. władze przypomniały o stanowczym zakazie dawania przedstawień w żargonie żydowskim na terenie całego Cesarstwa Rosyjskiego.

Od jakiego czasu łódzcy Żydzi stanowili liczącą się część widowni teatru polskiego (a także niemieckiego) i kiedy zdobyli się na własny teatr grający w jidysz? Nastąpiło to niewątpliwie w latach 70. Ludwik Solski, który po raz pierwszy odwiedził Łódź wraz z zespołem Anastazego Trapszy na przełomie lat 1876/1877, zapamiętał, że na przedstawienia uczęszczała głównie plutokracja żydowska. Podobne spostrzeżenie z roku 1887 zawdzięczamy również Kościeleckiemu: *Teatr polski w Łodzi, jeżeli jeszcze wegetuje jako tako od sezonu do sezonu, zawdzięcza to wyłącznie inteligencji żydowskiej.* Żydzi byli także stałymi widzami niemieckich imprez artystycznych, o czym przekonuje uwaga dziennikarza „Neue Lodzer Zeitung” z roku 1910: *W teatrze, na koncertach spotykamy jako gros audytorium towarzystwo żydowskie. A jest ono ze swoimi wysokimi walorami kulturalnymi i intelektualnymi czynnikiem, z którym naprawdę należy się liczyć.*

W tym czasie (od 1905 r.) społeczność żydowska miała już stały zespół aktorski pod dyrekcją Icchaka Zandberga, który wynajął największy gmach teatralny w Łodzi: liczący 1250 miejsc Teatr Wielki („Victoria” mieściła 600 widzów, „Thalia” – 800). W roku 1912 zbudowano jeszcze oddzielny teatr („Scala” przy Cegielnianej 18, obecnie Teatr Nowy) dla żydowskiej rewii i operetki. Trzeba jednak przypomnieć, że inteligencja żydowska uważała na ogół teatr jidysz za szmirę (szund) i chętniej oglądała przedstawienia polskie, a w Łodzi także niemieckie. Sytuacja ta odmieniła się zasadniczo po I wojnie światowej.

W dwudziestoleciu międzywojennym Łódź była żywym ośrodkiem żydowskiego teatru artystycznego. Odwiedzały ją wiele razy słynna Trupa Wileńska, zespół Idy Kamińskiej i Zygmunta Turkowa, Teatr Młodych (Jung Teater) pod kierunkiem Michała Weicherta, hebrajskie teatry Habima i Ohel. Łódź miała także na miejscu wielkiego artystę żydowskiego Mojżesza Brodersona, poetę i współtwórcę awangardowych scen kabaretu literackiego „Ararat” oraz teatru lalkowego Chad Gadge. Warto pamiętać, że z Brodersem zaprzyjaźniony był największy łódzki malarz – Władysław Strzemiński. Odnotowania wymaga także współpraca największego polskiego reżysera Leona Schillera z Folks un Jungt-Teater. W roku 1938 w sali łódzkiej Filharmonii odbyła się wyreżyserowana przez niego *Burza Szekspira* (w przekładzie na jidysz Arona Cejtlina). Niewątpliwie łódzka bohema była wtedy dwunarodowościowa: polsko-żydowska.

Na obrzeżu kultury łódzkiej znalazła się po roku 1918 i przed kolejną wojną sztuka niemiecka, choć początkowo czynny był jeszcze dziennikarz i dramaturg Heinrich Zimmermann, życzliwie przyjmowany przez prasę polską. Kiedy jednak Männergesang-Verein (Męskie Towarzystwo Śpiewacze), istniejące od roku 1846, wzniosło w roku 1933 nowy budynek przy ulicy 11 Listopada (obecnie Teatr Powszechny), do którego przeniosły się też zawodowe i amatorskie teatry niemieckie, o koegzystencji kulturalnej nie było już mowy. Moja mama, mieszkająca wówczas w sąsiedztwie „Saal des Männergesang-Verein”, opowiadała mi nieraz, że gdy rozlegały się pieśni niemieckie, wraz z kolegami ze swego polsko-żydowskiego podwórka rzucała kamieniami w okna tego gmachu. Wcześniej, czyli przed narodzinami faszyzmu, nie byłoby to chyba możliwe w polsko-niemiecko-żydowskiej Łodzi.

Anna Kuligowska-Korzeniewska

Pierwodruk: „Tygiel Kultury” 3/1996

Krzysztof Boczek

Zza kurtyny

To była zimna październikowa noc, dość nieprzyjemna jak na tę porę roku. Niebo nad Łodzią spowiły chmury, a chłodne powietrze zmuszało do ciągłego przyspieszania kroku. W pewnej chwili, sam nie wiem dlaczego, oderwałem wzrok od nierównych płyt chodnikowych i dostrzegłem coś, co mi nie pasowało.

Jakiś element zakłócający harmonię szarej rzeczywistości. Tak to już jest, że najlepsze rzeczy spotykają nas przypadkiem. Niektórzy mówią, że to duchy przeszłości domagają się, żeby usłyszeć ich wołanie. Im bardziej zapomniana jest historia, tym cichszy wydaje się głos z przeszłości. Na szczęście udało mi się wychwycić szept Fifi Zastrow.

Usłyszałem ją na rogu Jaracza i Kilińskiego, tuż przy starej, zaniedbanej kamienicy. W jej pobliżu znajduje się Teatr im. Stefana Jaracza, w którym niegdyś grała. Wtedy nosił nazwę Theater zu Litzmannstadt.

Na kolejnym naszym spotkaniu Fifi zdradziła, że wówczas był to propagandowy teatr III Rzeszy. Nie czułem jednak wobec niej żadnej złości czy żalu, że swoje losy związała ze sceną hitlerowskiego reżimu. Starałem się troskliwie i z wielką ostrożnością poskładać okruchy jej przeszłości. Przeczuałem, że nie miała za sobą łatwego życia. W jej oczach było widać nieskrywaną dumę – grała tam główne role, o czym chętnie opowiada, pokazując stare zdjęcia, które trzyma w pudełeczku pod łóżkiem. Jest tam też wycinek z gazety „Litzmannstädter Zeitung” z wywiadem. Tekst pochodzi z 1941 roku. Fifi Zastrow skrzętnie przechowuje te drobiazgi, dowody na istnienie. Widać też, że często do nich zagląda – papier jest bowiem delikatnie pogięty od wielokrotnego trzymania w dłoniach. Pudełeczko Fifi Zastrow pokazuje, że z sentymentem wracała jedynie do wspomnień związanych z Litzmannstadt – brakuje tam innych drobiazgów z jej przeszłości. Jakby jej życie skończyło się wraz z ostatnią sztuką na deskach teatru w Łodzi. Starsza już i schorowana Friderike często wracała pamięcią do dawnego życia, gdy – będąc jeszcze mężatką – posługiwała się nazwiskiem Falkenberg. Do chwil, gdy wchodząc na scenę, stawała się władczynią serc i czarującą damą, a nie mieszkającą przy Erhard-Patzer-Straße (obecnie Brzeźna) Żydówką, która prawdopodobnie ukrywała swoją tożsamość.

Fifi Zastrow nie chce o tym mówić i zręcznie zmienia temat, pokazując swoje kontrakty teatralne. Pierwszy angaż pochodzi z 1942 roku. Jej historia jest pełna milczenia i niepewności. Składamy ją wspólnie, lecz słowa „prawdopodobnie”, „chyba”, „myślę” pojawiają się zbyt często. Brakuje faktów i twardych dowodów. Czy Fifi Zastrow, czy też Friderike Falkenberg była Żydówką? W pokazanym przez nią kontrakcie w rubryce

„przynależność państwowa” widnieje słowo „niemiecka”. Fifi wspomina w rozmowie, że jej ojciec był niemieckim inżynierem. O matce mówi niewiele. Żydowskie pochodzenie Fifi Zastrow sugeruje jedynie mezuzah i gwiazda Dawida, które można było zobaczyć w jej mieszkaniu. Czyżby zatem zapomniana aktorka Theater zu Litzmannstadt grała także w życiu, udając kogoś, kim nie była? Jeśli Friderike była Żydówką, to ze wszystkich sił starała się wymazać swoje żydowskie pochodzenie.

Mówi, że od dziecka chciała zostać gwiazdą sceny. Jako mała dziewczynka oglądała klasyczne sztuki – aż do rewolucji bolszewickiej, kiedy marzenia zostały zastąpione przez biedę i cierpienie. Ojciec Fifi zmarł z głodu, a mała dziewczynka trafiła do sierocińca. Mimo tych wszystkich trudności i życiowych zakrętów udało jej się zostać aktorką. Do Litzmannstadt trafiła razem ze swoją grupą teatralną i grała tutaj aż do roku 1944. Nie chce mówić o tym, co było potem, jakby to, co robiła po wojnie, było nieważne. Jej dłonie – pomarszczone i spracowane – w ogóle nie świadczą o tym, że należą do kogoś, kto spędził swoje życie na scenie. To dłonie zniszczone przez wieloletnią fizyczną pracę.

Fifi wspomina, że panicznie boi się lekarzy. Chodzi do nich jak najrzadziej, a pobyt w szpitalu w Rochester w stanie New York, gdzie leżała ze złamaną nogą, wspomina jako coś traumatycznego. Skąd wziął się ten lęk? Myślę, że z przeszłości. Może Fifi po pobycie w Litzmannstadt trafiła do obozu? Tam eksperymenty medyczne były codziennością. Czy taki los spotkał piękną aktorkę?

Musiła być piękna. Widać to wyraźnie na zdjęciach, które ze sobą przynosiła na nasze spotkania. Teraz jednak jest tylko cieniem dawnej siebie. Może dlatego tak lubi wracać do łódzkiej przeszłości? Może tylko wtedy była tak naprawdę szczęśliwa? Gdy występowała na scenie jako wytworna dama?

Zapytałem, w jaki sposób mam się do niej zwracać? Zauważyłem, że pod zdjęciem zamieszczonym w gazecie skreśliła nazwisko



Budynek dawnego teatru „Victoria” przy Piotrkowskiej 67; aut. nieznanymi, 1908

Zastrow i poprawiła je na Falkenberg. Na palcu nie widać jednak obrączki. Czyżby Fifi żałowała decyzji o rozwodzie? W końcu to ona była powódką, a jej mąż Ernst wziął na siebie całą winę. Czy zdradzał Friderike, jak to określono w pozwie rozwodowym? Może dowiedział się lub (tak jak my) podejrzewał, że jego małżonka ma żydowskie korzenie? Fifi na ten temat milczy.

Fifi Zastrow zmarła w Stanach Zjednoczonych w 1983 roku na długo przed moim urodzeniem, a jednak czuję jakbyśmy się rzeczywiście spotkali w tę zimną październikową noc. Wszystko zapoczątkował napis „Acta est fabula” na ścianie kamienicy. To element instalacji Anny Leśniak. To właśnie dzięki niej zza kurtyny wychynęła na moment twarz Fifi Zastrow. Wszystko, co o niej wiemy, pochodzi z garści dokumentów, które trzymała w skrzyneczce pod łóżkiem. Kolejnym źródłem informacji jest relacja właściciela domu, w którym Fifi mieszkała w USA. Do Stanów wyemigrowała niedługo po wojnie w ślad za rodziną pewnego amerykańskiego żołnierza, u której pracowała jako opiekunka. Do końca swoich dni panicznie bała się ludzi i stroniła od wszelkiego towarzystwa. Nie miała przyjaciół, znajomych ani rodziny. Zapewne dlatego tak często wracała pamięcią do Theater zu Litzmannstadt. Do jedyne go okresu w swoim życiu, gdy była naprawdę szczęśliwa.

Jak często Fifi myślała o łódzkim getcie? O pełnym bólu, głodu i cierpienia miejscu, którego granice rozpościerały się zaledwie trzy ulice od teatru. Czy Fifi ukrywała swoje żydowskie pochodzenie, a występując w teatrze propagandowym III Rzeszy sądziła, że nikt jej tam nie skrzywdzi, ponieważ najciemniej jest pod latarnią? Wiem tylko, że gdy wracała z teatru i mijala budynek, który teraz przypomina łodzianom o jej losach, zapewne nie wiedziała, co ją czeka w życiu. Prawdopodobnie mijala go pośpiesznie, kierując się do domu przy Brzeźnej. Może, podobnie jak ja, patrzyła uważnie w dół, aby nie potknąć się na nierównej nawierzchni. Może i jej było zimno, tak jak i mnie, w październikową noc? Chciałbym wierzyć, że gdzieś w tych ciemnościach rozświetlonych mdłym światłem latarni miejskich Fifi usłyszała mój głos, zachęcający ją do rozmowy.

Acta est fabula – sztuka jest skończona. Czy aby na pewno?

Krzysztof Boczek

Anna Leśniak

Fifi Zastrow. Acta est fabula

w ramach projektu Invisible inVisible/Niewidzialne Widzialnego

Instalacja przy ul. Jaracza 34 (róg ul. Kilińskiego i ul. Jaracza) inspirowana jest niezwykłą historią Fifi Zastrow vel Friederike Falkenberg – artystki żydowskiego pochodzenia, która przyjechała do Łodzi w 1940 roku i grała w niemieckim teatrze propagandowym Theater zu Litzmannstadt.

W instalacji została użyta rzymska sentencja: „Acta est fabula”. Te słowa wypowiedziano na końcu sztuki wystawianej w rzymskim teatrze. Są to również słowa, które miał wypowiedzieć Oktawian August na łożu śmierci – „Acta est fabula – Sztuka jest skończona (Sztuka odegrana)”, porównując przez to ludzkie życie do spektaklu. Starożytny Rzym – jego potęga militarna, architektura, gesty cesarzy, to także niedościgniony wzór dla dyktatorów, którzy rządili Europą w czasach Fifi Zastrow.

Budynek, na którym zamontowana została instalacja, mieści się kilkanaście metrów od dawnego Theater zu Litzmannstadt. Mieściły się w nim różne instytucje, w czasie wojny był tam hotel o nazwie Klukas. Fifi być może wielokrotnie obok niego przechodziła, idąc do pracy w teatrze, który miał siedzibę w obecnym budynku Teatru im. Jaracza. A kto wie, może mieszkała w Hotelu Klukas, będąc swego rodzaju nomadką podróżującą po Europie z trupą teatralną. Dla tego budynku sztuka również się skończyła, kurtyna opada. Czy jego historia będzie miała kolejną odsłonę?

Instalację otwierał performance, podczas którego zawiesiłam na drzwiach budynku plakat. Widnieje na nim zdjęcie pierwszej mojej instalacji dotyczącej Fifi, zrealizowanej w 2014 roku podczas wystawy *Getto XXI*. Na plakacie zostało powtórzone hasło widniejące na murze, wraz z dalszym ciągiem sentencji – Acta est fabula. Plaudite cives / Sztuka jest skończona. Klaszcie obywatele. „Sztuka jest skończona”, gdy następują autorytarne rządy, bo niezależnie od politycznej frakcji rządzących, oznaczają koniec twórczej wolności. I wtedy słowo „Plaudite!” – „Klaszcie!”, wypowiedziane w trybie rozkazującym, staje się rzeczywiście rozkazem – wyznacza granice twórczości, stosując miarę jej użyteczności dla politycznej propagandy.

Instalacja inspirowana historią Fifi Zastrow należy do cyklu prac inspirowanych biografiami kobiet o niejasnych i kontrowersyjnych biografiami, które stają się na nowo interesujące z perspektywy współczesności. Są to instalacje związane z architekturą, konkretnie z opuszczonymi domami lub innymi obiektami, które przestały pełnić dawną funkcję, a jeszcze nie znaleziono dla nich nowego przeznaczenia. Takie miejsca mają w sobie coś tajemniczego, też niebezpiecznego, choć dla wielu przechodniów stają się

przezroczyście lub po prostu drażnią ich swoją nieprzystawalnością do reszty okolicy, rażą poczucie estetyki. Podobnie jest z historiami przywoływanych przeze mnie kobiet. Przypominam te historie używając języka sztuki, który jest wieloznaczny, a przez to otwarty na interpretacje i dyskusje.

W Łodzi powstały jeszcze dwie realizacje z tego cyklu. *Michalina zuch dziewczyna*, przy ul. Zachodniej 27A odnosi się do Michaliny Tatarkówny-Majkowskiej – włóknarki, która w latach 50. i 60. rządziła Łodzią. Na budynku zostały umieszczone ażurowe, koronkowe czerwone flagi. W oknach zamontowane zostały ażurowe struktury nawiązujące do rękodzieła oraz pajęczej sieci. Motyw pajęczyny nawiązuje do Arachne – „matronki” prządek. Komunistyczne idee, w które Tatarkówna-Majkowska zapewne szczerze wierzyła zagmatwały się w niekompetencji i prywatnych interesach aparatczyków trzymających władzę w totalitarnym państwie. W tę płataninę wpleciony został życiorys Tatarkówny-Majkowskiej, a dziś trudno rozwikłać i rozstrzygnąć tzw. kontrowersje wokół jej osoby.

Instalacja przy ul. Drukarskiej 2 w Łodzi pt. *Eugenia żeni się* inspirowana jest niezwykłą historią Eugenii Steinbart, przedwojennej mieszkanki dzielnicy Bałuty, która niemal całe życie udawała mężczyznę i nawet wzięła ślub z drugą kobietą. Czy udawanie mężczyzny było podyktowane względami praktycznymi, czy może było też grą, wyrażało niechęć do podporządkowania się utartym schematom? A może Eugenia była ofiarą przemocy psychicznej? Na opuszczonym budynku umieściłam białe kwiaty, położone litery, napisy wytarte w tynku oraz welon. Tytuł instalacji jest grą z językiem polskim. Forma „żeni się”, choć niepoprawna w odniesieniu do kobiety, która bierze ślub, jest często używana w mowie potocznej. Nawiązuje też do zdrobniałej formy imienia Eugenia – Żenia. Historia Eugenii ukazuje skomplikowaną osobowość na pozór prostej dziewczyny z Bałut.

Więcej o projekcie na www.invisiblewomen.info



for. Anna Leśniak



Rozmowa z Janem Klatą

Borowiecki to ja

„Tygiel Kultury”: Na stronie internetowej Festiwalu Dialogu Czterech Kultur można znaleźć informacje, czym *Ziemia obiecana* Jana Klaty nie jest, oraz zapewnienie, że tekst Reymonta jest doskonałym materiałem na spektakl teatralny, pod warunkiem, że traktuje się teatr jako przestrzeń do istotnych debat publicznych. Zatem debatą na jaki temat jest *Ziemia obiecana*?

Jan Kłata: Debatą na temat gry, którą wszyscy prowadzimy. Gry, którą z jednej strony możemy nazwać naszym bytowaniem w kapitalizmie, z drugiej zaś próbą ocalenia tego, co w nas – w ramach prowadzenia tej gry – najcenniejsze. W przypadku *Ziemi obiecanej* mamy bowiem do czynienia z powieścią opisującą narodziny kapitalizmu, a my zajmujemy się jej adaptacją w momencie, kiedy jest on w naszym kraju bardzo silnie rozbuchany, powiedziałbym wręcz – turborozbuchany. I w momencie, kiedy wokół tego kapitalizmu, tak w Polsce, jak i na świecie, zaczyna się rodzić coraz więcej pytań. Myślę, że właśnie dlatego tekst Reymonta może stać się polem debaty i ciekawym pomysłem jest próba zadania sobie pewnych pytań właśnie teraz i za jego pomocą. A te pytania to np.: Czy kapitalizm i wolny rynek jest tym sprawiedliwym sposobem dystrybucji dóbr i zarządzania rzeczywistością? Czy faktycznie jest to system, który promuje najzdolniejszych, najmądrzejszych i najbardziej rzutkich ku chwale ogółu? Czy rzeczywiście to jest system, w którym oszustwo i towarzyszące mu mechanizmy są możliwie szybko eliminowane? I wreszcie: Czy kapitalizm to system, w którym możemy wieść uczciwe życie? I to ostatnie pytanie jest chyba najtrudniejsze, a wręcz oskarżycielskie wobec kapitalizmu. I Władysław Reymont na tak postawione pytanie odpowiadał: „Nie”. My dzisiaj pewnie odpowiadamy podobnie, ale już z gorzką świadomością faktu, że jesteśmy na takie życie skazani.

Wydaje mi się, że w związku z tą gorzką – jak pan mówi – świadomością jest nam dziś trudniej niż Reymontowi sobie na nie odpowiadać. Czy na scenie będą stawiane więc pytania, czy – podobnie, jak zdaje się to czynić Reymont – jednoznaczne odpowiedzi?

My nie udzielamy odpowiedzi ze sceny, my opowiadamy historię. Historię człowieka, który jest graczem. Człowieka, który wielokrotnie decydował się zagrać o najwyższą stawkę, i któremu wydawało się, że wygrywa, a w efekcie rynek po prostu go zabił. Choć tak naprawdę pewnie nie zabił go rynek, tylko jego własne słabości. Kłamstwa i złe uczynki, które popełnił – tak moglibyśmy to przedstawić w kategoriach moralitety. Tu oczywiście pojawia się pytanie, czy my wszyscy nie jesteśmy Borowieckimi? Ja na to pytanie mogę sobie odpowiedzieć – parafrazując pewnego pisarza – Borowiecki to ja. I mam wrażenie, że w ten sposób mogłaby odpowiedzieć większość widzów. Dlatego to nie jest kwestia stawiania pytań i udzielania odpowiedzi. I nie chodzi o to, że tak zwykle się odpowiada, mówiąc, że dobra sztuka stawia pytania, a zła – ta plakato-wa, publicystyczna – udziela odpowiedzi. Mam wrażenie, że Reymont wyraźnie udzielał odpowiedzi i przed czymś nas przestrzegał. I choć czasem to może trącić myszką, jak np. w kwestiach narodowościowych, to jeśli chodzi o sam mechanizm, to ten nie tylko się nie zmienił, ale mam wrażenie, że jeszcze się wzmocnił. Cóż z tego, że dziś kapitalizm nie jest oparty na maszynach, które tutaj, w tej fabryce, miały ludzi jeszcze przed kilkudziesięciu czy kilkuset laty. Teraz jest on oparty na ekranach przenośnych komputerów i systemów, za pośrednictwem których łączymy się z globalną siecią. Ale choć to wszystko, co nas dziś otacza, jest jakimś zdumiewającym, zzerającym „matrixem”, to efekt w ludzkich duszach jest ten sam co sto lat temu.

Skoro przywołał pan przestrzeń działania mechanizmu i wskazał na fabrykę, w której się znajdujemy, to jaką rolę w spektaklu odegra to miejsce i Łódź?

Łódź istnieje przede wszystkim jako pierwotny układ odniesienia. Ani jedno słowo, ani jedno wyrażenie w spektaklu nie wskazuje na to, że to, co się dzieje z tymi ludźmi, ma związek z Łodzią i dzieje się w tym mieście. W czasach Reymonta poruszany przez nas temat był przypadłością typowo łódzką, bo Łódź stanowiła wtedy kocioł, w którym w najbardziej intensywnej formie to wszystko się działo. Dziś natomiast moglibyśmy powiedzieć, że Polska jest taką Łodzią, czy może raczej była po roku 1989, jak Łódź końca XIX wieku. Nagła, rewolucyjna zmiana z jednego systemu myślenia – bo nie chodzi tu jedynie o system ekonomiczny, ale system myślenia przede wszystkim – na drugi. To był czas, kiedy ten drugi, nowy system przyjmowaliśmy z pełnym dobrodziejstwem inwentarza czy wręcz ubóstwieniem. Teraz, po 25 latach od tego przewrotu, tej naszej „ogólnołódzkiej” rewolucji, kapitalizm zaczyna pokazywać swoje słabe strony. Okazuje się, że nie jest on nieomylny i nieskazitelny, że nie jest funkcjonującą wspaniale fabryką idei, fabryką wirtualnych pieniędzy. W obliczu tego warto, więc sięgnąć po powieść, która opisywała, jak to wszystko powstawało. Warto przyjechać do miejsca, które było kolebką kapitalizmu, i opowiedzieć coś, co wyrasta ponad doraźne realia. Dlatego na pytanie, czy w tym spektaklu jest Łódź, odpowiem, że nie, i że dzisiejsze realia łódzkie są zupełnie nieważne. Natomiast ogromnie ważne jest to, że gramy ten spektakl w Łodzi, na festiwalu, który tak silnie związany jest z historią tego miasta. I paradoksalnie, brak obecności Łodzi, wzmocnia znaczenie tego miasta.

Pytam o rolę Łodzi, gdyż tematem tegorocznej edycji Festiwalu Dialogu Czterech Kultur jest terytorium, a w zapowiedziach organizatorzy wielokrotnie podkreślają, że chcą poddać rewizji mity Łodzi, w tym ten najistotniejszy – Ziemię obiecaną Reymonta, i zadać pytanie o ich znaczenie dzisiaj oraz o miejsce, jakie zajmują w zbiorowej pamięci Łożdzian.

Nie mam zielonego pojęcia, jak mit *Ziemi obiecanej* istnieje w pamięci Łożdzian. Nie jestem Łożdzianinem i nawet nigdy tu nie mieszkałem. Jestem warszawiakiem pracującym głównie we Wrocławiu i Krakowie, aktorzy są z Wrocławia, a spektakl jest koprodukcją z Niemcami, których zainteresował taki właśnie opis dynamicznego kapitalizmu i tego, co się tu zdarza po latach. Nie przyjeżdżamy tu, by opowiedzieć Łożdzianom o ich mieście, bo to byłoby z gruntu fałszywe. Ja mogę jedynie zająć się tekstem, który leży u podstaw założycielskiego mitu Łodzi i skonfrontować go – jak słusznie zauważają organizatorzy – z dzisiejszą rzeczywistością, która w takim kontekście wydaje mi się interesująca. Nawet jeśli w ten sposób staje się to głosem oskarżycielskim. Bo przecież przywołując epokę Łodzi rozpędzonej i buzującej energią ludzką, siłą rzeczy – choć nie wprost – mówimy o Łodzi, która dziś jest miastem spustoszone, mającym w sobie ogromne pokłady beznadziei, nieobecnej w innych dużych miastach Polski. W związku z tym różne tropy interpretacyjne i różne warstwy interpretacji rodzą się z samego faktu, że przyjeżdżamy niejako z zewnątrz i o tym opowiadamy. Ale jednocześnie uważam, że nie ma absolutnie żadnej potrzeby i odbierałoby to spektaklowi z jednej strony jego uniwersalizm, z drugiej tę właśnie możliwość „włożenia kija w mrowisko”, gdybyśmy wprost mówili, że to, co pokazujemy, działo się tutaj.

Nie da się jednak ukryć, że na prezentację spektaklu wybrał pan miejsce szczególne.

To, że jest to hala dawnej tkalni należącej do Karola Scheiblera, nie ma akurat takiego znaczenia. Ale ogromne znaczenie miało dla mnie to, że jest to przestrzeń postprzemysłowa, która została zamieniona na coś innego. Tak jak zamienia się stare fabryki na lofy, tak my zamieniamy te fabryczne wnętrza w restaurację.

Zatem nie zdecydowałby się pan na przygotowanie tego spektaklu chociażby w halach klubu Wytwórnia, gdzie ze względu na wymagania techniczne scenografii prezentowano podczas festiwalu *Factory 2* Krystiana Lupy?

Organizator to proponował i nawet oglądaliśmy te hale, ale zupełnie nas to nie interesowało. Interesowało nas to, co zostało z wczesnej fazy kapitalizmu. A wczesna faza kapitalizmu była nastawiona na produkcję czegoś konkretnego. Ciężkie maszyny, fabryki, pałace – jak postawili, to widzieli, że mają. Teraz moźni tego świata mają ogromne imperia, ale nie łączy się to z budowaniem gigantycznych fabryk. Właściciele Google kierują potężną siecią ludzi, ale jest to zupełnie niematerialne. Bo co to jest Google? Kiedy będą je sprzedawać, to co oni sprzedadzą? Fabrykę? Nie, oni sprzedadzą markę,

sprzedadzą algorytmy, programy, zasady i reguły działania swoich systemów wyszukiwania. Coś bardzo, bardzo niematerialnego. Nasza *Ziemia obiecana* jest więc też opowieścią o tym, jak zmienia się system i na czym się on opiera. Z czegoś, co było bardzo namacalne – mury, ludzki pot i krew, zostały mury, ale krew i pot przeniosły się do krajów trzeciego świata, a tu interesy robi się przed ekranem komputera, przy pomocy platformy, gdzie ważne są dwa klawisze: kup-sprzedaj. Chcieliśmy zobaczyć, jaka jest ta droga, którą przechodzi system, bo moim zdaniem jest to droga niebezpieczna. Wiele mówi się o zagrożeniu materializmem, ale prawdziwą tragedią jest zagrożenie materializmem niematerialnym. Nie ma wtedy punktu odniesienia, nie ma granic, bo nie są one fizyczne i namacalne, a to grozi zatraceniem się. W ten sposób paradoksalnie również odnosimy się do Łodzi. Choć jeśli chodzi o opowieść, nie ma dla nas znaczenia, że ten tekst opowiada o tym mieście. Tak samo jak nie miało dla nas znaczenia, że w powieści mieliśmy do czynienia z różnymi narodowościami. Kiedy wchodzę do banku polskiego, oczywiście z kapitałem zagranicznym, żeby zaciągnąć kredyt czy wyrobić sobie kartę, to spotykam tam wielu Moryców, podobnie w centrach handlowych czy restauracjach. Codziennie spotykamy Moryców, którzy są naszymi „pszenno-buraczanymi Morycami”. Dlatego nie chcę i nie mogę przypisywać tych cech, które Reymont przypisał Morycowi, Żydom. Tak samo jak cechy Trawińskiego nie mają nic wspólnego z Polską. Nie mają nic wspólnego z narodowością, ale mają wszystko wspólne z cechami człowieka, który poddany jest ciśnieniu wolnego rynku, na który wchodzi się z myślą, że wszystko można wygrać.

Chciałabym jeszcze zapytać o sam materiał. Ostatnio przygotował Pan *Trylogię* w krakowskim Teatrze Starym, stąd moje pytanie o sposób i metody pracy adaptacyjnej nad powieścią. Czego mogą się spodziewać czytelnicy *Ziemi obiecanej* Reymonta?

Jak zawsze mogą się spodziewać niespodziewanego. Z powieści została opowieść o rynku, ale nie ma etnograficznego obrazka Łodzi. Wzmocnione zostały postaci kobiece. Ale to jest częściowo adaptacja, a częściowo wynik pracy aktorskiej z artystami. A tak w ogóle ten spektakl będzie miał więcej wspólnego z filmem *Wall Street* niż z filmem *Ziemia obiecana*.

Rozmawiała Anna Maria Dolińska

Pierwodruk: „Tygiel Kultury” 1-3/2010



Andrzej Wajda

Malujcie tak, żeby Polska zmartwychwstała

*Wystąpienie z dnia 24 maja 2002 roku
na uroczystości nadania tytułu doktora
honoris causa Uniwersytetu Łódzkiego*

Kiedy jesienią 1946 roku pojawiłem się jako student w Krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych, żywe tam jeszcze było wspomnienie dawnych mistrzów. Między innymi opowiadano, że Jacek Malczewski, uczeń Matejki, już jako rektor tej uczelni miał zwyczaj wsuwać głowę w drzwi swojej pracowni i wołać do studentów: „Malujcie tak, żeby Polska zmartwychwstała!”.

Kilka lat później, w 1914 roku, studenci krakowskiej ASP, wśród których był Edward Rydz-Śmigły, ruszyli na wielką wojnę w szeregach Legionów Piłsudskiego. Może moi starsi koledzy stracili wiarę, że malując uda im się wskrzesić Polskę? Postąpili jednak dokładnie tak jak mistrz i nauczyciel polskiego romantyzmu Adam Mickiewicz, który porzucił strofy romantycznej poezji, by ruszyć ze swoim legionem na wojnę Włochów z Austrią, a w 1855 roku organizować w Konstantynopolu polskie oddziały do walki z drugim z naszych zaborców – Rosją.

Po 1945 roku krakowską ASP opanowali kolorysty wychowani na paryskim postimpresjonizmie – prawdziwej sztuce wyzwolonej z patriotycznych obowiązków, beztrojskiej, zaprzątnej jedynie sprawami warsztatu malarskiego. Cóż spowodowało, że my, studenci odrzuciliśmy ją jako obcą i okazaliśmy się, choć to może paradoks, uczniami Matejki? A przecież nic nie było nam dalsze niż jego historyczne malarstwo.

Ach, dworu, dworu nie mamy w Warszawie – skarży się Salon Warszawski w mickiewiczowskich *Dziadach*. Gdyż to Dwór sądzi o polorze. Bez niego nie ma prawdziwej sztuki.

Nie czuję się na siłach wykazać, na ile żart naszego wielkiego poety jest dla polskiej sztuki głęboko uzasadnioną prawdą, ale wiem, że na pewno istnieją dwa źródła satysfakcji artysty – pochwała władcy i zachwyt ludu. O ile władca może być wykształconym i bezinteresownym mecenasem sztuki, lud musi mieć konkretny powód dla jej akceptacji. Dlatego artysta powinien być obrońcą i reprezentantem sprawy, głosem większości, głosem zrozumiałym dla wielu. Tu polor, dobry smak znaczą mało, a konieczne

i nieodzowne są wyraziste środki i łatwo czytelne symbole. Nic dziwnego, że po takich rozmyślaniach nad polską sztuką znalazłem się w Wyższej Szkole Filmowej w Łodzi.

Czesław Miłosz w *Świadectwie poezji* zauważa:

Wszystkie te utwory jednak, czy pisane przez »zawodowych« poetów, czy przez tych, którzy brali do ręki pióro po raz pierwszy, podlegają temu prawu, które odkrył Michał Borwicz w swojej książce o literaturze więzień i obozów koncentracyjnych: należą stylistycznie do okresu przedwojennego, a równocześnie starają się wyrazić to »nowe«, które nie mieści się w żadnych pojęciach i środkach wyrazu dotychczas dostępnych. Poezja ta jest często wielomówna i jaskrawa w swoich wezwaniach do walki, a równocześnie, na jakimś głębokim poziomie zachowuje się jak człowiek niemy, który na próżno usiłuje wydobyć z siebie artykułowane dźwięki, coś pokazuje na migi, ale niewiele udaje mu się zakomunikować. Dopiero później, już po wojnie, poezja polska zaczyna oddalać się od sposobów stylistycznych wspólnych przedwojennej poezji wielu krajów, a robi to niewątpliwie pod naciskiem silnie odczuwanej potrzeby, chcąc znaleźć wyraz dla wyjątkowo ciężkiego, zbiorowego doświadczenia.

Polskie kino po 1945 roku, w przeciwieństwie do literatury, nie było obciążone formą wypracowaną wcześniej. Nasze przedwojenne kino to tylko imitacja niemieckich filmów rozrywkowych i nic więcej. Toteż nowy w polskim kinie temat wojny szczęśliwie spotkał się z niezwykle pojemną filmową formą włoskiego neorealizmu. Nieobciążona przeszłością nasza sztuka filmowa mogła prędko ruszyć na podbój świata. My, jej twórcy, wyposażeni w nasze doświadczenia i świadomości naszych obowiązków, staliśmy się głosem naszej widowni, nawet wtedy, gdy chcieliśmy jej powiedzieć takimi filmami jak *Zezowate szczęście* czy *Kanał*, że daremne bohaterstwo nie prowadzi do wolności. Nie zastanawialiśmy się nad możliwością zarzucenia nam, że antybohaterszczyzna, która była treścią tych filmów, jest zgodna z założeniami komunistycznej propagandy obezwładnia polskie społeczeństwo. Traktowaliśmy nasz głos jako rozliczenie z przeszłością we własnym tylko imieniu.

Daleko od Krakowskiej Akademii, w łódzkiej filmówce usłyszałem i ja wołanie: „Róbcie filmy tak, żeby Polska zmartwychwstała!”, bo zrozumiałem, że w Polsce nie ma dla mnie innej drogi niż romantyczne powołanie artysty. Wkroczyłem więc na tę chwalebna, ale i ciernistą ścieżkę. W 1980 roku zawiodła mnie ona pod bramę Stoczni im. Lenina w Gdańsku. Trwały tam już od pewnego czasu rozmowy robotników z rządem, o których do Warszawy docierały tylko strzępy informacji. Stowarzyszenie Filmowców, a byłem wtedy jego prezesem, wywalczyło sobie prawo rejestrowania bez wstępnej cenzury, dla celów archiwalnych, ważnych wydarzeń historycznych i grupa z Wytwórni Filmów Dokumentalnych pojechała do Gdańska. Postanowiłem ich odwiedzić. Robotnicza straż przy bramie rozpoznała mnie i prowadziła do sali obrad, a jeden ze stoczniowców spytał wprost: – Zrobi pan o nas film? – Jaki film? – Człowiek z żelaza! – odpowiedział bez namysłu.

Nigdy nie robiłem filmu na zamówienie, ale tego wyzwania nie mogłem zignorować. I tak stałem się w naszym kinie zwiastunem dobrej nowiny. *Wyobraźnia to życie poza technologią* – powiada Bachelard. Wyobraźnia romantyków usiłowała odtworzyć przede wszystkim hierarchie, relacje i wartości świata ducha, który w Polsce nie jest pozorny, fikcyjny, odległy od rzeczywistości. Nie są też pozorne duchy, które z ludźmi i między sobą walczą w polskich dramatach romantycznych. Tu zawsze w rozmaitych sensach mówiło się i mówi, i chyba będzie jeszcze mówiło, że *duch jest najważniejszy*. *My w takiej dziwnej krainie żyjemy...* Pani profesor Maria Janion dobrze opisała tę dziwną krainę. Jest to nasza i tylko nasza kraina, a wstęp do niej otwiera znajomość naszej historii i naszej narodowej mitologii.

Kiedy moje pierwsze filmy weszły na ekrany, recenzenci zauważyli w nich obecność, a nawet nadmiar symboli. To prawda, używałem symboli wszędzie tam, gdzie mogły one wzmocnić wymowę tego, co chciałem przekazać. Przychodziło mi to tym łatwiej, że symbole istniały dotykalnie w moim życiu. Ojciec, odchodząc na wojnę, zostawił w domu swój mundur galowy, order i szablę. Ordery szczęśliwie zachowały się do dzisiaj, szablę zakopałem, aby nie dostała się w ręce Niemców. Mundur matka przebarbowała na granatowo i odpruła od niego guziki z dumnym orłem w koronie. Służył mi przez całą wojnę jako jedyne ubranie wyjściowe, gdyż poza nim miałem tylko strój roboczy, będący widowym znakiem mojej społecznej degradacji.

To prawda, narodowa symbolika odgradzała mnie od świata. Dlaczego nie szukałem innej drogi? Zgadza się z Marią Janion, że *Bóg, Los, Duch dziejów, Ironia Tragiczna, Duch narodu – oto te siły metafizyczne, które w polskim dramacie romantycznym, podobnie jak Los w tragedii greckiej, podobnie jak Bóg w moralitecie średniowiecznym, „zewnątrznie” występują i działają. Ale u naszych romantyków one wchodzą też w bardzo prywatne, intymne, „wewnętrzne” związki z ludźmi. I w żadnym wypadku tych związków nie powinniśmy psychologizować, bo i romantycy tego nie robili. To jest jakiś inny rodzaj związków, nie-psychologiczny. Romantycy nasi bardzo dobrze to rozumieli.*

Profesor Maria Janion zechciała napisać o mnie, że jestem reżyserem, który nie tai swojej głębokiej zależności od literatury polskiej, a zwłaszcza od romantyzmu. *Jest to zupełnie zrozumiałe, gdyż ktoś, kto żyje w przestrzeni duchowej Polaków, nie może żyć poza romantyzmem. To nie tylko najważniejszy okres naszej sztuki, lecz też skutek przytłaczającej wielkości, absolutyzujący resztę. Z tego wynikają również złe konsekwencje. Ale my się nigdy nie możemy wyzbyć porównań z naszym absolutem i ideałem sztuki; czasem może to i dobrze, bo rzeczywiście mamy do czego się przymierzać. Romantyzm polski jest wyjątkowy.*

Wprowadzenie stanu wojennego 13 grudnia 1981 roku było ciosem, bo przekreślało nadzieję na ulepszenie ustroju komunistycznego, przystosowanie go do natury Polaków drogą ewolucyjną, podważało sens kilkudziesięciu lat realizowania filmów, pisania książek, dopominania się o więcej wolności i prawdy. Dziś uważam, że tamtych lat nie można przekreślić. Z kart książek, z ekranu i ze sceny weszły w serca i dusze Polaków pragnienia, którym zawdzięczamy wolność; czekały tam, ukryte, na odpowiednią



chwile. Trudno byłoby umierać z przekonaniem, że wszystkie nasze wysiłki poszły na marne, dlatego pozwolę sobie na przypuszczenie, że polski Okrągły Stół 1989 roku był nie tylko dziełem polityków, ale zrozumienie i wsparcie społeczne znalazł dzięki udziałowi polskiej literatury, filmu i teatru w procesie przekształcania naszej narodowej mentalności. – *Zgoda! zgoda! – Tak jest, zgoda, a Bóg wtedy rękę poda* – wzywał w *Zemście* Aleksander Fredro, choć nie wiadomo, czy wierzył w możliwość takiego zakończenia sporu o mur graniczny. Ja chcę wierzyć, że do zgody przy Okrągłym Stole doszło między innymi dzięki naszej, polskich twórców, pomocy.

Przez całą moją młodość towarzyszyła mi nadzieja, że świat można zmienić na lepsze. Kino – sztuka XX wieku – miało najskuteczniej służyć tej sprawie. My, jego twórcy, wierzyliśmy, że ludzie różnych krajów, różnych ras i kontynentów, poznając się wzajemnie poprzez filmy, staną się przyjaciółmi i sojusznikami. Niestety świat dzisiejszy jest jednak ciężko chory i choćby mu jak dziecku dostarczać kolejnych zabawek, one go nie uzdrowią. W kinach pojawiają się nowe filmy, ale trudno dziś mieć nadzieję, że świat dzięki nim zrozumie swoje błędy i znajdzie wspólną drogę do szczęścia wszystkich.

Wyrosłem w dawnej tradycji kina, dlatego zawsze staram się odwoływać do widowni, do zrozumienia przez innych. Nie ma dziś

Szkoła Filmowa w Łodzi,
ul. Targowa 61/63;
aut. R. Wionczek, 1953)

filmu dla wszystkich. Film dla wybranych wydaje mi się czymś nie do przyjęcia, klęską i całkowitą przegraną. Nie zgadzam się z poglądem, wedle którego sztuka kina sprowadza się do tajemnicy twórcy, a widownia jest zbędnym dodatkiem do artysty-reżysera. Czy używając określenia pani profesor Janion, opuściły nas już nasze fantazmaty? Czy demokracja i wolny rynek uwolniły nas od nich całkowicie i powinniśmy poświęcić się teraz tylko czystej sztuce? Czy artysta nie musi już szukać i głosić prawdy?

Oglądamy dziś prawdziwy wyścig w obalaniu i ośmieszaniu autorytetów, opiniotwórczych gremiów, niezależnych sądów. Wyrocznią stała się telewizja i kolorowa prasa, a potrzeby inteligentów zostają sprowadzone do minimum i do minimum zostały zepchnięte w budżecie państwa. Dola inteligenta, a zwłaszcza inteligenckiego artysty, jest dziś nie do pozazdroszczenia.

Zaprzyjaźniona ze mną piętnastoletnia redaktor szkolnego pisma „Szkolny Donosiciel” Anna Feducik, pisze do mnie w liście: *Sukces jest w nas samych, w naszym uporze, w naszym wewnętrznym uporządkowaniu, w naszej ciekawości świata, ale także, a może przede wszystkim w umiejętności wyznaczania sobie celów, narzucania rygorów, dyscypliny i rozsądnych wyrzeczeń. Nic nie jest nam dane na zawsze. Aby sukces nie minął, trzeba go ciągle doskonalić, a sobie wyznaczać nowe zadania...*

Filmowemu reżyserowi nie przystoi prorokować, ale nie mogę powstrzymać się od refleksji, że w Polsce kobieta odgrywa ogromnie ważną rolę we wszystkich patriotyczno-bezinteresownych działaniach i że dziś, jutro, w najbliższym czasie właśnie kobiety staną się inicjatorami działań w kulturze. Wszystko na to wskazuje. Są lepiej wykształcone, mają serca i nieprzebrany entuzjazm do działania dla innych. Nie będzie dziwne, że zajmą w naszym kraju miejsce mężczyzn, rozgorączkonych wieloma klęskami i zmęczonych niepowodzeniami spadkobierców polskiego romantyzmu.

Andrzej Wajda

Pierwodruk: „Tygiel Kultury” 7-9/2002

Ewelina Nurczyńska-Fidelska

Laudacja podczas uroczystości nadania Andrzejowi Wajdzie tytułu doktora honoris causa Uniwersytetu Łódzkiego

(fragment)

Charakterystyczna dla twórczości Andrzeja Wajdy preferencja spraw i kultury własnego narodu nie zawiera jednak śladu nacjonalizmu czy ksenofobii. Niosąc uniwersalną ideę wolności tak jednostki, jak i narodowej wspólnoty, filmy Andrzeja Wajdy okazały się ważne nie tylko dla Polaków. Dowodzą tego liczne nagrody uzyskiwane na światowych festiwalach filmowych, „Oscar” przyznany Andrzejowi Wajdzie za całokształt twórczości oraz najwyższe odznaczenia państwowe i honorowe nadane Mu w wielu krajach świata.

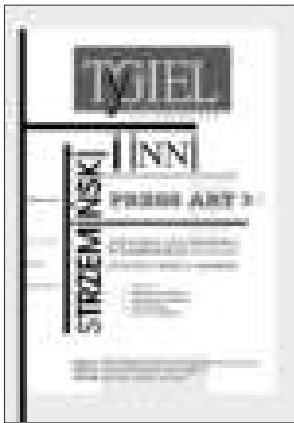
Dowodem najświeższej daty niechaj będą wnioski płynące ze zorganizowanej przez Uniwersytet Łódzki w październiku 2001 roku Międzynarodowej Konferencji Naukowej Filmowy i teatralny świat Andrzeja Wajdy. Wszyscy jej uczestnicy, przybyli z całej niemal Europy, ze Stanów Zjednoczonych i Australii, dali w swych wystąpieniach wyraz temu, iż twórczość Andrzeja Wajdy nadal porusza uniwersalizmem swych sensów, jest sztuką, której przeżycie i interpretacja jest ciągle potrzebą umysłów i serc.

Nadanie przez Senat Uniwersytetu Łódzkiego Andrzejowi Wajdzie tytułu doktora honoris causa potwierdza wielkość i znaczenie Jego dzieła, pieczętuje także kilka wątków Jego biografii. Tytuł ten otrzymuje artysta, którego droga twórcza rozpoczęła się studiami w łódzkiej Szkole Filmowej, któremu władze Łodzi nadały godność Honorowego Obywatela, ale nade wszystko artysta, który w historyczną i kulturową świadomość milionów, nie tylko polskich, widzów wpisał wizję miasta niezwykłego, wizję XIX-wiecznej Łodzi, zawartą w filmie *Ziemia obiecana*.

Łódź, 24 maja 2002 r.

Ewelina Nurczyńska-Fidelska

Pierwodruk: „Tygiel Kultury” 7-9/2002



Janina Ładnowska

Nowoczesność z tradycją

Pierwsze łódzkie muzeum powstało w 1911 roku z inicjatywy Towarzystwa Muzeum Nauki i Sztuki i mieściło się przy Piotrkowskiej 91. W 1923 roku zbiory przekazano miastu. Instytucja przybrała wtedy nazwę Miejskiego Muzeum Historii i Sztuki. Zbiory nadal były niewielkie, lecz urządzano już wystawy np. Józefa Pankiewicza, ponadto młodzież kształciła się w doświadczalnych pracowniach przyrodniczych i fizycznych.

W 1924 roku kierujący Muzeum artysta-grafik Walenty Piaskowski i ławnik Wydziału Oświaty i Kultury Franciszek Krukowski wzięli udział w zjeździe muzeologów polskich we Lwowie, zaś Muzeum wpisano w poczet muzeów polskich. W tym roku zwiedziło je 27 199 osób, co dowodzi zainteresowania zgromadzonymi osobliwościami. W 1928 roku sędziwy krakowski dziennikarz i historyk Kazimierz Bartoszewicz za sprawą słynnego już w Łodzi Przeclawa Smolika – intelektualisty, pisarza, bibliofila, lekarza, działacza społecznego sprawującego urząd ławnika Wydziału Oświaty i Kultury Zarządu Miasta Łodzi – przekazał łódzkiemu muzeum zbiory własne i kolekcjonowane przez swego ojca Juliana. Składały się one z obrazów, rycin, archiwum historycznoliterackiego, książek. Przeclaw Smolik umieścił wtedy kolekcję artystyczno-historyczną w dawnym Ratuszu (Plac Wolności 1), archeologię i etnografię pozostawiając w dawnej siedzibie, natomiast zbiory przyrodnicze przeniósł do willi w parku Sienkiewicza. Położył tym samym podwaliny rozwoju muzealnictwa w Łodzi.

Muzeum w Ratuszu nadano nazwę Miejskiego Muzeum Historii i Sztuki im. Juliana i Kazimierza Bartoszewiczów. Kolekcję Bartoszewiczowską udostępniono 13 kwietnia 1930 roku. Tymczasem już od 1929 roku, tj. od założenia grupy „a.r.”, Władysław Strzemiński, Katarzyna Kobro, Henryk Stażewski i mieszkający w Paryżu poeta Jan Brzękowski czynili starania o stworzenie w Polsce międzynarodowej kolekcji sztuki nowoczesnej. Przychylny tej inicjatywie okazał się Przeclaw Smolik, a także prezydent miasta Bronisław Ziemięcki i oto 13 lutego 1931 roku została zawarta umowa pomiędzy Wydziałem Oświaty i Kultury Magistratu m. Łodzi reprezentowanym przez Smolika a grupą „a.r.” reprezentowaną przez Strzemińskiego o przejęciu bezterminowo *kolekcji dzieł sztuki obrazującej rozwój i stan obecny sztuki nowoczesnej polskiej i zagranicznej*. Kolekcję umieszczono w Miejskim Muzeum im. Juliana i Kazimierza Bartoszewiczów. W ilustrowanym katalogu wydanym w 1932 roku Przeclaw Smolik pisał: *Dzieła*

wchodzące w skład kolekcji zostały przez ich twórców, artystów, ofiarowane bezinteresownie, z tym tylko warunkiem, by się znalazły w odpowiedniej instytucji publicznej, dostępnej każdemu, kto się interesuje sztuką. W ten więc sposób ta łódzka, międzynarodowa kolekcja sztuki nowoczesnej jest czynem w całym tego słowa znaczeniu zbiorowym i społecznym. Cel, który przyświecał tak inicjatorowi i wykonawcom, jak i artystom-ofiarodawcom, to zbliżenie i wzajemne poznanie się narodów przez wymianę i poznanie najcenniejszego z dóbr – dorobku kultury duchowej. Kolekcja łódzka pozwala po raz pierwszy w Polsce spojrzeć poważnie i z bliska w twarz tej głębokiej, a mało jeszcze rozumianej rewolucji, jaka się odbywa w sztuce europejskiej od lat dwudziestu pięciu.

Zgromadzona Międzynarodowa Kolekcja Sztuki Nowoczesnej liczyła 111 dzieł i reprezentowała najważniejsze kierunki sztuki awangardowej lat 20. i 30. XX w. od konstruktywizmu do surrealizmu, co było wyrazem nie eklektyzmu, lecz szerokości horyzontów myślowych. Dzieła swe ofiarowali m.in. Jean Arp, Theo van Doesburg, Georges Vantongerloo, Jean Hélion, Enrico Prampolini, Amedee Ozenfant, Fernand Léger, Max Ernst, Alexander Calder, Kurt Schwitters, Jean Lurcat, Juan Torres-Garcia, Michel Seuphor, Sophie Taeuber-Arp, Frantisek Foltyn, artyści polscy – Władysław Strzemiński, Katarzyna Kobro, Henryk Stażewski, Stanisław Ignacy Witkiewicz (oprócz swoich obrazów ofiarował też collage Pabla Picassa), Mieczysław Szczuka, Teresa Żarnower, Tytus Czyżewski, Karol Hiller. Tak powstała druga w Europie muzealna (pierwszą stworzono w Hanowerze w 1927 roku, lecz w latach 30. została zniszczona przez nazistów) kolekcja sztuki awangardowej. Stało się to w mieście, jak przewidywał w 1923 roku poeta Witold Wandurski, *zbiorniku mas pracujących mającym wszelkie dane stać się ośrodkiem Nowej Sztuki*.

W 1932 roku inicjator Kolekcji Władysław Strzemiński został laureatem Nagrody Artystycznej m. Łodzi. W 1935 roku stanowisko kierownika Muzeum objął wyłoniony przez konkurs dr Marian Minich, historyk i krytyk sztuki pracujący dotychczas na Uniwersytecie Lwowskim. Dokonał reorganizacji Muzeum i selekcji zbiorów (m.in. archiwalia umieszczone zostały w Archiwum Miejskim). W latach 1935-1939 pozyskał do zbiorów wiele cennych pozycji starych mistrzów malarstwa obcego – dzięki szczodrości łódzkich kolekcjonerów, np. Karola Eiserta, który przekazał muzeum dzieła malarzy włoskich z XV w. Zakupiono dzieła artystów polskich przełomu XIX/XX w., np. Xawerego Dunikowskiego, Olgi Boznańskiej, Jacka Malczewskiego. W 1937 roku dzięki specjalnej dotacji miejskiej za sumę na owe czasy bardzo wysoką tj. 30 tys. zł. Muzeum wzbogaciło się o słynny obraz Henryka Rodakowskiego *Portret matki*. Kupowano także prace polskich artystów współczesnych, m.in. z kręgu lwowskiej grupy Artes, Jankiela Adlera, rzeźby formistyczne Zbigniewa Pronaszki. Dr Marian Minich prowadził pertraktacje o zakup obrazu Kazimierza Malewicza. Był on także jako kierownik Muzeum organizatorem wystawy Karola Hillera w warszawskim Instytucie Propagandy Sztuki w 1938 roku (w tych czasach indywidualne wystawy artystów należały do rzadkości).



Zatem Muzeum łączyło zainteresowania awangardową sztuką, zarówno obcą jak i polską, z wystawianiem i kolekcjonowaniem sztuki dawnej.

Lata wojny 1939-1945, kiedy Łódź została włączona do Rzeszy niemieckiej, to czasy dewastacji kolekcji. Polscy pracownicy zostali usunięci, także dr Marian Minich. Zbiory przeniesiono do przedwojennego gmachu Zarządu Miejskiego (Plac Wolności 14). Zagięły bezpowrotnie dzieła szkoły włoskiej XV w., obrazy Jacoba Jordaensa, malarzy flamandzkich i holenderskich, rozbito formistyczne rzeźby Zbigniewa Pronaszki. Spośród Międzynarodowej Kolekcji Sztuki Nowoczesnej zagięło 29 obiektów, m.in. obrazy Jeana Gorina, Fridriecha Vordemberge-Gildewarta, Henryka Stażewskiego, Leona Chwistka, Tytusa Czyżewskiego, rysunki Mieczysława Szczuki, mobil Alexandra Caldera. Kolekcję, tak jak i rzeźby Katarzyny Kobro oraz obrazy Strzemińskiego, uznano za objaw degeneracji kulturowej. W miejsce Międzynarodowej Kolekcji otworzono wystawę sztuki niemieckiej ziem wschodnich jako wyraz moralnego i fizycznego zdrowia.

W 1945 roku obowiązki dyrektora objął ponownie Marian Minich, zaś w 1946 roku Muzeum zostało przeniesione do dawnej rezydencji Maurycego Poznańskiego przy Więckowskiego 36, zbudowanej ok. 1896 roku prawdopodobnie przez architekta Adolfa Seligsona. Przy pomocy Wojewódzkiego Wydziału Kultury i Sztuki prowadzono rewindykację skradzionych i rozproszonych eksponatów, lecz także pozyskiwano dzieła

Autor zdjęcia siedzący na jednej z łódzkich rzeźb; aut. E. Dekker, 1991

pochodzące z dóbr opuszczonych, należące dawniej do rodzin łódzkich fabrykantów, którzy albo byli ofiarami Holokaustu, albo z racji swego niemieckiego pochodzenia musieli opuścić Łódź. Stanowiły one i stanowią trzon zbiorów Muzeum Sztuki w dziedzinie sztuki polskiej i obcej XV-XIX wieku. W wieloletni, lecz niestety nie wieczysty, depozyt Muzeum Narodowe w Warszawie przekazało kolekcję gotyku (głównie śląskiego i pomorskiego) i baroku. Zakupiono do zbiorów wiele cennych obiektów sztuki XX wieku, m.in. obraz Paula Signaca, rzeźbę Augusta Renoira, obrazy Alekseja von Jawlensky'ego i Jankiela Adlera. W 1945 roku do zbiorów Muzeum przekazali cały swój artystyczny dorobek Katarzyna Kobro i Władysław Strzemiński.

13 czerwca 1948 roku Muzeum udostępniono uroczystości publiczności. Ekspozycja obejmowała sztukę od gotyku do XX wieku. Sztuka dawna ukazana została w porządku chronologiczno-historycznym, natomiast sztuka XX wieku w porządku stylistycznym. Nader dyskusyjne było uzupełnienie brakujących ogniw reprodukcjami w ozdobnych ramach, co czasem prowadziło do pomyłek. Ośrodkiem ekspozycji XX w. była zachowana w 80% Międzynarodowa Kolekcja Sztuki Nowoczesnej. Przy jej prezentacji dużą rolę odgrywał Władysław Strzemiński. Zrealizował on projekt Sali Neoplastycznej dla ukazania w niej obrazów artystów związanych z grupą De Stijl (Theo van Doesburg, Georges Vantongerloo, Henryk Stażewski, Vilmos Huszar, Sophie Taeuber-Arp), a także *Kompozycji przestrzennych* Katarzyny Kobro. Sala stanowiła dzieło niezwykle, urzeczywistniała ideę tego, co Niemcy nazywają Gesamtkunstwerk, tj. obejmujące całokształt zagadnień artystycznych. Tradycja takich dzieł jest długa i sięga Richarda Wagnera w XIX w., a w XX w. Fredericka Kieslera, El Lissitzkiego, Kurta Schwittersa, zarówno konstrukttywizmu jak dadaizmu. Sala Neoplastyczna Strzemińskiego zlecona przez Mariana Minicha wpisała się w fascynujący krąg myślenia o sztuce, jako o zjawisku, które nie może być izolowane od architektury i otaczającej przestrzeni.

Ekspozycja XX wieku przetrwała w tej postaci do 1950 roku. Potem Salę Neoplastyczną zamalowano, abstrakcyjne obrazy i rzeźby przestrzenne Katarzyny Kobro schowane zostały w magazynach. Na ich miejsce przyszło realistyczne malarstwo XIX w. Lecz nie pojawiły się tam współczesne obrazy socrealistyczne. Marian Minich, głęboko przekonany o słuszności poglądu na stylistyczny rozwój sztuki uważał, że po abstrakcji, surrealizmie i konstrukttywizmie dziewiętnastowieczny realizm w dwudziestowiecznej edycji jest albo nieporozumieniem, albo zwykłym nieuctwem. Zatem do 1956 r. nie kupowano żadnych współczesnych obrazów. W 1950 roku Muzeum stało się placówką okręgową i objęło swą merytoryczną opieką muzea regionalne, szczególnie w zakresie polityki zakupów. Trwało to do ok. 1975 roku, tj. do nowego podziału administracyjnego kraju. Również w 1950 r. powołano w Muzeum dział naukowo-oświatowy z programem edukacyjnym i ambitnymi badaniami socjologicznymi. Zaś w roku 1952 dział tkactwa, z którego w 1960 roku wyłoniło się Muzeum Historii Włókiennictwa. Już w 1956 roku zaczęły powracać do muzealnej ekspozycji dzieła z Międzynarodowej Kolekcji Sztuki Nowoczesnej, a Muzeum partycypowało w wystawie monograficznej

Władysława Strzemińskiego i Katarzyny Kobro. Podróż Mariana Minicha do Paryża w związku z wystawą *Precursors de l'art abstrait en Pologne* (Strzemiński, Kobro, Stażewski, a także Henryk Berlewi i Kazimierz Malewicz) w Galerii Denise René przyniosła plon w postaci darów wybitnych artystów (m.in. Victor Vasarely, Roberto Matta), co można uznać za kontynuację idei Międzynarodowej Kolekcji w nowych czasach. W 1960 roku ekspozycja została zreorganizowana, a Sala Neoplastyczna zrekonstruowana. Kolekcja XX w. wzbogaciła się o nowe, aktualne dzieła m.in. Aliny Szapocznikow, Marii Jaremy, Jerzego Nowosielskiego, Stanisława Fijałkowskiego. Wtedy także po raz pierwszy Marian Minich postawił przed władzami miasta konieczność budowy nowego gmachu Muzeum Sztuki.

Po śmierci Mariana Minicha w 1965 roku, stanowisko dyrektora objął Ryszard Stanisławski, młodszy o pokolenie, krytyk i historyk sztuki. Od 1966 roku starania nowego dyrektora o intensyfikację pracy Muzeum skutkują zakupami dzieł. Zakupy te obejmowały przede wszystkim sztukę XX wieku. Celem było zapełnienie luki, która wytworzyła się przez ostatnie 20 lat, gdy polityka powiększania zbiorów w pierwszych latach powojennych opierała się na rewindykacjach, odzyskiwaniu dzieł przedwojennych, darach, legatach i depozytach. Później nastąpiło wspomniane wcześniej samoo graniczenie, zaś po okresie socrealizmu mimo usilnych starań władze miejskie i ministerialne nie wykazywały szczodrości, natomiast nowatorstwo nie było dobrze widziane. Tymczasem w drugiej połowie lat 50. i w latach 60. zjawiska artystyczne nabrały wielkiego przyspieszenia. Zakupy przede wszystkim skoncentrowały się na polskiej sztuce XX wieku. Kontynuując tradycje konstruktywistycznych początków, Muzeum nabywało prace artystów sytuujących się w sztuce intelektualnej, mówiącej o przestrzeni, geometrii, kinetyzmie, systemach, sztuce minimalistycznej, podejmującej nowy dyskurs z czasem. Byli to m.in. Zbigniew Gostomski (wystawa w 1994 r.), Zbigniew Dłubak (wystawa w 1978 r.), Ryszard Winiarski, Edward Krasiński (wystawa w 1991 r.), Roman Opalka, Antoni Starczewski, Krzysztof Wodiczko (wystawa w 1992 r.), Wojciech Fangor, Jerzy Rosołowicz, Koji Kamoji. Artyści ci należeli do nowej wówczas generacji, wielu z nich dopiero w latach 60. rozpoczynało swą pracę. Tradycja staje się martwa, jeśli nie jest potwierdzana współczesnością. Tak było, gdy dyrektor Stanisławski sięgnął po dzieła Karola Hillera (1891-1939), przywracając naszej pamięci jednego z najciekawszych artystów polskich (i łódzkich) okresu międzywojennego. Tak właśnie potwierdzał współczesność Henryk Stażewski (Muzeum sukcesywnie nabywało jego obrazy), który w latach 60. odkrył dla swojej sztuki problemy porządku i chaosu, nowego pojmowania koloru. Nawiazaniem do tradycji była pokazana w 1967 roku wystawa Michela Seuphora, francuskiego malarza, poety, teoretyka sztuki (pierwszy zauważył w swych pismach ważność polskiego konstruktywizmu), także współtwórca Międzynarodowej Kolekcji. Wystawie towarzyszyło wystąpienie teoretyczno-poetyckie autora: *Le stil et le crie (Porządek i krzyk)*. Spotkania teoretyczne, sympozja, sesje, inne formy działania i współdziałania odtąd zaczęły towarzyszyć wystawom. Ważnym wydarzeniem,

także potwierdzającym związki tradycji z współczesnością, była (zorganizowana również w 1967 r.) wystawa młodych włoskich artystów Grupa N z Padwy, zafascynowanych sztuką kinetyczną i jej działaniem w ikonosferze miasta.

Osobne i do dziś aktualne miejsce w krajobrazie Muzeum zajmuje Warsztat Formy Filmowej z Józefem Robakowskim (wystawa jego *Galerii Wymiany* odbyła się w roku 1998), Wojciechem Bruszewskim, Ryszardem Waśko, Antonim Mikołajczykiem. Wraz z innymi artystami polskimi z kręgów konceptualno-medialnych i wszelkiej awangardy uczestniczyli oni w wystawie *Atelier 72* zorganizowanej w Edynburgu przez Muzeum Sztuki i wielkiego miłośnika sztuki polskiej i zbliżenia ludzi przez sztukę – Richarda Demarco. W 1973 roku Warsztat „zamieszkał” w Muzeum, aby w nim „buszować” przez 24 dni niemal 24 godziny na dobę, wyświetlając filmy, performując, happeningując i dyskutując o strukturze i systemach sztuki.

Drugim nurtem stale towarzyszącym działaniom Muzeum był ten wywodzący się z ekspresji, surrealizmu, dadaizmu, szeroko pojętej metafory, działań związanych z cielesnością i egzystencją artysty – kolekcja i wystawy Muzeum Sztuki skoncentrowały się tutaj na twórczości Stanisława Ignacego Witkiewicza, Tadeusza Kantora, Jonasza Sterna, Marii Jaremy, Aliny Szapocznikow (wystawy w latach 1975 i 1999), Stanisława Fijałkowskiego (wystawa w roku 1996), Magdaleny Abakanowicz, a w latach 80. i 90. Josepha Beuysa. Tu przypomnijmy, że w 1981 roku Joseph Beuys obdarował Muzeum Sztuki kolekcją swych rysunków, prac graficznych, fotografii, plakatów i dokumentacją liczącą ok. 800 pozycji. Łódzka kolekcja Josepha Beuysa objechała kilka krajów Europy i jej twórczości poświęcona jest specjalna sala w Muzeum. Przypomnijmy też, że w latach 70. i 80. pierwsze wystawy fotografii Stanisława Ignacego Witkiewicza odbyły się właśnie w Muzeum Sztuki. Wystawy fotografii i malarstwa Witkacego urządzone w Niemczech (szczególnie *Hommage à Witkiewicz – Düsseldorf*, 1980 – ukazująca kontekst prawie współczesny artyście w twórczości Wyspiańskiego, Wojtkiewicza, a współczesny nam w twórczości Kantora, Tadeusza Brzozowskiego, Andrzeja Wajdy) i Paryżu (1983) wskazały, jak inspirująco działać może przeszłość, jeżeli jest zrozumiana.

W 1973 roku Ryszard Stanisławski wraz z zespołem podjął wyzwanie, które zaważyło na przyszłości – była to wystawa *Konstruktywizm w Polsce. Blok, Praesens, a.r. 1923-1936* zaprezentowana w Essen, Otterlo, Sztokholmie, a następnie w najważniejszych ośrodkach muzealnych w Stanach Zjednoczonych, potem w Montrealu, we Włoszech i Jugosławii. Przygotowania do wystawy przyczyniły się do nowego, całościowego spojrzenia na lata 20. i 30. w kulturze polskiej, powiązania jej z kulturą europejską, opracowania chronologii wydarzeń, usystematyzowania pozornie rozsypanych i niedatowanych do tej pory dzieł. Rezultatem był obszerny i do dziś źródłowy katalog w języku angielskim, a środkiem wiodącym do celu intelektualny wysiłek zespołu. Praca ta trafiła na właściwy grunt, wtedy bowiem na całym świecie żywe było zainteresowanie niedawną tradycją, zaczęto odkrywać rosyjski konstruktywizm, czeski kubizm i surrealizm, serbsko-chorwacki Zenit. Równoległe do prezentacji polskiego konstruktywizmu

w świecie w Muzeum Sztuki prezentowana była twórczość lat 20. i 30. z Czechosłowacji i Jugosławii. W latach 60., 70. i 80. Muzeum Sztuki było niemal jedyną w bloku wschodnim instytucją muzealną, której „wszystko było wolno”. Nie było jednak można naruszać tabu, tj. mieć kontaktów (nadmiernych) ze Wschodnią ścianą. Zachód zdawał się być otwarty, sięganie na Wschód mogło okazać się nieskuteczne dla nas, a zgubne dla naszych wschodnich kolegów. Byliśmy za blisko. Natomiast nasze bliskie kontakty z Czechami i Słowakami zaowocowały kolekcją sztuki awangardowej, zabronionej w ich kraju po Praskiej Wiośnie roku 1968. Rok 2000 przyniósł wystawę Światłany i Igora Kopystianskich, artystów wywodzących się z Ukrainy, mieszkających wprawdzie na Zachodzie, lecz przyjmujących Zachód jak „przechodnie w wielkim mieście”.

W początkach lat 70. po wielu staraniach Muzeum Sztuki otrzymuje od miasta willę zbudowaną w 1876 roku, której pierwotnym właścicielem był Edward Herbst. Ładnie położony, wolno stojący budynek w ogrodzie został przeznaczony na oddział Muzeum Sztuki z ekspozycją ukazującą wnętrza mieszkalne zamożnego łódzkiego fabrykanta. Prace adaptacyjne i remontowe zdewastowanej posesji trwały wiele lat. Czasu nie zmarnowano, także dlatego, że korzystając z nikłego w tym czasie zainteresowania kulturą materialną XIX w., zgromadzono bardzo wiele obiektów wyposażenia (wiele też Muzeum posiadało z czasów powojennych). W 1990 roku willę udostępniono zwiedzającym, cieszy się ona niezmiennym powodzeniem. Już w 2000 roku ekspozycja została uzupełniona fotograficzną prezentacją dziejów rodziny Herbstów i powojennych losów siedziby, zrekonstruowano także oranżerię z bogatą roślinnością.

W 1973 dyrektorowi Stanisławskiemu wydawało się, że z pomocą władz zarówno centralnych, jak i miejscowych, zostaną rozwiązane wszelkie trudności lokalowe Muzeum. Ogłoszony został otwarty, ogólnopolski konkurs na budowę nowego gmachu. Zlokalizowano teren, tj. fragment Parku na Zdrowiu, zastrzegając pełną ochronę zadrzewienia. Konkurs wygrał młody architekt Jan Fiszer, zaś delegacja muzealna udała się do Niemiec badać najnowsze techniki przechowywania i ekspozycji muzealiów. Po kilku miesiącach premier Piotr Jaroszewicz ogłosił drastyczną redukcję planów inwestycyjnych. Wysiłki zostały zniweczone, natomiast w Parku na Zdrowiu na tym samym miejscu zainstalowano Lunapark.

Tymczasem zbiory Muzeum Sztuki rosły bardzo szybko i ambitnie. W latach 70. zostały stworzone dwa nowe działy sztuki XX wieku: rysunku i grafiki oraz fotografii i technik audiowizualnych. Wystawy sprowadzane z zagranicy (monograficzne lub problemowe, ale zawsze według koncepcji opracowanej specjalnie dla Muzeum Sztuki – wśród prezentowanych twórców znajdowali się m.in. Günther Uecker, François Morellet, Derek Boshier, Royden Rabinowitch, Erwin Heerich, Daniel Buren, Stanislav Kolíbal, Michael Kidner, Michael Craig-Martin, Carel Visser) także wzbogacały zbiory Muzeum nowymi nabytkami. Wśród wystaw dynamiką właściwą młodości wyróżniały się wystawy *Nowa sztuka w Wielkiej Brytanii* (1995) oraz *CUKT* zorganizowana w dniu wyborów prezydenckich 2000 r. pod hasłem „Politycy są zbędni”. Nową koncepcję działań z udziałem artysty i publiczności, integrującą ludzi wokół Muzeum i dającą

poczucie integracji ze światem, ukazała akcja Alexandra Honorego *Świat o wielu obliczach. Twarze Łodzi 1999/2000*.

W 1981 roku z inicjatywy Henryka Stażewskiego i zgrupowanych wokół niego zwolenników Muzeum Sztuki w 50-tą rocznicę Międzynarodowej Kolekcji Sztuki Nowoczesnej zorganizowano wymianę dzieł darowanych przez artystów – prace artystów polskich stały się własnością Museum of Contemporary Art w Los Angeles, natomiast artyści amerykańscy swoje prace podarowali Muzeum Sztuki (np. Sam Francis, Christo, Keith Sonnier, Chris Burden). Mimo iż Muzeum Sztuki kładzie nacisk na XX w., czynne też były stałe wystawy dawnej sztuki polskiej i obcej od XV w. do początków XX wieku. Wystawy czasowe są równie ambitne jak te, które odnoszą się do współczesności, np. wystawa grafiki Albrechta Dürera czy dzieł Rubensa w grafice niderlandzkiej XVII wieku, której towarzyszyła poważna sesja naukowa (1977). Dwie wystawy w ciekawej aranżacji architektonicznej, mówiące o zmaganiach polskiego artysty przełomu XIX/XX wieku z sobą samym i nieprzychylnym otoczeniem – *W tej pracowni zamknąłem me życie* (1991) i *Ogień niestrzeżony* (1995) – były wyrazem nowoczesnego, całościowego myślenia o dawnej sztuce. Wystawa grafiki i wyrobów dalekiego Wschodu z kolekcji łódzkiego zbieracza Henryka Grohmana (1998) pozwoliła na nowo spojrzeć na kulturę dawnej Łodzi.

Zakupy zarówno sztuki dawnej, jak i współczesnej sztuki polskiej i obcej, a także sporadyczne zakupy za granicą (Pablo Picasso, Fernand Léger, André Masson, współcześni artyści Czechosłowacji, Rosji, Węgier) w latach 60., 70. i 80. możliwe były dzięki istnieniu trzech źródeł finansowania. Były to fundusze ministerialne przeznaczone na wspieranie twórczości artystów żyjących, fundusz przeznaczony na muzealia z włączeniem artystów spoza Polski, a także fundusze pochodzące z kasy miasta przeznaczone na zakup dzieł artystów pochodzących z Łodzi lub z Łodzią związanych, ale także artystów w tym mieście wystawiających. Mimo trudnych okoliczności politycznych w latach 80. Muzeum zrealizowało wystawę zaplanowaną precyzyjnie w końcu lat 70. – *Presences Polonaises. L'art vivant autour du Musée de Lodz* w Centre Georges Pompidou w 1983 roku. Trójczłonowa, dynamiczna prezentacja Witkacego, polskiego konstruktywizmu oraz czternastu artystów współczesnych ukazała dawną tradycję w nowym świetle. W owej trudnej sytuacji stanu wojennego pozytywny głos należał m.in. do Józefa Czapskiego.

W 1988 roku zorganizowano wystawę sztuki młodej generacji w Glasgow, a w 1992 roku serię 10 pojedynczych wystaw w specjalnej przestrzeni w Lyonie, prezentującej prace artystów młodszych generacji i bardziej zaangażowanych w różnie pojmowany kontekst egzystencjalny i społeczny (m.in. Krzysztof Wodiczko, Jarosław Kozłowski, Mariusz Kruk, Mirosław Bałka, Edward Dwurnik, Jarosław Modzelewski, Tomasz Ciecierski, Leon Tarasewicz, grupa Koło Klipsa). Wraz z nimi do Muzeum weszło młode pokolenie i artyści nieco starsi – Edward Krasiński i Koji Kamoji. Było to już na przełomie lat 80. i 90., gdy dyrektorem Muzeum był Jaromir Jedliński. Zaś w końcu lat 90. w orbicie Muzeum znaleźli się Zofia Kulik i Robert Rumas. W owych trudnych latach

80. odbyła się także wystawa Jankiela Adlera (1895-1949) zrealizowana we współpracy z Kunsthalle w Düsseldorfie i Muzeum w Tel-Awiwie (gdy kontakty z Izraelem były znacznie utrudnione). 1992 rok przyniósł wydarzenie muzealne o niespotykanej skali. Cała kolekcja XX w. Muzeum Sztuki (oraz ośmiu artystów eksponowanych w osobnej przestrzeni wydzielonej z dworca kolejowego: E. Krasinski, K. Wodiczko, M. Chlanda, M. Smoczyński, M. Kruk, M. Bałka, J. Kozłowski, X. Wolski) została przeniesiona do Muzeum Sztuki Współczesnej w Lyonie. Otwarcie towarzyszyło międzynarodowe spotkanie najwybitniejszych historyków sztuki i artystów. Natomiast Muzeum Sztuki w tym czasie gościło aktualną międzynarodową sztukę ze zbiorów muzeum lyońskiego (m.in. Lucio Fontana, Daniel Buren, Marcel Duchamp, Marina Abramović i Ulay, Marcel Broodthaers, Dan Flavin, Joseph Kosuth), kolekcję, która w założeniu jest stale aktualizowana, by ustrzec ją od skostnienia. Była to niezwykle okazja poznania dzieł ponad 50 artystów stanowiących o wizerunku współczesnej kultury świata (lecz bez tzw. bloku wschodniego). Podobne znaczenie, niestety nie poparte wymianą między-muzealną, miała wystawa artystów francuskich z kręgu Supports/Surfaces zorganizowana w 1999 roku przez Galerie Nationale du Jeu de Paume i Centre Georges Pompidou w Paryżu.

W latach 90. przypadły rocznice urodzin artystów, których działanie przyczyniło się do powstania Międzynarodowej Kolekcji: Władysław Strzemiński, Henryk Stazewski, Maria Ewa Łunkiewicz-Rogoyska, Katarzyna Kobro. Poświęcono im starannie opracowane wystawy monograficzne, opracowano źródłowe katalogi i zorganizowano międzynarodowe sesje naukowe, pozwalające w nowy sposób interpretować znane, zdawałoby się, tematy. Wystawę Strzemińskiego pokazano również w Walencji i Bonn, wystawę Kobro w Rzymie, Leeds, Pradze i Warszawie. Dawne awangardy okazały się w zadziwiający sposób aktualne i inspirujące, a ich wystawy zadecydowały o pozytywnym image'u Muzeum, co potwierdziły nagrody w konkursach organizowanych przez Ministerstwo Kultury i Sztuki.

W 1996 roku Jaromir Jedliński odszedł ze stanowiska, jego miejsce zajęła Nawojka Cieślińska, a po jej odejściu w 1997 roku Mirosław Borusiewicz. Ostatnie pięć lat zaowocowało znakomitą prezentacją kolekcji Galerii Denise René z Paryża (1997), z którą nasze Muzeum współpracuje od 1957 roku. Wtedy ponownie okazało się, że tradycja i współczesność mogą być nierozdzielne. Tak też było na wystawie Zofii Rydet (1999), ożywiającej rzeczywistość kamerą fotograficzną. Od 1998 przeważają wystawy artystów związanych z Łodzią – Edwarda Łazikowskiego, dawnego konceptualisty, niedysyjszego performerera, autora idei fragmentaryzacji, twórcy przedmiotów i działań efemerycznych oraz fotografii, Aleksandry Mańczak i Grzegorza Przyborka, pracujących na wielu polach: fotografii inscenizowanej, rysunku i tkaniny, oraz Tadeusza Piechury, autora plakatów.

Janina Ładnowska

Pierwodruk: „Tygiel Kultury” 10-12/2000

Rozmowa z Krystyną Potocką-Suwalską

Gdyby nie sztuka, nie przeżyłabym tak pięknego życia

Prowadzona przez Krystynę Potocką-Suwalską Galeria Manhattan istniała od stycznia 1991 roku do grudnia 2016 roku. 25 lat. Gdybyście zamknęli teraz oczy i przez chwilę zastanowili się, gdzie po raz pierwszy w Łodzi zobaczyliście taniec *butoh*, kiedy usłyszeliście *Homo Twist* na żywo, i jak film *Polak w szafie* Żmijewskiego otwierał puszkę Pandory dotyczącą antysemityzmu, to okazałoby się, że za wszystkimi tymi działaniami stała Galeria Manhattan. Jej kuratorka zabierała w „podróż do granic sztuki” nawet wbrew woli zainteresowanych. Jak wtedy, gdy grupa ubranych na czarno postaci czołgała się w strugach deszczu po Piotrkowskiej w rytm słów *Kofy* w ramach performance'u *Coraz bliżej ziemi*. Nie miasto było jej bohaterem, ale śmierć. Jeśli go widzieliście, wiecie też, że takie momenty zdarzają się rzadko. Rzadko też zdarzają się takie galerie jak Manhattan. Warto o niej pamiętać. I zastanowić się: co po Galerii Manhattan?

Marta Zdanowska: Zacznijmy od sakramentalnego pytania, towarzyszącego wszystkim podsumowaniom: jak się to wszystko zaczęło? Jak powstał pomysł Galerii Manhattan?

Krystyna Potocka-Suwalska: W latach 80. pracowałam w Urzędzie Miasta Łodzi i zajmowałam się środowiskiem plastycznym, więc dość dobrze je poznałam, podobnie jak specyfikę tej twórczości. Nastąpiła demokracja, rok 1990, więc ludzie, którzy mieli jakieś pomysły i inicjatywy, zyskali szansę wypłynięcia na szerokie wody. Braliśmy sprawy w swoje ręce. I tak też się stało ze mną. Szczerze przyznam, że pracując w urzędzie, tęskniłam za tym, żeby mieć swoje artystyczne miejsce i możliwość zajmowania się sztuką, ale w systemie PRL nie miałam ani siły przebicia, ani pieniędzy na taką działalność. W 1990 roku zajmowałam się organizowaniem spółdzielni mieszkaniowej na swoim osiedlu Piaski, gdzie tworzyły się powoli społeczne gremia nowej demokracji – tam zaczęłam opowiadać o swoich pomysłach. I wtedy, na przełomie 1990 i 1991 roku, zaproponowano mi prowadzenie miejsca kultury i sztuki, jakim była filia Śródmiejskiego Forum Kultury, czyli Manhattan. Było to miejsce typowo „domokulturowe”, a przy okazji cieszące się złą sławą ze względu na regularnie odbywające się tam dyskoteki. A ja doszłam do wniosku, że jest to idealne miejsce, aby stworzyć galerię sztuki najnowszej, jakiej dotąd w Łodzi nie było. I taką, o jakiej marzyłam.

Dlaczego właśnie sztuki najnowszej?

W Łodzi niemal nic się nie działo w tej kwestii. Chodziło mi o to, aby stworzyć opozycję wobec Miejskiej Galerii Sztuki w Łodzi, która pokazuje sztukę tradycyjną, akademicką. Chciałam lansować ludzi młodych, którzy tworzą tu i teraz, chciałam sztuki aktualnej. Osiedle Manhattan było spuścizną modernizmu, a sztuka, którą miałam zamiar pokazywać, nawiązywała do tego nurtu, więc tym bardziej miejsce wydawało się do tego idealne.

A jak społeczność osiedla mieszkaniowego Manhattan podeszła do pomysłu galerii? To było zaciekawienie czy raczej rezerwa? Miejsce było oryginalne, ciekawe, ale ciągle jeszcze pokutuje przekonanie, że galeria sztuki to miejsce specyficzne, do którego nie można ot tak wejść z ulicy. A ta galeria powstawała także w specyficznych warunkach: na monumentalnym blokowisku z lat 70., bardzo blisko mieszkańców.

Początkowo społeczność Manhattanu odnosiła się do mnie z dużym dystansem, bo miejsce, które przejmowałam, nie miało dobrej sławy, a mieszkańcom zależało na ciszy i świętym spokoju. Patrzyli jednak na pomysł galerii z pewną wyrozumiałością. Zetknęłam się jednak na Manhattanie z sytuacją, o której nie miałam dotychczas pojęcia. Proszę sobie wyobrazić: urzędniczka, która do tej pory nie miała do czynienia z realizacją programów artystycznych, bierze się za organizację galerii. Od razu spotkałam się z problemami niedoboru finansowego i materialnego, braku sprzętu, braku wyposażenia, a to wszystko szło w parze z moim brakiem doświadczenia. Ale bardzo dobrze zawoocowały moje kontakty przyjacielsko-towarzyskie. Znajoma zaprojektowała podesty do sali widowiskowej, które wykonała Łódzka Fabryka Mebli, znajomy biznesmen dał nam skromne środki finansowe na rozruch, inny biznesmen wyposażył galerię w biurka i stoły pod komputery, Urząd Miasta przekazał nam komputer, a znakomity, nieżyjący już grafik Tadeusz Piechura zaprojektował znaczek graficzny dla Galerii Manhattan. Mogłabym wymieniać tutaj darczyńców, którzy przyczynili się do tego, że galeria ruszyła tanim sumptem i potem tak znakomicie zafunkcjonowała. Usytuowanie galerii było też bardzo specyficzne. Znajdowała się w centrum miasta, ale jednak z boku. Poza tym, było to miejsce, które zajmowało dwie lokalizacje: Wigury 15 oraz Piłsudskiego 1/3, gdzie znajdowały się pracownie rzeźbiarskie, graficzne i malarskie dla dorosłych i dla dzieci. Tuż obok mieściły się cztery szkoły. Do tego ogromne wieżowce, zamieszkiwane przez ludzi, którzy wracali na Manhattan przede wszystkim spać, a nam powierzali swoje dzieci. Zresztą, jednym z moich priorytetów było zajęcie się dziećmi w programie Manhattanu, czyli edukacja twórcza dzieci i młodzieży.

Dziś warsztaty artystyczne są dość popularne, ale to nie było popularne działanie w latach 90. W jakiej formie w Galerii Manhattan prowadzono tę edukację?

Trafiliśmy na wymagających rodziców i dzieci z aspiracjami. Dzieci z pobliskich szkół przychodziły do galerii na zajęcia ze sztuki. Materiałem do pracy warsztatowej i plastycznej była aktualnie eksponowana wystawa. Żeby odpowiedzieć na oczekiwania rodziców, otworzyłam się też na aktywności mniej artystyczne, jak np. taniec, gra w szachy, wydarzenia dla dzieci i młodzieży, i chyba to właśnie zaskarbiło mi sympatię rodziców. Te działania integrowały społeczność lokalną. Na przykład z okazji Dnia Dziecka realizowaliśmy pokaz mody z papieru, dzieci same przygotowywały papierowe stroje, a my organizowaliśmy oprawę muzyczną, DJ-a i dbaliśmy, aby ich działania były twórcze. Bardzo pracowałam nad tym, aby włączyć mieszkańców w nasze projekty edukacyjne. Realizowałam np. projekt *W sprzecznym mieście*, który analizował mit łódzkiego Manhattanu jako osiedla najlepiej zaprojektowanego, najwygodniejszego, pomyślanego idealnie na standardy XXI wieku, co oczywiście okazało się nieprawdą. I udało mi się włączyć mieszkańców w to działanie, stali się bohaterami projektu. Pozostała po tym działaniu pamiątka – Klub manhattańczyka i Cafe Manhattan, miejsce integracji i spotkania mieszkańców. Organizowaliśmy koncerty, manhattańczycy byli bohaterami różnych spotkań, wyciągałam na nasze spotkania poetów, dziennikarzy, filmowców, z których wystarczy wymienić Witolda Leszczyńskiego, autora *Żywota Mateusza* – wszystkie te osoby mieszkały na Manhattanie. Takie działania naprawdę skleiły społeczność, związały ją.

Rozmawiamy o działaniach integrujących społeczność lokalną, ale wiadomo przecież, że najważniejsza w galerii jest sztuka. Zawsze mocno stawiała Pani na artystów młodych i wielu z nich przewinęło się przez mury Galerii Manhattan.

Tak, w tezach programowych założyłam, że będę promowała i pokazywała artystów młodych, ale takich, którzy reprezentują otwartość, wolność, ciekawość świata, niepokój twórczy. Wystarczy wymienić Artura Chrzanowskiego, Artura Malewskiego, Kamila Kuskowskiego, Anię Orlikowską, Agnieszkę Chojnąką, Agatę Bielską, Magdalenę Samborską czy Olę Kozioł. To młodzi artyści, którzy w pewien sposób zostali wylansowani przez galerię, na przykład Artur Malewski doczekał się nominacji do nagrody Paszportów „Polityki” w kategorii „Sztuki wizualne”. Zapraszałam też do Manhattanu artystów niekoniecznie w Łodzi dobrze znanych, którzy byli pionierami zmian w sztuce: Artura Żmijewskiego, Katarzynę Kozyrę, Zbigniewa Liberę, Grupę Ładnie, Twożywo, Pawła Althamera. Na przykład Ewa Kuryluk przyjeżdżała do Polski odwiedzić brata, który umieszczony był w zakładzie w Tworkach. Dowiedziałam się, że przyjeżdża, zadzwoniłam do Zachęty, nawiązałam z nią kontakt i zaprosiłam ją do Łodzi. Bardzo ucieszona przyjęła to zaproszenie i miała tutaj jedną z piękniejszych wystaw-instalacji, które odbyły się w galerii. Warto przypomnieć, że w tym samym czasie

jej powieść *Wiek 21* „Gazeta Wyborcza” drukowała w odcinkach, więc Ewa Kuryluk wzbudzała zainteresowanie. Udało mi się również pierwszy raz ściągnąć do Łodzi Andrzeja Stasiuka, z którym nawiązałam kontakt przez „Tygodnik Powszechny”, kontaktując się z Marcinem Świetlickim – wtedy, o czym mało kto pamięta, korektorem tej gazety. Zaprosiłam też do nas Marcina Świetlickiego ze Świetlikami i właśnie w Galerii Manhattan mieli swój pierwszy koncert w Łodzi, który zgromadził ogromną widownię, osoby niemal siedziały jedna na drugiej. Wracając jednak do Stasiuka, zapraszałam go w takim momencie, kiedy nie miał jeszcze telefonu komórkowego, nie był tak znany. Poszukiwałam go listownie i właśnie przez Manhattan po raz pierwszy trafił do Łodzi, do której przejeżdżał potem wielokrotnie.

Widać w naszej rozmowie jasno, że Manhattan był nie tylko typową galerią sztuki plastycznej, ale i pionierskim miejscem, przecierającym szlaki dla oryginalnego patrzenia na kulturę w ogóle. Można było tam spotkać intrygujących artystów, zanim stali się tak rozpoznawalnymi postaciami.

Tak, zawsze interesowała mnie sztuka alternatywna, to, co nowe i oryginalne, bo to właśnie we mnie pulsowało. Interesował mnie „brulion” i poeci z nim związani, choć oczywiście dominantą działań Manhattanu była sztuka wizualna i performance. W Galerii Manhattan właściwie królowała sztuka performance’u, byliśmy jedynym miejscem w Łodzi, które realizowało ten rodzaj sztuki. Mam tutaj zgromadzoną całą teczkę artystów, którzy przyjeżdżali do nas i zajmowali się wyłącznie performance’em. W zasadzie jesteśmy też jednym z nielicznych takich miejsc w kraju, na tej mapie znajduje się także Piotrków i Lublin.

Czy ze względu na zapraszanie artystów, którzy mają dużą samoświadomość, ale są też dość odważni w reprezentowanej przez siebie formie sztuki, spotykały Panią zarzuty o obrazoburstwo, pokazywanie nowoczesnej i dyskusyjnej formy sztuki? Słowem, czy Galeria Manhattan szokowała?

Ujawnię, że czasem szokowałam. Szokowałam, bo po raz pierwszy zaprosiłam do Łodzi Jerzego Beresia, dla którego jego nagie ciało stanowiło obiekt sztuki. Zszokowałam Jarka Lubiaka, który jest w tej chwili wicedyrektorem Centrum Sztuki Współczesnej, a wtedy był początkującym pracownikiem Muzeum Sztuki, wyraźnie go ta akcja zawstydziła i zniesmaczyła. Podobnie było po przyjeździe artystów z Rosji, grupy Nowyje Tupyje z Petersburga. W czasie swojego performance’u rzucali jajkami, więc publiczność była oburzona. Ale nie spotkałam się nigdy ze strony publiczności i społeczności skupionej wokół Manhattanu z protestami. Zdarzały się również akcje realizowane w przestrzeni samego osiedla, ale one również nie budziły żadnych protestów, więc raczej nie zdarzały się nam skandale. Była u nas na przykład Katarzyna Kozyra. Jedna z telewizji

usiłowała wywołać jakiś rodzaj sensacji w trakcie tej wizyty, ale nie udało się, wszystko przebiegło spokojnie.

Była to wizyta sprzed czasu *Piramidy zwierząt*, czy już po wystawieniu tej instalacji, kiedy Katarzynie Kozyrze przypięto łatkę skandalistki?

Już po, Kozyra pokazywała u nas na drugim pokazie w Polsce wideo-instalację *Łaźnia*, czyli stare, kąpiące się kobiety w publicznej łaźni w Budapeszcie, filmowane ukrytą kamerą. Pierwszy pokaz *Łaźni*, na który specjalnie pojechałam, odbywał się w Zachęcie. Spotkałam się tam z Katarzyną Kozyrą i zaproponowałam jej pokaz w Łodzi. Był to pokaz rozszerzony o wizerunki nagich kobiet na fotografiach tworzących paneau na ścianach galerii. Manhattan pękał tego dnia w szwach.

Jak na działalność galerii wpłynęło jej przeniesienie na Piotrkowską?

Musielśmy wynieść się, a właściwie zostaliśmy wyrzuceni z osiedla Manhattan, ponieważ prezes spółdzielni miał ogromne długi w bieżących rachunkach i zlikwidował nasze miejsce. Spodziewałam się, że aktywność łodzian na Piotrkowskiej będzie znacznie większa, ale tak nie jest. Dziś odwiedziły nas cztery osoby. Łodzianie nie są ludźmi, którzy szturmują galerie, w ubiegłym roku rozpoczęliśmy nawet akcję *Nie lękaj się sztuki*, która miała na celu zbliżenie odbiorców do sztuki. Nie bój się, spróbuj podjąć dialog. Ludzie zwykle boją się galerii, ponieważ mają problem z brakiem kompetencji kulturowych, brakuje im też treningu obcowania ze sztuką. I rzeczywiście, udało nam się tą akcją wciągnąć trochę ludzi, a niektóre osoby od tego czasu odwiedzają nas stale, więc nie było to działanie pozbawione sensu.

Galeria Manhattan ukończyła 25 lat...

Dla galerii to nie jest dużo.

Ale dla człowieka to jest dużo! Włożyła Pani w to miejsce dużo sił, energii, zaangażowania, pewnie też nerwów, bo zazwyczaj tak bywa przy działaniach artystycznych, w które wkłada się całe serce. Czy w jakiś sposób zrealizowała Pani swoje marzenia o miejscu, w którym ludzie mogą obcować ze sztuką? Czy w Galerii Manhattan to się po prostu udało?

Tak, zrealizowałam swoje marzenia. Jestem osobą spełnioną i mówię to z pełnym przekonaniem. To ogromna satysfakcja i życiowy sukces. Natomiast wszystko to odbywało się kosztem mojego życia prywatnego, nie potrafię robić dwóch rzeczy jednocześnie równie dobrze. Poświęciłam się jednej rzeczy, którą chyba zrobiłam dobrze.

Galeria to bardzo specyficzne miejsce, jeśli chodzi o dofinansowania – nie jest domem kultury, więc nie może organizować czasu wolnego, nie pełni takich funkcji jak teatr, a w związku z tym ma dość nikłe szanse na znalezienie środków finansowych.

To niestety prawda, nie ma do tej pory sposobów na sensowne finansowanie galerii, jedynym wyjściem wydaje mi się założenie stowarzyszenia i szukanie grantów w konkursach. Ja miałam też szczęście do sponsorów, którzy pomagali mi w organizowaniu wystaw, ale to są rzadkie działania. Kiedy trafiłam pod skrzydła spółdzielni mieszkaniowej jako klub osiedlowy, mogliśmy korzystać z dotacji Urzędu Miasta Łodzi dzięki porozumieniu między spółdzielnią a urzędem. To ważne, bo przygotowanie wystaw to nie tylko koszty ich organizacji, ale choćby skromne honoraria dla artystów i kuratorów.

Ostatnią wystawą w Galerii Manhattan będzie wystawa Artura Chrzanowskiego?

Artur Chrzanowski w 2002 roku zrealizował w Galerii Manhattan *Pocztówki*, pierwszy poważny projekt związany z Łodzią, a 15 grudnia 2016 kończy działalność galerii kolejną reedycją pocztówek o Łodzi, ale w innej, zmienionej formie – *Pocztówki 2002/2009/2016*.

Gdyby z 25 lat działania galerii wybrała Pani te trzy najważniejsze, najlepsze wystawy, które realizowały idealnie Pani sposób myślenia o sztuce, co by to było? Te, po których zorganizowaniu wyszła Pani jak na skrzydłach z galerii, myśląc że wszystko, co jest trudne w pracy kuratora, zwraca się dzięki tak dobrej instalacji, wystawie czy performance'owi.

Najbardziej wartościowym działaniem w programie galerii były na pewno wszystkie miejskie projekty, które realizowałam. Było ich łącznie siedem. Nawiązywały do historii i tożsamości miasta, wystarczy wymienić projekt *Kanał*, w którym odwoływaliśmy się do historii Łodzi podziemnej. Gdyby nie było tego projektu, prowadzonego z Robertem Kuśmirowskim, twórcą ze ścisłej czołówki artystycznej w Polsce, to nie byłoby też dzisiaj muzeum na placu Wolności. Po tym właśnie projekcie narodziła się inicjatywa stworzenia podziemnego muzeum [Muzeum Kanału „Dętka” – Oddział Muzeum Miasta Łodzi mieszczące się w zabytkowym owalnym zbiorniku na wodę deszczową, wybudowanym w 1926 roku z myślą o płukaniu sieci kanalizacyjnej w centrum miasta. Wystawę w kanale, która dziś jest częścią Muzeum Miasta Łodzi, przygotował Robert Kuśmirowski – przyp. red.]. Ważny był projekt *Konceptualne Muzeum* Ewy Partum, artystki konceptualnej, zajmującej się sztuką kobiecą, czy też projekt *W sprzecznym mieście*, pokazujący związku Łodzi z Warszawą. Przywołam tu także wystawę *Chodź, opowiem ci pewną historię*, która wpisywała się w nurt kultury opartej na narracji, na snuciu opowieści. Wybrałam kilku artystów, którzy w swoich pracach opowiadali pewną

historię: udało nam się ją bardzo dobrze zaaranżować i pokazać na dobrym sprzęcie elektronicznym. Wzbudziła duże zainteresowanie i odwiedziło ją wiele osób. Wszystkie te projekty są zdigitalizowane w naszym archiwum, można też o nich przeczytać w publikacji *Inne miejsce. Galeria Manhattan – 20 lat*, która podsumowywała dwudziestolecie działalności Galerii Manhattan i do której dołączona była płyta DVD. I jeszcze jedna kwestia. Dziś wszyscy zdajemy sobie sprawę z tego, jak ważna jest tożsamość miasta. A my byliśmy takim miejscem sztuki, które na początku 2000 roku dzięki projektom miejskim, jak choćby *Miasto binarne: Łódź-Warszawa*, rozpoczęło debatę o Łodzi i jej tożsamości. Wyprzedzaliśmy na dobrą sprawę debatę o mieście, mówiąc o stworzeniu jednego, wielkiego organizmu.

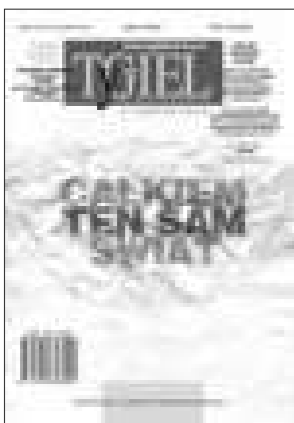
Trudno wyobrazić sobie zniknięcie Galerii Manhattan z kulturalnej mapy Łodzi po 25 latach...

Kamienica, w której znajduje się galeria, będzie rewitalizowana, ale zanim ten proces się rozpocznie, minie jeszcze pewien czas. Uważam, że przez ten czas nie powinno istnieć tutaj puste miejsce, które przejmie jakiś sklep. Być może mogłaby powstać czasowa galeria pod inną nazwą. „Dziennik Łódzki” zadał pytanie o to, co po Galerii Manhattan, włączył się w tę rozmowę Jarosław Suchan z Muzeum Sztuki i Józef Robakowski, wybitny twórca. Warto dodać, że symboliczny depozyt w postaci tablic pamiątkowych umieszczonych na budynkach, w miejscach najważniejszych wystąpień Ewy Partum w Łodzi w latach 1971-1982, przekazałam pod opiekę Dyrektora Jarosława Suchana. Być może Muzeum Sztuki mogłoby się zainteresować bogatą dokumentacją działań galerii? Sama pytam o to, co z Galerią Manhattan? Uważam, że rozdział historii pt. „Galeria Manhattan” jest już zamknięty, powinna powstać nowa galeria, z inną nazwą, znakiem graficznym i innym programem,

Czego życzyć wieloletniej kuratorce, która jednoosobowo wzniciła taki artystyczny ferment w Łodzi?

W rzeczywistości realizowałam wszystko sama, mając do pomocy jedną osobę, a nie było to łatwe. Czego mi życzyć? Chyba tego, żebym wytrwała w obecności sztuki, towarzyszyła jej i nie zdradzała, jeśli można to tak nazwać. Zastanawiałam się, co mam napisać i powiedzieć w mojej mowie pożegnalnej w czasie oficjalnego zamknięcia galerii. I pomyślałam, że najważniejsze jest to, że sztuce zawdzięczam bardzo dużo. Dzięki artystom doświadczyłam przepięknej przygody. Gdyby nie sztuka, nie przeżyłabym tak pięknego życia.

Rozmawiała **Marta Zdanowska**



Leszek Szaruga

„Puls”, czyli zabawa

1

Gdy pewnego wieczoru w roku 1976 w moim mieszkaniu pojawili się Jacek Bierezin i Witek Sułkowski, nie wiedziałem jeszcze, że wizyta ta wyrzuci mnie z przestrzeni życia oficjalnego i przeniesie w obszar „podziemny”. Przy czym owa „podziemność” rzeczywiście musi być pochwycona w cudzysłów, gdyż była to podziemność jawna, nie kryjąca się, nie konspiracyjna, ale przecież była to także podziemność podziemna, niejawna, ukryta, zachowująca zasady konspiracji. Osobliwość tej sytuacji – podobnie jak osobliwość samej „papierowej rewolucji”, będącej jednym z tych działań, które miały doprowadzić, w co niewielu jeszcze wówczas wierzyło, do rozkładu komunizmu – była wieloraka: wyrażała się nie tylko w pozornej sprzeczności między jawną i podziemną „podziemnością”, lecz także, a może przede wszystkim, w tym, że owo niekonspiracyjne konspirowanie miało w sobie niemal od początku coś z gry, zabawy, radosnego i porywającego, autentycznie kreacyjnego działania i że jednocześnie w jakiś dziwaczny sposób łączyło powagę polskich „walk narodowyzwoleńczych” ostatnich 200 lat z niepowagą spontanicznego buntu młodzieży odrzucającej świat wartości narzucany im przez dorosłych. Więcej nawet: ta niepowaga poświadczała dawną powagę. Inaczej mówiąc: komunizm, owszem, był przeciwnikiem realnym, znanym z codziennego doświadczenia, lecz jednocześnie nie był przeciwnikiem poważnym, jego jeszcze nie do końca widoczną słabość można było odczuć, obserwując jego stosunek do Zachodu, dostrzegając niewielkie i z pozoru formalne tylko, lecz zabójcze dla systemu ustępstwa w kwestii przestrzegania praw człowieka.

Tak właśnie rekonstruję okoliczności, w jakich doszło do wizyty Jacka i Witka. Zaproponowali mi wówczas współredagowanie niezależnego kwartalnika literackiego „Puls” – na kolanie, niemal w biegu, napisałem też do pierwszego numeru – ale pod krytonimem (dlaczego, o tym za chwilę) – felieton z cyklu *Nie tylko przeciw cenzurze*. I pamiętam, skąd się wziął tytuł: z programowej rozmowy o tym, czym „Puls” ma być i czym być nie chce. To drugie było chyba bardziej określone: „Puls” nie chciał być drugim „Zapism”, chciał zatem – już w kręgu „drugiego obiegu”: „Zapis” był pierwszym pismem literackim w tej przestrzeni na obszarze między Łabą i Kamczatką – zakwestionować model pisma typu akademickiego, pisma redagowanego bardzo serio, w klimacie

„poczucia misji”. W pierwszym numerze pisaliśmy: *„Puls” nie powstał przeciw cenzurze, która nie jest przecież przyczyną, lecz skutkiem zła. Nie jest on również almanachem „odrzutów” cenzury. Nie jest też pismem pokoleniowym. Nie chcemy formułować swojego programu. Linia pisma powinna być widoczna z treści numerów. Nie ukrywamy jednak, że skłonni jesteśmy preferować literaturę społeczną, to znaczy taką, w której pisarz subiektywnie rejestrując fakty i kreując obraz świata w sposób artystyczny wyraża uczucia współczesnego człowieka i jego przygody duchowe, a tym samym pozwala czytelnikowi na syntezę, która w liberalnym modelu kultury nazywała się prawdą. Ale przecież, wbrew deklaracjom, w pewnym sensie „Puls” był pismem pokoleniowym, choć podobnie jak „Zapis”, a później i inne pisma „wydawane poza zasięgiem cenzury” był otwarty także dla starszych i młodszych, co nie znaczy, iż nie stosował w doborze materiałów swego własnego klucza.*

Gdyby dziś ów kod odtworzyć – można by, kartkując pierwsze numery, wskazać na zaplot dwóch wątków: niepowagi groteskowego pisarstwa Witolda Gombrowicza oraz buntowniczej tonacji amerykańskiej beat generation reprezentowanej na kartach „Pulsu” w przekładach poezji Ferlinghettiego i Ginsberga. Było w tym sporo prowokacji: zarówno wobec pozostawionego na zewnątrz systemu totalitarnego, jak wobec swego rodzaju „namaszczenia” i powagi części działań opozycyjnych. Było też w tym nieco ryzyka, lecz w istocie nie aż tak wiele. Oczywiście: nikt nie był w stanie przewidzieć zachowań władzy, która mogła w każdym momencie „zaostrzyć kurs” i zastosować brutalną przemoc, jednakże nikt w taki obrót rzeczy nie wierzył, choć też na pewno nikt nie angażował się w działania opozycyjne bez lęku o swój własny los – represje nie były co prawda zbyt brutalne, były jednak dotkliwe, czasami bolesne.

Owego wieczoru, gdy zostałem przez mych przyjaciół zaproszony do uczestnictwa w nowej przygodzie, musiałem rozważyć wszystkie konsekwencje, jakie decyzja o współredagowaniu „Pulsu” mogła za sobą pociągnąć. Konwencja jawnej podziemności oznaczała bowiem ogłoszenie publicznie: oto ja, niżej podpisany, występuję otwarcie przeciw sprawującym tu władzę komunistom. Żadna władza totalitarna takich deklaracji raczej nie lubi i gdy do nich dochodzi, stara się uprzykrzyć życie tym, którzy je składają. Musiałem się zatem nastawić na swoistą „przesiadkę”, co rzecz jasna nie mogło nastąpić natychmiast, tak się albowiem złożyło, iż akurat kończyłem studia, za „ujawnienie” swej obecności w „drugim obiegu” mógłbym zostać relegowany z uczelni – choć w bałaganie, jaki już zaczął dezorganizować system w latach 70. nie było to przesądzone. Założyłem wszakże, iż „podziemie” może na mnie poczekać, zaś studia ukończyć powinienem. Podobne problemy miały i inne osoby decydujące się na podjęcie współpracy ze środowiskami opozycyjnymi: ktoś finalizował właśnie umowę na scenariusz, ktoś czekał na oficjalne wydanie książki, czyjś syn miał zdawać maturę. Niewielu ludzi „wskakiwało” w przestrzeń opozycyjną spontanicznie, choć zdarzały się i tutaj akty desperackiej brawury.

Moją obecność w zespole redakcyjnym – podobnie jak i innych koleżanek i kolegów, którzy od początku znaleźli się w kręgu osób z „Pulsem” związanych – ujawniono dopiero w drugim numerze. Od tego też momentu mogłem się spodziewać wszelkich

możliwych konsekwencji, czyli mniej lub bardziej znośnych represji. Wyjazdy zagraniczne od razu mogłem sobie, podobnie jak olbrzymia większość ludzi opozycji, wybić z głowy: wydanie paszportu było w komunizmie na ogół formą nagrody za „dobre sprawowanie”. Mogłem oczekiwać wczesnorannej wizyty ekipy tajnej policji, które to ekipy nie wiedzieć czemu właśnie gdzieś około szóstej rano nasyłano do domów ludzi zaangażowanych w niezależną działalność wydawniczą: istotą owych wizyt, którymi na szczęście zaszczycono mnie ledwie kilka razy, było przeprowadzanie rewizji „w celu odnalezienia przedmiotów związanych z działalnością przestępczą”, a efektem ich był na ogół, poza totalnym bajzłem w całym mieszkaniu, zabór maszyny do pisania, notatek, notesów adresowych, nierzadko też rzecz się kończyła wyposażeniem pomieszczeń w dobrze ukryte gadżety stanowiące dla policji całego świata przedmiot specjalnego kultu, czyli w aparaty podsłuchowe – Jacek Bierezin wydobyl kiedyś taki przedmiot, toporny dosyć i poświadczający tym samym techniczne zacofanie komunistów, z przewodu wentylacyjnego, co spowodowało natychmiastową rewizję i przede wszystkim konfiskatę znaleziska.

Podsłuch – częściej zaś jego wyobrażenie – w dużej mierze kształtował sposób bycia środowisk opozycyjnych. Zamiast mówić o pewnych sprawach, pisało się o nich – w wielu domach naszych przyjaciół na stołach leżały karteczki i ołówki pozwalające bez przeszkód się komunikować, przede wszystkim ustalać terminy i miejsca spotkań związanych z „wywrotową robotą”, ale także przekazywać inne informacje nie przeznaczone do wiadomości milicji. Rzecz w tym, iż konwencja jawnej podziemności dotyczyła tylko części działań – wyłączona z niej była m.in. sfera przedsięwzięć technicznych: organizowania papieru, lokalizacji podziemnych drukarni, kolportażu itd. Tego się trzeba było nauczyć, bo jednak owa „zabawa w policjantów i złodziei” nie była zupełnie niewinną dziecięcą grą, zaś ludzie „pionu technicznego” z zasady niemal byli traktowani brutalniej niż „opozycjoniści pierwszej linii” i przy całej niefrasobliwości wielu naszych przyjaciół pewne zasady konspiracji musiały być i na ogół były przestrzegane.

2

Nie zmienia to faktu, iż krąg „Pulsu” nieźle się redagowaniem pisma bawił, co było zapewne jedną z głównych cech różniących to środowisko od wielu pozostałych redakcji, przede wszystkim zaś od „Zapisu”. O „zabawowym” charakterze pisma świadczą zarówno felietony, jak powołanie do życia działu zatytułowanego *Przegląd kulturalny i niekulturalny*, sposób układania kronik, rodzaje redakcyjnych anonsów itp. „Puls” sytuował się p o m i ę d z y fałszem oficjalnego życia kulturalnego i pozą kulturalnego życia opozycji. To, rzecz jasna, też była poza, lecz starała się postawić na autentyczność i spontaniczność działania, swego rodzaju naiwność, ale też dążenie do rewidowania wszystkich narzucanych z zewnątrz „regulaminów postępowania”. Przykładem owej wyreżyserowanej naiwności może być po raz pierwszy zainicjowany w kręgu kultury niezależnej cykl dyskusyjny na temat zaangażowania intelektualistów po stronie komunizmu – naruszone zostało w ten sposób uniemożliwiające „dochodzenie do siebie” tabu, co w pierwszej

chwili wywołało komentarze dość nieprzychylnie, w dalszej jednak perspektywie okazało się wyprzedzeniem tendencji do samooczyszczenia się środowisk inteligenckich, jakie pojawiły się w latach osiemdziesiątych. Przy czym istotne wydaje się podkreślenie faktu, iż nie chodziło tu o formułowanie oskarżeń czy domaganie się jakichś aktów „samokrytyki” ze strony byłych komunistów obecnie znajdujących się (lub nie) w opozycji do systemu, lecz o próbę zrozumienia mechanizmu owego akcesu po roku 1945. Przy czym warto podkreślić, że tropieniu „odchyleń lewicowych” towarzyszyło także wskazywanie na niebezpieczeństwa „odchyleń prawicowych”, co może najlepiej pochwycił Jacek Bierezin w felietonie zatytułowanym *Głupstwo rządowe i głupstwo antyrządowe*.

Tytuł ten oddaje w pewnej mierze poetykę pisma, które z jednej strony wskazywało na niebezpieczeństwa cenzury, z drugiej demaskowało odciskanie się negatywu cenzury w propagowanym w obiegu niezależnym obrazie świata. Nic zatem dziwnego, że dominowała tu groteska – np. we fragmentach nigdy nie zakończonej powieści Sułkowskiego *Dysiek* – oraz prowokacja intelektualna, także zresztą obyczajowa (choćby w poemacie Antoniego Pawłaka *I śmierć, wiele śmierci...*).

Nie miejsce tu na „naukowe” omówienie dorobku „Pulsu”, zrobiłem to gdzie indziej. Istotne wszakże wydawało mi się odtworzenie klimatu, w jakim redakcja pracowała, wskazanie miejsca pisma na mapie prasy polskiej, a jest to miejsce niejako prekursorskie wobec tego, co prezentowały w połowie lat 80. pisma „drugiej generacji” obiegu niezależnego: „brulion” i „Czas Kultury”. „Niezależność w niezależności”, będąca niewątpliwie ideałem redakcji, nie oznaczała jednak braku dyscypliny – dbałości o nią nie przeszkadzały liczne mimo wszystko kłopoty ze służbami specjalnymi, owe rewizje i przesłuchania, niekiedy zatrzymania redaktorów w aresztach, pomagały natomiast owej dyscyplinie nie tylko sympatyczne wsparcia finansowe, lecz także współpraca dziesiątek osób nam pomagających, dziś anonimowych, a i wówczas pozostających w cieniu, wiedzących jedynie, że „tak czynić należy”.

Wspominam o nich nie przypadkiem. Owo „tak czynić należy” było chyba najbardziej uniwersalną formułą wyznaczającą motywy naszego działania – działania tych wszystkich, którzy w kręgu „Pulsu” się znaleźli: redaktorów, przyjaciół, współpracowników, kolporterów, także i czytelników, tych przynajmniej, którzy deklarowali przywiązanie do formuły pisma. Jeśli mój felieton, który pisałem systematycznie do roku 1981, zatytułowałem *Nie tylko przeciw cenzurze*, to właśnie dla podkreślenia, iż biorę udział w inicjatywach „Pulsu” nie tylko „przeciw” i nawet nie przede wszystkim „przeciw” systemowi, lecz przede wszystkim „dla” – dla literatury, dla siebie, dla innych. Nie chciałem – a myślę, że nie była to jedynie moja postawa – realizować się w artykulacji programu negatywnego, tym bardziej, że to co złe, było widoczne gołym okiem, nie trzeba było wielkiego wysiłku intelektualnego, by wskazać jego podstawy i przejawy.

Nie postawa polityczna była dla nas najważniejsza, choć oczywiście sprzeciw wobec komunizmu tworzył ową najogólniejszą płaszczyznę współbycia. Najważniejsze chyba było bycie sobą, obrona spontaniczności, niechęć do polityki pojmowanej jako rozwiązywanie zagadek taktycznych i strategicznych, jako „gra innymi”. My graliśmy czy też

bawiliśmy się przede wszystkim sobą i dla siebie – a tym samym, jak nam się przynajmniej zdawało, także dla innych. Nie znaczy to, że nie byliśmy uwikłani w politykę. Wówczas takiego uwikłania uniknąć się nie dało – wszystko było jakoś „polityczne”, nawet deklarowanie niechęci do polityki, a już na pewno redagowanie pisma w drugim obiegu. Nawet wtedy, gdyby miało to być pismo o kwiatkach, motylkach i miłości. Zresztą nie odcinaliśmy się od owej „polityczności”, chcieliśmy być identyfikowani z opozycją demokratyczną, byliśmy dumni z tego, że znajdujemy się w pewnej wspólnocie ludzi odważnych i uczciwych. Prawdę mówiąc, nie mogłem się nadziwić temu, że się właśnie w tym kręgu znalazłem, że zdecydowałem się przełamać swoje obawy i lęki: z jednej strony było to bowiem oczywistością, z drugiej czymś niemal nieprawdopodobnym – ta sprzeczność odczuć towarzyszyła mi cały czas.

Ale przecież nie owa „polityczność” była w tym wszystkim rzeczą najważniejszą.

3

Wielokrotnie zastanawiałem się nad tym, czy można sensownie mówić o jakiejś formacji „Pulsu” i przyznam, że nie mam na ten temat wyraźnie ukształtowanego sądu. Z jednej strony bowiem trudno wyodrębnić krąg „Pulsu” z całości środowiska opozycyjnego, zwłaszcza KOR-owskiego, z drugiej jednak można z pewnością wskazać – czyniłem to w poprzednich fragmentach tego tekstu – jakieś cechy specyficzne właśnie dla naszej redakcji i okolic. Ale też już pisząc poprzednie zdanie, zdałem sobie sprawę z faktu, iż wszystko to wcale przecież tak jasne nie jest.

Zwróciłem uwagę na fakt, że byliśmy związani bardziej z KOR-em niż z innymi środowiskami opozycji demokratycznej. Ale przecież to nie do końca tak było. Sułkowski i Bierezin, aresztowani swego czasu w „sprawie Ruchu”, mieli świetne kontakty z bardziej pravicowo czy narodowo nastawionymi kręgami reprezentowanymi choćby przez Stefana Niesiołowskiego – związki (nie tylko przecież towarzyskie) z tymi kręgami były w Łodzi czymś naturalnym i oczywistym. Poza tym zawsze istniała kwestia: który KOR? KOR, który dla szerszych kręgów stanowił środowisko dość jednolite, dla nas wyraźnie się dzielił na dwa KOR-y – jeden określaliśmy w rozmowach mianem „czarnego września”, drugi nazywaliśmy „czerwonymi pajakami” (nie trzeba chyba podkreślać, iż oba terminy miały charakter ironiczny, choć przypadkowo ich kolorystyka dobrze nawiązywała do odmiennych tradycji, jakie z jednej strony tworzyły harcerskie korzenie poszczególnych działaczy – warszawska „czarna jedyńka” Macierewicza i Naimskiego oraz „czerwone harcerstwo” Kuronia), choć może bardziej sensowne byłoby mówienie o grupie „Głosu” i grupie „Krytyki” i „Biuletynu Informacyjnego”.

Gdy dziś odtwarzam klimat rozmów redakcyjnych i dyskusji, jakie toczyliśmy, za rzecz najważniejszą uznać muszę dystans, który nas dzielił od wszystkich tych wyraźnie już politycznych ugrupowań. Z jednej strony występowaliśmy bowiem przeciw zamazywaniu czy wręcz fałszowaniu komunistycznej przeszłości wielu działaczy opozycyjnych, z drugiej jednak obawialiśmy się instrumentalnego wykorzystania owej przeszłości.

Z jednej strony raziła nas patriotyczno-narodowa retoryka, z drugiej drażniła przesadna ostrożność w deklarowaniu dążeń niepodległościowych. Na pewno sytuowaliśmy się tutaj w jakimś „pomiędzy”, w przestrzeni środka czy może raczej w obszarze politycznej naiwności, która odrzuca w opisie rzeczywistości względy taktyczne.

Przy czym nie należy zapominać o tym, że praca redakcyjna, choćby czasem nawet bardzo intensywna, stanowiła w zasadzie dla większości z nas ledwie margines naszej życiowej aktywności. Stanowiliśmy środowisko dość spójne, lecz była to spójność dość elastyczna, rozluźniona – zawsze mogliśmy się skrzyknąć, rozumieliśmy się doskonale, lecz każdy szedł własną ścieżką, miał swoje problemy zawodowe (ja na przykład pracowałem w miesięczniku „Hotelarz”), zarobkowe itp. Zarazem środowisko „Pulsu” to była grupa o wiele większa niż ścisły zespół redakcyjny. Po części była to grupa skupionych wokół nas autorów, ale nie można tego powiedzieć o wszystkich spośród nich – w końcu „Puls” drukował teksty autorów i redaktorów innych czasopism drugoobiegowych. Pulsowe środowisko tworzyły też grupy czytelników i sympatyków – policzyć ich niepodobna. Z pewnością trudno też określić ich jako grupę o podobnych bądź choćby tylko zbliżonych postawach ideowych. Otwartość na różnorodność była bez wątpienia jedną z cech podstawowych tego środowiska. Granice tolerancji były wszakże dość wyraźnie określone – odrzucano tu wszelkie postawy totalitarne i kolaboranckie. Bez wątpienia jednym z istotnych elementów spoiwa tego środowiska – podobnie zresztą jak szeroko pojmowanego kręgu całej opozycji demokratycznej – było poczucie zagrożenia i opresji oraz związana z tym gotowość wzajemnej pomocy.

4

Bez wątpienia geograficzny punkt ciężkości „Pulsu” znajdował się nie w Warszawie, lecz w Łodzi. Warszawiacy w redakcji to ludzie raczej z obrzeży niż z centrum opozycyjnego życia stolicy – dotyczy to w takim samym stopniu mnie, jak Janusza Andermana, Antoniego Pawłaka czy nawet Tadeusza Walendowskiego, w którego warszawskim mieszkaniu, odziedziczonym po Melchiorze Wańkowiecu, funkcjonował dość znany dość w drugiej połowie lat 70. „salon artystyczno-polityczny” czy Dom Kultury Niezależnej, otwarty zresztą na różne opcje – można tu było spotkać ludzi tak różnych, jak Jacek Kuroń i Adam Bromke.

Grupa łódzka była dość liczna – poza najbardziej aktywnymi Jackiem i Ewą Bierezinami oraz Witoldem Sułkowskim, wspomnieć tu trzeba o Zbigniewie Dominia-ku, współredaktorze pisma od pierwszego numeru, Zdzisławie Jaskule, także o trojgu świetnych tłumaczy – z rosyjskiego Michale Jagielle, z niemieckiego Sławie Lisieckiej, z angielskiego zaś Piotrze Bikoncie. Tu, w Łodzi, wydawane były bibliofilskie serie „Pulsu”, nad których edycją czuwał przede wszystkim Bartosz Pietrzak. Tu także odbywała się część spotkań redakcyjnych, tu też przede wszystkim toczyło się bogate i niezmiernie dynamiczne życie towarzyskie pulsowego środowiska, które stanowiło przedmiot nie tylko obyczajowego zainteresowania służb bezpieczeństwa – w tak bowiem balujące

towarzystwo łatwo zapewne było wetknąć ubecką wtykę. Jeśli się to nawet udawało, efekty owych przedsięwzięć były żałosne.

Łódzkość pisma była zresztą w oczach niektórych obserwatorów jednym z jego watorów, sytuowała je bowiem w ich przekonaniu poza sferą wpływów „warszawki”, co prawdą było zapewne tylko połowicznie, gdyż Bierezin, nie przypadkiem wybrany później na redaktora naczelnego kwartalnika, człowiek o silnie rozwiniętym zmyśle towarzyskim i potrzebie przebywania w kręgu oddziaływania centrów owego życia – a nie od rzeczy będzie przypomnieć, że klimat życia towarzyskiego miał w środowiskach opozycyjnych pewną atrakcyjną dla wielu specyfikę, zaś uczestnictwo w dość w końcu licznych przyjęciach imieninowych czy urodzinowych, służących przecież nie tylko zabawie, dla wielu było jednym ze sposobów samorealizacji – coraz częściej i dłużej właśnie w Warszawie przebywał. Ale też łódzkość „Pulsu”, jego częściowa przynajmniej „prowincjonalność”, rzeczywiście pozwalała funkcjonować na obrzeżach działalności opozycyjnej, pozwalała na zachowanie wobec niej pewnego dystansu – o tyle przynajmniej, o ile to było wówczas możliwe. Pozwalała też na grzech naiwności czy zachowanie postawy chłopka-roztropka dostającego się na salony literackie i zadającego „niewygodne pytania”. Być może właśnie ów „prowincjonalny” status „Pulsu” sprawił, że to tutaj, a nie gdzie indziej, rozpoczęła się dyskusja na temat socrealizmu – trwała niedługo, ale też nie tylko dlatego, że już w roku 1980 pojawiły się ważne problemy doraźne, które sprawiły, iż plany kwartalnika musiały ulec zmianie, ale i z tego powodu, że nie wszyscy zaproszeni do dyskusji wzięli w niej udział. Jednym z nich był Tadeusz Konwicki, który rzecz skomentował we *Wschodach i zachodach księżycy* następująco: *Największą ciekawość owego okresu zaczęli objawiać literaci z zakamarków opozycyjnych. Nawet mnie, a może przede wszystkim mnie wzięli w obroty na okoliczność przestępstw z czasów stalinowskich. (...) I wydało mi się, że ta ciekawość jest odrobinę nieczysta, jak zainteresowanie pornografią. (...) A wtedy raptem wypetziło gdzieś spod łóżka pewne brzydkie podejrzenie. Otóż przeląknęłam się myśli, że młodzi koledzy chcą nas, starszych kolegów, schwycić za jaja i trzymać w potrzasku, w delikatnym szantażu, w czujnym przymusie. Że mając stale przed oczami wywleczoną przez młodzież swoją występłą przeszłość będziemy bardziej miękcy w negocjacjach o miejsce w literaturze, o wieńce, o rządy dusz.*

Rzecz wcale nie jest marginalna. Wydaje się bowiem, że właśnie sprawa stalinizmu i socrealizmu od początku była jednym z najsilniejszych spoiw zespołu redakcyjnego „Pulsu”. Pojawiła się ona w związku z „Zapisem” i spostrzeżeniem, że krótkie noty bio-bibliograficzne prezentujące w każdym z numerów pisma jego autorów, pozbawione były jakichkolwiek danych dotyczących owego „wstydlwego okresu”. Postanowiliśmy więc podjąć na ten temat dyskusję, zdając sobie jednak sprawę z faktu, że taka rozmowa do łatwych nie będzie należała nie tylko ze względu na zrozumiałą skądinąd niechęć samych zainteresowanych do odgrzebywania niezbyt dla nich chlubnej przeszłości, ale przede wszystkim ze względu na relacje między oficjalnym i podziemnym życiem literackim. Temat stanowił tabu dlatego właśnie, że propaganda komunistyczna z lubością wyciągała socrealistyczny epizod życiorysów Andrzejewskiego, Bocheńskiego czy

Woroszyńskiego, by w ten właśnie sposób „demaskować” ich koniunkturalizm. Argument – podnoszony zresztą później przez Zbigniewa Herberta w rozmowie z Jackiem Trznadłem w *Hańbie domowej* – mówiący, że płodząc socrealistyczne teksty późniejsi odstępcy opływali w dostatki, zaś przestali tak pisać wówczas, gdy to się przestało opłacać, zaś korzyści przynosiło kokietowanie Zachodu swą opozycyjnością (ale utrzymaną koniecznie w lewicowej tonacji, a więc z punktu widzenia intelektualistów zachodnich cywilizowaną), otóż argument ten, nieustannie powtarzany przez komunistów, miał dyskredytować całą opozycję, a przede wszystkim miał zasiać wątpliwości dotyczące czystości moralnej jej działaczy.

Otóż w naszych próbach dotyczących wyświetlenia prawdy o przeszłości chodziło przede wszystkim o uwolnienie się od tego rodzaju myślenia. Zrozumienie mechanizmów, które skłoniły przed laty naszych kolegów i przyjaciół do wyboru komunistycznej opcji, nie miało służyć żadnemu demaskowaniu, miało raczej na celu obnażenie sensu owych propagandowych „demaskacji”, ale też jednocześnie chodziło nam chyba o coś znacznie poważniejszego: o zdemaskowanie wszelkiego rodzaju manipulacji, jakich dokonuje się w imię społecznej inżynierii, niezależnie od ideologii, jaka do tego typu praktyki jest doczepiana. Rzecz bowiem w tym, iż niewielu chyba w naszym gronie nie wierzyło w autentyczny entuzjizm owej ideologicznej „złej wiary”, ale zarazem nie mogliśmy pojąć, jak owa wiara, niezależnie od stopnia żarliwości, może pozwolić na uznawanie teorii kwantów za „burżuazyjną pseudonaukę” lub na mówienie o „słusznej prawdzie” odróżnianej od prawdy niesłusznej. Jak się niebawem miało okazać, Andrzej Wajda w *Człowieku z marmuru* ukazał kogoś takiego jak my, wykreowanego zresztą znakomicie przez naszą rówieśnicę Krystynę Jandę. Jak ona przeszukiwaliśmy archiwa, przeglądaliśmy stare dokumenty, grzebaliśmy w życiorysach nie po to, by coś demaskować, lecz po to, żeby wiedzieć, skąd się to wszystko wzięło. Bo choć oczywiście wiedzieliśmy, iż podparte to zostało sowieckimi bagnetami, wiedzieliśmy też, że nie te bagnety wymuszały polityczne wybory artystów – przynajmniej nie tych, których znaliśmy. Chcieliśmy więc bardzo, by tabu przestało działać, by można było o tym wszystkim mówić otwarcie, bez kompleksów, ale i bez redukowania sprawy jedynie do ocen politycznych. Poszukując, błędziliśmy zapewne, raniliśmy ludzi sobie bliskich, nie wiedząc jeszcze, że pewnych spraw wyjaśnić do końca się nie da, nie da się wszystkiego łatwo posegregować i zapakować do oznakowanych jednoznaczными etykietkami szufladek. Tworzyliśmy kartotekę, która rozsypywała się nam w rękach.

Gdy mówiliśmy o sobie, sadowiliśmy się w szeroko pojmowanej przestrzeni „pokolenia 68”: naznaczonego i przez polski Marzec, i przez Praską Wiosnę z polskimi czołgami na ulicach Pragi, i przez paryski Maj, i przez bunt studencki w Republice Federalnej, po części także przez wydarzenia w Stanach, ale nie przez skrajny bunt kontrkultury

Zachodu, wyrażający się w hasła palenia bibliotek, nie przez radykalne postawy Zachodnich lewaków wydających i zaczytujących Lenina czy Mao, nie przez terrorystyczne akcje Czerwonych Brygad czy Frakcji Armii Czerwonej. Myślę, że niewygodnie było się nam sytuować w podziale „lewica-prawica” (byliśmy skłonni raczej kwestionować niż uznawać jego funkcjonalność), ale też nie umieliśmy, przy rozumieniu źródeł buntu naszych zachodnich koleżanek i kolegów, podzielać ich przekonania o tym, że „lepiej być czerwonym niż martwym”, oburzała zaś nas i złościła ich postawa nakazująca „nie czytać Solżenicyna”, zakładająca, że musi on kłamać.

Życie bez kłamstwa, życie w prawdzie stanowiło nasz program minimum i po latach bez wątplenia dla wielu z nas – otwartych przecież na świat i dopływające z niego idee – swego rodzaju szokiem stało się demonstrowanie przekonania o tym, że można prawdę odrzucić, że nie da się jednoznacznie i dla wszystkich ustanowić jakiegoś jej kryterium. Nie bez lęku pomyśl taki przyjmowaliśmy jako przedłużenie owej antysołżenicynowskiej postawy naszych zachodnich rówieśników z lat 60. i 70. Ten lęk wynika również z faktu, że można zakwestionować także te „wielkie narracje” naszego doświadczenia, jakim były nazizm i komunizm. Okazuje się nagle, że tego nie było. Że, jak pisze dziś Różewicz w *Recydingu*, nie było też Holocaustu. Nie godziliśmy się i wielu z nas nadal się nie godzi z przekonaniem, że można bawić się bólem, rozpaczą i śmiercią przekształcając te doświadczenia w „grę intelektu”.

Z drugiej strony od początku nie przepadaliliśmy za pierwszą osobą liczby mnogiej. Nie znaczyło to, iż nie istniała wspólnota doświadczeń. Oznaczało to jednak, że naprawdę sobą stajemy się dopiero poza ową wspólnotą. To zresztą musiało prowadzić do napięć i konfliktów, które jednak, sądzić należy, nie należały do naszej wyłącznie specyfiki. Gdy bowiem spojrzeć z dystansu, nie ulega wątpliwości, że większość instytucji opozycyjnych w owym czasie, a już z całą pewnością redakcje pism niezależnych, gromadziła jeśli nie ludzi o cechach przywódczych, to w każdym razie niepokornych i niechętnie poddających się woli innych. Fakt, iż mimo to pisma owe wychodziły, graniczy niemal z cudem. I nie ulega też wątpliwości, że owa wspólna praca redakcyjna była doskonałą szkołą dyscypliny, w której budowanie każdego numeru pisma stanowiło jedyną i niepowtarzalną lekcję. Nauczyliśmy się nie tylko osiągania kompromisów, lecz przede wszystkim może tego, że są czy – delikatniej mówiąc – mogą być one wartością.

Złośliwi mogliby w tych ostatnich zdaniach odnaleźć echo Grochowiakowskiego stwierdzenia o buncie, który się ustatecznia. I zapewne coś w tym jest, lecz jednocześnie wiele prawdy jest w odkryciu poczynionym właśnie gdzieś w połowie lat 70. w wierszu Adama Zagajewskiego, którego bohater z niejakim zdumieniem stwierdzał, iż jest „zwykłym obrońcą praw jednostki”. Co było i chyba nadal pozostaje prawdą.

Leszek Szaruga

Pierwodruk: „Tygiel Kultury” 1-3/2008



Tina Stroheker

Niedziela u poety

(ul. Wodna, Łódź, 12 listopada 2000)

Zagmatwane, piękne i smutne sploty wypadków. Tu, w Eislingen, w pobliżu Stuttgartu, kiedy pisałam poniższy krótki tekst, myślałam w ostatnich dniach bardzo intensywnie o Zbigniewie Dominiaku, między innymi o jednym z naszych spotkań w Łodzi. Przy tej okazji znów zjrzałam do jego wierszy (niestety, zbyt zawitych jak na moją znajomość polskiego). Nie wiedziałam o jego ciężkiej chorobie. Tekst był już gotowy, kiedy następnego ranka dowiedziałam się o niej, a wieczorem o jego śmierci. W felietonie nakreśliłam ze świadomą lekkością i humorem typowe problemy z życia poetów. Fakt, że musimy teraz czytać ten tekst jako nekrolog, jest bardzo smutny.

Eislingen, 8 lutego 2002

Piękna, zadziwiająca przemiana: w niedzielę poeci stają się ojcami rodzin. W niedzielę napominają dzieci, aby zachowywały się grzecznie przy stole, biorą na ręce kota, może nawet stawiają na stole sól i pieprz. W niedzielę witają się z żonami, które podobnie jak oni spędzają dni powszednie poza domem, w niedzielę gawędzą z teściową. Ubierają wygodną kamizelkę i wcale nie muszą silić się na dowcip, nawet kiedy mają gości. Niedziela jest przyjemna, chociaż poeci znów szybko stają się niespokojni i chcą usiąść przy swoim biurku.

Jestem zaproszona. Zbyszek zaprosił mnie na niedzielny obiad. Mam dużo czasu, obiad w Polsce jest dopiero około trzeciej. Zbyszek jest łódzkim autorem, którego poznałam w mieście partnerskim Łodzi, w Stuttgarcie. Podczas naszego pierwszego spotkania siedział w Domu Pisarzy przed stołem manuskryptów stuttgarckich autorów, z których chciał wybrać teksty dla literackiego czasopisma „Tygiel Kultury”. Czasopismo to przedstawia w nieregularnych odstępach czasu literaturę miast partnerskich, piętnastu, jeśli się nie mylę. Zaczęliśmy rozmawiać i od tego momentu wiem, że Zbyszek kocha język, kocha jego tysiącakie meandry. Kocha go tak bardzo, że pełnym, męskim głosem mówi bardzo szybko, tak szybko, jakby chciał także jako mówiący możliwie intensywnie wykorzystać swój czas na ziemi albo jakby słowa wprost napadały



for. Mateusz Nowaczyk

na niego, a on próbował nadążyć za tempem tych ataków. Kiedy przed kilkoma dniami przyjechałam z Poznania do Łodzi na odczyt, przyszedł po mnie na dworzec. Na jego pytanie „Jak było w Poznaniu?” odpowiedziałam zmęczona „Ładnie”, a on stwierdził ze śmiechem: „Tu nie jest ładnie, w tej Łodzi”. Tkliwa duma z tzw. „brzydkiego miasta” podobała mi się. Akceptuję (choć nie biorę tego zbyt poważnie) również to, że łódzki poeta zachowuje się szorstko i trochę w stylu westernowym, żeby nie pomyłono go z poetą z Poznania albo wręcz Krakowa. Myślę, że Zbyszek rozumie to tak samo.

Zbyszek podarował mi wtedy w Stuttgarcie niemieckie tłumaczenie wiersza *Dortheenstädtischer Friedhof, 1 lutego 1998*, zainspirowanego berlińskim cmentarzem i grobem Hegla. Najpierw poczułam się po prostu poruszona – te niemieckie słowa w tekście polskiego kolegi! „Hölderle”... Wrażenie wywarł na mnie przede wszystkim sposób, w jaki elementy niemieckiej literatury przeplatają się z postaciami i wydarzeniami pruskiej, polskiej, rosyjskiej i francuskiej historii (jesteśmy w XIX wieku!) i jak dzięki temu powstaje spójny, europejski „tekst”, czyli „tkanina”. Obok Hegla spotykamy tu studenta Sanda, Aleksandra von Humboldta i właśnie Hölderlina, a także podejrzanego czarnego pudła. Jest trochę tak, jakby wszyscy umówili się na pogaduszki, tak jak w Rosji rodziny i przyjaciele spotykają się na Wszystkich Świętych przy grobach zmarłych, rozmawiają ze sobą, jedzą i piją. Przede wszystkim jednak wiersz jest dialogiem między apologetą „Vernunft” (rozumu) i „nieroztropnymi” i „łzawymi”. Porozumienie nie jest łatwe: jest to dialog prusko-polski, polską stronę reprezentuje (ma się rozumieć) Herr von Mickiewicz, który poprzedza tekst trafnym mottem: *Chadzam na Hegla. Dwie lekcje zajęła różnica między Vernunft i Verstand.*

Zdecydowałam, że pójde do Zbyszka na piechotę, dla podróżującej droga jest też często celem. I patrzcie, muszę przejść ulicą Tuwima – ulicą, której patronuje poeta, idzie poetka do poety. Ulica jest smutna i dość podupadła. W jednym z raczej podłych domów Tuwim spędził dzieciństwo. W ogóle okolica staje się coraz nędzniejsza, starsze bloki i wielkie, wysokie, socrealistyczne budownictwo płytowe przypominają atmosferę niektórych ulic Bronxu czy Brooklynu. „Tu nie jest ładnie, w tej Łodzi”. Prawie nie spotykam ludzi, niedzielna pustka, tylko w otwartym, niezbyt atrakcyjnym supermarkecie w betonowym kompleksie, gdzie mieszka Zbyszek, panuje nieco większy ruch. Chudy pies na długich łapach biega między regałami. I wreszcie nadszedł czas stawienia się na rodzinnym obiedzie, u „kolegi”, u zakochanego w słowie i mowie poety.

Stoi we wzorzystym swetrze pod drzwiami mieszkania, wygląda jak zwykle, trochę zmęczony i blady, patrzy po bratersku (czy wręcz po ojcowsku?) i zaprasza mnie do środka. Jedzenie pachnie, zostają przedstawiona żonie i teściowej. Przez otwarte drzwi pokoju widzę rozgardiasz i dwie dziewczynki, które się ze mną witają, a potem przechodzimy do pokoju stołowego. Zbyszek z czułością i odrobiną dumy podprowadza małą córeczkę do stołu. Czy to ona występuje w jego pięknym, krótkim wierszu (ojciec jako poeta)?

Ponad cierniem

*über, o über
dem Dorn
(Paul Celan)*

*Gdy w pięćdziesiątym roku życia
Idę z trzyletnią córką skrajem lasu
Omijając kolczaste pędy Widzę jak kropla
Światła na liściu jeżyny przeważa nagle
Zieloną szalę Wprawia w ruch powietrze*

Klasyczny polski obiad niedzielny zostaje podany (przez kobiety!). Rozpoczyna się barszczem czerwonym, potem jest ryż, kluski, kurczak i sznycel, sałata, ogórki, na koniec kompot z czereśni. Dorośli mają też od początku wódkę do soku. Mała patrzy na mnie i dziwi się, „jak śmiesznie mówi ta pani”. Można to wytrzymać, ma rację. Zbyszek dzieli ze swoją żoną, która jest naukowcem, dyskretny nadzór nad dziewczynkami, upomina delikatnie raz tu, raz tam. Do pokoju wchodzi kot, Zbyszek bierze go na ręce, kot jeży się, zeskakuje na podłogę.

Po obiedzie Zbyszek zabiera butelkę wódki i prowadzi mnie do swojego gabinetu, najprzytulniejszego, jak mi się wydaje, pokoju w całym domu. Od razu czuję się w nim swojsko. Jest małe, każde miejsce wykorzystane na regały. Książki, książki, książki. Także wiele starszych, matowe okładki z ery komunizmu. Oczywiście, polska literatura również w trudnych czasach nie pozwoliła odebrać sobie blasku, wręcz przeciwnie. W jej bliskim sąsiedztwie stoją na regale dzieła literatury światowej. Małe biurko

z widokiem z jedyne go okna. Nagle całe życie rodzinne znikło. Także ja niczego już nie słyszę z korytarza. Pokoik jest tak mały (jego mieszkaniec też trochę się na to uskarża), tak bardzo przypomina pustelnię *Biednego poety* na obrazie Carla Spitzwega, to jest schronienie. Jego mieszkaniec wciąż próbuje przeniknąć swoimi wierszami „rzeczywiste”:

*Sen
Sny nie znają granic*

Tutaj pracuje, kiedy zamyka za sobą drzwi. Chyba, że jest w redakcji „Tygła Kultury” (co zdarza się najczęściej) i przygotowuje następny numer, spotyka się z kolegami po fachu w kraju lub na Litwie albo właśnie zbiera w Stuttgarcie teksty. Siedzimy obok siebie w pokoiku (w domu nigdy nikogo nie zapraszam do swojego równie małego gabinetu), spoglądamy ponad dachami, pijemy wódkę, nawet palę dla towarzystwa. I rozmawiamy (na ile to oczywiście możliwe: mam wrażenie, że mój polski pozwala mi zrozumieć najwyżej jedną trzecią z tego, co mówi Zbyszek) – o niemieckich i polskich autorach i moich wrażeniach z Łodzi, gdzie „nie jest ładnie”, ale czuję się bardzo dobrze. Nie mogę mu powiedzieć dokładnie o wielu rzeczach, to boli i męczy, postanawiam wyjść od nich po kawie. A mimo to kolega jest mi bliski z powodu jego zaangażowania w poezję i tych kilku zdań, których nie mogę zapomnieć, odkąd się na nie natknęłam. Musi mi wybaczyć, że z jego trudnymi polskimi tekstami obchodzę się raczej dziecinnie albo eklektycznie. Wybieram sobie kilka sformułowań, jakby były błyszczącymi kamyczkami i potem żyję sobie z nimi. Ufam, że istnieje pomiędzy nami kontakt, który poradzi sobie również bez heglowskiego „Absolute” (absolutu). A co właściwie jest „rzeczywiste”? Czy nie ma jeszcze czegoś innego, na co wskazuje Zbyszek pod koniec jednego ze swoich wierszy *Bourdelle w Nowogrodzku, 24 czerwca 1996*:

*...I może teraz opowiadał chmurom
Co naprawdę dojrzał za życia przez szczeliny świata
Kiedy na grani Europy kroczył drogą nad przepaścią
Wciąż dalej i dalej Aż poza granice śmierci i mowy
Zdolnej wypowiedzieć to czego mędrzec nie mówi nikomu...*

Tina Stroheker

Przełożyła z niemieckiego **Anna Wziątek**

Pierwodruk: „Tygiel Kultury” 4-6/2007

Od Redakcji

Zbigniew Dominiak zmarł 5 lutego 2002 roku.



Konrad Tatarowski

Witek Sułkowski i jego pisarstwo. Wspomnienie

Szczupły, niewysoki, z przeredzoną już od czasów młodości czupryną ciemnych włosów. Bardzo inteligentny, błyskotliwy. Stworzony wręcz do podsumowywania nie zawsze zręcznych sytuacji towarzyskich – bystry obserwator z ciętym językiem. Bardziej dowcipny niż złośliwy, ze swoim osobistym językowym „bergiem” zrozumiałym dla zamkniętego, choć dość szerokiego środowiska, w którym się obracaliśmy. Pisarze, środowiska uniwersyteckie, studenci, głównie polonistyki, choć nie tylko...

Wspominam okres po marcu 1968 roku, kiedy poznałem Ewę z Jackiem Bierezinem i Witką, który niedługo potem związał się z Anią. Nieco później Witek i Jacek odsiadali swoje pierwsze wyroki za współudział w sprawie „Ruchu”. Potem organizowali podpisy pod petycjami protestacyjnymi przeciwko zmianom w Konstytucji PRL, przeciw brutalnemu traktowaniu protestujących robotników w Radomiu w 1976 roku.

To dzięki nim – i paru innym osobom – powstała w Łodzi aktywna grupa współpracowników Komitetu Obrony Robotników. A w 1977 roku – wraz z Tomaszem Filipczakiem – założyli „Puls”, pierwsze w Łodzi pismo literackie o ogólnopolskim znaczeniu. Później, w okresie „Solidarności”, Sułkowski współredagował organ KOR-owskiego skrzydła ruchu związkowego – „Solidarność z Gdańskiem” oraz satyryczne pismo „Pomruk” (oba z Filipczakiem i Wojciechem Słodkowskim).

To dzięki Witkowi jako student polonistyki pod koniec lat 60. dotarłem do książek paryskiej „Kultury”, do Gombrowicza, Miłosza, Sołżenicyna. Uczyłem się od niego czegoś, co można by nazwać „czytaniem PRL-u”, uwrażliwienia na komunistyczne kłamstwo i blichtr propagandowy. To były długie i częste spotkania, zakrapiane wódką, piwem albo tanim winem – u Witka, Ewy i Jacka, u Zbyszka Dominiaka, u mnie z Basią na Teofilowie, nieco później u Sławy i Zdzisława Jaskułów na Wschodniej.

A po 13 grudnia 1981 r. siedzieliśmy za to wieloletnie spiskowanie przeciw ustrojowi PRL w więzieniach w Łęczycy i Łowiczu przez parę miesięcy w jednej celi. I obaj – jakiś czas później – znaleźliśmy się na emigracji.

Witek trafił jako dziennikarz do „Głosu Ameryki” w Waszyngtonie, ja znalazłem się w Monachium w Wolnej Europie. Ale pierwszego wywiadu na emigracji udzielałem Witkowi. Kiedy mieszkałem w Los Angeles, zadzwonił do mnie – w sierpniu 1983 r.



– w rocznicę pobicia internowanych w Kwidzynie. Nasza rozmowa została nadana na antenie waszyngtońskiej Rozgłośni.

Później nasze kontakty się rozluźniły. Ponownie spotkaliśmy się dopiero na początku lat 90. w Warszawie. Witek przez jakiś czas pełnił tam obowiązki korespondenta „Głosu Ameryki” ja z kolei miałem coś do załatwienia w warszawskim biurze RWE. Pamiętam, że jedliśmy obiad w restauracji Literatów na Placu Zamkowym. Spotkaliśmy tam wielu znajomych, obiad przeciągnął się do późnych godzin... Nowe czasy, stare obyczaje.

W połowie lat 90. wróciłem na stałe do Łodzi. Witek przyjeżdżał tu przynajmniej raz do roku na urlop, bo przez cały czas – z kilkumiesięczną przerwą po likwidacji Rozgłośni Polskiej – pracował w „Głosie Ameryki”, tyle że w charakterze już nie dziennikarza, ale realizatora radiowego.

Sułek, bo tak go nazywaliśmy, urodził się 10 września 1943 roku w Warszawie. Cały okres powojenny mieszkał w Łodzi, tutaj też ukończył studia polonistyczne. Na początku lat 70. debiutował jako krytyk literacki i autor interesujących miniatur prozą, które czasami mają charakter próz poetyckich, czasami krótkich opowiadań, a w każdym razie tekstów narracyjnych. Publikował między innymi w „Więzi”, „Literaturze”, „Poezji”, „Nowym Wyrazie”.

Był też współzałożycielem studenckiego teatru Studio Prób UŁ, którym kierował Paweł Nowicki. To po adaptacji *Biesów* Dostojewskiego (dokonanej przez Witka) teatr ten został rozwiązany w 1974 r. decyzją władz SZSP.

Warto z pewnością przypomnieć artystyczne i literackie działania Sułkowskiego – autora tomu *Szkoła zdobywców*, opublikowanego w paryskim Instytucie Literackim w czasach, kiedy wymagało to dużej odwagi, bo w 1976 r. książka została wydana i przyjęta jako pozycja poetycka – choć jej autor do poezji miał stosunek gombrowiczowski, myślę tu o słynnym pamflecie autora *Ferdydurke – Przeciw poetom*.

Sułkowski płaszcz Konrada odrzucał, nie wierzył w kreacyjną siłę słowa, nie próbował wnikać w jego ukryte sensy i znaczenia. Nie znajdziemy w jego tekstach introspekcji, prób sięgania pod powierzchnię zjawisk, psychologizowania, estetyzowania, filozoficznych czy metafizycznych refleksji. Żywiołem jego miniatur prozą jest opis, język pojmowany jest w nich jako „przezroczyste” narzędzie komunikacji, słowo pełni tu rolę służebną, wskazując na konkretne elementy rzeczywistości, w której żyje i działa narrator i bohater tych próz.

Nastawienie na konkret, na prawdziwy i nieupiększony opis obrazu świata, w którym owemu narratorowi przyszło żyć „tu i teraz” – a zatem w realiach gomulkowsko-gierkowskiej rzeczywistości – łączyło pisarstwo autora *Szkoły zdobywców* z postulatami i realizacjami artystycznymi pokolenia 1968-1970, z debiutanckimi propozycjami Stanisława Barańczaka, Ryszarda Krynickiego, Jacka Bierezina, poetów krakowskiej grupy „Teraz”.

Sułkowski, choć unikał wypowiedzi programowych i nie łączył się z żadną poetycką grupą, był chyba wśród nich – w dążeniu do werystycznego, choć groteskowego i ironicznego opisu otaczającej rzeczywistości – najbardziej ortodoksyjnym „nowofalowcem”. Jego stosunek do poezji, do abstrakcyjno-humanistycznych refleksji, najlepiej odzwierciedla krótka miniatura *Zdarzenie*:

Zgęszczenie ludzi nad kałużą, gdzie jeden się topi. Drugi usiłuje podać mu kij. Robi to nieudolnie albo kij jest za krótki, bo palce tonącego chwytają tylko błotnistą maź. Mogłoby to oznaczać Samotność jednostki w społeczeństwie albo Niemożliwość dotarcia do drugiego człowieka czy Wielką metaforę losu ludzkiego. Ale to była prawdziwa kałuża i ten dureń rzeczywiście się topił.

Narrator (i bohater) Sułkowskiego to przeciętny obywatel PRL-u (chciałem napisać „zwykły i szary”, ale byłoby to generalizujące uproszczenie, bo przecież nie każdemu jest dana władza myślenia i sądenia). Podmiot jego prozy (i nielicznych w zbiorze wierszy) poddawany jest procesom społecznej tresury, karność i dyscypliny – ale przecież wierzy w „zmianę regulaminu”. Potrafi się też buntować, a w każdym razie, tak jak kafkowski Józef K., w oczach władz i jej funkcjonariuszy jest podejrzany: *Przestuchujący właśnie wydarł ze mnie ostatnią tajemnicę (Ciąg dalszy zawieszony)*.

W zdeformowanym, groteskowo-ironicznym świecie prozo-poezji Sułkowskiego – *Jeszcze przed moim urodzeniem przemieniono moje lasy w nadęte dostojeństwo szaf, w pokraczność krzesel, w nikczemną intymność biurka (Kosmos)* – nie ma wolności, miłości, prawdy, piękna. Jednostka poddawana jest ciągłej indoktrynacji i tresurze, jest jedynie trybem w wielkiej maszynierii Systemu.

Narrator Sułkowskiego sceptycznie i ironicznie traktuje wielkie hasła ludzkości, pod powierzchnią toczących się spraw nie dostrzega ukrytych znaczeń, symboli, metafizycznych odniesień:

Jak archeolog, górnik lub umarły schodzę w kolejne warstwy gleby. Pokłady grobów na kartoflach. Pokłady kartofli na grobach. Mijam jedną po drugiej cywilizacje grobowo-kartoflane.

W ten krajobraz wewnętrzny wwiercają się szyby moich poprzedników i następców, kapłanów, tajniaków i poetów, wszystkich chcących wiedzieć CO JEST NA SAMYM SPODZIE.

A może to tak cała ziemia na wylot? Kopać dalej? Wyjść? Zacząć w innym miejscu?

Przez cały czas towarzyszy mu świadomość absurdalności świata (*Sama kulistość ziemi czyni marsz w przód bezsensownym* – napisze w *Odejściu*) i zasadniczej bezwyjściowości z sytuacji permanentnego zagrożenia, jakiej doświadcza. *Uciekłem, ale niezdarńie dosyć, bo sznurowadła się rozwiązały i ciągnęły się za mną kilometrami, taka nić Ariadny na odwrót, znacząca moją ucieczkę od współczesności* (*Nowe czasy idą*).

I tu jesteśmy chyba najbliżej tego skojarzenia, które mi się nasuwa, kiedy myślę o bohaterze prozy Sułkowskiego i o nim samym w PRL-owskich realiach. To postać Charliego Chaplina, inteligentnego włóczęgi zagubionego na ulicach wielkiego miasta, zaplątanego w ogromnych trybach współczesnej cywilizacji, samotnego, ale przecież dzielnego i radzącego sobie w najtrudniejszych sytuacjach. I kierującego się w działaniu wewnętrznym poczuciem uczciwości czy przyzwoitości, rozróżniającego prawdę od kłamstwa i dobro od zła.

Szkoła zdobywców, czytana dziś, jest artystycznym i intelektualnym zapisem sytuacji dysydenta w realiach komunistycznego państwa. Sytuacji człowieka, którego jedyną winą jest to, że dostrzega absurdy otaczającej go rzeczywistości, który szare chce nazywać szarym, a czarne – czarnym. Człowieka zamkniętego w klatce propagandowych sloganów, skazanego na przebywanie w niej z dożywotnim wyrokiem.

Nie byłem nigdy przedtem za granicą, nawet w NRD, ponieważ nie było mi wolno z pewnych zasadniczych przyczyn ustrojowo-politycznych – mówił Sułkowski o swoim wyjeździe z Polski w 1982 r. w rozmowie z Zofią Kotkowską. I nagle znalazł się, prosto z PRL-owskiego więzienia, w Stanach Zjednoczonych, kraju wolnym i nie wtrącającym się w prywatne życie i tok myślenia jego mieszkańców. Poradził tam sobie – bo, jak już napisałem wcześniej, był człowiekiem zaradnym.

Tyle, że zarzucił pisanie prozy na rzecz eseistyki i felietonistyki, którą uprawiał na łamach współredagowanego przez siebie pisma „2B”, a także – od czasu do czasu – innych czasopism. Nie dokończył – zdaje się – satyrycznej powieści *Dysiek*, którą przed laty czytał we fragmentach przy okazji różnych towarzyskich spotkań. Szkoda – miał wielki prozatorski talent.

Witold Sułkowski zmarł 22 kwietnia (2003 roku – przyp. red.) w Łodzi. Kilka dni wcześniej przyjechał tu z Waszyngtonu na urlop.

Konrad Tatarowski

Pierwodruk: „Tygiel Kultury” 4-6/2003



Piotr Śliwiński

**Jacek Bierezin – osobny?
odosobniony?**

**Osobny? Odosobniony? Wyobcowany? Obcy? Odseparowany? Separujący się?
Odizolowany? Wyalienowany? Osamotniony? Wykluczony? Niepodobny?
Odrębny? Samowystarczalny? Autarkiczny?**

*Usiłuję bezskutecznie poprawić swój nieudany życiorys
niecenzuralny ze względu
na słowo bezdomność słowo wygnaniec słowo wolny
i wyrażenie frazeologiczne wewnętrzna emigracja
(Jacek Bierezin *Sezon w piekle*)*

Żart nie dotyczy ani osoby, ani poezji Jacka Bierezina, lecz czytania. Osobność czy odosobnienie, podobnie jak wszystkie pozostałe wymienione w tytule stany nieprzynależności, swoistej niepełnej zgodności ze światem, są to właściwości każdego poety, a może po prostu każdego człowieka. Jakiego rodzaju wyostrenia tej cechy trzeba więc, byśmy mogli zasadnie mówić, że to właśnie bohater naszej opowieści jest poetą osobnym?

Pierwsze przypuszczenie dotyczy przedwczesnej, tragicznej śmierci, która zrodzić mogła, jak to w Polsce bywało, legendę jeszcze jednego poety przeklętego.

Tylko, że legenda taka się nie narodziła, z powodów, o których za chwilę oraz, dodatkowo, za sprawą dość trudną do wyjaśnienia, a zarazem pilną. Otóż istnieją przesłanki, by sądzić, że u nas „poetą przeklętym” nie może zostać poeta zaangażowany, a tym bardziej polityczny, nawet jeśli jego sytuacja i los kojarzą się wyjątkowo dramatycznie. Przekleństwo wiąże się bowiem z buntem totalnym, zwróconym we wszystkich kierunkach, tymczasem bunt polityczny wydaje się w pewien sposób określony. Bywa gorzki, autoironiczny, lecz raczej nie autodestrukcyjny. W tym sensie śmierć, także przedwczesna, nie należy do twórczości, nie wynika z niej, będąc raczej karą za doprowadzenie do jakiegoś nadmiernego rozrostu złudzeń, a potem ich upadku, karą, a nie przeznaczeniem lub choćby uświadomionym następstwem praktykowanych modusów i wartości swego życia. W kontekście tym zauważmy, że w wierszach Bierezina występuje, lepiej by powiedzieć – nieustępliwie trwa, pewien czynnik racjonalny, nie dający świadomości oderwać się od samej siebie, od tego, co z zewnątrz ukształtowało jej dojrzałą postać, spojrzeć na siebie z dystansu, jak na kogoś innego. Mówiąc inaczej:

poeta – mimo pulsowania neurastenii, z czasem coraz lepiej widocznej – podtrzymuje wiarę w istnienie związku między swym samopoczuciem a rzeczywistością. Jest uwarunkowany przez czas i przestrzeń swego istnienia i działania, ukierunkowany na zrozumienie i rozwiązanie swoich problemów, coraz głębiej pogrążony w depresji, lecz jednocześnie wypatrujący nadziei. Chciałoby się powiedzieć – wypełniony sobą. Pisz:

*Na całym świecie rozpoczęło się świąteczne
zawieszenie broni i praw dialektyki
Czekało nas kilka spokojnych ahistorycznych dni
szedłem ulicą Obrońców Stalingradu
Była noc Z domów odpadła secesja
(Święta Bożego Narodzenia)*

Przeżyciem codziennym jest więc dla niego historia. Własna odrębność lokuje się w formacie largo, pośród strumieni zdarzeń i sił potężniejszych od indywidualnych predyspozycji i zamierzeń. Ale dlatego właśnie podmiotowość mówiącego winna podlegać szczególnemu nadzorowi świadomości: trzeba obserwować własne „ja”, wspierać je, wytrącać z kolein i nawyków.

Wprawdzie w wierszach z roku 1988 i z lat następnych śmierć zaczyna być brana pod uwagę jako możliwe rozwiązanie, wyjście o skuteczności niewątpliwej i dlatego pociągające (*Oczywiście są jeszcze nieśmiertelniki; Wiesz / byłem przez chwilę / po tamtej stronie; Wiesz, jestem zmęczony*), to nie wywołuje ona, ta myśl o śmierci zapisana w wierszach, poetyckiej charyzmy.

Dlaczego? Ano właśnie dlatego, że surowość czynionych wyznań, uchwytny ton kalkulacji, nadają fanatycznemu motywowi chłodny walor konkretności. Bierezin nie od początku przecież jest poetą ciemnym, a przy tym nigdy nie jest monochromatyczny: kiedy horyzont jego widzenia zaczyna się zaciągać, to nadal nie traci poczucia występowania innych możliwości. Ostatni wiersz ze zbioru *Linia życia – Motyw przewodni po czterdziestce*, jeden z ostatnich w dorobku, świadczy o tym niezbicie. Słusznie wobec tego podkreślają redaktorzy tomu (Ewa Sułkowska-Bierezin, Zdzisław Jaskuła), że mamy do czynienia z kimś mającym wybór, nie zaś z wykonaniem na sobie samym od dawna gotowego wyroku. Ponadto nadchodzi czas – początek lat 90. – odrzucenia tego rodzaju przekazów, ściślej mówiąc – przesunięcia akcentu ze śmierci na śmiertelność.

Poezja Różewicza, Szymborskiej, Rymkiewicza, Barańczaka, Tkaczyszyna-Dyckiego, Świetlickiego, Dariusza Suski, Jolanty Stefko i wielu innych autorów różnych pokoleń poznaczona jest przecież śladami śmierci gęsto, do tego stopnia, że uprawnione staje się przypuszczenie, iż śmiertelność – którą określiłbym jako to, co empiryczne w śmierci



– stanowi rodzaj *iunctim* między odrębnymi stylami wrażliwości, będąc jednym z niewielu wspólnych doświadczeń i języków literatury współczesnej. Faktycznie, tu odwołuję się do pamięci tych, którym dane było doznać przełomu sygnowanego rokiem 1989 – kiedyś żyliśmy w uścisku polityki, historii, teraz ściska nas, czasami za gardło, normalność, trywialność albo, by tak rzec, przeciągająca się w nieskończoność doraźność. Z historii nie było ucieczki, choć w wyobraźni istniał właśnie ów świat normalny, gdzieś, na zachodzie, tam, u nich, ze swoim – tu aluzja do znanego wiersza Antoniego Pawłaka *Kilka słów o strachu* – lękiem, czyli (jak nam się wówczas wydawało) formą nieumiejętności cieszenia się życiem... W oczach nie tylko Pawłaka strach, umotywowany, realny, jakoś nas wywyższał. Postawieni po drugiej stronie doświadczamy paradoksalnego uwięzienia: nie ma powrotu do Historii, przepadły powody do odczuwania wielkiego strachu, lęk urósł za to niepomierne. Z lęku nie ma bowiem wyjścia, bo śmierć wyjściem nie jest.

Okropnie ciężko to zobiektywizować i wyrazić: wspomniany racjonalizm Bierezina chroni go być może przed obsesją, nieobecność obsesji utrudnia, tu następny paradoks, dostęp do niego. Pozostaje polifoniczny. I trudny do ogarnięcia.

Zatem Bierezin pozostaje poza tą mortualną tendencją, jaka narodziła się ponad dekadę temu i nadal trwa poza nurtem elegijnym, gdyż jego ciemności miały zawsze inny charakter, wikłyły się w historię lub z niej wynikały, kiedy zaś poeta stał przed nimi sam na sam – nie były już duchowością, mową

kultury, grozą wystającą z ram takiej lub innej peryfrazji, lecz gęstą czernią i niewysławianym się końcem końców.

Czyżby zatem osobność, o którą pytamy, była kwestią czynów i wyborów, świadczących o nonkonformizmie, a może nawet bohaterstwie?

Choć w tym wypadku niewątpliwy, nonkonformizm ten zawłaszczony został przez mit antytotalitarnego sprzeciwu jako postawy od końca lat 70. rzekomo powszechnej. Zaskoczenie polega na tym, że to, co w poecie wyjątkowe odbierane być może, pewnie i bywa, jako typowe, reprezentatywne. Charakterystyczna dla lat 80. idealizacja narodu, którego morale pozostało jakoby czyste, w niemalym stopniu unieważniła wyjątkowość ryzyka indywidualnego. Bierezin dostrzegał ten proces wchłaniania lub parodiowania swych wyborów przez samowielbiący się ogół lub też język kombatancki, natrętnie domagający się uznania własnych zasług, lecz nie potrafił lub nie chciał uczynić niczego, co mogłoby mu zapobiec. Przede wszystkim nie chciał go wyolbrzymiać. Budzi szacunek, że poeta tak silnie inspirowany niezwykłością czasu, jaki został mu

dany, nie egzaltuje się niezwykłością roli, jaką stara się odegrać: *Chodzą za mną tajniacy jak zwykle w moim kraju / za większością pisarzy i uczciwych ludzi* (z wiersza *Nieobecność*). Jego antyreżymowe zaangażowanie przemawia dyskretnie. Autentyczne przejęcie się treścią Herbertowego przesłania każe szukać Wielkiego Kontekstu (ramy etycznej, prawa moralnego, tradycji, zobowiązujących racji), to zaś sprawia, że ujawniają się proporcje między hipotetyczną całością a własnym w niej miejscem. Tym bardziej, że jest to całość w stanie rozpadu, co sprawia, że życie i pisanie to nic więcej niż *odciskanie śladu w popiołach*. Wrażenie utraty, znikania w czasie, nadaje niektórym wierszom (choćby przywołanemu tutaj utworowi *Las*) znamiona hieratyczności: ich poetyka nieprzypadkowo nawiązuje do imaginarium katastrofistów. Tak też będzie w latach 80., po wprowadzeniu stanu wojennego – *każdy prawdziwy poeta / pisze Wielki Testament (W końcu)*, a nie *kilka prostych słów* (pamiętamy minimalizm postulowany przez Leszka Szarugę), czy kilka prostych prawd (jak by zakładał moralizm Krynickiego).

Wreszcie, szukając odpowiedzi na pytanie, co jest podstawą Bierezinowskiej odmienności, winniśmy zwrócić się do języka, poetyki – czy odcisnęły się, jak stempel, na każdym jego wierszu, uniemożliwiając przypisanie go komu innemu?

Szkopuł w tym, że Bierezin zdaje się nieco aż zbyt zdyscyplinowanym wykonawcą nowofalowego programu. Nie chodzi o to, by jego dykcja realizowała jakiś wzorzec Nowej Fali, nieistniejący przecież w formie rygorystycznie przestrzegane regulaminu, lecz o to, że jego myśl krąży nieustannie wokół najbardziej charakterystycznych nowofalowych idei – nieufności rozumianej à la Barańczak, prawdy – celu tworzenia (jak u Zagajewskiego), ocalenia przez poezję (jak u Krynickiego). Ważne cechy stylu również wskazują na pokoleniowe filiacje: na przykład Bierezinowski patos, nierzadki, splata się z grą i umyślnym spiętrzaniem słów (*Przebudzenie*), z kolei rozwiązłość słów (względna, występująca choćby w wierszu *Wam!*) kojarzy się z oniryzmem (Krynicki), retoryką rewolucyjną (Karasek), symboliką oddechu, deficytem ożywczego tlenu (ważną nie tylko dla nowofalowców), uczuleniem na ukrytą grozę utopii (wiersz *Platon*) i totalnie patologiczny charakter społeczeństwa (wiersz *Nowy rok*). Na marginesie – niezdrożna byłaby pokusa przyjrzenia się stylizatorskiemu talentowi poety, którego wielokrotnie niesie swoista wrażliwość na decorum, a bywa, że i efekt szczególnie mocnej identyfikacji z najważniejszymi dla niego lekturami. Bierezin płonie z powodu świata, ale i książek.

I wreszcie ewentualność ostatnia: może, biorąc rzecz najprościej, był najwybitniejszym poetą swojej generacji, to zaś, co upodabnia go do innych, jest w istocie wpływem wywieranym przezeń na otoczenie?

Nie, nie był.

Mimo to Bierezin, poeta pierwszej osoby, monologista, swe wrażliwe „ja” wrzucający w świat i starający się za sprawą poezji jakoś w nim zdefiniować i oddzielić od tego, co brudne i jałowe, przemożne i reifikujące, jest poetą osobnym. Widać to w tych wszystkich wierszach, bardzo licznych, w których stara się to odosobnienie przełamać i dąży do tego, by monolog zastąpić dialogiem. To jest poeta wyciągniętej ręki, szukający zbliżenia i zrozumienia.

Trudno nie zauważyć, jak wysoko w hierarchii rzeczy godnych szacunku i ochrony znajduje się przyjaźń. Ma ona rys nieco teatralny, łatwo wyczuć, że liczy się tylko związek ogromny, lojalny; prawie mistyczny. Zarazem nie jest tak, iżby poeta, stawiając przyjaźni wygórowane wymagania, lokował ją w obszarze jakichś abstrakcji, pośród niespełnialnych ideałów, dających w ostateczności impuls do pojawienia się resentymetu. Na odwrót, to ogromne wyjątkowo długo pozostaje realne. Ludzie-podróżnicy spotykają podobnych sobie, moja intensywność wypatruje twojej.

Monada otwarta na inną. Szczególna tu rola dla kobiet (*mówią, że jestem erotomanem*), lecz nie wydaje się, aby należało na tym poprzestać. Naturalne, że dla mężczyzny drugim jest najczęściej kobieta, naturalne, że dla poety w kobiecie przejawia się drugi. Z tym zaś łączy się oczywiście ryzyko. Bo ryzykowna jest bliskość. Odnoszę wrażenie, że chętnie przywoływane *Wielomiesięczne kryzysy*, wiersz będący odpowiedzią na jeszcze popularniejszy wiersz Barańczaka, *Drobnomieszczańskie cnoty*, odczytać należy jako afirmację przyjaźni. Po jednej stronie chłód wymuszony przez brak wiary w przekraczalność granicy pomiędzy biografią wewnętrzną, pełną różnych zakonspirowanych urazów, a wierszem jako komunikatem publicznym, po drugiej silne przekonanie, że liczą się te właśnie chwile, kiedy człowiek, z całą swą bezradnością zwraca się ku innemu człowiekowi – i nic zostaje odtrącony. *Żądza porozumienia: Z pokory: że nie dam sobie rady z upchniętym do wnętrza złem? / Czy innej pokory: kogoś kto jest tak niedościgną ofiarą / swoich braków i mroków, że wciąga w ich system zamknięty / innych, nie myśląc: och, gdybym tak nie zdradził, co wiem, / czy byście mieli odwagę powiedzieć, o czym milczycie?*

Trzy mikrokonkluzje na koniec: po pierwsze – Bierezin był poetą hojnym, wobec własnego talentu nawet rozrzutnym, takim też pewnie był człowiekiem; po drugie – był poetą uczciwie oddanym deklarowanemu pragnieniu „bycia sobą”; po trzecie – bycie sobą nie oznaczało, ani w przestrzeni literatury, ani w życiu, bycia osobno. Życie więzieniem, poezja więzią.

Piotr Śliwiński

Pierwodruk: „Tygiel Kultury” 4-6/2005

Rafał Gawin

Mój Zdzisław

Każdy, kto kiedykolwiek zetknął się ze Zdzisławem, mógł go mieć dla siebie. Ponieważ Zdzisław właśnie taki był: otwarty, towarzyski, jakby jego długie włosy układały się w napis „zapraszam”; bardziej cudzy niż własny, choć do bólu charakterystyczny i osobny jako postać i mistrz. Tak, to jedna z ostatnich osób, ulepionych z tej szlachetnej gliny, które namaszczały i wskazywały, a jednocześnie nie rościły sobie do niczego pretensji. I choćby nie dotrzymywały obietnic czy działały komuś z premedytacją na nerwy – robiły to w sposób niepozbowiony elegancji i klasy. „Chuj” w ich ustach brzmiał jak „kwiat”, „spierdalaj” nabierało mocy dobrej rady, która w perspektywie czasu okazywała się trafiona.

Ale mniejsza o słowa, nabierające znaczenia tylko w godnych ich ustach. Chcę opowiedzieć o moim Zdzisławie. Takim, który mnie zaczął kształtować, lecz nie dane mu było dokończyć tego procesu. Możliwe, że po prostu z mojej winy, że nie zasłużyłem na tego rodzaju całość. W końcu znaleźliśmy się ponad dziesięć lat. Wystarczająco długo, by się poznać; wystarczająco krótko, by się sobą nasycić.

Działaliśmy razem zawsze dla kogoś, jeśli coś robiłem dla siebie, on w tym nie uczestniczył. Zdzisław nie dbał o swój interes, zwłaszcza kiedy ktoś w jego otoczeniu potrzebował pomocy. Tonął w długach, ryzykował dobre imię i pozycję. Ale mało która rzeczywiście istotna inicjatywa – opozycyjna, literacka czy artystyczna – obywatela się bez jego czynnego uczestnictwa, ba, jednej z kluczowych ról, bo do takich przede wszystkim był predysponowany. Nawet kiedy sprawiał wrażenie, że robi coś z doskoku, niejako przy okazji, zawsze znajdował się w centrum wydarzeń i wszystko wiedział. A jeśli czegoś nie wiedział, to wyczuwał. Intuicji, zresztą jak i długich i konkretnych włosów, mogła mu pozazdrościć niejedna kobieta.

Najbardziej rozkoszny był wtedy, gdy czegoś zapominał albo z sobie tylko znanych powodów drastycznie zmieniał zdanie. A gdy przypominaliśmy mu jego poprzednią opinię, dziwił się wręcz niezmiernie: „Ja tak powiedziałem? Niemożliwe”. Z tym samym uśmiechem bobasa złapanego na gorącym uczynku.

Potrafił budować swój wizerunek. Często sam był autorem plotek na swój temat, również tych ocierających się o pomówienia czy zniesławienie. Ale jakkolwiek informacja, puszczona w mniej lub bardziej szeptany obieg, tylko dopełniała jego nietuzinkowy artystyczno-inteligencki image. Nie pracował na niego, to wydarzało się samoistnie,

wynikało z jego charakteru i sposobu bycia, w których zderzały się sprzeczności, możliwe do pogodzenia tylko w ramach wyjątkowych osobowości.

Nie bał się eksperymentować z kolorami w ubiorze. Niektóre jego stroje wręcz przeszły do legendy. Jeszcze kilka lat temu, już podczas drugiej kadencji dyrektorskiej w Nowym, to on wylansował modę wśród zdecydowanie młodszych na kolorowe spodnie i marynarkę. Tłumaczył to w swoim stylu: „Byłem w Amsterdamie. Widziałem tam starca, który nosi zielone spodnie. Skoro jakiś starzec się tak ubiera, to dlaczego ja mam nie nosić?”. Najbardziej upodobał sobie wiśniową marynarkę. Zakładał ją na premiery.

Zdzisław mógł prawie wszystko. To, co nie przystawało osobom o podobnym mandacie społecznego zaufania, Zdzisławowi uchodziło na sucho. W jednym roku pytał: „Dlaczego do jury Bierzina nie zaprosimy Ewy Lipskiej?” – by w następnym się bulwersować: „Naprawdę chcecie zaprosić Ewę Lipską?” Podczas swojego ostatniego Pulsu Literatury zlorzeczył na projekt plakatu. Oczywiście do czasu. Gdy z żoną wychodzili jednego z ostatnich dni festiwalowych z Domu Literatury, ta pochwaliła pulsową grafikę. „Prawda, że bardzo ładna?” – przytaknął Zdzisław.

Kultowe wręcz były jego anegdoty: o inicjacjach intelektualnych i cielesnych, nocy poślubnej (wtajemniczeni mogą się uśmiechnąć z łzą w oku), nietuzinkowych wymiarach życia i twórczości Jacka Bierzina czy wspólnie z Krystyną Kwiatkowską (odeszła w roku 2005) planowanej podróży w kosmos, która teraz wreszcie może się wydarzyć. Zdzisław był dla nas również w intymnych historiach, upubliczniał się z wdziękiem i klasą, choć często poruszał tematy mało salonowe. Był blisko życia, od nadętego sacrum wolał profanum, choćby i nietrafione, ale powstałe na bazie eksperymentu. A do takich Zdzisław miał wiele cierpliwości pasji.

I jeszcze to jego szlachetne, językowe i sytuacyjne poczucie humoru. Siedzieliśmy kiedyś razem podczas festiwalu Łódź Czterech Kultur w Cafe Foto 102. Był rok Czesława Miłosza i przeglądałem ulotkę dotyczącą wydarzenia „Noc z Mistrzem”. „Wolałbym z mistrzynią”, powiedziałem. „A ja z uczniem”, odpowiedział.

Poznaliśmy się w maju 2005 roku. Po jednym ze spotkań literackich przejął się losem poetyckiego gołodupca, który o późniejszej godzinie nie ma już jak dojechać do domu na peryferiach, więc przenocował go we własnym. Tak, w odpowiednim, alkoholowo-onirycznym klimacie, poznałem jedno z bardziej kultowych mieszkań w kraju. „Pij, postawię ci. Kiedyś ty będziesz stawał młodszy, taka jest kolej rzeczy”, powtarzał.

Cieszył się ogromnym szacunkiem tzw. środowiska. Jeżeli gdziekolwiek pojawiał się w charakterze jurora lub mentora, dane wydarzenie zyskiwało prestiż. Zresztą znamienity jest e-mail, wysłany przez jednego z niedocenionych w jednym z łódzkich konkursów literackich: „Dlaczego mnie nie nominowaliście? Wy chuj, nie macie pojęcia o literaturze (słowa te dotyczą wszystkich jurorów oprócz Zdzisława Jaskuły, którego bardzo cenię i poważam)”. I dalej w tym stylu.

Ostatni raz widzieliśmy się we wrześniu. Nagrywaliśmy – z Jerzym Jarniewiczem – *Co do joty?* dla „Arterii”. Zdzisław tryskał energią, dochodził do siebie po kolejnej

chemii, ale miał jeszcze przed sobą tę decydującą. Mówił o niej spokojnie, jak o kolejnym rutynowym pobycie w szpitalu. Mimo że podczas poprzedniego stracił całą krew i prawie trzy tygodnie z bogatego życiorysu. Ale przecież właśnie wracał do życia: surowych warzyw i mięsa. Nawet coś napomknął o alkoholu, niemniej to był jedyny przypadek w historii tej rubryki w piśmie, byśmy nie otworzyli jakiejś porządnej butelki.

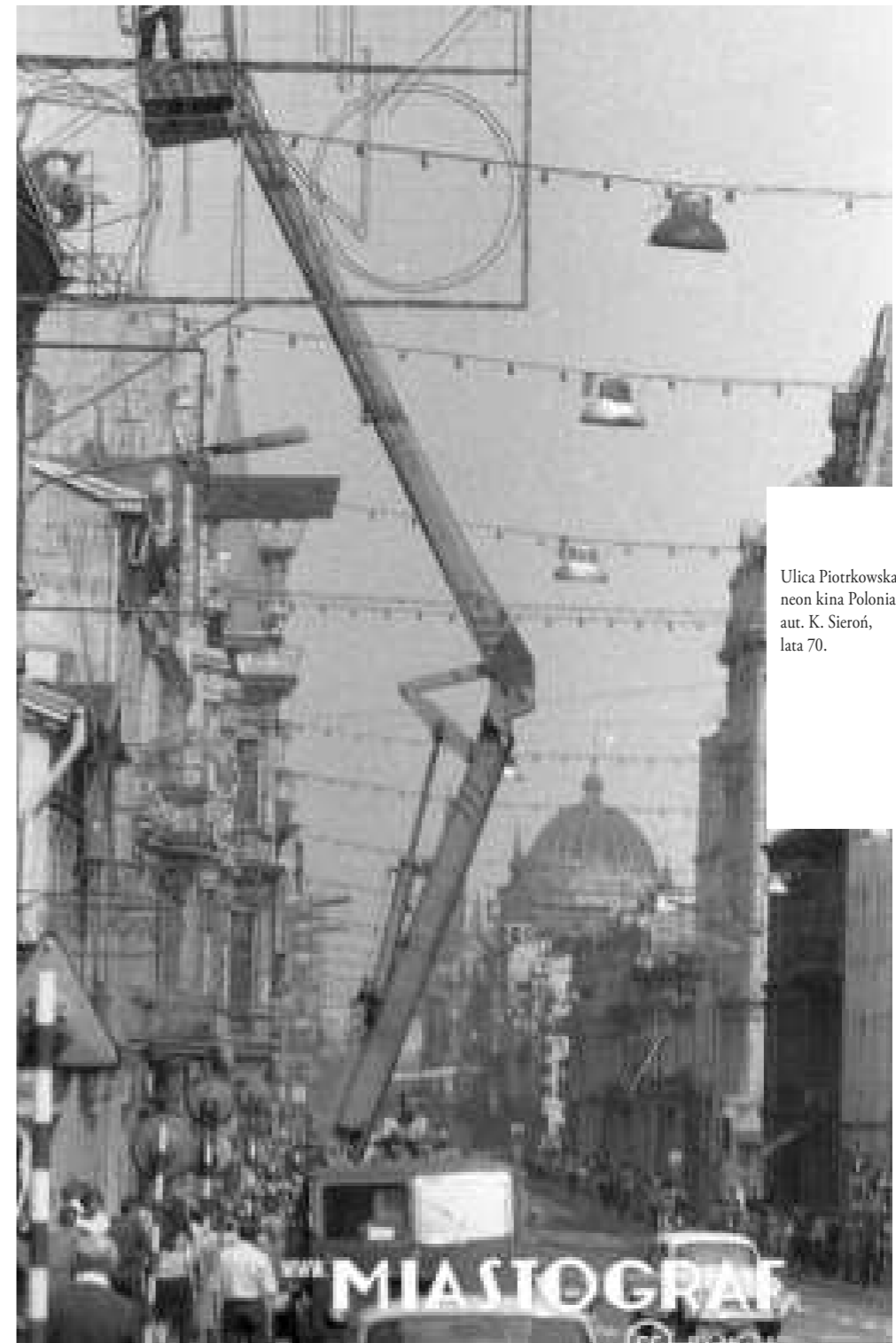
Chciał skomponować wielką antologię poezji łódzkiej, która odświeżyłaby zwłaszcza zapomnianych poetów, debiutujących w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, ale jednocześnie próbowała ocalić przed zapomnieniem nasze pokolenie. Łódź nie miała szczęścia do krytyków literackich i animatorów życia literackiego. Miała szczęście do postaci takich jak Zdzisław: totalnych, działających w szeroko rozumianej kulturze ponad podziałami i dla ogólnego dobra.

Chciał zorganizować spotkanie Nowej Fali po latach. Miał wziąć udział w panelu poświęconemu osobie Rafała Wojaczka w siedemdziesiątą rocznicę urodzin poety. Był na jego pogrzebie, teraz my go pożegnamy. W dzień zaduszny, choć Zdzisław był wbrew pozorom zbyt mocno stąpającym po ziemi człowiekiem, by wierzyć w rozmowy z duchami, choćby i pod postacią modlitwy. Jeżeli jakiegokolwiek duchy były mu bliskie, musiało chodzić o ducha literatury i ducha teatru. Przesiąkł nimi do cna, a teraz stał się z nimi jednym.

Tak go chcę pamiętać: w działaniu, kreacji, środowiskowym dowcipie czy legendzie, ale i jako człowieka, który wpłynął na moje myślenie i dzięki któremu mogę napisać tych kilka słów, by mu podziękować. A przecież co najwyżej okiełznałem tu jego brodę, nie wchodząc w dialog z kluczowymi częściami ciała i ducha, nie dorastając mu do pięt. I choć moje są większe, nie czuję stabilności. Drepczę w miejscu.

Rafał Gawin

Tekst ukazał się na blogu autora (<http://gawin.liberte.pl/>) w dniu 28.10.2015 r.



Ulica Piotrkowska,
neon kina Polonia;
aut. K. Sieroń,
lata 70.

Podwórko przy
ul. Wróblewskiego;
aut. K. Sieroń,
lata 70.



Kino Roma;
aut. K. Sieroń,
lata 70.



Piotr Grobliński

Korekta planu

Kobiety są nieco zagubione. Rozglądają się niepewnie, coś sobie pokazują, dyskutują. Gdy podchodzę bliżej, pytają o ulicę Złotniczą, której nie mogą znaleźć. Nie mogły lepiej trafić. Z podręcznej torby wyjmuję trzy różne plany miasta i powiększony fragment okolicy, w której się znajdujemy. Pokazuję trasę na mapie i w rzeczywistości, dodając wyjaśnienia historyczne.

– O, to jest właśnie ta ulica. Trzeba iść tym skosem, potem prosto, w prawo i na następnym rogu w prawo lub w lewo – zależy od szukanego numeru. Na tabliczkach będzie tam napisane ulica mjr. Kurasia „Ognia”, a gdyby panie spotkały kogoś starszego, należy pytać o Różę Luksemburg. Oboje stali się niepoprawni politycznie, więc teraz jest to ulica Złotnicza. Nie należy jej jednak mylić ze Złotą, Złoceniową, Złocistą ani Złotnem. Nota bene Złocista kompletnie zarosła i nic z niej nie zostało.

Stoimy na środku chodnika, kobiety patrzą na mnie jak na aktora teatru alternatywnego lub animatora programu z ukrytą kamerą. Owszem, jestem w pracy, ale moje zajęcie polega na czymś zupełnie innym. Wykonuję mianowicie korektę topograficzną planu miasta. Mojego miasta – Łodzi. Muszę przejść (przejechać na rowerze) wszystkie ulice, uliczki, a nawet ledwo widoczne ścieżki i porównać stan faktyczny z przedstawionym na mapie. Muszę sprawdzić przebieg i nazwy ulic, położenie przystanków, szkół, restauracji i bibliotek, nanieść nowo wybudowane stacje benzynowe i kościoły. Jest lato, dni są długie, miasto czeka na opisanie.

To było tak: właśnie zrezygnowałem z pracy redaktora w pewnym wydawnictwie. Bezcelnie wykorzystywany (w swojej opinii), straciłem w końcu cierpliwość, wygłaszając na odchodnym jadownicą filipikę. Wieczorem z najbliższym kolegą siedzieliśmy w kawiarnianym ogródku, popijając piwo. Gawędziliśmy przy tym w tonie lekko kombatanckim, gdy zauważyłem przechodzącego ulicą Michała. Przed kilku laty uczyłem go polskiego w społecznym liceum. W jego klasie – jeszcze jako student – debiutowałem w roli nauczyciela. I choć minęło już sporo czasu, z niektórymi uczniami wciąż utrzymuję kontakt.

Michał, który prowadzi firmę kartograficzną, pochwalił się wydanym właśnie planem Łodzi. W naszych rozmowach nie był to temat nowy – już w liceum czasami dyskutowaliśmy o mapach. Ja zbierałem plany miasta, a Michał od zawsze zbierał wszelką produkcję kartograficzną. Obecnie posiada w swej kolekcji 50 000 map, więcej niż Biblioteka Uniwersytetu Łódzkiego.

- Wydaliśmy ostatnio plan Łodzi.
- Widziałem.
- I jak?
- Demokratyczny.

Uśmiech na twarzy Michała świadczy, że rozumiał aluzję do dość śmiesznej literówki w nazwie jednej z ulic.

- Taki zły?
 - W moim osiedlu znalazłem kilka nieścisłości.
 - Wiem, że są błędy. Mieliśmy mało czasu.
 - Mogę ci zrobić korektę – wpadam na nieoczekiwany również dla mnie pomysł.
- Następnego dnia wszystko jest ustalone. Wstępnie umawiamy się na dwa miesiące. Wydaje mi się, że to dużo czasu.

Moja zabawa z dzieciństwa: na olbrzymi arkusz brystolu przekalkowywałem plan Łodzi, po czym zaznaczałem na nim trasy wymyślonych przeze mnie linii autobusowych. Teraz zabawa polega na czymś przeciwnym – z gotowej mapy usuwam elementy fantastyczne. Tak jak wchłonięta przez poszerzoną Julianowską ulicę Trenknera, o istnieniu której świadczy jeden widmowy adres – Trenknera 27.

Miasto żyje. Na miejscu starych uliczek buduje się szkoły, bloki lub fabryki, w szczerym polu powstają nowe osiedla, zlikwidowane krańcówki zarastają jak ruiny miast dawnych cywilizacji. Miasto żyje i wciąż wymyka się opisowi wieczystych jakoby ksiąg i urbanistycznych planów, pokazujących zawsze stan na wczoraj albo na jutro, które nigdy nie nadejdzie. Są więc na mapie ulice, które nie powstały, i takie, po których zostały jedynie nieodkryte tabliczki i adresy o niejasnej genealogii.

Na ogół firmy kartograficzne opracowują nowy plan na podstawie już istniejących map, wzbogacając je o informacje z planów geodezyjnych nowych osiedli i ubierając to wszystko w inną szatę graficzną. Nikogo nie wysła się w teren, gdyż koszt opracowania przekraczałby zyski ze sprzedaży planu. Bo kto zapłaciłby podwójną cenę za plan bez usterek, skoro na tych tańszych w zasadzie wszystko się zgadza? Dlatego w kioskach i księgarniach mamy kilka konkurencyjnych produktów, przy czym na każdym pojawiają się te same błędy (jest też dużo ewidentnych pomyłek – te się nie powtarzają). Od trzydziestu lat jakaś uliczka kończy się skrzyżowanie wcześniej albo jest przedłużona kawałek dalej, ale na wszystkich planach biegnie po staremu. Kartografowie – jak politycy – nie mają czasu, by sprawdzić, jak jest naprawdę.

Mapę mam podzieloną na arkusze – karty formatu A4, na marginesach których notuję konieczne poprawki. Częste zapiski: „usunąć bibliotekę”, „usunąć kino”, „dodać stację benzynową”, „dodać aptekę”. Znak czasu: ubywa bibliotek, przybywa stacji benzynowych i aptek.

Z aptekami to jakieś szaleństwo – często w jeden arkusz trzeba wstawić dziesięć. Dlaczego miasto potrzebuje nagle dwustu nowych aptek? Sprawa dla reportera albo komentatora ekonomicznego. Wiele takich spraw leży na ulicy, trzeba je tylko zobaczyć. Albo usłyszeć. Szedłem kiedyś za dwiema starszymi paniami, które rozmawiały o wyrzucaniu śmieci na ulicę. Okolica działkowa, w krzakach przy drodze niebieskie worki.

- Ludzie to świnie. Stać ich na dom i samochód, a oszczędzają na śmieciach.
- Bo każdy, kto ma dom, powinien przy płaceniu podatku pokazać rachunek za wywóz śmieci.

Mój szlak krzyżował się z drogami wielu pracujących w terenie – inkasentów, grzebiących w śmieciach, listonoszy czy roznoszących ulotki. Nie spotkałem jednak żadnego dziennikarza, polityka ani pracownika izby skarbowej. A może byli incognito?

Po mieście poruszałem się rowerem albo chodziłem pieszo – na zmianę. Rower jest szybszy, ale ma też sporo wad: dojazd i powrót z najdalszych dzielnic to prawie trzy godziny i mnóstwo sił, już na miejscu nie można korzystać z autobusów, żeby cokolwiek zapisać – trzeba się zatrzymywać i grzebać w plecaku, a w trudniejszym terenie (zarośla, podmokłe łąki, miedze) jest rower dodatkowym utrudnieniem. Poza tym jazda z mapą w ręce bywa niebezpieczna.

Tak naprawdę potłukłem się tylko raz. Jechałem szybko polną ścieżką i wjechałem w zarośniętą trawą, wykopany w poprzek rów. Wykopany właśnie po to, by zniechęcić rowerzystów do jeżdżenia w tym miejscu. Typowy przejaw renesansu poczucia własności w naszym społeczeństwie. Każdy grodzi, co tylko się da. Najlepiej betonowym płotem. Można też zaościć wspólną ścieżkę, wywlec na drogę jakieś żelastwo albo postawić fałszywy znak drogowy – na przykład „ślepa uliczka”. Wszystko po to, by nikt się nie pętał koło domu. „Teren prywatny – wstęp surowo wzbroniony”. A tych terenów coraz więcej i coraz większych. Widziałem w mieście pięciohektarowe działki leśne otoczone płotem. Albo dwoma, za pierwszym stawia się drugi pod prądem. Do tego psy i systemy alarmowe. Są już nawet prywatne drogi – tylko dla wymienionych po nazwisku właścicieli kilku posesji. Ostatecznie tak mało ludzi chodzi na spacer.

A za płotem... oczywiście dworek. Całe ulice dworów, dwór dworowi w okna zagląda. Podobno pieniądze nie dają szczęścia – na pewno nie dają rozumu.

Ludzie strasznie się boją o te swoje dworki na kredyt. Boją się, gdy ktoś obcy się wokół nich kręci, ale boją się też bliskości sąsiadów. Charakterystyczny obrazek: na wąskiej działce tablica „Do sprzedania”. Na sąsiednim domu transparent „Informuję, że nie zgodzę się na budowę na sąsiedniej działce”. *Zemsta anno domini 2001.*

Ludzie boją się też urzędów. Człowiek z plikiem kartek i długopisem budzi nieufność – „A co pan tu spisuje?”. Jednocześnie jednak budzi respekt – „Może pan tam powie, że ten sąsiad z rogu odgradził nas bezprawnie”.

Niektórzy zaś boją się, że nie uda im się na czas wywiązać z jakiegoś obowiązku. Starszy mężczyzna gonił mnie na rowerze przez dwie przecznice, by spytać, czy czasem nie spisywałem stanu licznika.

Ale ja też się boję. Gdy robię korektę na małej uliczce przy cmentarzu, spod płotu podnosi się pijany zakapior, rozbija trzymaną w ręku butelkę i pyta: „Czego tu, k...?”. Więc gdy następnym razem groźnie wyglądający mieszkaniec nie cieszącej się dobrą sławą okolicy pyta: „Czego szukasz?”, od razu bronię się atakiem:

- Od kiedy jesteśmy na ty?
- Przepraszam, myślałem, że pomogę.
- To ja przepraszam za nerwy – odpowiadam zawstydzony.

Pewnego razu wziąłem do pracy dzieci. Żeby zobaczyły, jak tata ciężko pracuje, żeby pozwiedzały Łódź, żeby się przeszły po świeżym powietrzu podmiejskiej okolicy. Prawie od razu pojawił się problem: nie mogliśmy znaleźć ulicy Rozalii.

Niczym Indianie w gęstej trawie szukaliśmy tropów białego człowieka. Najpierw pojawiło się lekkie wgniecenie trawy. „To chyba będzie to” – zawyrokowałem wpatrzony w mapę. Po kilkudziesięciu metrach znalazła się ścieżka, potem wąska droga, wreszcie kawałek ulicy z betonowych płyt i wisząca na płocie jakiegoś magazynu, ręcznie malowana tablica z napisem „Rozali” (czerwoną farbą na tekturze). Z poważną miną wyjąłem z kieszeni mazak i dopisałem drugie „i”, stwierdzając autorytatywnie: „Tak się pisze Rozalii”. To byłoby piękne. Chodzić po mieście i robić korektę – ale nie planu, lecz rzeczywistości.

Przy okazji podaję ciekawsze błędy w nazwach: Odjazdowa zamiast Objazdowej, Św. Bożego zamiast Św. Jana Bożego, Uniejowskiego zamiast Uniejowska, Królowa zamiast Króla (nazwisko). Ciekawsze błędy na tabliczkach: 1-go Maja, Wigerska, Jeża. Ta ostatnia, usytuowana obok Szpaczej, Kaczej i Zajęczej zdradza intencje autora nazwy – to miała być ulica Jeżowa. Słowotwórstwo przymiotników nie jest sprawą prostą. Pikanterii sprawie dodaje fakt, że według wszystkich planów na drugim końcu miasta



jest ulica Tomasza Teodora Jeża. W rzeczywistości są tam jednak krzaki.

Nazwy ulic to osobna historia. Kiedyś człowiek nadał imiona wszystkim zwierzętom. Dziś nie potrafi nazwać ulic w nie tak znowu dużym mieście. Na przykład ulica 28. Pułku Piechoty Strzelców Kaniowskich. Za długa? Niepraktyczna? Nie bądźmy malkontentami.

Albo ulica Tajnego Nauczania – ścieżka między działkami, bez jednej tabliczki. Genialna zgodność treści i formy, ale i dobry przykład tendencji do zwiększania stopnia abstrakcji w nazwach ulic. Gdy Polska odzyskała dostęp do morza, jedną z głównych ulic Łodzi nazwano Pomorska (a nie Odzyskania Dostępu do Morza). Dziś mamy nowe ulice: Tajnego Nauczania, Konspiracji, Pieśni Rycerskiej. Czekamy na ulicę Walki z Żywiołem czy Obniżenia Stóp Procentowych.

Swego czasu głośna była w Łodzi sprawa dwóch ulic na Olechowie – Bolesława Śmiałego i Bolesława Szczodrego (to ten sam król). I choć wycofano się już z tego pomysłu, to nadal mamy w mieście

Stare tabliczki z nazwami ulic – ul. Ogrodowa; A. Bocheński, 1975

ulice Bolesława Krzywoustego, Bolesława, Bolesławów i Chrobrego. Czekamy na Bolesławowską, Bolesławną lub Bolesławicką.

Ja najbardziej lubię nazwy rzeczownikowe: Tamka, Zacisze, Złotno, Kurczaki, Nawrot, Trójskok, Zaścianek czy Narwik. Sprawiają one jednak mieszkańcom sporo kłopotów językowych. W związku z odmianą tych nazw opracowałem teorię czterech stopni wyrobienia językowego. Stopień pierwszy – jego przedstawiciele mówią „na Tamka”, jakby chodziło o jakiegoś zasłużonego obywatela. Stopień drugi to „na Tamki” – jakby to była ulica imienia Tamki lub jakby chodziło o zasłużoną obywatelkę. Stopień trzeci to poprawność za cenę ucieczki od problemu: „na ulicy Tamka”. I wreszcie stopień czwarty, zwany też poziomem Miodka: na Tamce, na Nawrocie, na Złotnie, na Gościńcu.

Stare tabliczki z nazwami ulic – ul. Paradna; aut. K. Sieroń, lata 70. XX w.



Znaleźć nazwę to jeden problem, a wiedzieć, co nazwać – drugi. W językach pierwotnych plemion istnieją często nazwy wielu odmian jakiejś rzeczy, przy jednoczesnym braku pojęcia ogólnego, łączącego te rzeczy w jakąś klasę. Analogiczną dominację szczegółu widzimy na planach wielu miast. Nazwy posiadają króciutkie uliczki, niektóre osiedlowe alejki, szersze chodniki czy leśne przecinki, a nie posiadają ich szerokie, asfaltowe ulice, po których jeżdżą autobusy, ani uliczki, przy których mieszka mnóstwo ludzi. Stąd absurdalne adresy, np. Mercedesowa 77/35/8 (nazwa ulicy zmyślona, ale reszta nie – 77 to numer nieruchomości, na której wybudowano zamknięte osiedle, 35 to numer bloku, a 8 to oczywiście numer mieszkania).

Czy mieszkając pod tak połamanym adresem można zachować prostą więź ze swoim miejscem na Ziemi? A z drugiej strony – czy nazwanie imieniem sławnego człowieka dwudziestometrowego przejścia między działkami albo chodnika łączącego plac zabaw z piekarnią jest rzeczywiście uczczeniem jego pamięci?

Być może, Czytelniku, ogarnia cię już znużenie. Czymże jednak jest ono wobec mojego znużenia w ostatnich dniach sierpnia, pod koniec całodziennej wędrówki w ponad trzydziestostopniowym upale?

W jeden z takich dni zdarzyło mi się coś z pogranicza mistyki. Na asfalcie leżał strzęp gazety z wywiadem sławnego boksera, zatytułowanym: „Nie można się załamywać”.

Kiedy indziej wczesnym popołudniem poczułem, że powoli dostaję udaru słonecznego. Dlatego nawet się specjalnie nie zdziwiłem, gdy na rogu przeczytałem na tabliczce: „Stefana Rogozińskiego (1861-96) – badacz Kamerunu”. Jednak po tygodniu tabliczka nadal tam była.

Inne ciekawe wyjaśnienie zasług patrona ulicy: „Diakon, stygmatyk, orędownik pojednania, prekursor ekologii”. Chodzi o św. Franciszka z Asyżu – założyciela zakonu franciszkanów, słynnego kaznodzieję.

Jak jednak wiele zależy od warunków naturalnych. Nawet w Łodzi, mieście bez porządnej rzeki, granicami osiedli są zazwyczaj obudowane betonowymi gorsetami strumienie, a dawno wyschnięte rzeczki nadal wyznaczają układ ulic. Na przykład ulice Beskidzka i Opolska kilometrami biegną równolegle bez żadnego połączenia, podzielone już chyba na zawsze przez przed laty wyschniętą Łódkę.

Inną „naturalną” linią graniczną w mieście są tory kolejowe. To na nich kończą się ulice, to one decydują o komunikacji wewnątrz miasta. Przejazd kolejowy to współczesna wersja brodu, pozwalającego dotrzeć do tych po drugiej stronie.

Rzeki, tory kolejowe i ulice miasta. Przypowieść o naturze i kulturze ograniczających człowieka.

Obiady jadałem zwykle na ławkach przed małymi sklepami spożywczymi. Dwie bułki, kiełbasa, coś do picia. Przy takich okazjach łatwo o przygodne znajomości. Zwłaszcza ze starszymi mężczyznami o skłonnościach gawędziarskich.

– Obiadek? Ja już jadłem. Byłem w opiece. Tam za sześć złotych dają dwa dania i jeszcze można wziąć coś na kolację. Ale nie każdy tam może – tylko renciści i emeryci. Ja jestem inwalida, mam 550 złotych renty. Ciężko, ale co zrobić? Wykupię te obiady, za mieszkanie 50 złotych, zapłacę za światło i zostaje pięć złotych na dzień. Za mieszkanie mało płacę, bo mam 15 metrów bez wygód. Ubikacja w podwórzu, a ja nie mogę chodzić. Dobrze, że kran ze zlewem mam, to kupiłem taki płyn i się do zlewu załatwiam. A zimą to w ogóle nieraz nie schodzę. W gazetę najwyżej zawinę i wyrzucę do śmietnika. Takie życie. Czasami tylko się piwa napiję albo wina, ale to tanie wino mi szkodzi na żołądek. Ale tu mają dobre wino. Ja, wie pan, codziennie jadę się gdzieś przewietrzyć. Autobusem do końca, potem się przejdę trochę, zobaczę, po ile piwo.

I tu rozpoczyna się wykład o cenach piwa w sklepach, barach, hurtowniach i supermarketach. Lokalizacja, cennik, ocena jakości. Najtańsze są hurtownie na dalekich przedmieściach. Gdybym to wszystko zapisał, mógłbym opracować mapę, na której poziomice łączyłyby punkty o tej samej cenie jakiegoś gatunku.

Jeden egzemplarz poprawianej przeze mnie mapy przytwierdziłem magnesami do drzwi lodówki. Codziennie po powrocie odcinałem z arkusza już „zrobiony” kawałek. Odciętych kawałków systematycznie przybywało, podobnie jak zapamiętanych obrazów z miasta. Na przykład plac zabaw urządzony na dawnym niemieckim cmentarzu, na który wchodzi się przez zabytkową bramę z krzyżem. Albo wciąż używaną studnię z żurawiem. Albo wielki neogotycki gmach z szyldem „Fabryka chusteczek higienicznych”. To wszystko widziałem i zapisałem w pamięci. Widziałem też sarny, bażanty i zające. Widziałem wille z podświetlanymi kortami tenisowymi i stare, niepotrzebne baraki magazynowe, w których mieszkają nikomu niepotrzebni ludzie. Widziałem w sklepie spożywczym duży sój z papierosami sprzedawanymi na sztuki i stosy niesprzedanych warzyw na pustoszejących pod wieczór targowiskach. Widziałem ciągnięty przez parę koni karawan i cielącą się tuż przy drodze krowę. Widziałem dużo ciekawych rzeczy. I w dodatku nie w telewizji.

Pod koniec sierpnia z wakacji wrócili znajomi i rodzina. Opowiadali o Wenecji, Bieszczadach, Mazurach. Pokazywali dziesiątki zdjęć: kolega na placu Św. Marka, teść przed

schroniskiem, rodzina znajomych przed jakże dowcipnie nazwaną łódką „Nasza łajba”... Próbowałem studzić ich entuzjazm przekornym stwierdzeniem: „No tak, ale musieliście za to płacić, a ja zwiedzałem darmo. A nawet mi płacili”. Przyjmowano to jako mało udany żart, choć powoływałem się na Epikteta: *Nie usiłuj naginać biegu wydarzeń do swej woli, ale naginaj wolę do biegu wydarzeń*. A niezwykłość przeżyć? Chyba nie zależy od miejsca akcji.

Na początku września skończyłem. Całość zajęła mi trochę ponad trzy miesiące. Ustalona na początku zapłata okazała się godna korekty. Michał zachował się w porządku i trochę dołożył. Ale majątku się w ten sposób nie zdobędzie. Szkoda.

Arkusze z naniesionymi poprawkami oddawałem stopniowo. Wracając z dalszych wypraw przez tereny już „zrobione”, odkryłem, że i moja wersja jest nieaktualna. Już gdzieś przesunięto przystanek, już buduje się nową stację benzynową, już otwarto kolejną aptekę. Być może rzeczywistości nie da się do końca wiernie odtworzyć.

to musiało skończyć się wierszem
dwa i pół tysiąca ulic
w dwa i pół miesiąca
to musiało się skończyć bo przecież
nie istnieją nieskończone miasta
a w związku z tym także mapy
ziemskich miast są jak wszystko tutaj
skończone i niedoskonałe

narodziny ulic mają miejsce
w czystych klinikach architektów
i a nie lub
na brudnych polach wśród wykopów
gdzie ulice kielkują krawężnikami
i latami wiodą
powolne życie roślin
pozwalając toczyć się po sobie
nie swoim przecież sprawom
aż po zburzenie ostatniego domu
i powolne zarastanie śmiercią
ulice giną także drogą
naturalnej selekcji

z ręki silniejszych lepiej uzbrojonych
pod budowę przystosowanych
do ekspansji żarłoczych parkingów
i dróg tak nachalnie przelotowych

jestem urzędnikiem
rejestrującym śmierć i narodziny
nie żadnym kapłanem z rady miasta
ale a może dlatego
chciałbym kiedyś zrobić korektę
planu niebieskiego Jeruzalem

Piotr Grobliński

Pierwodruk: „Tygiel Kultury” 1-3/2002

Od Autora

Po piętnastu latach ten tekst wciąż dobrze się czyta, przynajmniej autorowi. Wiele się w mieście i na świecie od tego czasu zmieniło, ale nadal jest w tym opisie jakaś autentyczność. Przedstawiona historia skończyła się dokładnie 11 września 2001 roku – samoloty rozbijające nowojorskie wieże oglądałem w małym barze w Łaskowicach, na samym końcu miasta. Koniec trzymiesięcznej pracy na zakończenie epoki. Dziś nie ma już tego baru, w Nowym Jorku jest za to odbudowany wieżowiec World Trade Center (nawiasem mówiąc, odbudowany według projektu Daniela Liebeskinda, który miał też zaprojektować łódzką Bramę Miasta).

W międzyczasie domy przy opisywanej w tekście widmowej ulicy Trenknera zyskały nowe adresy, a Łódź dostała nowe, „warszawskie” tabliczki z nazwami ulic i osiedli. Przy okazji „znawcy” miasta, którym powierzono opracowanie podziału na osiedla, popełnili tyle niedorzecznych błędów, że korektę można by robić tygodniami.

Pewne rzeczy są jednak stałe – uroczony nieregularny „Tygiel Kultury” nadal ma kłopoty finansowe, a ja wciąż chodzę po swoim mieście i doglądam gospodarstwa. Lubię myśleć o sobie jako o elemencie krwiobiegu miasta – muszę krążyć po najdalszych ulicach, roznosić tlen i substancje odżywcze do każdej zapomnianej ścieżki, podtrzymywać ten żywy organizm, który współtworzę. Taka symbioza ślimaka ze skorupą.

Niedawno mój syn, student Szkoły Filmowej, postanowił o tym moim chodzeniu nakręcić dokument. Z dzieciństwa zapamiętał widok przyczepionej do drzwi lodówki mapy, która powoli zniknęła w miarę postępu prac – uznał to za bardzo filmowy obrazek. Teraz kręcimy (się) po mieście razem i coś z tego zmontujemy. Przyda się na 50-lecie „Tygla”.



Jerzy Jarniewicz

Pejzaż miejski z jeleniem

Pod koniec lat 80. kursowały przez jakiś czas po ulicach Łodzi tramwaje z napisem „ŁÓDŹ – METROPOLIA MEDIÓW WSCHODU”. Pamiętam, że to wyrwane z kontekstu zdanie (bo przecież tramwaj takiego kontekstu nie zapewnia!) rozbudzało moją wyobraźnię. Nie chodziło przy tym o grubą przesadę, kryjącą się w nazwaniu Łodzi metropolią, bo do takiej przesady zdołaliśmy się przyzwyczaić przez lata, kiedy to Łódź chlubiła się tytułem „stolicy” (co prawda, tylko filmu polskiego). Dałem się urzec „mediom Wschodu” – byłem przekonany, że na kilka dni do Łodzi zjadą wybitni spirytyści albo przynajmniej nauczyciele medytacji transcendentalnej. Słowo „media” z tramwajowego hasła, zwłaszcza w zestawieniu ze „Wschodem”, kojarzyło mi się jednoznacznie z kontaktami ze sferą nadprzyrodzoną, a Wschód przywoływał na myśl obszary leżące za Uralem aż po Kraj Kwitnącej Wiśni.

Jak się później okazało, zdanie z tramwaju było cytatem z Hansa Magnusa Enzensbergera, niemieckiego poety, który właśnie odwiedził był Łódź. Zafascynowało go bujne życie artystyczne tego miasta, ale z drugiej strony wielkie wrażenie zrobił na nim apokaliptyczny niemal krajobraz tutejszego podupadającego przemysłu. W wyobraźni niemieckiego poety zrodziła się wizja Łodzi jako miasta, w którym nie tyle media, ile różne dziedziny sztuki tworzą nową jakość, czerpiącą ze swoistej odrębności – politycznej, społecznej, kulturowej – wschodniej Europy. W zbiorze szkiców *Czechy nad morzem* Enzensberger opisał swoją wizytę w domu Sławy Lisieckiej i Zdzisława Jaskuły, których próbował swoją wizją „Łodzi odrodzonej” zarazić: *Nie można pozwolić, aby takie miasto po prostu zeszło na psy! Przemysł tekstylny jest monokulturą, zdychającym monstrum... Musicie wpaść na jakiś pomysł! Na przykład... studia filmowe. Macie tu przecież swoją słynną szkołę filmową i kupę teatrów. Ludzie tacy jak wy, dziennikarze, muzycy, reżyserzy, graficy, autorzy... To byłoby rozwiązanie! Łódź musi się stać wschodnią metropolią mediów... Studia telewizyjne, drukarnie, firmy płytowe, redakcje, banki danych, wydawnictwa, stacje satelitarne.*

Pomijam tutaj trafność Enzensbergerowskiej diagnozy, chodzi mi tylko o samo hasło (a w wydaniu książkowym różni się ono od wersji wypisanej na tramwajach). Jego interpretacja uległa radykalnej zmianie: nie spirytyści, ale telewizja; nie Indie, ale Osteuropa; nie mistycyzm, ale firmy płytowe i wydawnictwa. A jednak wydawało mi się, że rozwiązanie zagadki hasła, czyli dotarcie do intencji jego autora, nie usuwa możliwości

mojego pierwszego odczytania. To przejście z interpretacji egzotycznej i uduchowionej do technicznej i w gruncie rzeczy prozaicznej uznałem za symboliczny komentarz dotyczący charakteru Łodzi: Łódź jest miastem na tyle dziwnym, że oba odczytania hasła na tramwaju byłyby tu do przyjęcia. Łódź mogłaby stać się stolicą wschodniej ezoteryki (w stopniu, w jakim nie mógłby nią stać się na przykład Szczecin), jak i wschodnio-europejskim centrum przemysłu medialnego (co z kolei byłoby mało prawdopodobne w przypadku takiego Rzeszowa). Łódź oferuje możliwość wielu przeciwstawnych lektur.

Bo to miasto na pół przełamane. Przełamane dosłownie. Przez sam środek planu Łodzi biegnie w dół długa, prosta linia. Jak kto chce: blizna lub kręgosłup tego miasta. Jego Wielki Kanion. Piotrkowska. Na niej wspiera się Łódź, nią jest przecięta. Jeszcze do niedawna wszystkie ulice, dochodzące pod kątem prostym do Piotrkowskiej, na niej się kończyły: Mickiewicza po przejściu przez Piotrkowską zmieniała tożsamość i stała się ulicą Główną, tak jak Andrzeja do dziś zamienia się w Tuwima, Zamenhofs w Nawrot, a Zielona w Narutowicza.

W świadomości mieszkańców innych rejonów Polski, Piotrkowska jest synonimem Łodzi, a raczej figurą *pars pro toto*, symbolizującą całość, której jest zaledwie częścią, bo dla wielu do niej właśnie sprowadza się istota tego miasta. Szczególne znaczenie Piotrkowskiej w wizerunku Łodzi nie polega tylko na tym, że jest najbardziej znanym miejscem tego hybrydycznego miasta. Ta sława jest pewnie nie do końca zasłużona, choć w tej materii nie można mówić o sprawiedliwości: kto wie czy nie lepszym symbolem Łodzi byłby Księża Młyn albo Pałac Poznańskich na Ogrodowej z całym kompleksem fabrycznym. Równie dobrze moglibyśmy zapytać, dlaczego van Gogh kojarzy się przede wszystkim ze słonecznikami, a nie z krajobrazem z Arles. Nie trzeba przypominać, że Piotrkowska, pełniąc rolę takich właśnie łódzkich słoneczników, ma niebagatelny wpływ na to, jak to miasto jest postrzegane, ale jest ona także siłą nadającą Łodzi jej charakter, zastępując to, co w innych miastach nazywa się skrótowo i nieprecyzyjnie rynkiem. Bo Łódź nie ma rynku, a to oznacza, że nie ma w tym mieście punktu centralnego.

Jest wprawdzie w Łodzi Rynek Starego Miasta, ale leży poza ścisłym centrum, na przedpolu Bałut. To chyba jedna z dziwniejszych anomalii Łodzi, że łódzka starówka tak naprawdę nie istnieje w świadomości łodzian. Zabudowany arkadami Rynek Starego Miasta mógłby pełnić rolę, jaką pełni rynek warszawski lub krakowski. Łodzianie odwrócili się jednak od niego, wybierając Piotrkowską. Uznając topografię miasta za mapę duszy jego mieszkańców, widzę w tym lekceważeniu rynku przez łodzian podświadomy opór wobec idei władzy centralnej, która kojarzy się nieodparcie z istnieniem jednego koncentrycznego centrum. Łodzianie wolą linię niż punkt, ulicę niż rynek. Wolą Piotrkowską. Dbając zaś, by Piotrkowska nie uzurpowała sobie tytułu centralnego punktu miasta, łodzianie do niedawna mieli w spisie ulic ulicę Główną – wyjątkowa to perwersja, by równoważyć znaczenie Piotrkowskiej nadaniem jednej z ulic w jej

sąsiedztwie tej nobilitującej nazwy. To co główne, leży w Łodzi w poprzek i na boku – to przykład wyjątkowej nonszalancji łodzian wobec świętej idei centrum.

Miasto z rynkiem narzuca swoim mieszkańcom pewien styl życia, którego nie mają mieszkańcy miast pozbawionych rynku, miast bez centrum; gotów jestem twierdzić, że rodzą się tu pewne wzorce zachowań, przyzwyczajenia, odruchy. A te z kolei wpływają na mentalność mieszkańców i współkształtują coś, co nazwałbym strukturą psychiczną miasta. Na rynek się przychodzi, siada przy stoliku jednej z wielu knajp, a wtedy całą jego przestrzeń można mieć w zasięgu wzroku. Dlatego rynek, jakby wbrew potocznym skojarzeniom, tak naprawdę unieruchamia świat, zamyka go w naszym polu widzenia. Co innego ulica taka jak Piotrkowska. Piotrkowska narzuca inne, dynamiczne zachowanie, wzywa do nieustannego łązikowania, do przemieszczania się, choćby od pubu do pubu, od ogródka do ogródka, od przecznicy do przecznicy. To miejsce współczesnych perypatetyków, miejskich Odysuszy, wędrujących między dwoma placami, które wyznaczają początek i koniec Piotrkowskiej, o nazwach stosownie synonimicznych – Plac Wolności i Plac Niepodległości. Piotrkowska, z organizowanymi tu regularnie karnawałowymi festynami, jest jednym teatrem, ale scen ma wiele. Nie sprzedaje się w jednym spojrzeniu, domaga się aktywności. Jest centrum szczególnym, bo pozbawionym znamion centrum, centrum niejako rozlanym, rozciągniętym, wydłużonym w czasie i przestrzeni. O ile rynek da się pożreć wzrokiem, o tyle Piotrkowską poznaje się ciałem, czuje się ją w nogach i w karku, w stopach i w plecach, doświadcza się jej całą cielesnością. Piotrkowska przestaje być jedynie zewnętrznym elementem topografii miasta, staje się wymiarem nas samych.

Wszystkie metafory, które przychodzą mi do głowy teraz, kiedy piszę o Piotrkowskiej, mogłyby służyć równie dobrze za opis całego miasta i jego mieszkańców. Bo Łódź jawi mi się jako miasto anarchiczne, bez władzy rynku, rozproszone i wielorakie. Miasto wędrowki, a nie zasiedlenia. Miasto przypadkowych wydarzeń, a nie trwałych pomników. Miasto przelotnych spotkań, a nie dozgonnych związków. Miasto, które raczej dzieje się, niż jest. Metamorficzne, kalejdoskopowe, hybrydyczne. Odwołujące się bardziej do doświadczenia ciała, niż do intelektu.

I tak szczególny klimat „bezrynkowej” Łodzi toczy tu spór z ideą centrum. To drugie co do wielkości miasto w Polsce (w 2007 r. Kraków wyprzedził Łódź pod względem liczby mieszkańców, spychając ją tym samym na trzecie miejsce – przyp. red.) leży przecież w samym centrum kraju, pod względem geograficznym jest miastem bardziej centralnym niż stolica. I w tym sensie Łódź uosabia centrum. Ale to miasto jest miastem na wskroś peryferyjnym, by nie powiedzieć zgoła kresowym, bo do niedawna mówiono tu trzema językami, często na jednej ulicy; bo synagoga stała tu kilka kroków od kościoła, a kościół kilka kroków od cerkwi. To miasto graniczne, ale położone daleko od granic. Z drugiej strony, nie trzeba przypominać, że jak chcą niektórzy, Łódź leży na dalekich peryferiach Warszawy. To miasto pod wieloma względami peryferyjne, z którego ludzie, zwłaszcza młodzi, wyjeżdżają przy najbliższej sprzyjającej okazji, jak



z zapomnianej prowincji – uciekają z myślą o wielkiej karierze do stolicy, do Krakowa, na Zachód. W tym sensie bliżej Łodzi do peryferii niż do centrum.

Ale ta peryferyjność, czy nawet prowincjonalność niemal milionowego miasta nie musi być wcale przekleństwem. Jest też jego atutem. Ocala Łódź przed zadęciem i pretensjonalnością, wyzwalając w jej mieszkańcach trzeźwość, rzeczowy sceptycyzm, podejrzliwość wobec wielkich gestów i teatralnych póz, a z drugiej strony – swoistą prostoduszność. Prowincjonalny charakter miasta pozwala też na luz, beztroskę i ludyczność, najlepiej widoczną w żywej tu do dziś tradycji cyganerii artystycznej, a także wśród gości licznych pubów, klubów i kawiarni. Ten wyrastający z topografii miasta sceptycyzm każe łodzianom z powątpiewaniem podchodzić do dumy okazywanej przez rodowitych warszawiaków czy krakowian, bo jaka to zasługa, że urodzili się akurat w tym mieście? Być może właśnie dlatego, ku strapieniu niektórych, nie odzywa się u łodzian duma lokalna, ale nie ma wśród nich także idących w ślad za tą dumą mniej chwalebnych postaw: arogancji i poczucia wyższości. Mimo starań Reymonta, Łódź nie zrodziła swojej mitologii, która zamknęłaby jej społeczność przed obcymi. Łodzianinem można zostać bez bólu

Nieopodal Rynku Starego Miasta – ul. Podrzeczna, widok na stoliki kawiarni „Staromiejskiej”; aut. E. Haneman, 1965

i trudu, niepotrzebny jest długi okres kwarantanny czy przedstawienie listów uwierzytelniających. Wielokulturowa przeszłość Łodzi, w której każdy budynek ma swoją polską, żydowską lub niemiecką historię, uczy pokory. A może też czegoś więcej: że losem człowieka jest się ciągle przemieszczać, jeśli nie po świecie, to choćby po Piotrkowskiej. Że dom jest zawsze domem na teraz, doraźnym i sezonowym jak buty, które nosimy. Nie bez kozery nazwa tego miasta przywołuje niesioną przez fale łódź, cumującą w różnych portach po to tylko, by wkrótce popłynąć w dalszy rejs. Łódź, czyli statek pijany.

Historia Łodzi, a zwłaszcza jej architektura, nie dają nikomu pewności, czy w mieście tym mamy do czynienia z groteską czy z powagą, z wygłupem czy ze wzniosłością. To miasto na wskroś postmodernistyczne, które już w XIX stuleciu zatarło granicę – kwestionowaną dziś w filmach Davida Lyncha, w sztuce Jeffa Koonsa czy w muzyce Johna Zorna – między sztuką a kiczem, między kulturą popularną a wyrafinowaniem. W Łodzi te kategorie nakładają się na siebie albo wręcz tracą swój sens – wystarczy spojrzeć na łódzkie fabryki budowane jak gotyckie zamki lub na pałace fabrykanckie, na te pomniki estetycznego nieopanowania, stylistycznej biegunki i chorobliwej wtórności, będące zarazem przykładami mistrzowskiej sztuki kamieniarstwa, kowalstwa, stolarstwa. Łódź nie jest pięknym miastem, Łódź jest miastem ciekawym.

Ponad dwadzieścia lat temu, w maju 1981 roku (a rok jest tu nie bez znaczenia), członkowie grupy artystycznej Urząd Miasta, próbując ratować przed wyburzeniem jedną z eklektycznych kamienic przy Piotrkowskiej, wmurowali w jej bramie tablicę, na której ogłosili, że kamienica ta jest „pomnikiem kamienicy”. Wydaje mi się, że był to jeden z najbardziej symptomatycznych dla klimatu Łodzi gestów. Ponieważ inicjatorzy wmurowania tablicy związani byli z neodadaistyczną awangardą łódzką lat 70., trudno było postronnym obserwatorom określić, czym była ta akcja. Gestem dadaistycznym, przywodzącym na myśl sławetny pisuar Marcela Duchampa? Przemienienie kamienicy w pomnik kamienicy powtarzało akt, w którym artysta samą tylko mocą słowa zamienia zwykły przedmiot w dzieło sztuki. A może wprost przeciwnie, akcja Urzędu Miasta wynikała z impulsu dalekiego od dadaistycznego obrazoburstwa, była raczej manifestacją tradycjonalizmu i wartości zachowawczych? Pytanie jest, oczywiście, błędnie postawione: była i jednym, i drugim, bo w Łodzi takie podziały tracą rację bytu. Gdyby nie podejrzany status Łodzi, tej stolicy nowobogackiego kiczu i proletariackiej tandety, dadaści nie przerodziliby się w konserwatorów przeszłości. To, co chcieli od siebie temu miastu dorzucić, wpisywało się bezboleśnie w „pejzaż architektoniczny z jeleniem”, jakim po części były pałace fabrykantów i mieszczańskie kamienice. Takie niwelowanie różnic, wyrosłe z wielonarodowej historii i zdecentralizowanej przestrzeni tego miasta, odbywa się na innych obszarach, choć najbardziej spektakularnie na obszarze sztuki, gdzie kosmopolityczna awangarda, od Władysława Strzemińskiego po happeningi Łodzi Kaliskiej, zawsze sąsiadowała z prowincjonalnością. Podobnie było z muzyką w tym mieście, które wydało takie symbole muzycznego kiczu jak śpiewające małżeństwo Framarów, telewizyjne widowiska epoki propagandy sukcesu *Dobry*



wieczór tu Łódź, czy dzisiejszych zawodników w tej kategorii – Ich Troje; a jednocześnie było miejscem, w którym rozwijały się dzielnie – by pozostać na gruncie muzycznym – punk rock, heavy metal czy muzyka alternatywna. Gdyby nie to przekraczanie granic, Łódź nie organizowałaby, jako jedyne miasto w Polsce, parady techno, wzorowanej na berlińskiej paradzie miłości (oczywiście na Piotrkowskiej). Nie znaleźliby się sponsorzy, którzy opłacili powstanie największego w Polsce grafitti (też na Piotrkowskiej). Nie odbywałby się tu doroczny konwent komiksu. Wyliczam przykładowo te trzy imprezy różnej rangi, budzące często mieszane uczucia, bo mimo swojej kontrowersyjności wydają się mieć wspólny mianownik – charakterystyczną dla peryferii niechęć wobec kanonicznej hierarchii, gatunkowej czystości i podniosłych słów.

Opisywana tu przeze mnie otwartość Łodzi, jej hybrydyczność, może się niektórym wydawać mitem, bo przecież jest to miasto włókiennicze, urbanistyczny monolit, który można wpisać do katalogu innych podobnych miast takich jak, powiedzmy, Manchester. Ale ten stereotyp miasta fabryk i kominów daleki jest od rzeczywistości, wystarczy spojrzeć na plan miasta, by w oczy rzuciły się wielkie zielone plamy. To nie tylko liczne miejskie parki – Poniatowskiego,

Podcienia
Rynku Starego Miasta;
aut. K. Sieroń,
lata 70. XX w.

Piłsudskiego, Matejki, Sienkiewicza, 3 Maja, Źródlińska, Staszica, długo by wymieniać. Niemal w sercu tego przemysłowego miasta znajduje się ścisły rezerwat przyrody, pozostałość po Puszczy Łódzkiej. Rezerwat ścisły w centrum wielkoprzemysłowego miasta mówi o Łodzi chyba nie mniej niż Piotrkowska. Pamiętam jeszcze czasy, kiedy w tym rezerwacie żyły dzikie sarny, a my, uczniacy szukający po lekcjach lub na wagarach mocnych wrażeń, przeskakiwaliśmy siatkę, wdzierając się na zakazany teren, za nic sobie mając strzegących tego sanktuarium leśników. Kiedy tak biegaliśmy za sarnami w tym wielkomijskim rezerwacie przyrody, dziesięć minut tramwajem od Piotrkowskiej, żaden z nas się nie dziwił, że to miasto bez rzeki zafundowało sobie herb z łódką.

Jerzy Jarniewicz

Pierwodruk: „Tygiel Kultury” 1-3/2003

Od Autora

Pejzaż miejski z jeleniem. Minęło 15 lat od powstania tego szkicu, a miasto zmieniło krajobraz. Jeleń (wiadomo gdzie), który miał być symbolem łódzkiego obciachu i logo śródkowopolskiej stolicy kiczu, stracił zęby i poroże. Mało kto pamięta już o Ich Troje, a nawet o Ich Jeden; *Dobry wieczór, tu Łódź* siedzi głęboko w telewizyjnych archiwach; poznikały z ulic budki z zapiekankami pod cudzoziemskim szyldem „Ad Astra”. Polityczny kicz, o którym że się zbliża, śpiewano chóralnie, też jakby wyparował, a przynajmniej chadza dziś w nieco staranniej dobranych marynarkach. Ale, jeśli wziąć pod uwagę główną tezę szkicu, że Łódź jest miastem bez punktu centralnego, bo nie ma rynku, i dlatego jest anarchiczna, otwarta, rozproszona i wieloraka, to najważniejszą zmianą minionych piętnastu lat byłoby jednak powstanie miejsca, które za centrum mogłoby uchodzić. Możemy nawet mówić o substytucji rynku, którego Łódź nie miała, i z którego to braku, wyróżniającego nasze miasto, powinna być, jak twierdziłem, dumna. Tym miejscem stała się Manufaktura, centrum handlowo-usługowe na terenie i w murach dawnej fabryki przetwórstwa bawełny Izraela Poznańskiego.

Rozłożyła się tam, gdzie kończy się, lub raczej zaczyna Piotrkowska, w bezpośrednim sąsiedztwie Parku Śledzia, zwanego też Staromiejskim, kilkaset metrów od Rynku Starego Miasta, który rynkiem tak naprawdę nigdy nie był i już teraz na pewno nie będzie. Manufaktura, choć nadal młodziotka, przejęła tożsamość Starego Miasta, podpięła się pod jego historię i świeci jego splendorem, zachowując jednak fason nowoczesności. Łódź dawna spotyka się tu z Łodzią nową, przemysłowa z kulturową, biedna z majątną. Łódź plebejska ściąga tu na zawody piłki plażowej, na miss mokrego podkoszulka albo na darmowy koncert Ewy Farnej, spotyka się tu z Łodzią awangardową, która wybudowała sobie pomnik w postaci Muzeum Sztuki, a faktycznie: świątynię sztuki nowoczesnej. Rynek Manufaktury to miejsce jarmarczne, jakim niegdyś, w zdrowszych warunkach, był Park na Zdrowiu, przy muszli koncertowej i przed wejściem do ogrodu

zoologicznego. To jednocześnie najbardziej być może ekskluzywny hotel w Łodzi i wystawy politycznego minimalizmu na dwóch piętrach ms². To zagłębienie fastfoodowych barów i przyległy Pałac Poznańskich, siedziba Muzeum Historii Miasta Łodzi. W efekcie powstania tego centrum zmiotła Piotrkowska – ulica, która nadawała miastu charakter, po której łodzianie łązowali bez konkretnego celu i powodu, kontestując ideę centrum i wszelkiej władzy. Teraz, w konkretnym zazwyczaj celu i z konkretnego zazwyczaj powodu, ciągną do Manufaktury.

Czy Łódź się scentralizuje i uhierarchiczy? Nie będę ryzykować prorocत्व, ale mam nadzieję, że nie. Siłę przyciągania Manufaktury da się zrównoważyć dzięki powstającym ogniskom, które konkurować będą o tytuł środka miasta. Paradoksalnie, może pojawić się kilka rynków, a Łódź zachowa swoją antyhierarchiczną strukturę. Off Piotrkowska, choć to bardziej podwórze niż rynek, jeszcze nie powiedziała ostatniego słowa. Czekamy na otwarcie EC 1, które położone poza rejonem Piotrkowskiej ma szansę przyciągać nie mniej ludzi niż Manufaktura. Przykryte szklanym sklepieniem miasto w mieście, zwane Łodzią Fabryczną, dziś pustawie, może się zacząć wypełniać. Rozsypane się nam centrum, na szczęście. Rozplecie, podzieli. Miasto z kręgosłupem zamieni się w miasto o wielu sercach, ale że „serce” znaczy, co znaczy, także to, czego tutaj nie chcielibyśmy, żeby znaczyło, to powiedzmy raczej: Łódź - miasto splotów słonecznych, albo jeszcze mniej romantycznie: miasto mózgów brzusznych. Z którego, jak mówią, pociągnie niedługo szlak aż do Państwa Środka.



Krzysztof Stefański

Architektura Łodzi – zagrożone dziedzictwo

Szacunek dla przeszłości, dla historycznego dziedzictwa, jest jednym z wyznaczników poziomu kultury danego społeczeństwa czy narodu, stopnia jego cywilizacyjnego rozwoju. Szacunek ten ma nie tylko szerszy wymiar kulturowy czy emocjonalny. We współczesnym skomercjalizowanym świecie, przekłada się on na konkretne korzyści materialne, ma charakter komercyjny. Jest podstawą przemysłu turystycznego dającego zatrudnieni tysiącom ludzi i przynoszącego krociowe zyski.

Kulturowym dziedzictwem Łodzi – przemysłowego ośrodka w centrum Europy – jest jej niezwykła historia i ukształtowany w ciągu XIX i na początku XX wieku przestrzenny i architektoniczny krajobraz, w którym wyjątkową pozycję zajmują zespoły budownictwa fabrycznego. Tworzą one wartość, która decyduje o potencjalnej turystycznej atrakcyjności miasta.

Łódź wyrosła jako centrum przemysłu włókienniczego niemal od podstaw w ciągu kilkudziesięciu lat. Początek niezwykłej kariery miasta dały mądre decyzje władz Królestwa Polskiego, a szczególna rola twórcy Łodzi przemysłowej przypadła Rajmundowi Rembielińskiemu, Prezesowi Komisji Województwa Mazowieckiego, która to funkcja była ówczesnym odpowiednikiem stanowiska wojewody. W latach 20. XIX w. wytyczone zostały na południe od dawnej rolniczej i drewnianej w zabudowie Łodzi osady przemysłowe: Nowe Miasto i Łódka. Oś założenia stanowił trakt piotrkowski przekształcony w ul. Piotrkowską poprzecinaną regularnie krótkimi przecznicami. Powstał wyjątkowy w tradycji urbanistyki europejskiej szachownicowy układ ulic, przyrównywany do miast amerykańskich. Do Łodzi poczęli ściągać tkacze, sukienicy i rękodzielnicy różnych profesji, przybywający głównie z ziem niemieckich, zachęceni przez rząd Królestwa Polskiego bardzo korzystnymi warunkami.

Rozwój miasta w pierwszej połowie XIX w., mimo przejściowych kryzysów i wahań koniunktury, przebiegał pomyślnie i planowo, zgodnie z zamierzeniami władz. Sytuacja zmieniła się w latach 60. XIX w. W wyniku represji po Powstaniu Styczniowym zlikwidowano resztki autonomii władz Królestwa Polskiego, a jednocześnie po przecięciu „kryzysu bawełnianego” lat 1862-63 rozpoczął się boom gospodarczy, który doprowadził do szybkiego rozwoju łódzkiego przemysłu. Konsekwencją był gwałtowny i kontrolowany jedynie w niewielkim stopniu przez rosyjskie władze rozwój miasta. Na przełomie XIX i XX w. ukształtował się charakterystyczny krajobraz Łodzi – długie,

wąskie ulice zabudowane szczelnie kamienicami wzniesionymi na wąskich działkach z długimi oficynami ciągnącymi się w głąb posesji. Urozmaicały je porozrzucane po całym mieście gmachy fabryczne z licznymi kominami. Owe dymiące kominy stały się jednym z symboli miasta, dziś już nie istniejącym.

Architekturę miasta wzbogacały liczne fabrykanckie rezydencje, pałace i wille, często otoczone ogrodami. Powstały unikatowe zespoły fabryczno-mieszkalne na Księżym Młynie Karola Scheiblera oraz przy Ogrodowej Izraela K. Poznańskiego. Ciekawie prezentuje się budownictwo sakralne tego czasu – kościoły, cerkwie, synagogi – którego różnorodność stanowiła odbicie wielonarodowościowego i wielowyznaniowego charakteru dawnej Łodzi, w której zamieszkiwali obok siebie Polacy, Niemcy, Żydzi, Rosjanie czy Czesi. Łódź przełomu XIX i XX wieku stała się miejscem krzyżowania się różnych narodów i kultur.

Architektura miasta końca XIX wieku prezentuje bogate, różnorodne formy charakterystyczne dla epoki historyzmu, na początku XX wieku pojawiła się secesja, która odbiła na architekturze Łodzi wyraźne piętno, przed I wojną światową wkraczają formy wczesnego modernizmu. Krajobraz architektoniczny miasta uzupełniło także szereg ciekawych dzieł z lat międzywojennych. Barwny i różnorodny obraz łódzkiej architektury był wynikiem działalności na terenie miasta wielu twórców wywodzących się z różnych środowisk. Miejscowi architekci kształcili się z reguły w Petersburgu – w Cesarskiej Akademii Sztuk Pięknych bądź w Instytucie Inżynierów Cywilnych – a swoje wykształcenie uzupełniali niekiedy na zachodzie Europy: wśród nich wyróżnić należy architektów miejskich Hilarego Majewskiego i Franciszka Chełmińskiego oraz takich twórców jak Gustaw Landau-Gutenteger, Dawid Lande, Piotr Brukalski czy Adolf Zeligson. Ich liczbę uzupełniali osiadający w Łodzi architekci wywodzący się z innych krajów, jak Juliusz Jung, Otto Gehlig, Alwill Jankau, czy Paweł Rübensahm. Pojawiły się w mieście także dzieła twórców warszawskich: Józefa Dziekońskiego, Edwarda Lilpopy, Konstantego Wojciechowskiego czy Ludwika Panczakiewicza, ale także berlińskich, jak Franz Schwechten, Adolf J. Balcke, Wilhelm Martens czy wiedeńskich, jak Karl Seidl czy Siegfried Stern.

O tym, że Łódź jest swojego rodzaju fenomenem, unikatowym w skali europejskiej zespołem urbanistyczno-architektonicznym pisano wielokrotnie. Architektura miasta z epoki XIX i początku XX wieku poczęła budzić zainteresowanie już w latach 60. ubiegłego stulecia, a uwidoczniła się szczególnie w latach 70., gdy w mieście dwukrotnie odbyły się sesje naukowe historyków sztuki poświęcone sztuce XIX wieku („Sztuka 2 połowy XIX wieku” 1971, „Sztuka i innowacja” 1979), a łódzką architekturę objęto ochroną konserwatorską. W 1981 r., mimo trudnej ówczesnej sytuacji, udało się zorganizować międzynarodową sesję „Architektura miast przemysłowych drugiej połowy XIX w. – jej historyczne i współczesne problemy”, która wyeksponowała znaczenie miasta jako ośrodka architektury przemysłowej w skali europejskiej.

Paradoksalnie jednak okres ten przyniósł także poważne zagrożenia dla substancji zabytkowej miasta. W latach 60. wyburzono całą wschodnią pierzeję ul. Zachodniej, by stworzyć przedłużenie dwupasmowej al. Kościuszki. Do dzisiejszego dnia, mimo upływu 40 lat, pierzeja ta nie została zabudowana i w centrum miasta straszą odsłonięte podwórzowe oficyny i przybudówki. Do dalszych daleko idących wyburzeń doprowadziły podjęte na przełomie lat 60. i 70. przekształcenia centrum miasta, w rejonie skrzyżowania ulicy Piotrkowskiej z ul. Główną i wytyczenie na osi drugiej z tych ulic dwupasmowej trasy szybkiego ruchu. Ulica Główna, jedna z ważniejszych w układzie przestrzennym miasta, i jej przedłużenie ul. św. Anny, zniknęły w swym dawnym kształcie.

Współczesne miasto ma swoje potrzeby i nie można negować celowości pewnych wyburzeń starej zabudowy i zmian w układzie komunikacyjnym. Z pewnością jednak kształtując w latach 70. ubiegłego stulecia nowe centrum Łodzi, burzono zbyt chętnie i ze zbyt wielkim rozmachem. Zniknęła wówczas m.in. cała grupa najwcześniejszych domów tkaczy (z lat 1825-26) wzniesionych na terenie osady Łódka, stojących przy ul. Piotrkowskiej 174-232 – psuły one widok na rosnące w górę wieżowce Śródmiejskiej Dzielnicy Mieszaniowej, zwanej popularnie przez Łódzian „Manhattanem”. Przypomnieć należy, że cudem uniknęła wyburzenia kamienica przy al. Kościuszki 93, jeden z najbardziej oryginalnych przykładów secesji w architekturze łódzkiej autorstwa G. Landau-Gutentegera, jak i kamienice przy ul. Piotrkowskiej 156 i 164. Ta ostatnia uznana została później przez grupę artystyczną Urząd miasta za „Pomnik Kamienicy”. Nie miała tego szczęścia chociażby interesująca wczesnomodernistyczna kamienica przy ul. Piotrkowskiej 159 o ciekawym detalu i wystroju, z witrażami na klatce schodowej.

Mimo upływu lat do dnia dzisiejszego w śródmieściu Łodzi znajdujemy olbrzymie niezagospodarowane obszary wzdłuż północnej pierzei al. Piłsudskiego, będące pozostałością podjętych wówczas działań. Dopiero na początku nowego stulecia udało się wypełnić część pustek zięjących w ścisłym centrum miasta przy skrzyżowaniu ul. Piotrkowskiej z al. Piłsudskiego, zespołem nowych obiektów użyteczności publicznej (hotel, multiplex, budynek biurowy).

Już w końcu lat 60. XX w. prowadzono również rozbiórki przy Pl. Wolności – dawnym Nowym Rynku – niszcząc cenne domy mieszczańskie z lat 30. i 40. XIX w. Opracowane przez architektów projekty zakładały niszczenie w tym rejonie całych kwartałów zabudowy. Na szczęście, z przyczyn głównie ekonomicznych, zaniechano tych godnych szaleńca pomysłów. Kryzys wywołany ekonomiczną niewydolnością systemu komunistycznego przyhamował tempo przekształceń w latach 80. ubiegłego stulecia. Nie obeszło się wszakże bez kolejnych wyburzeń – kolejną ofiarą modernistycznych zapędów stał się dworzec Łódź Kaliska (1902, proj. Cz. Domaniewski), rzadki w skali europejskiej przykład zastosowania w tego typu budowlach form secesyjnych, o niezwykle charakterystycznym rozwiązaniu przestrzennym. Choć w pełni nadawał się do renowacji, musiał ustąpić miejsca banalnej modernistycznej formie.



Podobne przykłady możemy zaobserwować również w ostatnich latach. Najbardziej symptomatyczne było wyburzenie łódzkiej Filharmonii (1886, proj. Otto Ghelig) – budynku upamiętnionego występami artystów tej miary, co Ignacy Paderewski czy Artur Rubinstein. Miast ratować cenny gmach, modernizując jego wnętrze, łódzkie architektoniczne lobby zdecydowało – mimo protestów Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków – o jego wyburzeniu i postawieniu w tym miejscu prostopadłościowej szklano-betonej formy według projektu krakowskiego architekta R. Loeglera, nijak nie przystającej do charakteru i atmosfery łódzkich ulic. Wyburzenia w centrum miasta nadal są na porządku dziennym, każdego roku znika wiele dawnych domów będących niekiedy cennymi świadkami pierwszego okresu przemysłowej Łodzi, jak chociażby dom na rogu ulic Sienkiewicza i Nawrot z lat 30. XIX w., rozebrany w roku 2001. Niekiedy dokonuje się dziwnych zabiegów, jak było w przypadku dawnego domu tkacza przy Piotrkowskiej 263, upamiętnionego jako pierwsze miejsce zamieszkania Scheiblera. W obiekcie tym od wielu lat mieści się Księgarnia Archidiecezjalna. Budynek ten rozebrano w 1996 r. do fundamentów i na jego miejscu wystawiono od podstaw kopię z całkowicie przekształconym wnętrzem. Całość prezentuje się ładnie – tyle, że de facto zniknął z powierzchni ziemi kolejny świadek dawnych dziejów miasta.

Budynek dawnego dworca kolejowego
Łódź Kaliska;
aut. nieznanymi,
lata przedwojenne

Od wielu lat toczy się cicha walka o położony w sercu miasta rejon skrzyżowania ulicy Piotrkowskiej z Zieloną i Narutowicza, gdzie architekci miejscy planowali przebiecie dwujezdniowej przelotowej trasy. Z planów tych zrezygnowano, głównie z przyczyn ekonomicznych, ale stojące w tym rejonie obiekty (w południowej pierzei ulic Zielonej i Narutowicza) doprowadzone są już do stanu „śmierci technicznej” i być może któregoś dnia same runą.

Ostatnie kilkanaście lat przyniosło nowe poważne zagrożenia. Przemiany ustrojowe i gospodarcze doprowadziły do bankructwa większą część łódzkiego przemysłu, przestarzałego i niewydolnego. Pustką zaczęło straszyć wiele fabrycznych gmachów. Najpoważniejszym wyzwaniem dla miasta jest zespół dawnych zakładów Poznańskiego przy ul. Ogrodowej, którego gmachy stoją nieużytkowane już od wielu lat. Pojawił się projekt przekształcenia ich w wielkie centrum handlowo-rozrywkowe, budzący liczne kontrowersje ze względu na sensowność przedsięwzięcia i niepokój skalą proponowanych przekształceń zabytkowego zespołu. Projektu tego nie można jednak całkowicie negować – jest to być może szansa dla popadającego w ruinę pofabrycznego kompleksu, ale należałoby zastanowić się nad możliwością silniejszego uwzględnienia przy jego realizacji postulatów konserwatorskich (w 2003 r. rozpoczęły się prace budowlane związane z rewitalizacją terenów dawnej fabryki; uroczyste otwarcie Centrum Manufaktura odbyło się 17 maja 2006 r. – przyp. red.).

Próby ożywienia upadającej łódzkiej gospodarki przyniosły też takie nieprzemysłowe pomysły, jak umieszczenie w zabytkowym kompleksie dawnej fabryki L. Grohmana na Łódzkiej Specjalnej Strefy Ekonomicznej. Doprowadziło to do wyburzeń i wybudowania na zabytkowym obszarze, tuż obok zespołu Księżego Młyna, obiektów zupełnie nie harmonizujących z dawnym otoczeniem.

Zabytkowa architektura Łodzi, zrodzona w XIX i na początku XX w., jest najcenniejszym elementem dziedzictwa kulturowego miasta. Obecnie dziedzictwo to jest poważnie zagrożone. Należy docenić wysiłek władz miejskich włożony w ciągu ostatnich lat w renowację ulicy Piotrkowskiej, uczynienie z niej – choć nie do końca konsekwentnie – spacerowego deptaka, który jest ulubionym miejscem spędzania czasu tak łódzian, jak i turystów. Cieszy każdy odnowiony obiekt: pałac (choćby odnowiony kilka lat temu pałac I. K. Poznańskiego), kamienica czy kościół, których z każdym rokiem przybywa. Jako przykłady pozytywnych działań w ostatnich latach podać można kościoły ojców jezuitów Najświętszego Imienia Jezus, ewangelicko-augsburski św. Mateusza czy cerkiew katedralną św. Aleksandra Newskiego, poddawane renowacji wielkim nakładem kosztów przy poważnym udziale władz miasta. Jest to także przykład, z jak wielkimi problemami finansowymi wiąże się tego typu duże przedsięwzięcia.

Choć ulica Piotrkowska pięknieje, wystarczy odejść nieco w bok, by zobaczyć zatrważający stan dużej części starej łódzkiej architektury. Niszczącej nie poddawane remontom od dziesiątków lat kamienice, niszczącej cenne obiekty związane z historią

miasta, jak choćby dawna siedziba Towarzystwa Kredytowego przy ul. Pomorskiej (1881 r., proj. Hilary Majewski).

Jednym z drastycznych przykładów są losy jednego z najważniejszych zabytków XIX-wiecznej architektury w Polsce, jakim jest neogotycka kaplica-mauzoleum Karola Scheiblera na Starym Cmentarzu Ewangelicko-Augsburskim, wzniesiona w latach 1885-88 przez warszawskich architektów E. Lilpopa i J. P. Dziekońskiego. Po 1945 r. obiekt przez kilkadziesiąt lat był bezkarnie profanowany i dewastowany. Proces ten został ograniczony przez podjęte w końcu lat 70. prace zabezpieczające, ale w pełni udało się go zahamować dopiero w latach 90. Rezultatem jest obraz daleko posuniętych zniszczeń. Choć wymiana dachów uchroniła obiekt przed zawaleniem się stropów, to zrujnowane wnętrza, pozamurowywane okna – niegdyś wypełnione witrażami - postręcane elementy kamiennego detalu czynią nader smutne wrażenie. Obiekt, który mógłby być chlubą Łodzi, który należałoby z dumą pokazywać turystom, jest obecnie świadectwem wandalizmu i ludzkiej głupoty.

Na cmentarzu podejmowane są od kilku lat działania konserwatorskie, które przywróciły blask kilkunastu już cennym grobowcom. Teraz należałoby skupić wysiłki stowarzyszeń zajmujących się łódzkimi zabytkami, ale także władz miasta, jak i wszystkich ludzi dobrej woli, na podjęciu dzieła renowacji kaplicy Scheiblerów. Za przykład niech posłuży dzieło o podobnym charakterze, także o formach neogotyckich – kaplica w ogrodach carskiej rezydencji Peterhof pod Petersburgiem, dzieło wybitnego architekta niemieckiego K. F. Schinkla z 1834 r. Przed kilku laty jej stan niewiele się różnił od obecnego stanu kaplicy Scheiblerów- przed dwoma laty świeżo odrestaurowana lśniła blaskiem jasnego kamienia, misternego neogotyckiego detalu. (W 2003 roku powstała Fundacja Na Rzecz Ratowania Kaplicy Karola Scheiblera. W 2006 roku kaplica



Kaplica Scheiblera
na Cmentarzu Starym;
aut. K. Sieroń,
lata 70. XX w.

została wpisana na listę stu najbardziej zagrożonych zabytków świata. Cały czas trwają prace renowacyjne kaplicy – przyp. red.).

Dzieła takie jak kaplica Scheiblerów są naszym dziedzictwem, a ich dzisiejszy stan miernikiem szacunku dla tego dziedzictwa, dowodem poziomu kultury społeczeństwa. Zabytkowa architektura Łodzi potrzebuje natychmiastowej pomocy, podjęcia daleko sięgających działań, które uratowałyby centrum starej Łodzi jako wyjątkowej rangi zespołu o wielkich wartościach historycznych i architektoniczno-urbanistycznych. Zachowanie samej ulicy Piotrkowskiej, jako swojego rodzaju teatralnej dekoracji przesłaniającej zrujnowaną zabudowę sąsiednich ulic, nie jest odpowiednim rozwiązaniem. Podjęciu konkretnych działań, zdobywaniu odpowiednich środków finansowych – także z funduszy centralnych – towarzyszyć musi budowanie społecznej świadomości potrzeby ratowania dawnej Łodzi. Wielką w tym rolę mediów, szkół, stowarzyszeń społecznych. Wiadomo, że zabudowy dawnej Łodzi nie da się w całości uratować – zbyt wiele jest bowiem budynków bliskich stanu „śmierci technicznej”, a miastu brak środków na podjęcie generalnych remontów – nieuniknione więc będą nowe wyburzenia. Należy jednak zachować jak najwięcej, by nie zagubić niepowtarzalnej atmosfery XIX-wiecznej Łodzi, atmosfery wąskich ulic zabudowanych ciągami kamienic o zróżnicowanej, barwnej architekturze, urozmaicanej pałacami i willami, z mocnymi akcentami w postaci gmachów fabrycznych – to jest nasze dziedzictwo, które może stać się szansą Łodzi i zadecydować o jej przyszłości w jednoczącej się Europie.

Krzysztof Stefański

Pierwodruk: „Tygiel Kultury” 1-3/2003

Mariusz Gaworczyk

Ludwik Mackiewicz – architekt z zasadami

Łódzcy architekci podbijają inne miasta

Można dziś powiedzieć, że nie było poważnego, ogólnopolskiego konkursu, w którym nie brałoby udziału łódzcy architekci. Jak dotąd, po licznych konsultacjach doliczyłem się prawie trzydziestu konkursów, w których łódzianie zanotowali sukcesy. Zbyt duża to liczba, żeby je wszystkie wymienić. Jedno wszakże jest pewne i warte podkreślenia. Dziesięć lat temu było w Łodzi... 50 architektów, którzy jako środowisko nie stanowili żadnej siły. Dziś jest ich około 200 i w skali krajowej coraz bardziej nabierają znaczenia jako interesujące środowisko twórcze¹.

Do czołwki łódzkich pionierów architektury – właśnie tych pięćdziesięciu – należał Ludwik Mackiewicz, absolwent Wydziału Architektury Politechniki Wrocławskiej. Po powrocie do rodzinnego miasta, w krótkim czasie został zwycięzcą wielu konkursów, autorem znaczących projektów i realizacji na terenie całego kraju.

W początkowym okresie twórczości, pracując w łódzkim Miastoprojekcie zajmował się głównie projektowaniem obiektów użyteczności publicznej. I tak jak większość zatrudnionych tam architektów brał udział w konkursach architektonicznych.

Jednym z pierwszych ważniejszych sukcesów było zajęcie w 1960 roku drugiego miejsca (pierwszej nagrody nie przyznano) w zamkniętym konkursie na ukształtowanie Placu Wolności wraz z kwartałem ulic Północna, Zachodnia, Wschodnia, Rewolucji 1905 r. i Próchnika – w zespole z Leszkiem Łukosiem i Wiesławem Lelińskim. Już wtedy zadawano sobie pytanie, czy łączyć architekturę tradycyjną (istniejącą) z nowoczesną i budować plombowce, czy przebudować plac na nowo, pozostawiając historycznie cenne budynki? Czy zachować istniejący układ wysokościowy? Autorzy nagrodzonych projektów opowiedzieli się za współczesnymi, nowoczesnymi formami, zachowując zabytkowy ratusz i kościół, adaptując i uwspółcześniając nadające się do zachowania budynki. We wszystkich pracach zachowano też ośmioboczne założenie placu. Żaden z nagrodzonych projektów nie został zrealizowany.

W 1962 roku, w ogólnopolskim konkursie na projekt ośrodka usługowego w Gdańsku, łódzki zespół – architekci Bolesław Kardaszewski, Ludwik Mackiewicz, Tadeusz Sumień i Jerzy Wyżnikiewicz – zdobył pierwszą nagrodę.

¹ Jerzy Wilmański, *Architekt i osiedle*, „Głos Robotniczy” nr 63, 08.01.1965.

W marcu 1964 roku „Dziennik Łódzki”² informował, że łódzcy architekci zdobywają kolejne laury i pierwsze miejsca w konkursach na obiekty dla Gdańska, Opola, Poznania, Dąbrowy Górniczej. W ogłoszonym pół roku wcześniej otwartym konkursie na projekt hotelu miejskiego w Łodzi trzy pierwsze nagrody zdobyły zespoły architektów, którzy w chwili ogłoszenia wyników konkursu byli pracownikami łódzkiego Miastoprojektu. Pierwszą nagrodę zdobył zespół architektów – architekt Jan Michalewicz, Bronisław Marszał, Tadeusz Nowicki, drugą nagrodę Jerzy Jakubczak, Leszek Łukoś, Ludwik Mackiewicz i Andrzej Garszyński, a zdobywcami trzeciej byli Bolesław Kardaszewski i Tadeusz Sumień. Do realizacji został zakwalifikowany projekt, który zdobył pierwszą nagrodę. Opracowanie dokumentacji budowlanej powierzono zdobywcom najwyższej ocenionych prac.

Ten nowoczesny, jak na tamte czasy hotel – wrażenie robiły pokryte szkłem elewacje – na piętnastu piętrach mieścił 194 pokoje jednoosobowe, 96 dwuosobowych i kilka apartamentów. Łącznie 400 łóżek. Na parterze znajdowała się restauracja na dwieście osób i kawiarnia na sto. Kubatura budynku przekraczała 49 tysięcy metrów sześciennych. Hotel – obok gmachu CeTeBe i Telewizji – był jednym z najwyższych budynków w tej części miasta. Jednak mimo swej wielkości nawet w niewielkim stopniu nie zaspokajał potrzeb, a Łódź pod tym względem znajdowała się na szarym końcu miast wojewódzkich. W 1970 roku to zaledwie 2,3 miejsca hotelowe na tysiąc mieszkańców, podczas gdy obowiązujące wtedy wskaźniki mówiły o 3,8 miejscach na tysiąc mieszkańców. Niestety budynek nie wytrzymał próby czasu, dzisiejszych oczekiwań klientów, a także zmienionych, podwyższonych norm i wymagań i został w 2016 rozebrany.

W tym samym roku przekazano do użytkowania Dom dla Przewlekłe Chorych przy ul. Paradnej, którego autorami byli architekt Ludwik Mackiewicz i konstruktor Jerzy Tomaszewski. *Dom dla Przewlekłe Chorych zaplanowaliśmy na 200 łóżek. Kubatura całego obiektu wynosi około 11 tys. metrów sześciennych. Pomieszczenia są jasne i przestronne – bardzo dużo balkonów. Koszt całości zamknął się sumą około 10 mln. zł. Wykonawcą było Łódzkie Przedsiębiorstwo Budownictwa Miejskiego nr 3* – mówił Ludwik Mackiewicz. Jak na tamte czasy obiekt zapewniał maksimum wygód. Wszystkie pokoje miały balkony i zapewniony dostęp światła słonecznego. Budynek swym wyglądem przypominał luksusowe sanatorium.

Rok później Ludwik Mackiewicz opracował projekt Centrum handlowo-usługowego na osiedlu „Wielkopolska”. Kompleks składa się z trzech połączonych galerią zewnętrzną, dwukondygnacyjnych pawilonów o kubaturze 23 tysiące metrów sześciennych, w których miejsce znalazły 32 sklepy i punkty usługowe oraz kawiarnia połączona z biblioteką (sic!). Zaplecza sklepów dostępne są z wewnętrznej, niewidocznej dla klienta uliczki.

W 1969 roku według projektu Ludwika Mackiewicza zbudowano pawilon handlowy na Widzewie, obok stadionu. Dziś w związku z budową nowego stadionu Widzewa, budynek został rozebrany.

² „Dziennik Łódzki” nr 69, 20.03.1964.

W tym też roku zespół architektów – Jerzy Jakubczak, Leszek Łukoś, Ludwik Mackiewicz i Jan Michalewicz – zdobył pierwszą nagrodę na projekt dziewięciokondygnacyjnego Domu Związków Zawodowych, który miał stanąć na Placu Zwycięstwa. W budynku tym projektowana była największa w Łodzi sala kongresowa na 1500 osób. Ogólna powierzchnia budynku przekraczała 15 tysięcy metrów kwadratowych. Obiekt nie został zrealizowany.

Znaczącym osiągnięciem w karierze Ludwika Mackiewicza okazał się wykonany wspólnie z architektem Bolesławem Kardaszewskim projekt Wydziału Budownictwa Łądownego Politechniki Łódzkiej. Konstrukcja budynku była dostosowana do panujących wówczas metod budownictwa uprzemysłowionego i wykorzystywała prefabrykowane elementy żelbetowe – takie same jak w budowanym w tym samym czasie „wysokościowcu” ŁZB przy ul. Roosevelta. Kubatura obiektu to 50 tysięcy metrów sześciennych. Wydział projektowany był dla 700 osób – studentów i personelu naukowego (dziś znacznie rozbudowany). Koszt budowy przewidziany był na 50 milionów złotych.

To ważny dla miasta budynek, ponieważ w 1974 roku utworzony został w nim Instytut Architektury (obecnie Wydział Budownictwa, Architektury i Inżynierii Środowiska Politechniki Łódzkiej), gdzie architekt Ludwik Mackiewicz od jego powstania aż do przejścia na emeryturę prowadził zajęcia. Uczył architektury, będąc opiekunem kolejnych roczników studentów.

Sukcesem okazał się również udział w ogólnopolskim konkursie na Śródmiejską Dzielnicę Mieszaniową. Pierwszej nagrody nie przyznano, ponieważ jury uznało, że żadna praca nie spełniła kompleksowo warunków konkursu. Drugą nagrodę zdobył zespół architektów z Wrocławia, a trzecią otrzymał łódzki zespół kierowany przez architekta Jacka Najgrowskiego – Leszek Łukoś, Ludwik Mackiewicz, Włodzimierz Klimecki. Konkurs, co podkreślali jurorzy, należał do szczególnie trudnych. Po raz pierwszy w Polsce (sic!) starą dzielnicę wielkowiejską należało zaadaptować do nowych potrzeb, ujmując w projekcie istniejącą zabudowę, która miała nie ulec wyburzeniu, a zostać zaadaptowana do nowych, współczesnych celów i potrzeb. Należało przewidzieć włączenie do projektowanych funkcji mieszkalnych i usługowych istniejących (i wówczas jeszcze działających) zakładów przemysłowych tak, aby ich współlistnienie stało się jak najbardziej funkcjonalne.

„Skoro jest tak dobrze, czemu jest tak źle? – pytanie to zadaliśmy kilka miesięcy temu pisząc o „eksportowych” osiągnięciach naszych architektów startujących z niemalym powodzeniem w konkursach na przebudowy, rozbudowy i modernizację śródmieść innych polskich miast. Fakt, że zdobywają laury na „cudzym” terenie świadczy o tym, że nasze środowisko architektów – choć nieliczne (jest ich około 200 w porównaniu do 2500 w Warszawie i po około 800 w Krakowie i Wrocławiu) – jest zdolne do większych czynów, aniżeli można by przypuszczać chodząc po łódzkich osiedlach.”³

³ „Dziennik Łódzki” nr 29, 04.02.1969.

Na pytanie to zdecydował się odpowiedzieć Ludwik Mackiewicz. W „Dzienniku Łódzkim” pisał:

Jeżeli zdecydowano się, kierując się względami ekonomicznymi, na przekreślenie indywidualnego charakteru osiedli przez zastosowanie powtarzalnych budynków mieszkalnych i ostatnio powielanych gdzie się da pawilonów handlowo-usługowych – to przynajmniej centrum powinno być „święte”. Unikalność jest chyba w tym wypadku jedyną drogą postępowania. Projektujmy tak, ażeby nikt nie mógł powiedzieć, że nie stać nas na samodzielny twórczy wysiłek. Nawet obuwie i tkaniny wykonywane są w krótkich seriach, mimo że przeznaczone są na krótszy aniżeli domowy użytek. (...) Piszę rozgoryczony tymi decyzjami, które gdzieś zapadają bez naszego (w bardzo szerokim pojęciu) udziału i bez naszego głosu. W środowisku architektów i wszystkich tych, którym drogi jest los naszego powstającego centrum, sprawa niniejsza powinna wywołać dyskusje i proponuję, ażeby dla tego tematu także „Dziennik” udostępnił swoje łamy. To, jakiego oczekujemy centrum naszego miasta, powinno stać się tematem szerokiej publicznej dyskusji. Nie powinny to być teoretyczne wywody, bo na ten temat napisano już bardzo dużo. Potrzebne jest realne spojrzenie na to, co się dzieje wokół nas, na co dzień. To, co zrobiono w sensie architektonicznym z ul. Zachodnią nie może być pozytywnym przykładem w naszej dyskusji. Te małe sklepiki z okropnymi wystawami – przecież nie na to wszyscy czekamy i liczymy”⁴.

Jakże aktualne wydają się te słowa dziś – prawie pięćdziesiąt lat później.

Działalność projektowa Ludwika Mackiewicza nie ograniczała się tylko do architektury. Sukcesy osiągał również w konkursach na pomniki. W 1967 roku został laureatem pierwszej nagrody w konkursie na pomnik upamiętniający ważne wydarzenia w historii Łodzi, jakim był strajk robotników w 1905 roku. To żelbetowy monument o świetnych proporcjach i nowoczesnym modernistycznym kształcie. Na froncie, z lewej strony data – 1905, po prawej obrysowane konturem sylwetki robotników.

Jednak najważniejszym pomnikiem, zaprojektowanym wspólnie z rzeźbiarką Jadwigą Janus, (uczennica prof. Dunikowskiego), jest pomnik Martyrologii Dzieci wzniesiony w miejscu utworzonego przez Niemców w 1941 roku obozu dziecięcego przy ul. Przemysłowej.

Bryła białego betonu o wysokości ośmiu metrów przypomina pęknięte serce. W szczelinie rozszczerzonej bryły stoi wykonana również z białego betonu postać odwróconego tyłem, patrzącego w pustkę odzwierciedlającą kontur jego postaci dziecka. Uroczyste odsłonięcie pomnika nastąpiło 9 maja 1971 roku. Autorzy pomnika zostali udekorowani Odznakami Opiekuna Miejsc Pamięci Narodowej. Spośród zgłoszonych do konkursu projektów Ludwik Mackiewicz i Jadwiga Janus zdobyli drugą nagrodę – projekt w wyniku późniejszych decyzji został wybrana do realizacji.

Wróćmy jednak do roku 1963, kiedy to odważny proboszcz parafii w Soborzycach (diecezja częstochowska) po pożarze drewnianego kościoła zwrócił się do Stowarzyszenia Architektów Polskich w Łodzi z prośbą o wykonanie projektu świątyni, ponieważ postanowił, że muszą go opracować fachowcy (sic!). Nowy kościół miał spełniać

⁴ tamże.



Pomnik
Martyrologii Dzieci,
proj. Jadwiga Janus
i Ludwik Mackiewicz;
aut. A. Stelmach,
lata 80. XX w.

wszystkie warunki stawiane nowoczesnej architekturze sakralnej. Z trzech przedstawionych „do wyboru” projektów proboszcz wybrał rozwiązanie opracowane przez architektów Ludwika Mackiewicza, Leszka Łukosia i konstruktora Leopolda Grodzkiego. Projekt uzyskał pozytywne opinie rzeczoznawców i Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków. Ciekawostką stanowił fakt, że przyjęte rozwiązania były zgodne z Instrukcją Liturgiczną, która zaleca, by centralnym obiektem wnętrza kościoła był ołtarz główny. Projekt był wykonany znacznie wcześniej. Po przedstawieniu makiety parafianie byli oburzeni. O mało nie doszło do rękoczynów. Jednak takt i zdolności dyplomatyczne proboszcza spowodowały, że *w takiej właśnie uisi, zaliczonej przed wojną nawet nie do Polski „B”, ale może „C” czy „D”, buduje się obecnie nowy kościół, który jest na pewno dobrym przykładem nowoczesnej architektury sakralnej*⁵.

Wspólna praca i osiągnięcia zawodowe Leszka Łukosia i Ludwika Mackiewicza scementowały ich przyjaźń – a była to prawdziwa przyjaźń „do grobowej deski” – i spowodowały, że po wyjściu z Miastoprojektu (obaj podjęli pracę na Wydziale Architektury PŁ) projektowanie kościołów stało się głównym tematem ich twórczości. I było to pasmo niewątpliwych sukcesów. Wspólnie zaprojektowali wiele obiektów sakralnych. W Łodzi o.o. Pasjonistów oraz św. Piotra

⁵ „Słowo Powszechne”, 30-31.01.1965.

i Pawła przy ul. Nawrot, poza tym kościoły we Włocławku, Płocku, Zduńskiej Woli i Białobrzegach.

Najważniejszym, największym projektem i realizacją jest kościół o.o. Pasjonistów pod wezwaniem Matki Boskiej Bolesnej na Teofilowie. Ogromne to założenie. Obiekt jest dwupoziomowy – kościoły górny i dolny – o powierzchni około 1500 m², zaprojektowany na planie regularnego sześcioboku. Może pomieścić trzy tysiące wiernych (początkowo parafia liczyła około siedemdziesiąt tysięcy mieszkańców). Z historią budowy świątyni łączą się dwie ciekawostki. Pierwsza to fakt, iż przy realizacji tego projektu wydano pierwsze w powojennej historii Łodzi pozwolenie na budowę nowego kościoła. Druga to wysokość wieży, której ówczesne władze nie pozwoliły wybudować według projektu – zgodnie z wydanym pozwoleniem jej górny poziom nie mógł przekraczać wysokości sąsiednich budynków. Kościół otaczały pięciokondygnacyjne bloki. Do właściwej wysokości została dobudowana dopiero w latach 90. XX wieku. Budowę kościoła rozpoczęto w 1973 roku. Pierwszą mszę odprawiono, gdy kościół był jeszcze w stanie surowym, w maju 1976 r. Budynek zaprojektowano w konstrukcji żelbetowej wypełnionej wątkiem z cegły klinkierowej. Nad ołtarzem głównym umieszczona została monumentalna figura Chrystusa wykonana w drewnie przez rzeźbiarkę Jadwigę Janus – współautorkę pomnika Pękniętego Serca.

Ludwik Mackiewicz był architektem wszechstronnym. Artystą i jednocześnie od danym swemu fachowi, dbającym zarówno o formę jak i o detal rzemieślnikiem. Mawiał: *Jeśli nie zaprojektujesz klamki do drzwi, to nie zdziw się, jeśli po oddaniu budynku, w zamku zobaczysz kawałek wygiętego drutu*⁶. Projektował w trudnych czasach i słowa te oddawały całą prawdę o nich.

Kochał życie we wszystkich jego aspektach, kochał swój zawód architekta, tworząc projekty z oddaniem i zaangażowaniem. Potrafił godzinami dyskutować o architekturze. Jednak to mu nie wystarczało. Mając artystyczne geny po ojcu, artyście malarzu Konstantym Mackiewiczem, wolne chwile poświęcał kolekcjonowaniu zegarów, aparatów fotograficznych, a także zgromadził ogromny zbiór polskiego fajansu i porcelany. W tej dziedzinie stał się niekwestionowanym autorytetem. Zawsze potrafił znaleźć czas na rozmowy o projektowaniu, architekturze i sztuce, której był znawcą koneserem.

Brakuje dziś takich ludzi, pasjonatów, tak jak on zaangażowanych w sprawy otaczającej nas przestrzeni i bezkompromisowo oddanych architekturze.

12 kwietnia 2017 roku mija dziesiąta rocznica Jego śmierci.

Mariusz Gaworczyk

⁶ Tak zapamiętałem słowa, które Ludwik Mackiewicz wypowiadał podczas naszej wspólnej pracy. Współpracowałem z nim przy wielu projektach. Był bardzo dokładnym projektantem. Starał się opracowywać wszystkie detale (przyp. aut.).



Agnieszka Cytacka

Organiczność miasta Łodzi

Od kilku dekad dominującym zagadnieniem w badaniach nad kulturą jest pojęcie tożsamości. Wiele mówi się o definiowaniu siebie, określaniu własnej osobowości i własnego miejsca w świecie. Prymarną dziedziną nauk humanistycznych stała się antropologia, która zaskarbia sobie względy coraz to nowych dyscyplin. Mamy antropologię ogólną, antropologię religii, filozofii, kultury, polityki, sportu, a nawet, ciesząc się ostatnio estymą, antropologię miasta. Ta ostatnia zajmuje się bardzo szerokim wachlarzem zagadnień, od klasyfikacji miast po wszelkie możliwe więzi i relacje zachodzące w ich obszarze. Erik H. Erikson twierdzi, iż kluczowym zagadnieniem dla zrozumienia pojęcia tożsamości jest kontynuacja i jej rola w toku zmiennych okoliczności cyklu życia. W takim rozumieniu możemy mówić o Łodzi jako o mieście ze zrujnowaną tożsamością, mieście o naruszonych tkankach. Wystarczy odwołać się do historii, która wyraźnie pokazuje, że Łódź przemysłowa nie jest wynikiem naturalnej ewolucji feudalnego miasteczka. Nie powstała na skutek prostej kontynuacji, przeobrażeń, rozbudowy czy adaptacji średniowiecznych struktur miejskich do nowej przestrzeni urbanistycznej, ale, jak podkreśla Marek Koter, *rzecz miała się wręcz odwrotnie: Łódź industrialną z pełną świadomością utworzono na terenach zewnętrznych – na gruntach okolicznych folwarków, wsi oraz lasów, inkorporowanych następnie do miasta – jako jednostkę urbanistyczną już w założeniu autonomiczną względem macierzystego osiedla.*

Zatem brak kontynuacji i zakorzenienia jest pierwszą i jedną z najważniejszych przyczyn, dla których określam Łódź mianem miasta melancholijnego. Bowiem tak, jak melancholia stoi pod znakiem straty, tak ono naznaczone jest brakiem. Wykazałam wcześniej pewne jego okaleczenie, jednak nie polega ono jedynie na uszkodzeniu poszczególnych elementów, ale na niemalże całkowitej nieobecności niektórych organów. Idąc dalej tropem tej interpretacji, należy rozumieć miasto jako organizm i szukać elementów świadczących o jego organiczności. Tylko jako anatomiczna całość może istnieć i zdrowo funkcjonować. Trudno jednak, by działało bez zarzutu przy takich powikłaniach. Łódź nie może odrodzić się jak Feniks, ani tym bardziej nie odrośnie jej oderwany ogon jak jaszczurce, ponieważ nie może regenerować się coś, co nigdy wcześniej nie istniało. Nie może tu być mowy o jakiegokolwiek kontynuacji. Łodzi u samych podstaw brakowało kilku najważniejszych organów: jednego centrum – Starego Rynku

– serca, rzeki – aorty (dla Arystotelesa narządu podtrzymującego serce i odprowadzającego krew do wszystkich tkanek, łac. *aorta* – z gr. *aeiro* – dźwigan, unoszę w górę), dużych połączy zieleni na obszarze miasta – płuc¹. Za to trzeba przyznać, że doskonale pracowała jej śledziona – wielka fabryka produkująca nieustannie czarną żółć. Paradoksem jest, że śledziona nie jest wszak niezbędna do życia – perfekcyjnie jej funkcje potrafi przejąć wątroba. Łódź wykorzystywała tę zależność znakomicie: gdy jedna fabryka płonęła, powstawała na jej miejscu kolejna.

Trzeba jednak zauważyć, że o ile Łódź ma słabo rozwinięte organy, o tyle posiada solidną podstawę budulcową, opartą na tkankach kostnych. To *miasto wiążyło tysiąca ulic*, dla których podstawą jest długi kręgosłup, wydeptany i rozciągnięty. Ulica Piotrkowska wraz z przecznicami układa się w symetryczny szkielet, na którym kolebią się chrzęstne kamienice. Marian Piechał nadaje jej ogromne znaczenie, próbując przypisać wszystkie możliwe funkcje: od układu krwionośnego po nerwowy. W swym poemacie *Ogień i popiół* z 1974 roku pisze:

*Piotrkowska główna
aorta miasta
z żebrami przecznic
stos pacierzowy
sam rdzeń śródmieścia
wiążący z sobą
całego miasta
układ nerwowy*

Ulica Piotrkowska jest dla Piechała tętnicą, która chociaż sama się nie porusza, stanowi drogę przepływu ludzi, unosi ich i rozprowadza w układzie krążenia po mieście. Jednocześnie jest rdzeniem w układzie nerwowym, który odpowiada za poprawne funkcjonowanie narządów zmysłu. Ponadto poeta przypisuje jej rolę układu kostno-szkieletowego, który umożliwiłby przemieszczanie się organizmu. Jest to zdecydowanie nadmierne obciążenie dla jednej tylko ulicy, która ma pełnić najważniejsze funkcje i być odpowiedzialna za życie całego miasta. Dlatego jest naciągnięta do granic możliwości i w akcie samooczyszczenia każe wydzielać śledzionie czarną żółć:

*Najbliższa sercu
krwi i wątrobie
brocząca żółcią
wspomnień obficie
ulico struno*

¹ Oczywiście nie można pominąć znaczenia Lasu Łagiewnickiego, który *nota bene* nazywany jest „płucami Łodzi”, a nawet „płucami Polski”. Jednak rozpatruję tutaj kwestię organiczności miasta, a ten obszar leśny na początku jedynie do niego przylegał, ale nie leżał wewnątrz. Można również przyjąć wersję częściowego okaleczenia, czyli potraktowania tego pasma zieleni jako jednego płuca, czyli i tak będzie to o połowę za mało, by traktować Łódź jako zdrowy organizm.



*skrzypiec napięta
bliska zerwania
jak moje życie*

Panorama Łodzi –
widok z wieży katedry
w kierunku
północno-zachodnim;
aut. nieznanymi,
lata przedwojenne

Łódź jest naznaczona paradoksami. Jest młoda, a już zmęczona; rozgląda się leniwie dookoła, niby wszędzie jej blisko – tak centralnie usytuowana – a jednak od wszystkiego odległa. Wystarczy spojrzeć na mapę polskich zamków, by zauważyć, że tylko wokół niej rozciągają się wielokilometrowe pustki. Nie jest ani jak Rzym – wieczna, ani nie wszystkie drogi do niej prowadzą, raczej omijają ją łukiem. Nawet dworzec na niej się zaczyna i kończy, a tory donikąd dalej nie poprowadzą. Leży za blisko stolicy, by mogła się liczyć ekonomicznie i politycznie, ale zbyt daleko, żeby móc się do niej łatwo przemieszczać i stale z nią współpracować. Jan Sztudynger przypisuje powstanie Łodzi i jej lokalizację pomyłce spadającej gwiazdy. Wskazuje na niemożność nadania temu miastu legendy, ponieważ nie było żadnego niebiańskiego znaku, świadczącego o boskim zamiśle. Poeta pisze:

*Powstałaś w tym miejscu, gdzie gwiazda upadła,
Nie w tym miejscu, gdzie wodne chwieją się zwierciadła,
I nie w miejscu legendy
Powstałaś na bagnie.*

Gwiazda Łodzi upadła w nieodpowiednim miejscu, jakby została wyrzucona z nieba od niechcenia i nie zdołała dolecieć do krainy „wodnych zwierciadeł”. Jest jak świat

według kabalistów – pomyłką. Ale czy boską...? Biedna, powstała na bagnach; nie ma nawet rzeki. Z czego wypływa kolejny paradoks, bo przecież dobrze by było, gdyby Łódź miała na czym się unosić. Nie jest jak ryba bez wody, bo jakoś żyje, ale jest dosłownie i dosadnie: łodzią bez wody – zupełnie bezużyteczna. To miasto poszatowane tysiącami podziemnych kanałów, a brak mu jednego, stałego i trwałego źródła. Konrad Frejdllich pisze, że Łódź *ulepiono z bruków i krwi ciemniejszej niż sadze*, a zatem nie tylko żółć, ale i krew tego miasta jest czarna. Twarz jego zastygła, a trudno przecież poruszać się w smolistej mazi, która powinna wartkim strumieniem pulsować w tętnicach. Nie ma w niej czystej wody, co więcej, brak jej światła. Słońce w kontekście Łodzi pojawia się bardzo często. Jest elementem znamionym dla jej opisów. Widzimy je zazwyczaj w roli odległego szyderycy, jak u Reymonta, albo jako symbol niespełnionego pragnienia. Jest ono wtedy przybrudzone, przez co podważa swą jedyną zasadność: słońce istnieje tylko po to – mówi Bataille – by człowiek mógł na nie patrzeć. Nad tym miastem go nie widać, bo ludzie nie spoglądają w górę w przeświadczeniu, że i tak go nie ujrzą. W poemacie Piechala czytamy:

*Tu nawet słońce
dnia oko gąsto
spowite brudną
dymów bawełną
a nocą nieba
czystą źrenicę
szpeciło mgliste
księżyc bielmo*

Ludzie w Łodzi nie znają czasu zabawy i karnawału, nie oddają się bezinteresownej kontemplacji słońca. Ich istnienie ograniczone jest do przemykania chyłkiem brudnymi ulicami, do napędzania maszyn wytwarzających dym, który przyćmiewa „oko dnia”. Sacrum zostaje zniweczone i wyparte z życia mieszkańców. Noc również nie sprzyja wydatkowaniu zgromadzonych dóbr. Liczy się bowiem sama ich kumulacja, nie ma tu miejsca na marnotrawienie. Nie ma tu miejsca na człowieczeństwo. Wszelkie objawy transcendentnego światła zostały pokryte dymem bądź bielmem.

W Łodzi nie spogląda się w górę, oczy jej mieszkańców śledzą ruchy czubków swoich butów, widząc po bokach brudny bruk. A przecież to miasto jest piękne, jakkolwiek banalnie by to nie zabrzmiało. Ludzie, nie chcąc patrzeć w słońce, nie widzą także subtelnego kształtów kamienic, ich misternie żłobionych fasad, bogato zdobionych portali. A jednak jest coś fascynującego i pociągającego w Łodzi. Szczególnie dla przybyszów z innych miejscowości. To oni nie wstydzą się okazywać zachwyty nad miastem; jednoczesnego uwielbienia i obrzydzenia. Czegoś, co nie pozwala tak łatwo go opuścić. Z rodowitymi łodzianami jest niestety inaczej, trudno im pogodzić się z wiszącym nad Łodzią fatum – swoistą jej nieprzystawalnością do innych miast.



Oczywiście są tacy, którzy spoglądają w niebo, ale wszechobecna mgła przyćmiewa słońce, nie pozwala ujrzeć go radosnego, godnego podziwu i uwielbienia. Patrzy się na nie jak przez „zadymione szkło”. Tuwim, będąc w bezchmurnej Brazylii, tak je wspomina widziane z centrum rodzimej półkuli:

*O, siwa mgło! O, srebrna mgło!
O, szara mgło! O, mgło bez końca!
Jakbym przez zadymione szkło
Przeglądał się zaćmieniu słońca:
Gdy się spacerem lekko szło –
O, gęsta mgło! wciąż gęstsza mgło!*

Pl. Wolności;
aut. K. Sieroiń,
lata 70. XX w.

Słońce wydaje się tak odległe, że prawie nierealne. A może zaćmienie znamionuje nadejście kary? A przecież w oczach poety ta mgła ciągnie się bez końca, zatem tak bardzo Łódź nagrzesała, że musi pokutować permanentnie? Oczywiście dla Tuwima mgławica łódzka była tym większa, im mocniejszy żar lał się z nieba w Rio de Janeiro. Wszelkie kontrasty, a przez to i cechy znamienne, rodzą się w wyniku porównania. Choć dla Łodzi nie jest to jedyna okoliczność, bowiem zdecydowana większość łodzian nie podróżowała do ciepłych krajów, a jednak wyraźnie dostrzegała mglistość miasta.

Z braku wody i słońca nie dziwią liczne choroby miasta, którego ulice pokryte są *gruźliczymi domami*. Lecz nie są to niestety dolegliwości genialnej natury wątłych melancholików, ale suchotnicze schorzenia zakurzonych robotniczych płuc. Mieczysław Braun woła:

*O czarne miasto, czarny śnie!
Krwotoku płucny, kłątwo gniewna!*

Łódź choruje od środka. Z zewnątrz błyszczą złotą skórą pałaców, wewnątrz pękają jej wrzody i dostaje krwotoków. Julian Tuwim w *Kwiatach polskich* zwraca jednak uwagę na to, że *śródmieście ma ziemistą cerę*. Jest to nietrudna do przewidzenia konsekwencja gorączki trawiącej wnętrzności i nawet liczne upiększenia i makijaże nie przywrócą blasku bezkrwistej cerze.

Łódź rozrosła się w okamgnieniu. Szybko przestały wystarczać jej okolice śródmieścia. Ferment wylewał się z jej wnętrzności i rozprzestrzenił po obrzeżach. Rozsadzał małą do niedawna wioskę. Miasto próbowało wyjść z siebie, rodziły się przedmieścia. Być może na skutek nadmiaru, być może wstydu, chciało ukryć swą twarz jak najgłębiej. Marian Piechal pisze:

*miasto od środka
pulsując rośnie
jakby się chciało
za siebie przenieść*

To z tej przyziemności, z zamknięcia we własnym suchym ciele, rodzi się potrzeba transgresji. Wykroczenie poza swoje granice, wyrwanie się ze szponów kłębiących się bebeczków maszyn – jest to tęsknota melancholii utkwionej w materialnym dole, która myślą przenosi się za siebie. Oczywiście nigdy jej się to nie uda. Jak bowiem poszerzyć kamienne miasto? Łódź wygląda jakby nie przewidziała możliwości własnego rozrostu; ulice ma wąskie, ściśnięte w sobie. I choć chcą stać się większe, na marne idzie całe ich drżenie. Domy stoją jak stały – nieustępliwie. Są głuche na jakiegokolwiek wołania w szwach pękających ulic. Struktura Łodzi jest dysharmonijna, poszczególne jej elementy zupełnie nie mogą się porozumieć. Zaburzona jest między nimi wszelka komunikacja, gdyż każdy z nich trwa przy swoim. Konrad Frejdllich pisze:

*ulica jest wąska
jak naciągnięty drut –
gdzie jedzie tramwaj
drga
ulica rozpycha się
tokciami na skwerze
domy milczą
zaciśnięte jak wargi*

Frejdllich przywołuje podobną metaforę co Piechal, u którego ulica jest *naciągniętą struną*, u niego natomiast *naciągniętym drutem*. Oba obrazy wskazują na nienaturalne położenie, na brak swobody i ciągle napięcie. Piechalowska struna jest *bliska zerwania*, jednak miasto zatrzymuje się na granicy, nie przekracza jej – struny nie da się

zerwać. Podobnie u Frejdlicha, drut jedynie drga, kiedy przejeżdża tramwaj, chociaż wtedy ulica chciałaby zwiększyć swą przestrzeń, więc rozpycha się na boki. Być może zatem te okrutnie statyczne domy są jej ochroną...? Wiedzą, że każde wykraczanie poza swój mały, znany świat jest szalenie niebezpieczne i ryzykowne – grozi rozpadem. Mała stabilizacja tłamsi i dusi, ale wyjście z niej (jeśli w ogóle jest możliwe) jest zapowiedzią destrukcji.

Łódź w centrum to piękna, lecz smutna Piotrkowska. Spod fałd jej sukien wydobywa się brud, odrapane kamienice i podwórkowy smród. Jej niechlujne i zaniedbane dzieci biegają za flakiem piłki, potykając się o wyrwę w bruku. Trzeba wyjść poza obszar metafor, by naprawdę dotknąć Łodzi. Poczuc jej smak, zapach, zobaczyć mieszkańców w ich codziennych czynnościach. To przecież miasto rynków warzywnych, starych podwórek, żebraków nad ranem grzebiących w koszach, staruszków wypatrując przez okno na ulicę. Można patrzeć na te obrazy z sentymentalnym zamyśleniem, życzliwym, lecz zdystansowanym współczuciem. Jednak rzadko ma się odwagę wypłuć z siebie całą żołąć, wykrzyknąć całą gamę ambiwalentnych uczuć miłości i nienawiści. Można, jak Tuwim, krzyknąć jedynie z wnętrzości, z trzewi, z najgłębszego dotknięcia i przejęcia. Najsłynniejszy łódzki (przywłaszczmy go sobie) poeta, znany z ciętego języka, pozwala sobie na dosadność. Píše jak w momencie najdotkliwszej furii:

*Nad kolosalną mordą miasta,
Bruzdami ulic pooraną,
Z zapiekłą rewolucji raną,
Mordą o mętnych podwórz wzroku,
W którym gniew czasem błyskiem stali
Lub łuną ognia się zapali,
Ustach gotowych do krwotoku,
O zębach czarnych kół zębatych,
Mordą oknami dziur dziobatą,
W wypiekach fabryk, wągach tłoku,
Zżartą kwasami chemikalii,
Drgawicą w epilepsji wrzecion,
Gdy pasów, nici, kół zamięcią
Maszyna trzaskająca chlasta,
Nad kolosalną mordą miasta*

W tak dobranym słownictwie Tuwim podkreśla wulgarność Łodzi, jej zasyfiałą, pooraną bruzdami twarz, pokrytą wągrami, dziobatą po licznych chorobach. Do tego szczerbatą lub ze spróchniałymi zębami, z gęby której wylewa się brudna krew. Nie ma w tym opisie żadnej czułości, pozostaje rozpacz i wściekłość, że kochane miasto ma mordę nędznika. Krzyk ten wydaje się ostatnim momentem furii przed kulminacją i uspokojeniem. Chwilą uniesienia przed kolejnym popadnięciem w marazm i zwątpienie.

Traktowanie miasta jako organicznej całości, żywej i pulsującej, tudzież śpiącej i ochryplej od zgiełku, jest znamienne dla łódzkich poetów. Trudno się nie zgodzić, że jest to metafora niezwykle nośna, chociaż u progu XXI wieku już nieco passé. Współcześni pisarze próbują redefiniować Łódź, co oczywiście jest nie tylko konsekwencją zmiany kierunku myślenia autorów, lecz także rzeczywistej rewitalizacji miasta. Jeszcze w 1958 roku było to bardzo odległe wyobrażenie i marzenie. Jan Sztudynger pisał wtedy o chorobliwej figurze Łodzi i z pewną tęsknotą pytał o możliwość nadania jej pełnych kobiecych kształtów:

*O rachityczna Łodzi, o źle wyrosnięta,
Na krzyżu wąskich ulic niedbale rozpięta,
Kto wreszcie tchnie w Twe płace oddech urbanisty
I odbierze Ci grację wygłodzonej glisty.
Kocham Twe wąskie biodra, dowód Twojej biedy,
I rumienię się za nie.*

Ta apostrofa wydaje się być chłopięcym uwielbieniem anorektycznej Łodzi. Ba! Nawet ubóstwieniem jej wychudzonych bioder – przecież metafora krzyża w naszym kręgu kulturowym nie może nie odnieść do wizji zbawiennego cierpienia. Ból i rozkosz współistnieją; perwersyjna mieszkanka nieśmiało ujawnia się rumieńcem. Jednak anormalność wywołuje lęk – dla zdrowia i dobra Łodzi lepiej by było, żeby przybrała na wadze.

Łódź od zawsze potrzebowała wybitnego architekta, który zdołałby obudzić jej senne, chude place. Dopiero teraz zaczyna postępować rewitalizacja miasta. Ożywia się jej stare fabryki, nadając im znaczeń artystycznych. Gospodaruje się stare place i przeistacza w nowe centra. To oczywiście związane jest z kolejną próbą rekompensaty braku jednego centrum, które posiadają inne miasta. Jednak nie adaptuje się miejsc pierwotnie ku temu służących. „Stare miasto” (jeśli tak można je nazwać) pozostaje pustą, mało atrakcyjną przestrzenią. Nic się w niej nie dzieje, chociaż nie można potwierdzić, żeby kiedykolwiek pełniło ważną funkcję dla miasta. Niemniej taki teren istnieje, ale nie jest uwzględniany w urbanistycznej rozbudowie.² Natomiast odrestaurowuje się, zmieniając przy tym paradygmat zastosowania, fabryki. Miejsca katorżniczej pracy łódzkich robotników stają się centrum rozrywki i handlu. Powstają projekty architektoniczne, w których pojawiają się kolejne miejsca, mające zastąpić Łodzi Rynek Główny. Wstawia się miastu sztuczne serce(a), by mogła żyć. Przez to zwielokrotnienie Łódź staje się jeszcze bardziej rozproszona, jeszcze mocniej rozmamłana, przez co tym wyraźniej melancholijna. Paradoksalnie, im więcej zmnożonych ma własnych organów, tym mniej jest ze sobą zgodna; nie potrafi się scalić, stać się jednością.

² Oczywiście powstają takie projekty (np. przedsięwzięcie Rewitalizacji obszaru Starego Miasta w Łodzi organizowane przez Stowarzyszenie Przyjaciół Starego Miasta), jednak są one nadal bardzo nikłe i zbyt ciche w skali ogólnołódzkiej.

To, co nazwałam zwielokrotnianiem narządów, wstawianiem sztucznych serc, można określić, podążając za metaforą Sztadyngera, tyciem w biodrach *wyglądzonej glisty*. Łódź była tak niedożywiona, że zaczęła przyjmować w siebie zbyt wiele pokarmu, rozrastając się po bokach. W innym wierszu poeta nazwał ją *matką, która dotąd nie wydała dzieci*; teraz, po nabraniu odpowiednich gabarytów, może śmiało starać się o rolę macierzyńską. Ale, jeśli już zaczyna się płodzić kolejnych mieszkańców, należałoby wziąć odpowiedzialność za ich życie i rozwój. Tylko, że samo skupienie się na budowaniu nowych dzielnic to odrobinę za mało. Trzeba im jeszcze nadać odpowiedni kształt, *technąc w nie oddech urbanisty*. Maria Przedborska podkreśla, że prawdziwa nędza i rozpacz skrywa się na obrzeżach Łodzi, z dala od reprezentatywnych miejsc Piotrkowskiej. Pisze:

*Nie ma jej na Piotrkowskiej,
przy „Grandzie” w „Esplanadzie”,
tej suchej, głodnej Troski,
która się na pierś kładzie
i gryzie, dusi, rwie...*

Biorąc pod uwagę to wszystko, co wcześniej powiedzieliśmy o mieście, o jego szkieletowej budowie, wychudzonym ciele i ziemistej cerze, a co w zdecydowanej większości odnosiło się do centrum i do głównej ulicy Łodzi, powyższa strofa potęguje koszmarnie wyobrazenie do tego stopnia, że trudno sobie zaprojektować coś jeszcze bardziej nędznego. Dla Przedborskiej Piotrkowska to, jeśli nawet nie luksus, to przynajmniej przyzwoite, godne do życia miejsce. Troska – sucha i głodna – zaczyna się za śródmieściem:

*Jest w Chojnach, na Bałutach,
Kozinach czy Zarzewie
gruźlica, kiła struta,
obląkana w słusznym gniewie,
trzeźwa w pijanym śnie...*

*w ustępie, nad rynsztokiem,
w sieni i na podwórzu,
z podbitym ślepym okiem,
czarna od brudu, kurzu,
na posterunku trwa.*

Choroby Łodzi: gruźlica, kiła, obłąd, pijaństwo i ślepotą, a wszystko to w rynsztokach brudnych i zakurzonych. Taki obraz miasta jest powszechnie znany i przywoływany w literaturze, w filmie. Legenda miasta, której nie dało się stworzyć u jej zarania, przyszła do Łodzi z czasem. Nie ma w niej jednak bohaterskich czynów ani majestatycznej świetności. Wtórnie zmitologizowanemu obrazowi miasta trudno się przeciwstawić, ponieważ zwykle liczy się pierwsze wrażenie czy wręcz pierwsze zasłyszenie. Co więcej,

jeśli już spędza się dzień-dwa w Łodzi, to zawsze jest to spacer po Piotrkowskiej. Jan Sztadynger zwraca się do niedzielnych przechodniów tej ulicy, całkowicie negując wizję miasta Przedborskiej i jego obraz w potocznych wyobrażeniach. Pisze:

*Kto Ciebie zna po wierzchu, niedbały przechodzień,
Kto tylko przez Piotrkowską przewleka się co dzień,
Ten niech nigdy o Tobie nie zabiera głosu,
Bo nie zna Twojej zadumy, piękna i patosu.
Topole tutaj pachną pod bokiem kominów.
Mury krwawe (bo ze krwi) biel zdobi jaśminów,
Jesteś szorstka, jak dłonie chłopki spracowanej,
Ale oczy masz piękne.*

Przejście ze zgiełkliwego centrum w głąb Łodzi jest momentem uspokojenia. Podobnie pisał wcześniej Reymont, nie podkreślając jednak duchowej roli tych zaułków. U Sztadyngera jest pełna majestatu i zadumy, tak jak tylko może być godna twarz chłopki o spracowanych dłoniach. Nie ma w niej wyrafinowanych słów, ani mądrości filozofów. Jest za to czystość oczu i prostota; jest autentyczny zapach topoli i jaśminu. Poeta sugeruje, że po Łodzi należy snuć się, zaglądać w zakamarki jej refleksyjnej duszy. Trzeba wychodzić poza kościsty schemat śródmieścia, tak jak ona próbuje wymknąć się swej cielesności. To wędrówki kontemplacyjne, podczas których ujawnia się słodka, biała melancholia, niepokryta ani żadnym bielmem, ani smolistą mazią. O bocznych dzielnicach pisze się z nostalgią. Każdy poeta mitologizuje swoją. Jan Huszcza z czułością opisuje Karolew:

*Tu znajdziesz wiele uliczek
jak gdyby zbiegłych z miasteczka.*

To już nie nabrzmiałe żyły miasta, ale rozsypane uliczki, po których błądzi się bez celu. Ścieżki mające dość hałasu metropolii, alejki odcinające się od reszty molocho. Zbiegłe, a nie potępiane. Przecież każdy, gdyby zdobył się na odwagę, zrobiłby to samo. Na Karolewie również według Tadeusza Gicgiera *twarz na krótko się ożywia*, bo tutaj toczy się *życie małe*, odgradzone od wielkiego świata hałdami piachu. Poeta pisze:

*Powoli brnie przez żwiru zaspy
Małą uliczką – życie małe.*

Zadziwiające, jak zmienia się ton opisów, jak łagodnieje forma, jak mało tu sączącego się jadu. Wersy stają się proste, niemal dziecięce przez nagromadzenie deminutywów. W kontraście do Tuwimowskiej *wielkiej mordy miasta* osiedle wybrane przez Huszcę i Gicgiera jest maleńkie. Zamyka się w swoim niemal hermetycznym kręgu, nie chcąc dopuścić do siebie odgłosów z zewnątrz. Podobnie dzieje się z innymi dzielnicami, które

przez swą alienację wydają się być małymi autonomicznymi bytami. Bardzo ważne, pojawiające się już tu wielokrotnie, jest właśnie określenie „małe”, które w odniesieniu do rzeczywistych przestrzeni poszczególnych dystryktów jest mało adekwatne. To za sprawą licznych zdrobnień, żeby jeszcze raz powtórzyć, świat przedstawiony staje się mniejszy, znośniejszy; przez to, że znany, znacznie bardziej przyjazny. U Jerzego Waleńcyka, kiedy pisze o Widzewie, wielokrotnie pojawiają się słowa: „uliczka”, „ogródki”, „światka”. Mimo piśmiotliwych określeń świat ten nie jest oswojony. Zawsze pozostaje dysonans między podmiotem a przestrzenią, w której się znajduje. Tym bardziej, gdy wraca się po latach do miejsca dzieciństwa. Smutnego, jak to w Łodzi. Poeta zauważa, że perspektywa po latach łagodzi głębię doświadczenia. Nie ma już niepokojącego ożywienia, które kiedyś wydawało się tak silne. *Czas wygładził różgę w zielony otówek* i nie sposób nazbyt krytycznie spojrzeć na miejsce młodości, chociaż:

*Aromat smutnej młodości
Wydziela każdy krzew,
Każdy chwast.*

Bynajmniej nie jest to przestrzeń przyjazna, ale też nie ma w niej zajadłości, pośpiechu i wypruwania żył. Jest smutek. Ba! Jedynie aromat smutku, delikatna woń unosząca się w powietrzu. Jest to stan permanentny i wszechobecny, ale nie destrukcyjny. To bezwolne lenistwo melancholii, stan apatii i odrętwienia. Jakby krew nie dochodziła do czubków palców Łodzi; jakby jej sił zabrakło.

Łódź widziana jako organizm jest obrazem częstym w poezji jej mieszkańców. Nie jest to absolutnym wyjątkiem, gdyż zainteresowanie miastem nieodzownie wiąże się ze swego rodzaju antropomorfizacją jego obszarów. Nie tylko poszczególnych elementów, ale przede wszystkim miasta jako całości. Wydawać się może nawet pewnym paradoksem, że w czasach, kiedy człowiek i jego ciało ulegają reifikacji, wytworom ludzi nadaje się samodzielny status ontologiczny. Ożywia się materię z pozoru nieożywioną, nadaje znaczenie i w pewnej mierze zrzuca odpowiedzialność za nędzne (tudzież wygodne) życie. Być może człowiek w świecie bez Boga musiał powołać do życia substytut absolutu... Tym razem sięgnął, jak w czasach pierwotnych, po coś, co jest materialnie dostępne, a przecież niezrozumiałe. Próba oswojenia miasta najłatwiejsza okazała się w momencie nadania mu cech ludzkich. Skoro uczłowieczyć można było Boga, by stał się bliższy, to czemu nie ożywić przestrzeni, która w swym zamyśle jest równie odległa i niedostępna...?

Bez założenia, że miasto jest strukturą ożywioną, trudno byłoby odczytywać je za pomocą kategorii właściwych dla melancholii. Ta bowiem jest stanem, a zatem przypadłością *ex defintione* ludzką. Oczywiście można spojrzeć na Łódź jako na przestrzeń, która przez swą strukturę wywołuje melancholię u swych mieszkańców. W przypadku Łodzi wyraźnie widać jej okaleczoną strukturę. Jeśli jest organizmem, to upośledzonym od urodzenia, tudzież chorowitym z powodu wątłego zdrowia i licznych historycznych zaraz. Jeśli ma tożsamość, to z braku kontynuacji jest ona zrujnowana. Wskazuje na to historia,

położenie geograficzne i przede wszystkim interpretacje poetów. Pokawałkowane ciało miasta jest bolączką i ciągle odnawiającą się raną. Przywołując teorię Bałusa, w której cały świat jest melancholijny, możemy śmiało powiedzieć o Łodzi: *urbis melancholica*.

Agnieszka Cytacka

Pierwodruk: „Tygiel Kultury” 7-9/2008

Od Autorki

Z dzisiejszej perspektywy żałuję dwóch rzeczy. Po pierwsze tego, że w swojej myśli o organiczności miasta zostawiłam krwawiącą rewolucyjną ranę. Nie opisałam wyszarpanych kawałów mięsa, tego zrywu wycieńczonego ciała, które ostatkiem sił domagało się poprawy swego funkcjonowania, drożności krwi w żyłach i braku flegmy. Ciała, które chociaż raz chciało odetchnąć świeżym powietrzem i wypłuć z siebie smog trujący „włókna duszy i chrząstki sumienia”. Przez ostatnie lata wiele się w Łodzi wydarzyło na gruncie przywracania pamięci o mieście. W tej materii najwięcej zawdzięczamy teatrowi i inicjatywom społecznym. „Żyjesz w mieście rewolucji!” – gdybym знаła to hasło wcześniej, na pewno przyczyniłoby się ono do budowania melancholijnej metafory Łodzi.

Drugim dość dotkliwym dziś brakiem tego eseju są dwa współczesne teksty na nowo mitologizujące nasze „złe miasto”. Mam na myśli oczywiście prozę poetycką Macieja Roberta w tomie *Nautilus* i eklektyczną narrację po ekstatycznym, pełnym przesytu *Mieście do zjedzenia* Przemysława Owczarka. Obaj poeci budują nowe znaczenia wokół przyrośniętych do Łodzi haseł-hub. I obaj zataczają niepokojąco bliskie kręgi wokół mojego spojrzenia na to miasto. Owczarek oddaje się rabelaisowskiemu z ducha rytuałom wchłaniania, trawienia i wydalania oswojonego już nieco molocho, który niegdyś przypominał Saturna pożerającego własne potomstwo. Nie bez kozery autor woła: *Łódź, leżysz mi na wątrobie*. Nie wystarczy przecież powiedzieć, że to miasto zalazło za skórę. Ono doprowadziło do poważnego stanu – melancholii właśnie.

I przy melancholii spotykamy się we troje. Maciej Robert wprawdzie nie wywraca na opak mojej koncepcji, ale wypruwa jej nieco flaków, uderzając w pewien niepewny jej punkt. Chodzi o topograficzną niekolistość Łodzi. A przecież u postaw melancholii leży kategoria wiecznego powrotu, końca zjadającego początek, niemożność wyrwania się z kręgu. Robert pisze: *to miasto jest muszlą, wapiennym szkieletem wywleczonym na zewnątrz. Jest ruiną wypraną z wszelkiej melancholii. Czernią raczej czy żółcią? Wrakowiskiem, siedzibą błędzących ciał, szukających resztek trawionych we wnętrzu ssaka*, a ja nie mogę oprzeć się wrażeniu, że prowadzimy wspólną narrację.

Budowa Pomnika
Czynu Rewolucyjnego,
aut. H. Ciapczyński,
1975

Lumumbowo;
aut. E. Dekker,
1991



Ulica Kilińskiego;
aut. R. Wionczek,
1953

Wozownia Pałacu
Scheiblera;
aut. E. Dekker,
1991



Marcin Sobieszczęński

Tysiącłatka, czyli Żubardź (2)

Szpila

Szpila walczył z woźnymi. Zawiał się, a przecież u tych biednych kobiet niewiele można było znaleźć z ich dawnej, przedwojennej funkcji pedela, czyli porządkowego z różgą w powiatowych sądach. Były tutaj, mieszkając prawie że w szkole, w szatniach czy piwnicach właściwie, służąc nam maślanymi bułkami, szklanką mleka, niestrudzenie po nas sprzątając. Prawdą jest, że próbowały czasem drzeć na nas mordę, zabraniać przedwczesnego zabierania płaszcza, a do płaszcza uczeń szkoły podstawowej jest niestety przywiązany jak chłop pańszczyźniany do gruntu. Szczególnie garbata woźna Grzybowska miała ten rozdzierający głos, którym krótko acz kąśliwie wyła „Wróć się”, na co nie było mocnych, stawaleś zawsze jak wryty. Ale przez resztę czasu były dla nas jak matki, nawet jak wydzielał się z ich pakamery nieopisany smród, a Mateusz mówił wtedy złośliwie, że Grzybowska myje garba. Było w tym jednak coś swojskiego, co dawało poczucie bezpieczeństwa. Woźna Ostrowska, woźna Piecyk i Kulibaba z łojotokiem, rzeczywiście coś między kulą a babą – każda w innym stylu, każda ze swoimi mocami i słabościami. To w wykrywaniu tych słabości wyspecjalizował się Szpila. Nie przepuszczał niczego, był metodyczny i wytrwały w swoim sadyzmie. Piecyk była mała, Kulibaba miała za swoje od samej natury, Ostrowska była bez właściwości, Szpila nie umiał jej ugryźć. Ale Grzybowska była dlań odpowiednim partnerem, zahartowana w ciężkim życiu kaleka nie dawała sobie w kaszę dmuchać, więc starcia z nią trwały od drzwi wejściowych. Od odmowy obmiecienia błota czy śniegu z butów przy wejściu, przez przerwy, na których trzeba było stawać w miejscu na sygnał dzwonka (oczywiście Szpila potrafił mimo wrzasku garbuski ująć – stojąc! – co najmniej dziesięć metrów), aż po apogeum w jadalni, zwłaszcza gdy podawano słynne niezmywalne buraczki. Właściwie lepiej byłoby dla szkoły pomalować na wstępie wszystkie ściany na czerwono, ale nie zrobiono tego, bo czerwony zarezerwowany był dla sali gimnastycznej, którą w święta cywilne adaptowano na polityczne akademie. Tam, w przebieralniach cuchnących potem i kurzem zbierającym się na pierwszomajowych dekoracjach, woźne nie były na swoim terenie. Pojawiały się z rzadka, a jak już się któraś przez nieuwagę zapuściła, w toalecie czekał nań ukryty Szpila. Gdy woźna zaczynała swój leitmotiv „Świnie, wszędzie rzucają papiery, pójdę do pana Ścibisza”, Szpila, który jak zwykle bił konia, choć zawsze się zastanawiałem, jak go tam wprowadził, zanim zrozumiałem, że mimo okazałych rozmiarów przyniósł go po prostu w kieszeni, Szpila niskim, zmutowanym i miarowym, prawie że zsynchronizowanym z rytmem swej tajemniczej czynności głosem, dawał woźnej prosto w uszy:

„Roobić, kurrrrwa, rrrrobić!”, aby później, po dobrze spełnionym obowiązku, liczyć już tylko na solidność wewnętrznej zasuwki.

Żyd

Koleżka Erwin Rode był Niemcem, ale w niczym nie przypominał rudawych Szkopów, których pokazywano w telewizyjnych serialach o wojennej porażce Trzeciej Rzeszy. Co prawda był perfidny: wystawił mnie poza kraty wapiennika, który zwiedzaliśmy całą bandą po zamknięciu biura, i żeby odwlec pogoń przemysłowego strażnika, zatrzasnął mi przed nosem metalowe drzwi. Zostałem z tyłu w białym futerku. Ale poza tym przykrym zdarzeniem, które skończyło się na płaczu przed wezwaną przez Milicję Obywatelską mamą, nasz Niemiec był w porządku. Nosił skórzaną kurtkę, miał ojca silnego jak Turek, jeżdżącego, również w czarnej skórze, prawdziwym motocyklem Junak, słowem – Rode nie czuli wstydu za porażkę, którą poniósł ich dziadek, byli butni, stawiali nogi tu i teraz, wymuszając szacunek sąsiadów i obawy dzieci z podwórka i ze szkoły. Die Familie über Alles. Zupełnie inaczej zachowywali się Żydzi. Dziadek mojego koleżki o kręconej czarnej czuprynie nie mówił prawie nic. Zadowalał się głaskaniem wiernej suki, która nosiła imię sławnej biblijnej królowej. Bawiliśmy się wszyscy razem na terenie dawnego Litzmannstadt Ghetto. Killkanaście lat po wojnie ziemia kryła jeszcze świeże ślady, dymiała. Zaśniedziałe monety gettowych cynkowych marek z przyklepionymi doń kawałkami podejrzanej, dusząco pachnącej materii, może rozkładającej się tkanki wyobraźni? Scena z heblem wisząca na ścianie u koleżki Tomczyka, wyrzeźbiona przez autentycznego Żyda z getta. Nie jest wykluczone, że ten anonimowy artysta został potem przerobiony na mydło. Widziałem na pchlim targu w Łodzi cwaniaka, który mydła te sprzedawał. Miał też nienagannie skrojony mundur esesmana. Kupił go przyjaciel mego ojczyma, lekarz z pogotowia, siłacz i dowcipniś.

Mój dziadek, o, to było coś zupełnie innego, wieczna wojenka: Bolszewik, Szkop, Chełmno, gdzie przygotowywano leśne rowy na przyjęcie konińskich, a potem piotrkowskich i wreszcie łódzkich Żydów, nocna ucieczka, cztery lata stajni i znowu Bolszewik, no może Bierut, ale nie dużo lepszy. Niewiele rozumiałem z milczenia koleżki Żyda. Trzeba było uciekać od trupiej ziemi do przedmiejskich ogrodów, gdzie rabarbar, porzeczeki i agrest, rozdawał stary garbus – pierwsza lekcja równości: w wieku lat dziesięciu byłem od niego o głowę wyższy. Nieistniejące tory przez przecinkę chełmińską Rosjanie porzucili pod Poznaniem, niedaleko stajni, w której ukrywał się dziadek. Wykorzystano je do ubytków, pamiątek po sabotażach, w magistrali moskiewsko-berlińskiej, z której Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich zwolniła karnie Szymańskiego, polskiego kolejarza-kolaboranta, który, jak pokazuje to Lanzmann, dopychał swą lokomotywą Żydów do piekła. Dziadek wskazał mi Szymańskiego w Kole, mówiąc: „Popatrz, a jednak pracuje”, znalazł robotę na kolei wąskotorowej do Izbicy Kujawskiej. W mojej klatce schodowej mieszkał cudownie ocalały z pożogi – niejaki Dawidowicz. Lubił potwarzać, bijąc się w pierś: „Ja nie Żyd, ja Tatar”. O tym, o czym mnie nie mówiono nic,

on mówił swemu synowi: „Popatrz, mój stryj spędził wakacje 41-45 w szafie, dlatego zamiast ciekaw za kawałkiem gumy jak koleżkowie katoliki, nauczysz się angielskiego i matematyki, bo takie są, dziecko, dzisiaj czasy!”. Ja nie wiedziałem, że w ogóle są jakieś czasy. Nigdy nie było ani czasów, ani czasu. Byłem ja, i koniec.

Spierdalaj

Żubardź nie był światem bez wyjścia. Gorsza połowa poszła do poprawczaków i niekiedy do więzień lub przepadła w mrokach alkoholu, ćwiartka poszła do roboty, wreszcie nadszedł czas na lepszą ćwiartkę. Założyliśmy z Mateuszem marynarki i poszliśmy na wódkę. W Rzemieślniczej kelner odmówił, mimo że Mateusz miał krawat. No więc papierosy – żeby zapisać się do lepszych w liceum trzeba było być w Klubie, tyle że Klub był w męskiej toalecie, z rzadka jedynie odwiedzanej przez profesorów, zabronionej dla nowych. Znow próbujemy marynarek, ale drzwi nie chcą się domknąć i dym wychodzi poza toaletę, prowokacja, której starzy bywalcy Klubu nie potrzebują, nie chcą się wystawiać na utratę twarzy, nie chcą stracić niepisanego kontraktu niepewnej jeszcze dorosłości. Wiec: „Zamknij drzwi z tamtej strony i spierdalaj!”. Chłopak o twarzy członka Hitlerjugend – później myślałem też, że przypominał Dürera – dał nam do zrozumienia, że to nie nasze miejsce. Tego było jednak dosyć, za wygodnie im tam było w zacisznym kiblu, z którego można było do woli podziwiać lekcje wychowania fizycznego starszych dziewcząt, a szczególnie jednej, dumnej i kruczowłosej. Już jej nie ma. Zapamiętaliśmy sobie tego Spierdalaja. On i jego kolesie nie mogą sobie nawet wyobrazić, skąd my przychodzimy! Więc młodsi, mniejsi, dobrze, ale po jakiej przeprawie, w kiblu naszej podstawówki mogłeś codziennie stracić życie, a oni tutaj pilnują ciepłych przywilejów wieku. To trzeba było zmienić, trzeba było zaprowadzić rewolucję, oprzeć się na bazie byłych kumpli, pozbierać ich, namówić na wspólną akcję, na uwidocznienie się raczej niż wtopienie w nowa masę, wrócić za wszelką cenę do utraconego kibla, narzucić się. Mieliliśmy atletę, z nim nie byłoby problemu, ale nie palił. Zresztą był silny, ale nie lubił zadzierać. Wtedy Mateusz wymyślił gitarę. Nauczył się grać i tego nie można mu było w Klubie odmówić. Spierdalaj pierwszy się do nas odezwał, w uznaniu zasług spytał, co myślimy o Rusku, a co o Historyku. Ja doszedłem z harmonijką ustną, a za nami dalsi wykluczeni, filozofowie i kiblowi poeci. Historyk miał na nich oko, miał co do nich plany. Nas te plany już nie dotyczyły, bowiem Mateusz rzucił hasło: „Chłopaki, Wojacek po pierwszym roku polonistyki zapisał się do MPO”. Były ksiądz, dziwny człowiek, dziwnie obecny w umysłach. Mateusz, który nie przez przypadek znał historię, doprowadzał go do rozpacz. Kiedy tamten zapalał się, że „z jednej strony grasował Luter, a z drugiej eksterminowano czarownice”, Mateusz interweniował: „zaraz, zaraz, a próba ognia? a próba wody?” – i wylatywał za to za drzwi. Spierdalaj miał rację, że pytał o Historyka, tak, trzeba było spierdalać, jak najszybciej, jak najdalej. Zimowe wakacje, jak najdalej, w towarzystwie innych filozofów, innych malarzy, właściwie kopistów, tyle że z Witkacego. Zaczynają do ciebie docierać różne informacje i układają się w barwny

dywan. Powrót z gór, miejsca dla nas nie starcza, trzeba się wynieść, żądać zmiany szkoły i iść do centrum, z dala od Ruskiego i od dziwnego Historyka. Ale w tym momencie byliśmy już w centrum zainteresowania dyrektorki, która zrobiłaby wszystko żebyśmy zostali. I zrobiła. Stanowiliśmy dla niej pedagogiczno-indoktrynacyjny challenge. Dała nam za to prezent, wywołała nas z lekcji i przedstawiła długowłosego pianistę! Specjalnie dla nas, w połowie roku szkolnego, zmienił szkołę, żeby zapisać się do naszego Klubu! Był przerośnięty, wiec różnice wieku w kiblu teraz zupełnie się zatarły. Doszlusowano też nam dwie śpiewaczki rosyjskich szlagierów, ale wysiudaliśmy je natychmiast. Na co Wysiudane tak się w nas zakochały, że nie odstępowały nas na krok. Pianista też już nie istnieje, jest poza obiegem, mimo tego, że nic nie rozumiał, był zbyt blisko Historyka. Ale grał nam i jaja były tak przednie, że został wreszcie agentem podwójnym, lewą komorę serca dyrektorce, lewy prezes byłemu członkowi episkopatu, a prawy prezes nam, została mu jedynie prawa komora i nie wiadomo, co z nią zrobił, gdzieś spierdolił.

Siostry Szczyny

Pierwszą substancją organiczną wymyśloną przez człowieka był mocznik. Było to w 1828 roku. Lekcję na ten temat mieliśmy w klasie biologii. Wśród paproci, akwariów i wiwariów, pod pobożnymi planszami obrazującymi produkcję mydła, cukru i boksytu koksującego nagle uniósł się duszący smród. „Zeszcząłeś się?” – szepnęła jedna siostra do drugiej. „Tak, a co?”. „No to ja też się zeszczam!”. Była więc to lekcja siostrzanej solidarności. Obydwie za to wyleciały z klasy, obydwie blondynki z przezroczystą skórą. Szpila nie mógł tego tak zostawić, musiał coś zrobić, a Szczyny właśnie wyleciały za drzwi, poza jego zasięg. Zaczął więc atakować Lidie, bo Lidia mimo młodego wieku miała już tyłek – Lila-Rouge, Lila-Rusz, Lila rusz dupą! A Lila nie miała przezroczystej skóry, raczej pąsowiwała po Szpilowych kpinach. Miała potem do porozmawiania z panią od biologii. Na ścianie pojawiała się inna tablica, widzieliśmy kątem oka, wychodząc na przerwę. Jajniki i trąbki! W czerwonym przekroju. Szczynami zajęła się woźna, smrody zaczęły się mieszać. Szkoła to były olfaktoryczne Indie! Tu czuło się dojrzewającą Lidie, tam Szczyny, dowód na bliźniaczość chemii z biologią. A tu znowu woźne, dowód na zasadność rewindykacji dołów społecznych – aparaty i przyrządy, cewniki i cewki, organy. Doły i góry. Na lewo od szkoły była góra, Łysa Góra, a na prawo dół, dół społeczny. Tam umykały Szczyny gonione lodowymi kulami Szpili. Dalej niż zasięg tej szkolnej balistyki nikt się nie zapuszczał. Wizyt stamtąd też było niewiele, ale jak już ktoś przyszedł, ojciec międlący w dłoniach beret – „po sprawiedliwość dla swego pomiotu”, mówił Mateusz – było niezłe kino. Tylko pani od biologii nie dawała się onieśmielić. Hodowla przecież tam była, psy, kury, chodziły legendy o świniach. A ona potrzebowała chomików, dużej ilości chomików. Poszła za węchem i dopięła swego: biała skóra jak z pergaminu, rzadki włos, kwaśny zapach i czerwone oko.

Marcin Sobieszczanski

Piotr Grobliński

Wiersze

Wędlin na posesji nie stwierdzono

kupiłem koszulkę z godłem i napisem
POLSKA nosiłem kilka lat i zniszczyła się
koszulka z godłem i napisem POLSKA co robić
przecież nie wyrzucę koszulki z godłem i napisem
POLSKA do śmieci więc ognisko rozpalam
zupełnie jak w przypadku święconych skorupiek

i wtedy zjawia się patrol mundurowych
z godłem i napisem STRAŻ MIEJSKA nie wolno
palić ognisk zwłaszcza śmieci regulamin straży
mandat mówią kara idziemy do sądu

pani w todze trzyma orła na łańcuchu
feruje z nim w imieniu RZECZYPOSPOLITEJ
potwierdza że nie wolno i że w protokole
zapis był o braku wędlin na posesji
więc to nie było ognisko dowodzi niezbitcie
ogłasza wyrok i w tej właśnie chwili
orzekł na jej piersiach zrywa się z łańcucha

Pravice versa

To bardzo prosty taniec na dwa:
lewa, prawa, lewa, prawa, lewa
ręka trochę wyżej – radzi mistrz i prawi,
prawi, prawi cza cza cza.

Jak pomóc zmęczonym? Może lewatywa...
Nadbudówka radzi pożreć trochę bazy.
A może bezy? Jedna ręka nie wie,
co i komu od ust odejmuje druga. Strona
przeciwna zaleca modlitwę
do Świętego Mikołaja, tego prawdziwego,
który biednym sąsiadom podrzucił złoto

na posąg dla córek. Podrzucił lewą
czy też prawą ręką?

Z lewej równo, z prawej wolność – schody.
Strzępienie języka po różnicy, wiersz.
Bez braterstwa rymów czymże dzisiaj bywa?
Posłem prawicy w parlamencie słów?
Postem lewicy na Facebooku snów?

Różnica tkwi gdzieś głębiej, w skręcie DNA,
w Hellingerowskim ustawieniu stopy dziadka,
gdy wstawał z łóżka na pech albo szczęście.
Odtąd jesteśmy z odmiennej półkuli,
cali z drugiej ręki, nieufni, przeciwni.

Druga komunia

Dziewczynka w białej sukience stoi pośród grządek,
palec wplątała w oka ogrodzeniowej siatki, włosy
podkręcone lokówką wplątała w siatkę wiatr.
Na nogach adidas – widzę je z pociągu,
przejeżdżając przez to jej miasteczko. Przy torach
w małym domku uczują niewidoczni goście.
Możesz wyjść, tylko zmień buty.

Ona z drugiej klasy i ja w drugiej klasie,
zgaduję, co mogła dostać od chrzestnej w prezencie.
Rower? Hulajnogę? Komputer? Książkę raczej nie
– ja dostałem album o polskich malarzach
i komplet pędzli, niech będzie artystą. Na komunię
nie można dawać dzieciom zbyt drogich prezentów.

I druga komunia tej wiosny, w muzeum książki: dzisiaj
niestety nieczynne, mamy małą uroczystość.
Dziewczynka chodzi po ogrodzie, coś mówi do siebie.
Przepowiada sobie słowa pieśni? Powtarza wylicznkę?
Na kolanie brudny ślad po przyklęknięciu. W tej chwili
przypomina mi się zapach pierwszego garnituru.

Piotr Grobliński

Jerzy Jarniewicz

Wiersze

Jan i Małgorzata

Weź mnie, prosi ona, na ramę. Wezmę, on jej odpowiada, tylko jak przygotować rower na czas do sezonu, gdy sezon na dachowce, które marczą w garażu, zaczął się miesiąc przed marcem w pokoju na Ciasnej, gdzie prześcieradła bledną szybciej niż zdjęcia z ich pierwszego razu? Zdążyć do lasu, póki nie mylą się nam imiona. Byle by łańcuch nie spadał, piasta byle by się kręciła. Klęka przed nią i klęczy, żeby podwinąć nogawkę jak wtedy, gdy brał ją na ramę. Że miało być inaczej, pamięta, więc ręce na kierownicy, bo co było, przegoni nas i skończymy z pompką, od której odbiło się słońce i poszło dalej, zachodzić.

Świat młodych

Do świtu nie zmrzyłem oka. Bombę, która miała spaść na moje miasto, zobaczyłem w harcerskiej gazecie, tylko kiedy? Czekala w teczce na krańcówce dziewczątki, z *Motorem* dla ojca, *Przyjaciółką* dla matki - mały pakiet rodzinny. Jasne czasy, jasny świat. Wiadomo było czego się bać i w jakim wymiarze. Swój udział miała w tym kioskarka z fioletowym numerem na przedramieniu. Czy to była środa, kiedy pierwszy raz udusiłem cię we śnie? A ty, kiedy pierwszy raz próbowałaś mnie otruć? A które pchnęło które pod pociąg z repatriantami? Nie ma nas, jakby nas nigdy nie było. Miasto przetrwało twój strach, zniknęły kioski, załęgły się bankomaty.

Niebo też syczy

Twój wąż mnie ujął, Siemionie Siemionowiczu, i ta imperialna przegroda nosowa, o której napiszę dwa rymowane wiersze. W zeszłym sezonie kupiłeś pięć kobiet, w tym już pięć i pół, mój królu koksu i kazachskiej nafty, drzę w twoim cieniu z lęku i pożądania. Twój kształtny tyłek przywraca mi prawowierność. Rubli na mnie nie wydasz. Sama opłacę lokal na piętrze, będę słomianką u drzwi, przez które wejdiesz do mojej mowy. Tamten zwęglił mnie, spopielił. Na twoich skrzydłach odrodzę się, legendo. Moja wolność w czarnym etui z twojej wężowej skóry.

Oczy

Za oknem rosły porzeczki w gęstych, głównie czerwonych kiściach. Także, jak to w wakacje, agrest. Na skraju łóżka przysiadła ciotka, od wojny sama, bo mąż zginął w powstaniu. Jej wspomnień słuchaliśmy z bratem na dobranoc. „I odciął jej bagnetem piersi. Widziałam”. Ja też widziałem, kiedy już ciotka zgasiła światło. Tak zaczął mi się krajowy rok grozy, bo kilka miesięcy później mogłem zobaczyć, jak nawlekają na pal Olbrychskiego w kolorze. Nocami po drewnianej posadzce jak piłeczki od ping ponga skakały białe, wilgotne gałki, przed którymi nie szło się skryć. Pac, pac, mówiły. Pac, pac, powtarzałem jak echo.

I Will Follow Him

I wtedy mu mówi: żeby pójść z tobą do łóżka, musiałabym się wpięć upić. Żeby na ciebie spojrzeć, musiałabym potem wziąć prysznic. Żeby jeść rosół z jednego talerza, musiałabym stracić wzrok, smak i powonienie. Żeby z tobą zaśpiewać, musiałabym nie mieć słuchu. Żeby do ciebie zadzwonić, musiałabym być ujarana. Żeby coś tobie napisać, musiałabym nie być sobą. Żeby pić z tobą wódkę, musiałam pójść z nim do łóżka.

Jerzy Jarniewicz



Paweł M. Sobczak

Portret Kolumba

Stanisław Beres
Gajcy. W pierścieniu śmierci
 Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2016

Książka ukazała się pod patronatem „Tygla Kultury”

Jest jedną z legendarnych postaci polskiej literatury, choć żył zaledwie 22 lata i opublikował tylko dwa niewielkie tomiki wierszy. Sam spodziewał się raczej odrzucenia i zapomnienia, lecz jego życie uległo szybkiej mitologizacji (i symbolizacji), do czego przyczyniły się zarówno powojenne apologie „pokolenia Kolumbów” jak i gwałtowne ataki na młodych poetów Warszawy. Biografia Tadeusza Gajcego, choć pozornie znana, może jednak wielokrotnie zaskoczyć swoją niejednoznacznością. Być może dlatego Stanisław Beres postanowił do niej powrócić po blisko ćwierć wieku. Jego poprzednia, niemal trzykrotnie szczuplejsza, książka poświęcona twórczości autora *Gromu powszedniego (Uwięziony w śmierci)* ukazała się bowiem w roku 1992.

Przez kilkanaście ostatnich lat wrocławski literaturoznawca dał się poznać na rynku wydawniczym przede wszystkim jako autor znakomitych wywiadów z pisarzami (Stanisławem Lemem, Tadeuszem Konwickim, Andrzejem Sapkowskim). Ukoronowaniem tej formuły była *Historia literatury polskiej w rozmowach*, w której Stanisław Beres przepytował tak odmiennych od siebie twórców jak Miłosz, Różewicz, Brandys, Kapuściński, Grynberg, Zagajewski, Sommer, Stasiuk, Tokarczuk, Świetlicki, Gretkowska czy Wilk. Nową książkę o Gajcym, liczącą 712 stron i opublikowaną przez Wydawnictwo Czarne w serii *Biografie*, także można czytać jako wielogłos. O Tadeuszu Gajcym opowiadają tu m.in. młodszy brat Mieczysław, szkolni koledzy, przyjaciele z kompletów polonistycznych, towarzysze broni z podziemia, wreszcie badacze twórczości autora *Widm*. Dzięki tym wypowiedziom (niektóre nie były dotychczas publikowane) Beres może śledzić życiorys Gajcego już od najwcześniejszego dzieciństwa swojego bohatera. Dowiadujemy się choćby, że w szkole podstawowej przyszył poeta był ministrantem, gdyż babka widziała ukochanego wnuka w roli duchownego. Jednak rodzice szybko dostrzegli u chłopca literackie talenty, przestali także nadmiernie obarczać go domowymi obowiązkami. Ważnym momentem w życiu Gajcego okazuje się wybór gimnazjum. Dwunastoletni

Tadeusz nie został przyjęty do prestiżowej szkoły państwowej, trafił zatem do bielańskiego gimnazjum prowadzonego przez księży marianów (gdzie jego szkolnym kolegą był m.in. Wojciech Jaruzelski). Uczniów wychowywano tam naturalnie w duchu religijno-patriotycznym, ale także – co już tak oczywiste być nie musi – głoszone i wzmacniano „apologię męstwa, odwagi i gotowości do złożenia życia na polu chwały”. Później Gajcy kontynuował edukację na tajnych kompletach licealnych i na podziemnej polonistyce, gdzie wykładali luminarze polskiej humanistyki (Borowy, Doroszewski, Krzyżanowski, Pigoń, Tatarkiewicz). Tam właśnie zawiązywały się przyjaźnie na całe życie, a także pokoleniowe więzi, silniejsze od śmierci (*casus* Tadeusza Borowskiego, który po wojnie, ryzykując karierę, otwarcie bronił pamięci zabitych kolegów). Wówczas także po raz pierwszy ujawnił się niezwykle poetycki talent, który wkrótce zachwyci samego Jarosława Iwaszkiewicza.

Wspomnienia kolegów i przyjaciół Tadeusza Gajcego przytaczane są w książce obficie, nie zagłuszają jednak głosu autorskiego. Beres podchodzi bowiem do cytowanych świadectw krytycznie, zwracając baczną uwagę na rozmaite nieścisłości. Wnikliwie śledzi zarówno działalność konspiracyjną autora *Widm*, jak i jego niedosze plany matrymonialne. Zestawia ze sobą dostępne relacje, wydobywa sprzeczności (np. dotyczące charakteru i usposobienia Gajcego czy też tragicznego przebiegu akcji pod pomnikiem Kopernika) i zastanawia się nad przyczynami różnic w przekazach. Wątpliwości pojawiają się już przy próbie ustalenia prawdziwego brzmienia nazwiska poety, którego przodkowie przyjechali do Polski z Węgier. Okazuje się bowiem, że forma „Gajcy” regularnie pojawia się dopiero w dokumentach z okresu okupacji, a np. świadectwo ukończenia gimnazjum otrzymał jeszcze „Gajc Tadeusz Stefan”. Tajemnicą pozostaje nawet miejsce śmierci poety, nie do końca jasne są także okoliczności ocalenia jego literackiej spuścizny w zrujnowanej i zajętej przez Armię Czerwoną Warszawie. Pomimo iście detektywistycznej pasji autora w wielu przypadkach nie da się już dziś ustalić prawdy. Pozostaje więc przede wszystkim legenda, zgodnie z którą Gajcy i jego przyjaciel Zdzisław Stroiński „byli podniesieni / W czerwone niebo na tarczy eksplozji”, kiedy Niemcy wysadzili bronioną przez nich redutę. Cytowane słowa Czesława Miłosza traktowane są wówczas jako hołd, choć podyktowała je przecież gorzyc autora *Traktatu poetyckiego* i jego głęboka niezgoda na daremność ofiary złożonej przez „dwudziestoltnich poetów Warszawy”.

Jedną z najistotniejszych kwestii, z którą musi zmierzyć się każdy biograf Gajcego, jest związek poety ze skrajnie prawicową Konfederacją Narodu, propagującą hasła imperialne, autorytarne, a niekiedy nawet szowinistyczne. Organizacja ta kontynuowała tradycję Falangi, jedyne chyba ruchu nacjonalistycznego w międzywojniu, który otwarcie głosił program totalistyczny. Gajcy do Konfederacji przystąpił, choć – jak ocenia Beres – „był ewidentnie pozbawiony pasji politycznej”. Pochłaniała go natomiast publicystyka i krytyka literacka, zamieszczana na łamach „Sztuki i Narodu” – pisma związanego z KN i wyrażającego radykalne sądy dotyczące przyszłości i przeszłości polskiej kultury. W najbardziej znanym z tych tekstów, zatytułowanym *Już nie potrzebujemy*, Gajcy

arbitralnie przekreślał literacki dorobek międzywojnia, pozwalając sobie także – kilka miesięcy po likwidacji getta warszawskiego – na wycieczkę o charakterze antysemickim (refleks wielokrotnie pojawiającej się w publicystyce nacjonalistycznej lat 30. tezy o „obcości psychicznej” poezji pisanej przez twórców pochodzenia żydowskiego). Stanisław Beres, opisując ten aspekt działalności literackiej swojego bohatera, dystansuje się zarówno od ostrych oskarżeń wobec poety, jak i łatwego usprawiedliwienia jego postawy. Daleki jest od bagatelizowania organizacyjnej przynależności Gajcego czy tłumaczenia jego ideologicznych wyborów młodością i niedojrzałością. Zauważa jednak istotny rozdźwięk między publicystyką autora *Widm* a jego twórczością liryczną. Podkreśla także wyraźne dążenia ostatniego redaktora „Sztuki i Narodu” do rozluźnienia związków pisma z Konfederacją, odseparowania się od bieżącej polityki i nawiązania kontaktów z twórcami o odmiennych przekonaniach światopoglądowych (lewicowa „Droga”).

„Cień Konfederacji” zawisł jednak nad Gajcym i recepcją jego twórczości, wpłynął także na wiele sądów o całym jego pokoleniu. Najbardziej nieprzejednany w tym względzie wydaje się Czesław Miłosz, który „egzorcyzmował Kolumbów” przez ponad pół wieku. Beres trafnie podkreśla niezwykłość tego przedziwnego jednostronnego dialogu między uznanym twórcą, laureatem najważniejszej literackiej nagrody świata, a grupką młodych poetów, „którzy poginęli w wieku niemal chłopięcym, zdążywszy opublikować konspiracyjnie w nakładzie kilkunastu egzemplarzy jeden lub dwa tomy poetyckie oraz ewentualnie garść szkiców”. Wbrew słynnym słowom z *Przedmowy* („Tę książkę kładę tu dla ciebie, o dawny / Abyś nas odtąd nie nawiedzał więcej”) Kolumbowie (a raczej ich duchy) towarzyszyli Miłoszowi przez wiele lat. Pisał o nich zazwyczaj *en bloc*, zacierając ewidentne różnice wewnątrzpokoleniowe (nawet Baczyński zdawał się autorowi *Ocalenia* przedstawicielem tej samej grupy ideowo-politycznej) i krytykując zarówno pod względem politycznym (mrzonki imperialne, bezsensowne ofiarnictwo), jak i estetycznym. Nie cenił bowiem tej poezji, która tak wiele przecież zawdzięczała katastrofizmowi Drugiej Awangardy (odrzuconemu szybko przez Miłosza) i samemu autorowi *Trzech zim*. Ten aspekt wydaje się nawet ciekawszy od sporu ideowego. Całkowity brak akceptacji dla romantycznej postawy poetów-żołnierzy (utożsamianej z irracjonalizmem i patriotycznym odurzeniem) nie zaskakuje, bo wartości, za którymi opowiadał się Miłosz, nie dawały się raczej pogodzić z ideałami Kolumbów. Dziwić może natomiast niedocenienie liryki Gajcego i innych sinowców, niedostrzeżenie zarówno jej artystycznej wartości, jak i kompensacyjnego, niemal terapeutycznego charakteru.

Właśnie omówieniu twórczości literackiej Tadeusza Gajcego poświęcona jest ponad połowa tej obszernej i bogato ilustrowanej książki. Beresia interesuje wszystko, co autor *Gromu powszedniego* napisał, poczynawszy od zachowanych juveniliów, poprzez inedita (zarówno poprzedzające oficjalny debiut poety na łamach „Sztuki i Narodu” jak i późniejsze), teksty publikowane w podziemnej prasie, aż po dwa dojrzałe tomiki poetyckie (choć ich autor miał nieco ponad dwadzieścia lat), które ukazały się w ramach Biblioteki „SiN”. Niewątpliwą korzyścią z przyjęcia tak szerokiej perspektywy badawczej jest uwypuklenie bogactwa i różnorodności artystycznego dorobku bohatera książki, a także

przypomnienie mniej znanego oblicza Gajcego – dramaturga i prozaika. Jego proza, choć ilościowo szczupła (dwa opowiadania, fragment trzeciego i początek powieści), wydaje się bardzo istotna dla dopełnienia artystycznego i psychologicznego portretu twórcy. Są to teksty poruszające zbliżoną problematykę, ich tematem jest konfrontacja młodego człowieka ze śmiercią, a zdarzenia i sytuacje w nich prezentowane podszyte są wyraźnym komponentem autobiograficznym. Najwięcej miejsca zajmuje jednak analiza twórczości poetyckiej autora *Widm*, która w przeciągu niewiele ponad dwóch lat uległa znaczącej ewolucji. Jej poetyka była też znacznie bardziej zróżnicowana niż zwykle się uważa, zaś poetycka oryginalność sąsiadowała niekiedy z utworami dość konwencjonalnymi. Można też odnieść wrażenie, że twórczość Gajcego nie mało zawdzięczała poprzednikom, nawet tym, z którymi tak zdecydowanie rozprawił się w szkicu *Już nie potrzebujemy* (metafory typu Peiperowskiego w poemacie *Z dna*, fragmenty widowiska dramatycznego *Misterium niedzielne* przywodzące na myśl poetykę Gałczyńskiego). Analizy Stanisława Beresia uwidaczniają, że młody poeta wciąż poszukiwał własnej drogi, a gwałtowność jego wypowiedzi krytycznoliterackich niekoniecznie znajdowała potwierdzenie w liryce. Beres zwraca też uwagę na wewnętrzną antynomię dzieła Gajcego, rozdartej pomiędzy „zewnątrznym” przekonaniem o konieczności tworzenia literatury heroicznej, tyrtejskiej, odpowiadającej chwili dziejowej („A tu słowa, śpiewne słowa trzeba zmieniać,/by godziły jak oszczep”) a „wewnętrznymi” potrzebami indywidualnej ekspresji pisarskiej, wyrażanej w wielu baśniowo-fantastycznych lirykach. Tego napięcia nie dostrzegał chyba Miłosz, a to właśnie ono zdaje się tłumaczyć wiele niekonsekwentnych poczynań autora *Homera i Orchidei* (umieszczenie wiersza *Wczorajszemu* w sąsiedztwie grupy liryków odmiennych od modelu literatury walczącej czy też publicystyczne proklamowanie nieaktualności katastrofizmu przy jednoczesnym kontynuowaniu tej tradycji we własnej poezji).

Gajcy. W pierścieniu śmierci nie jest może książka skomplikowana, ale na pewno komplikująca. Stawia pytania (także te niewygodne, np. o całkowity brak w twórczości Gajcego odniesień do tragicznego losu Żydów), mnoży wątpliwości interpretacyjne, przeciwstawia się łatwym odczytaniom, zacierającym niekiedy to, co najbardziej istotne. Skłania także do namysłu nad hipotetycznymi dalszymi losami jej bohatera. Co mógłby napisać jeszcze Tadeusz Gajcy, gdyby nie zginął podczas powstania? Co mógłby jeszcze napisać poeta, który w swoim ostatnim niesamowitym wierszu (napisanym na papierowej torbie i przekazanym dowódcy), tak dalekim od wszelkich kanonów stosowności, przedstawił makabryczną ucztę w niebiosach („Wszyscy święci, hej do stołu! / W niebie uczta: polskie flaczki / Wprost z rynsztoków Kilińskiego! (...) Do godów. Święci do godów, / Przegryźcie Chrystusem Narodów!”). Zadaję sobie te pytania, ale nie znajduję odpowiedzi, a młody, przystojny człowiek na okładce książki spogląda na mnie i tylko uśmiecha się tajemniczo.

Paweł M. Sobczak



Paulina Małochleb

Rzeczywistość równoległa

Cezary Łazarewicz
Żeby nie było śladów. Sprawa Grzegorza Przemyska
 Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2016

Cezary Łazarewicz napisał na temat sprawy zabójstwa Grzegorza Przemyska książkę bardzo mocną, ale nie emocjonalną. Wierną faktom, ale nie zawiłą. Męczącą psychicznie, ale łatwą w lekturze. Stworzył reportaż śledczy na temat wydarzenia, które nigdy właściwie nie zostało wyjaśnione, choć przeprowadzono w tej sprawie dwa śledztwa i odbyły się procesy.

Dzisiaj *Żeby nie było śladów* ma duże szanse, by zostać książką roku, Odkrywa się też przed nami kolejna paradoksalna cecha tego tekstu – jest jednocześnie edukacyjny i bolesny. Chętnie czytany przez pokolenie najmłodsze, bo wyjaśnia wiele zagadek przeszłości, unaocznia i przybliża warunki życia w ostatniej dekadzie PRL-u. Dla starszego pokolenia, pamiętającego lata 80., książka ta nie jest atrakcyjną wyprawą w przeszłość, nostalgicznym wspomnieniem młodości. Dzieje się tak dlatego, że historii, którą opowiada Łazarewicz, nie da się podsumować często używaną dzisiaj frazą „Za komuny było lepiej”. Przeciwnie – to opowieść uświadamiająca, że nawet najgorsza demokracja lepsza jest niż demokracja ludowa.

Żeby nie było śladów niedawno została nagrodzona w konkursie Książka Historyczna Roku, wyróżniono ją w kategorii „Najlepsza książka popularnonaukowa poświęcona historii Polski w XX wieku”. Wbrew temu, że kapituła nagrody określiła ją mianem popularnonaukowej, Łazarewicz oddał w nasze ręce świetny, wyrazisty reportaż. Jest to poniekąd reportaż śledczy, poniekąd sądowy, w dużym stopniu także historyczny i obyczajowy. Porządek narracji narzuca tutaj ciąg chronologiczny – od popołudnia 13 maja 1983 roku, gdy Przymyk z kolegami wychodzi na miasto, by uczcić maturę z polskiego, aż do wyroku z 1997 roku, gdy przed niezawisłym sądem III RP kończy się drugi i ostatni proces przeciwko sprawcom zbrodni. Istnieją jednak w tym tekście i inne porządki, organizujące narrację.

Wydaje się, że figurą dominującą w tym reportażu jest, jak sądzę, figura awansu, traktowana jednak bardzo przewrotnie. Grzegorz Przymyk za życia nie odgrywał żadnej roli politycznej, był postacią pozbawioną jakiegokolwiek znaczenia: maturzystą,

chłopiec z rozbitej rodziny, syn opozycjonistki średniego szczebla. Pobicie na komisariacie MO przy ul. Jezuickiej w Warszawie, próby ratowania życia, śmierć rozłożona na kilkanaście godzin sprawiają jednak, że Przymyk, zgodnie z obawami Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, awansuje na męczennika. Jego pogrzeb zamienia się w manifestację polityczną. Przyjaciel rodziny i poeta Wiktor Woroszyński pisze list do Mieczysława Rakowskiego, w którym żąda ukarania sprawców. Woroszyński przedstawia Przemyska jako „syna tego umęczonego kraju”, o młodzieży w Polsce pisze „tropiona zwierzyzna, cel kaleczących i zabijających ciosów na ulicach miast i za nieprzeniknionymi murami”. Jednocześnie władza także awansuje Przemyska – z młodego chłopaka o artystycznej wrażliwości, słuchającego muzyki i pisującego wiersze, uczyni groźnego antypaństwowca, hipisa i narkomana. Sprawa Przemyska kilka tygodni po jego śmierci staje się dla struktur państwowych równie ważna, co zbliżająca się wizyta papieża – KC zastanawia się, co zrobić, by dziennikarze towarzyszący papieżowi, nie zajmowali się w ogóle sprawą pobitego chłopaka, a skupili na sprawach religijnych. Skromny maturzysta urasta zatem do rangi jednego z najważniejszych problemów bezpieczeństwa państwowego.

Drugi awans dotyczy Barbary Sadowskiej, matki Grzegorza Przemyska. Choć działa w opozycji od lat, nie zajmuje w jej strukturach żadnej wyraźnej pozycji, nie jest też szeroko rozpoznawalną autorką. Wszystko to zmienia się błyskawicznie po śmierci jej syna – na piątym bloku, w którym mieszka, robi się niebiesko od mundurów, każdy jej krok jest śledzony, rozmowy podsłuchiwane. Dla opozycji Sadowska urasta do rangi Matki Polki, staje się postacią dokładnie spełniającą wizję Mickiewicza – oto Sadowska wychowuje swoje dziecko do buntu i do grobu. List do niej pisze Zdzisława Bytnarowa, matka Rudego, bohatera, który zginął w Akcji pod Arsenalem w roku 1943, solidaryzuje się z nią w bólu osieroconej matki, przesyła wyrazy wsparcia. Awans Sadowskiej Łazarewicz pokazuje w tym kontekście jako działanie opozycjonistów – ona sama w ogóle nie uważała się za Matkę Polkę, miała romans z kolegą Grzegorzem, jeździła do niego do więzienia, nie chciała przyjąć tej roli, w którą ją umieszczano.

Łazarewicz, opisując precyzyjnie pozycję Sadowskiej w hierarchii opozycyjnej, rozbija też mit, jaki natychmiast po zabójstwie jej syna zaczął krążyć w społeczeństwie. Panowało bowiem przekonanie, że pobicie miało być kolejną próbą zastraszenia opozycji. Wcześniej ją samą także napadnięto, czasem była śledzona, założono jej teczkę, gdy wracając ze Szwecji przywiozła książki zakazane w Polsce. Śledztwo bezpieki na jej wewnętrzne potrzeby wykazało jednak, że na komisariacie przy Jezuickiej w chwili pobicia chłopaka nie było agentów bezpieczeństwa. Kiszczak chciał wtedy zrzucić winę na sadystycznych milicjantów, na co jednak nie zgodzili się inni urzędnicy wysokiego szczebla. *Żeby nie było śladów* to historia pozbawiona happy endu – nie chodzi tylko przecież o gwałtowną i bolesną śmierć Przemyska czy rozłożoną na kilka lat cichą śmierć jego matki, ale o prawdę i zwycięstwo sprawiedliwości. Reportażysta pokazuje bowiem, że matactwa bezpieki i prokuratorów z lat 80. sprawiły, że nawet 10 lat później, już za nowej Polski, nie udało się rozwikłać zagadki tego pobicia. Nie mamy pewności, kto

pobił Przemyska, ale też nie znamy przyczyn – czy było to ostrzeżenie wobec matki? Czy „tylko” zbytnie przykładanie się do milicyjnych obowiązków?

Jeszcze jedną osobą, która doświadcza – wbrew swej woli – takiego przewrotnego awansu jest Cezary F. – Czarek, przyjaciel Przemyska, który 12 maja wybrał się z nim na Plac Zamkowy. Cezary pochodzi z Radomia, przyjechał na krótko do Warszawy, kilka lat starszy od Grzeška, ma romans z jego matką, co później SB wykorzystają. To on wchodzi za Przemyskiem na komisariat i później jest świadkiem bicia, on też towarzyszy Przemyskowi w szpitalu. Po śmierci Grzeška staje się też najważniejszym podejrzanym, jedną z najbardziej poszukiwanych w Polsce osób. Przyjaciele Sadowskiej, korzystając z kontaktów księdza Popieluszki, próbują go ukrywać, w końcu pomagają w spotkaniu z prokuratorem. Bezpieka natychmiast zaczyna pracować nad podważeniem jego wiarygodności, przedstawia go jako homoseksualistę, recydywistę, dezertera i narkomana. Stara się też zamknąć pralnię chemiczną i fermę lisów prowadzone przez jego rodziców, by przeciągnąć ich na swą stronę i następnie za ich pomocą naciskać na Cezarego. Nad jego sprawą pracują setki agentów, rozpracowują narzeczoną, rodzinę, kolegów i sąsiadów.

W tym przewrotnym porządku awansu jeszcze jeden ruch „w górę” uznałabym za ważny – awans zomowców. Dla młodych chłopaków z prowincji służba w ZOMO była szansą na poznanie wielkiego świata, na zdobycie pracy, na wyjazd do stolicy, także na zdobycie wyższego stopnia – po 2 latach służby w ZOMO mogli przejść do milicji. Z perspektywy komisariatów, koszar, ćwiczeń z rozpędzania demonstracji i palowania nie widać pogardy i lęku, jaki budzi ZOMO w społeczeństwie. Można też jednak przyjąć z pewnością, że takie subtelne uczucia nie mieściły się w horyzoncie poznawczym Ireneusza Kościuka i Arkadiusza Denkwicza, który w czasie bicia przypominał, by koledzy nie zostawiali śladów.

Sprawa Przemyska szybko staje się polem walki między różnymi resortami – MO, SB, samym Ministerstwem Spraw Wewnętrznych. Kiszczak, szef MSW, przyznaje na spotkaniu KC, że to pobicie nie było robotą SB, bo wtedy „wzięlibyśmy do tego fachmanów”. Ale jednocześnie zna najdrobniejsze dane sprawy, nazwiska przyjaciół Przemyska, nazwiska sanitariuszy, lekarzy, wszystkich tych, którzy zetknęli się z nim w ostatnich godzinach życia. Zależy mu na tym, by nie oskarżać zomowców, ale sanitariuszy z karetki, lekarzy, przyjaciół chłopaka. Każdy może być winny poza mundurowymi. Aby ich ratować, należy przeprowadzić akcję ocieplającą wizerunek milicji oraz drugą kampanię, pokazującą demoniczne oblicze pracowników pogotowia – jako rabusiów, złodziei, skłonnych do pobicia pacjenta w celach rabunkowych. Kiszczak umacnia swoją władzę kosztem innych resortów, zaognia też walkę z opozycją – bo przedstawia Przemyska jako ofiarę działań opozycjonistów, które miały na celu sparaliżować działania MSW.

Wszystkie postaci nagle stają się obiektem zainteresowania resortów i mediów, zostają wyjęte ze swego naturalnego środowiska, ich życie analizują agenci oraz akademicy eksperci od politycznych manipulacji. Ich biografie, wybory życiowe i zachowania

poddawane są analizie publicznej, krytycznej, pełnej hipokryzji ocenie. Ich przywary ulegają hiperbolizacji – jeśli spożywa alkohol, staje się alkoholikiem, jeśli słucha zachodniej muzyki – narkomanem i hippisem. Nieskora do sakramentalnych związków Sadowska w ministerialnej optyce zostaje przedstawiona jako postać patologiczna, zła matka, prostytutująca się zwariowana poetka. System uderza w słabe miejsca, w życie prywatne, które zanalizowane i krytycznie ocenione wystawia się na widok publiczny. To tutaj właśnie, na scenie prymitywnych i jednocześnie szalenie zaawansowanych mediów, rozgrywa się akcja dramatu. Komuniści (liczba mnoga jest bardzo wygodna, gdy pisze się o tej fabule, nie sposób bowiem właściwie wskazać jednostek odpowiedzialnych za przebieg tych wydarzeń) montują historię równoległą do rzeczywistości i precyzyjną, szczegółową narracją Łazarewicz stara się nadać za poszczególnymi zwrotami akcji. Cel nadrzędny jest jeden – oczyścić zomowców z wszelkich podejrzeń; cele pomniejsze – kompromitacja moralna członków opozycji, uwikłanie prywatnych osób w polityczne sprawy – realizuje się na sali sądowej i w prasie, w kolejnych artykułach i komentarzach dziennikarsko-rządowych. Stopniowo na oczach publiczności oczywiste kłamstwo zaczyna zamieniać się w obiektywną prawdę, pod którą nie uda się jej dojrzeć już później nikomu. Nawet w III RP, choć udaje się obnażyć kłamstwo systemu, nie wiadomo, jaka jest prawda. Nie ma sprawiedliwości dla pokrzywdzonych, nie ma racji historycznej.

Łazarewicz pisze o tym, że w sprawie Przemyska odbyły się dwa procesy – jeden przeprowadzony w dobie PRL, drugi zaś już za wolnej Polski. Żaden z nich nie przyniósł jednak satysfakcjonującego wyroku. Okazało się, że śledztwo zmanipulowano jest na taką skalę, że po latach nie udało się go rozwikłać i dojść do prawdy, nawet w chwili, gdy generał Kiszczak nie sprawował już żadnej władzy. Zastanowić się trzeba, czy werdykt sądu był nam w jakikolwiek sposób potrzebny? Czy nie wystarczy przekonanie, że winny tu był cały system, że właściwie nie jest istotne, kto odpowiadał za zadanie śmiertelnych ciosów? Łazarewicz odpowiada na te pytania twierdząco. Werdykt jest potrzebny takim ludziom jak matka jednego z oskarżonych, która oświadcza, że gdyby syn był winny, zostałby skazany. Jej słowa brzmią dla nas naiwnie, przebija z nich jednak jakaś głębsza prawda – system prawny służy do skazywania winnych, do wskazywania odpowiedzialności. Przecież jeśli założymy, że nie ma znaczenia, kto ponosi winę, tym samym kaci okazują się bezkarni, dopuszczamy możliwość powtórzenia się takiej sytuacji. Pokazujemy wielu młodym i nieświadomym politycznie chłopcom z prowincji, że nie ma znaczenia, gdzie rzuci ich los i co sami z tym losem zrobią. Paradoksalnie zatem, im bardziej skomplikowane okazuje się śledztwo, im trudniejsza sprawa sądowa, tym bardziej potrzebny w niej wyrok skazujący, nawet jeśli oskarżony należałby cały system polityczny.

Łazarewicz w świetny sposób, opowiadając o pojedynczej sprawie politycznej, pokazuje nam cały system, bo przecież w sprawę Przemyska zaangażowane były setki osób. Począwszy od milicjantów, prokuratorów, sędziów, polityków, agentów przez zakonników, którzy nie chcieli ukryć Cezarego F., gdy ten próbował uniknąć aresztowania

w pierwszych dniach po morderstwie Grzeška, specjalistów od propagandy, profesorów uniwersyteckich, którzy podsuwali Urbanowi i Kiszczakowi pomysły na rozwodnienie sprawy i wskazanie winnych, dziennikarzy piszących paszkwilanckie teksty do gazet codziennych. To w ich tekstach przecież wytwarzały się te wszystkie „awanse”, o których pisałam wcześniej. Doliczyć tu też trzeba ekspertów manipulujących sprawą tak, by można było postawić przed sądem sanitariuszy i oskarżyć ich o pobicie Przemyska w karetce, wreszcie funkcjonariuszy więziennych, naciskających na aresztowanych. Jeden z nich – kierowca karetki – w celi bliski był popełnienia samobójstwa, do którego różnymi sposobami namawiali go klawisze. Winni byli też zwykli obywatele, tacy jak rodzice Cezarego F., którzy stali się agentami donoszącymi na własnego syna, pracującymi nad tym, by oddał się w ręce milicji. Gdy do domu spływają wyrazy wsparcia, pochwały dla bohaterskiego zachowania syna, matka wrzeszczy: „Czego oni gratulują? Tego, że się upił? Błakał po Warszawie?”. Łazarewicz pokazuje nam zatem, że lata 80. nie były stopniowym, powolnym upadkiem systemu, że komunizm miękł, zanim ostatecznie upadł. Ostatnia dekada PRL-u w jego opowieści to komunizm twardy, walczący, dominujący kosztem życia, prywatności, zdrowia jednostek, system gotów na największe poświęcenia, by się utrzymać. Nie jest to też bezosobowy mechanizm, a skomplikowana struktura utrzymywana dzięki zbiorowemu wysiłkowi setek i tysięcy oddanych pracowników. Dlatego właśnie ta historia wydaje mi się jednocześnie bolesna i dydaktyczna – wszystkie przepływy władzy, kompromisy moralne, fałszywe wyrażnie się w niej ukazują.

W sprawie Przemyska wyroku nie może wydać sąd, może to jednak zrobić literatura i oskarżenie sformułowane przez Łazarewicza wydaje się szalenie ostre, ale precyzyjne, wyliczające całą tę moralną szarą strefę i nazwiska ludzi, którzy choć nie mieli krwi na rękach, także uwikłali się w tę potworną sprawę. Łazarewicz równo i demokratycznie rozdaje ciosy. Choć wydaje się, że odpowiedzialny za śmierć Przemyska jest Kościuk, prosty chłopak oderwany od pługa, z którego niskich kompetencji intelektualnych szydzą wszyscy (także sam Kiszczak), to przecież w imieniu historii Łazarewicz oskarża również Włodzimierza Szewczuka, profesora UJ, szefa Instytutu Psychologii, autora podręczników akademickich, po którego prokuratura wysłała samolot, by szybciej dostał do Warszawy i udzielił pomocy w działaniach propagandowych.

W ciągu ostatnich dwóch lat ukazały się trzy reportaże polityczne: *Krwawa Luna* Patrycji Bukalskiej, *Bicia nie trzeba ich było uczyć* Piotra Lipińskiego oraz właśnie *Żeby nie było śladów*. Każdy z tych tekstów odnosi się do komunizmu i jego zbrodni. Bukalska próbuje stworzyć portret Julii Brystygierowej, Lipiński relacjonuje proces Adama Hamera, wicedyrektora Departamentu Śledczego MBP – oboje budują jednak swoje portrety w sposób nieudolny, nie potrafią tak ustawić swojej linii interpretacyjnej, by czytelnikowi pokazać te postaci jako jednocześnie ciekawe i przerażające. Brystygierowa i Humer w biografiami ukazują się nam jako wampiry z wyrwanymi zębami, ludzie zaślepieni i głupi. Obcy, słabi i naiwni – choć wcale tacy nie byli.

Lipiński piszący o Humerze i Bukalska pisząca o Brystygierowej próbowali zrobić dwie rzeczy na raz: przedstawić ich biografie, ale równocześnie uczynić z ich losów uniwersalną opowieść o roli jednostki w systemie totalitarnym. Dlatego oboje sięgają po pytania retoryczne, zastanawiają się, dlaczego ich bohaterowie stali się właśnie tacy, dlaczego nigdy nie przejrzeni na oczy, nie zauważyli zła, któremu służą. Lipiński zastanawia się, dlaczego prokurator Humer w latach 90., już jako starzec, ciągle przyznawał rację komunizmowi, gloryfikował przeszłość. Ani Brystygierowa, która zmarła w latach 60., ani Humer, który nie chciał rozmawiać ze szczawikiem, jakim był w latach 90. Lipiński, nie udzielają jednak odpowiedzi na te pytania. Reportażysty skazani są zatem na stawianie hipotez, na wyprowadzanie własnych wniosków opartych na kontekście społecznym. Powstają tezy banalne, niepotwierdzone, mało dla czytelnika interesujące. Brystygierowa i Humer w interpretacji swych biografów to po prostu fanatycy, ludzie inteligentni, ale ślepo wierzący w system, przyzwyczajeni do posłuszeństwa. Czy z takich odpowiedzi wynika dla nas co ciekawego?

Inaczej robi Łazarewicz, który stawia tylko takie pytania, na jakie może konkretnie odpowiedzieć. Usuwa poza tekst pytania o przyczyny zła, o rolę jednostki. Te wnioski pozostawia czytelnikowi, a sam ustawia się w służebnej roli dostarczyciela materiału, śledczego badającego przepływ informacji i streszczającego przebieg postępowania prokuratorskiego i sądowego, weryfikatora różnych zeznań, wskazującego sprzeczności między nimi. Nie jest jednak tak, że jego reportaż jest nudnym przytaczaniem cudzych słów. Wręcz przeciwnie – Łazarewicz buduje bardzo skomplikowany obraz wydarzeń związanych ze śmiercią Grzegorza Przemyska od chwili, gdy chłopak wychodzi z egzaminu maturalnego 12 maja 1983 roku do lat dwutysięcznych, gdy pokazuje, jak potoczyły się losy oskarżonych o zabójstwo zomowców.

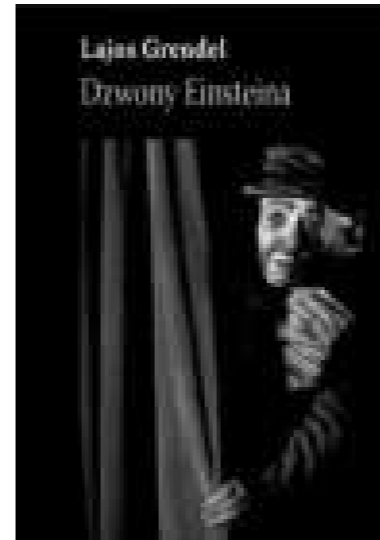
Lipiński chciał pokazać czytelnikowi zaślepienie Hamera, jego oddanie systemowi, ale i zakłamanie, bo emerytowany prokurator nie chce przyznać się do tego, jak potwornych metod dopuszczał w śledztwie, choć wielu świadków zeznawało już przeciwko niemu i tortury te zostały udowodnione. Lipiński nie widzi jednak, że oddaje też czytelnikowi do rąk książkę o swojej porażce, nie potrafi bowiem wydobyć z Hamera ani przyznania się do winy, ani wyjaśnienia, dlaczego tak pracował. Dziennikarz wciąż pyta, natomiast Humer nigdy mu nie odpowiada albo mówi to, co sam chce. Lipiński dławi się swoim poczuciem słuszności, a my wraz z nim, bo przecież pomimo jego nieudolności stoimy po jego stronie, bo tu znajduje się racja moralna. Powinien zatem pójść w inną stronę, próbować stworzyć portret psychologiczny tego śledczego-kata, pokazać, jak to możliwe, że w latach 90., po tylu ujawnionych zbrodniach komunizmu, nadużyciach jednostek i całego systemu wciąż można być mu wiernym, wciąż można powtarzać hasła propagandowe z lat 40.! (np. frazy o tym, że MBP prowadziło wojnę przeciwko obszarnikom, a nie przeciwko polskiemu społeczeństwu, że bicie aresztowanych miało umocnić władzę ludową). Lipiński pisze ze świętym oburzeniem, nie jest to jednak głos trybuna ludowego, a cienki falsecik.

Bukalska pisze o Brystygierowej: „Weszła na drogę, z której nie potrafiła zawrócić”, „Julia jest dogmatyczna i ślepo przekonana o wiodącej roli partii”, „Julia w pełni wspiera plany Moskwy”. Głównym źródłem wiedzy stają się dla niej pamiętniki Władysława Gomułka i portret komunistów, jaki w nich konstruuje. Autorka biografii robi więc mało subtelny skrót: Brystygierowa jest dokładnie taka jak oni, jak zbiorowość, której portret kreśli Gomułka (a wiemy przecież, że nie był bezstronnym świadkiem wydarzeń).

Tymczasem przemoc komunizmu, jego przewrotne zło, arogancję, pychę potrafi pokazać Łazarewicz, który rysuje obraz systemu jako drugi plan w swojej opowieści o śledztwie, o rodzinie Przemyska i jego przyjaciółach. Pozostajemy zatem z pytaniem, dlaczego polska literatura szeroko pojmowana, polska proza niefikcyjna nie potrafi sobie poradzić z postaciami do cna złymi, przerażającymi, kładącymi długi cień na polskiej historii?

Autor nie stawia jednak ani jednej tezy wprost, nie podaje nam swoich ocen, wszystkie wnioski czytelnik musi sobie tu wyprowadzić sam, wywieść je z opowieści rozmówców autora. On sam chowa się za historią, ukrywa swój głos, by tym mocniej i wyraźniej wybrzmiała historia, do wysłuchania której nie było nigdy odpowiednich warunków. To znów paradoksalna cecha tego reportażu – gdy wolno już dochodzić do prawdy o okolicznościach zabójstwa Przemyska, nie ma właściwie komu tej historii opowiedzieć. Nie wiadomo też, kto powinien być głównym bohaterem tej historii, bo wciąż nie wiadomo, kto odpowiedzialny był za zbrodnię. Zwłaszcza że o ile za samo pobicie odpowiadali milicjanci z warszawskiego komisariatu, o tyle za tuszowanie i rozpracowywanie sprawy odpowiedzialne były zastępy urzędników, ubeków i agentów działających na polecenie polityków.

Paulina Małochleb



Tymoteusz Milas

Rewolucja oportunistów

Lajos Grendel

Dzwony Einsteina

tłum. Miłosz Waliński

Biuro Literackie, Stronie Śląskie – Wrocław 2016

Świat wyłaniający się ze zbioru opowiadań Lajosa Grendela *Poświęcenie hetmana*, pierwszej jego książki przełożonej na język polski, podobny był do labiryntów złudnych iluzji. Przelamywanie konwencji realistycznego opowiadania, zagadkowość i filozoficzność tej prozy sprawiały, że lektura była nad wyraz interesująca. *Dzwony Einsteina* to druga książka Grendela, którą możemy przeczytać w przekładzie Miłosza Walińskiego. Jest to krótka, lecz skomplikowana fabularnie powieść. Akcja koncentruje się wokół aksamitnej rewolucji na Słowacji w 1989. Nie ma ona jednak nic wspólnego z peanem na cześć odzyskanej niepodległości czy przewidywalną satyrą na ustrój socjalistyczny. Grendel, pisząc o tym gorącym politycznie okresie, ośmiesza absurdalne, wewnętrznie sprzeczne postawy ludzi, uzależnione od zmieniających się okoliczności, idei i panujących nastrojów społecznych. *Dzwony Einsteina* są więc jedną z tych nader rzadkich powieści, które nie tylko odtwarzają realia życia w socjalizmie, ale również barwnie, z ironią i poczuciem humoru, o nich opowiadają. Rewolucja to stan, w którym wszystko staje na głowie, a Grendelowi udało się znakomicie opisać to odwrócenie porządku i wynikające z niego przewartościowanie idei.

Dzwony Einsteina mają ciekawy podtytuł – *Opowieść z absurdystanu*. Czemu więc nie podążać za wskazanymi przez autora tropami absurdów przedstawionego świata? Jeżeli nonsens jest dominującym elementem tej historii, to dlatego, że zanurzeni w nim byli zarówno socjaliści, jak i rewolucjoniści, którzy w mniejszym lub większym stopniu przyczynili się do obalenia ówczesnego systemu politycznego. Powieściowa narracja nie ma jednak charakteru rozliczeniowego, do którego przyzwyczaiła literatura traktująca o okresie komunistycznym. Grendel nie obiera metody krytyki systemu, skutecznie ucieka od patetycznej formuły, w jaką czasem wpadali wielcy powieściopisarze antykomunistyczni, jak choćby Milan Kundera czy Tadeusz Konwicki. Okres socjalizmu, ale i transformacja ustrojowa, którą w Czechosłowacji proklamowano jako aksamitną rewolucję, ukazane zostały niczym w krzywym zwierciadle, a wszystkie dążenia do wolności w rezultacie jawią się jako heterogeniczne, niespójne, nielogiczne i pozorne.

W życiu bohaterów absurd goni absurd, nic nie jest takie, na jakie wygląda, każdy ma podwójną tożsamość. Jednak wiele można zrobić dla utrzymania władzy, wystarczy tylko rozpoznać system i dostosować się do jego wymagań. Wolność to przecież nie tylko kwestia idei, ale też formy i jej kształtowania. Czym innym jest zdawać sobie z tego sprawę i nie stać w jednym szeregu u steru Historii z wieloma oportunistami, a czym innym jest przekuć teorię w życiową praktykę, nadając zgodny z własnymi oczekiwaniami kierunek swojemu JA, jednemu z ważniejszych, choć istniejących tylko w wyobraźni, cichych bohaterów tej powieści.

Za motto życiowe głównego bohatera *Dzwonów Einsteina*, Franciszka Rzeźnika, z wykształcenia matematyka i fizyka, można uznać słowa jego ojca, niezaangażowanego politycznie obuwnika, będącego na marginesie przetasowań w systemie wspierającym socjalistów. Powiedział on do swego syna, gdy ten jeszcze chodził do podstawówki: „Na tym świecie dasz sobie radę tylko wtedy, gdy nie będziesz mówił tego, co myślisz. Zawsze rób na odwrót, myśl jedno, mów drugie, w przeciwnym razie skończysz w więzieniu”. Był to właściwie pierwszy stopień wtajemniczenia w absurdalny chaos, w którym, jak mu się wydawało, po pewnym czasie znalazł się Franciszek. Lecz tak naprawdę już od progu dorosłego życia uprawiał świadomie hochsztaplerstwo ideologiczne. Okłamywał głównie jednak samego siebie, godząc się na uczestnictwo w pełnej fałszu rzeczywistości. A wszystko zaczęło się dość niewinnie, bo od miłości. W czasie jednej z wycieczek rowerowych Franciszek poznaje Zosię, studentkę biologii, ortodoksyjną wręcz socjalistkę, której ojciec jest ważnym działaczem partyjnym. Szybko się w sobie zakochują, biorą ślub i jakoś próbują pielęgnować to uczucie, na którego przeszkodzie nie stają nawet wyraźne różnice światopoglądowe. Franciszek nie wierzy w moc sprawczą socjalizmu, w dziełach Marksa uwodził go bardziej teoretyczny koncept niż możliwość wprowadzenia go w życie. Potrafił jednak zaadaptować się do panującej ideologii i, dzięki protekcji ojca Zosi, dostać pracę w Anabatycznym Ośrodku Badawczym, gdzie najpierw został zatrudniony jako pracownik naukowy, a następnie awansował na stanowisko „specja od wszystkiego”. Miejsce pracy wydaje mu się dość specyficzne, zatrudnione bowiem są tam głównie szwaczki, a każdy towarzysz ma swój pseudonim. W istocie jest to szwalnia, w której są też internowani wybrani naukowcy, mający za zadanie współpracować z socjalistyczną władzą. I choć Franciszek zdawał sobie sprawę, jakimi egoistycznymi pobudkami kierował się przy robieniu kariery, musiało minąć kilkanaście lat, nim zmienił swoją postawę. Oczywiście jego oportunizm łatwo można usprawiedliwić, mówiąc o błędach młodości, którą rządziły w jego przypadku dwie namiętności: władza i seks. Zresztą dość szybko Franciszek, zgodnie z obowiązującymi zasadami w pracy, nadaje sobie pseudonim – Car Piotr, co tylko podkreśla jego zapędy. Wszystko to jednak z czasem okazuje się szczęściem dość ulotnym i wątpliwym moralnie, o czym kilkakrotnie próbuje przekonać go Niedosięgnięte JA, czyli zmaterializowany w wyobraźni Einstein. To jego głos wewnętrzny, którego nigdy nie chce słuchać, choć ten wielokrotnie dobrze mu radzi. I choć to samooszukiwanie się przychodzi Franciszkowi, jak i innym

bohaterom, bardzo łatwo, to znacznie trudniej będzie mu stawić czoło konsekwencjom tej socjalistycznej maskarady. Co więc przerwało tę grę pozorów, co uświadomiło go, że żył w kłamstwie przez tyle lat? Nowa miłość do przebiegłej studentki Dory? Nadchodząca wielkimi krokami rewolucja polityczna? A może naszpikowany jakimś tajemniczym lekiem kurczak, którego przyniosła mu Zosia? „Nasze życie składa się z drobnych zdrad” – powiedział Franciszkowi Einstein. Przemiana wewnętrzna bohatera wymyka się racjonalnej, jednoznacznej interpretacji. Dość przyznać, że można znaleźć podobnych do Franciszka oportunistów, którym wydawało się, że los ciągle będzie im sprzyjał. Różnica między nim a resztą jest jednak taka, że wraz z transformacją ustrojową nastąpiło w nim wiarygodne oczyszczenie z win i poczucie, że wolność wewnętrzna jednostki jest wartością większą od pozycji społecznej.

Dzwony Einsteina są niewątpliwie udaną próbą odnalezienia straconego czasu uwikłanego w socjalizm. To po bachtinowsku literatura karnawałowa, w której wszystkie składniki wymieszane zostały w odpowiednich proporcjach, co w podobnych powieściowych rozliczeniach z Historią zdarza się nieczęsto. Wbrew zapowiedziom na okładce książki, Lajos Grendel z nikim i niczym się tu bez pardonu nie rozprawia, bo wie, że fikcja literacka nie może tak oddziaływać. Jej funkcja polega przede wszystkim na tym, by opisywać minioną rzeczywistość tak, aby ci, którzy ją pamiętają, mieli choćby cień wątpliwości, czy rewolucja polityczna ze szlachetnych pobudek była możliwa. Ci zaś, którzy są za młodzi, by ją pamiętać, mogli odkrywać meandryczną przeszłość, wciąż żywą ze względu na podjęte wówczas decyzje, czerpiąc przy tym nieudawaną radość z błyskotliwie opowiedzianej historii.

Tymoteusz Milas

Adam Klimczak

Bracia Hirszenbergowie

Muzeum Miasta Łodzi,

24 listopada 2016 – 5 marca 2017

Żydowski Instytut Historyczny im. Emanuela Ringelbluma w Warszawie,

30 marca – 4 czerwca 2017

Otwarta 24 listopada 2016 roku w Muzeum Miasta Łodzi wystawa „Bracia Hirszenbergowie – w poszukiwaniu ziemi obiecanej” to symboliczne spotkanie rozdzielonych przez los łódzkich artystów i pierwsza od ponad 80 lat unikalna w skali międzynarodowej monograficzna ekspozycja prac Samuela (1865-1908), Leona (1869-1945) i ich młodszego brata, architekta Henryka (1885-1945). Urodzeni w Łodzi, w wielodzietnej rodzinie żydowskiej, obrali różne ścieżki rozwoju, poszukując swoich „ziem obiecanych” w życiu i sztuce. Możemy na wystawie podziwiać około sto znakomitych dzieł sztuki stworzonych pod koniec XIX i w pierwszej połowie XX wieku, a poddany konserwacji unikalny w skali światowej zespół zachowanych *in situ* obrazów olejnych Samuela Hirszenberga w Sali Jadalnej Pałacu Poznańskiego w Łodzi pokazuje w kontekście wystawy wyjątkową spuściznę artystyczną Samuela, uważanego, obok Maurycego Gottlieba, za jednego z prekursorów sztuki żydowskiej w Polsce. Okres pomiędzy narodzinami Samuela w 1865 roku a śmiercią Henryka w 1955 roku w Tel Awiwie to jednocześnie burzliwy i dynamiczny czas dla Łodzi, Europy i świata. Pokonawszy drogę od pełnej uwarunkowań i ograniczeń ortodoksyjnej wspólnoty żydowskiej w mieście urodzenia, przez przygodę z syjonizmem, do stania się obywatelami świata i pacyfistami bracia Hirszenbergowie mogą być współcześnie odbierani jako prekursorzy dzisiejszego zjawiska transkulturowości. Twórcze drogi braci stały się częścią tragicznej żydowskiej historii i tradycji, reprezentując mit nomada – wiecznego tułacza-artysty.

Samuel zmarł przedwcześnie w 1908 roku w Palestynie, do której został zaproszony do pracy przez przyjaciela Borisa Schatza, fundatora Akademii Sztuk Pięknych Bezalel w Jerozolimie – pierwszej szkoły artystycznej na tych terenach. Dzięki zespołowi wybitnych znawców ich twórczości, żyjącej córce Henryka – pani Ofrze Bruno-Hirszenberg z Izraela – i wieloletnim pracom badawczym poznano też datę śmierci Leona (zmarł w 1945 roku w swojej ukochanej Francji) i wiele okoliczności z bogatego, twórczego życia Henryka.

Konfrontacja różnorodności ich dzieł pozwala zobaczyć drogi braci w nowym świetle, a także ujawnia, chociaż w niewielkim stopniu, ewolucje zachodzące przez prawie



stulecie w ich bliższych i dalszych środowiskach artystycznych na przełomie XIX i XX wieku. Pokazuje zmagania, przeciwności i trudności, z jakimi przyszło im się mierzyć. Ci bezkompromisowi i wybitnie utalentowani artyści tworzyli podwaliny międzynarodowej awangardy i sztuki współczesnej Łodzi. Wystawa to niewątpliwie istotny etap w programie odkrywania i utrwalania spuścizny artystycznej wybitnych artystów żydowskich polskiego pochodzenia wpisanych w historię miasta będącego tygłem wielokulturowej społeczności. Samuel był sławiony za życia przez współczesnych mu Polaków, a także przez niektórych syjonistów, jako wizjoner nowej sztuki hebrajskiej. Pamięć o nim przetrwała XX w., a w obliczu współczesnych wydarzeń na świecie stanowi o ponadczasowym przesłaniu dzieła sztuki.

Rzeczywiście, żaden artysta żydowski przed nim nie oddał głosu poczuciu wygnania i walki tak wyraziście, żaden obraz nie ukazał dominujących wtedy tematów prześladowania, beznadziejności, wiktymizacji i tragedii tak trafnie jak jego najśłynniejszy, zaginiony obraz *Wygnanie (Golus)* z 1904 roku. Historia obeszła się okrutnie z dziełami malarskimi braci, a różne uwarunkowania dziejowe i środowiskowe sprawiły, że po Henryku pozostało niewiele zrealizowanych dzieł: gmach szkolny w Rudzie Pabianickiej (zbudowany w latach 1926-1929) czy wzniesiony w latach 1929-1931 budynek Kasy Chorych o ekspresyjnej bryle z elementami polskiej sztuki dekoracyjnej – najciekawsze dzieło w dorobku architekta w Łodzi. Jednak kontekst wygnania, miejsca, ojczyzny i przynależności kulturowej, obecny w twórczości braci, nadal będzie inspirować wyobraźnię współczesnych artystów, pisarzy i myślicieli.

Adam Klimczak

Anna Walaszczyk

Opowieść o wielokulturowej Łodzi Wystawa w Muzeum Miasta Łodzi

Na wspólnym podwórku – łódzki tygiel kultur wyznań to nowa wystawa stała, która otwarta zostanie 10 października 2017 roku w Muzeum Miasta Łodzi. Udostępnienie publiczności stałej wystawy o wielokulturowej przeszłości Łodzi w podziemiach pałacu Izraela Poznańskiego jest wydarzeniem kluczowym dla Muzeum, ważnym dla miasta, jego mieszkańców, a także gości z zewnątrz, oraz wyczekiwany przedsięwzięciem wieloaspektowym, któremu towarzyszyć będzie wieloletni program działań edukacyjno-kulturalnych.

Projekt *Na wspólnym podwórku...* autorstwa starszego kustosa Muzeum Miasta Łodzi Anny Walaszczyk – która jest pomysłodawczynią i kuratorką wystawy, a także projektantką aranżacji i autorką scenariusza multimedialnych – jest głosem w dyskusji o wielokulturowej tradycji miasta oraz tożsamości opartej na pamięci. Wystawę współtworzą zarówno narracje historyczne, jak i etnologiczne. Przemysłowe dzieje miasta splatają się tu z codziennością polsko-niemiecko-żydowskiego współistnienia, dopełnionego obecnością prawosławnych Rosjan. W opowiadaniu o wielonarodowym i wielokulturowym mieście, snutym na styku myśli historycznej i antropologicznej, wartością staje się już sama narracja o przeszłości, będąca próbą przywracania i odkrywania wielokulturowej historii miasta oraz pamięci o miejscach, ludziach, zdarzeniach i rzeczach.

Łódź fabryk i dymiących kominów, Łódź wielu nacji, języków, religii i kultur, prezentowana jest na tle fenomenu jej żywiołowego rozwoju przemysłowego i demograficznego. Przejawy wielokulturowości i wielowyznaniowości Łodzi do roku 1939 pokazane zostały poprzez zgromadzone muzealia, archiwalne fotografie, rozwiązania aranżacyjne i scenograficzne, poprzez treści składników audiowizualnych i obszerne, bogato ilustrowane wydawnictwo.

Wystawa przygotowana została w ośmiu strefach tematycznych i prowadzi widza wzdłuż kilku osi zbiegających się w specjalnie zaaranżowanej przestrzeni miejskiego podwórza, gdzie jak w soczewce skupia się wielokulturowe sąsiedztwo. Wielonarodowościową społeczność przemysłowego miasta – ludzi „ziemi obiecanej” – reprezentuje grono bohaterów podwórkowych, mieszkających we wspólnym domu.

Spotkanie z lokatorami łódzkiej kamienicy czynszowej poprzedza podróż ścieżkami zwiedzania, w obszarze których widz bliżej pozna miasto i jego historię doby industrializmu. Dzięki elementom audiowizualnym wsłucha się w dźwięki miasta i poczuje





atmosferę zgielku ulicy. Odwiedzi gabinet carskiego urzędnika, pozna łódzkie świątynie i synagogi, po drodze spotka fabrykanta, zajrzy do pracowni grawera i sklepu modystki, by przejść na typowe miejskie podwórze z pompą studzienną, drewnutnią i trzepakiem, a następnie będzie mógł udać się do zaaranżowanych mieszkań łódzkich rodzin: żydowskiej Goldmanów, polskiej Kaczmarków i niemieckiej Langerów. Istotną rolę odgrywają tu specjalnie dobrane przedmioty związane z religią, tradycją kulturową i językiem domowników. Uwadze polecamy także lokal zabytkowego magła, który prowadzi przedsiębiorcza frau Langer, oraz wyświetlane na dużych ekranach filmy ze wspomnieniami dawnych Łodzian.

Narrację wystawy budują także elementy dźwiękowe z odgłosami zdarzeń podwórkowych: biegających i śmiejących się dzieci, sąsiedzkich pogawędek przy studni, nawoływań furmana, turkotu wozu z węglem, a także odgłosy trzepania dywanów, szczekającego psa i gruchających gołębi.

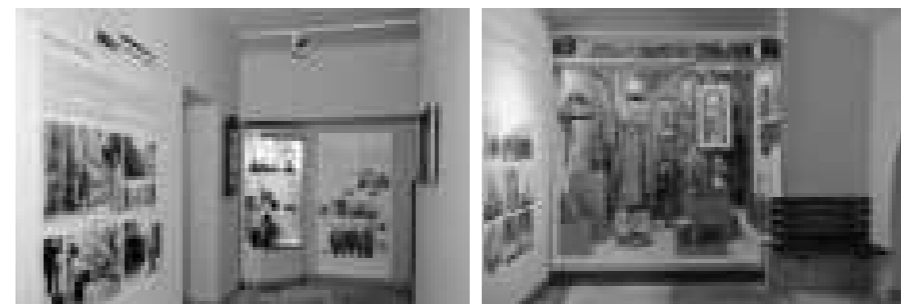
Porcję radosnych wspomnień z dzieciństwa zapewnia stanowisko gier interaktywnych w „chłopka” i piłkę, wyznaczone w części wspólnego podwórka, szczególnie adresowane do dzieci i młodzieży, ale przyjazne także seniorom.

Organizatorzy wystawy *Na wspólnym podwórku...* wyrażają nadzieję, że przeżycia i emocje towarzyszące zwiedzającym przekładać się będą na pozytywne konotacje, które pomogą określić przynależność do miejsca, dzielnicy i miasta, a w oparciu o przywołane na wystawie narracje – tożsamość Łodzi i własną.

Anna Walaszczyk

Zdjęcia
Bożena Szafrńska, Krzysztof Kubiak

Pompa studzienna prezentowana na wystawie pochodzi z zasobów Zakładu Wodociągów i Kanalizacji w Łodzi





A single vertical line of text, possibly a page number or a section marker, positioned on the left side of the page.

